

Wiktor Żwikiewicz

# Delirium w Tharsys

1986

*Ten świat nie jest nasz, chociaż uparcie kroimy go na własny obraz i podobieństwo. Każdy z nas w innym miejscu i czasie zostawił sumienie. Dziś podziękujmy Bogu za to, że – odbierając czas i miejsce – zostawił nam szansę śmierci. I módlmy się, żeby się nie rozmyślił.*

Kolczinski

*Mors tua vita mea.*

Ewolucja

*Mówisz, że miłość w słodkie okowy nas bierze  
Jedynie siłą ducha – nigdy nie uwierzę  
Bowiem ducha się czuje tylko mocą ciała.*

Ronsard

...BEZBRONNOŚCIĄ JESTEM, W WIELKOŚCI I NICOŚCI MOJEJ, KIEDY  
DOPALA SIĘ WE MNIE – DAWNIEJ TAK PRZEMOŻNE – PRAGNIENIE  
PRZETRWANIA I DOPEŁNIENIA OWEGO LABIRYNTU, KTÓRY WE  
WNĘTRZU MOIM W JEDNOŚĆ POWIĄZAŁ WOLNOŚĆ Z ISTNIENIEM... NIE  
ZGŁĘBIĘ I NIE ODWRÓCĘ LOSU, JAK NIEPODOBNA WYRWAĆ SIĘ Z  
PUŁAPKI SKAŁY ORAZ PLEŚNI...

KRAWĘDZIE GRAFU:

MIEJSCE AKCJI – Strefa wpływów Enklawy THARSYS, Enklawy TABOR i  
Uroczni Megalitu; posadowienie w Industrialno–Urbanistycznym Masywie  
Czwartego Kontynentu.

CZAS AKCJI – Schyłek Epoki IUM; wieczór i noc poprzedzające Dzień Ostatniej  
Bitwy.

WARUNEK EGZYSTENCJALNY – Stan oblężenia.

## WIERZCHOŁKI GRAFU:

JOHN STINSON – lat 51, żonaty, bezdzietny, profesor Uniwersytetu Tellurycznego, ekspert SEKON, laureat nagrody Faysala za prace z dziedziny genetyki i biologii eksperymentalnej, protektor Kliniki w Enklawie THARSYS (kategoria: Trzeci Stopień Wtajemniczenia)

JONAS HEBREJCZYK (MEGALOXANTHA) – lat 33 (wzgl. 103), kochanek Seleny, elew Mechaneurystycznej Kliniki Księżyca, komandos samodzielnej jednostki endoskopijnej (kategoria: Stopień Wtajemniczenia wg normatywu Kliniki–Matki)

BIO-ŁĄCZE (JANKO PYTLAK) – lat 20, bez sprzężeń, banita z agrarnego podsystemu Aglomeracji Pierwszego Kontynentu, najemnik – półroczny staż Bio-Łącza Informatycznego Systemu w Klinice Enklawy THARSYS (kategoria: Bio-Łącze)

ION SZAŁAMAJA – lat 60, stan wolny, bezdzietny (?), nadworny kabalista Enklawy MACHU PICCHU, aktualnie bezprzydziałowy węzeł Enklawy THARSYS; prace w zakresie neoplatońskiej Teorii Emanacji (kategoria: Stopień Wtajemniczenia wg normatywu Enklawy MACHU PICCHU)

FERETRIUS – lat 38, bezdzietny, major Endogenicznej, członek Sztabu, dowódca Grupy Szybkiego Reagowania od chwili wprowadzenia stanu oblężenia (kategoria: Węzeł Armii)

KOLCZINSKI – lat 42, bezdzietny, porucznik Endogenicznej, najemnik awansowany na członka Sztabu z dniem wprowadzenia stanu oblężenia (kategoria: Węzeł Armii)

MAŻULIS – lat 48, bezdzietny, banita, najemnik, weteran Endogenicznej (kategoria: Węzeł Armii)

PRZYŚLEP – lat 58, stan degradacji, bezdzietny, majuskuła Uniwersytetu Tellurycznego, inspicjent Modułu CETI, obsługa dyspozytorni systemu łączności (kategoria: Czwarty Stopień Wtajemniczenia – podejrzany o nielegalny kontakt z Informatycznym Systemem)

MAKONDE – ( – – ) (Blokada Systemu Informatycznego)

PATROCHIN – ( – – ) (Blokada Systemu Informatycznego)

MAGGI LUNS – wiek względny, stan letalny, bezdzietna, aktorka sensualistyczna i matryca kreacyjna zestawu holowizyjnego „Reżyseruj sam”, Oscar – Clitomatic za rolę główną spektaklu „Królowa Sodomy” i Złota Pigułka za pięć miliardów sprzedanych ampulek z halucynogenem „Orgia z Maggi – Magic” (kategoria: Wstępny Stopień Wtajemniczenia)

## 1. ZORZA I ZŁOM

... Z ognia był i z czeluści piekielnej. Ponad szpalerem tych, którzy przedtem – z okiem Szerna w piersi – albo sto lat później ze złotym orderem wbitym między żebra, o skroniach przyprószonych księżycowym pudrem, z wiarą, nadzieją, z podniesionym czołem – z marszu. W przestrzeń. Z wybicia podkutym obcasem prosto w transcendencje archanielskich chórów. Pogromcy przestworzy – dwa stulecia starczyły, żeby ich nauczyć grzechu i pokory.

Tym razem z kraterów – wyrzutni z powrotem na Ziemię. Tylko sejsmiczne kopniaki zabębniły na wypiętym brzuchu Mechaneurystycznej Kliniki. Potem w gardziel przestrzeni – byle zdążyć ciałem. Relatywizm czasu, przestrzeni i duszy – tę ostatnią do cna wymotało. Pęd ją rozsmarował. Niby kometa wleciesz za sobą długi ogon. Niewidzialny. Niestyszalny. Ani na wdech, ani przylepny. Kiedy w cel trafisz niewiele tego ducha i świadomości na powrót skapnie w doczesne truchelko. Reszta się rozproszy – nie przywykło do smrodliwych wyziewów tutejszej atmosfery. Wiatry to rozwieją, dymy ogarną lubieżne. Szczęściarzem będziesz – może ci chusteczką pomachać w jonosferze, skinie na odchodne luminescencją barwną, coraz bardziej łzawą. Aż zgaśnie. Ty zaś po kostki, po pas, do gardła i na wieki wieków w trupim prochu ugrzęzniesz.

Jeszcze lecisz. Tu i ówdzie trzaskają w powietrzu chłodne fajerwerki. Towarzysze twoi – nędzne niedoloty. Nic to. Bodaj jeden przetrwa. Fenomen. Tysięczny zastęp jego braci w daninie złożony na ołtarz prehistorii. Właśnie krwawo znaczą miejsca wlotu we wzdętą tarczę atmosfery.

Samotny między ogonami komet.

Desant śmierci.

Na próżno ci w dole snopami reflektorów gorliwie liżą pięty. Pęd obiera spory z powierzchniowych napięć. W każdym ziarnie komandos.

Żegnaj łono Seleny!

Bądź pozdrowiony – ludu Hioba!

Pęd osmala błękitną folię, drapieżną pieszczotą garnie się do ciała. W parchatość ziemi nie trafi ani jedno mitotwórcze ziarno.

A jednak! Temu się udało.

Jeszcze spływał po laserowej nitce. Pelengator zmysłów prowadził go do jednej z ocalałych Enklaw. Resztę diabli wzięli. Rumowisko w dole. Wraki wypatroszone ciśnieniem od środka. Labirynt transzei, pręty i liny – ścięgni.

W centrum, jako ślepie wybałuszone w kosmiczną przestrzeń, szklany klosz

nakrywa ostatnią przytulnie. Nad dymny horyzont wypływają, co prawda, garby innych kopuł – tam przejrzystość już zasnutą mgiełnie albo coś się burzy, pełga pod szkliny czerepem, zagotowuje obłęd. Dawno by trzeba podkopać się za pomocą mechanicznego kreta, założyć neutronową minę, a potem – bach! – wystrzelić na wiwat zrobaczały torcik. Niech się z powietrzem zamiesza we wspólny koktajl. Inne Enklawy dawno w aerozolu. Rozpaczliwie skurczyło się przedpole Armii. Sztab Endogenicznej nie nadąża z misjami saperów pod każdy utracony bastion.

Kopułę otacza pierścień złomu wyprutego nad beton. Sąsiednie Enklawy podsiąkają pleśnią. Wszechogarniające bielmo. Zaproszone śmieciem. Tylko wiatr przegania fosforyczne strzepy. Ziemia do gwiazd wypięła grzbiet pokryty sparchaciałą sierścią, ledwie otulony warstwą smrodliwego powietrza. Ktoś próbował na nim stawiać szklane bańki – niewiele dało; coś się zabliznia woskowym liszajem, coś kołysze szmacianym wykwittem.

Wieczny tobie pokój – protoplasto Megaloxanthy!

Mocniejszy podmuch rozchylił kłaczaste wiechcie. Twardo sterczą wtopione w szkliwo pręty. Pomiędzy chmurami obnażyła się łysina szara, pleśnią łaciata. Oczy wytrzeszczasz w ten jedyny rozłam – lecisz! Lecisz – nad skrawkiem Dachy Świata oczyszczonym mocniejszą eksplozją. Pył się tam ściele, nad ziemią zacina mgiełnymi dymkami. Z piasku i popiołu kręci bicze. W ich węzowych płasach – stoi! Cień garbaty, po kostki zanurzony w próchnie – tutaj?! Odważył się wyczołgać spod pancerza Enklawy?

A jednak stoi. Na zewnątrz kopuły. Stoi na szeroko rozstawionych nogach – całym ciałem daje odpór wiatrom. Chętnie by go wichur z powrotem obalił – na pysk! Twarzą w proch albo na kolana! Do odcisków podeszew dołączyć ślad pięciopalczasty. Twój krok byłby znowu tropem czterołapym.

Aż zachwiało trajektorią lotu komandosa Seleny. Skulił się sam w sobie. Patrzył z lotu ptaka i nie wierzył zmysłom. Ktoś tam stał. Już po kolana w prochu, chociaż nie przykleknał. To wiatr nawiewał wydme. On tylko twarz uniósł – czaszka zaspawana w szklanym słoju. Dłonią osłonił oczy przed jaskrawością spadającej gwiazdy.

To wszystko jakby w powiększeniu: między wręgami stalowych szyn, w łopocie blach – ich nieodrodny syn. Też w łatanym skafandrze – przewiązany drutem. W jednej garści zaciskał lufę monstrialnej strzelby. Drugą, w czarnej rękawicy, osłaniał oczy przed blaskiem zorzy idącej w ślad za bolidem. Jego oczy zapadły w podcień – resztę twarzy rozjaśnił uśmiech. On też widział. Tam z dołu. Zadarł głowę i patrzył, zdawało się – mniej wzrokiem, bardziej powierzchnią skóry, membraną napiętą na guzowatym czole, zwiotczałą na policzkach i wokół ust pomarszczonych szpetnie – odwykły od wszystkiego, prócz przekleństw. Jedyna prawdziwa twarz Planety. Do gwiazd szczyrzy się radosnym grymasem truposza. Żywa jeszcze, chociaż oczu nie

widać. Coś się zaiskrzyło nagle w ciemnych oczodołach, stoczyło na podbródek – w stalowej szczecinie przepadł świętojański ognek.

Ich wzrok – tego w prochu i tego dopiero ciężącego do złomu – spotkał się w pół drogi. Wzrok, któremu niepotrzebne oczy. Ten w dole jeszcze się szczyrzył – wilgotny ślad przesycał mu na policzku. Nagle pochylił się i, z rozmachem, w prochu u stóp coś wypisał ręką. Potem krok odstał – niech czyta nadlatujący z kosmosu.

Jakby ktoś palcem pociągnął po zapoconej szybie.

Jedno słowo: M A K O N D E .

W tej samej chwili kryształowa śluza rozdzieliła ich błoną nieprzenikliwą dla wzroku. Komandos Seleny ledwie zdążył obrócić się w ziarnie. Kątem oka pożegnał zorzę – własne echo dogasające nad pobojuwiskiem rdzawym.

Potem coś pod nim pękło. Stopami zapadł się w sterylizację. Język za zęby, oczy w głąb, pamięć w historię. Wstrzymać oddech i na wszelki wypadek w gorące dłonie zwinąć jądra. O tak! Żeby nie prześwietlił skalpel uczący cienko śpiewać.

Z ulgą odetchnął już po drugiej stronie.

## 2. STINSON

Komora przekaznika splunęła nim w korytarz. Za plecami mlasnęła membrana. Nie garną się witać, pomyślał. Ich głosy słyszał za ścianami. Pomruki, chrzęsty, tupoty, sapania zawzięte. Jakby spieszno im było nałykać się powietrza.

Nie pytał o drogę. Tuż za ścianą głos tego, z którym jeszcze warto wymieniać poglądy. Słyszał jego oddech w wiwarium wypełnionym w miarę ciepłym, w miarę chłodnym powietrzem. Głos człowieka znudzonego wszystkim dokoła, najbardziej samym sobą:

„... Ellen? Nie. Me wróćę. Może za dwa tygodnie. Jeśli rozejdzie się po kościach... Oczywiście. Mieli przysłać... Z Mechaneurystycznej Kliniki Księżyca. Słyszałem o jego teoriach... Nie, nie. Nie będę nadstawiał gardła... To nie sprawa autorytetu. Sami damy radę... A co niby ma się stać?! Mam gdzieś twoje kabały... Tak! Czuję się świetnie. Niech to diabli!... Ellen, bez przesady. To, że ktoś poczuje się lepiej nie oznacza przecież, że znów jest do wzięcia. Nie nasza wina, że nie możemy mieć dzieci... Raz już postanowiliśmy, że każdy rozwiąże to na własną rękę... Choćby tak! Znajdź sobie kadeta, któremu już wolno. Albo weterana Pierwszej Linii. Liczą się emocje – nikt i tak nie zasieje... Ja? Tylko tytuł i powszechne uznanie... Spróbuj. Im na czymś zależy. Potrafią się przejąć... Kto? Taki Jonas, na przykład. Dawno minęły czasy, kiedy człowiek potrafił się doprowadzać do takiej egzaltacji...”

Przez ścianę widać na wylot.

Starszy mężczyzna oddycha ciężko. Dłonią otarł spocone czoło. Z dobrych czasów został mu tylko wypukły czerep. Z wierzchu skórę pokryły wątrobowe plamy.

„... Czasami – nie wiem. Może i chciałbym... Właśnie to! Potrzeba nam wiary. Tak samo w sobie, jak w bliźnich... Niczego ci nie wymawiam. Nie rozumiesz? Po co to ciągniemy... Tak, tak. Właśnie tak. Maszynka się zacięła. Nic więcej...”

Mężczyzna nie patrzył w ekran. Opuścił wzrok.

Westchnienie otwieranych i zamykanych drzwi jeszcze go usztywniło. Za sobą usłyszał metaliczny szelest. Szybko wyciągnął rękę i zdusił w powietrzu głos nikomu już niepotrzebny.

– Nie teraz – uciał oschle. – Zgoda, nie mówmy o rozwodzie. Do zobaczenia... Też uważaj na siebie.

Jeszcze przekłuty balonik zmyślnie fryzowanej głowy zapadał w pułapkę holowizyjnych kamer, kiedy mężczyzna odwrócił się gwałtownie. Szpakowaty, przystojny, wysoki – pięści wtłoczył w kieszenie białego kombinezonu. Nos prosty, twarde oczy, kilkudniowy zarost kiełkujący przez skórę niby cienkie druciki. Szare



oczy zmierzyły komandosa Seleny, który nie otrzepał jeszcze stóp z księżycowego srebra. Podobno można zabić wzrokiem. Widocznie wyszedł z wprawy.

– Ma pan kłopoty, profesorze Stinson? – zapytał przybysz.

– Nie wasza sprawa.

– Źle pan wygląda.

– Reminiscencje rozkładu podstawowej komórki społecznej.

– A ja myślałem, że całego systemu – powiedział przybysz. – Niech – pan sięgnie do starych zapasów.

Nad Stinsonem zawisła twarz niepozabawiona kobiecej urody, chociaż, takiej właśnie, nigdy by sobie nie przyśnił.

– Nie mam zamiaru popełniać kolejnego głupstwa.

– Szkoda.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Zawsze jest szansa – odparł przybysz. – Przynajmniej jeśli nie chodzi o prokreację.

Ogromne, fiołkowe oczy przepełniło bezgraniczne współczucie. Błękitne skrzydło zaszeleściło w powietrzu, spod miedzianego mankietu wysunęła się przezroczysta dłoń.

– Głupi żart – Stinson nie popisał się reflekssem.

– Kwestia poczucia humoru. Wy też zauważacie przede wszystkim rozkład podstawowych komórek społecznych – każde słowo akcentowane dźwięcznie, w końcówce rozsypujące się potrzaskiwaniem błony jeszcze sklejującej wargi. – Jestem Jonas Hebrejczyk.

Stinson dostrzegł rękę wyciągniętą w jego stronę. Spodziewał się, że łatwo będzie zmiąć tamtemu palce. Niespodziewanie stawily opór. Twarde cęgi. Rachityczne tylko z wyglądu. Między palcami szeleszcząca błona, niby folia spieczona na styku atmosfery i kosmosu.

### 3. JONAS

Kiedy przechodził, obok słycać było twarde poskrzypywanie z jakim diament wędruje po szybie. Charakterystyczne iskrzenie, elektryzacja błękitnego skafandra, który luźnym bandażem spowija postać Adonisa, kochanka kraterów i odwrotnej strony Księżyca. Wysoki był, piękny, o twarzy niemal dziecinnej. Oczy fiołkowe, usta bladoróżowe, połyskiwały jak od nieustającego pocałunku. Lśniący był cały – liliowe włosy w celofanie, nozdrza i usta – poza oddechem i słowem – zlepione przezroczystą błoną. Tak samo naga pierś. Od czoła, przez policzki, szyję, brzuch i uda – do stóp w aseptycznym pokrowcu.

– Jak się powodzi obłożonym? – zapytał.

– Równowaga. Laboratorium serwuje nową szczepionkę – powiedział Stinson. – Starczyło dla pacjentów i sześćdziesięciu procent personelu.

– Kliniki czy Armii?

– Endogeniczna otrzymała kolejną partię chemosterylantów.

– Jeszcze odliczacie generacje?

– Trzymamy równowagę.

– To znaczy, że liczycie najwyżej na rozejm.

Stinson smętnie popatrzył w holowizyjną ciemnię. Ktoś, jak on, znajdujący się w równie parszywym stanie, wolałby porozmawiać z kim innym. Niech liczy się przynajmniej to, że z tym kimś przeżyło się jednak kilkanaście lat. Kilkanaście? Jakie to ma znaczenie. Istnieją miejsca, w których przeżyło się wszystko – i też trzeba się rozstać. W końcu ważne jest tylko to, co zawsze nosisz z sobą – pech polega na tym, że nie ma się z tym gdzie podziąć.

Zjawi się taki – czort wie, skąd go przyniosło – i nie myśli zostawić cię w spokoju.

Ktoś zdecydował za nich. Teraz z górą półwieczny faryzeusz musi nawiązywać nie porozumienia z błękitną ważką, ze skrzydlatym żukiem, z kochankiem i sługą Seleny. Bogini jasnych nocy ma zamiar przetrwać dłużej. I pewnie jej się to uda, chociaż nie wyparła się tellurycznego pokrewieństwa. Zaryzykowała nawet i na przedpole Ostatniej Bitwy splunęła bajecznie ubarwionym chrząszczem, Selenita – Megaloxantha.

Stinson opuścił się w kołyskę fotela. Od wielu nocy była mu jedyną przytulnią w tym pustym gabinecie o ścianach spryskanych szpitalną bielą – pancernych podskórnice.

– Męczysz mnie – westchnął bardziej do własnych myśli; cóż, tak naprawdę, obchodził go ten wątpliwy mężczyzna, patrzący zawsze z góry. – Nie czekamy z

założonymi rękami. Miałem nadzieję, że przynajmniej dzisiejszej nocy znajdę chwilę wytchnienia.

Oczy Megaloxanthy również nie wyrażały specjalnego współczucia. Przyblakły z przyczyn raczej prozaicznych – wyrwane z przejrzystego kosmosu, po raz pierwszy zapuszczały wzrok w takie miejsca, gdzie wszystkiemu przystoi zmięknąć nieco. Nie tylko wzrokiem – całym sobą powoli wrastał w szarość. Chemiczna reakcja – tlenek cyny wytracony z kobaltowego błękitu tęczęwek. Nic więcej.

– Gdyby mnie przysłano z kanistrem emulsji, którą wystarczy przejechać po twarzy, żeby podkleić zmarszczki – sam byś mnie posłał do wszystkich diabłów – powiedział Megaloxantha.

– A po co cię przysłano? – zainteresował się Stinson.

– Trzeba przynajmniej to rozumieć, gdzie przystawić szczudło, jeśli nie ma szans, żeby całość uzdrowić.

– Ciekawa filozofia – Stinson przymknął zaczerwienione oczy. – Tak was Uczą, że złe nie tyka tych, co pojmują?

– Wolisz drutować? Podklejaj swoje, przeżyjesz dzień dłużej.

– Nie zajmujemy się teorią. My walczymy... Kiedy tego powąchasz, sam wrócisz tam, skąd cię przyniosło. Trzymajcie się swojej skorupy.

– Dziękuję w imieniu Mechaneurystycznej Kliniki Księżyca.

– No więc? – nadzieja pojawiła się w głosie Stinsona.

– Zostanę.

Stinson wzruszył ramionami.

– Dziękuję w imieniu strategów Enklawy THARSYS – zaśmiał się. – I w imię poległych żołnierzy Armii Endogenicznej.

Szron okrył twarz Megaloxanthy. Wyprostował się i skrzydlatą połą płaszcz zamiótł w powietrzu.

– Powinieneś być widzieć – powiedział zduszonym głosem. – Powinieneś być widzieć, co zostało z tych, którzy spłonęli w atmosferze.

– Wasz wybór – odparł Stinson. – Was nikt nie wzywał. My tu jesteśmy, gdyż musimy.

– Należało odczekać, aż ostatni zarzęzi?

– Masz coś do zaoferowania, coś poza Teorią – proszę. Uświadamiaj. Ta ziemia się uodporniła. Nie zaszkodzi jej jeden zbawiciel więcej.

– Rzecz nie w tym, czy ciebie przekonam. Potrzebna świadomość populacji.

– Więc po co przychodzisz do mnie?

– Od kogoś trzeba zacząć.

Stinson obmiął w fotelu. Nogi wyciągnął daleko, ręce zaplótł na brzuchu i głowę odrzucił wstecz – tłok grdyki chodził mu pod obwisłą skórą, jakby łykał, miast

wdychać powietrze.

Megaloxantha przyglądał mu się uważnie. Sprawiał wrażenie, że potrafi, a przynajmniej próbuje, czytać myśli człowieka. Jedynym pragnieniem tego starzejącego się mężczyzny było, żeby go wreszcie zostawiono w spokoju. Wszyscy – stratedzy Endogenicznej Armii, Bio-Łacza, pacjenci niepotrafiący obejść się bez złudzeń, a przede wszystkim ten tutaj – Jonas Hebrejczyk. Nasłali go tylko po to, żeby złotoustym darem próbował szaleńczą wiarą natchnąć tych, dla których obłąkanie zewsząd stało się codziennością. Po co to wszystko? Wystarczą Bio-Łacza, skrzętni kronikarze, którzy swoją wszechwiedzą dopełniają miary codzienności, nie pozwalają zasklepić się w czterech ścianach. To wszystko nie jest ważne. W systemie archetypów, jakie im jeszcze pozostały, niewiele jest tego, na co miałby ochotę mężczyzna taki, jak on. Jedna pastylka na język i zwilżyć na podniebieniu. Przytrzymać tak długo, aż pęknie koloidowa łupina. Piekielny ogień w trzewiach. Żar na powrót potrafiący uelastycznić zwapniałe tętnice, uderzający do głowy – może zdolny naprężyć to, czego naprawdę nie zdołała ożywić Ellen. Co znaczy kilkanaście czy kilkadziesiąt lat na wspólnym postronku, jeśli tak chwyta za gardło, że już bez siebie kroku niepodobna postąpić. Jedna ampułka.

Tylko skąd wziąć chwilę spokoju i samotności. Realność nachalnie ścieka w oczy. Z nią cień Selenity. Znieruchomiał. Nie czuje się zbyt pewnie w pułapce czterech ścian, szklanej podłogi i zwierciadła sufitu. Przede wszystkim mocno go musiało ułapić atmosferyczne ciśnienie.

– Szkoda zachodu – odezwał się Stinson. – Po części znam twoją wizję Ostatniej Bitwy.

– Nie przybyłem tutaj dla własnej przyjemności – spokojnie odparł Jonas Hebrejczyk. – Również nie po to, żeby się narzucać tobie podobnym. Wiem, że jesteś zmęczony. Chciałbyś odpocząć. Tylko... jak tu zasnąć. Prawda? Sam wiesz to najlepiej. Dlatego tak cię męczy – nie brak wytchnienia, ale bezradność. Bo jak zasnąć, jak pozwolić sobie na relaks, kiedy okręt trzeszczy w szwach...

– A szczury uciekły na Księżyc – dokończył Stinson.

Coś na nowo zmroziło twarz błękitnego Megaloxanthy. Stinson wyobraził sobie, że jego azyl nawiedziła niezwykle piękności kobieta. Tylko na niego patrzy ze wzgardą. Trudno się dziwić. Jesteś tylko człowiekiem. Starzejący się mężczyzna, który i tak nie doceni uczuć nieco wznioślejszych. Jak zawsze będzie mu obcy Eros odwrotnej strony Księżycy.

I vice versa.

Spod przymrużonych powiek przyglądał się Jonasowi. Ktoś taki powinien się trzymać stąd daleko. Zawsze będzie mu bliższa bezpowietrzna równina wokół Krateru, w którym ciężkie porodowe bóle Kliniki-Matki sprzyjały jego poczęciu.

Zgodnie z posłaniem proroków Mechaneurystyki. Widmo Megaloxanthy nad księżycową pustynią. Ten tutaj swą doczesność złożył w katakumby atmosferycznego ciśnienia. Teraz nie zauważa jeszcze, jak coraz ciaśniej spowijają go pajęczne pęta. Organizm broni się, wysnuwa przezroczystą przędzę, próbuje otorbić larwę ochronnym pokrowcem. Aż się cały napiął. Wysoki. Na szczudłach nóg, niby skoki świerszcza. Ramiona rozłożył na boki. Zmętniały skrzydła rozpięte w trójkącie – nadgarstki, kostki nóg, biodra. Rozchyliły dwie fałdy niby płęć ogromna, granatowa, liliowiejąca na brzegach, z głową różową w punkcie upływu podskórnego światła. Oczy nie mniej mgielne. Plecami wsparł się o ścianę i tak trwał – sparaliżowany, bardziej siny, niż kiedy się zjawił prosto ze sterylizacyjnej kąpieli.

Stinson poczuł, jak mu wilgotnieją dłonie. Chciał powiedzieć temu amantowi Seleny, żeby przestał robić z siebie durnia – tylko zagryzł język.

Tamten tymczasem złamał się we dwoje i nagle odpadł od ściany. Powoli, jak pozbawiona ciężaru wydumuszka ze sztucznego tworzywa, płynął w powietrzu – twarzą do podłogi. Martwy. Martwy – gdyby to był człowiek. Suchym werblem jego członki zagrały na posadzce, zatrzeszczały ostrogranne fałdy pokrowca – jakby mniej elastyczne, prawie nieprzezroczyste.

Stinson zerwał się z tłumionym okrzykiem.

Spróbował pochwycić bodaj głowę, żeby nie rozbiła skroni o podłogę. Jego ręce przeszły na wylot przez aureolę świetlną. Megaloxantha czołobitnie pokłonił się ziemi i tak pozostał rozpostarty, jednocześnie pusty i przyszpilony ciężeniem.

Stinson jak zauroczony opuścił się na kolana. Bezwładne ciało przewrócił na wznak. Tyle potrafił. Potem głowę Megaloxanthy oparł na swoim udzie. Byłby przysiągł, że to ciało jest martwe i chłodne zupełnie. A przecież resztę życia skoncentrowało w twarzy – poza pustymi oczami. Tylko wargi drżały. Błękitne płatki rozchylały się i domykały szczelnie, przez moment różowiały ostrą blizną i znów rozchylały się bezszelestnie. Jakby nie istniały dźwięki zdolne przenieść w realność to, co się dokonywało w głębi.

Stinson pochylił głowę i przyłożył ucho do płaskiej, niebieskim puchem okrytej piersi. Usłyszał tylko szum. Jakby chciał podsłuchać intymność pustej muszli. Przecież tego nawet nie wiedział, czy kiedykolwiek zawitał tam oddech potrzebny do życia człekokształtnego chrząszcza. Klęczał nad nim i nic nie rozumiał. A kiedy do reszty zwątpił, czy potrafi tu pomóc – gdzieś, w tej piersi mieszczącej próżnię głęboką jak kosmiczna przestrzeń – usłyszał szept niepotrzebujący wydechu. Już nie szept, lecz równy, spokojny głos.

Dźwięk zawiązywał się w każdym atomie tego martwego ciała, przenikał chrupki pokrowiec i budził rezonans w czole samego Stinsona. Już przeniknął mózg i paraliżował pochylony kark. Kurczem zwierzał dłonie.

Stinson szarpnął się, na ile mu pozostało władzy nad własnym ciałem. Zgrabiętymi rękoma odepchnął głowę spoczywającą na kolanach. Sucho stuknęła o posadzkę.

Teraz dopiero zrozumiał, że nie istnieje żaden DUCH, żaden GŁOS wszechogarniający, obecny na równi w widmie światła jak w elektromechanicznym rezonansie materii. To tylko wargi Megaloxanthy poruszały się w martwej twarzy, artykułowały głos pozbawiony emocji, tak naprawdę nieistniejący, gdyż bezduszość nie zawiera jakichkolwiek znaczeń.

Słuchał więc z coraz większą obojętnością. Ten głos naprawdę nic nie znaczył, chociaż przez usta Megaloxanthy formułował znaczące słowa:

– ... LEDWIE POJMUJĘ DZISIAJ TEN LĘK, KTÓRY MNIE TRAWI DOGŁĘBNI, JAKBYM TERAZ DOPIERO DOCENIŁ – U SCHYŁKU ISTNIENIA – CIELESNOŚĆ MOJĄ, ZOARIUM MISTYCZNE, KTÓRE PODOBNO JAWI SIĘ PONAD SFERĄ MYŚLENIA – W TAJEMNICY PRAWDZIWEJ WNEŹRZA NIE TYLKO MOJEGO...

## 4. LAZARET

Niebo znów było bliskie, gęsto nabijane srebrnymi ćwiekami. Poza błękitem i chmurną pleśnią skrzydła rozwijały się lekko. Bezszelestne w próżni, swobodnie oddychały słoneczną energią.

Kres jego pielgrzymki.

Głazy spiętrzone coraz wyżej. Monolitycznym murem wybrzuszone przedpiersie Krateru. Za wypukłość horyzontu odstąpiła Klinika–Matka. Ledwie zachował w sobie ciepło pocałunku, jakim ogarnęła go na odchodne.

Czas Wtajemniczenia.

Krater Mądrości.

Łyk Prehistorii.

Skalne rumowisko dokonało roszady megalitycznych płyt. Głazy spiętrzone w coraz to większym porządku. Gładka szachownica. Z precyzyjnie ociosanych brył wzniesiony wysoko mur. Ostatnia Twierdza Pamięci. Resztę skruszyły żarna mrozu i słonecznej gorączki. Odtąd twarz Seleny pokryła kostropatość pustych kraterów – osypiska obronnych murów z resztką najwyższej baszty w centrum. Tylko w jednym cyrkule czas oszczędził świątynię wzniesioną przed miliardem lat.

Oszczędził czas albo własną piersią osłonił Ostatni Szern.

W jedynym miejscu, kędy można podejść do Twierdzy Pamięci, drogę przegradza jego ogromny tułów. Skamieniały albo wyrzeźbiony w kamieniu. Twarz zmiażdżył mu pewnie bolid, którego wędrowce przez kosmiczną przestrzeń oparło się jego czoło. Dzisiaj niepodobna dopatrzeć się rysów twarzy w gigantycznej głowie, rozłupanej od skroni po gardło schodzące w głąb ziemi. Tylko jego tułów nadal wspiera się na dwóch kamiennych tarczach, niby skrzydłach rozwiniętych po bokach księżycowego sfinksa. Ich czary skierowane w tę stronę, skąd do Źródła Prehistorii zmierzają pątnicy Kliniki Mechaneurystycznej. Zaufaj im, skrzydlatym dłoniom. Już zagarniają cię w przepastną ciemnię. Odebrano Mu wszelkie zmysły. Może był to meteor – pewnie metaliczne wiertło, wystrzelone spod gazowego pokrowca Ziemi, wydlubało oczy, zmiażdżyło nos i uszy, zaklinowało język. A przecież – słyszysz Go. Raz jeden w życiu znajdujesz w sobie Jego głos, kiedy u kresu wędrówki, w Czas Inicjacji, przykłęskasz na progu Ostatniej Twierdzy. Tylko On przeniesie cię do wnętrza. Sprawia to Jego kamienne dłonie – skrzydła.

Najpierw daj dowód, że jesteś wart dostąpić Wtajemniczenia.

Słuchaj uważnie.

Jego głos znajdujesz w sobie samym, jak oddech głązów rozpalonych w słońcu, od gwiazd stygnących:

„Co to za istota, która o świcie pleni się w Nicości, w południe znajduje Jedność, o zmierzchu smakuje Wolność, żeby poza czasem dostąpić Wieczności?”

Odpowiedź znajdzie tylko ten, kto urodził się w krainie pozbawionej – bez Wtajemniczenia – na równi Prawdy jak Powietrza.

Więc odpowiedz szeptem:

*„W zaraniu wszelkie Zwierzę pleni się w Nicości, Albowiem dopiero Świadomość wynosi nad Zwierzęcość. W południe Człowiek objawia się Osobowością. I on jednak, w sobie tworzący Jedność, nie wolny jest od Społeczeństwa...”*

W zupełnej ciszy trwasz na granicy dnia i nocy. Martwą obręczą ogarnęły cię kamienne skrzydła – od nich uczysz się Dumy:

*„Nie jest więc Człowiek ostatnim szczeblem Ewolucji. Jej zmierzch dopiero stanowi epokę Megaloxanthy, pierwszej istoty godnej zasmakować Wolności, w zgodzie z własnym sumieniem i wobec własnego narodu...”*

Zanim dostąpisz Wtajemniczenia musisz się jeszcze nauczyć Pokory:

*„Dopiero jednak Postać Szerna, przed wszystkim, co żyje, czuje i myśli, objawia tajemnicę Wieczności”.*

Jakby zatrzepotały skrzydła, które wyzbyły się nagle kamiennego bezwładu. Jednocześnie ogarnęły go mocniej i uniosły w bezpowietrzną przestrzeń. Wyżej. A tam w megalitycznym pąku zawiązuje się Świątynia Szernów, eksploduje żywą rozetą witraży. W każdym ułamku barwny pejzaż. Wszystkie przenikliwe dla wzroku. Pod nimi warstwa kolejna. Coraz większy obłęd musujących światów. Wirują pęcherzyki przestrzeni otoczonych świetlnym nabłonkiem: Już spieniona Jasność wznosi się nad krawędź Krateru – przytknij do warg! Spragniony swojej Prehistorii, łaknący ostatecznego w nią Wtajemniczenia – otwórz oczy, uszy, nos, język i ręce. Obnaż płeć – jej też nie poskapi! Łyk Wieczności! Dla smaku! Żebyś zapragnął jeszcze więcej! Żeby starczyło na tę drogę, po której odtąd będziesz kroczył aż do Postaci Szerna.

Zaczerpnij ze Źródła, zanim ogarnie cię Ocean...

Jakby go elektryczność przeniknęła na wylot. Wzdrygnął się. W piersi trzepot, jakiego przedtem nie było. Zachłysnął się kolejnym spazmem. Otworzył oczy – tylko ciemność widział.

Szarpnął się i – przejrzał.

Nad nim blada twarz. Podkrążone oczy i zarost na podbródku jakoś bardziej srebrzysty. Stinson? Chwilę się nad nim pochylał jeszcze. Raptem odsunął się. Tylko w twarzy złość jakby – że nie zdechł. Cień przepadł z pola widzenia.

Jonas spróbował zrozumieć, co się z nim dzieje.

Spozywał na wznak. Wygodnie. Mógłby tak leżeć dzień, dwa – we wszystkich członkach czuł dziwny bezwład. Ciało było podporządkowane niezwykłemu ciężeniu.

Spróbował unieść się na łokciu.



– Leż spokojnie – usłyszał. – Jeszcze trochę.

– Co ze mną? – zapytał.

– Nie znamy się tutaj na waszej medycynie, czy jak jej... mechaneurystyce – głos miękki, dokładnie taki, żeby go słuchać i poddać mu się bez zastrzeżeń. – Wybacz, jeśli robimy coś nie jak trzeba. A właściwie... nie robimy niczego.

– Gdzie jestem?

– Polowy oddział Kliniki – tak bezgranicznie spokojnym głosem może mówić lekarz na co dzień obcujący ze śmiercią, pomyślał Jonas. – Między nami mówiąc Stinson pozbył się ciebie z Kliniki na oddział polowy. Jesteś prawie na Pierwszej Linii.

– U was tu zawsze nowy pobór puszcza się na pierwszy ogień?

Ten ktoś, jeszcze niewidzialny, roześmiał się swobodnie.

– Każdy model społeczny zakłada taktykę armatniego mięsa – powiedział. – Mamy jednak nadzieję, że wyjdiesz z tego. Potrzebujesz czegoś?

– Nie sędzę. Co ze mną było?

– Nie pamiętasz?

Zastanowił się. Pamięć przywoływała tylko senną wizję. W niej łagodzący lęki, księżycowy pejzaż i kres wędrówki w Czas Inicjacji. Cel pierwszej pielgrzymki każdego Megaloxanthu. Kiedy opuszczasz łono Kliniki–Matki, trwasz jeszcze w somnambulicznym transie; więc dążysz do Źródła, żeby w nim ocknąć się wreszcie. Jakby narodziny ciała rozeszły się w czasie z poczęciem Jaźni, które spełnia się dopiero u stóp kamiennego Szerna.

– Nic, co by usprawiedliwiało... – zaczął. – Stinson był ze mną?

– Cały czas.

– Jak długo to trwało?

– Może godzinę. Byliśmy pewni, że umarłeś. Z wami tak zawsze?

– Nie sędzę.

– Co dopiero my – głos zawahał się. – Mógłbyś opisać, jak u was wygląda śmierć?

Jonas poruszył się znowu. Powoli wracała mu wiara we wszechmoc mechaneurystyki. Był pewien, że może spokojnie podnieść głowę i przyjrzeć się temu człowiekowi, który przejawiał przychylność obcą Stinsonowi. Lecz słuch bywa omylny. Czasami lepiej trzymać oczy zamknięte jak najdłużej.

Niech będzie więc tylko Głos.

– Pilnujmy się nawzajem – zażartował. – Może będę miał przyjemność zademonstrować. A może i ja czegoś się nauczę.

– Nigdy nie widziałeś umierającego człowieka? – usłyszał.

– Nie miałem szczęścia.

– Masz zamiar dłużej zabawić w THARSYS?

– Tak sędzę.

– W takim razie opuścisz nas z całą pewnością w pełni uszczęśliwiony. Albo i nie.

– Trudno.

– Albo i nie opuścisz – sprecyzował Głos. – To najbardziej prawdopodobne. Stinson mówił, że wysłano cię tutaj w specjalnej misji. Niepotrzebnie. Tu się niczego nie zmieni.

– Ty również nie wierzysz?

– Ja? Bardziej niż Stinson.

Jonas rozluźnił ciało. Miał nadzieję, że można będzie porozmawiać z tym człowiekiem. Uczciwie. Od kogoś trzeba zacząć. Jeśli się nie otwiera oczu – trzeba przynajmniej poczekać. Potem Okazuje się, że nie warto.

– Co jeszcze mówił Stinson?

– Podobno mówiłeś przez sen.

– Ja? – ta wiadomość rozbawiła Jonasa. – Jakieś intymne zeznania?

– O tym z nim porozmawiaj – niespodziewanie oschle zareagował Głos. – Mogę ci powiedzieć tylko to, co wiem. Masz szczęście. Piekielne szczęście. Gdyby byli przy tobie inni ludzie... Sądząc z twojego zachowania nie zostawiliby ci szansy.

– Na co?

– Żebyśmy teraz mogli ze sobą porozmawiać. Chociażby.

– Chcieliście to zrobić? – Jonas zdziwił się szczerze.

– Każda rzeczywistość tworzy własne reguły gry. Między nami zawsze musisz się liczyć z tą ewentualnością. Zostałeś dokładnie prześwietlony. Co i tak niewiele znaczy... gdybyś nie był Selenitą. Każdy tubylec poszedłby na rozwałkę. Wystarczająco długo przebywał też z tobą Stinson.

– A ty?

– O! – głos zdradził rozbawienie. – Przywykłem stąpać wyłącznie po pewnym gruncie.

– Wy to... serio?

– Mówiłem, odesłano cię do lazaretu. Stinson zadbał o separatkę, ale za ścianami spoczywają ci naprawdę bez szans. Są nawet z Pierwszej Linii. Szczególne przypadki. Łagodnie mówiąc: curiosa. Resztę duszyczek Endogeniczna sama ekspediuje gdzie trzeba. To nie szpital. Tak naprawdę to bardziej polowe laboratorium.

– Co ja tutaj robię? – zapytał Jonas. – Jeszcze są jakieś wątpliwości?

– Stinson twierdzi, chociaż zupełnie pewien nie jest, że wyglądałeś nieco inaczej, kiedy zobaczył cię po raz pierwszy.

– Świetny pomysł – roześmiał się Jonas.

Uniósł ramię i przed twarzą zawiesił rozpostartą dłoń. Te same długie, przezroczyste palce pokryte błękitnym nabłonkiem. Czuł na sobie uważne spojrzenie tego człowieka, z którym jeszcze nie spotkał się wzrokiem.

Jednocześnie przeniknął go dziwny chłód.

I nagle poczuł się bezradny, jakby brakowało samego ciężenia i ktoś jeszcze ciężkim butem nastąpił mu na pierś.

– Nie rozumiem – powiedział spokojnie. – Przynajmniej od strony manualnej wyglądam mało rewelacyjnie.

– Też tak myślałem – potwierdził Głos. – Tym niemniej odpoczynek każdemu się przyda. Jeśli nie masz nic przeciw temu, na pewien czas zostawię cię samego.

Jonas podparł się łokciem, a następnie usiadł na łóżku.

Za jego rozmówcą już zamykał się owalny właz. Zdążył pochwycić tylko cień niezbyt szerokich ramion. Drzwi przycięły błękitne światło. Przez moment wydawało mu się, że ten ktoś, odchodząc tak niespodziewanie, coś jednak zostawił po sobie – ślad na posadzce. Jeden czy dwa odciski stopy przed progiem zamkniętych teraz drzwi. Czerwone, świetliste plamy, jakby rozpalone podeszwy część żaru w tych miejscach oddały posadzce.

Odruchowo przymknął oczy.

Ten sam czerwony trop.

Kiedy znów spojrzał przed siebie wszystko wydało mu się złudzeniem. Spróbował wzrokiem przebić bielmo ścian. Jakby w parnej, aż lepkiej atmosferze zmysły Megaloxanthy przytępiły się nieco. Dostrzegł tylko mętny zarys ogromnej hali. W niej rzędy kloszy zrośniętych z posadzką, oplecionych korzeniami przepuszczającymi światło. Każdy pęcherz zdawał się zawierać cień jakiś, niby ludzki, ale mniej kształtny, rozpełzły w mlecznej zawieszynie wypełniającej porcelanowe wanny.

Wzdrygnął się i wrócił do własnego ciała.

Jednego był pewien – czuł się dobrze. A nawet – odkrywał rezerwy siły, jakiej nie przewidywał i nie miał okazji wypróbować dotąd.

Tylko dłonie – tym razem prześlizgnął się wzrokiem po wierzchu ręki.

Zmatowiały błękit zostawił pod sobą ledwie zarys ścięgien. Zrobiłeś się gruboskórny – pomyślał – jak oni wszyscy. Niespodziewanie ta myśl przyprawiła go o dobry humor. Wtedy zwrócił uwagę na miedziane bransolety, zwykle luźno obracające się na nadgarstkach. Był pewien, że już ich nie zdejmie.

Jeszcze przyjrzał się piersi. Fałdy skrzydeł przyłgnęły do żeber, owinęły ramiona i nogi, nawet płeć okryły różowiejącą małżowiną. Przepadła przejrzystość i chrupkość tej nieśmiałej próby ukształtowania Postaci Szerna w modelarniach Mechatnurystrycznej Kliniki. Został elastyczny futerał – wokół bioder schodził się

białym, żywym szwem.

Coś go jeszcze trzymało za bio–mechaniczne serce, kiedy otworzyły się drzwi, jakby ktoś jeszcze zechciał złożyć mu tę ostatnią wizytę, nim wieko trumny zatrzaśnie się nad kolejnym pacjentem lazaretu tuż przy Pierwszej Linii, albo własne skrzydła zawiążą mu na gardle twardniejącą pętlę.

## 5 KOSTROPIAN – PURCHAWICA

Jonas był w sporym kłopotcie próbując ustalić, dlaczego ten człowiek wydał mu się najdziwniejszym z ludzi, jakich dotychczas poznał. Więcej – jakich potrafił wyobrazić sobie.

Twarzy nie sposób było określić. Zupełnie, jakby nadal pozostawał z zamkniętymi oczami, zdając się na słuch. Absolutne NIC. Czasami nie ma znaczenia pigmentacja skóry, kolor oczu i włosów, wydatność nosa, krój podbródka czy rysunek warg – ważne, żeby ich związek sugerował konkretny charakter. Tym razem – nic. I trudno to złożyć na karb szczątkowego znawstwa fizjonomiki, obcej Megaloxanthom; nawet tym nie był ów człowiek charakterystyczny – brakiem indywidualnych znamion. Wystarczyło stracić go na moment z pola widzenia, żeby z jednakowym samozaparciem przyprowadzić mu krucze brwi, ryże bokobrody, zielone oczy i szafirowe zęby.

Mężczyzna nie przedstawiał się. Nie podawał ręki. Zachowywał się tak, jakby byli dobrymi przyjaciółmi. Po prostu postawił na podłodze długą, czarną torbę do noszenia na ramieniu, przysiadł na skraju łóżka i uśmiechnął się do Jonasa. I kiedy odezwał się, Jonas nie mógł zaręczyć głową, że jest to czy też nie, ten sam głos, który przemówił do niego kiedy ocknął się ze swojego snu.

– Jak się zorientowałem profesor Stinson był plenipotentem Enklawy THARSYS aranżującym twoją tutaj wizytę? – zapytał mężczyzna.

– Nie sędzę – odparł Jonas. – Podejrzewam, że skierowano mnie tutaj nawet wbrew jego sugestiom. Kwestię desantu rozpatrywano globalnie, bez konsultacji ze sztabami poszczególnych Enklaw.

– Jakimi kanałami?

– Jeśli globalnie, to sprawę załatwiła bezpośrednia umowa Mechaneurystycznej Kliniki–Matki z Systemem Informatycznym koordynującym współdziałanie wszystkich Enklaw.

– Wszystkich?

– Nie wiem ile wam zostało.

– Desant bez rozpoznania? Jesteś więc obserwatorem z ramienia Kliniki Księżycy?

– Obserwatorem? – zdziwił się Jonas.

– Trzymając się wyłącznie takiej interpretacji możemy wam zagwarantować minimum swobody działania.

Mężczyzna ubrany był w szaroniebieski kombinezon ze spodniami wpuszczonymi w czarne buty do pół łydki. Cywilna mimikra munduru, pomyślał

Jonas. Nie trzeba naszywek Endogenicznej Armii, żeby się czuć jak na przesłuchaniu.

– W obecnej sytuacji to wszystko, co możemy zaproponować – uzupełnił mężczyzna. – Sytuacja na Pierwszej Linii zmusiła dowództwo Endogenicznej do zwrócenia baczniejszej uwagi również na zaplecze frontu.

– Nie rozumiem – stwierdził Jonas. – Jestem komandosem Samodzielnej Jednostki Endoskopijnej. Spełniam założenia taktyczne ustalone z Kliniką Mechaneurystyczną Księżyca. Ich podstawą jest swoboda działania od chwili desantu. Coś uległo zmianie?

– Nie wiem – mężczyzna wzruszył ramionami.

– Brak zaufania?

– Założmy.

– Z równym powodzeniem ja mogę dopuścić, że i wy macie coś wspólnego z tym, tam... – machnął ręką.

– Dlaczego nie? – nieoczekiwanie zgodził się mężczyzna. – W naszej sytuacji należy uwzględnić wszystkie ewentualności.

– Jestem Megaloxanthą – powiedział Jonas.

– A ja człowiekiem – przyznał mężczyzna.

Zastanawiał się chwilę, nim zapytał:

– Ułatwić wam kontakt z nomadami?

– Nie rozumiem – przyznał Jonas.

– Nie czarujmy się. Trudno uwierzyć, że oczekiwał was wyłącznie Stinson.

– Chętnie porozmawiam z każdym, z kim ma to jakiś sens. Nawet, jeśli zacnie mnie przekonywać do teorii Inwazji.

– Macie coś przeciw strategii Armii? – zainteresował się mężczyzna.

– Jeśli i tak, zainteresuje to bardziej profesora Stinsona.

– Jednak Stinson – w zamyśleniu powiedział mężczyzna. – Możecie dostarczyć nam jakieś nowe dane o Enklawie TABOR?

– Nie.

– I jesteście Megaloxanthą? Komandosem, którego wyprodukowała Klinika Księżyca? Któryś z was i tam trafił, a wy mi wmawiacie, że nie zostaliście zorientowani w sytuacji sąsiednich punktów zrzutu.

– Ja i moi bracia przyszliśmy na świat dzięki Klinice–Matce – podkreślił Jonas.

– Rzeczywiście znacząca różnica – trudno było wyczuć ironię w tym stwierdzeniu nieznanego. – A co z rozbijającym brakiem rozpoznania?

– Po dokonaniu desantu mieliście nam ułatwić nawiązanie łączności za pomocą systemu CETI. Jestem już spóźniony, ale podejrzewam, że innym też nie jest łatwo się pozbierać. Poza tym wątpię, aby wielu z nas ocalało. Prawdopodobieństwo więc trafienia do tej waszej, jak jej, Enklawy...?

– Wynika z tego, że interesuje was również Moduł CETI – mężczyzna zignorował pytanie Jonasa. – Zobaczymy, co da się zrobić. Co jeszcze. Aha, nazywacie się...?

Teraz dopiero Jonas zorientował się, że nie wiadomo kiedy przyjął od nieznajomego zasadę zwracania się do siebie nawzajem w liczbie mnogiej. Miał wrażenie, że opuścił moment, kiedy rozmowa straciła charakter prywatnej pogawędki.

– Jonas Hebrejczyk – przedstawił się, chociaż nieznajomy nie sprawiał wrażenia niedoinformowanego.

– Miło mi – mężczyzna nie wydawał się skory do rewanżu. – Potraficie poradzić, w jaki sposób możemy to sprawdzić?

Jonas z rozbawieniem przyjrzał się jego twarzy pozbawionej wyrazu.

– Przecież... to widać – powiedział. – Różnimy się nieco.

– Kiedy pobędziecie tutaj dłużej, sami przyznacie, że czasami najmniejsze znaczenie mają różnice. Poza tym dopatrzycie się nie takich dysonansów.

– Nie wiem, co przez to rozumiesz? – Jonas mimowolnie zaczynał się irytować. – Jeśli ci nie wystarczy moje słowo zasięgnij... czy zasięgnijcie informacji w Systemie Informatycznym.

– W tym sęk...

Niespodziewanie mężczyzna roześmiał się promieniście.

– Nie można się bez tego obejść? – zapytał. – Rozumiecie, mamy pewne kłopoty...

– Wy, to znaczy kto? – przerwał mu Jonas.

– Dla was to nie ma znaczenia. Natomiast dla waszego dobra...

Mężczyzna sprawiał wrażenie nagle zupełnie nieobecnego myślami. Zmarszczył nawet brwi i chwilę siedział zasłuchany w siebie.

– Czy od chwili waszego... – zawahał się. – Od czasu przybycia do Enklawy THARSYS, kontaktowaliście się z Bio-Łączem Informatycznego Systemu?

– Nie – odparł Jonas.

– Życzę wam z całego serca, żeby to było prawdą – powiedział mężczyzna.

Nagle, niezbyt pewnym spojrzeniem ogarnął pokój.

Jakby zupełnie zapomniał o celu swojej misji. Na bok odłożył pociąganie za język Megaloxanthy. Po prostu siedział na skraju łóżka, w nogach Jonasa, siedział i nasłuchiwał. Jonas pomyślał, że jednak on pierwszy musiałby coś usłyszeć, gdyby masywne ściany potrafiły przepuścić odgłosy z Pierwszej Linii, gdzie giną żołnierze Endogenicznej.

Nieznajomy poderwał się niespodziewanie. Postąpił krok w kierunku drzwi. Dopiero wtedy ocknął się. Szybko podniósł torbę i przewiesił przez ramię. Potem z góry popatrzył na Megaloxanthę.

Uśmiechnął się bez wyrazu.

– Przepraszam – powiedział.

Drzwi bezszelestnie zamknęły się za nim.

Niewiele sensu miała ta rozmowa, w duchu stwierdził Jonas. Jeszcze bezsensowniej wyglądało jej zakończenie.

Poruszył się, szukając wygodniejszej pozycji. Leżał na wznak. Zauważył, że coraz łatwiej znosi tutejsze ciążenie. Kwestia przyzwyczajenia. Mechaneurystyka zostawia w przedbiegach nawet tych, którzy do silnej grawitacji przywykli od czworonożnego pokolenia.

Na razie wygodnie było jednak leżeć tak i ciałem chłonać bladą poświatę stropu. Jakby i tutaj docierał scalający oddech Seleny. To światło było jednak martwe – ani spokoju, ani pieśczoćy, ani energii. Ciągłe też dręczyła go ta sama myśl. Może mieli sposób, żeby go obserwować, zwodząc zarazem jego zmysły – uniósł jednak rękę.

W tej chwili przypomniał sobie.

Gwałtownie poderwał się na łóżku. Spojrzał ku dołowi zamkniętych drzwi, przed próg. Spóźnił się. Albo i nie.

Opadł z powrotem.

Mógł spokojnie położyć rękę na własnej piersi. Jeszcze niedawno srebrne żebra pokryła miękka, pluszowa skóra. Elastycznie poddawała się pieśczoćy palców. Przesunął dłoń na brzuch – nie w pełni stwardniała, żółwia skorupa. Niżej pełną garścią nakrył płeć i też jej nie poznał. Mniej wiotka niż się spodziewał. Poszukał palcami szczeliny między tęgoskórnymi fałdami skrzydeł – ostatni przesmyk, gdzie można się wślizgnąć z zewnątrz i utwierdzić w tym, że jest się sobą.

Nic nie rozumiał. Coś takiego zdarzyć się nie mogło. A przynajmniej nie powinno. Selena nigdy swoich kochanków bez reszty nie odda innej ziemi. Cóż zresztą możemy o tym wiedzieć, pomyślał Jonas. To bardziej sprawa wiary. Stworzeni dla bezpowietrznej przestrzeni księżycowych równin, cóż możemy wiedzieć, jakiej postaci przypisują nasze istnienie ciążenia innych planet, wiatry gotowe szarpać skrzydła – dalekie do spełnienia postaci Szerna; co z nas uczyni deszcz nawilżający jedwabistą skórę, aż zapleśnieje i jak tych, którzy już tkwią tu po uszy, obleśną pieśczoćą przyjmie lokalne pandemonium. Innymi słowy – kloaka. Środowisko kształtuje postać. Nawet, jeśli byłeś dotąd niepokalanym Megaloxantha. Ich tutaj też chwyciło za gardło, a przecież pozostali ludźmi. Choćby ten człowiek, który stąd odszedł przed chwilą, miał co do tego wątpliwości. Pozostali ludźmi. Pewnie dlatego, gdyż tak im było pisane – zdychać i odradzać się w nędzy i z pleśni, z grzechu i w gnoju, i z prochu w proch, z bełkotem na ustach i obłędem w oczach. Aż do końca. Każdy z nich ma w sobie czerwia.

Ciebie jednak powiła Klinika Seleny. Teraz składa daninę na ofiarny stos, gdzie jęczą dusze potępione. Po co zjawiłeś się tutaj? By walczyć z nimi ramię w ramię? W



imię nieproszonego i w rzeczy samej niepotrzebnego miłosierdzia? Żyjąc w stadzie, stajesz się częścią stada. Walcząc mieczem, giniesz od miecza. Zesłany w kloakę przeistaczasz się w czerwia. Nie na ludzką – na własną miarę.

Coś w nim jęknęło. Szarpnął ramieniem – trzask! Blachą do blachy zaskoczyły łuski pancerza.

Zerwał się z nieoczekiwaną lekkością.

Już stał sprężony – szklane powieki od czoła osłoniły mu oczy, wrosły w krystaliczny grzbiet nosa i policzki opięte chitynowym zeszkleniem. Jeszcze patrzył na swoje ręce – ogromne dłonie o płaskich, mocnych palcach. Jakby miniona przejrzystość okazała się tylko wiotkimi korzonkami nerwów wrośniętych teraz w monstrualne rękawice. Miedziane obręcze usztywniły nadgarstki. Wystarczy zacisnąć pięść, żeby metaliczne guzy na przegubach palców najeżyły się, jak kastet zrośnięty z kością. Rozłożył i złożył palce obu rąk. Jeszcze go czarowały pięciopromienne szczęki, kiedy ostatecznie zwątpił czy ten lęk, który sprzyja temu otorbieniu się w pancerz, tkwi w nim czy na zewnątrz.

Uniósł głowę. Wzrok stąpił się na pierwszej ścianie. Nic za darmo – zbroja przytępia zmysły. A jednak czuł, że coś się stało i dalej zmienia w otaczającej go przestrzeni. Roztkliwił się tutaj nad sobą samym i nie pamiętał, że mechaneurystyka jego ciała reaguje sprawniej na zagrożenie zewnętrzne, niż świadomość ciągle zbyt ludzka wobec zmysłów Megaloxanthy. Tymczasem coś dojrzywało, potrafił wychwycić dziwne elektromagnetyczne napięcie, jakby wokół niego gęstniał jakiś niematerialny maskon. Piekielną wścieklicą gotowa była zawibrować sama przestrzeń.

Ten człowiek przecież, który tylko co zaszczycił go rozmową o niczym – on też coś poczuł. Nie musiały się za nim zamykać drzwi, żeby sprawił wrażenie nieobecności – coś go spłoszyło dużo wcześniej.

Jonas Hebrejczyk ruszył do drzwi. Niespodziewanie nie stawily oporu. Najwidoczniej lokalna Opatrzność nie zawęzala jego przestrzeni zyciowej do czterech ścian samotnej celi. W korytarzu również nie było nikogo, kto by mu zaproponował powrót do pościeli. W pewnym oddaleniu owal korytarza – tunelu ograniczała masywna tarcza, śluza–gilotyna uniesiona na jakieś cztery metry nad biały próg. Poza tym wylotem panowała ciemność.

Trudno mu było określić, skąd pojawiła się w nim pewność, że powinien stąd wyjść. Natychmiast. Nawet postąpił krok w stronę prawdopodobnego wyjścia – czerwona pręga na ścianie znaczyła tam kierunek ewakuacji lazaretu. Z przeciwnej strony, kiedy obejrzał się przez ramię, korytarz łukiem odchodził w bok. Ciemniało tam kilka włazów bliskich rozmiarem do tego, który zatrzasnął się za jego plecami. Od strony wyjścia znajdował się tylko jeden krąg, o trzykrotnie większej średnicy,

hermetycznie wpasowany w biały kołnierz.

Korciło go, żeby tam zajrzeć. Jeszcze wzrokiem Megaloxanthy dojrzał tam gigantyczną halę.

Nie wiedział, na co mu to potrzebne. Chciał ich zobaczyć. Po raz pierwszy własnymi oczami. Oczywiście można się było wycofać, potem przycisnąć Stinsona albo wezwać jakieś Bio-Łącze, żeby mu udostępniło obraz kontrolnej kamery zawieszanej nad dowolnie wybranym katafalkiem. Czasami, żeby coś zrozumieć, nie wystarczą oczy. Trzeba przynajmniej móc wyciągnąć rękę i dotknąć wskazującym palcem.

Jakby niewidzialne fotokomórki odczytały decyzję w jego oczach – drzwi uniosły się same. Powodowany bardziej hipnotycznym nakazem niż własną wolą, postąpił do przodu. Ceramiczny próg. Aseptyczna biel wchłania krwawy ropień. Ledwie ślad szpitalnego zapachu. Po raz pierwszy zrozumiał, co znaczy brak płuc. Mógłby głęboko wciągnąć powietrze, przetrzymać w sobie – cokolwiek niosło ze sobą w pozornej przejrzystości. Niech się zagnieździ. Na tym polega prawdziwy smak oddechu, obcy istotom przywykłym węszyć najwyżej woń kamiennego próchna, jaką paruje księżycowy pumeks.

Zafascynowany patrzył przed siebie. Wzrok sondował perspektywę hali wysokiej na kilkanaście metrów. Środkiem prowadził pomost, szarością niewiele różniący się od reszty posadzki, za to bez widocznego wsparcia, zawieszony pół metra nad ziemią. Po jego obu stronach podwójne rzędy porcelanowych postumentów. Każdy nakryty przezroczystym kloszem.

Wewnątrz – nie zawiodły go zmysły – leżeli nadzy, bladokórzy w świetle zmartwiałym pod wysokim stropem. Pomyślał, że pierwszy raz widzi ich nagość. Nie w poglądowych projekcjach Uniwersytetu Seleny, już poza inkubatorem Kliniki-Matki, lecz takich właśnie – żywych i nagich, choćby bezwładnie spoczywających pod szklanym wiekiem. Od szczytu każdego klosza rozwijały się nitki szklanych rurek, niby światłowody – jeden tłoczący wodnistą różowość, drugi odsączający żółć, trzeci musujący pęcherzykami powietrza, kilka splecionych w czarny warkocz. Od czasu do czasu pod hermetyczny kołpak trzeba wpompować noc – ciemność zatapiającą światło, żeby poza nim zaległy się senne widziadła. Najlepiej umierać we śnie. Czymś trzeba przed zgonem nagrodzić tę grzędę półtrupów zasadzonych starannie, pilnie obserwowanych wytrzeszczeni kamer, oplecionych reanimacyjną aparaturą, z czujnikami niby woskowe labia, wetkniętymi pod pachy, w usta i w odbył, wduszonymi w świeże blizny na wysokości żeber, przyłożonymi do starannie wygolonych skroni. Trzeba dopełniać Informatyczny System, może wreszcie postawi trafną diagnozę – jeśli zostanie ktoś chętny, zrobić z tego użytek. Każdy nosi w sobie posiew zmierzchu. Kamery zbierają plon.

Nie wiedział kiedy wstąpił na lekko wyniesiony pomost.

Po prawej spoczywał ktoś długi, ledwie mieszczący się pod standardowym kloszem. Prawie biały. Nieruchomy. Tylko olbrzymie, szare stopy o fioletowej podeszwie wparły się w wybrzuszoną szybę. Obok równie bezwładny tors mężczyzny. Półprzeźroczysty i wiotki. Tylko brzuch wzdęty. Idealna kula. Na pozór twarda, od wewnątrz jakby podświetlona. Skóra napięta do tego stopnia, aż się wygładza w pozbawiona fałd, nawet zmarszczek, membranę. Tylko od krocza pleni się nieco rudawej sierści i niespodziewanie wysoko, na wzdętym brzuchu sterczy bładny wyrostek – jak reszta ciała wiotki, zmarszczony, z podwieszonym woreczkiem zupełnie pozbawionym treści. Wystarczy uchylić wzrok, żeby pod kolejnym kloszem dostrzec coś bezkształtnego. Tylko żółte rozłazące się blizny obnażają ziarniste sadło – szara ikra. Przez moment dopatrywał się w tym słoniowatego zadu, kiedy coś się przelało na bok, z wierzchu rozłożyła się gigantyczna koncha – małżowina woskowego ucha, poniżej łypnęło w jego stronę ślepie przepełnione bólem.

Aż się zachwiał na krawędzi pomostu. Dalej uciekając wzrokiem przeszył na wylot coś jeszcze – rozpięte w szklanym naczyniu, przykurzone pajęczym oprzędem, siwymi nitkami skołtunionymi wewnątrz, na boki strzelającymi szmacianym i jednocześnie klajstrowatym rozpryskiem.

Chciał się natychmiast wycofać z tych katakumb. Nawet obrócił się wokół osi – do wyjścia. Stał twarzą w twarz naprzeciw człowieka w pełni żywego, a przynajmniej świadomego własnej izolacji. Najpierw to były tylko oczy – ogromne, zachłanne. Niżej błysnęło karminem i fioletem. Zobaczył usta otwarte w niemym krzyku. Ponad suchym językiem można było zajrzeć do samego gardła. We wzdętym słoju krzyk się pewnie zachłysnął niby w zatrzaśniętej muszli. Na zewnątrz żadnego dźwięku; zęby zagryzły szklany knebel. I nic nie poradzi łomot pięści w przezroczystą kryptę. Nikt nie zwróci uwagi, choćby krew poszła z palców i splamiła szybę anemicznymi, ledwie zaróżowionymi kleksami.

Wszyscy się rozpierchli – ktokolwiek ich doglądał tutaj. Tylko ty – Megaloxantha, sam jeden zostałeś na przedpolu Pierwszej Linii.

Tamten człowiek pojął, że go dostrzeżono wreszcie. Jeszcze się skulił. Wargi mu się zlepily i z trudem chwycił nimi powietrze. Ciągle na czworakach, zaczął się wdrapywać na gładką ścianę. Spełzał z niej i znowu uparcie garnał się do stóp Megaloxanthy. Oczami błagał o coś. Niedawno pewnie zerwał szklane pęta. Na dno porcelanowej misy skapnęło parę kropel krwi i coś tam jeszcze zostało – kilka brunatnych okruchów, jakby rwąc elastyczny krwiobieg, zmagając się z iniekcijnym dopełnieniem swojej doczesności, przepełniony bólem i zapamiętaniem, z wysiłku wydusił z siebie kilka porcji zapiekłego stolca. Z oberwanych przewodów dalej kapały fizjologiczne roztwory. On tymczasem – nagi, skurczony coraz bardziej, żebrzący

wzrokiem jednocześnie pełnym nienawiści – rozkazywał oczami: ODWRÓĆ SIĘ! OBEJRZYJ ZA SIEBIE! Jakby dostrzegł tam coś zaczajone, tuż za plecami Megaloxanthy. Raptem poślizgnął się bosymi piętami w śluzowatym łożysku. Runął twarzą do ziemi. Tylko po szybie pociągnął dwie krwawe pięciolinie, jakby sobie wyłamał paznokcie na kryształowej pochylni.

Jonas powolny ostatniemu spojrzeniu tych obłędem ogarniętych oczu, odwrócił się.

Pierwszy kadr – kontynuację znajduje w zawartości kolejnych kloszy.

Przed chwilą patrzył w tę stronę – ślepyimi pewnie oczami.

W najbliższym pęcherzu coś się poruszało dziwnie. Nieludzkie mięsivo materii – zostały w tym ręce, szeroko rozrzucone nogi i w jego stronę wypięty zad.. Aż odchylił głowę, jakby się przeląkł, że znowu przywita go wytrzeszcz ocznej gałki. Ten ktoś leżał jednak twarzą do dna porcelanowej misy. Ręce i nogi pływały miękko bez sprzężenia z kręgosłupem rozpekłym na dwoje. Na gołych plecach, nieco poniżej łopatek, wzdymała się narośl szara, kostropata, przesadną masą przygważdzająca do ziemi resztę tułowia.

Następny kadr. Klosz po brzegi wypełniony monstrualnym obrzmieniem. Z boku podwieszona luźno, przyduszona do ściany kula z oczami zasnutymi bielmem, ledwie poruszająca spierzchłymi wargami. Można było wyczuć potworne ciśnienie, jakim plamiasty bok dogniata ten ludzki relikwiarz do ścian ograniczających ich wspólną przestrzeń życiową. Coś pękło nagle. Bezgłośnie. Tylko błysnęły kościane drzazgi, ze skruszonych łupin wyciekło trochę szarej masy, podkleiło do szyby białe zęby. Obłe cielsko, przepasane szczyrbatym naszyjnikiem pereł, bez reszty dopełniło szklaną konserwę.

Jonas pobiegł wzrokiem dalej po grzbietach garbów wypełnionych już tylko szarością. Ile ich okrywał półmrok? Dziesiątki? Tysiące? Czym dalej – z tym większym napięciem białawe nadzienia napierały na ściany naczyń. Coś tam się działo – ociekające potem, zziąjane napięcie – aż elektryzowało powietrze.

Coś drgnęło wreszcie. Gdzieś daleko rozległ się potężny huk. Równocześnie zaświergotało w powietrzu, szrapnelem smagneło o ściany. Sam poczuł uderzenie w czoło. Aż mu wstecz targnęło głowę. Jeszcze jedna eksplozja. Pisk szklanych rozprysków tnących powietrze. Pękały pierwsze klosze.

Podnosiło się z nich coś potężne, ospałe, jakby w próchnicznym mroku dojrzewał brodawkowy tęgoskór albo monstrualnych rozmiarów czasznica – szarochrowy owocnik pokryty białymi strupami.

Jonas stał sparaliżowany, jakby i nad nim zatrzasnęła się szklana sfera.

Raz jeszcze dźwięcznie strzeliło naczynie. Coraz bliżej. I znowu uniósł się kostropaty garb. Obłe torsy powoli wychodzące z ciemności. Najdalsze jakby

fosforyzowały. Tym razem bardziej przypominało to westchnienie niż eksplozję. Przeciągle UFFFFFF! między wędnącymi wargami. Najdalszy garb zgaśł i oklapł. Jednocześnie chlapnęło o ściany. Jakby ktoś na odlew pociągnął kropidłem – brunatna pryszczycza rozrosła się od stropu korzonkami brudnej wilgoci. Coś się od niego odlepiło. Białe włókna. Cięższy strzęp upadł pod stopy Megaloxanthy. Sprężyny luźnych ściągien i przezroczysta dłoń. Palce poruszały się jeszcze. Jeden spuchł raptem. Za nim drugi i trzeci. Po chwili wszystkie pięć wyglądało jak blade, kostropate kciuki.

Jonas cofnął się. W najbliższym wyjścia kloszu mężczyzna, który przedtem dawał mu rozpaczliwe znaki, niezdarnie gramolił się z porcelanowej wanny. Oczy miał ciągle wybałuszone, utkwione tam, gdzie Jonas lękał się patrzeć. W tych oczach był tylko strach. Nic więcej. Chociaż rękami ułapił się już za własne podbrzusze – całą świadomość zawarł w tym ostatnim spojrzeniu, poza siebie. Za wszelką cenę – na zewnątrz!

Tapnęło znowu, Basowy pomruk odezwał się w kraterach czasznic już rozdartych ciśnieniem. Obłok tam wyniosło czarny – rojny wylęg ziarnistości jakiejś. Momentami zamieszało perlistą kaszę, to znów dym zbierał w siebie kolejne wydechy. Aż się poruszyła w całości skotłowana chmura. Zarazem zakołysało tamto basowe dudnienie, jakby we wnętrzach ciemnego wiru podjęły pracę gigantyczne motory. Jeszcze na niskich obrotach, opornie przełamując bezwładność niewidzialnego zamachowego koła.

Jeszcze jeden dźwięk wtargnął w świadomość Jonasa. Chrapliwy oddech zachłysnął się wizgiem donośnym, jakby głos człowieka przebił ustanowioną tutaj barierę dźwięku, odkneblował szklane gardło, poza którym to coś, w czym pozostało niewiele ludzkiego, daremnie próbowało oburącz zdusić to, co mu od środka rozsadza kiszki.

Jonas zatoczył się. Zgrzyt jakby pazurami rżniętego szkła i chrapliwy pomruk rozsadzały mu skronie. Zamknął oczy, żeby nic więcej nie widzieć. Przede wszystkim – nie żegnać się wzrokiem z tym, który w bólu bardziej od niego świadom był pewnie tego, co się zalegało w półmroku.

Okręcił się więc, rękoma zacisnął skronie i runął wreszcie przed siebie, nie szukając drogi. Niech prowadzi instynkt, jeśli nie stępał ze szczętem. O coś zahaczył ramieniem. Potknął się na jakimś progu. Głuche dudnienie zadławiło się dobite metalicznym szczękiem tuż za jego plecami.

Usłyszał czyjś jeszcze tupot.

Skoczył w tym samym kierunku. Gdyby w nim pozostało coś z Megaloxanthy o rozwianych skrzydłach – pewnie by je u samych ramion skróciło ostrze wielotonowej gilotyny. Potężna śluzka zatrzasnęła ostatni właz, odcięła drogę odwrotu – ktokolwiek

tam został. We wnętrzu ziemi dalej biegł trzask zamykanych grodzi, jakby próbowano jeszcze stawić tamę ciemności zalewającej pokłady ogromnego statku, który powoli, lecz nieuchronnie, idzie do dna niewiadomego Oceanu.

Tam ktoś jeszcze wydawał rozkazy; on stał z zamkniętymi oczami, plecami wsparł się o drżącą jeszcze płytę i próbował oddzielić tamten basowy pomruk od potężniejszego wycia syren.

## 6. KONTRATAK

Snop światła przyspilił go do ściany. Syreny wyły wniebogłosy. Ktoś krzyknął przenikliwie. Jonas uniósł ramię i osłonił oczy. Spod dłoni widać było, jak się uwijają poza kręgiem światła – mężczyźni i kobiety, jeśli go wzrok nie mylił. On jeden tkwił w ognisku reflektorów – nieruchomy, z ramieniem uniesionym jak do pozdrowienia. Tamci poruszali się mysimi podskokami, skuleni, krzątający się, jednak bez specjalnej paniki. Każdy coś taszczył, przestawiał, kilku przyklęło w jednej linii i, napierając ciężarem ciała, wbijało w posadzkę coś w rodzaju nitów zwieńczonych czerwoną główką.

Jonas poruszył się. Chciał odstać od zatrzaśniętej śluzy i wyjść im naprzeciw, kiedy przeraźliwy wrzask przebił nawet zawrodożenie systemów alarmowych.

Opuścił nieco wzrok i zrozumiał. Jednego z nich miał bezpośrednio przed sobą. Ten ktoś tak się w niego zapatrzył, jakby nic poza nim nie istniało w całym wszechświecie. Tylko przykucnął na szeroko rozstawionych nogach – łydki mu latały, lecz tułów osadził prosto, z pewną wprawą, poza tym wyciągnął przed siebie ramiona i ręce splótł jak do modlitwy. Tyle pierwszego wrażenia. Naprawdę oburącz dźwigał masywną rurę, spiłowanym końcem wymierzoną prosto w pierś Megaloxanthy.

Wystarczy drobna nieostrożność i diabli wiedzą, co skoczy do gardła – pomyślał Jonas. Aż mu kark zdrętwiał i dolną szczękę nalało ołowiem. Skąd możesz mieć pewność czy ten ktoś tak zadziorny, potrafi się rzeczywiście obchodzić z bronią. Na razie przemawiał za tym wyłącznie prawidłowy przysiad. Poza tym ciało dygotało jak w febrze, twarz wykrzywił grymas bliższy rozpacz niż strachu. Wylot lufy skakał na wszystkie strony. Z łysawego czoła ciekł pot, jakby to jemu oczy maltretowano gorącym światłem.

Wzrok Jonasa przystosował się do światła reflektorów.

Chciał opuścić rękę i postąpić do przodu – ostatecznie zawsze by zdążył wybić tamtemu z rąk niebezpieczną zabawkę. Jednak przy pierwszym poruszeniu twarz mężczyzny zsiniała. Prawie obłąd zagnieździł się w oczach. Bliźniacza kopia tamtego człowieka, który tak długo nie potrafił przebić głosem nakrywającego go klosza.

Pamięć tamtej twarzy powstrzymała Jonasa.

Tylko spojrzeniem uciekł ponad głowę mężczyzny. Wysoki strop na lewo i prawo odchodził w prawie nieograniczoną przestrzeń. Bezpośrednio nad nimi nawisła metalicznym plastrem z wprawionymi w białe pierścienie kręgami ze szkła. Dalej znikwały te prześwity i wysoka powała owej imitacji nieba całą masę składała na olbrzymi, czarny filar – Rdzeń THARSYS, na wyższym poziomie zwieńczony pewnie przez Moduł CETI. Ten odcinek Rdzenia Jonas oszacował na kolumnę o średnicy stu

kilkudziesięciu metrów. Jeszcze tam błądził wzrokiem, kiedy znacznie bliżej srebrne punkty wyskoczyły z ciemności. W mig rozłożyły się szerokim wachlarzem, potem zaczęły rosnać. Niewyraźna poświata spoza okien w stropie imitowała stroboskopowy efekt na lustrzanych bokach. Jakby w podziemia zajechał pancerny pociąg, po czym rozsypały się poszczególne człony, wyskoczyły z szyn i osobnym pędem każdego wagonu runęły naprzeciw Megaloxanthy. Jeszcze wytracały pęd, nie dochodząc do linii ludzi uwijających się przed strefą zagrożenia, kiedy każdy pocisk kłapnął metaliczną szczęką i wypluł kilkanaście srebrnych zębów. Jonas patrzył zauroczony, nie po raz pierwszy. Kolejne przegrupowanie wydzieliło pięcioosobowe grupy. Już zajęły strategiczne pozycje. Pierwsze postacie w szklanych hełmach i srebrnych skafandrach przeniknęły kordon cywilów. Widział, jak z ekwilibrystyczną zręcznością prześlizgują się między ludźmi, którzy w jednej chwili przestali się zmagać ze swoimi skrzynkami i czerwonymi nitami.

Teraz otaczał go półokrąg komandosów Armii Endogenicznej. Wszyscy, zdawałoby się, sterowani przez jeden układ nerwowy. Każdy przyklepnął na to samo kolano i wycelował w niego krótki karabin, zamiast wylotu lufy zakończony białą tarczą. Iskra elektrycznego napięcia przeskoczyła między nimi. W jednej chwili wzdłuż tyraliery, od ziemi do stropu, rozwinęła się energetyczna kurtyna. Rozjaśniła się błękitna membrana i powiało zjonizowanym powietrzem.

Spoza tego ekranu wyskoczyło jeszcze dwóch. Klęknięli pół kroku przed mężczyzną, który dotychczas trzymał go na muszce. Ten omal nie zemdłał. Kłapnął na tyłek i na czworakach odczołgał się wstecz. Po drodze zgubił pistolet. Odruchowo nawet wyciągnął rękę, jednak nie odważył się cofnąć. Po chwili rozpaczliwym wyrzutem znurkował w selektywnej widać osłonie i przepadł z pola widzenia.

Jonas uważniej przyjrzał się komandosom.

W swoich skafandrach przypominali archaiczne wyobrażenia ludzi dokonujących eksploracji kosmosu. Przezroczyste kule hełmów nie przeszkadzały w rozpoznaniu twarzy. Nie byli tacy młodzi. Jeden szpakowaty nawet. Zupełnie spokojne, obojętne oczy zawodowych morderców. Nie dziwił się, że tym razem ich broni nie ograniczały tarcze dokonujące wachlarzowego rozrzutu plazmy. Lufy przyglądały mu się ze znacznie większym zainteresowaniem niż strzelcy wyborowi. Każda pewnie celowała w inne oko.

Stał nieruchomo. Nawet nie zdążył opuścić ramienia, którym osłonił oczy przed reflektorami. Jakby im jeszcze salutował dłonią.

I nagle zrozumiał, że już nie opuści.

Powietrze drżało leciutko przed wylotami luf. Pojął też, że nie doczeka się kuli. Był unieruchomiony. Aż go przydusiło do ściany. Nie potrafił ruszyć ani ręką, ani nogą. Pewnie nie mógłby nawet upaść. Tkwił we wnętrzu kryształu. Tylko elementy



niewiele większe od ocznej gałki zachowały umiejętność podporządkowywania się jego woli. Mógł obracać oczami pod łuskami przezroczystych powiek.

Dostrzegł jeszcze jednego mężczyznę, który przeniknął przez osłonę. Dwie złote płytki na ramionach z drukowanym albo trawionym rysunkiem sugerowały wyższą rangę. Twarz tego mężczyzny była kiedyś bardzo ogorzała. Teraz z czoła, policzków i nosa, nawet z uszu łuszczyły się duże płaty naskórka. Jakby mu twarz opalił błysk gorąca tak krótki, że piekielny żar z wierzchu tylko sparzył skórę, wręcz ją spopielił. Celofanowy nabłonek spelzał nawet z brwi i powiek. Obok tego oficera postępował ktoś jeszcze. Bez skafandra. Niewysoki, a przynajmniej o głowę niższy od postawnego, przystojnego oficera, którego niewiele szpeciła ogólna łuszczyca twarzy.

Jonas napotkał pozbawione wyrazu spojrzenie wodnistych oczu jasnowłosego młodzika. Oczy te były tak błękitne, jakby miał w sobie ten ekran, którzy inni musieli rozwijać przed sobą, żeby się poczuć bezpiecznie. Może dlatego nie nosił również hełmu i po szyję zaciągniętego skafandra.

Oficer spojrzał z góry na cywila. Ten skinął głową. Dowódca komandosów dotarł tymczasem do kłęzącej dwójki. Następnie przystanął i zaczął się uważnie przyglądać Jonasowi przybitemu do ściany. Robił to z coraz większym zaciekawieniem. Wreszcie jego twarz wyrażała nie tyle zdumienie, co zupełną niewiarę. Patrząc mrużył oczy. Złuszczony z powiek naskórek musiał mu przeszkadzać w patrzeniu – nawet nie można było ręką przetrzeć oczu. Raz jeszcze obrócił się w stronę jasnowłosego chłopca. Ten uparcie kiwnął głową i – niespodziewanie – uśmiechnął się.

Oficer powiedział coś. Jeden z kłęzących uniósł głowę. Drugi ani drgnął. Obydwa emitery o milimetr nie zmieniły położenia. Szpakowaty komandos spojrzał na dowódcę z wyrazem bezgranicznego zdumienia. Ten tylko rozłożył ręce. Potem poklepał żołnierza po ramieniu i powiedział coś jeszcze.

Jonas poczuł, że potrafi oderwać rękę od czoła. Był wolny.

– Jonas Hebrejczyk? – usłyszał chrapliwy głos oficera.

– Komandos Samodzielnej Jednostki Endoskopijnej – potwierdził Jonas. – Desant Mechaneurystycznej Kliniki Księżyca.

– Megaloxantha? – to pytanie nie bardzo nastawało na odpowiedź.

– Mało przepisowa forma – potwierdził Jonas i bez uśmiechu przesunął dłońią przez brzuch zaskorupały pancerzem. – Tym niemniej...

Oficer bezradnie pokręcił głową.

– Pójdziecie z tym człowiekiem – powiedział bardzo niechętnie. – Nie moja sprawa. I nie moja odpowiedzialność. Tylko się więcej nie pętajcie gdzie nie trzeba. Mamy własne problemy do załatwienia.

Okręcił się na pięcie i odszedł bez słowa. Dwóch komandosów za nim. W ich ruchach pozostało jednak napięte oczekiwanie, jakby gotowi byli w każdej chwili

osłonić wyższego rangą.

Jonas przyjrzał się swojemu wybawcy. Od biedy ten ktoś mógłby mieć w żyłach nieco błękitnej krwi Megaloxanthy. Chłopięca postać. W twarzy roztargnienie nietypowe nawet dla kochanków Seleny. Coś jednak nie było w porządku. Jasnowłosy chłopak patrzył na Jonasa zbyt spokojnie. Prawie z wyrozumiałością.

– Zejdźmy im z drogi – zaproponował.

Głos też miał miękki. Trochę nieobecny. Tylko gdy się odwracał Jonas dostrzegł, już z profilu, cień uśmiechu niepozobawionego ironii. Ledwie przy tym drgnęły blade, nieznacznie wypukłe usta. Potem oczy Megaloxanthy poraził łuk jaskrawej reklamy – między łopatkami tej niewysokiej postaci, wydrukowane na kurtce neonową farbą, wielkie i czerwone – BIO-ŁĄCZE. Niżej, drobnymi literkami: „zawsze do Twoich usług”.

Jonas rozprężył się.

Przed nimi pękła naelektryzowana kurtyna. Za nią wzrok utknął w kolejnej, różowawej membranie. Tym razem jej podstawy nie stanowili komandosi ze swoimi emiterami, lecz czerwone nity, które cywile utykali w ziemię przed przybyciem Endogenicznej. Jedna za drugą srebrne postacie komandosów przeskakiwały nad tą perforacją posadzki rozjarzającą się czerwonymi punktami. Już nie punkty, lecz płonące główne, jakby spod ceramicznej posadzki kielkowała tyraliera drzewek Mojżeszowych.

Oficer poganiał niecierpliwie. Nad gorejącymi ogniskami różowość stopniowo zatracala przejrzystość. We wskazanym miejscu najpierw Bio-Łącze, za nim Jonas przekroczyli granice zakazanej strefy.

Jonas poczuł mrowienie idące od stóp. Nic poza tym.

Za nim tę linię przeskoczył oficer. Temu jednak przejście sprawiło pewien kłopot, jakby przed nim opornie pękła błona napięcia powierzchniowego, a potem z trudem odkleił się od krzepnącej membrany.

Po drugiej stronie ślad przestygł po cywilach. Tylko równy szereg masywnych maszyn. W lustrzanych bokach płonęły odbicia czerwonych ogni. Transportery Endogenicznej bez dźwięku unosiły się tuż nad ziemią, niby lekko spłaszczony krople rtęci. Tylko przy poruszeniu tej masy odzywał się wibrujący dźwięk kamertonu. Każdy transporter miał przynajmniej dwadzieścia metrów średnicy. Większość komandosów dawno zniknęła w swoich wehikułach, przez jakieś władze błyskawicznie zaciągające się w lustrzanych bokach. Na przedpolu pozostał oficer z wydzieloną piątką.

Dwie maszyny w środku szeregu rozsunęły się. Spoza nich bezszelestnie wypłynął czarny, płaski dysk. Kiedy się zbliżył okazało się, że bardziej przypomina wydłużony, przyduszony z wierzchu cylinder.

– Won stąd! – krzyknął oficer. – Ile razy trzeba powtarzać!

Jonas rozejrzał się, zanim zrozumiał, że zostało to skierowane do nich.

– Moich ludzi nie trzymam na postronkach! – ciągnął oficer. – I nie będę cierpiał, jak któryś nie wytrzyma. Każdy ma wyrobione odruchy warunkowe – strzelać w każdą parszywość, choćby się wdzięczyła lukrowanym zadem.

Pozostajej piątce w jednej chwili rozmroziło gęby. Jeden zarechotał nawet. Drugi raptem podrzucił w dłoni krótko spiłowaną rurę, po czym wylotem poprowadził w kierunku stóp Megaloxanthy, nieco nad ziemią. Jakby go sparzyło w kostki. Jonas byłby podskoczył – osadziły go w miejscu ich spojrzenia łase jego bezradności.

– Czego się ślepią? – oficer nie dawał za wygraną. – Armia musi strzelać, żeby nie wyjść z wprawy. Dla Armii człowiekiem jesteś tylko w mundurze. Zejdźcie im z oczu. Nie jest im obcy światopogląd, że brak specjalnych różnic między pomiotem genomutów i dysydem, między Bio–Wtyczką i lunatycznym zgniłkiem, choćby się zaprawił w skorupkę. I tak dobrze, skurwysyny zostają w odwodzie...

– Chodźmy – zaproponowało Bio–Łącze. Minęli szereg opastych maszyn. Jonas miał wrażenie, że spod wypukłych zwierciadeł odprowadza ich kilkadziesiąt par oczu.

– Miałeś szczęście, że Sztab nie zarządził akcji kremacyjnej – powiedziało Bio–Łącze, kiedy się oddalili nieco. – Nikt by się wtedy nie cackał. Prosta trepanacja. Jeden lazaret diabli wzięli, ale pozostałe laboratoria potrzebują preparatów. Tutaj spodziewali się dostać języka.

– Mam z tym coś wspólnego? – zdziwił się Jonas.

– Byłeś w lazarecie. Co tam się działo?

– Pęcznieli i strzelali jak purchawki...

– Rozumiem – Bio–Łącze skinęło głową. – Odłączyło kamery Informatycznego Systemu. Zostałeś jedynym świadkiem.

– Co to było?

– Kostropian–purchawica.

– Pocieszna nazwa – powiedział Jonas.

– Jak dla kogo. Na pierwszy ogień zawsze idą komandosi Endogenicznej.

Poznałeś poczucie humoru ojców chrzestnych. Różnie im się trafia. Od czasu Inwazji ich wkład do terminów strategicznych to również Zmrocznik Pochwiasty, Rojnik Arrheniusa, Przeziernik Złotokap, Misza–saprofit, Wpleszcz Sztabowy czy Łuskwiak–bełkotnik... Jest tego cały słownik w żargonie frontowców i naukowych opracowaniach współpracowników Stinsona.

– Wpleszcz Sztabowy? – upewnił się Jonas.

– Natknął się na to jeden z pierwszych desantów prewencyjnych poza Enklawę – wyjaśniło Bio–Łącze. – Mieli nieporozumienia z ośrodkiem dyspozycyjnym, więc wpadli na pomysł, żeby im to podrzucić do sztabu. Dla obopólnej rozrywki. Na

zewnątrz nigdy nie sprawiało to większego wrażenia. Sęk w tym, że solidnie zaplombowany bunkier naczelnego dowództwa nie tak łatwo opuścić, choćby ci ze skóry pasy darło... Nazwa się przyjęła. Zobaczysz, przyznasz rację. Wyobraź sobie, że ktoś by ci wpuścił jakiegoś skurwysyna bezpośrednio pod pancerz, żeby się z marszu dostał do mięsa...

– Przyjemna perspektywa – zgodził się Jonas. – Dalej nie rozumiem, co wspólnego mam ja i, na przykład, Łuskwiak–bełkotnik czy Kostropian–purchawica.

– Trzeba wiedzieć, co to wyczynia z ludźmi.

– Nie powiesz, że ich garbuje na obraz i podobieństwo Megaloxanthy.

– Sądzisz, że tak wielu żołnierzy rozeznaje się w najnowszych modelach

Mechaneurystycznej Kliniki Księżyca?

– Mimo wszystko... jestem człowiekiem. Bio–Łącze wyglądało na rozbawione.

– Słyszałeś, co powiedział ich dowódca? Brak podstaw, żeby dzielić przywileje między ciebie, Bio–Wtyczki i genomuty.

– Genomuty?

– To ich legenda – Bio–Łącze wzruszyło ramionami. – Informatyczny System nie posiada danych. Komandosi z dalekosiężnych zrzutów, kiedy ich jeszcze spuszczano ze smyczy, do dzisiaj opowiadają malownicze przypowieści o mutantach.

– Więc ktoś jednak żyje na zewnątrz? – spokojnie zapytał Jonas.

– Brak sprawdzonych informacji. Jonas obejrzał się przez ramię.

– I to niby ja miałem być? – zapytał.

– Dziwisz się?

Daleko za nim płonął czerwony krąg. Sięgał już fasetkowego stropu. Na boki rozchodziły się tam ściany jakby łuskowate, ze stalowymi żaluzjami opuszczonymi teraz na okna. Wielopiętrowy wał otaczający przestronny plac, z którego ludzi wymiotło bez śladu. Tylko on i Bio–Łącze prawie dochodzili do czarnego Rdzenia THARSYS.

– Zatrzymamy się? – zapytał Jonas.

– Myślałem, że masz zamiar jak najszybciej trafić do CETI – powiedziało Bio–Łącze.

– Trudno poskromić ciekawość. Chciałbym wiedzieć, na co jeszcze stać Endogeniczną.

– Rutynowa akcja. Mógłbym ci zademonstrować naprawdę wspaniałe pacyfikacje...

– Z pamięci Informatycznego Systemu?

– Z pamięci.

– Nie raz będziemy mieli okazję przejrzeć filmotekę – zdecydował Jonas. – Raz chciałbym na żywo.

U podnóża ognistej membrany między szpalerem srebrzystych garbów powoli przesuwiał się czarny cylinder. Przed nim gdzieś się zapodział oficer ze złotymi epoletami i piątka komandosów.

– Więc? – upewnił się Jonas. – Jak wolisz.

Zobaczył jeszcze, że Bio-Łącze niezbyt pewnie obejrzało się tam, dokąd zmierzali.

Wygląda, że bardziej mu tam pilno ode mnie, pomyślał Jonas. Przystał się przejmować Bio-Łączem i z zainteresowaniem śledził dalsze manewry oddziału Armii Endogenicznej.

Czarny karawan sunął na wprost czerwonego kręgu, jakby go srebrne guzy transporterów wyciskały spomiędzy swoich szeregów. Rzeczywiście przypominało to wędrowną trumnę w gardziel krematoryjnego pieca. Przed powolnym cylindrem ognisty krąg zaczął się podawać wstecz. Wyraźnie już wklęsły menisk żaru przyjmował w siebie nową ofiarę. Długa trumna oderwała się wreszcie od ziemi i ponad transportery. Wyraźnie celowała w środek membrany. Przez ognistą kotarę przeświecało jakieś ciemne wnętrze, wypełnione basowym pomrukiem. Docierał nawet do ich uszu, chociaż zatrzymali się niemal u podnóża Rdzenia Enklawy.

– Prawda – przypomniał sobie Jonas. – Dlaczego akurat ty zjawiłeś się po mnie?

– Jestem Bio-Łączem Informatycznego Systemu przydzielonym do Kliniki.

– Więc przysłał cię Stinson? – Nie sędzę.

– To znaczy: nie wiesz?

– Trafiałeś tutaj dzięki inicjatywie Informatycznego Systemu – odparło Bio-Łącze.

– Chciałbym kiedyś poznać mojego patrona – zażartował Jonas. – W pełnej gali. Tym razem Bio-Łącze przemilczało.

Daleko przed nimi ledwie zauważalna różowość oddzielała cylinder od wirującego obłędnie, mrocznego piekła. Coś się stamtąd zaczęło przebijać przez nadwątloną zasłonę. Najpierw miłą mrowienie wstrząsnęło menisk przed czarnym wrzcionem. Jakby ktoś węglowym pyłem sypnął na rozpaloną do czerwoności żeliwną płytę. Zaraz potem coś błysnęło, lecz nie spłonęło w energetycznym ekranie. Przeleciało na drugą stronę, jak szmata trzepocząca strzępiastymi skrzydłami. Jasny rozbłysk przełamał jednak trajektorię jej lotu. Mimo cylindra sypnęło odpryskami czegoś twardego i jednocześnie skłębione zrazu płatki kopci zaczęły opadać czarnym śniegiem.

Jeszcze jedna eksplozja z przeciwnej strony. I znowu. To strzelały srebrzyście opancerzone pojazdy. Jonas nie dostrzegał luf, po prostu serie gwałtownych wyladowań puły przestrzeń i roznosiły na strzępy wszystko, cokolwiek przebijało ekran. Nie trwało to długo. Jonas pojął, że co się przedtem wylęgło w półmroku, razem z lazaretem, zostało ze wszystkich stron ogarnięte przez jeden olbrzymi,

szkarłatny pęcherz. Nie było już płaskiego ekranu odgradzającego fragment Enklawy, tylko niezależna od zewnętrznych źródeł energii płonąca kula.

W jej środku, niby cień w oku nabiegłym krwią, tkwił podługowaty cień. Nagle z ciemnego ziarna wystrzeliły białawe pędy – pięć palców, każdy uzbrojony w szklany pazur. Wszystkie pięć zawierały w sobie wyraźny ludzki kształt, srebrzyste jądro zdalnie sterowane przez znieruchomiły cylinder. Ta ręka rozcapierzyła palce, potem je zakrzywiła w głąb pęcherza i uderzyła w mroczny kłęb we wnętrzu sfery.

Coraz mniej można było dostrzec poza ekranem stanowiącym powierzchnię tej kuli. Nieprzypadkowo transportery Endogenicznej zaprzestały ostrzeliwania asekurującego moment wlotu cylindra. Nic więcej nie przenikało z kurczącego się szybko pęcherza.

Ludzie zaczęli wychodzić z pojazdów. Widać było, jak się poklepują po ramionach, zdejmują hełmy.

Wtedy coś jęknęło przeraźliwie. Na moment, tuż nad ziemią ujawnił się prześwit do wnętrza kuli, która już straciła połowę średnicy. W ciemności zawirowało wrzeczono otoczone fioletowym światłem, naprężające trzy sine korzenie – dwa obwisły pustymi rękawami. Na zewnątrz chlusnęła fioletowa fala, spieniona niesamowicie zielonym grzebieniem.

– Boże! – krzyknęło Bio-Łącze.

Kilkanaście zielonych bryzgów wyrwało się na wolność. Coś zaskwierczało. Cztery transportery stanęły w ogniu, jakby je uczyniono ze specjalnie łatwopalnych materiałów. Dwa czy trzy razy trzasnęły jakby dymne granaty – tylko kłębki pary w tych miejscach, gdzie przed chwilą stali ludzie.

Napięcie powierzchniowe kuli w mig zabliźniło ekran kolapsujący coraz szybciej, niemniej Jonas dostrzegł kilkanaście postaci w srebrnych skafandrach, pewnie załogi płonących transporterów. Ci, których nie ogarnął ogień na złamanie karku gnali teraz od Pierwszej Linii.

Już byli blisko. Można było rozpoznać ich przerażone twarze.

Nagle najbliższy stanął jak wryty. Drugi też nie dobiegł. Jakby się każdy kolejno natknął na niewidzialną przeszkodę. Zziajani toczyli wkoło błędnym wzrokiem. Żaden więcej nie postąpił kroku przed siebie. W ich oczach wytrzeszczonych w stronę Bio-Łącza i Megaloxanthy, chociaż Jonas dziwnie nie odczuwał na sobie tego wzroku, przerażenie walczyło ze świadomością i jakimś jeszcze, niepojętym obłędem.

Pierwszy uniósł ramię z zaciśniętym w dłoni emiterem, okręcił się jakoś niezdarnie wokół własnej osi i runął twarzą na ziemię, głową w tę stronę, skąd pierchnęli. Kilku uczyniło to samo. Trzech nawet nie odwróciło głowy, kiedy tamci zaczęli się ostrzeliwać – po prostu stali z pustymi oczami i pustymi rękoma zwieszonymi po bokach.

Teraz dopiero Jonas spostrzegł, że coś się niesło za tymi ludźmi, polatywało tuż nad ziemią. Emitery były skoncentrowanymi wiązkami światła, jak włos cienkimi iskrami. Większość strzałów docierała aż do transporterów i rykoszetowała na ich lustrzanych pancierzach. Czasami jednak ruchoma pochodnia zapalała się w pół drogi. Czasami zabrakło ognia, tylko krótki błysk poprzedzał przesywający powietrze pisk. Potem coś wyskakiwało w powietrze – srebrzysty, podługowaty kształt, jakby obleczony w tę samą materię, z której skrojono mundury komandosów Endogenicznej. Niezdarny, ostatni sus. Potem to coś toczyło się skwierząc i dławiąc jakby szczurzym piskiem, nim zerwał się najbliższy z żołnierzy i z bliska dobił strzałem, po którym zakręcało tylko wir siwej sadzy i dokoła rozchodził się smród palonego mięsa.

Jonas poczuł dotyk czyjejs ręki czepiającej się jego ramienia.

– Chodźmy stąd – powiedziało Bio-Łącze.

Nie protestował. Sam czuł się dziwnie, jak nigdy przedtem.

Odwrócił się za swoim przewodnikiem. Nawet postąpił kilka kroków. Wtedy w rozłamie Rdzenia Enklawy dostrzegł jakąś postać zagrządzającą jedyną drogę odwrotu z linii frontu.

Nagle zrozumiał, dlaczego nie czuł na sobie wzroku ludzi, którzy – zdawało mu się – przestali uciekać na widok Megaloxanthy.

Ten ktoś był bez szklanego hełmu, za to dół twarzy, poniżej oczu miał osłonięty czymś w rodzaju gazowej maski z przewodem tlenowym zachodzącym na plecy. Ramiona mężczyzny okrywała luźna, spływająca do ziemi czarna peleryna. Jego wzrok zdawał się na wylot przenikać przez pierś Megaloxanthy – cięższe niż ołów spojrzenie, które innych ludzi potrafi przygnieść do pola bitwy.

Palce Bio-Łącza mocniej zacisnęły się na ramieniu Jonasa. Kątem oka dostrzegł wyraz malujący się na twarzy tego niewydorośłałego, jasnowłosego chłopca. Skurczona twarz maskarona. Prawie biała. Jakby i jemu na głowę nałożono maskę z ugniecionego, byle jak potem rozprostowanego papieru. Tylko zamglone oczy błagały o coś.

Prawie poniósł to ciało coraz bardziej ciężące mu u ramienia. Niepostrzeżenie wyminęli postać w narzuconym na ramiona skórzanym płaszczu, stojącą ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. Rozchylająca się peleryna pozwalała dostrzec pistolet o długiej lufie, zatknięty za pas.

Odeszli kilkanaście kroków w tunel prowadzący do wnętrza Rdzenia THARSYS, kiedy Bio-Łącze zwolniło ramię Megaloxanthy i zatoczyło się raczej, niż ruszyło dalej o własnych siłach.

– Kto... – zapytał Jonas niezbyt posłusznym głosem, jakby mógł znać mężczyznę, którego twarzy niepodobna było ani rozpoznać, ani zapamiętać. – Kto to jest?

Bio-Łącze nie odpowiedziało.

Gdzieś z sykiem zaczęły się podnosić śluzy sięgające stropu, prowadzące pewnie do komunikacyjnych szybów między poziomami. W którymś rozległ się charakterystyczny świst, jakby w niewidzialną stąd studnię nurkowały pancerne pojazdy Armii Endogenicznej wracającej z zakończonej akcji.

Zatrzymali się przed wjazdem, jakich kilka Jonas widział jeszcze w lazarecie.

– Dobijacz szczurów – powiedziało Bio-Łącze.



## 7. BIO-ŁĄCZE

Po drodze wstąpili do jego mieszkania. W całkiem przytulnym pokoiku miejsca starczało na stół, krzesło i wąskie legowisko. Szczelnie książkami zastawione półki broniły dostępu do ścian. Tylko w kącie na wprost drzwi prowadzących z przedpokoju, prawie pod sufitem, wisiał sporych rozmiarów ciemny prostokąt. Z bliska okazał się starym, pozbawionym ramy obrazem. Płótno gdzieniegdzie oblaźło z farby.

Nieznany artysta skąpił barw. Od góry prostokąt wypełniono czernią, niżej niewiele miejsca zostało na przytłoczoną ciemnością białą sylwetkę. Tę jasność wydzielał z mroku szary pas, nieoczekiwanie sprawiający wrażenie srebrzystego, misternie tkanego ubioru. Obrysowane nim, dziwnie miękkie pochylenie głowy nie pozwalało pogodzić się z myślą, że zawiera w sobie tylko puste miejsce. W rzeczy samej – tam, gdzie wyobraźnia odruchowo poszukiwała twarzy smutnej i pięknej, po niewidzialnym policzku do podbródka zbiegały dwa cienkie nacięcia. Zawsze świeża krew – kiedykolwiek natchniony malarz pociągnął pędzlem rany do dzisiaj niezabliźnione.

I niespodziewanie Jonas poczuł tę tajemniczą obecność, ujawnioną przez krwawe łyzy, nie tylko w płaszczyźnie obrazu. Stała się nierozdzielna z atmosferą tego pokoju, swoje odbicie znalazła nawet w oczach Bio-Łączka, przyglądającego mu się uważnie.

Janko uśmiechnął się.

– Czuj się jak w domu – powiedział. – Zaraz wrócę.

Janko Pytlak, takim bowiem imieniem przedstawił się gospodarz, jakby świadomie zostawił go teraz sam na sam z tym czymś nieuchwytnym, o co Megaloxantha otarł się raz jeden – przed kamiennym Szernem. Było to dostatecznie dotkliwe, żeby poczuł się zupełnie bezradny między ścianami wzniesionymi z książek, przed ciemnym znowu, niepozornym obrazem.

Bezradność mechaneurystyki, do tego zaspawanej w pancierz, jakiego przedtem nie przywdział pewnie żaden Selenita – pomyślał Jonas i sam nad sobą roześmiał się w duchu.

Trzeba było zająć czymś oczy uparcie wracające do starego płótna. Zbliżył się do półek.

Trudno było sprecyzować zainteresowania lokatora. Jak przystało na Bio-Łączce – pomyślał – *omnia mea mecum porto*. Zgromadzono tutaj na równi teoretyczne podstawy fizyki kwantowej, mnemotroniki i mechaneurystyki, inżynierii genetycznej i socjologii, literaturę piękną przemieszano z tonami prac poświęconych teorii informacji. Sporo też było oprawionych w tani karton, prymitywną techniką

powielanych skryptów historycznych. Wszystko tu było historią. Kilka pozycji Jonas wziął nawet do ręki, przerzucił kartki. Wszystko odnosiło się do czasów minionych. Nie mogło być inaczej – ktoś dzisiaj zajmuje się drukowaniem książek. Wyglądało, że ten młody, jeszcze nie w pełni mężczyzna, został spadkobiercą jakiegoś dziwaka, którego życie przebiegało w innym wymiarze, poza galopującym czasem Enklawy THARSYS, poza kolapsującą przestrzenią, w granicach Enklaw dawno startych z powierzchni Ziemi. Kimkolwiek był człowiek, który w tych książkach znajdował własną rzeczywistość, z całą pewnością Janko pozostanie ostatnim jego spadkobiercą. Czas tego świata coraz szybciej wysadzał z siodła każde kolejne pokolenie, ale i to się skończyło.

Bio-Łącze stało w progu nagle zmieszane, zaczerwienione po uszy. Przez chwilę Jonas nie rozumiał przyczyn tej konsternacji, kiedy spostrzegł tackę, którą Bio-Łącze trzymało oburącz.

Janko chciał dobrze, jednak przesadził z gościnnością – przygotował dwie filiżanki z gorącym, aromatycznym napojem – rozchodzący się zapach poruszył nawet Megaloxanthę.

– Przepraszam – powiedział Janko.

– No proszę – uśmiechnął się Jonas. – Ktoś nas nie docenił. Napiję się chętnie.

Janko do końca nie miał pewnej miny, tym niemniej wspólnie z Jonasem rozstawił spodeczki, filiżanki i cukiernicę ze srebrną łyżeczką. Kiedy przysiedli na dwóch krańcach legowiska, na moment rozpiął błyskawiczny zamek bluzy – coś błysnęło. Obok siebie rzucił na koc wyjętą zza pazuchy książkę zniszczoną bardziej niż inne, chociaż w sztywnej skórzanej oprawie, jakby się z nią nie rozstawał nigdy.

– Nie tak wiele nas dzieli – powiedział Jonas. – I wcale nie jest pewne czy powołaniem ewolucji w ogóle, a tej sterowanej w szczególności, jest nauczenie nas obywatela się wyobrażeniem smaku.

– Myślałem...

– Oczywiście. Nie jest to życiowa konieczność – przyznał Jonas. – Co nie znaczy, że odebrano nam ostatecznie szansę testowania na własnej skórze pewnych ekscentrycznych czy egzotycznych upodobań.

– Celnie sformułowane – uśmiechnął się wreszcie Janko Pytlak.

Jonas delikatnie obrócił w palcach porcelanową filiżankę. Biała muszelka w zeskorupiałych kleszczach. Bez tej gruboskórności parzyłaby palce. Przyłożył wargi do gorącej krawędzi – wystarczy, żeby usta, język i podniebienie, każde z osobna, zapamiętały inny smak.

Dłuższy czas siedzieli tak w milczeniu, czasami tylko przyglądając się sobie na przemian.

Jonas pomyślał nawet, że nie wiadomo dlaczego czuje sympatię dla tego chłopca.

Dziwne to Bio-Łącze o dziewczęcej raczej urodzie, z jasnymi włosami osypującymi się na oczy. Cień przebiegał czasem tę twarz, to znów przelotny uśmiech przydawał pewnej pospolitości, żeby ustąpić nieobecności. Wtedy Jonas gotów był przysiąc, że myśli Bio-Łącza zapuściły się właśnie w świat wyzwolony z ograniczeń Enklawy THARSYS, nawet poza Informatyczny System. Człowiek nie może postrzegać zbyt wiele – pomyślał Jonas. W sprzężeniu z Informatycznym Systemem ztraca się przeszłość. Skrzętne aktualizacje danych dotyczących dnia dzisiejszego zabija tradycję. Korzenie pozostają w pożółkłych manuskryptach, w bibliotece kompletowanej przez jakiegoś praszczura. Wobec dnia dzisiejszego niewiele znaczy – kim kiedyś byłeś. Jeszcze mniej – z jakiego narodu twoi ojcowie wynieśli serce, jakiej wizji przyszłości poświęcili natchnienie i umysł, jakiej religii zaprzysięgli duszę, do jakiej sprawy przyłożyli ręce, jakiej wreszcie ziemi oddali ciało – nikomu z żywych niepotrzebne. Enklawa THARSYS preferuje doczesność – w co powinieneś wierzyć, komu należy ufać, o czym musisz milczeć. W tym znajdź swoją powinność. Dla emigranta, tym bardziej – banity, każde zajęcie jest jakąś szansą. Najemnik ma prawo przywdziać dwa rodzaje mundurów – w szeregach Endogenicznej albo w sprzężeniu z komputerowym systemem.

– Urodziłeś się w THARSYS? – zapytał Jonas.

Janko potrząsnął głową.

– Ojciec tu został ze mną. Miałem siedem lat. Matki nie pamiętam.

– Co z ojcem?

Cień pojawił się na twarzy Bio-Łącza.

– W tamtych czasach emigracja z agrarnych podsystemów nie miała wyboru. Poza tym istniały motywacje. Przetrawianie z bronią w ręku. Armia nie była jeszcze Endogeniczną.

– Wstąpił do Armii?

Janko milczał chwilę. Potem odstawił na stolik filiżankę. Podniósł się i z opuszczoną głową przeszedł w drugi koniec pokoju. Tam zatrzymał się przed regałem wypełnionym po sufit i tak stał długo, z rękami wciśniętymi w kieszenie bluzy, nieruchomy, zapatrzony w wytarte grzbiety książek.

– Wiesz, on pamiętał jeszcze Nielsa Bohra – powiedział wreszcie. – Cytował Pascala i potrafił mówić o utopijnych wspólnotach przyszłości. Był przy tym zakochany w Kropotkinie i zachłannie czytał Malatestę. Za cnotę przyjmował bezwzględną wierność wobec własnego narodu, a jednocześnie – jak to potrafił jedynie Ghandi – był wrogiem narodowego państwa. Mawiał też, że na gruzach najpiękniejszych ideologii można zbudować najpotężniejsze imperia...Tak. Masz rację. Zginął z bronią w ręku. I nic nie zostało po nim z czasu, kiedy walczył. Nigdy się nie odznaczył w bitwie i zginął śmiercią bardziej może nikczemną od tych, którzy

nigdy nie stanęli w równym szeregu. Pozwolono mi go odwiedzić w szpitalu polowym. Umierał zabandażowany od głowy do stóp. To był jego jedyny prawdziwy mundur. Przez całe życie. Zabandażowane oczy i uszy, spętane nogi i ręce. Przed śmiercią, na pięć minut, zwolniono mu usta. Kiedy tu ludzie umierają, zwykle z ostatnim tchnieniem ten świat błogosławią przekleństwem. Wiesz, co usłyszałem od niego? Powiedział mi: „Jeśli nie możesz walczyć, jeśli masz związane ręce i zakneblowane usta – przynajmniej PAMIĘTAJ. Zachowaj Pamięć – nie dla siebie. Przyjdzie czas tych, którym dano więcej siły, odwagi i wiary, niż ty znalazłeś w sobie. Bądź ich Pamięcią”.

Umilkł, lecz nie odwrócił się. Jakby to było jego spowiedzią przed sobą samym, kiedy znikąd nie oczekuje się odzewu.

– Dlaczego zostałeś Bio-Łączem? – zapytał Jonas.

Janko drgnął. Dalej stał z rękoma wduszonymi w kieszenie, sztywny cały, jakby mu Informatyczny System, poza Pamięcią, użyczył dodatkowo stalowej intarsji kręgosłupa. Tylko nieznacznie odchylił głowę i ponad ramieniem spojrzął na Megaloxanthę. W oczach miał gniew i jednocześnie dumę. Trwało to ułamek sekundy. Potem odwrócił się wreszcie, z twarzą niespodziewanie spokojną, ufną, bardziej niż przedtem chłopięcą.

– To wszystko, co po nim zostało – powiedział wskazując książki. – Wszystko czym był, zanim wziął do ręki karabin. Dlatego zostałem Bio-Łączem.

Bardzo proste, pomyślał Jonas Hebrejczyk. Jedyny sposób na przeskoczenie progów Wtajemniczenia. Kosztem osobistej wolności, za cenę ostatecznej desakralizacji narodowej dumy. Homo sapiens wpisany w Informatyczny System. Czyją Pamięcią chcesz być jutro – czyją jesteś dzisiaj. Dla tych, którzy zdychają w szpitalach polowych i na Pierwszej Linii, jesteś nikim, Janko. Chociaż bywasz potrzebny. Taki, na przykład, Stinson. Przychyla się do teorii Inwazji, poza tym kończy się pewnie cała jego świadomość polityczna, może nawet nie wie do jakiej akurat należy partii. A jeśli nawet – nie wie po co. Kto z nich cokolwiek wie o tym. Grzechotka Enklawy potrząsa ziarenkami. Taki Stinson może cię nawet polubić. Jak lubi się jasne, przejrzyste powietrze. Taką przejrzystość wnosisz w jego koncepcje. Darujesz mu Pamięć. Jesteś potrzebny Klinice. Nawet nie zauważasz, kiedy ci się bluza rozchyła na piersi. Nie potrzebujesz bielizny – bez mechaneurystyki uzbójono cię w pancerny podkoszulek. Jesteś ubrany w uniform szeregowego proklamatora Informacji. Masz odkrytą pierś, na niej wypukła blacha – trzecie oko, ekran Informatycznego Systemu. Tylko dlatego profesor Stinson darzy cię pewną sympatią. I pogardą także. Stinson kocha szufladki. Jak najwięcej szufladek, gdzie można włożyć i z powrotem wyjąć, bez oporu zatrzasnąć skrytkę i zagwarantować sobie lojalne milczenie. A przy okazji można znowu sięgnąć do starych szpargałów. Witaj

więc, Szufladko!

– Bardzo emocjonalnie traktujesz pewne sprawy – powiedział Jonas.

– Wolisz realizm? – Janko wzruszył ramionami. – Jestem emocjonalny, bo jestem człowiekiem. Od realizmu i racjonalizmu mam Informatyczny System.

– Nie w tym rzecz – wyjaśnił Jonas. – Chciałem zapytać, jak się z tym czujesz...

Janko chwilę przyglądał mu się ze skupioną twarzą. Raptem zaczerwienił się i parsknął śmiechem.

– Nikt dotychczas nie zadał mi tego pytania – powiedział nie kryjąc wesołości.

– Nigdy? – zdziwił się Jonas.

– A cóż ich to obchodzi? I co niby miałbym odpowiedzieć. Każdy spełnia rolę, do której posiada predyspozycje. Nic więcej. Zbrzydło im wduszanie klawiszy. Poza tym rozmowa z komputerem pozbawiona jest, że tak powiem, uroku osobistego. Cóż prostszego, jak czytnik komputera zastąpić gotowym elementem biologicznym. Wystarczy dokonać sprzężenia bio–pola z elektroniką i sam się narzuca model końcówki, przez ewolucję zaopatrzony w oczy i język, a poza tym potrafiący nieco kojarzyć na własny rachunek. Oczywiście nowa funkcja ogranicza pewne swobody obywatelskie – zawsze musisz być pod ręką, twoje prywatne życie sprowadza się do kilku godzin snu i trzykrotnego podładowania w miarę kaloryczną energią. Tylko kogo w tym świecie nie ograniczają funkcje społeczne? Po prostu mózg sprzężony z Informatycznym Systemem. I nadzwyczajna przepustowość – niewiele w tobie osiada z tego, co przechodzi przez usta chodzącej encyklopedii. Tobie to mało potrzebne. Tylko w emocjonalnych stanach bywasz sobą. Sam to zauważyłeś.

Jonas z zainteresowaniem przyglądał się Bio–Łączu.

– Mówisz, że jesteś sobą tylko tam, gdzie w grę wchodzi emocje? – zapytał.

– Mniej więcej. Kiedy teraz rozmawiam z tobą też mniej jest tego, co ja wiem, niż tego, co ty potrafisz zrozumieć.

– Nie bardzo rozumiem – przyznał Jonas.

– A jakie to ma znaczenie? Emocje też nie są mile widziane. Musisz być gotów na każde zawołanie. Inne rewelacje wynikające ze sprzężenia z Informatycznym Systemem? Jesteśmy tylko Bio–Łączami. Świadomość, taką czy inną, posiadamy na własny rachunek. Ty masz prawo zadawać pytania i otrzymywać odpowiedzi. Zależnie od stopnia Wtajemniczenia będzie ci przyznana odpowiednia porcja informacji. Jeśli wystarczy fonia – pytaj. Chcesz dostąpić holowizji – potrafię roztoczyć przed tobą każdy pejzaż.

Janko uderzył się w piersi.

Pięść twardo stuknęła o srebrzysty ekran. Jeszcze rozchylił kurtkę – Jonas przejrzał się w nieco wypukłym zwierciadle. Nie dano mu czasu na zachwycanie się własną podobizną – Janko znowu siedział przed nim zapięty po szyję.

– Nigdy więcej nie pytaj, co czuje Bio–Łącze – powiedział. – Mój umierający ojciec radził: jeśli chcesz przetrwać – pamiętaj. Jestem więc waszą pamięcią, odtąd również twoją. Każdy z was posiada jej część, ale tylko tacy jak my mają dostęp do pamięci wszechrzeczy. I nic nie znaczy, że jesteśmy wyłącznie przekaznikami informacji między wami a Informatycznym Systemem. Tylko ci przetrwają, których jednoczy Pamięć. Pamięć jest bardziej niebezpieczna od miecza. A ja jestem wyłącznie PAMIĘCIĄ.

Jonas odstawił swoją filiżankę.

– Mocno powiedziane – stwierdził.

Trzeba się zbierać, pomyślał. Najwyższy czas zjawić się w CETI, w Sekcji Łączności. Pewnie ich klną tam na czym świat stoi, a na wezwania z innych Enklaw odpowiadają: Nasz Megaloxantha lubi się pętać.

Chciał wstać, kiedy dostrzegł książkę spoczywającą na kocu między nim a Bio–Łączem. Sięgnął po nią pierwszy. Ręka Janko pozostała zawieszona w powietrzu.

Nie bardzo wiedział, po co to robi. Bio–Łącze patrzyło na niego ogromnymi, pustymi oczami, kiedy pozwolił książce samej otworzyć się w rękę i przeczytał od góry strony:

*„...Dwa stawy pochylili ku sobie oblicza  
Jako para kochanków: prawy staw miał wody  
Gładkie i czyste jako dziewicze jagody;  
Lewy ciemniejszy nieco, jako twarz młodziana  
Smagła i już męskim puchem osypana.  
Prawy złocistym piaskiem połyskał się wkoło  
Jak gdyby włosem jasnym; a lewego czoło  
Najeżone łozami, wierzbami czubate;  
Oba stawy ubrane w zieloności szatę...”*

## 8. PROGI WTAJEMNICZENIA

Gdzieś się zapodziała ulotność kochanka Seleny i ostatecznie zwartym pancerzem zasklepiła się przezroczystość jego skrzydeł. Ziemskie ciężenie niweluje wznioślejsze próby ewolucji. Tej przynajmniej, która chciałaby dostąpić Postaci Szerna ponad próchnem i śmiertelnym bełkotem ziemskiej biosfery, poza smrodliwym wyziewem Industrialno–Urbanistycznego Masywu, stanowiącego opokę Enklaw. W królestwie Rojników, Kostropianów i Wpleszczy możesz być tylko ich nadwornym chrząszczem.

Janko obejrzał się za Megaloxantha.

Postać Jonasa Hebrejczyka znieruchomiała w tunelu. Wyższy od ludzi, głową prawie sięgał stropu. Skórzaste fałdy zasklepiły twardą skorupę wokół jego piersi. Jakby się cały od wewnątrz zaspawał w pancerz. Nawet spod okapu czaszko–hełmu dwie przezroczyste łuski nasunęły się na oczy i zrosły z płaskim kamieniem twarzy. Wbrew oczekiwaniom te zmiany upodobniły go do człowieka. Ciasno oblekający pancerz urealnił reliktowe związki z kształtem homo sapiens. Do tego czaszka osadzona na mocnym karku, masywny tors, ręce i nogi z wierzchu oplecione szklanymi ścięgnami – optymalna forma dla zaciągu w szeregi Endogenicznej Armii. Bez ulotności, wrażliwości, skrzydlatej błoniastości i zdradliwego przezrocza.

Zbroja czyni człowiekiem. Nawet Megaloxanthę.

– Czasami zdaje mi się, że wszechświat zawiera w sobie własne zwierciadlane odbicie – powiedział chrząszcz – Megaloxantha.

Zamilkł, jakby ciąg dalszy odciął metalicznymi nożycami warg.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – niepewnie odezwał się Janko.

Uważnie przyglądał się Jonasowi. Megaloxantha wyglądał tak, jakby nie miał zamiaru ruszyć się z miejsca.

– Jako ja sam w sobie – odezwał się znowu.

Chwilę bezdźwięcznie poruszał ustami. Zdawało się, że martwym wzrokiem przeniknął Rdzeń THARSYS w poszukiwaniu świadomości koczującej poza Enklawą.

– ISTNIENIE POSZUKUJĄCE SPEŁNIENIA. ZWIERCIADŁO, KTÓRE ZAWIERA W SOBIE ARCHETYP WYŻSZEJ RZECZYWISTOŚCI... JUŻ POZA DOCZESNOŚCIĄ...

Janko patrzył jak zaczarowany. W piersi Megaloxanthy, niezależnie od poruszania warg, jakaś siła powołała głos tak niski i powolny, aż ledwie się ocierał o granice artykulacji przyswajanej przez ludzkie ucho. Megaloxantha mówił przed siebie. Do nikogo:

– ...A PRZECIEŻ JESTEM JESZCZE – OGRANICZONOŚCIĄ JAŻNI ALBO

GRAWITACJĄ, W PEŁCZERZU WSZECHŚWIATA, KTÓRY – MIAST DAŻYĆ DO KRYSTALICZNEGO JĄDRA – ROZWICHRZA SIĘ NA STRZĘPY, W LOKALNE IMPERIA ASOCJACJI – ZAKWITAJĄ I WIĘDNĄ, ZANIM JE OGARNIE MOJA ZŁUDNA, NIESPEŁNIONA WSZECHWŁADNOŚĆ... NIGDY NAPRAWDĘ JAŻŃ NIE ZDOŁAŁA ZJEDNOCZYĆ FILOZOFII Z CIAŁEM...

Głos umilkł równie nieoczekiwanie, jak przedtem wzrok Megaloxanthy zapadł się w nieobecność. W rozjaśnionej przed nim mgle Jonas dostrzegł bladą twarz Bio-Łącza.

– Nie dosłyszałem – powiedział Jonas.

– To ja słuchałem – odparło Bio-Łącze.

Jonas rozejrzył się.

– I cóż cię wprowadziło w takie osłupienie?

– W każdym z nas jest PAMIĘĆ – powiedziało Bio-Łącze bacznie przypatrując się Jonasowi. – Nie tylko nasza własna. Istniejemy nierozdzielnie z otaczającym nas światem. Wszyscy czerpiemy z tej samej kartoteki znaków. Przerzucamy tę samą bibliotekę symboli. Tylko prawie nigdy dwie ręce nie ujmują tej samej książki. Obecność kogoś jeszcze w tej bibliotece potrafimy wydedukować tylko z powszechnej entropii znajdującej swój wyraz w zużywaniu się kolejnych tomów... Albo z trudnych do rozszyfrowania notatek na stronach książek. Nic nie słyszałeś?

Jonas zastanowił się.

– Nie mam za sobą Informatycznego Systemu – powiedział – żeby mi podpowiadał wszystko, co ujdzie mojej uwadze.

– Więc idźmy dalej – powiedziało Bio-Łącze.

Przed nimi coraz więcej rozgałęzień odchodziło od tunelu, którym prowadził Janko. Ujawniała się wewnętrzna struktura Rdzenia – labirynt korytarzy, metalicznych jaskiń, ślepych zaułków zacopowanych szklanymi przeponami, półprzezroczystymi, za którymi snuły się barwne plamy, w zbliżeniu przybierające kształt ludzkich postaci – rozplywających się w oddaleniu, przenikających nawzajem. Jak wyjaśnił Janko tunele i specjalne pochylnie, transmisyjne pasy i łożyska pneumatycznych wind rozpoczynały swój bieg i zawijały pętle w punkcie styku z Centralnym Szybem Komunikacyjnym THARSYS. Inne szlaki transportowe odciążały Piony Dostawcze poszczególnych Modułów Fabrycznych z najniższych poziomów Enklawy, żeby odpowiednimi kanałami i zsykami komór krematoryjnych schodzić się w jedną *Cloaca Maxima*. Zasadnicze nawarstwienia Przetrawników znajdowały się w zewnętrznym plastrze, bezpośrednio pod pancierzem Kopuły, lecz i tutaj Jonas zauważył ludzi sprawiających wrażenie stałych mieszkańców Rdzenia. Nie zmierzali donikąd, specjalnie nie zajmowali się niczym – po prostu byli tutaj. Często z korytarzy zaślepionych szklanymi przeponami Jonas czuł na sobie czyjś wzrok.



Lecz nie zauważył postaci odprowadzającej go spojrzeniem. Mało kto zwracał na niego uwagę, chociaż wydawało mu się, że wyczuwa dokoła obecność większej liczby ludzi, niż to potrafiły potwierdzić oczy. Wiele było tu śladów bytowania. Wszędzie walało się mnóstwo kolorowych śmieci, jakieś kartony, pojemniki ze sztucznego tworzywa, szmaty, przemysłnie zdewastowane urządzenia techniczne – trudne do rozpoznania, a przede wszystkim – papiery, papierki, bajecznie kolorowe konfetti. Nawet w ciemnych kątach, gdzie nazbierały się całe zwałowiska śmieci, Jonas nie dostrzegł śladu kurzu. Idealnie czyste chodniki, jakby świeżo zmyte ściany – chociaż miejscami zwisały z nich strzępy plakatów, pożółkłe obwieszczenia, całe połacie byle jak ponaklejanych karteluszków. Nieodparcie nasuwało to wizję ogromnej maszyny do robienia porządków w tych korytarzach, która powoli przesuwając swoją masę przez labirynt przejść, pęcznieje i wydłuża się w ciasnych przepustach, niby wilgotny czerw, który całą powierzchnią swego ciała czyści, szoruje, płucze, suszy, sterylizuje, czyniąc to jednocześnie tak delikatnie, żeby niczego nie naruszyć. Dla spokoju duszy ludzi pragnących żyć na śmietniku. W rupieciarni nawarstwiającej się przez wieki. Ciekawe, pomyślał Jonas, jak też ten wycior omija ludzi. Może otwiera chętny przełyk i zaprasza do środka, śpiących po kątach też podbiera skrzętnie, potem czyści, szoruje, dopieszcza i sterylizuje, żeby za sobą odłożyć w jakiś przytulny zakątek. I kiedy się zbudzisz znowu jesteś czysty, wyszorowany starannie, odreagowany i bezpłodny.

Jonas chciał już zapytać Bio-Łącze, czemu go poprowadziło tędy. Trudno było przypuścić, że jest to najprostsza droga do Szybu Komunikacyjnego, mającego ich dostarczyć do CETI.

Nawet wyciągnął ramię w stronę Bio-Łącza, kiedy nad jego głową spostrzegł ogromną postać – ciemną sylwetkę na całej ścianie.

Bio-Łącze przeszło obok.

Jonas zatrzymał się przed plakatem nieco krzywo przyklejonym do ściany. Więcej ich tutaj było, najprzeróżniejszych; po prawej i lewej stronie pstrokatymi plamami odchodzące w głąb korytarzy. Jeden przykuł jego uwagę.

Najpierw widział tylko czarną pelerynę od dołu podświetloną czerwonym płomieniem i ogromny but uniesiony nad tym ogniskiem. Wystarczy uderzyć nogą i zdusi w zarodku pożogę. Raz podkutym obcasem – przylgnął do niego krwawy płomień.

Jonas uniósł wzrok. Czarna postać szczelnie otulona czarną oponczą. Aż Megaloxantha musi pokornie spojrzeć z dołu. Tam wysoko uniesione, ramię, w dłoni maska odjęta od twarzy. Odchylona głowa. Świetliste włosy rozwiane miękkimi pasmami i twarz jasna, spokojna, niepatrząca pod nogi. Pod szerokim czołem żywe oczy z ufnością szukające nieskończoności. Łagodnie skrojone usta i mocny

podbródek.

Poniżej ramienia nadruk wielkimi złotymi literami:

SPRZĘŻENIE ZWROTNE  
CHRONI

POMAGA

WYCHOWUJE

Ktoś z boku wyskrobał bardziej niż dopisał czerwonym pisakiem: „Jesteśmy powołani do tego, żeby burzyć, a nie budować; budować będą inni, lepsi, rozumniejsi i świeżsi od nas!”.

Jonas oderwał wzrok od plakatu, chociaż ogromny but ciężący nad niewiadomym ogniem, jak magnes przyciągał oczy. W perspektywie korytarza Bio-Łącze czekało na Megaloxanthę. Ruszył w jego stronę powoli, co pewien czas zatrzymując się, żeby odczytać jakieś hasło. Trafiały się zwięzłe na sporych rozmiarów afiszach, to znów manifesty prawie drukowane na ulotkach przyklejonych gdzie popadnie – wyznania wiary, przekleństwa, nic Jonasowi nie mówiące slogany, barwne reklamówki – wszystko upstrzone przypiskami, rysunkami stanowiącymi dla Selenity wyłącznie kabalistyczne znaki. Przeczytał między nimi: „Jestem blokiem gładkiego granitu, którego niczyja ręka nie może pochwycić”. Nieco dalej: „Przygotujmy się, a kiedy wybijie godzina, niech każdy z nas spełni swój obowiązek”. Niespodziewanie pojawił się przed nim Księżyc w pełni. Ogromny, kostropaty jasnymi obwódkami kraterów, nisko nawisły nad rozłamem skołtunionej ciemności – z wierzchu wysrebrzonej księżycową poświatą, wewnątrz rozchylającej pionową szczelinę, kędy wypływa jednocześnie niematerialna i lubieżna różowość – aż Jonas odstąpił krok od ściany; wydało mu się, że półnaga nimfa gotowa jest zstąpić z plakatu, żeby on – Megaloxantha – ugasił gorączkę jej ciała. Czuł na sobie uważne spojrzenie Bio-Łącza. Zaczął czytać ulotkę przyklejoną obok: „... Ewolucja społeczna zaciera różnice klasowe. Kiedy cała Informacja zostanie skupiona w ręku społeczeństwa, poprzez zjednoczenie się proletariatu z Informatycznym Systemem, znikają dawne relacje rozdziału czy monopolu Informacji, co automatycznie znosi warunki istnienia przeciwieństw klasowych, w ogóle znosi klasy i tym samym klasowe pojęcie Władzy...”.

Tam, gdzie zatrzymał się Janko, jaskrawożółty afisz proklamował Stan Oblężenia i zaciąg w szeregi Endogenicznej. Czerwone pasmo naklejone z wierzchu w poprzek sprężonej sylwetki komandosa głosiło: „Wszystko dla Państwa – Nic poza Państwem – Nic przeciw Państwu”. Dalej ktoś brunatną farbą w aerozolu poprowadził kulfoniaste PRECZ ZE SKURWYSYNAMI! PRECZ Z GENOMUTAMI! PRECZ Z INFORMACJĄ! PRECZ Z TOBĄ – KIMKOLWIEK JESTEŚ!

No proszę, pomyślał Jonas. Raz jeszcze ktoś popracował ręką zamiast głową. Należało być przewidującym i dopisać: WON STAD, MEGALOXANTHO!

Zbliżył się do Bio-Łącza.

– Mam pytanie – powiedział. – Dlaczego zaprowadziłeś mnie tutaj?

– Lubię tędy przechodzić – odparł Janko.

– Lubisz?! – Jonas przejechał wzrokiem przez zwały śmieci odgarnięte z osi korytarza tylko na tyle, żeby jedna osoba mogła postępować dalej nie rozrzucając papierów.

– Podoba mi się tutaj – potwierdził Janko. – Nie cierpię gołych ścian. Puste ściany to martwe ściany – cokolwiek za sobą kryją. Ściany muszą żyć. Aby tego dostąpić muszą być kroniką dnia. I krzyżeć. Albo milczeć – ale nigdy nie przez nieuczestniczenie w codzienności. Ściany to jedyny powszechnie dostępny publikator, jedyny egzemplarz dla milionów, który możesz samemu aktualizować... Również o własne problemy.

– Pokażesz, gdzie się dopisałeś? – zażartował Jonas.

– Tutaj dawno nikt niczego nie zmienił – poważnie stwierdził Janko.

– Brak chętnych do redagowania aktualności? – roześmiał się Jonas.

– W tym świecie nic się nie zmieniło od dawna. I tak pozostanie do końca. Cóż chciałbyś dopisać? Pozostają przekleństwa. Ale to nie każdego bawi. I trzeba dysponować piekielną inwencją. Poza tym... istnieją sprawy, których się żadne przekleństwo nie ima.

– To twój pogląd czy Informatycznego Systemu? – zapytał Jonas. – Zresztą, dajmy spokój. Mam inne pytanie. Możesz mi wyjaśnić czy Sztab Endogenicznej brał udział w negocjacjach z Kliniką-Matką?

– Nie – zdecydowanie odparł Janko.

– Więc Sztab Armii nie współdziałał w organizowaniu akcji zrzutu komandosów Kliniki Mechanurystycznej Księżyca. Czy to nie zastanawiające? Jednak ten oficer posłuchał ciebie, kiedy zjawiłeś się po mnie.

– Z Feretriusem znamy się prywatnie. Poza tym wszelkie działania wewnątrz Enklawy koordynuje Informatyczny System.

– Jak to wygląda w praktyce? – zapytał Jonas.

– Wymień ewentualność – zaproponowało Bio-Łącze.

– Co to znaczy?

– Posiadasz Stopień Wtajemniczenia według normatywu Kliniki-Matki. Nie mogę ingerować w zasób informacji, jaki zawdzięczasz Klinice Księżyca; nie mam również prawa ograniczać swobody poczynań Samodzielnej Jednostki Endoskopijnej sprowadzonej za porozumieniem, którego jedną ze stron był Informatyczny System. Zobowiązany jestem nawet służyć informacją w każdej sytuacji. Nie znaczy to jednak,

że powinienem tobie sugerować rozwiązania naszych problemów.

– Przez dostarczenie pełnej informacji? – zdziwił się Jonas.

– Gdybyśmy posiadali pełną informację, nie byłbyś potrzebny. Według naszego rozeznania posiadamy informację rzeczywiście pełną i pewną. Tylko co z tego wynika? Widocznie sytuacja Enklawy zabrnęła w taką uliczkę, że dla wyprowadzenia z niej potrzebne było spojrzenie z zewnątrz. Czy chcesz, czy nie chcesz masz za zadanie wyrobić sobie własny punkt widzenia – Janko zastanowił się przez moment. – Co nie gwarantuje, oczywiście, że ktokolwiek z tego skorzysta, choćby okazało się prawdą obiektywną.

– Bezsens – stwierdził Jonas. – O co więc chodziło z tymi ewentualnościami?

– Ty wybierasz kierunek. Stawiasz tezę. Jeśli Informatyczny System potrafi ją udowodnić – otrzymujesz potrzebne dane, ewentualnie potwierdzenie słuszności twojego założenia. Nie znaczy to, że inni komandosi, którzy trafili do sąsiednich Enklaw, na tak samo postawiony problem uzyskają analogiczną odpowiedź. Nie istnieje informacja obiektywna, tylko jej interpretacja. Dotyczy to ogniw Informatycznego Systemu tak samo jak ludzi. Co jeszcze... Informatyczny System przyjął zasadę nie udzielania ci żadnych ukierunkowujących informacji z tego przede wszystkim względu, że trudno określić, jakie dane mogą być konstruktywne w rozwiązaniu najpilniejszych problemów.

– Nawet jeśli chodzi o dane na temat funkcjonowania Informatycznego Systemu? – zapytał Jonas.

– Nie ma wyjątków. Poza tym, gdybyś za pośrednictwem Bio-Łącza próbował uzyskać wszelką informację dotyczącą historii Inwazji, prawdopodobnie nie miałbyś okazji do podjęcia jakiegokolwiek działania. Jako komandos z pewnością przyznasz nieco racji twierdzeniu, że jedno uderzenie pięścią załatwia często więcej niż intensywna aktywność umysłowa. W sytuacji Enklawy THARSYS, i nie tylko, radykalizm środków nikogo nie przerazi. Liczy się efektywność.

Jonas położył rękę na ramieniu Bio-Łącza i wskazał główny ciąg korytarza.

– A propos działania – powiedział. – Daleko stąd do CETI?

– Kilkanaście minut marszu. Z przeniesieniem przez Szyb Komunikacyjny.

– Połączmy więc aktywność psychiczną i somatyczną – zaproponował. –

Porozmawiajmy po drodze.

Ruszyli przed siebie. Jonas przemógł chęć obejrzenia się na czarną postać z plakatu.

– Mówiliśmy o koordynacyjnych funkcjach Informatycznego Systemu – podjął na nowo. – Wyobrażam to sobie następująco: decydenci Enklawy posiadają ograniczoną możliwość manewru w nauce, gospodarce, polityce społecznej i kulturalnej, w sprawach bezpieczeństwa wewnętrznego i strategii Armii, na rzecz Informatycznego

Systemu pełniącego rolę gwaranta społecznej i ekonomicznej stabilizacji Enklawy THARSYS. Można tu mówić o władzy centralnej?

– Nie bardzo.

– Więc co to jest? Opatrzność?

– W przyrodzie istnieją zjawiska samorzutnego organizowania się równowagi ekologicznej, nawet przy zachowaniu dynamiki ewolucyjnej.

– Informatyczny System tę organizację przenosi tylko w płaszczyznę społeczną?

– To była moja prywatna dygresja – stwierdziło Bio-Łącze. – To ty powinienes określić funkcje Informatycznego Systemu. Mogą one odbiegać od teoretycznego założenia. A jeżeli Informatyczny System pełni rolę inną, niż to nam się zdaje?

– Jest to możliwe? – zdumiał się Jonas.

– Zostało nam tak niewiele, że można sobie pozwolić na każde założenie. Te trzymające się zdrowego rozsądku nie poradziły sobie z problemem Inwazji.

Jonas pokręcił głową. Przyszło mu na myśl, że więcej informacji zyskałby kierując zainteresowanie na napisy, którymi ściany upstrzone były na każdym kroku. W przelocie zarejestrował tylko jedno hasło: „Wojna jest rzeczą radosną – więcej z niej rodzi się niż z miłości!”

– Nie wysłano mnie tutaj, żebym rozgryzał wasz system etyczny czy polityczny – powiedział Jonas Hebrejczyk. – Interesuje mnie to, co mogłoby współdziałać czy wręcz narzucić całej Enklawie sposób powstrzymania ostatecznej implozji Enklawy THARSYS. Jeśli taki się znajdzie. Na ile mogę liczyć na twój Informatyczny System?

– Jeśli chodzi o poparcie moralne... – w głosie Bio-Łącza nie było wesołości. – Od czasu przesunięcia Pierwszej Linii pod pancierz Kopuły i po reorganizacji Armii w Armię Endogeniczną, wreszcie po przyjęciu kompetencji naczelnego dowództwa przez obecny Sztab, Armia wykazuje znaczną niezależność strategiczną. Może, ale nie musi, przychylić się do sugestii Informatycznego Systemu.

Jonasowi przyszło do głowy, że w każdym totalitarnym systemie ostatecznie w miarę sprawną formacją staje się Armia względnie Policja, jedynie pewne filary wszelkiej państwowości. Dalej toczy się zgodnie ze starą zasadą, kiedy „lud stał się mięsem i ciastem, które żywi i utrzymuje w ruchu maszynę państwa. Szkielet pożera otaczające go ciało. Kościotrup staje się właścicielem i mieszkańcem domu”.

Tą myślą nie podzielił się z Bio-Łączem.

– Poza tym Armia ma swoich ekspertów – powiedział Janko. – Poznałeś Stinsona.

– Stary profesor? – zdziwił się Jonas. – Teraz rozumiem, czemu mnie do niego posłano na pierwszy ogień. Gdyby jego przekonać... Niech to diabli! Nie mogli sobie wynaleźć mniej upartego eksperta? Posłuchaj, Janko. Dlaczego właściwie nie mogą z resztą zrzutu skontaktować się za twoim pośrednictwem?

– Z innymi Enklawami? Zasięg Bio-Łącza obejmuje tylko lokalne centrum

komputerowe.

– Mimo tego, że Informatyczny System stanowi całość w skali globu?

– Nie stanowi. Były próby sprzężenia. Trudno je kontynuować w stanie permanentnego obciążenia. Nie we wszystkich Enklawach Moduły CETI pełnią nawet funkcje nadawczo – odbiorcze. Większość nastawiona jest na odbiór. Żeby dokonać sprzężenia Informatycznego Systemu w skali całego globu potrzeba czasu i energii. Przede wszystkim czasu.

– Informatyczny System wyliczył, ile nam zostało do końca świata? – zażartował Jonas. – Ile nam jeszcze daje?

– Została ta noc i jutrzejszy dzień. Jonas zwolnił krok. Wreszcie przystanął.

– Ty to... poważnie? – zapytał.

Przed nim ktoś napisał na murze wyznanie pełne zachwytu: JESTEM NAŻARTY! JESTEM SZCZĘŚLIWY! JESTEM NAŻARTY! JESTEM WDZIĘCZNY!

– Jeszcze raz powtórz – rozkazał.

– Noc i dzień.

– Dopiero teraz mówisz?!

– To ostatnie obliczenia Informatycznego Systemu.

– Co się stało?!

– Puść mnie – niezbyt pewnym głosem odezwał się Janko.

– Co? – nie zrozumiał Jonas.

– Puść mnie.

Teraz dopiero spostrzegł, że swoimi ogromnymi rękami tak ścisnął Bio-Łącze za ramiona, aż Janko uniósł się na palce. Puścił go wreszcie.

– Mów, co się stało – ponaglał.

– Według szacunkowych obliczeń Informatycznego Systemu napięcie na obwodzie Pierwszej Linii dziś w nocy przekroczy granicę konsolidacji Endogenicznej. Rozstrzygnie jutrzejszy dzień.

– Chodźmy – powiedział Jonas.

Wyminął Bio-Łącze i sam poprowadził w nie kończącą się perspektywę wytapetowaną plakatami.

Przed nimi coś zadudniło. Wyczuwalny też stawał się ruch powietrza. Coraz więcej rozwidleń odchodziło od tunelu na boki – jedne prawie zasypane kolorowymi śmieciami, inne nie wiadomo dlaczego zakratowane od ściany do ściany.

Jonas byłby się potknął o coś, co się walało w przejściu, gdyby ciężar ciała po prostu nie rozduśił jakiejś skorupy wypełnionej sprężynami, prymitywnymi zębatkami, różnokolorowymi drucikami. Zupełnie jak mechaniczna zabawka. Leżały tu tego całe stosy. Szmaty, szmatki, plastik, druty. Zdawało mu się, że spod trudnych

do określenia rupieci uśmiechnęła się do niego ślicznymi, smutnymi oczami różowo – błękitna twarz lalki. Omal sam nie parsknął śmiechem – dziecinne zabawki!

– Ostatnie pytanie – przez ramię zwrócił się do spieszącego za nim Bio–Łacza. – Co to znaczy MAKONDE?

Jak nożem ucięło odgłos kroków Bio–Łacza. Musiał się obejrzeć i ponaglić wzrokiem. Jakby się Janko natknął na barierę zgęstniałego powietrza.

Powoli, z rękami znowu wdławionymi w kieszenie bluzy, ruszył za Jonasem.

– Kartoteka Informatycznego Systemu zawiera hasło MAKONDE w dziale osobowym. Bliższe dane zostały skasowane niedługo po rozpadnięciu się Układu Enklaw.

– Nie obchodzi mnie oficjalna kartoteka! – wybuchnął Jonas.

– Ojciec mój opowiadał, że przed sformowaniem Endogenicznej nastąpił rozłam poprzedniej Armii. Brak danych, co stało się z uczestnikami puczu, którzy nie weszli do Endogenicznej.

– Dalej!

– Dowódcą tamtej grupy, związanej ponadto z Enklawami TABOR, OGRODY SEMIRAMIDY oraz CHIŃSKI MUR, był pułkownik Makonde.

– Czas! – zażądał Jonas.

– Dochodzi dwudziesta.

– Ile lat minęło od tego cholernego puczu!

– Pięćdziesiąt dwa.

– Psiakrew! Sądzisz, że ten człowiek jeszcze żyje?

– Gdzie? – zdumiało się Bio–Łące.

– Obojętnie! – zirytował się Jonas. – Ile miałby dziś lat?

– W czasie puczu pułkownik Makonde, był od mojego ojca... Musiał mieć około sześćdziesiątki.

– Sto kilkanaście – mruknął do siebie Jonas. – Źle, źle.

Tunel podporządkował się wreszcie potężnej obwodnicy, dochodzącej bezpośrednio przed stacją przesyłową Szybu. Tu już panował ruch – estakady wijące się w powietrzu wstrzeliwały jakieś cienie, prześwitujące przez ich obłe cielska, prosto w cembrowinę Szybu. Dołem przemknęło kilkanaście rtęciowych kropli – w pędzie wyzbyły się tamtej ociążałości, która jednoczyła je w zwarty szereg. Za nimi pociągnął brzękliwy jęk i zadławił się w jakimś tunelu. Tuż przed nimi całymi seriami przelatywały szklane cylindry i nurkowały w dziesiątkach lejów odchodzących od ciemnobordowej, nieznacznie wybrzuszonej cembrowiny. Nikt więcej nie wybierał się pieszo w kierunku, skąd przyszli, ani tam, dokąd zmierzali.

Ledwie to Jonas zauważył, kiedy i przed nimi wyhamowała, po czym zaprosiła do środka identyczna szklana łuska. Wsiadli bez słowa. Już w środku Jonas postukał w

szybę.

– A mówiłeś, że tu się nic nie zmienia – powiedział.

Janko zwrócił ku niemu twarz białą jak śmierć. Jakiś człowiek wyjmował tam z torby i naklejał na ścianie afisze jaśniejsze od innych. Kapsuła nabierała pędu.



## 9. ALERT W ZAŚWIATY

Na najwyższym poziomie Enklawy THARSYS jej czarny Rdzeń przechodził w Moduł CETI – nieco węższy filar, podpierający srebrzystą, od wewnątrz nieprzezroczystą kopułę.

Ledwie przekroczyli progi CETI, kiedy Jonas poczuł na sobie spojrzenia wielu par oczu. Coś tu się kotłowało, przepływało złotymi warstwami wypełnionymi energią. Jacyś ludzie brodzili w tym świetle, to znów w skupieniu trwali nad ażurowymi węzłami, spod których wysnuwały się wachlarze światłowodów. Cała przestrzeń była wypełniona tymi pajęczymi radiolariami. Ludzie tkwili w gniazdach uformowanych przez zagęszczenia osnowy albo krzatali się w rozrzedzeniu promieni. Coraz dalsi podnosili głowy i zwracali twarze w stronę Jonasa i Bio-Łącza. Jakby ich pobudzała na wskroś przenikająca fala. Jej grzbiet odchodził coraz dalej – kolejne przebudzone twarze.

Nie zdążyli się zorientować, czym tak pilnie zajęci byli pracownicy CETI. Miał uczucie, jakby wkroczył na zaplecze gigantycznego teatru, gdzie mrówcza krzątająca obsługa technicznej jeszcze dopieszcza dekoracje, stroi światło i dźwięk, doprasowuje kostiumy i na twarze aktorów nakłada świetlny makijaż. Wszystko poza sceną, w cieniu kotary opuszczonej z nieba do ziemi.

Jeszcze się nie rozpoczął spektakl. I nie wiadomo nawet czy główny reżyser – kimkolwiek jest – spuści akcję ze smyczy, żeby anteny Modułu CETI rzuciły w eter to Oratorium Umarłych. Ostatnie tchnienie nad zgliszczą Epoki IUM – Industrialno-Urbanistycznego Masywu. Dokąd? Gdziekolwiek zostały uszy, którym żałobne pienia w ich własnych domach nie zbrzydły na tyle, żeby wysłuchać sąsiadów. Jeśli zabraknie ich w ziemskich Enklawach – można zawyć do Księżyca. Albo poskarżyć się gwiazdom.

Jonasowi i Bio-Łączu wystarczyło kilkanaście kroków, żeby – nie czekając na zgodę Reżysera albo za jego cichym przyzwoleniem – przeniknąć zasłonę i stanąć na scenie. Jonas odruchowo obejrzał się przez ramię – za nimi zasklepiła się bez śladu doskonale czarna membrana – bariera światła.

Ktoś podszedł do nich. Wysoki, chudy mężczyzna. Jakby gorączką zamglone oczy. Na ramionach miał narzucony brudny, przykurzony i tłustymi plamami pokryty fartuch. Kiedyś był biały. Mężczyzna uniósł smętną fizjonomię z luźnymi fałdami suchej skóry zwisającymi od podbródka po szyję. Dociekliwie zmrużył oczy krótkowidza, zaciągnięte czymś mętym, jakby zbyt długo wytrzeszczał oczy w gwiazdy, aż mu wypukłość ocznej gałki przyprószył nawiany z kosmosu opad pyłowych chmur.

Przyślepie – pomyślał Jonas. Ten tymczasem przyglądał mu się melancholijnie, jak czemuś wielkiemu i dziwacznemu, co – Bóg raczy wiedzieć dlaczego – wprowadzono tutaj bez klatki.

– Jonas Hebrejczyk? – zapytał Przyślepie.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział Jonas.

– Śledząc gwiazdy człowiek uczy się cierpliwości – powiedział mężczyzna i odstąpił w bok, dłonią zapraszając ich dalej. – Coś was zatrzymało?

– Sądziłem, że trzeba się najpierw rozejrzeć w sytuacji.

– No i...?

– Myliłem się.

Teraz dopiero uważniej rozejrzał się wkoło. W centrum pustego kręgu stały cztery fotele. Wysokie oparcia pozwalały chyba odchyłać się aż do pozycji poziomej. Oszczędna scenografia – pomyślał Jonas. Bardziej to przypominało lekko zakłęśnięte, lustrzane dno teleskopu optycznego, niż scenę studyjną Modułu Nadawczo–Odbiorczego CETI. Ciemne ściany pionowej studni strzelały tak wysoko, że dopiero zadzierając głowę dostrzegało się w zenicie skrawek zwyczajnego, czarnego nieba. Krąg wygwieżdżony na tyle, żeby nad dnem studni zbierało się światło wystarczające dla oświetlenia sceny.

Zwyczajne niebo – pomyślał Jonas. Gdzie jeszcze, poza Modułem CETI wyniesionym nad chmurny osad atmosfery, mieszkańcy Enklawy mogą obserwować gwiazdy na niebie czystym jak w Królestwie Seleny?

Nie pozostawało nic innego, tylko przysiąść we wskazanym fotelu.

– Jakie macie wiadomości? – zapytał Jonas.

Przyślepie oklapł w fotelu naprzeciwko. Między kolanami zwiesił chude, w łokciach przetrącone rączki i milczał. Kilka razy pociągnął nosem. Poprawił się, jakby jeszcze nie zdążył przypasować się do siedziska. Niepewnie łypnął na Jonasa. Raptem trzasnął palcami – między kciukiem a wskazującym palcem wyskoczył łuk elektryczności. Niebieski płomyk wyświetlił krzywo przycięty, brudny paznokieć. Ręka powędrowała pod nos i przypaliła tkwiący już w wargach papieros. Przyślepie zamachał rączką, jakby sobie przypalił paluszki.

Kuglarz – pomyślał Jonas.

– Mam mało czasu – powiedział Jonas.

– Różnie bywa z czasem – powiedział Przyślepie. – Zresztą, dokąd się spieszyć?

– O co chodzi?

Powietrze zaciągnęło smrodliwym zapachem. Chudzielec zakrztusił się dymem, zakasłał i w ciemność wystrzeliło jeszcze kilka fosforyzujących obłoczków – bach! bach! – gasnące w miarę oddalania od rozdziawionych ust.

– Nic nie wskazuje, że któryś z twoich braciszków ocalił skórę – wyznał Przyślepie.

Po raz pierwszy od chwili zrzutu Jonas poczuł się naprawdę nieswojo.

– Co to znaczy? – zapytał.

Jakby do teraz nie przykładał właściwej wagi do wizji tamtych komet eksplodujących nad powierzchnią planety albo do końca wygasających w atmosferze.

– Ktoś musiał ocaleć – powiedział.

– Wołałem z ucisku mego do Pana, i wysłuchał mnie – zadeklamował Przyślep. – Z brzucha piekła wołałem, i wysłuchałeś głos mój...

Chwilę milczał z pochyloną głową. Wreszcie dodał od siebie:

– Nie jestem Bogiem.

– Trzeba próbować – Jonas sam się zdziwił, że potrafi mówić tak martwym, pustym głosem.

– Drogi przyjacielu – Przyślep przyłożył do warg drżącą rękę, zaciągnął się głęboko i znowu nie oszczędził Jonasowi cuchnącego oddechu. – Jak myślisz, czym ja się tutaj zabawiam od paru godzin? To Wasza Ekscelencja raczyła się spacerować. Jakoś nie było pilno dowiedzieć się, czy można liczyć na koordynację przedsięwzięć, czy z brzucha behemota przyjdzie składać ręce do Boga. Może tym innym też nie spieszno do kontaktu. Każdy na własną rękę dłubie w próchni. I nikogo nie obchodzi, że paru frajerów z CETI wślepia się w bełkotliwość powietrza, fastryguje – co tylko tam brzęczy, w atmosferze. Wasza Ekscelencja pragnie mieć kontakt na zawołanie? Gwiazdy uczą cierpliwości, tylko dlatego chce mi się z wami rozmawiać.

Jonas poczuł, jak mu się pięści zaciskają na kolanach. Ten człowiek miał rację.

– Rozumiem i przepraszam – powiedział Jonas. – Mój błąd polega na tym, że chciałem najpierw nawiązać współpracę tu na miejscu z kimś, kto podejmuje wiążące decyzje w sprawach Enklawy.

– I co ci powiedzieli w Sztacie? – zapytał Przyślep.

– W jakim Sztacie?

– Endogenicznej.

Jonas wzruszył ramionami.

– Próbowałem najpierw porozmawiać z profesorem Stinsonem.

Nieoczekiwanie Przyślep aż się pochylił do przodu i zaczął przyglądać się Jonasowi z na nowo przebudzonym zainteresowaniem.

– Oho! Megaloxantha wystroił się w mundurek godny Endogenicznej – powiedział. – I co Stinson?

– Z wami trudno znaleźć wspólny język.

– Teraz wyobraź sobie, że twojego rozmówcę, z którym koniecznie musisz się dogadać, dzieli od ciebie najmniej kilkaset kilometrów. Czujesz? – głos Przyślepa wyzbył się uprzedniej napastliwości, był po prostu zmęczony. – I jeszcze próbujesz

laserową akupunkturą przetykać na wylot wzdęte bebechy tego biblijnego wieloryba. Co rusz synchronizację fali gubisz w eksplodujących Arrheniusach, cała energia wsiąka w pleśniawe wykwity samego powietrza, wreszcie potrafisz okiem wdepnąć wyłącznie w Zmrocznik Pochwiasty albo fosforyczną flegmę, jaką obłożyło szkiełko kolejnej Enklawy... To z wierzchu, co dopiero w konserwie.

– Tyle potrafisz zrozumieć – wyznał Jonas. – Dzięki mojemu spacerowi.

– Już oberwałeś? – zainteresował się Przyślep.

– Wystarczająco, żeby mieć wyobrazenie – pocieszył go Jonas. – Teraz interesuje mnie to tylko, czy są szansę na jakiś kontakt.

Przyślep bezradnie pokręcił głową.

– Nic? – Jonas nie dawał za wygraną.

Wreszcie poczuł się sam. Tak długo udawało się nie myśleć o tym. Po raz pierwszy zupełnie sam. Tylko dokoła coś szemrze. Popiskują szczury – długie, bezwłose, w srebrzystych kubrakach – jak je zapamiętał skręcające się w ogniu przed tyralierą na przedpolach lazaretu. Gdziekolwiek spojrzeć – jesteś sam. Choćby wzrok potrafił wyzwolić się spod kopuły nakrywającej Enklawę, THARSYS, a potem lotem koszącym prześlizgnął się nad strupieszalą równiną. Tam pewnie się przywidziało tylko – nikt już w prochu nie wypisze niczyjego imienia.

– Kameralność eta je słabe wyobrazenie – Przyślep pokręcił głową. – Musisz to zobaczyć.

Już się podnosił – przykurzony mistrz Łączności i Czarnej Magii, kiedy przypomniał sobie o Bio-Łączu. Z ulgą klapnął na swoje miejsce.

– Podłącz się, Janko – powiedział. – I pokaż mu.

Nie warto całego CETI rozpałać dla chybionej sprawy, jeśli potrafi zmieścić się w piersi Bio-Łączu.

Janko odstąpił pod czarną ścianę. Spod jasnej czupryny czystymi oczami patrzył mimo Jonasa. Jednocześnie ręką sięgnął do szyi. Powoli rozpiął błyskawiczny zamek bluzy – spektakl nagości albo harakiri. Lecz zamiast nagiej piersi znowu błysnęła srebrna tarcza. Jakby mu przez gardło wypchnęło wehikuł bojowy Endogenicznej. Rzęciowa kropla wypłynęła do przodu. Jeszcze przez nią majaczyły nieobecne oczy, gdy w środku wir zawiązał ciemny obłok – brakowało basowego pomruku, z jakim wykluwał się kostropianowy pomiot.

Jonas pomyślał jeszcze – jak im to jednak ułatwia życie. A przynajmniej podtrzymuje na duchu. Taki na przykład Stinson – powinien być wdzięczny, że pod ręką płacze się jakiś Janko Pytlak. Zawsze raźniej na duszy ze świadomością, że natura stworzyła Łączu bardziej od ciebie sprzężone z Systemem. Ty możesz zesać się na niewiedzę, z nadzieją, że tuż-tuż istnieje jednak absolut, tylko nie dostąpiłeś go jeszcze. Swobodę Bio-Łączu z żelazną konsekwencją ograniczają ramy Informacji,

poza tym funkcjonującej w skali całego społeczeństwa. Tę karmę dla ducha Bio-Łącze po prostu uzdatnia, czyni bardziej strawną dla form na wyższym szczeblu niezależności. Czytnik komputera podaje suche fakty, tutaj – można podyskutować. Znaki transformowane jednak przez mniej lub bardziej ludzką duszę. Roślina przyswaja słoneczną energię, zielskiem tuczy się zwierzę – człowiek wszelki owoc wrzuca w jeden kocioł. Między Człowiekiem a Słońcem istnieją ogniwa pośrednie. Między Obywatelem a Informatycznym Systemem istnieje Bio-Łącze.

W jego na boki rozdartej piersi właśnie rozwija się holowizyjny pejzaż. Możesz świat ogarnąć z lotu ptaka albo komandosów Seleny – tyle samo z nich dzisiaj zostało. Szkarłatny zachód słońca nad Dachem Świata. Pod nim walcem czasu ubity Industrialno-Urbanistyczny Masyw. Z wysoka wszystko widziane jako miałki szron, szary nalot na wypięte brzuszysko Ziemi – ten sam, co na oczach Przysłępa. Jak perły ze szlamu wynurzają się kopuły Enklaw. Ostatnie szzańce. Efekt przedśmiertnego spazmu budowniczych piramid i warownych zamków, architektów modern-biosfery, skutników Arki. Niektóre szzańce już wzięte. Kryształowe sfery zaparowane od wewnątrz wilgocią i pleśnią. Inne jeszcze obłożone. Tam można zajrzeć. Z powietrza widać wyraźnie, jak postępuje dywersja, a kędy przebiega linia ataków frontalnych. Goliat oberwał w środek czoła meteorytem zakażonym kosmiczną panspermią. Zachwiał się, przyklęknął, wreszcie ciężko runął na ziemię. Tylko się zamąciło wkoło, gdy zanurzył się w puchu szklanych stropów, stupiętrowych arkad, metalicznych gąszczy. Zanurzył się i nie wypłynął więcej. Lecz choćby chciał nie było mu dane przez śmietnik powierzchni dobić do prawdziwej ziemi. Pozostał zawieszony w prochu, utulony w parchatość Epoki IUM. Tylko ramionami sięgał nad powierzchnię. Nie starczyło skrzydeł – bodaj w dłonie zgarnąć lotną siłę powietrza, jeśli brak było odwagi, żeby się uchwycić kosmicznej przestrzeni. Tak pozostał – tylko palce nad zatrzaśniętą płytę nagrobną. Wierzchołki Enklaw takie właśnie sprawiają wrażenie – ledwie opuszki palców nad powszechnym szlamem, przykleszczone czasem, krwią nabiegłe pod szklanym paznokciem, czerniejące kolejno, gdy je śmierć obdarza pocałunkiem ostatnim.

A oni jeszcze nie złożyli broni. Spod kryształowych kopców, spoza zdartych paznokci – już się pod nimi zatechło i zsiniało mięso – jeszcze formują ekspedycje karne. Ogniem prażą gęstwiny metalicznych pnączy, kostropate wykwyty, sierściane bajora, wypalają wraki opuszczonych domów, do rdzy prześwielają wypatroszone wcześniej labirynty fabryk. Czasami gdzieś strzela w niebo ciężkie działo, pluje kłębem toksycznej tęczy, pełną gamą insektycydów i ekstrahentów, ze światłowodów utkany natrysk zrasza ugory mydlaną mgiełką – wywabiaczem, żrącym kwasem, pruje lancetami neutronowych eksplozji w mateczniki ciemne, gdzie chrapie po nocach Misza-saprofit.

To wszystko można dostrzec z góry. Można też spróbować przeniknąć głębiej, gdzie w swoich kesonach dwunożne czerwie szklanymi głowami łupią w ściany. Tam tylko oczy Bio-Łaczy mogą zaświadczyć o bohaterstwie ostatnich szańców. Tam też – jak echo – tylko Bio-Łacza snują się przez opuszczone korytarze w Domach Umarłych.

Lecz wzrok przeskakuje górą.

Aż po horyzont – kolejny palec szklany wytknięty nad próchno – rozwarstwiony poziomymi piętami. Tyle z oddalenia. U szczytu kopuły szczelina paznokcia – wzrok nurkuje w mroczną tuleję odbiornika CETI. W tej samej chwili ślepie. Anemiczne bielmo ze wszystkich stron ogarnia tych, którzy z Enklawy THARSYS wytknęli ślimacze oko. Jeszcze ich nie skręcił ból własnych trzewi i wydaje im się, że inni gdzieś potrafią się nie tylko zapamiętać w bólu, ale przed zgonem patrzeć poza siebie. Przynajmniej szukać Kontaktu w konstelacji innych Enklaw, jeśli laserowy penetrator CETI nie sięga kosmicznej przestrzeni.

– OGRODY SEMIRAMIDY – powiedział Przyślep.

– Tam przecież... – zaczął Jonas.

– Tli się? – zachichotał Przyślep. – Przyjrzyj się z zewnątrz. Masz dobrą wizję, gdyż OGRODY leżą stosunkowo niedaleko od THARSYS. Dalej w praktyce wykorzystywało się wzmocnienie wiązki przez lokalny Moduł CETI i dopiero przerzut obrazu w naszą stronę. Albo jeszcze dalej.

– W tych OGRODACH – przerwał mu Jonas – nikt nie potwierdza łączności?

– Od początku zrzutu prowadzimy nasłuch. Brak potwierdzenia odbioru nawet wiązki wzbudzającej.

– Co to znaczy? – zapytał Jonas.

– Nie tylko nikt nie odbiera naszego wywoławczego sygnału, ale nie odpowiada również automat stacji nadawczej.

– Nawet System Informatyczny nie podejmuje sygnału?

Przyślep przypalał drugiego papierosa, przed nosem błysnął rubinowym płomykiem.

– Trudno coś stwierdzić. W każdym bądź razie brak stałego sprzężenia. Poza tym pamiętajmy, że Informatyczny System wyłącznie przyjmuje i realizuje zlecenia.

– Jeśli nie szuka kontaktu, to nie przyjął zlecenia.

– Zgadza się.

– Chwileczkę – Jonas zastanowił się. – Znaczy to, że jesteśmy odcięci od świata?

Niespodziewanie chudzielec wtoczył ręce w kieszenie fartucha i ścisnął je między udami. Dym zaciśniętego w zębach papierosa wyłonił mu się aż za uszami, tak się pochylił do przodu. Ramiona mu zadrżały. Przyślep zanosił się chichotem.

– Świat? – zapytał przez zęby. – A może świat odcięty od nas? Hi-hi! Och! Masz

poczucie humoru.

Jonas poczuł wzbierający gniew. W tym ich rozbrajający urok – pomyślał. Przez tyle lat nic nie zrozumieli. Wreszcie oddali się pod Opatrzność Seleny, jakby dysponowała nadprzyrodzoną mocą, już czują nóż na gardle, a jednak potrafią się śmiać. Wątpliwe, aby istniała zasadnicza różnica między desperatem a błaznem.

– I tak jest wszędzie? – zapytał jeszcze.

– Janko, pokaż mu – rozkazał Przyślep.

Znowu prosto w twarz frunęły patrochy mgielne. Przez moment coś się zabarwiło – nawet – jeszcze szybciej zatchnęło bielmem.

– NGC 4381 – wyjaśnił Przyślep. Kolejne bielmo.

– ZŁOTA WOLNOŚĆ – powiedział Przyślep i splunął.

Jakby to samo ślepie zamrugało bez opamiętania. Tylko widmo Janko Pytlaka pojawiało się czasem na dalszym planie, poza kolapsującym obrazem. Stał z obnażoną piersią, z pobladłą twarzą. Co rusz nowy ogień rozpałał piersi – tym był podobny do Szerna, gdy – pomijając skrzydła – próbował dostąpić Postaci Władcy Kosmosu. Obok Przyślep dyktował swoje, jakby istniała różnica między TECHNOCHITLANEM a CHIŃSKIM MUREM, odmienność M 36 i RP LIRA albo SP PROGRES i WORONI-ŁAG. I można sobie krzyczyć, wołać w którąkolwiek stronę – może potępione dusze stawiają się na apel poległych. Choćby promień CETI sięgał na drugą półkulę, przez parchatą chmurność i nad kloaczne wyziewy. Cisza wszędzie. *Silentium universum* w konstelacji Enklaw. Prawdę powiedziało Bio-Łącze. Ostatnia noc. A potem Ostatnia Bitwa.

Jonas przestał śledzić meldunki Przyślepa i jednostajną odmianę półmroku i ślepoty.

– To wszystko? – zapytał.

– Co teraz poczniesz? – Przyślep wyciągnął zwiotczałą szyję i przyglądał mu się z zainteresowaniem.

– To niemożliwe – szepnął Jonas.

– Za mało nam zostało czasu, żeby się zabawiać w kłamstwo czy niesolidność. Co teraz poczniesz? – uparcie dopytywał się chudzielec.

Jonas ciężko podniósł się z fotela.

– Potrzebuję informacji. Informacji – powtórzył. – Żeby się za coś zahaczyć. Jeśli nawet Mechaneurystyczna posiada własną teorię, muszę znaleźć najpierw dowody na jej potwierdzenie, zanim tu kogokolwiek przekonam. I muszę wiedzieć, co nie dało rezultatu, a co Sztab Endogenicznej ma jeszcze w planie. Potrzebuję Stinsona. I przynajmniej jedno Bio-Łącze do mojej dyspozycji.

Przyślep zachichotał znowu.

– Stinsona możesz nawet przekonać, co z tego? Przyhołubisz Bio-Łącze? Janko

pewnie będzie się chętnie za tobą pętał – i tak połamiesz sobie zęby na Informatycznym Systemie. Armia ma własną strategię. Poza Armią też się ktoś znajdzie, kto się postara, żeby ci związać ręce...

- Nawet, jeśli będę miał rację? – zdumiał się Jonas.
- Nic nie wiesz, nic nie wiesz, przyjacielu.
- Jeśli natychmiast nie podejmie się drastycznych kroków...
- Zapewne wielu ludzi nie obudzi się przed świtem. Jeszcze mniej przeżyje dzień.
- Macie tego świadomość?! – prawie krzyknął Jonas.
- Oczywiście.
- Wszyscy?
- Wystarczająca większość.
- Jeśli ją przekonam...
- Bzdura – Przyślep lekceważąco machnął ręką. – Nikt tu darmo nie odda skóry.

To fakt. Kto tylko potrafi utrzymać broń będzie się bił do upadłego. Na własny sposób. Sposobów walki jest przynajmniej tyle, ile teorii motywujących Stan Obleżenia.

– Wątpisz w teorię Inwazji? – po raz pierwszy Jonas uważniej popatrzył na Przyślepa.

– Mam taki kaprys. Co z tego? Nie zdołaliśmy tu ujednoczyć światopoglądu – tym razem niezbyt wesoło przyznał Przyślep.

- A jeśli przyjdzie wszystkie siły rzucić na jedną szalę?!
- Ty ją wskażesz?

– Jak wszyscy Jonas bezradnie pokręcił głową. – Każdy ma własną metodę. To nic, że od lat nie dały efektu.

– Jesteś zdany na własne siły. To chciałem ci uświadomić – poważnie powiedział Przyślep. – Informatyczny System jakimś cudem zaaranżował twój zrzut z Mechaneurystycznej Kliniki Księżyca. Z nikim tego nie konsultował. Może mu było potrzebne, żeby wprowadzić dodatkowy czynnik dynamizujący poczynania Laboratoriów i Endogenicznej. Nie wiem. W każdym razie od chwili, kiedy znalazłeś się tutaj – na nikogo nie licz. Błogosław Niebiosa, że się tobie przynajmniej udało. Resztę zrzutu, widziałeś – diabli wzięli... Tak samo adresatów.

Długo trwali w milczeniu – Jonas zwrócony do wyjścia, Przyślep i Bio-Łącze jak sparaliżowani.

- Co teraz poczniesz? – po raz trzeci zagadnął Przyślep.

– Zrozumiałem i dziękuję przynajmniej za to – powiedział Jonas i ruszył do wyjścia. – Każdy na swój rachunek. Na tyle stać również Megaloxanthę, choćby to było bez sensu.

- Stój! – głośno zawołał Przyślep. – Janko, teraz mu pokaż. Jonas odwrócił się



powoli.

Tam strzępy chmur już śmigały na strony. W ułamku sekundy jego wzrok znurkował pod ich kudłatość. W powszechnej ciemności coś się na niego nasuwało, trudne do określenia, jakby oczy próbowały rozpoznać coś, co się ukryło za wielościannie polerowanym kryształem. Jednocześnie prawie, Jonas poczuł – przecież nie mógł słyszeć! – w ciszy zupełnej poczuł muzykę. Potężniejąca fala, coraz trafniej wpasowana we wniebowstąpienie monstrualnej budowli. Szklany zamek wyłaniał się z mroku, wzwyż zeszlony szpicami gotyckich wież – ich ostrza cięły obłoki. Dokoła noc, a przecież to coś widać, ta piramida jaśnieje od wewnątrz fosforycznym światłem, jeszcze w niej nie zgasło wszystko!

Raptem wzrok zapadł się. Czarna gardziel przyjęła go w siebie. Pękły jakieś wielowarstwowe żaluzje i Jonas zrozumiał, że jest w środku, przynajmniej wzrokiem.

A tam – aż krzyknął zaskoczony – wybiegła mu na spotkanie postać skrzydlata, szeroko rozpostarta błękitnoskóry Megaloxantha. Jonas uniósł rękę, jakby chciał go pozdrowić z zaświatów – tak skamieniał. Dostrzegł ramiona swojego brata przyszpilone do szklanego wieka, żelaznymi nitami przez błonę lotni, na wylot przez łokcie i dłonie. Jeszcze mu się jakaś pętla zakleszczyła na gardle – miedziana klamra. Leżał tak, rozpostarty, z rozpaczliwie uniesionym i tak zeszywniałym karkiem – tylko świadomość jeszcze się tliła w oczach, z nadzieją – czyjeś jeszcze spojrzenie spotkać, zanim Megaloxantha przeistoczy się w światło.

Spełniło się.

Twarzą w twarz z drugim Megaloxantha – już zaspawanym w pancerz.

– Gdzie to jest?! – ryknął Jonas. Widzenie zgasło.

Janko Pytlak zasłonił pierś, jakby i jego ziaęb przeniknął na wylot.

– Enklawa TABOR – powiedział Przyślep.

Jonas okręcił się na pięcie. Tuż przed ścianą ktoś zawisł mu na ramieniu. Mógłby go odepchnąć, strącić jak błotny przylepiec.

– Nie dotrzesz tam! – usłyszał szept Przyślepa. – Nie można! Rozumiesz? I nie ma po co. To nie była bezpośrednia łączność. Widziałeś rejestrację sprzed trzech godzin.

– Dlaczego pokazaliście mi to dopiero teraz? – zapytał z zamkniętymi oczami.

– To nic, nic – szeptał Przyślep. – Nie wiesz, co znaczy czekać. Zawsze czekałem. Gwiazdy... gwiazdy mnie nauczyły... Nie mogłem dłużej... Musiałem być pewien, że jesteś gotów, naprawdę i – mimo wszystko... Nikt ci nie pomoże. Rozumiesz? Nikt! Choćbym sam chciał... Gdyby ludzie potrafili ci pomóc – zdołaliby sami... Też nie wierzę w Inwazję. Wiara! To nie ma znaczenia. Wiara jest po to, żeby spokojnie umrzeć... Ufam tobie. Jeśli nie ty... Zrobiłem wszystko, żebyś był z nami.

– TY ?! – Jonas ledwie wydusił przez zaciśnięte zęby.

– Domyśliłeś się wreszcie?! Tak! Nie Informatyczny System. Nie on, chociaż za jego pośrednictwem... Rozumiesz, przyjacielu?! Ja was wezwałem! Zawsze wierzyłem, że tylko stamtąd... Z gwiazd... A ty zastanów się, czy warto tam dotrzeć, gdzie – widziałeś. Nikt z nas sam nie wydostanie się z Enklawy. Żeby coś zrozumieć trzeba wiedzieć więcej, niż można stąd dostrzec... Wiesz o tym. Jeśli się zdecydujesz, zacznij od Endogenicznej. Bez niej nie nawiążesz kontaktu z Makonde. Makonde poprowadzi. Pamiętaj: Enklawa TABOR... I o nas pamiętaj. Będę czekał.

Jonas zadrżał. Miał przed oczami tysiące komet bezsilnie płonących w ziemskiej atmosferze, dopalających się – niepotrzebnie. Tymczasem ten człowiek – Ten człowiek! – jeszcze mu szeptał przy uchu i łaskotał smrodliwym oddechem.

– ON mnie nie widział? – upewnił się.

Cokolwiek mu powie ten człowiek – nie ma znaczenia. Miał własną pewność. I bezradność. Odtrącił wątle ramię i po chwili wychodził na otwartą przestrzeń – pod srebrnym niebem.

## 10. PATROCHIN

Nie współczuł ludziom, którzy zmieniali się w słupy soli, kiedy przechodził obok – każdy nagle z posiniąłą twarzą i debilnym wytrzeszczeni oczu. Wypchnęło ich z dolnych pięter Enklawy. Jak pianę wycisnęło przez szyby i sztolnie. Endogeniczna tam pęka w szwach. Tym się udało. Jeszcze im łby parowały gorączką. Zziajani padali na ziemię. Pod ścianami ślaniali się w uściskach braterskich. W niepamięć poszedł instykt dziczy, który ich przegnał do kolejnej zagrody, po drodze, z piorunującego koktajlu dwóch płci, wytrącając cherlawy element. Gdziekolwiek pozostały zdeptane trupy – ci ocknęli się na poziomie CETI. Nie ważne – dokąd dalej. Jeszcze jeden wdech. Jeszcze jedno zbliżenie. W oczach im nie odtajał jeden obłęd, kiedy objawia się kolejny motyw – monstrum zaskorupałe łuskowatym pancerzem – przechadza się między niedobitkami ocalałymi z pogromu.

Takim wzrokiem witali Megaloxanthę. Nie starczyło siły, żeby uciekać dalej. I nie było dokąd. Czasem tylko któryś samiec ogarnął ramieniem, jakby Megaloxantha na tę ziemię zstąpił tylko po to, żeby sobie upodobać branekę.

Widział, jak się ściskali po kątach, łkając ocierali łzy; jeśli się dobrali w galopie – nawzajem policzki osuszali wargami złaknionymi więcej. Już Ignęli do siebie. Wcale nie ze strachu. Było – minęło. Spróbujmy raz jeszcze. Może się uda. Może starczy czasu, żeby podchować i Endogeniczna wspomóc nowym zaciągiem armatniego mięsa. Znał ich naturę, ze zwierzęcości wyniesioną bez uronienia kropelki. Wszystko w nich takie. Język, aby nawilżyć porcję byle jak przeżutej karmy i podać w przełyk. Gdzie w tym sztuka smaku – spust na wylot. Węch – nie dla symfonii aromatów; żeby mniejszą zgniłość odróżnić od zupełnego rozkładu. A przede wszystkim – samych siebie wyniuchać, na różne sposoby woniejących w ciemności. Tyleż wart dotyk – byle zmacać. Holowizyjną projekcję ich płci widywał na wykładach z prehistorii mechaneurystyki. Jedno wiotkie, z podwieszonymi jądrami, przymarszczone nieco, z różowatością wysuplującą się dla kontaktu z żeńską łęgnią; sierściastą, chętnie rozchylającą nawilgłe płatki mięsne – żeby tylko łyknąć trzon nieco zgrubiały, a potem szarpnąć kilka razy, potrząsnąć lędźwiami, wessać się łapczywie – może raczej splunąć. Nie dla rozkoszy samej! Nie dla kołysanki nieba! Nie dla miłości spełnionej w intymnym zbliżeniu! Jeszcze trzeba z siebie mlecznością lepka strzyknąć, niech się rozpełźnie robaczywą zgrają, każdy zakamarek wypełni chutliwością piekielną – pleśń z pleśnią – w nadprzyrodzoność z zadyszanej pieśni! – przez gardlany skowyt! – aż się Nowe załęgnie w macicznej torbieli, w pęcherzu wód płodowych utuli – półślepe, półzdechłe, na poły w sierścianej prehistorii.

Może się wylęgnie.

Szansę marne. Nawet im ten zaczyn zapleśniał. Przestali się rodzić przed dwudziestu laty. Ostatni miot też zdał się tylko na Bio-Łącze.

Janko dreptał przodem. Odsuwał na bok tych, którym władzę w nogach odjęło na widok człekokształtnego chrząszcza. Wymyślił sobie zejście Ortodromą, po obwodzie klosza, zamiast od CETI bezpośrednio do Sztabu dobić przez Studnię. Nawet Megaloxantha czasami musi coś w sobie przetrawić.

Jonas pomyślał, że o coś jeszcze powinien zapytać Bio-Łącze. Jakoś go nie odstąpiło. We dwóch zawsze różniej.

– Posłuchaj! – wezwał „Zawsze do Twoich usług”.

Janko obejrzał się i uśmiechnął miękko. Bio-Łącze czuje potrzebę bycia potrzebnym. Wydostali się właśnie z pasaży zatłoczonych uciekinierami. Dalej prowadził bardziej przestronny odcinek Ortodromy. Chwilowo Janko mógł zaprzestać pełnienia roli lemiesza.

– Tak? – zapytał chętnie.

Od rozmowy z Przyślepem ma w oczach więcej wierności – pomyślał Jonas. Może jemu też brakowało koncepcji. Czasami warto uwiązać się przynajmniej takiej nogi, której się zdaje, że wie, dokąd zmierza.

– Mówiłeś, że wasze sprzężenie z Informatycznym Systemem działa na zasadzie biopola reagującego z elektromagnetycznym odwzorowaniem komputerowego centrum Enklawy? – upewnił się Jonas.

Janko przytaknął w milczeniu.

– Wyśmienicie. Jesteś więc jednocześnie nadawcą i odbiorcą?

– Oczywiście.

Janko zaglądał mu w twarz ciągle z tym samym, rozbijającym pozbawionym sensu, wiernym uśmiechem.

– Masz więc kontakt z innymi Bio-Łączami?

– Tak.

– Bezpośredni czy przez Informatyczny System?

Janko miał minę, jakby mu to pytanie nigdy nie przyszło do głowy.

– Trudno to określić – powiedział wreszcie. – To bardzo ważne.

– Nie wiem – Janko potrząsnął głową. – Nie. To... po prostu jest.

– Zastanów się. Czy istnieje określona granica przestrzeni, poza którą nie potrafisz się skomunikować z innym Bio-Łączem?

– Nie – tym razem Janko zareagował z całą pewnością siebie. – Już wiem. Nie istnieje bezpośrednie powiązanie Bio-Łączy. To Informatyczny System wzmacnia odbierany sygnał i potrzebuje odpowiedniej mocy modulowanego elektronicznie biopola, żebyśmy odbierali jego kierunkowy sygnał. Tylko dlatego istnieje sprzężenie. W przeciwnym razie każdy byłby telepatą.

Uśmiechnął się w pełni zadowolony z wyjaśnienia.

– Dobrze – zgodził się Jonas. – To jedna strona medalu... A jednak mowa nie została człowiekowi dana. Sam ją wykształcił, razem z aparaturą modulującą dźwięki. I dalej nikt nie rodzi się z umiejętnością mówienia. Musi nauczyć tego usta, język, struny głosowe, płuca. Kiedy osiągną odpowiedni stopień wyczulenia znika kłopot z tym, co przysparzało trudności pozornie nie do przewyciężenia. Trening, Janko.

– Mogę natychmiast nawiązać kontakt z każdym Bio-Łączem za pośrednictwem Informatycznego Systemu – niepewnie powiedział Janko. – Po co nam...

– W obrębie Enklawy? – zapytał Jonas.

Janko zatrzymał się. Wreszcie zrozumiał.

– O to chodziło – westchnął.

– Tak. Chcę wiedzieć czy potrafisz skontaktować się bezpośrednio z Bio-Łączem poza Enklawą THARSYS.

– Nie – krótko odparł Janko.

– Zastanów się. Pomóż mi...

Janko zmagął się z sobą. Aż mu zeszkliło oczy. Jonas pomyślał, jak niewiele trzeba temu chłopcu, żeby się rozplakał jak dziecko.

– Naprawdę... nie wiem – wyszeptał Janko. – Nigdy tego nie próbowałem. To bardzo daleko... Poza tym...

– Mów.

– Wszystko, czego kiedykolwiek ode mnie żądano, co zawiera Informatyczny System, jest takie... odkryte... Zależy wyłącznie od Stopnia Wtajemniczenia zamawiającego informację... Wtedy, po prostu – wiem.

– Zgoda – Jonas czuł, że nie powinien ustępować. – Nie słyszysz, nie czujesz – czy jak to tam jest – nic poza tym?

– Mogę rozmawiać z innym Bio-Łączem – Janko mówił powoli, jakby się wsłuchiwał w siebie. – Tutaj... Poza tym... Tylko szum. Wszędzie. Czym więcej ludzi... Tak. Ale to wszystko nie ma znaczenia. Czuję, co inni myślą, ale to... daleki plan. Gdyby wzmocnić...

Aż mu wystrzyło rysy twarzy.

– To byłby zgiełk. Tak jest – szum. Nic więcej.

Jonas machnął ręką.

– Chodźmy – powiedział. – Ale zastanawiaj się nad tym. To pewnie najodpowiedniejszy czas.

– Dlaczego?

– Podobno was nie tyka tam... – Jonas skinął w nieokreślonym kierunku. – Za Pierwszą Linią.

– Zależy co – odparł Janko.

– Ale statystycznie Bio–Łącza mają większe szansę przetrwania?

– Tak.

– Problem jest ciekawy sam w sobie. Jeszcze się nim zajmiemy. Na razie interesuje mnie co innego. Przecież oni mrą jak muchy. Prawda? – powiedział Jonas.

– Z połowy Enklaw zostały kratery. THARSYS też nie pociągnie. Powiedziałeś, że mamy przed sobą ostatnią noc. Chyba, że coś się zdarzy... Nie rozumiesz jeszcze? Nie wiem, jak to u was jest, ale fakt, że ludzi jest coraz mniej musi mieć konsekwencje dla biopola stanowiącego bioenergetyczne tło populacji. Jeśli diabli biorą ludzi, jako gatunek, musi zanikać informacyjny szum lokalnych społeczności, na rzecz indywidualnego głosu Bio–Łączy. Tak naprawdę w waszym eterze dawno powinna panować cisza.

Janko patrzył na niego zdumionymi oczami, jakby tę jasno postawioną prawdę trudno mu było sobie uświadomić.

– Tutaj, w obrębie THARSYS, możesz mieć jeszcze kłopoty – powiedział Jonas.

– Poza tym... Muszę coś wymyślić. A ty, miej to na uwadze.

– Z pewnością – zduszonym głosem zapewnił Janko.

– Teraz ostatnia zaległość – zdecydował się Jonas. – Raz już trafiłem do lazaretu. Pewien facet wypytywał mnie czy pamiętam, co wygadywałem. A ja, cóż – przerwa w życiorysie. To samo u ciebie. Byłeś świadkiem. Słucham.

Janko wahał się.

– Chcesz wiedzieć czy sam usłyszeć? – zapytał.

– Możesz?! – niepotrzebnie zdziwił się Jonas.

– Służę jako wzór parodysty. Informatyczny System pamięta wszystko.

Jonas rozejrzał się. Poza narożnikiem wysokiej ściany, gdzie Ortodroma mijała kolejny plac, czyjś głos wybijał się nad powszechny gwar. Pewnie kolejna partia uciekinierów zebrała się tam na miting. W pobliżu nikt na nich nie zwracał uwagi, chociaż kilka postaci nieruchomo tkwiło po drugiej stronie jezdni; ktoś sterczał pod ścianą z rękoma w kieszeniach i wzrokiem wbitym w chodnik, inni przysiedli albo wręcz wyciągnęli się na gołej ziemi i drzemali w głębokim podcieniu rampy ograniczającej Ortodromę.

Janko posłusznie dał się przestawić pod mur, gdzie Jonas całym ciężarem oparł mu ręce na ramionach, a sam przyknał oczy.

– Mów – ponaglił go.

Wtedy zaczął mówić. Jonas słuchał tego głosu rozciągniętego i monotonnego, jakby białobrody derwisz oddawał ostatnie tchnienie przez usta chłopca o pozbawionej zmarszczek, jeszcze rumieniącej się twarzy. Jonas słuchał, aż Głos zamilkł, chociaż on miał wrażenie, że – w samej przestrzeni, poza powietrzem – trwa dalej:... NIGDY NAPRAWDĘ JAŻŃ NIE ZDOŁAŁA ZJEDNOCZYĆ FILOZOFII Z

CIAŁEM...

– Świetnie – stwierdził Jonas.

Odwrócił się od Bio-Łącza i ruszył przed siebie zgarbiony nagle, pancernym czołem gotów staranować wszystko, co mu stanie na drodze.

Przed załomem muru przeczytał ogromny, fosforyzujący napis: ORTODROMA WOLNOŚCI. Zatrzymał się i obejrzał za Bio-Łączem. Janko pozostał tam, gdzie go zostawił. Dalej plecami wsparty o ścianę tylko się osunął nieco i oburącz chwycił za żołądek.

– Co się stało? – zapytał Jonas.

– Idź – sam – wystękał Janko.

Twarz mu jeszcze zbieleła.

– Zostaw... proszę. Dogonię. Tylko idź prosto Ortodromą.

Jonas chwilę przyglądał mu się podejrzliwie. Wreszcie wzruszył ramionami i chciał iść dalej, kiedy uświadomił sobie, że stoi w ostatnim szeregu tłumu zgromadzonego na przestronnym placu. Strop tu nawisał znacznie niżej niż między poszczególnymi Poziomymi Enklawy. Jakby poszerzenie labiryntu nakryto matową szybą, spoza której przenikało promieniowanie dogorywającej gwiazdy.

– ... Jakże dzisiaj często uciekamy w domenę wizjonerskich uniesień – usłyszał Jonas. – W mitologizację i sakralizację rzeczywistości. Odwołujemy się do transcendentnych symboli, jakbyśmy bezpowrotnie utracili trzeźwy światopogląd...

Wszędzie piętrzyły się skrzynie i pojemniki nakryte aluminiową folią. Ludzie siedzieli na nich albo, jak Jonas, stali twarzami zwrócenii do centrum placu, gdzie na szczycie piramidy wzniesionej ze skrzyń, jakiś człowiek żywo gestykulował ponad głowami zgromadzonych.

– Autentyczna wiara nie wymaga od nas, od każdego z osobna, ortodoksyjnego rozbratu ze staroświeckim mistycyzmem. Nie żądamy od was poświęcenia tego, co najbardziej intymne w naszym życiu prywatnym. Razem jednak, jako klasa, jako naród stojący nad przepaścią, w obliczu totalnej zagłady, musimy dokonać ostatniej próby, katharsis w duchu desperackiego poświęcenia. Musimy uświadomić sobie naturę wszelkiego postępu i przyczyny degradacji. Bez tego samouświadomienia, w ujęciu klasowym, narodowym i rasowym wreszcie, niepodobna podnieść się z klęzek...

Jonas z zaciekawieniem przyjrzał się niepozornemu mężczyźnie. Twarz miał jednocześnie puciołowatą i wyostającą się niespodziewanie, kiedy bez śladu dobroduszości przeszywał ludzi spojrzeniem spode łba. Ubrany był w szary kombinezon i rozchełstana na piersi koszulę.

– Oto głoszę wam świat przebudzony z koszmarne go snu, z obłądnego zaślepienia mocą naszej technologii, która niczego nie rozwiązała, i mocą naszych

bogów – równie bezradnych wobec widma Inwazji. Mówią niektórzy:

PRZEKLEŃSTWO! Mówią drudzy: PANDEMONIUM! Inni potrafią tylko: VIVAT NOSTRA CIVITAS! Pierwsi się modlą. Drudzy piętrzą swoje laboratoria. Reszta garnie się pod sztandary Armii, która dawno zerwała swoje klasowe więzi. Pytam was! Czego dokonano, aby postawić tamę Inwazji?! I jak można przeciwstawić się Inwazji – czymkolwiek jest – wobec postępującej degradacji społeczeństwa?!

Mówca zawiesił głos. Chwilę toczył dokoła wzrokiem natchnionej Wyroczni. Po raz pierwszy ich spojrzenia skrzyżowały się. Jonas drgnął. Mężczyzna jakby skinął głową.

– Zastanówmy się razem, czym jest nasz świat – podjął na nowo. – Ułankiem Industrialno–Urbanistycznego Masywu, który rozpadł się niby monstualny lodowiec, żeby ostatnie kry – Enklawy coraz szybciej odtąd dryfowały ku powszechnej nicości? Nasz los byłby podzwonnym megapolis na równi z gatunkiem? Potrafimy określić samych siebie, czy nas określają sztolnie drażone w skalnym cokole Ziemi, w kamieniu węgielnym i postumencie poronionego pomnika Ekspansji? Stanowi o nas Laboratorium? A może Sztab Armii? Jeszcze wyższa instancja? Jesteśmy może komunikacją i transportem, ucieleśnieniem finansów i handlu, produkcji i konsumpcji albo reliktowym białkiem przyporządkowanym taśmie produkcyjnej? Jesteśmy społeczeństwem sprawującym władzę czy strukturą społeczną podporządkowaną władzy Państwa? W tym miejscu trzeba postawić najważniejsze pytanie: KTO POWIEDZIAŁ, ŻE TO MY – LUDZIE, JESTEŚMY PODMIOTEM INWAZJI?! Kto udowodnił, że umieramy na własnym ołtarzu? Odchodzący bogowie grzebią ze sobą najwierniejszych wyznawców. Przemijające ustroje społeczne zabierają do grobu własną elitę władzy. Skompromitowane IDEE ośmieszają najzagorzalszych fanatyków. Może ta przemoc, która temu światu rzuciła wyzwanie z Kosmosu, z nas samych albo z naszej prehistorii – wcale nie nas atakuje?! Tę prawdę wam głoszę! Nie jako nadzieję! Nie dla ulgi umierających! Tylko potrzeba nam świadomości, żeby się zdecydować wreszcie i, jak jeden mąż, stanąć po właściwej stronie barykady!

Ktoś stojący przed Jonasem odwrócił się. Kiedy znalazł się twarzą w twarz naprzeciw Megaloxanthy, niespodziewanie obojętnym wzrokiem zmierzył go z góry na dół i odszedł wzruszając ramionami. Jonas przesunął się do przodu.

– To nie z nami wojna! – głosił nieznany agitator. – Nie przeciw nam Inwazja! To Enklawie rzucono wyzwanie! Temu molochowi technokracji posadowionemu na naszych ramionach, któremu bez wahania oddaliśmy nasze najlepsze mózgi i serca! Dziwicie się, że giną ludzie? Że nasz upust krwi największy? W tej bitwie dostrzegamy to, co dla nas najbardziej bolesne – śmierć jednostek. Jakby bez tej daniny mógł się spełnić upadek skostniałego systemu. To MY wydźwignęliśmy – z własnych koszmarów zrodzoną – utopię Industrialno–Urbanistycznego Ładu! Dla



udoskonalenia własnego bytu powołaliśmy instytucję Państwa. Nawet się nie spostrześliśmy, kiedy to Państwo ustanowiło własną Władzę, która bezwzględnie podporządkowała sobie społeczeństwo. Dzisiaj tej Enklawie, sparaliżowanej wobec dynamicznej ewolucji zewnętrznego świata, wystarcza siły, żeby zgnieść wewnętrzne przeobrażenia. A jeśli nie ma innego wyjścia – raz jeszcze utopić nas we krwi. Jak długo jeszcze?! Pytam! To my sami, kurczowo wczepieni we wraki Enklaw, podtrzymujemy je na powierzchni rozszalałego wszechoceanu. Ten ostatni wrak z Epoki IUM, naszpikowany żelazem, elektroniką, zapobiegliwością Sprzężenia Zwrotnego i pancernymi kordonami Armii – wlecze nas do dna! Na cmentarzysko społecznych systemów, których kościotrupie widma straszą z prehistorii. Ocknijcie się.

Kimkolwiek jesteście, do których mówię w przeddzień Ostatecznej Bitwy! Przemoc, która wypowiedziała wojnę totalitaryzmowi Enklaw, zgniecie nas razem z nimi. Ocalenie zależy od nas. Zaufajcie sobie nawzajem! Wznieście barykady! Tu, gdzie stoicie! Na dalekim zapleczu Armii Endogenicznej! Na przedpolu Pierwszej Linii! Stąd uderzcie w serce Systemu!

Jonas, zaintrygowany, postąpił jeszcze do przodu. Wydawało mu się, że ten człowiek formułuje wiele myśli, jakie on – Megaloxantha, chciałby przekazać otaczającym ich ludziom. Tymczasem ich twarze, kiedy się rozejrzał, były obojętne. Najczęściej wyrażały zmęczenie. Większość przysiadła na ziemi i drzemała półleżąc albo osowiałym wzrokiem patrzyła przed siebie. Przecież oni potrzebują snu – pomyślał Jonas. Oni i cały ich świat – chwili wytchnienia. Pewnie dlatego noc zapada po drugiej stronie kłosa. Zmierzch nad pobojuwiskiem, jakie zostało po starciach na miarę cyklopów. Cóż, wobec nich, znaczą dzisiejsze potyczki powstrzymujące pętlę Pierwszej Linii zaciśniętą na gardle Enklawy THARSYS. Już tylko – powstrzymujące.

Jonas ani się spostrzegł, kiedy stanął naprzeciw proklamatora Nowego Ładu. Ten skończył swój płomienny apel, zstąpił z zaimprovizowanego podwyższenia i przysiadł na osobnej skrzynce.

Nikt na nich nie zwracał najmniejszej uwagi.

Mężczyzna wyciągnął jakieś zawiniątko z czarnej torby. Wolną ręką zapiął zamek błyskawiczny, jakby w tej torbie nosił cały swój dobytek, którego prozaiczności wypada oszczędzić postronnym oczom.

Sam bez skrepowania przyjrzał się Jonasowi.

– Witaj – powiedział. – Czym mogę służyć?

– Kolejne Bio-Łącze? – zapytał Jonas.

Nieznajomy uśmiechnął się miękko.

– Jesteś człowiekiem? – zapytał.

– Jestem Megaloxantha – odparł Jonas.

Megaloxantha, powtórzył w duchu. Co z tego zostało pod pancerzem, dzięki któremu adaptacja w tym świecie przebiega nad podziw bezboleśnie. Podmuch ziemskiego wiatru z motyli skrzydeł strącił srebrzystość księżycowego pyłu – zostało słowo: Megaloxantha.

– Stamtąd? – zapytał nieznajomy.

Jonas przypatrywał się jego twarzy. Była nad podziw pospolita – uwzględniając krasomówczy talent. Nigdy nie spotkał tego człowieka, miał jednak wrażenie, że znają się znacznie dłużej. Na początku wszystkie ludzkie twarze wydają się nam jakby zdjęte z tej samej matrycy – pomyślał Jonas. Podobne kłopoty mieliby ludzie z twarzami Selenitów.

– Stamtąd – potwierdził. – Wnioskuje, że dotąd nie mieliśmy przyjemności rozmawiać ze sobą?

– Słusznie powiedziałaś: przyjemność rozmowy – nieznajomy skinął głową. – Jak sądzę nie mieliśmy okazji. Trzeba to nadrobić. Spieszysz się?

Wskazał skrzynię nieco solidniejszą niż ta, na której on przysiadł. Sam bez pośpiechu zaczął odwijać kanapkę z zatłuszczonej bibułki.

– Poczęstujesz się? – zapytał z ręką zawieszoną w pół drogi do ust.

Jonas machnął ręką. Powinien był iść swoją drogą – coś go korciło, żeby przeciągnąć rozmowę z nieznajomym. Poza tym Bio-Łącze nie będzie musiało gonić. Usiadł na wskazane miejsce.

– Cóż innego mogę ci zaproponować – mężczyzna z jednoczesnym pietyzmem i pobłażliwością popatrzył na pajdę chleba zaciśniętą w dłoni. – Chleb nasz powszedni. To nam jeszcze zostało... Choć równie daleki ziemi, jak wy – tam, synowie Seleny, odlegli jesteście od planety Ziemia.

Żeby rozgryźć ten kalambur, pomyślał Jonas, trzeba pewnie wiedzieć w tyglach jakiego Laboratorium ludzie dziś pichcą dla siebie strawę. Cóż to obchodzi Megaloxanthę.

– Nazywam się Mikołaj Patrochin – niespodziewanie przedstawił się mężczyzna.

– Jonas Hebrejczyk – powiedział Megaloxantha.

– Jesteś z nami?

– To znaczy z kim? – zapytał Jonas. – Są trzy możliwości: z tymi, do których mówiłeś, o których mówiłeś, przeciw którym mówiłeś. Sądząc z aplauzu każdy myślący człowiek będzie tu zawsze zdany na własny koncept. Wybrałem czwartą możliwość: jestem sam.

– Podobasz mi się – powiedział mężczyzna.

Aż mu rozpromieniło przy tym pucołowatą twarz. Tylko oczy nie przytępiły ostrości spojrzenia. Nad podziw przenikliwe oczy, całe otoczone siateczką

zbrunatniałych zmarszczek. Jakby na twarz zakładał zwykle kaptur osłaniający podbródek, nos, policzki i czoło – z wycięciami tylko na oczy. W tych miejscach przysuszyło skórę – reszta twarzy zachowała delikatność mniej napiętowaną światłem.

– Co o tym wszystkim myślisz? – zapytał.

Równie dobrze mógł mieć na myśli swoje niedawne wystąpienie, jak resztę tego świata, w tym miejscu przyduszonego paśowym stropem, z ludźmi snującymi się w białej mgiełce – aż Jonas przymrużył oczy sądząc, że mu bielmem zasnuwa jego własne oczy.

– Przyszedłem pod koniec – wyznał.

– Każdy tak mówi – mężczyzna miarowo przeżuwał swoją kromkę chleba przełożonego czerwonym plastrem, jakby potrafili jeszcze wyhodować coś, co się z nimi podzieli żywym mięsem. – Tak wygodniej.

– Wierzysz, że jest szansa ocalenia? – zapytał Jonas.

– Czy ja wierzę? – mężczyzna podniósł na niego jednocześnie rozbawione, zdumione i przerażone oczy. – A cóż nam zostało?! Czy wierzę? Nie tak. Ja WIEM! Tylko potrzebuję ludzi! Znajdź mi kadrę straceńców, którzy poderwą innych i poprowadzą ich na ten wiecznym mrozem skutą pałac, żeby go rozsadzić od środka.

– Trzeba ich było wychować – powiedział Jonas.

– Na to potrzeba czasu. A dzisiaj nie starcza go nawet na to, żeby się oglądać za siebie, liczyć ofiary i dbać o czystość własnych rąk – niespodziewanie twardo powiedział mężczyzna. – Potrzebna jest partia ludzi mocnych, którzy nie będą się wahać. To chciałem im udowodnić, kiedy zbliżyłeś się do nas. Cokolwiek się stało, co jeszcze może się zdarzyć – bezsensowne jest mnożenie Armii i Laboratoriów. Dzisiaj zagładę odwróci tylko prawdziwy szok społeczny Tylko nasza świadomość, klasowa świadomość człowieka wobec Molocha Enklawy, Endogenicznej Armii, Informatycznego Systemu, Totalitarnej Władzy, które zjednoczyliśmy w precyzyjny mechanizm Maszyny na miarę naszej Apokalipsy; tylko ta świadomość...

– Odwaga – powiedział Jonas.

Przez chwilę wydawało mu się, że nie ma nic prostszego, jak stanąć ramię w ramię z towarzyszem wiernym tej samej idei. Czasami jednak wystarczy moment nieuwagi i twarz grzęźnie w czymś lepkiem, nieokreślonym. I budzą się wątpliwości. I ręce przypominają o sobie. A wszystko przez tę samą parszywą świadomość, którą w innych chciałby wykrzesać Patrochin.

Jonas podniósł się ciężko.

– Pamiętam, proponowałeś im... – powiedział w zamyśleniu. – Żeby stąd, gdzie stoimy uderzyć prosto w serce Systemu. Co miałeś na myśli?

– Nie taki ważny jest cel sam w sobie, co zjednoczenie tych mas, w których

jeszcze drzemie potężna energia. Ukierunkować można później. Zależnie od sytuacji. Najważniejsze – zjednoczyć ich.

– Potrafisz tego dokonać?

– Nie wiem – przyznał mężczyzna i opuścił głowę. – Słowo powinno rozpałać umysły nie gorzej niż obłąd. Trzeba Słowa–Pięści, żeby ich zerwać do szturmu...

– Dokąd? – zapytał Jonas.

– Może nie potrafię wykrzesać z siebie odpowiedniego słowa–hasła, słowa–sztandaru, słowa–pięści, żeby przed nimi ponieść jak pochodnię...

Mężczyzna pogrzyżył się w swojej rozterce. Między palcami opuszczonej ręki kilka okruchów chleba spadło na ziemię.

– Znajdę – powiedział z niespodziewaną zaciętością. – Muszę. Każdy posiada w sobie, chociaż niewielu potrafi odkryć tę siłę, która innych potrafi porwać... Muszę stworzyć Słowo i Teorię. Jasne i zwarte. Żeby znalazły odzew w każdym umyśle. Żeby dokonująca się rewolucja miała co wyzwalać nie tylko z serc, lecz i z umysłów, kiedy już wybuchnie. Żeby jej moc znalazła gotowe sztandary i hasła, które wydzwignie ze sobą, i którym nada wagę ponad skalą stada, plemienia, narodu, państwa, nad Enklawą...

Odchodząc Jonas słyszał za plecami coraz goręcej szeptana modlitwę – szlif słów i haseł, którym to złotoustym darem Mikołaj Patrochin – jeśli mu tylko starczy zawziętości i wiary – z pewnością natchnie masy i porwie za sobą.

Jonas rozejrzył się za swoim Bio–Łączem.

Gdzieś się zapodział Janko.

Coś się zmieniło w powietrzu. Już nie samo zamglenie – krzaczastymi kępkami szron osiadał na kantach przedmiotów. Przepadła czerwona poświata, jakby nad warstwami stropów z betonu i ołowiowego szkła, poza szklanym kloszem osłaniającym ostatnią wyspę, jaka nie wypróchniała ze szczętem w ślad za Industrialno–Urbanistycznym Masywem – jakby tam Scylla horyzontu i Charybda nieba ostatecznie zatrasnęły śluzę, przez którą tak długo krwawiło słońce. Mrówczy kopiec winien teraz podsiąkać ciemnością – niespodziewanie zabieliło się wkoło.

Jonas szedł coraz szybciej. Nie bardzo wiedział czemu i dokąd tak go nagłą nogi – jakby szły na lep agitacji. Prawie biegł. Zaśnieżyło nagle. Białe płatki frunęły w powietrzu. Białymi strzępami zacinało między chodnikami a wysokim stropem. Jonas pojął niespodziewanie, że owa zamieć nie osiada na niczym – na posadzkach, na skrzyniach, na pochylonych karkach i posiniałych twarzach. Po prostu mroźny podmuch przewiewa na wylot, cokolwiek mu stanie na drodze – ściany i podłogi czy piersi ludzi przechodzących obok. Z przerażeniem stwierdził, że nikt niczego nie widzi, jakby nie tylko owa zamieć, lecz i jej świetlny znak bez śladu przenikały ludzkie oczy. Czyżby tylko on jeden, resztką zmysłów Megaloxanthy, postrzegał tę

mroźną zapowiedź – czego; skąd mógł wiedzieć? – która nawet Kochanka chłodnej Seleny przejmowała lękiem.

Coraz szybciej wstecz uskakiwały twarze ludzi – jeszcze jeden śnieg, białe płyty z ciemnymi oczodołami i jamą ust oszronioną kryształami zębów. Raz za razem kogoś potrafił, nim spostrzegł, że już biegnie. Długimi susami sadył przed siebie. Szybciej! Jakby mu u ramion urosły skrzydła Szerna. Twarzą przeciw śnieżnej zadymce. Jakby potrafił zapobiec temu, co wszelkim systemom przypisane zostało na równi z każdą żywą istotą osobno. Prawdziwa śmierć zaczyna się tam, gdzie mróz zakleszcza nawet atomowe jądra. Tej świadomości jeszcze brak w ludzkich twarzach patrzących ślepym wzrokiem w ślad za Megaloxanthą.

Omal go nie zbiło z nóg, kiedy wyciągnięty w pędzie ramionami ciął powietrze, żeby reszta ciała łatwiej przenikała przestrzeń. Coś eksplodowało potężnie. Tam właśnie, dokąd nie zdążył dobiec. Uderzeniową falę powietrza przebił czołem. Białe plamy zawirowały gwałtowniej.

Nagle zobaczył, że inni ludzie też biegną – dziwnie powoli. Widział ich przerażone oczy i usta otwarte do krzyku – zakneblowane pędem powietrza. Usłyszał ryk alarmowych syren. Przeszli dobrą szkołę samoobrony – ktoś już rozpostartymi ramionami próbował zatrzymać tłum tratujący czerwone główne, przez innych wbijane w posadzkę. Gdzieś zamigotały rtęciowe krople transporterów Endogenicznej – wysypały się mniejsze, srebrzyste odpryski. Wszystko to zostawił za sobą. Przed nim otworzył się, teraz dopiero, naprawdę ogromny plac. Ze sterylnej jasności Poziomu CETI wreszcie zstąpił w przedsionek piekieł. Jacyś ludzie jeszcze pędzili mu naprzeciw. Przez biały plac, jak daleko sięgnąć wzrokiem – przyprószony śniegiem. Coś się stało tam właśnie – eksplozja uderzyła ich w plecy podmuchem mroźnego powietrza. Jedni upadli twarzami na zwierciadło lodu, inni ślizgali się rozpaczliwie ratując równowagę, wreszcie pełzali na czworakach. Wiatr ich przesuwiał po lodowej tafli. Jeden Jonas parł przeciw wiatrowi, nie wiedząc po co i dokąd – byle o coś wreszcie zaczepić wzrok w tej śnieżnej równinie i, być może, dostąpić Wtajemniczenia.

Na wprost Jonasa nowe postacie zaczęły podnosić się z ziemi – już go dostrzegli ci, którym zaczynało brakować sił, żeby dłonie, kolana i łokcie przymarzające do lodowatej powierzchni odrywać przy każdym kroku. Padali i podnosili się. Wyciągali ku niemu ręce. Jak okiem sięgnąć – tłum dziwnie szary, przyprószony błękitnawym szronem.

Jonas krzyknął ostrzegawczo.

Dostrzegł dwie rysy – błyskawicznie wybiegły im spoza pleców dwa rozłamy lodowej szyby. Jeden prawą, drugi lewą stroną. Krawędź przerębli ogarnęła ramionami płaszczyznę kry zapadającej się pod ich stopami, trzaskające rysy złączyła

przed czołem tłumu. Kilku ludzi zdążyło przeskoczyć rosnący szybko rozłam. Ktoś końcami palców uczeplił się zbawczej krawędzi. Za nim następny runął głową do przodu i zatrzepotał rękami, jakby dopiero teraz – zdjęty najwyższą trwogą – zapragnął dostąpić tajemnicy lotu.

Przed Jonaszem zapadała się ziemia. Jakby się cofnął ogromny tłok, po którym tylekroć przechadzali się ludzie, nie odróżniając ruchomej kry od reszty posadzek. Wreszcie patrzył z góry na ludzi zбитych w ciasną gromadkę. Została ich może setka. Mógłby do nich zeskoczyć i zostać z nimi – na tyle nie ufał w swój pancerz, że go zawsze uchroni przed ciężeniem ziemi. Byłby zeskoczył, gdyby miał pewność – bodaj odrobinę wiary – że potem zdoła się podnieść. On jeden dotarł na skraj przepaści. Poza nim nadal szalała śnieżycą. Tylko tam, dokąd zaglądał z wysoka, zapadła nagle cisza. Mróz zamienił powietrze w kryształ. Jakby ktoś niewidzialną garścią zaczerpnął nieco ziemskiego powietrza i przeniósł na nocną stronę Księżyca.

Lecz to powietrze nie rozpięchło się w próżni. Mini-atmosferą otuliło ludzi garnących się do siebie nawzajem, jakby im chciało dopomóc, jeszcze docisnąć tych, którzy zachowali nadzieję, że potrafią ogrzać się jedni od drugich – choćby coraz więcej twarzy bieleło z chłodu czy ze strachu. Jonas zrozumiał, że nikt tam już niczego nie widzi, nic już nie odczuwa nawet. Sztywne nogi podtrzymywały tułowia wsparte o siebie. Splecione ramiona wrosły w ciała białymi sopłami palców. W oczodołach zamgliło lodowe kulki. Do szpiku kości zmrożone truchła.

Powinny tak trwać wiecznie. Suche badyle – ostatni karłowaty las skamieniały w kotle warzącym zmarzlinę. Lecz coś się dokonywało tam właśnie, gdzie mróz powinien był bezpowrotnie zakleszczyć atomy. Najpierw Jonas zobaczył coś puszystego. Iskrzyło się. Srebrnym nalotem porastało odkryte partie rąk i twardą szczecinał wschodziło na twarzach wykrzywionych strachem, to znów zadartych do nieba i rozmodlonych, ze skamieniałym na ustach: pod Twoją obronę, Megaloxantho. Już pod kolczastym szronem zatraciły się rysy twarzy. Lodowe kryształy bez wysiłku przenizywały również skafandry. Zmrożone strzępy kombinezonów osypały się – pod nimi zabrakło nagości. Tylko szybko puchnące, iglaste kępy. Nie było już rąk, nóg ani osobnych tułowi – sople wrosnięte w ziemię i rozkorzenione na boki. Nie było oddzielnych postaci – twarz z twarzą zrosła się szklaną pajęczyną. Głowa z głową zjednoczyły się we wspólną kosmatą głównię. Tylko nowe płaty szronu nawarstwiały się na kudłaty łeb i od środka przekłuwały go lancetami kryształów wielometrowej długości. Już nie było tam nikogo. Tylko bryła ogromna, zarazem potężna i dziwacznie lekka. Niby spod gruzów Epoki IUM wygrzebujące się widmo minionej biosfery – kosmata postać polarnego niedźwiedzia. Spod nastroszonego futra mróz wysysa wszelką wilgoć. Cokolwiek było pod spodem – z wierzchu zeszkliło czapę szronu.

Jonas czuł, że i jemu udzielają się zabobonny lęk i jednocześnie dziwna wzniosłość, jakie jeszcze niedawno odczytał w twarzach mistycznie zwróconych do niego. Jak przedtem oni wobec niego, tak teraz on odczuwał własną bezradność przed tym, co powinno było skamienieć, w okowach mrozu dostąpić wieczności, a przecież – nie ostygło całkiem. Gdyby je nawet przemknął najpotworniejszy mróz – straszło się jeszcze, sypało w jedną stronę. Właśnie tak – nie rozkruszyło się w płaski wzgórek, lecz osypywało się z jednego boku i jednocześnie rośło. I poruszało się z obłądną powolnością, za sobą nie zostawiając najmniejszej śnieżnej okruszynki. Wyteżył wzrok – misternie zmrożona koronka przesypywała ledwie dostrzegalne iskierki – ocierały się o siebie, tajały z jednej strony i materializowały z przeciwnej, tym nieustannym ubytkiem i przyrostem motywując postęp całej masy.

Mróz zeszklił ten labirynt lodowych okrucichów i natchnął go obiegiem kwantów światła.

Wreszcie to coś, najpierw przysiadłe do ziemi, zaczęło się powoli podnosić. Coraz wyżej – monstrualny łeb niedźwiedzia dźwigającego się na tylne łapy. Już nad krawędź przepaści zadarł pysk ociekający soplami – kłęb zmrożonej mgły ogarnął twarz Megaloxanthy. A tam – wir śnieżny, coraz bardziej lotny. Chwiał się i piętrzył wytrwale. Za nim szedł szelest dziwnie metaliczny, jakby się w przesypywaniu szronu odbywało pobrzękiwanie lodowych łańcuchów. Jeszcze trochę i wyzwoli się z nich ostatecznie – tyle w nim potwornej mocy, tyle wytrwałości, co we wszystkich epokach lodowcowych, jakich już dostąpiła ta ziemia. Jeszcze za sobą wlecze szelest. I tąpnięcia w stropach Enklawy, kędy zapuszcza korzenie mrozu. Wszelki chłód zogniskował się pewnie w jego postaci i zwolnił z okowów tych, którzy za plecami Megaloxanthy zaczęli szeptać wargami pękającymi na mrozie – tylko trzask i szelest – sz–sza–a... mi–i... – jęk krtani zaklinowanych ostrymi soplami – ... sz–sza–a... s–sa–apro–off –it...

A tamten ogrom, choć niedołączny, już się przesypał nad krawędź przepaści. Teraz kudłaty łeb podpierał nowymi słupami roziskrzonego śniegu – rósł – rósł... Już był po tej stronie.

Mróz sparzył Jonasa przez pancerz.

Tylko zabobonny szept masował łopatki, dolewał oliwy do ledwie tłącego się ognia...

... sz–sza–a...

... s–sa–ap–ro–o–offi–it!

To posunęło się – jeden krok – tylko wyolbrzymiał śnieżny nawis. Jakby biliony lodowych okrucichów przesypały się zgodnie, z mikroskopijnych kryształów odczytały echo prehistorii – dzyń! – dzyń! – okowy zesłańców do krainy mrozu...

Krok – krok. Nie tylko wzrokiem tkwisz w białym obłoku.

Śmiertelny całun.

Skulił się w sobie. Zacisnął oczy i rozpaczliwie próbował rozniecić w piersi pamięć Słońca. Szukał tego żaru, jaki przepełnia ciało, kiedy Kochanek Seleny wtula się w jej łono nagie wobec kosmosu, kiedy go płeć Seleny ogarnia kamiennymi wargami i podaje Słońcu. Niech ich zjednoczy tą samą rozkoszą ognia przepalającego ciało, kamień – aż do najtajniejszych zakamarków srebrzystego łona. Gdzie brak powietrza – tam można chłonać prawdziwe światło, ładować baterie bardziej pojemne od wulkanów. Pomóż, Seleno! Ten jeden raz błaga Cię wierny Kochanek! Ubyło mu skrzydeł – wybacz! I pomóż!

Ogień załęga się pod pancerzem i całego ogarnia w plazmowy pęcherz. Kulisty piorun z piersi Szerna! Spora płonąca w atmosferze – pochodnia wetknięta w oko cyklopa – dokoła skwierczy, coś strzela.

Pękło nagle. Jakby się odkleił od czoła lodowca albo gorącym ziarnem wyskoczył z wiecznej zmarzliny.

Zatoczył się wstecz.

Gdzie stał przed chwilą – jęk poszedł stamtąd. Świst wichru w klarownym przezroczu powietrza. Tylko o ziemię rozbryzgują się lodowe klejnoty. I chlupot – jakby żarliwością Kochanka wypalił piętno w żywym mięsie. Aż się ryk podniósł chrapliwy, przerażająco ludzki. I coś dalej pękło. Waliły się nawisy śnieżne i filary z lodu trzaskały odwilżą.

Zawyło dokoła. Znów sypnęło zamecią.

Najpierw z prawa uderzył snop prawie słonecznego światła. Spoza pleców Megaloxanthy. Potem w śnieżycy dostrzegł jakieś postacie skulone. Przebiegały obok. Biała tyraliera, jakby ich mroźny oddech jeszcze przygniatał do ziemi. Błysnęło wzdłuż szeregu. Na wpół ludzki ryk zachłysnął się kolejnym jękiem.

Dokoła śnieg, śnieg, a oni – z okrzykiem na ustach zbielejących od mrozu. Czasem chłód przenikał srebrzyste skafandry – wtedy jeden po drugim walił się na ziemię albo zamieniał w słup skamieniały dogłębnie. Na wewnętrznych powierzchniach szklanych hełmów szron zakwitał za każdym razem innym wzorem. Reszty nic nie mogło powstrzymać w szturmie na ich Lodowy Pałac; kiedy tak biegli – ramię w ramię, gdy padali i podnosili się, ślizgając przy tym na lodzie – i biegli dalej. A gdy któryś pozostał twarzą do ziemi – tylko za nim zwiераł się szereg.

On jeden odstępował. Nagle bezradny – Megaloxantha. Wypalony do cna. Najpierw cofał się tyłem. Potem odwrócił się plecami do śnieżnej zorzy uchodzącej w przedpiekle.

Nie wiedział – czego był świadkiem, co się z nim działo i dokąd teraz idzie.

Czasami przekraczał skręcone trupy. Leżały w rozchlastanych skafandrach, miejscami podziurawionych tak gęsto, jakby tysiące sztyletów najeżyło się od środka,



przekłuło elastyczną materię, wreszcie stopniało. Natykał się na rannych. Oszronione głowy w kulach hełmów rozpekły od mrozu – gdzie ich ogarnął podmuch najsrozszeogo chłodu. Twarze mieli pokryte białymi plamami, to znów rozognione boleśnie. Na czołach i policzkach błyszcząły bąble jak po oparzeniu. Z każdego odkrytego miejsca łuszczyły się płaty naskórka podobne do przezroczystego, parafinowego nabłonka. Czasami któryś próbował podnieść się na odmrożonych kończynach albo przynajmniej peźznąć.

Jonas nie zatrzymywał się.

Swoje zrobił na Pierwszej Linii. Wypruł się cały. I nic nie zrozumiał.

Szedł przed siebie. Do stóp padały mu i wnikały w ziemię ostatnie, powolne i ogromne śnieżne strzępy.

Przekroczył linię czerwonych głowni. Ledwie tuż przy ziemi łypnęły na niego przekrwionymi gałkami. Trafił na jakichś ludzi. Coś krzyczeli. Zobaczył ich roześmiane gęby. Podbiegali, zadzierając głowy, przyjacielsko klepali go po ramionach. Przeszedł między nimi jak przez powietrze. Z tak samo pochyloną głową minął linię transporterów Endogenicznej. Szedł dalej zamroczony jeszcze, pijany brakiem światła. Chciał być sam i najdalej od tego miejsca, gdzie usłyszał przeraźliwy jęk czegoś, co konało z ludzką niemal boleścią. Niewiele brakowało, żeby taki sam głos wyrwał się z jego własnego mechaneurystycznego wnętrza.

Wreszcie dotarł do jakiejś ściany. Oparł się ciężko o jej powierzchnię z gruzłowatego szkliwa i przyłożył czoło do ciepłej powierzchni. Pomyślał, że odtąd wszystko, czego się dotknie będzie dla niego ciepłe, jeśli nie gorące. Rzeczywiście było gorące. Zobaczył w nim swoje odbicie.

Mętne zwierciadło.

Gdzieś blisko usłyszał dziwny głos. Coś sapnęło, załkało i zadławiło się nagłym charkotem. Znowu ktoś się zakrztusił. Teraz oddychał szybko.

Uniósł głowę.

To była szyba, a on przejrzał się w ludzkim zwierciadle – twarz pozbawiona kropli krwi, gorączka w oczach. Zrozumiał, że stoją po dwóch stronach tej samej przezroczystej płyty – Megaloxantha i Bio-Łącze.

Janko też czołem wsparł się o szybę. Do tego oburącz chwycił się za brzuch, jakby sam z siebie chciał wypompować coś, co mu ciążyło nie od dzisiaj. Kolejne przypiły torsi wstrząsały jego ciałem i żołądkowa treść ściekała po szybie. Słysząc było, jak rzezi, łapie oddech i znowu rzyga, i nawet nie próbuje tamować wymiotnej fali cisnącej się do zbielełych ust.

Nawet nie zwiesił głowy. Spojrzeniem przepelnionych nienawiścią oczu na wylot wiercił mętą szybę. W bok od Megaloxanthi. Jakby chciał wzrokiem spopielić coś za jego plecami.

Jonas odwrócił się.

Przedpole Pierwszej Linii oddzielała od nich czerwona zorza powoli wstająca nad rzędem nitów wbitych w ziemię. Na tym dalekim śnieżnym polu przechadzał się człowiek w czerni. Czasami zamiótł peleryną – jeszcze pobojowisko nie odtajało z bieli. To znów pochylił się nad zmrożonym śmiertelnie. Niekiedy wystarczyło trącić nogą, żeby się coś jeszcze skuliło. Wtedy wyciągnął ramię – w zupełnej ciszy odrzut podbijał dłoń. Ktoś chwilę kopał ziemię. On się pochylał znowu, przyglądał, potem prostował grzbiet i szedł dalej.

Jonas próbował rozpoznać jego twarz. Mimo odległości i maski.

Obok rzygał Janko Pytlak.

## 11. GROBY POŻĄDANIA

Zaproponowali im własny środek lokomocji. Pojemność rtęciowej kuli znacznie przekraczała to, co najprzychylniejszy optymizm potrafiłby wydedukować z zewnątrz. Podoficer zademonstrował olbrzymią ładownię, maleńki moduł napędowy i kabinę pilota. Sprawę uzbrojenia dyskretnie pominął i zaprowadził ich bezpośrednio do pomieszczenia załogi. Dwadzieścia sześć białych kokonów jednoznacznie określało liczebność podstawowej jednostki Armii Endogenicznej. Tym razem nie zanotowano strat w sprzęcie technicznym. Co było w rozsypce, zostało przegrupowane na miejscu akcji i tym sposobem wygospodarowano metraż pod nowy zaciąg.

Podoficer zapewnił, że poinstruował pilota co do szczególnie łagodnego obchodzenia się z ładunkiem. A więc nie trzeba się pętać – wyjaśnił. Tu zagrał na ścięgnię podwieszającym, w podstawowych kierunkach, rozwarty teraz kokon. Następnie strzelił przed nimi obcasami, zasalutował i tyle go widzieli.

Niespodziewanie pilot trzymał się rozkazów. Raz ich tylko zaskoczył długi moment nieważkości. Pewnie mobil dobijał do dna Studni. Jonas potrafił docenić brak ciężenia. Janko mętym wzrokiem potoczył wkoło, kiedy było po wszystkim.

Pilot opuścił przednią część mobila – parometrową łuskę, po której to pochylni piechocie najłatwiej było trafić do ziemi. Zstąpili po niej na różową płytę lądowiska. Nad nimi ciążyło szare sklepienie. W zenicie otwór Studni uchodził pewnie aż do Modułu CETI – niewiele tam można było dostrzec. Jeszcze się Jonas rozglądał, kiedy zagrało cienko i mobil przepadł w jednym z otworów nawierconych u podstawy sklepienia. Dopiero to dało Jonasowi orientację w liczących się tutaj wielkościach i odległościach. Zresztą wszystkie znaki na ziemi i w pustej otchłani Studni wskazywały, że zostawiono im okazję do otrząśnięcia się z nową sytuacją.

– Jak się czujesz? – zapytał Jonas.

– Znośnie – odparł Janko, ciągle oblizywał wargi.

– Próbowałem go znaleźć – powiedział Jonas.

– Jakie to ma znaczenie? – niespodziewanie szczerze zdziwił się Janko. – Istnieją reguły gry, których się nie zmienia zależnie od upodobań.

O nic więcej nie pytał, więc i Jonas postanowił rzecz całą przemilczeć. Do czasu.

– Dokąd nas zesłali? – zapytał.

– Jesteśmy na Tarczy Sztabu – powiedział Janko i piętą uderzył w różową taflę. – Przejście niżej jest tylko przez to. Nie wiem, gdzie aktualnie założyli przepust. Trzeba poczekać na wyższych rangą.

Jonas przykucnął i dotknął dłonią gładkiej powierzchni, będącej jednocześnie Tarczą Sztabu i dnem Enklawy THARSYS.

- To sztuczne tworzywo? – zapytał.
- Informatyczny System nie dysponuje recepturą.
- Jak to możliwe? – zdziwił się Jonas.
- Stara historia. THARSYS zostało posadowione na oporowej płycie, która stanowiła podstawę Enklawy sprzed Epoki IUM.
- Myślałem, że wszystkie Enklawy wyłoniły się z Industrialno–Urbanistycznego Masywu – powiedział Jonas.
- Zgoda – Janko skinął głową. – Przyjmijmy więc to za Enklawę, która zapoczątkowała Epokę IUM.
- Potem wchłonął ją Industrialno–Urbanistyczny Masyw?
- Nie. Po niej nic nie zostało. Nie wiadomo dlaczego i kiedy. Mroki tajemnicy spowijają czasem najbliższą historię – filozoficznie stwierdził Janko. – Wiadomo jedynie, że upadek tej Enklawy nie wiąże się z obecną Inwazją. Kiedyś musiała to być Atlantyda swoich czasów. Enklawa THARSYS zajmuje ledwie jedną trzecią powierzchni Tarczy. Jak się domyślasz archeologia nie ma tu racji bytu – została tylko gigantyczna, nieprawdopodobnej wytrzymałości płyta. Trudno określić jej grubość. To, że THARSYS ominął los Enklaw zniszczonych w II Fazie Inwazji zawdzięczamy temu posadowieniu.
- To jest naprawdę takie mocne? – zapytał Jonas.
- Przynajmniej nie ima się tego nic, czym rozporządzamy, na czele z Endogeniczną. Poza tym dawno by nas podminowano od spodu, gdyby nie szczelność spojenia Kopyły i Tarczy. Nikt tego nie zaplanował. Jak nikt nie przewidywał Inwazji. Dopiero gdy na powierzchni rozrywało Armię na wszystkie fronty, ktoś dokonał lustracji zaplecza. Okazało się, że cała wierzchnia konstrukcja Enklawy nieznacznie zanurzyła się we własnym fundamencie i jakby zrosła z podłożem. To był kolejny, choć nie pierwszy, dowód elastyczności opoki THARSYS.
- Więc jak to się stało, że Pierwsza Linia przeniknęła do wnętrza Kopyły? – zapytał Jonas.
- Dawniej dokonywano wypadów na zewnątrz. Dopóki śluz kontrolowane były przez Informatyczny System potrafiono dławić ewentualne ogniska zapalne. Potem Armia podjęła kilka własnych inicjatyw. Konsekwencje obserwowałeś.
- Milczeli chwilę. U wylotu Studni, nad ich głowami nie pojawiał się kolejny mobil.
- Nawiąż kontakt z Bio–Łączem Sztabu – zaproponował Jonas.
- Nie ma tam nikogo – odparł Janko. – Generalicja w pełnym składzie przeprowadza inspekcję odcinka, na którym szczególną brawurą wykazał się komandos samodzielnej jednostki endoskopijnej z Kliniki Księżyca.
- Bez przesady – powiedział Jonas.

– To nie była tuzinkowa potyczka. Aż ich wymiotło ze schronu, jakby im ktoś zasadził Sztabowego Wplescza. Dotychczas Misza–saprofit chadzał wyłącznie na przedpolu Enklawy.

– Jak długo mamy czekać?

– Zrobiłeś piorunujące wrażenie. Im pewnie też zależy, żeby się z tobą dogadać. Nie potrwa to długo. Osobiście proponowałbym jednak przysiąc.

– Tutaj? – Jonas rozejrzał się po pustej płaszczyźnie.

– Od jednego przysiadu nie przyrośniesz – powiedział Janko.

Usiedli ze skrzyżowanymi nogami na gołej ziemi. Nad nimi sklepał się najniższy keson Enklawy, niby betonowy bunkier. Według informacji Bio–Łacza, Armia wykorzystwała postument Enklawy jako osłonę Sztabu. Jak to było możliwe przy jednoczesnej deklaracji o absolutnej nieprzenikliwości tworzywa o szklistej, lekko zaróżowionej powierzchni?

– Czas mija – przypomniał Jonas.

– Cóż – zamyślił się Janko. – Z pojęciem czasu pewnie nie ma to wiele wspólnego, ale istnieją tacy, których – poniżej tego miejsca – czas się nie ima.

– Nonsens.

– Wiesz, że również nigdy tutaj nie byłem – niespodziewanie wyznał Janko. – Jeśli cokolwiek wiem, zawdzięczam to oczom innych Bio–Łaczy.

– Niewiele tu do oglądania – zauważył Jonas.

– Zależy jak patrzeć. Czuję się, jakbym popełniał świętokradztwo. Przecież kiedyś w tym miejscu istniał wspaniały świat.

Janko sięgnął za pazuchę kurtki i wyjął ukryty na piersi tom starej książki, oprawionej w brązową skórę. Więc i tym razem zabrał ją z domu. Jakby się nigdy nie rozstawał z nikomu, poza nim, niepotrzebnym modlitewnikiem. Otworzył go, chwilę przerzucał stronicę. Wreszcie przeczytał:

*„...Wewnątrz samego domu, w stajni i wozowni  
Pełno znajdziesz rynsztunków, jak w starej zbrojowni.  
Pod dachem wiszą cztery ogromne szyszaki,  
Ozdoby czół marsowych; dziś Wenery ptaki,  
Gołębie, w nich gruchając karmią swe pisklęta.  
W stajni kolczuga wielka nad żłobem rozpięta  
I pierścieniasty pancierz służą za drabinę...”*

Po raz drugi Jonasa zastanowił archaiczny posmak tych słów, jakby się dotknęło czegoś przykurzonego, zawilgłego, czego w tym świecie nikt nie powinien był z lamusa wyciągać na światło dzienne.

Taki jest widocznie przywilej Bio-Łączy; kontakt z wszelką Pamięcią.

Janko zamknął książkę i położył przed sobą na ziemi.

– Tutaj też żyli kiedyś ludzie – powiedział spokojnie. – Cierpieli na swój sposób i kochali się może od nas szczęśliwiej. Walczyli i umierali. W takich miejscach kiedyś zostawały ruiny. Albo groby. Tutaj... czujesz, Megaloxantho? Wydaje mi się, jakby ich świat dalej istniał. Nie w grobach i nie w ruinach. Poza czasem. Zawieszony między życiem i śmiercią.

Spojrzał na Jonasa parą ogromnych, nieobecnych oczu. Widocznie nie znalazł zrozumienia w twarzy Megaloxanthy, gdyż uśmiechnął się blado i opuścił wzrok.

– My tymczasem... – podjął na nowo. – Na gruzach industrialno-urbanistycznego mitu, pod nowym sztandarem – oporu wobec Inwazji, przyparci wreszcie do ostatniej tarczy, o własny byt walczymy zawzięcie, nie bacząc, że depczemy cudze groby. Nie zastanawiamy się, co do nich przywiodło cywilizacje, których nie brakowało przed nami. I nie zamierzamy uczyć się z ich porażek. Rozpaczliwie pragnąc ocalić swoje istnienie, nie potrafiliśmy nigdy i nie nauczymy się do końca, uszanować spokój tych, którzy odeszli...

Jonas uważniej przyjrzał się Bio-Łączu. Janko siedział z rękoma założonymi na kolanach skrzyżowanych nóg. Spojrzenie jasnoblękitnych oczu utkwił w książce spoczywającej na szklistej powierzchni. Mówił tym samym głosem, jakim kiedyś wspominał swojego ojca – bez skrepowania, z nieoczekiwaną ufnością wobec Megaloxanthy. Pewnie dlatego, gdyż ten nie był człowiekiem. Jonas zrozumiał, że prawdziwy Janko jest właśnie taki, gdy w pobliżu brak tych, którym potrzebna jest tylko świadomość Bio-Łącza przywdziana na barki banity – najemnika.

– Nie jest mi łatwo zrozumieć, o czym mówisz – zastanowił się Jonas. – Przypominam sobie, jak ja czułem się kiedyś na progu Świątyni Szernów, gdzie megalityczne mury Krateru dają świadectwo upadku kultury wspanialszej niż wszystko, co stworzyliśmy w Królestwie Seleny. Nie ma jednak dowodów, że naród, który nam ustąpił miejsca na Srebrnym Globie, przestał również istnieć w skali Wszechświata. Dlatego wędrując do Źródła Prehistorii szukaliśmy również nadziei na przyszłość, podtrzymując wiarę Megaloxanthy w Postać Szerna – Władcy Kosmosu.

– Słusznie – poważnie powiedział Janko. – Poradź więc nam, jakiej prawdy i jakiej nadziei nam wypada tutaj zaczerpnąć.

Opuścił rękę i palcem tknął w różowiejącą pod nimi, szklistą głębię.

– Nie wiem, co masz na myśli – stwierdził Jonas.

– Tam patrz, Megaloxantho – niespodziewanie napiętym głosem powiedział Janko. – Pochyl kark i patrz tam. Pamiętaj, choćbyś zawsze błyszczał przykładem dla Endogenicznej Armii, że ziemskie ciążenie uczy pokory nawet synów Seleny, którym wydaje się, że ich skrzydła – wolne od ziemskiego brudu – gotowe są objąć całą

przestrzeń poza Księżycem.

– Powiedział czerw do motyla – zaśmiał się Jonas i umilkł raptem, kiedy opuścił wzrok na własne ręce zaskorupiałe pancerzem; bardziej się nadawały do miażdżenia gardeł, niż do chwytania słonecznego wiatru.

– Pochyl się i przyłóż twarz do ziemi – rozkazało Bio-Łącze. – Patrz i nic nie mów.

– Ty nie spróbujesz?

– Boję się.

– Czego? – zdziwił się Jonas.

– To moja prawda i moja nadzieja.

Jonas bezwiednie pochylił głowę. Nie musiał przykładać twarzy do różowiejącej powierzchni. Widział mimo soczewkowatych osłon oczu. Wzrok Megaloxanthy, przywykły zapuszczać się w kosmiczną przestrzeń jednak go nie opuścił.

Dopiero po dłuższej chwili, kiedy tak patrzył między swoimi dłońmi zwieszonymi poza kolana, jego spojrzenie uwięzło w przezroczu rozjaśnionym już nie od strony szklistej powierzchni, lecz z jakiejś innej głębi, która nie poddała się pod wiekowym brzemieniem Enklawy THARSYS. Zrozumiał też, że nie tak łatwo będzie oderwać mu oczy od świata zastygłego w kryształ.

Zrazu dopatrywał się tylko zmian współczynnika załamania światła powołujących do bytu barwne zjawy w jednorodnym ośrodku. Lecz wzrok Megaloxanthy wyławiał niewątpliwie samoistne kształty – materialne płachty z wystrzępionymi obrzeżami, jeszcze jakieś nitki rozprute szeroko i tak zastygłe. W nich uwięziona ręka. Aż drgnął, tak niespodziewanie zjawiła się w polu widzenia. Zupełnie normalna, żywa ręka. Ramię odchodziło w stronę ciemnego skrzepu – tam dopatrzył się pierwszej twarzy. W kryształowej trwałości okazała się niespodziewanie pozbawiona wszelkiej urody, godnej uwiecznienia bodaj w kamieniu. Tu jednak dostąpiła nieśmiertelności – wystarczająco napiętnowana zmarszczkami, guzowata, przywiedła. Z miejsca, które przypadek wyznaczył na punkt obserwacyjny Megaloxanthy, widoczna była nieco z profilu, odgięta, z rozchylonymi, splekanymi ustami. Zdawało się, że niepodobna wyobrazić sobie, czym można zaspokoić bolesne pragnienie tych warg. A jednak tuż przed nimi przebiegała niemal doskonała linia, niby łokieć albo kolano zaokrąglone łagodnie, jedną krzywizną uciekającą ostro w dół, drugą wzniesione. Już widział tam stopę, delikatnie gładką piętę i palce, w podbiciu naznaczoną siateczką ledwie dostrzegalnych fałdek. Ta stopa była najpłycej, jakby się dopiero odbiła od powierzchni, żeby resztę szybciej pograć w inną cielesność – znacznie głębiej usta starego mężczyzny przyłożyły skamieniały oddech do idealnej krągłości kolana. Jeszcze w dół zbiegała wewnętrzna powierzchnia uda, zatopiona nie ociężałością mięśni czy balastem tłuszczowej tkanki, raczej potrzebą oparcia, którego nie znalazła

w locie, w zapadaniu mimo czyjejś twarzy, obok wyciągniętej ręki. W głąb odgiął się tułów – miejscami ściśle otulony nieprzejrzywą materią, to znów rozsypujący nitkowate tkanki – wreszcie tak luźne, aż się w nich ujawniało zupełnie inne ciało, nieprzystawalne do pierwszego, jeszcze niosącego w sobie cień spoza powierzchni.

Tam bowiem, w różowym przestworzu, rozpalał się ogień głębi, bardziej tajemniczej od makro – i mikrokosmosu, jakby wytyczyła sobą płaszczyznę przejścia tych ekstremalnych stanów w siebie nawzajem. Jednocześnie światło istniało tam wobec bezruchu, głębia bez przestrzeni, materia bez masy. W nieruchomej różowości pławiły się obnażone kształty, do oczu, warg i rąk podawały wiecznie żywą cielesność, już nie pragnącą – żądającą pieśczoły w intymnym ustroniu dwóch splecionych dłoni, w kokieterii oczu i na wargach leciutko wilgotnych, stulonych do pocałunku – cokolwiek przyłożysz. Jeszcze się tam ramiona zwały z jaśniejszą gibkością, włosy zakwitały przy różowych piersiach i nogi spinały czyjeś śliskie boki, i zady trwały w sobie nawzajem wkleszczone – wszystko chmurą skłębioną nawisło nad wąską szczeliną. W ustałej lagunie poza furją i parną łaźnią, ktoś spoczywał – spokojny, nieobecny, z rozmarzonym wzrokiem, zasłuchany w sobie – tylko nogę założył na nogę, rękami ogarnął własne ciało przepełnione sytością, sfałdowane na brzuchu, rzadziutko rudawą przysypane sierścią – nieznaczającą pleć zawinął w różowe paluszki i pod wodogłowiem rumiany policzek przytulił do własnego ramienia – sam jeden, zauroczony wiecznością, chociaż tuż obok – czyjaś jeszcze głowa; czarny ukwiał włosów, czerń w oczach, twarz dziwnie przemieszczona względem tułowia – ciemny naciek snujący się z poderżniętego gardła...

Jakby świadomości wystarczyło jedno spojrzenie, żeby wrosnąć w coś trwalszego nad wszelkie znaki na niebie i ziemi, w świat jednoczący śmierć i rozkosz w piekielną pełnię – Jonas szarpnął się cały.

Jeszcze w karku czuł ucisk stalowych kleszczy. Wzrokiem schronił się prosto w oczy Bio-Łącza. Chciał coś powiedzieć – na twarz Janko nakładał się inny obraz; tamta głowa odrzucona na bok, ciemną szparą odłamująca się od tułowia – kilka kropel krwi zawieszonych w powietrzu – trwanie rozpisane w nieskończoność.

Niespodziewanie Jonasowi przyszła do głowy myśl, że te ludzkie kształty, ich cierpienie i rozkosz, nie budzą w nim należnego upojenia, nawet lęku i odrazy.

– Nic nie mów – Janko przerwał milczenie.

Przed chwilą z napięciem wpatrywał się w oczy Megaloxanthy, jakby w nich szukał pamięci, z której mógłby wysnuć prococtwo swojego losu – odetchnął nagle. Potrząsnął płową czupryną i twarz mu się rozpogodziła.

– Wiem doskonale, co tam jest – ręką zatoczył krąg. – Mogę ci pokazać to wszystko, co inne Bio-Łącza znalazły w tym dziwnym kryształe. W różowym zwierciadle zatopiony świat.



– I tak... wszędzie? – zapytał Jonas.

– Dalej, niż sięgają ściany tego podziemia. To ogród ludzi jednakowo żywych i umarłych. Jak myślisz, czy to obraz ich życia i pragnień, który zdołali uwiecznić kiedy ginął ich świat? Czy też sami odeszli tam, pod powierzchnię kryształowego jeziora osobliwości, na wieczną rozkosz i potępienie?

– Nie wiem. – Spróbuj.

– Nie jestem człowiekiem.

– Dziwne – głośno pomyślał Janko. – Kim więc jesteś, jeśli nam tak niewiele zostało wspólnego, że w innych zwierciadłach dopatrujemy się własnej przyszłości?

– Nie wiem, kim dzisiaj jestem – powiedział Jonas. – Wiem, kim będę.

– Tak? – Janko szerzej otworzył oczy. – Chciałbym być Szernem – powiedział Jonas.

Śmiech usłyszał za sobą.

– Genomutem może? – zapytał ktoś znajomym głosem. Jonas podniósł się z ziemi i obrócił twarzą do człowieka, któremu kocim krokiem udało się zmylić słuch Megaloxanthy.

Przed nim stał oficer w białym mundurze ze złotymi naramiennikami i srebrną obręczą w miejscu odkręconego hełmu – trzymała się karku niby obroża. Mężczyzna w rękę trzymał ręcznik i przecierał nim zlepione potem kosmyki na skroniach. Zawzięcie tarł uszy i zadzierając podbródek wycierał szyję. Radośnie przy tym szczyrzył zęby. Kiedy gęba rozjeżdżała się od ucha do ucha, całą twarz przebiegał krótki kurcz – mimikę ograniczały ciągle miejsca obłożone półprzezroczystymi płatkami naskórka z parafiny.

– To było coś! – powiedział przez zęby. – Takiej sztuczki nie wywinie nawet mutant. O, widzisz?

Palcem dotknął oparzeliny przy skroni.

– Wolałbym sam się rozliczyć, gdybym wiedział jak – zaśmiał się znowu. – Nie wierzyli, kiedy im mówiłem, że to nie od ognia.

Wreszcie zarzucił ręcznik na ramię. Podszedł bliżej i wyciągnął wielką, czerwoną dłoń.

– Z przyczyn obiektywnych nie mieliśmy okazji: major Feretrius – przedstawił się. – Grupa Szybkiego Reagowania – śmietanka Endogenicznej. Przy pierwszym spotkaniu pozwoliłem sobie na żarty. Proszę o wybaczenie.

Nie bardzo wychodziło mu trzymanie w ryzach twarzy chętnej do uśmiechu.

– Chodźmy stąd – zaproponował. – Niedługo zjawi się reszta. Nie biorąc udziału w akcji pragną powąchać prochu przynajmniej podczas zawieszenia broni. Poza tym, przyjacielu, sztabowe gnidy zawsze dadzą odczuć, jakie są ważne, choćby im niecierpliwość świdrowała tyłki.

Objął Jonasa za ramię i poprowadził nie zwracając uwagi na Bio-Łącze. Gardziel Studni raz za razem strzelała rtęciowymi pociskami. Ze świstem przenosiły się nad idealnie gładką Tarczą Sztabu i znikały w boksach drażonych na dalekim zakolu szarego nieboskłonu. Tymczasem major Feretrius żywo rozwodził się nad niedawną akcją i paru innymi, głównie na przedpolach Enklawy, kiedy jeszcze dokonywano wypadów. Tam dowodzony przez niego zwiad pierwszy oberwał i pierwszy to sukinyństwo ochrzcił śnieżno-niedźwiedzim przezwiskiem: Misza-saprofit.

Niespodziewanie na ich drodze pojawił się krąg o średnicy dobrych trzydziestu metrów, bardziej matowy i jakby mniej krystaliczny niż reszta różowej powierzchni. Za sobą Jonas wyczuł wahanie Bio-Łącza. Spojrzał pod nogi – dokoła wszędzie prześwitywały cienie zatopione w różu. Tylko we wnętrzu tego kręgu zastygła głębia niczym nie zamącona, za to podświetlona wiśniowym pożarem – niby przedłużenie Studni wiodące w najskrytszy zakątek piekieł.

– Brak praktyki? – Feretrius zajrzał mu w oczy. – Różnie bywa. Każdemu swoje. Zresztą czort wie, czy takiego bodaj połączce. Chciałbym mieć twoją skórę.

Postąpił krok do przodu i Jonasa pociągnął za sobą.

Jonas myślał, że postawił stopę na czymś równie twardym jak wszędzie. Chwilowe złudzenie. Spojrzał w radośnie wyszczerzoną gębę Feretriusa, potem znów pod nogi – stopy zapadły po kostki. Już szklista powierzchnia sięgnęła kolan. Z boku Feretrius palcem dłubał w zębach. Janko dopiero wstępował w magiczny krąg. Ciało bez czucia osuwało się w niematerialną prawie głębię. Na chwilę zamknął oczy – otworzył już pod powierzchnią. Był sam. Jakby zatrzasnęła się nad nim płyta grobowca przeznaczonego wyłącznie dla niego. Dokoła przesuwała się przestrzeń – tak to czuł. Nic nie otarło się o jego pancerz. I tak nie czuł ciała, choćby go przeżuwały diamentowe żarna. Wiedział tylko, że jest. I był pewien, że coś w nim dojrzewa – poza ciałem, ponad świadomością...

Aż rozpięra pragnienie, żeby to trwało wiecznie – bezruch w przełyku z kamienia – w pancernym ziarnie – aż z chitynowej skorupy wykluje się Postać Szerna.

## 12. SZTAB

– Panowie, zamknijcie pyski! – zawołał Feretrius.

Major pocił się i niewiele wskazywało, że najbliższa przyszłość przyniesie mu ulgę. Konsekwentnie też opróżniał puszki z orzeźwiającym napojem. Kolejną wy dostał ze skrzyni pod stołem. Przytrzymał jedną ręką, jakby miał do czynienia ze starym, ręcznym granatem, zębami chwycił zawleczkę i całym ramieniem odwinął od siebie. Pianą bryznęło na rozłożoną przed nim mapę. Odchylił głowę i łykał zachłannie, tylko mu chodziła szczeciniasta grdyka.

Wreszcie opróżnioną puszkę zacisnął w garści i tak uzbrojoną pięść opuścił na krawędź stołu. I zaczął nią bić systematycznie, aż równy rytm przebił powszechny gwar, śmiechy i szept. Marszowy rytm potrafi zaczarować nawet oficerską kadrę. Chcąc nie chcąc zwrócili na niego oczy. Wtedy walnął ostatni raz, aż prysnęły resztki piany.

– Panowie – powtórzył spokojnie. – Jeśli podjąłem się przewodniczenia, to nie ze względu na rangę, nie z doświadczenia w pajacowaniu, nie z miłości własnej. Zgodnie uznaliście, panowie, że jako wprowadzający sprawdzę się najlepiej ze względu na losową przypadłość, jaką było nawiązanie kontaktu z naszym sojusznikiem, co potwierdził obecny tu elew Mechaneurystycznej, Jonas Hebrejczyk.

– Kto tu mówił o miłości własnej? – wzruszył ramionami pułkownik Spotlight.

– On się powołał na braterstwo broni – zauważył Kolczinski.

– Ba! – swoje wtrącił Miasoff.

Ostatni ledwie się trzymał na odchylonym stołku. Rozpięty skafander spełził mu do bioder i wreszcie mógł się do woli drapać w bezwłosą pierś, gdzie między bandażami czerniały fragmenty identyfikacyjnego tatuażu Rzeźników Empiru – jatagan podrzynający gardło cesarskiego orła. Nie tylko tężyzną fizyczną – przede wszystkim powagą brygadier Miasoff korzystnie wybijał się na tle Sztabu. Dzisiaj nie wadziły mu nawet dystynkcje, wraz z rękawami munduru zwieszono poniżej siedzenia.

– Chciałeś przez to powiedzieć, że tobie wypada nasz prototyp dalej wdrażać w cugle – wtrącił suchy, sztywny Kolczinski. – My mamy ustąpić pierwszeństwa i własne zęby kruszyć na swoich odcinkach?

– Mam wyłom – pewnie po raz dziesiąty z boku odezwał się jakiś młodszy lejtnant.

– O-o! – nie popuścił Miasoff; wetknął paluch w gębę, odciągnął dolną wargę i zademonstrował szczerbę między potężną piątką a ósemką.

Kilku bliżej siedzących zawtórowało śmiechem.

Dokoła ciemniało od papierosowego dymu. Pułkownik Greisen na strome montował własne lobby, co rusz siał łączników do Sticza i Dronta, raz papierową kulkę przez stół pchnął do Spotlighta.

Niespodziewanie za plecami generała Juanito cienki szczebiot jak nożem ciął powietrze, błyskawicznie wstępował na coraz wyższe tony.

Pierwszy zareagował Dront. Ogromnym susem runął przed siebie. Za nim Kolczinski i Sticz. Miasoff chwilę patrzył przed siebie tępym wzrokiem, nagle i do niego dotarło. Wydał głębokie UFF! – niby tąpnięcie w masywnej piersi. Stołek poleciał w bok, prosto pod nogi Dronta, który byłby wydostał się poza Pierwszą Linie, gdyby mu zydel nie podkosił tydek. Teraz frunąc w powietrzu, przedramieniem chroniąc czerep, wolną ręką zamiótł po podłodze i zgarnął dwulufowy rozpylacz upuszczony z łoży Greisena. On sam jakby się zapadł pod ziemię. Pod białą kulą lampy, uczeponą niewidzialnego stropu, trwał jeszcze Feretrius, Jonas i Bio-Łącze. Na stronie Spotlight z nagle skamieniała i jakby popiołem posypaną twarzą – siedział na krześle, zamknął oczy i wszystko w nim zapadło do środka, została skóra i kość. Spotlight czekał. Cały zamienił się w słuch. A w uszach zacinał świergot coraz szybszy, jakby się coś rozkręcało, stalowymi listkami cięło powietrze i strzelało iskrami, tysiącem brzytwę tnących niby zwariowane śmigło – gotowe zamienić w jatkę ziemię, powietrze, cokolwiek stanie na drodze. Jeszcze chwila i zestruga naramienniki z generalskich barków, rozchłasta pierś Juanito i wirującym bakiem pogoni inne plecy, łokcie, zady.

Tylko generał Juanito siedział niewzruszony. Założył nogę na nogę i radosne zorze igrały mu w oczach. I nagle ktoś zawył wściekle. Jonas spojrzął w tę stronę: Dront tam klapnął na tyłek, a teraz siedział z szeroko rozrzuconymi nogami i zapamiętałe obuchem swojej sploty młócił o podłogę – patrzeć, a sypną szklane drzazgi. Walił kolbą, wył i przeklinał na przemian. Nad ramię Juanito wychyliła się promienna jutrenka – kapral Zend z oczami rozmodlonymi w samozachwycie, z czymś błyskotliwym niby stroboskop tuż przed wydętymi ustami.

– Ss-skaarrwa-niały synu! – kłął Dront. – Mówiłem! Mówiłem! Z dupy mu ręce! Powyr-r-rywaaam! I resztę – zaśpie-ewa jesz-cz-cze cieniej...

– O Jezu! – jęknął Kolczinski i oklapł na pierwszym z brzegu stołku.

Tymczasem Zend dalej zakwitał. Aż się wyciągnął jak struna, cały podany do przodu, tylko mu się brzuch kołysał ciężkawo, zbyt cieleśnie, mało finezyjne wobec szczebiotu, który zaciął niby diament po szkłe i przepadł, chociaż Miasoff i reszta dalej wybałuszali oczy, a Zend wciąż przed ustami, między kciukiem a wskazującym palcem, trzymał jakieś srebrny, wibrujący listek, za którym drgał mu mały palec i czubek języka z nieprawdopodobną szybkością uderzał o wydętą górną wargę. Jeden Zend pewnie słyszał jeszcze świst tnący już inne continuum.

Ktoś się zatoczył i zgrabiąną łapą oparł na ramieniu Jonasa, aż przy uchu usłyszał spazmatyczne łapanie powietrza.

– S–sukin–syn! Słyszałeś?! – ktoś mu się nachylił do ucha. – Byłem świadkiem, jak mu wychodzi Bełkotnik... albo Efeb–przedrzeźniacz. Ale wyciąć takiego Wpleszcza! Rany! Ta–akiego Wpleszcza!

Jonas siedział niewiele mniej sztywny od Spotlighta.

Janko Pytlak nieco z tyłu, na krawędzi jakiejś skrzynki. Z tej strony piętrzyło się ich więcej. Odbite listwy szczerzyły gwoździaste zęby. Ktoś systematycznie przetrząsnął wszystko dokoła. W poszukiwaniach wzgardzone zostały konserwy z witaminizowanym białkiem, granulat z węglowodanów i tubki odżywczych past. Poza asortymentem przydatnym na biwaku, w okopie trafiały się też skrzynie z amunicją, płaskie miny, magazynki do rozpylaczy i fosforyzujące baterie do emiterów. W powszechnym tumultie rozsypały się szklane czopy zakończone czerwoną główką – już się rozjarzały szkarłatem, kiedy ktoś zaklął i najpierw spróbował głównie wkopać do jakiegoś cylindra, wreszcie po prostu nakrył wszystko skrzynią i sam przysiadł z wierzchu, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Dront przestał młócić kolbą w ziemię. Ktoś mu po prostu wyrwał z ręki rozpylacz trzymany za łufę. Wtedy niespodziewanie rozpląkał się i tak chlipiącego, wypchnięto go gdzieś do tyłu. Dotychczas sztywny Spotlight przebudził się, sięgnął za pazuchę i do ust przytknął płaską butelkę. Łyknął kilka razy. Zakrztusił się. Ktoś wyciągnął długie ramię i wyłuskał mu piersiówkę. Jonas uniósł głowę – to znów Feretrius przyssał się do butelki, łuskowaty naskórek białymi kłaczkami sterczał mu na policzkach w miejsce zarostu, który uchował się tylko na grdyce.

Reszta powoli wracała na miejsca, Kolczinskiemu po trzeciej zapałce udało się przypalić papierosa. Teraz zaciągał się łapczywie. Miasoff dłużył w nosie. Generał Juanito częstował czymś Zenda z papierowego rożka. Jakiś porucznik z czerwonym dwukropkiem rezerwisty na rękawie przyłożył dłoń do ust i zarzucił głową. Może chciał połknąć jakąś pastylkę – wracający Sticz potrafił go niechcący. Tamtemu coś wyskoczyło z ręki i przezroczysta kulka, z różową iskierką w oku, radośnie zeskoczyła na podłogę. Odbiła się dźwięcznie – Jonas dostrzegł kilka twarzy zwróconych w tym samym kierunku. Sticz też się obejrzał. Bez zastanowienia cofnął się i stąpnął nieco w bok. Trzasnęło, jakby się rozłupał szklany orzeszek. Tu i tam zachichotano – aż zakręciło rezerwistą, który przez moment zastygł w przysiadzie, z ręką zawieszoną nad pustą podłogą.

Nie było tylko Greisena. Wreszcie zjawił się, jak zwykle elegancki, jedyny w Sztapie, którego stać było na odprasowanie prawdziwego munduru, zamiast kurtki albo skafandra. Jeszcze Sticz i Kolczinski wymienili kilka uwag półgłosem. Miasoff czknął. Spotlight skinął głową w stronę Feretriusa. Ten niechętnie oddał mu pustą

butelkę, otarł wargi i rozejrzał się za swoją puszką. W tej chwili zjawił się lejtnant, którego przedtem nie było, albo Jonasowi nie rzucił się w oczy. Z tyłu zaszedł Feretriusa i szepnął mu na ucho kilka słów. Potem odszedł na bok i przysiadł na skrzyni obok Greisena.

Feretrius chrząknął i tymczasem zrezygnował z poszukiwań.

– Myślę, że będę wyrazicielem powszechnej opinii – zerknął w stronę Jonasa i Bio-Łączza. – Jeżeli, jako przewodniczący, zaświadczę, że nie po raz pierwszy doceniliśmy, hm... krotocwilność kolegi Juanito i niezaprzeczalny talent lejtnanta Zenda.

Odezwało się trochę braw. Generał Juanito skłonił głowę. W tle prawdopodobnie Dront zaklął szpetnie.

– Poza tym mamy niezbyt pomyślne wieści – Feretrius rękawem otarł czoło. – Skurwysyny przerwały się na odcinku Muru Berlinga i dotarły do *Cloaca Maxima*. To na twoim odcinku, Kolczinski.

Ten byłby się zerwał – tylko spojrzął na Jonasa, splunął i niedopałek zduślił obcasem.

– Mówiłem, że nie pociągnę bez odwodów – powiedział i z nie – tajoną niechęcią spojrzął na Greisena. – Jak się rozmnożą w *Cloaca Maxima*, możecie się wysadzić w swoich fortach.

– Bach! – sapnął Miasoff.

– Dzięki fortom jeszcze funkcjonuje Stinson – spokojnie odciął Greisen.

– Diabli z Laboratorium – warknął Kolczinski.

– Panowie! – wmieszał się Feretrius. – Proponuję podsumować punkty aktualnie najbardziej wrażliwe w systemie obronnym THARSYS. W tej chwili kłopoty ma Kolczinski. Spotlight domaga się oskrzydlenia na wschodniej rubieży. Miasoff połowę Rzeźników Empiru stracił na wczesnym Rojniku Arrheniusa. Sticz panikuje. Sticz zawsze panikuje. Talonhaltia okopał się poza I Modułem Fabrycznym i utknął. Talonhaltia musi, musi odbić I Moduł. Co było u mnie każdy przekonał się naocznie. Bez tego faceta z Mechanurystycznej miałbym przyjemność osobiście dołączyć do mauzoleum. Jeden Juanito jak zwykle nie rości żadnych pretensji. Aha, Greisen oczywiście pierwszy złożył oficjalne zapotrzebowanie.

To mówiąc Feretrius dwoma palcami uniósł ze stołu przepisowo wypełniony formularz.

– Ja mam wyłom – raz jeszcze odważył się zwrócić uwagę jeden z lejtnantów.

Tylko Miasoff wyszczerzył się w jego stronę.

– Tak więc, coś trzeba postanowić, panowie – zakończył Feretrius.

Jonas rozejrzał się dokoła. Białe pęcherz niby-lampy nieruchomo podwieszony w powietrzu. Dalej ciemność. Gdziekolwiek się ruszysz – zawsze wypłyniesz przez tę

samą studnię. Dawniej nazywano to Grotą en–Nakura, zanim generał Juanito wpadł na pomysł zainstalowania tu Sztabu Endogenicznej.

– Mam problem – zgłosił się Jonas.

– Bardzo proszę – dziwnie chętnie zareagował Feretrius. – Zainteresowany też ma prawo wypowiedzieć ostatnią wolę.

– Na jakich zasadach Sztab podejmuje decyzje? – zapytał Jonas.

– To znaczy? – wyraźnie zaintrygowany Feretrius wyszedł z za stołu i przysiadł na wprost Jonasa, między Spotlightem a Juanito.

Reszta też jak na komendę zwróciła głowy w kierunku Jonasa.

– Kto podejmuje decyzje – sprecyzował Jonas.

– Nasz system jest w pełni demokratyczny – powiedział Feretrius. – To znaczy; kiedyś istniało stanowisko Dowódcy Sztabu i Generalnego Stratega Enklawy. Ostatni na ten piedestał wspiął się nasz Juanito.

Mówiąc to Feretrius poklepał generała po ramieniu. Juanito nie ukrywał dobrego humoru.

– Z kolei do porozumienia doszło gremium młodszych oficerów – podjął Feretrius. – Zaproponowaliśmy system demokratyczny, wychodząc ze słusznego twierdzenia, że dobry generał zwycięży ze złą armią; którą to zasadę przełożyliśmy z uwzględnieniem awansu szeregowego żołnierza, żeby otrzymać nowoczesną formułę: dobra armia potrafi walczyć bez generała. Jak walczy, miałeś okazję zobaczyć. Koordynacją Pierwszej Linii zajmuje się Informatyczny System, dlatego nawet taki Kolczinski nie spieszy się do swoich weteranów. Dadzą sobie radę. Możesz mi wierzyć.

Mówiąc to patrzył na Jonasa w taki sposób, że trudno było zorientować się, na ile sam Feretrius i reszta traktują ten wykład poważnie. W każdym razie miny mieli, jakby tym razem szykowali się wspólnie zasunąć Jonasowi coś w rodzaju Sztabowego Wplesztza.

– Generał Juanito również nie widział przeciwwskazań – kontynuował Feretrius.

– Doszliśmy do porozumienia, pozostając towarzyszami broni. Coś jeszcze?

– Dziękuję – powiedział Jonas. – Jak zrozumiałem w naszym demokratycznym systemie również ja sam powinienem mieć coś do powiedzenia w kwestii rozdysponowania mojej osoby?

– Fiu–u! – przez zęby gwizdnął Miasoff.

– Strategiczne myślenie – zauważył Kolczinski.

– Bardzo proszę – zachęcał Feretrius.

– Nie odpowiadają mi forty Greisena. Jak słyszałem Kolczinski sam sobie da radę, a nawet jego oddziały obejdą się bez niego. Nie mam więc po co pakować się w jakąś kloakę. Poza tym Sticz panikuje. Miasoff może drugą połowę ludzi pchnąć na

stracenie. Nie interesuje mnie żaden odcinek szczególnie. Jako elew Mechaneurystycznej Kliniki Księżyca nauczyłem się wszelkie konflikty rozpatrywać globalnie, zanim ktokolwiek podejmie działania na odrębnych frontach. Moim zdaniem aby coś zdziałać, potrzebna jest strategia na miarę całej Enklawy, a może i dalej...

– A nie mówiłem! – przerwał mu Kolczinski.

– Co proponujesz? – spytał Feretrius.

– W danej chwili chcę poznać człowieka odpowiedzialnego za działania na przedpolach Enklawy THARSYS – powiedział Jonas. – Zamierzam spróbować wypadu.

Zapadła grobowa cisza.

Jonas przyglądał się skierowanym nań twarzom. Nie wyrażały nic specjalnego. Tak się spodziewał. Tylko Miasoff ziewnął szeroko.

Zauważył natychmiast, że niespodziewanie sam generał Juanito nachylił się do ucha Feretriusa. Chwilę szeptał. Z kolei Feretrius parę słów półgłosem przekazał do Spotlighta. Ten obejrzał się na Greisena. Greisen wzruszył ramionami. Spotlight kiwnął więc głową i Feretrius wrócił na miejsce przewodniczącego obrad. Po drodze zebrał z podłogi mapę.

– Panowie, generał Juanito ma propozycję – powiedział. – Ze względu na wakans na stanowisku Szefa Rozpoznania i Dywersji proponujemy, aby w trybie natychmiastowym obowiązki Szefa tego pionu przejął odznaczony w ostatnich potyczkach elew Mechaneurystycznej Kliniki Księżyca, obecny tu Jonas Hebrejczyk.

Ktoś zaczął bić brawo. Miasoff powiedział swoje OHO! Ogólnie atmosfera została rozładowana. Zaczęto wstawać z miejsc. Pierwszy z gratulacjami pospieszył sam Feretrius.

– A więc – powiedział. – Witamy kolegę w składzie Sztabu.

Nad jego ramieniem wychodzący Kolczinski znacząco uniósł do góry kciuk i zrobił bojową minę. Obok, Juanito z niezbyt obecnym uśmiechem wysłuchiwał Greisena. Ktoś próbował podnieść w sztok zapitego Dronta. Jonas poczuł na sobie drwiące spojrzenie Bio-Łączka.

– To było świetne rozwiązanie – tłumaczył Feretrius. – Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby ciebie przydzielono do którejś z istniejących formacji? Reszta by sobie nawzajem oczy wydrapała.

– Czym będę dysponował? – jeszcze spróbował Jonas.

Feretrius rozłożył ręce.

– Widziałeś, co się dzieje. Tu front się sypie, tam jako taki spokój, ale jutro będzie na odwrót. Nikt nie ma odwodów. I nie da sobie niczego wyrwać z gardła. Nie licz na nic. Trzeba samemu kombinować. Będziesz w jednej osobie szkoleniowcem,



strategiem, intendentem i – podejrzewam – główną siłą uderzeniową.

Wreszcie Feretrius roześmiał się promieniście.

– Życzę powodzenia – powiedział szczerze.

Uścisnął Jonasowi rękę. Strzelił obcasami i, jak sam stwierdził, udał się na polowanie. Po chwili w istocie świsnął Spotlightowi papierosa i zajął się poszukiwaniem piwa.

– Wiedziałeś? – Jonas zapytał Bio-Łacza.

Janko wzruszył ramionami.

### 13. ELEUZYNIA

Pianę wypchnęło z najgłębszych sztolni – połyskliwą, wrzaskliwą, pstrokatą. Podniósł oczy nad ich wielogłowym, falującym odmětem. Dawniej ciemny brzeg ograniczał krater. Piętra metalicznych łusek. Ludzie mieszkający w miodowych plastrach zatrzasnęli wtedy żaluzje, jakby sam widok skazańca wstępującego na szafot potrafił natchnąć obrazoburstwem wrogim Władzy, jakby wystarczyło spojrzenie, żeby w każdym zaległ się Kostropian czy Anarchista. Teraz rozświetliło się w koło. Ogromne holowizje poruszały krwawiącymi bliznami ust, uśmiechały się promieniami rwącymi z oczu złote rzęsy, zakwitały wreszcie, aby tęczy pigment sypnąć w pianę ludzkich głów. Potem w ich człekokształtnym karnawale objawiały się widma polaną fosforyczną farbą, na głowach dźwigające krzaki płonące, czerwone i fioletowe. W tętniącym życiem labiryncie snuły się postacie o cynobrowych rękach i twarzach obnoszących matowy nalot chromowej zieleni, pływały ciała nagie pod rozjaśnioną ultramaryną. Odwracając od nich wzrok natknął się na płaską plombę między ziemią a stropem. Jeszcze się nie poddała powszechnej euforii. Szedł stamtąd łagodny, ciepły wiatr. Ciemnoczerwony sygnet darował lagunie przytulny mikroklimat. Po bokach wycieki łąkowej pieczęci – kurtyna spuszczone na lazaret.

Trafił więc tam, skąd wyszedł. Pod pieczęcią przyłożoną przez Endogeniczną Armię dokonała się metamorfoza Kochanka Seleny w Megaloxanthę–chrzaszcza.

Przez ten czas węgielny filar Rdzenia THARSYS wskrzesił w sobie nowe soki. Teraz płomień ogniska od dołu podświetlał potężny pień – święte drzewo. U podnóża zebrało się plemię bez ziemi. Wyżej konary podparte słupem dymu, rozgałęzione w najtajniejsze zakamarki Przestrzeni i Czasu, w mgielność Nieskończoności; niby mitologiczny Igdrasil zbierający rosę z mlecznego oparu. Gdzieś tam, nieprawdopodobnie wysoko, Jonas dostrzegł skrawek prawdziwie wygwieżdżonego nieba. Drzewo Kosmosu – pomyślał – skamieniałe u schyłku Epoki IUM. Ledwie wiotką gałęzią, poprzez Moduł CETI, sięgnęło gwiazd – neolityczne plemię dalej codzienność święci u jego podnóża.

Program dzisiejszego dnia raczej nie zapowiada ciekawej egzekucji. Nie Pierwsza Linia lecz jarmark albo wesołe miasteczko. Gdzieś się musieli podziać. I jakoś przeżyć bodaj tę noc. Towarzyskie posiedzenia Sztabu nie zapobiegą kurczeniu się Enklawy. Kolejny biwak lumpenproletariatu.

Urządzili się jakoś. Gwarno tu było. Cuchnęło na wszystkie możliwe sposoby. A przede wszystkim wirowało w bajecznym kalejdoskopie. Barwne twarze – często włokące za sobą holograficzne powielenia, cudaczne ubiory, przy których opancerzona postać Megaloxanthi okazała się skromną przyczyną powszechnej

maskarady.

Szedł coraz dalej. W stronę Drzewa.

Janko włókł się za nim.

Plac sprawiał wrażenie płytkiej laguny, z której spłynęła ciepła woda prehistorycznego morza. Między madreporowymi kratownicami koralowej rafy utknęły fantastyczne muszle – ogromne małżowiny z kolczastymi krawędziami, otwarte na oścież i spiralne – wysokie na kilkanaście metrów, gromadzące wokół siebie wszystko, co jeszcze nie wyzdychało, co snuje się w resztkach dennej wilgoci. Plankton przetrwa jeśli się czołga albo ułoży wygodnie w korycie inkrustowanym perłową macicą – z nadzieją na falę przyptywu.

Niewiele potrzebowali czasu, żeby u podnóża Drzewa Kosmosu wznieść prawdziwe miasto z uliczkami przenikającymi pęcherze z perłowej masy, kopce z różowej piany i szklane labirynty. Ludzie się tam tłoczyli, przepływali przez drgające muzyką przetyki, wstępowali w lędźwie ociekające bursztynowym sokiem, otwarte do psychodelicznych wnętrzy. Inni równymi szeregami układali się w płytkich rynsztokach. Nad tych nasuwały się białe cysterny, lekkie jak rtęciowe mobile Endogenicznej, każdemu kolejno w pierś wstrzeliwały białą tętnicę. Potem wisały w powietrzu, z pajęczastych tułowi wyciskały mleczną treść. Aż nic nie zostawało. Błysk w powietrzu – w rynsztokach woskowe czerwie. Skręcały się chwilę, drgały w takt wielobarwnych muzyk, nieustannie parujących z kotłów porozstawianych na skrzyżowaniach uliczek, potem odpełzały – po dwa, po trzy do jednego gniazda, w kołysankę wydmuszek – bilardowych kul odtąd podejmujących nową grę, przepychanych, potracanych, toczących się pod nogami przechodniów, zeskakujących dźwięcznie z kryształowych schodków. Baczny obserwator ich nieustannego przemieszczania łatwo popadał w rozterkę – nieoczekiwanie ruchy bilardowych kul wymykały się przypadkowości; bardziej to przypominało kinetykę cząsteczek osadzonych w strukturze płynnego kryształu.

Odtąd one prowadziły, ukierunkowywały, mieszały w tłumie niby precyzyjna maszyna, która niepostrzegalnie określa każdy twój krok, delikatnym naciskiem obraca ciebie wokół osi, popycha – żebyś ten impuls poczuł w samym sobie i postąpił tam, dokąd zapragnąłeś, gdzie tobie podobni żują chleb powszedni, z wiarą, nadzieją i pokorą na spełnienie Teorii. Z oczekiwaniem w twarzach pociągniętych ochrą, podbarwionych seledynowo, ze srebrem na rzęsach i krwawą pianą przeciekającą między zębami – jeśli, niepomni, twarzą wpadną na kulę rozpedzoną w tunelu żywych ciał, przeznaczonym wyłącznie dla obiegu idealnej formy.

Wszystko to odbywa się na dalekim planie, niejako podskórnym. Poza tym możesz istnieć z czystym sumieniem, z amokiem w oczach zauroczonych powierzchownością, gorączkowo czepiających się świata, który nie przewiduje

powtórki – i na tym polega jego drogocенność.

Jeden z trzymających się realnej powierzchni, pełen serdecznej energii, zakrzętała się wokół Jonasa. Z zainteresowaniem obmacał jego pancerzyk – jakby na tonącym okręcie wywęszył ostatnią szalupę. Zaproponował wymianę. Tajemniczym szeptem podrzucał Jonasowi nic nie znaczące nazwy, przy każdej rozplęwał się w zachwycie. Wreszcie zielone wodorosty nad jego rumianą gębą przywiedły nieco – zrezygnował. Jeszcze z uznaniem poklepał Jonasa po piersi i, niespodziewanie, zmienił temat: zaproponował odsprzedaż Bio-Łączca. Przy następnej okazji długowłosa staruszek stręczył własną córkę, błękitnoskórą, z przezroczystymi, jakby szklanymi włosami, w trudnym do określenia wieku; według jego zapewnień będącej seksualną mutantką. Dziewczyna próbowała zaprezentować charakter mutacji. Jonas stwierdził nieoczekiwanie, że czuje się skępowany wobec przedstawicielek ich płci odmiennej. Za wiele w nich było ciała, wręcz emanowały zmysłowością. Jakby raz jeszcze, wyrwany ze sterylnej duchowości Seleny, zagłębiał się w ziemskiej atmosferze, gęstej i lepkiej, wilgotnej i przepachnionej – czekał na to od samego początku, odpychało i ciągnęło niby ziemskie ciężenie – aura całego globu zogniskowana tak samo w parności obłoków jak w ich kobiecości, kategorycznie domagającej się dopełnienia – kimkolwiek jesteś.

Próbował nie myśleć o tym. Nawet podniósł wzrok, żeby nie widzieć ich kobiet – ostentacyjnie obnoszących kolorową nagość, jędrnych i jednocześnie niewytłumaczalnie pełnych słodkawej miękkości. A przede wszystkim – przyglądających mu się napastliwie i tak przenikliwie, że czuł się nagi i bardziej bezradny, niż można to sobie wyobrazić w bezpośrednim zetknięciu z jakimś Sztabowym Wplesztchem, Miszą-saprofitem, Kostropianem – z czym jeszcze zmagają się na Pierwszej Linii. Ostatecznie wolał być obmacywany przez optymistę, któremu wydawało się, że wystarczy posiadać cudowną broję, żeby nie zagrażało pierwsze kosmiczne przyspieszenie na gwizd jakiegoś Zenda. Z dwojga złego wolał też licytację w Sztapie Endogenicznej.

Ledwie o tym pomyślał, kiedy ktoś go przytrzymał za łokieć. Szarpnął się, jakby poczuł dotyk kobiecej ręki. Tym razem był to mężczyzna – kanciasty, ciemnowłosa, z inteligentnymi oczami bez bioluminescencji na powiekach. Ubrany był w wytarty kombinezon, cały oblepiony kieszeniami, kieszonkami, połyskujący błyskawicznymi zamkami. Jedne kieszenie aż rozsadało w szwach, inne czymś luźno pobrzękiwały.

Tuż przed twarzą Jonas zobaczył dłoń pełną szklistych kuleczek – jakby starej muszli przydarzyło się jednocześnie kilkanaście różowych perełek.

– Fiuu! – usłyszał tuż przy uchu. – Diabli wzięli VII Moduł! Rozumiesz, przyjacielu? Wieczne odpoczywanie Jej Prześwietności Produkcji! Pojmujesz? Więcej spod prasy nie wyjdzie ani jedna kuleczka. Bierz! Ceny idą w górę! Zrób

rachunek sumienia – na więcej czasu nie zostało. Nie musisz oszczędzać. Ładny sobie sprawiłeś garnitur, ale... Sam wiesz, co to warte. Zadbaj o środek. Trumna dla ciała – dopalacz dla ducha! Niech ktoś będzie z tobą, kiedy przyjdzie zdychać! No?

Wyglądasz na inteligentnego faceta – nie proponuję „Homunculusa”, „Wzdreği” ani „Podkrólestwa Protozoa”. Weź to! Przecież do niej tęsknisz. Choćby stać cię było na każdą kobietę. Bierz wszystko! Tylko ONA! Dla ciebie „Sonata powabni”, „Pętla”, „Miłosne miłosierdzie”, a przede wszystkim „ORAL-GEN” i „ORGIA Z MAGGIE-MAGIC”!!

Jonas odruchowo odtrącił rękę. Zwinęła się w powietrzu nie roniąc ani kuleczki. Jednocześnie przypomniał sobie Sztab, bunt Sticza i twarz rezerwisty zmartwiałą nad podłogą. Nim się spostrzegł nie było człowieka z balsamem dla ducha. Gdzieś ugrzęzło również Bio-Łącze.

Ktoś zachichotał cienko.

Tuż przed Jonaszem coś się kotłowało w białych strzępach. Dostrzegł potężny, drgający mięśniak – wpatrywał się weń jak zahipnotyzowany, kiedy rozpoznał wypięty tyłek i pulchne rączki rozpostarte krzyżem. Wnet obie zniknęły. Teraz widział tylko twarz dziewczyny leżącej z rozrzuconymi kolanami. Piersi jej wystrzeliły przez nazbyt pajęczą osnowę, puszyste włosy rozsypały się ogromnym wachlarzem. Śliczna była – dostrzegał to nawet oczami Megaloxanthy. Ciemnofioletowa zamieć z białymi pasmami idącymi od skroni, gładkie czoło bez brwi i nieprawdopodobne rzęsy – motyle skrzydła; a przede wszystkim usta – maleńkie, różowe, roześmiane dźwięcznie. Monstrualny mięśniak przypadł jej do piersi – trudno w tym było rozdzielić łysą czaszkę i resztę cielesnej beczki. Ten ktoś już tłuste rączki wetknął pod siebie, a ona nic sobie nie robiła z tego. Pozwalała się obmacywać i ssać cycki. Aż Jonas zrozumiał, że – jak on z góry – i ona patrzy na niego, ponad górą mięsa patrzy mu prosto w oczy. I jeszcze się uśmiecha. Widział jej usta – pociemniałą czerwień. I zęby – przed chwilą iskrzące wilgocią, raptem sparzone żarliwym westchnieniem. Tylko czubek języka drżał lekko, kiedy mu się przyglądała z dołu, pojękując przy tym, wzdychając i jeszcze wypinając piersi. Jonas chciał odstąpić – aż mu się jej twarz przed oczami zamgliła. Nagle dziewczyna zaśmiała się jeszcze głośniejsze. Podrzuciła biodrami i mięsna tusza nad podziw bezradnie oderwała się, potoczyła w bok. A ona zerwała się z ziemi. Nie bardzo było czym okrywać nagość. Nogi się pod nią ugięły miękko – raz jeszcze zajrzał jej w oczy i nie poznał. Zatoczyła się, okręciła w miejscu. Zaczęła padać w rozłam między dwiema muszlami – jak powietrzną poduszką podchwyciły ją jakieś ognie pełgające nad ziemią – tylko błysnęła szkarłatna blizna, osypała się fioletowa zamieć i – już jej nie było.

Zewsząd odezwały się chichoty. Daremnie Jonas szukał wzrokiem – jakby jeszcze

parę niewidzialnych oczu miało w tym swoją uciechę.

Przed nim tymczasem, pobierała się z ziemi pocieszna postać. Zdawałoby się – samo brzuszysko i z wierzchu nasadzona głowa. Twarzyczka przy tym puciołowata, z bystrymi oczkami, ukrwiony nos i straszliwe wąsiska. Zbereźny satyrek jedną ręką dopinał spodnie, drugą podrapał się w łysy czerep.

– Cóż was tak ubawiło? – zapytał zadziornie. Jeszcze obciągnął spłowieły kubrak i odsapnął.

– Urok życia – powiedział.

Patrząc na niego Jonas zastanawiał się, jak to się dzieje, że kolejny człowiek w tym świecie wydał mu się znajomy. Gdzieś musiał go widzieć – trudno taką pocieszność zapomnieć.

– Poza tym, wiesz, jaka jest różnica między mężczyzną a kobietą? – zapytał grubasek i jednym spojrzeniem ocenił Jonasa. – Otóż mężczyzna może być sam, pozostając KIMŚ.

– Szczególnie gdy brak refleksu nadrabia poczuciem humoru – powiedział Jonas. – Łatwo z tym popaść w samouwielbienie.

– O! W tym jesteście specjalistami – odciął grubas. – Przynajmniej na Księżycu.

– Wy za to w każdej sytuacji dajecie dowody, że więcej pragniecie, niż z tego wychodzi.

– I na tym polega nasza przewaga – stwierdził człowieczek tonem wykluczającym wszelką na ten temat dyskusję. – Wy macie tylko więcej szczęścia. Jesteś tego najlepszym przykładem.

– Ja? – zdziwił się Jonas. – Cóż wy w ogóle możecie o mnie wiedzieć?

– Wszystko. A przynajmniej w sam raz, żeby nie robić z siebie idioty.

– Na czym więc polega moje szczęście?

– Trafiłeś swój los. Jestem człowiekiem, którego ci potrzeba – powiedział tłuścioch i w jego przebiegłych oczkach nieco przygasło rozbawienie.

– Wiesz lepiej ode mnie, kto mi jest potrzebny.

– Oczywiście. Powiem, co wiem. Jesteś Megaloxantha. Nazywasz się Jonas, w dodatku – jakie nieselenickie przezwisko – Hebrejczyk. Zjawiłeś się tutaj czort wie po co, a teraz masz problemy. Stawiałeś na Armię i Stinsona. Prawdopodobnie próbowałeś dogadać się z wszystkimi, z kim jest jeszcze o czym rozmawiać. Zostałem ci tylko ja – wyciągnął pulchną rączkę – Ion Szałamaja.

– Sprytny jesteś – stwierdził Jonas. – Nie przeceniasz jednak swoich walorów na przyszłość?

Tym razem Szałamaja zrobił okrągłe oczka. – Na przyszłość?! Przyjacielu... daj rękę.

– Po co?

– Chcesz poznać swoją przyszłość?... Diabli nadali takie łapsko. Popatrz mi w oczy... O! – tłuscioch zamilkł nagle.

– Czekam uśmiechnął się Jonas.

– Dajmy spokój żartom.

– Bez przesady. Nie jestem panienką, gotową czmychnąć przed tobą,

Szałamaja niechętnie pokręcił głową.

– Twoja sprawa – powiedział.

– Więc?

– Pilnuj się zdrowego rozsądku.

– Zawsze to robię – stwierdził Jonas.

Ion Szalamaja popatrzył na niego takim wzrokiem, jakby Bóg raczy wiedzieć jak życiem sterany nauczyciel, kiedy już czasu nie zostało, doszedł wreszcie do wniosku, że na nic się zdała praca nad jednym uczniem.

– Powiedziałem: wystrzegaj się wszystkiego, co pociąga w zapamiętanie – wyjaśnił. – Tkwi w tobie szaleństwo i zginiesz, kiedy pozwolisz mu powodować sobą.

– Takiego nieuchronne? – z rozbawieniem zapytał Jonas.

– Dosięgnie cię prędzej czy później.

– Innymi słowy: przed śmiercią dostanę bzika. Doskonale. Przynajmniej wiem, że długo nie będę się męczył. Kiedy stracę nadzieję na znalezienie z wami wspólnego języka będzie to widomy znak mojego końca. Rzeczywiście, niewiele zostało.

Ostatnio pogadać mogę tylko z Bio-Łączem... Też się zapodziało.

Rozejrzał się. Niedaleko drgało powietrze i biały dym ciągnął do góry, wzdłuż czarnego pnia. Zupełnie jak prawdziwy ogień pożerający swoją ofiarę u stóp Rdzenia Enklawy preistoczonego w Drzewo Kosmosu. Holowizyjne widmo wystarczyło, żeby przyciągnąć nieco rozbitków koralowej rafy – odezwał się w nich stadny instynkt neolitu.

Jonas spoważniał.

– Zjawi się – machnął ręką. – Co proponujesz?

– Nie lubić; na czczo, jeszcze mniej na stojąco – powiedział grubas. –

Przysiadźmy gdzieś. Najlepiej w kręgu opatrności. Widzisz tego, tam?

Ten ktoś nie zwracał na nich uwagi. Wstąpił na stos pojemników – identycznych jak zgromadzone w Sztapie, ręce wsparł na udzie nogi postawionej na najwyższej skrzyni i całą jego uwagę pochłonęło misterium rozgrywające się u podnóża Drzewa Kosmosu. Ubrany był w szaroniebieski kombinezon i wysokie buty. Przez ramię przewiesił długą, czarną torbę.

Jonas uśmiechnął się w duchu i pomyślał – jacy czasami dziwni są ludzie: prędzej założą brak polotu we własnej agitacji, niż zwątpią w wartość głoszonych Idei.

Dopiero w tej chwili rozpoznał mężczyznę. Gotów był przysiąc, że jest to ten

sam, który odwiedził go w lazarecie. Z drugiej strony, pomyślał, w tym zawodzie z biegiem czasu wszyscy się do siebie upodabiają. A przynajmniej mają coś takiego w twarzy. Zupełnie jakby ktoś puszczał w obieg płaskie, nieoznakowane krążki monet – przechodząc z rąk do rąk, wreszcie wytarte, porysowane, kostropate, wszystkie zyskują tę samą wartość nędzy.

– Najbezpieczniej pod okiem Opatrzności – sprecyzował Ion Szałamaja. – Tam najpiękniejsza bzdura brzmi całkiem poważnie. I na odwrót.

– A więc do ognia? – zapytał Jonas.

– Jak ćmy – westchnął Szałamaja.

Określił się z niespodziewaną lekkością i ruszył przodem, torując Jonasowi drogę. W przelocie tak pokierował trajektorią brzucha, żeby przeciąć orbitę długonogiej, zielonowłosej, przybranej w piórka ślicznotki. W przelocie pacnął ją łapą w fosforyzujące pośladki. Rozkosznie przewróciła oczami i długo jeszcze poruszała usatysfakcjonowanym zadkiem, jakby rdzeń kręgowy opornie przewodził sygnał wzdłuż giętkiego kręgosłupa jaszczurki. Teraz dopiero Jonas uświadomił sobie, co go najbardziej bulwersowało w rytuale ziemskiego tarła – nieważkość duszy wobec innych atrybutów płci.

Ion Szałamaja czytał jego myśli.

– Zastanawiasz się, co w takich widzimy? – zapytał. – Mogę ci również powiedzieć, jaka jest różnica między męskością i kobiecością. Przede wszystkim kobieta przestająca myśleć niewiele traci na kobiecości.

To mówiąc obejrzał się za siebie i ze znanym mlasnął językiem.

Rdzeń Enklawy otoczony był huczącym płomieniem. Tylko u podstawy widmowy ogień nie przekraczał zakłętego kręgu, niewidzialną linią nakreślonego kilkanaście metrów od czarnego masywu. Wyżej rozrastał się, strzępił różnobarwnymi wichrami i omiatał nieprawdopodobnie wysoki strop. Czasami powściągał jasność i kołysał w górze strumieniami dymów, z wierzchu zarysowanymi wyraźnie, wewnątrz jakby pustymi, szeroko rozkładającymi koronę gigantycznego drzewa.

Tak naprawdę, w realnym świecie, nad którym przewinęła się Epoka IUM, bardzo dziwne, jeśli nie zabawne, było to skojarzenie: DRZEWO. Mniej problemów z Kosmosem. Tak pewnie nauczyła Klinika–Matka. Zanim wyobraźnia Megaloxanthy okrzepnie w Przestrzeni, powinna czerpać symbole z pamięci świata, który – dogorywając dzisiaj – był jednak u podstaw narodzin Mechaneurystycznej Kliniki Księżyca. Dla wyobraźni potrzebna jest baza wspomnień. Aż archaiczny zespół symboli zostanie wyparty przez odpowiedniej gęstości pulę znaków, stanowiących podglebie skojarzeń na miarę nowego świata. Megaloxanthę zapładnia nieustanne wtajemniczenie w arkana sztuki Szernów, ich mitologii, kosmogonii, historii, będących przyszłością nowych dzieci Seleny – jeśli w kosmicznej przestrzeni upatrują



niszę ekologiczną swojego gatunku.

Jednak bez reszty nie rozstaliśmy się z Praźródłem, pomyślał Jonas. Więc jest to Drzewo, szumiące nad nami. Urodziło się ze słonecznego ognia i pochłonięte zostanie przez ogień. Absurdalność skojarzenia polega na tym, że – wśród ludzi, którzy pod baldachimem tego Drzewa uwili sobie gniazda – nikt tego nie potrafi nazwać. Może Janko – jeśli jest w pobliżu. On z pewnością, gdyż dysponuje pamięcią Informatycznego Systemu. Poza nim? Pewnie nawet mistrz ceremonii, genialny holowizjoner, kreował wyłącznie wolną grę wyobraźni, Sztukę bez Przyczyny i Celu. Taki ich dzień powszedni. I ostatni. Taka Inwazja – bez uświadomienia Przyczyn. I taka obrona – bez Celu. Więc podejmują ostatnią grę z czasem – w bilardowe kule i szklane paciorki mieszczące się w dłoni, snują się otumanieni syntezą światła i dźwięku, tańczą z obłędem w oczach i nawzajem wabią się naturą świetlików – podnoszących znamiona płci do rangi jedynych Znaków. Tymczasem za progiem, w sektorze jakiegoś Spotlighta czy Dronta, właśnie trwa bezlitosny bój i – nie z iluzji ognia liżącego koronę Drzewa Kosmosu – prawdziwy żar spopiela wszystko, co żywe – po tej i tamtej stronie Pierwszej Linii.

– Zastanawiasz się, kto z nich potrafi To nazwać? – niespodziewanie odezwał się Ion Szałamaja.

– Co takiego? – zapytał Jonas.

– Nikt – powiedział grubasek. – A jeśli nawet ktoś, to i tak nikt.

Naprzeciw nich plemię neolitu tańczyło przed świętym ogniem. Tłuszcioch przysiadł na ziemi, prawdopodobnie ze skrzyżowanymi nogami – na wszystko osunął się brzuch. Teraz wyglądał jak masywna, stożkowa piramidka zwieńczona guzowatym łbem.

– A ty skąd wiesz? – zapytał Jonas.

– Jestem ciekawski – niezbyt wesoło uśmiechnął się Ion Szałamaja. – Ciekawość mnie tutaj przywiodła. Sklasyfikuj mnie jako coś w rodzaju rozbitka.

– Z innej Enklawy?

Ion zastanawiał się chwilę.

– Tobie mogę powiedzieć. Nie dlatego, żebyś się uzalił. Nie. To nie jest ważne. Już nie. Chcę tobie powiedzieć, gdyż będziesz pamiętał. Prawda?

– Mam dobrą pamięć.

– Nie o tym mówię.

Tym razem z nieukrywanym podziwem Jonas popatrzył na tego małego, rozpaczliwie pociesznego człowieczka.

– Wiesz o tym, że moja pamięć nie ginie? – zapytał ostrożnie.

– Kiedy umiera Megaloxantha jego wiedzę akumuluje Klinika–Matka, odbierająca i rozszyfrowująca ostatni bioenergetyczny impuls. Odczytana informacja

zostaje z kolei zapisana w matrycy pamięci przyszłego pokolenia Seleny. Będziesz miał potomków, Selenito. Nawet, gdy zginiesz.

– A jeśli zginę tutaj? – zapytał Jonas.

Tego nie mógł wiedzieć żaden człowiek w tym świecie. Tego nie był pewien nawet on, Jonas Hebrejczyk, elew Mechaneurystycznej Kliniki Księżyca.

– Dostąpisz swojego wniebowstąpienia – z całą powagą potwierdził Ion Szałamaja.

– Sprawiasz mi ulgę – uśmiechnął się Jonas. – Jednocześnie stawiasz przed problemem nie do rozwiązania.

– Tak?

– Powiedziałeś przedtem, że do śmierci doprowadzi mnie obłąd. A więc i tych, których po mnie powoła Selena, też obarczę dziedzicznym obłądem.

– Szaleństwo, to klucz do przyszłości. Najbardziej wybijałe szaleństwa przodków stają się terazniejszością nowych pokoleń. Poza tym – ktoś, kto zechce rozwikłać tajemnicę najdziwniejszej enklawy w dziejach tej planety, z pewnością będzie potrzebował więcej twojego szaleństwa niż wiedzy.

– Liczysz, że ktoś tu się zjawi jeszcze?

– Jeśli dowie się o jej istnieniu, choćby w zamierzonych czasach, nie oprze się chęci rozwikłania zagadki, dlaczego zniknęła z powierzchni ziemi.

– I ja mam być tym, który tę pamięć utrwali? – zapytał Jonas. – Dlaczego tak ci na tym zależy?

– Gdyż jest to jedna z niewielu rzeczy, których nie wiem. W dodatku dotyczy świata, z którego pochodzę.

– Cóż to za enklawa?

– KOSMODRAM MACHU PICCHU. Jonas postanowił zaryzykować.

– A tak – powiedział. – Słyszałem od Bio-Łącza, że coś takiego istniało w sąsiedztwie THARSYS.

Mały człowieczek omal się nie udławił. Aż mu na wierzch wyskoczyły oczka zwykle zatopione w tłuszczu.

– Gdzie powiadasz?! – zawołał.

– W okolicach THARSYS.

– Boże! – tym razem gotów był jednocześnie śmiać się i płakać. – Jakie proste! Teraz rozumiesz, dlaczego liczę na twoją pamięć?

– Nie – uczciwie przyznał Jonas.

– Przestałem ufać pamięci ludzi. Jakże ich doczesność wydaje im się ważna, wszystko w sobie mieszcząca! Popatrz, jak się cieszą. Został im tylko instynkt – czują, że to ostatni dzień. Taką okazję należy świętować z całą pompą. Będą więc śpiewać i tańczyć do upadłego. I nawet im do głowy nie przyjdzie, jak daleko

korzeniami sięga ich święto – gdyż nic im nie mówią imiona Demeter i Persefona, a przecież bawią się i wierzą w nieśmiertelność. To jedyna rzecz, której komuś zazdrościć... To jednocześnie ich błogosławieństwo i obłąd... Nie rozumiesz, o czym mówię. Kiedyś ci wytłumaczę. I opowiem o świecie, w którym się urodziłem. Powiedziałem już, że przywiodła mnie tutaj ciekawość. Tylko to. I będę jej wierny do końca. Choćby mi czasu zostało mniej niż przed nimi. Kiedyś ci wytłumaczę wszystko...

– Nie możesz teraz?

– Nie mamy czasu. Ty, gdyż zjawiłeś się, żeby im pomóc. Ja, gdyż wiem od ciebie więcej. Obydwaj jesteśmy znikąd. To zbliża. Bądźmy więc razem. Ja z tobą, gdyż dobry węch mówi mi, że będę mógł nieco zaspokoić swoją ciekawość... Ty ze mną, gdyż przydam się tobie.

Jonas chwilę przyglądał się temu człowieczkowi, tak beznadziejnej postury, a przecież budzącemu sympatię, nic litości.

– Co proponujesz? – powtórzył pytanie, które zadał nim przysiedli naprzeciw drzewa – ogniska.

– Chcesz im pomóc? – zapytał Szałamaja.

– Po to tu jestem.

– Masz koncepcję? Niby jesteście z boku, w zmurszałej skorupie Księżyca, ale wasze korzenie tkwią tutaj, w tym gnoju, w monstualnym śmietniku, pośród tych trupów tańczących w imię nieśmiertelności. Nie tak łatwo wam wyrwać te korzonki... Istnieją dwie możliwości. Klinika Księżyca zdołała sobie wyrobić jakiś punkt widzenia i uznała, że są szanse. Dlatego was wysłała.

– A druga ewentualność?

– Jest bardziej prawdopodobna. Zostaliście złożeni na ołtarzu prehistorii. Żeby przyszłe pokolenia nie czuły wyrzutów sumienia, że nic nie uczyniliście dla praojców, których skurwysyny i inna wścieklica ostro chwyciły za gardło. Dla spokoju waszego ducha podrzucano wam Teorię i jej realizację, o której wiadomo było z góry, że nikt na ziemi nie przyjmie jej serio...

– Tak nie jest – zaprotestował Jonas.

– Jeśli mamy czegoś dokonać, musimy pozbyć się złudzeń. Wolę żebyś uwierzył w to, co mówię. Widziałem, jak twoi bracia płonęli w atmosferze. To też było pewne. Myślisz, że twoja Klinika–Matka nie powinna była tego przewidzieć? Zostaliście poświęceni. Może i nie w złym tego słowa znaczeniu. Wszystko jest względne. Człowiek został obdarzony rozumem, co go wywyższyło nad wszelką miarę. A przecież warto byłoby poświęcić nie tylko jednostki – cóż znaczą dla przetrwania gatunku; powiem więcej – warto było poświęcić miliony, byleby w tej chwili mogło między nami zakiełkować prawdziwe Drzewo.

Ion Szałamaja z boku popatrywał na Jonasa.

– Rozumiesz mnie? – zapytał. – Tym jesteś dla człowieka, czego między ludźmi zabrakło dla zwierząt i roślin, po których ślad przestygł na powierzchni tego globu.

– Przecież nie wiem, czy zdołam ocalić choćby niewielu z nich.

– To już mnie nie obchodzi.

– Jesteś człowiekiem.

– Bzdura. Człowiek, to również świat, w którym się urodził i który go otacza. Ja jestem nikim.

Jonas pomyślał, jak wiele czasem różni ludzi, których spotkał pozornie ten sam los. Może ten dziwny, tak wiele wiedzący człowieczek, mógłby się czegoś nauczyć od Bio-Łacza?

– Nie wiem zresztą wszystkiego – jak echo przyznał Ion Szałamaja. –

Prawdopodobnie również twoja Klinika Księżyca jednej rzeczy nie przewidziała. Nie dano wam żadnej szansy, a przecież ocalałeś. Może ktoś jeszcze. I kto wie, może uda ci się coś, na co nikt nie liczył. Gdybym znał prawdę, nie ciągnąłbym ciebie.

Powiedziałbym. Zresztą... nie wiem. Na pewno nie musiałbyś się taszczyć ze mną.

– Dokąd? – zapytał Jonas; już wiedział, że trafił mu się człowiek, jakiego potrzebował.

– Dla mnie to turystyczna wycieczka – powiedział Ion Szałamaja. – Zawsze lubiłem wtykać nos w nie swoje sprawy. Ty pewnie też doszedłeś do wniosku, że niczego więcej tutaj się nie nauczysz.

– Chcesz opuścić THARSYS?!

– Dotarło. Stać mnie na mały wypad. Przynajmniej tak mi się wydaje. Nie wiem, na ile można liczyć na ciebie.

Jonas popatrzył na swoje ręce, jakże niepodobne do półprzeźroczystych, wiotkich rąk Megaloxanthy, najbardziej obytych z dotykiem próżni. Obok widział rączki tego człowieka – białe, pulchniutkie, reliktowe manipulatorki splecione teraz na brzuchu ostatniego rozumnego dinozaura.

– Trzeba coś wykombinować – poznać było, że Ion Szałamaja rzeczywiście intensywnie wyżył szare komórki, aż mu się łeb pofałdował a rączką zawzięcie szarpał wąsy. – To, czym pętają się w obrębie Enklawy... owszem, robi dobre wrażenie. Osobiście jestem zwolennikiem starej, dobrej mechaniki. Kiedyś Endogeniczna odważała się wypuszczać na przedpole THARSYS, używali do tego specjalnych Wozów Bojowych... Masz kontakty ze Sztabem?

– Ukłony jasnowidztwu – uśmiechnął się Jonas. – Nie jesteś na bieżąco.

– Miałem zaniki percepcji – Ion małymi paluszkami strzelił w powietrze i w oczach zabłysła nostalgia starego fauna. – No więc?

– Mam zaszczyt piastować stanowisko Szefa Rozpoznania i Dywersji.

Ion wpił się w niego wzrokiem, jakim niedawno tropił rozkosze biustów i pośladków. Chwilę tak trwał, raptem zatrząsł się i zabębnił łapkami po brzuchu – z uciechy aż popuścił dwie łezki. Tylko pociągnął nosem i dłonią przetarł oczy.

– Niech cię diabli! – zawołał. – Fenomenalny dowcip! Rozumiem, że wykpił się tanim kosztem?

– Tak to trzeba nazwać.

– Jest lepiej, niż myślisz. Kto ci przydzielił Bio-Łącze?

– Nie zastanawiałem się – przyznał Jonas. – Prawdopodobnie jest to jedno z Bio-Łączy przypisanych Klinice Stinsona.

– Najważniejsze, że masz bezpośredni dostęp. Kiedy została piana z różnic klasowych, wprowadzili sobie Stopnie Wtajemniczenia. To pewniejsze od okratowanego okienka. Przestrzegają tego z cholerną pedanterią. Każdy system posiada jednak słabe miejsca. Tutaj jest nim wąska specjalizacja. To nie mój wynalazek. Każdy system posiada również swoich dysydentów. Jeśli normalny Stopień Wtajemniczenia stawia przed tobą barierę nie do przekroczenia, wyrabiasz sobie wąską specjalizację i na żądanym odcinku masz większy wgląd w pamięć Systemu od współobywateli posadzonych na tej samej grzędzie Wtajemniczenia.

– Rozumiem, że sama nominacja na stanowisko w Sztapie, pozwala na wgląd w tajemnice wojskowe? – zapytał Jonas.

– Tajemnice! – parsknął Szałamaja. – Pozwala ci zajrzeć w informacyjny śmietnik. Jeżeli wiesz, przynajmniej w przybliżeniu czego i gdzie szukać – znajdziesz. W przeciwnym wypadku do usranej śmierci będziesz przerzucał śmieci. W naszej sytuacji Bio-Łącze może ci udzielić całkiem interesujących informacji. Może więcej, niż wie samo, a tym bardziej panowie ze Sztabu.

– Jest to możliwe? – zdziwił się Jonas.

– Bio-Łącze to czytnik. Gdyby posiadało świadomość zdolną przerzucać wszelką informację zawartą w Informatycznym Systemie, mielibyśmy do czynienia z monstrem genialnym, wręcz z Sumieniem Cywilizacji. Niestety to tylko czytnik z celownikiem, który trzeba ustawić w odpowiednim kierunku.

– Masz jakieś współrzędne?

– Wybadaj Bio-Łącze, co Informatyczny System pamięta o ostatnim konwoju. Prawdopodobnie szedł do Enklawy TABOR i dowodził nim Makonde...

Jonas sprężył się: TABOR i MAKONDE!

– Większość konwoju szlag trafił – ciągnął Szałamaja. – Do THARSYS zdołała się wycofać ariergarda w składzie kilkunastu Wozów Bojowych. Dzisiaj wszystkie Stopnie Wtajemniczenia obejmuje blokada informacyjna. Mało kto pamięta ostatni konwój, jeszcze mniej pyta, co się stało z ludźmi, którzy wrócili. I co się stało ze sprzętem. O to musisz zapytać. Ludzi mogło załatwić Sprzężenie Zwrotne. Wątpię,

żeby niszczone sprzęt. Do tego potrzeba energii i nie obejdzie się bez ogromnego szumu, taki konwój budowano zwykle kilka lat. Wozy Bojowe to nie ich mobilki.

– Bez Informatycznego Systemu nie można się domyślić, gdzie zostały ulokowane? – zapytał Jonas.

Ion popatrzył na niego, jak na człowieka niespełna rozumu.

– Ty masz wyczucie rozmiarów THARSYS? – zapytał. – Poza tym od tamtych czasów diabli wzięli kilka pierścieni. W sam raz na poziomie gruntu. Dlatego brak dostępu do śluz. Trzeba się przebić. Znając taktykę Endogeniczną można podejrzewać, że po prostu odpuścili kawałek Enklawy i przesunęli Pierwszą Linie. Znam kilka takich mogił.

– Postaram się w tym zorientować. Nie rozumiem tylko, po co ustanowili blokadę informacji o konwojach.

– A jak myślisz? Jeśli ktoś wdepnie w gówna, to przede wszystkim stara się z niego wyleźć. Prawda? Lecz kiedy mu się to nie udaje, nie ma odwagi albo tak mu wygodnie, wtedy postara się wmówić sobie, że wszyscy poza nim tkwią w tym samym gównie. I wszystko jest gównem, jeśli nie liczyć wszawych dysydentów, którzy nie dorośli i wybrzydają. Ale to margines. Ostatecznie można ze smyczy spuścić Sprzężenie Zwrotne... Możesz mi wierzyć, gdyby to dłużej potrwało, ten ich parszywy stan obłączenia, zapomnieliby chętnie, że cokolwiek istnieje poza Enklawą. Zamiast Kopuły mielibyśmy Sferę Niebios ograniczających cały Wszechświat.

Jonas pomyślał, że tłustego satyrka potrafią również zacietrzewić problemy ogólnospołeczne.

– To wszystko? – zapytał.

– Wszystko?! – aż jęknął Szałamaja. – Przyjacielu! To więcej, niż mogłeś wymarzyć. A teraz do roboty. Masz poza tym coś do załatwienia na starych śmieciach?

Jonas zastanowił się. Czy jest coś, co mógłby przypadkiem przeoczyć na miejscu? Właściwie szedł raz jeszcze porozmawiać ze Stinsonem – można spróbować, na odchodne.

– Bo ja mam – szybko dodał ton, z niezbyt wyraźną miną. – Posiedź tutaj albo szukaj swojego Bio-Łącza. Zresztą, bierz byle jakie. Dalej sam decyduj.

– A ty?

– Co ja? – jakby się zapowietrzył, niespokojne ognie igrały mu w oczkach. – Masz swoją skorupę? Niech ci ją łechcą twoje Walkirie. Wiesz, co u nas robi żołnierz, kiedy węszy ostatnią bitwę?

– Skąd mogę wiedzieć? – zdziwił się Jonas.

– Bo jesteś sztabowa gnidą. I nie wiesz, co dobre...

Jeszcze to mówił, kiedy jego brzusek samorzutnie odbił się od ziemi. Ion cały

promieniował energią. Klepnął Jonasa po ramieniu, jakby się zmówili z Feretriusem. Nagle okręcił się jak fryga – nawet kubrak na nim zajaśniał odświeżnie.

W jednej chwili rozdzielił ich bajecznie kolorowy korowód – już nie neolityczne plemię; stadko półnagich bachantek poprowadziło przed nim motylą migotliwość nie tylko rzęs. Jak przedtem ognisko ogarnęło Drzewo Kosmosu, tak teraz Megaloxantha utknął w zakętym kręgu żywego ognia. Przed oczami widział ich piersi, talie i brzuchy mięsiste, kołyszące się niby różowy eliksir w niewidzialnym kielichu – tylko przyłożyć usta i pić – soczystą lubieżność chleptać do zapamiętania. Jeszcze wydało mu się, że poza tym wirym ktoś do niego woła: „Zjawię się, jak będziesz gotów!” Potem był tylko spazm różanych płatków i wzburzony napój w przepastnym kielichu.

I kiedy nie istniał prawie, w zamgleniu pamięci pojawiły się inne postacie złożone w Grobach Pożądania, zatopione w różowym kryształ. Między nimi – rozpoznał go wreszcie – nagie ciało człowieka pełnego wtedy ciszy, bezruchu i samego siebie, sytego postronnych żądź, zdawało się – na wieki.

## 14. KOCZOWISKO MAKONDE

Ludzie leżeli w półmroku. W dole dogorywał płomień. Poza nim skamieniały pień Drzewa Kosmosu trwał jako Rdzeń Enklawy. W górze jakby nieco liści przylepiło się do mrocznej pował. Teraz przesiewały srebrzystą poświatę Seleny.

Resztki światła pełgały wokół bilardowych kul – zbiegły się na powrót w rynsztoki. Muszle oddychały spokojnie. Nie spano na samym skraju magicznego kręgu, poza którym mrowia iskier ciągle biegały w popiele ogniska. Przyptyw morza wyrzucił kilka syren na samotną koralową rafę. Zgubiły falę odpływu i pozostały nagie, z rozpuszczonymi włosami, jak z nich spłynęła woda. Garnęły się do stóp ogromnej postaci siedzącej centralnie, jakby rycerza zakutego w stal, niemego na ich wdzięki. Blade wspomnienie Seleny srebrzyło mu się w twarzy – poza martwymi oczami. Tylko jego wargi poruszały się wolno, podawały głos zbyt monotony nawet dla ostatnich wiernych, których nie zmorzyła senność:

– ...LEDWIE POJMUJĘ DZISIAJ TEN LĘK, KTÓRY MNIE TRAWI DOGŁĘBNIĘ, JAKBY CIELESNOŚĆ MOJĄ I TAJEMNICĘ WNĘTRZA MEGO DOCENIĆ MOŻNA BYŁO DOPIERO U SCHYŁKU ISTNIENIA... SMĘTNE TO PRZEZNACZENIE. DOCIEKAĆ PRAWDY, GDY ŻAR POTWORNY SKRĘCA CIAŁO CAŁE... I BÓL... ŚWIADOMOŚĆ ZAĆMIONA SZKARŁATNĄ GORĄCZKĄ...

– Jonas! – powiedziało Bio-Łącze i potrząsnęło go za ramię.

Żelazny prorok wzdrygnął się i otworzył oczy. Otumanionym spojrzeniem ogarnął wszystko dokoła. Ostatnia z syren popatrzyła na nich zaskoczona. Znaczący uśmiech pojawił się w jej bladej twarzy. Wzruszyła ramionami i przyłożyła policzek do szarozielonych włosów rozsypanych na ziemi.

Uniósł spojrzenie. Nad nim pochylał się Janko Pytlak zdyszany pospiesznym marszem i z gorączką w oczach.

– Jesteś, Jonas?! – nie pozwalał mu z powrotem zapaść się w nieświadomość rezonującą obcym głosem. – Stało się! Rozumiesz? Widzę i słyszę! Jak chciałeś!

Wytrzeźwiał natychmiast.

– Mów!

Chwycił Janko za przegub ręki, nie bacząc, że ten blednie z bólu i usiłuje wyswobodzić ramię.

– Mów! – powtórzył.

– Odszedłem. Musiałem się skupić. Nie było to takie proste. Teraz... – aż mu twarz zajaśniała. – To niezwykle, ale naprawdę mogę!

– TABOR? – zapytał Jonas. Janko spowaźniał nagle.



– Żadna z Enklaw. Tak daleko nie potrafię jeszcze sięgać. Ktoś od dawna chce rozmawiać z tobą.

Jonas odetchnął.

– Więc nie myliłem się – szepnął do siebie.

– Wiesz kto? – Janko zaglądał mu w oczy.

– Wiem.

– To bardzo pilne.

– Na co czekasz?!

Janko odstąpił dwa kroki. Ostrożnie, żeby nie nadepnąć którejś ze śpiących, wybrał miejsce i przysiadł na skrzyżowanych nogach. Potem spuścił oczy i rozpiął bluzę. Przez moment Jonas miał wrażenie, że dostrzega własną twarz w przykurzonym zwierciadle. Niespodziewanie srebrzysta tarcza uwypukliła się, jakby naprzeciw Megaloxanthy runęła kostropata tarcza Księżyca. Zostały zręby ruin i twarz między nimi – nigdy jej przedtem nie widział. I był Księżyc – daleko, cieniutki sierp ze wzniesionymi niby rogi końcami i łukiem przyłożonym do horyzontu. Przestrzeń rozwinęła się daleko poza bastion Enklawy.

– Nareszcie – naprzeciw ktoś zakaszłał ciężko. – Jonas Hebrejczyk?

Przed nim siedział na ziemi stary człowiek. Dziwny, bardziej niesamowity od wszystkich ludzi, z którymi Jonas już się zetknął i jakich potrafił wyobrazić sobie. Sama skóra i gnaty. Twarzą był jeden węzeł zmarszczek, zapiekłych szram i nałożonych z wierzchu, bezpowrotnie zeszywniałych ścięgien. Jakby wiatr przy tym doszczętnie złuszczył skórę z wysokiego czoła aż pozostała naga kość. Dziw, że na skroniach trzymają się kępki błękitnej sierści. Nos prosty i szerokie usta pozbawione warg nadawały twarzy wyraz jednoczesnej dumy i pogardy dla innych. Jedno oko było martwe, jakby suchą ręką w prochu między stopami wyszperał płaski, czarny kamień i wetknął w oczodół. Drugie z nawiązką przeszywało napastliwym spojrzeniem.

Mężczyzna ubrany był w coś ledwie przypominające skafander Endogenicznej. Żółte nacieki szły od pustej obręczy hełmu, wiązały stare łąty i jakieś wypolerowane blachy, bez ładu ponaklejane czy wręcz przyspawane do minionej osnowy skafandra. Jeszcze to ktoś pookręcał metaliczną taśmą, jak drutem trzymającym w ryzach kości, które bez niego poszłyby każda swoją drogą. Ubiór do tego stopnia przypominał twarz starego mężczyzny, jakby zawsze był integralną częścią ciała, by stać się wreszcie jedyną siłą scalającą postać.

Człowiek ten jedną dłonią wsparł się o udo, w drugiej ręce trzymał ogromny nóż o ostrzu szerokości dłoni, teraz czubkiem wbity w popiół i tak znieruchomiały.

– Makonde – powiedział Jonas. – Szukałeś mnie?

Tylko ostrze wydłubało ostatnią iskrę w popiele wygasłego ogniska, nic nie zmieniło się w twarzy starego człowieka.

– Wiesz – to było bardziej westchnienie niż głos między nieruchomymi wargami.  
– Kiedy schodziłem pod osłonę Kopuły widziałem twojego człowieka na przedpolu THARSYS – wyjaśnił Jonas. – Zdążył wypisać na ziemi jedno słowo, twoje imię.

– Potem nie nawiązał kontaktu? Wewnątrz Enklawy? – Nie.

– To dlatego – szepnął stary Makonde – to był mój ostatni towarzysz broni. Razem wyszliśmy. Mogłeś z nim rozmawiać jak ze mną.

– Nie wrócił do ciebie?

Makonde lekko unióś głowę i omiół pustynię niespodziewanie płomiennym spojrzeniem jednego oka.

– Skurwysyny – powiedział dobitnie.

Energicznie unióś prawe ramię. Coś błysnęło w powietrzu – nóż tkwił głęboko wbity w ziemię. Prosty nóż, z krótkimi ramionami dwustronnej osłony dłoni. Jakby tym krzyżem Makonde chciał trwale oznaczyć grób swojego łącznika, starego towarzysza broni.

Teraz dopiero Jonas uświadomił sobie, że ten człowiek przed nim, gdziekolwiek jest – nie może być sam. Przed nim musiało siedzieć Bio-Łącze i ze swojego miejsca Jonas mógł widzieć wyłącznie to, co potrafiła zogniskować w sobie pierś tamtego Bio-Łącza. Rozejrzał się uważniej. Za plecami starego pułkownika nic nie przesłaniało szarej pustyni. Z jednej tylko strony coś ciemniało zwałiste, karbowane od dołu – od pustyni przyprowadziło tutaj ślad gigantycznych gąsienic. Ograniczenie pola widzenia nie pozwalało w zamgleniu określić sylwetki Wozu Bojowego. Za to ktoś tam stał, jedna czy dwie postacie w cieniu czarnej ściany. Ktoś jeszcze wychylił się z drugiej strony, wyciągnął szyję żeby też coś zobaczyć.

– Przyglądasz się – powiedział Makonde. – Nie, nie jestem sam. Cóż chciałby od ciebie człowiek tak stary jak ja, gdyby był sam. Żebyś, kiedy już oddam ducha Bogu, zrobił dla mnie więcej, niż ja mogę dla tych, którzy nie wracają do mnie? Co można więcej – sypanąć piachu w oczy i piszczelę związać na krzyż, żeby skurwysyny nie miały dostępu. Jeden kamień zawsze mam w oku, o tu! A na starych gnatach nie pożywią się skurwysyny! Chcę, żebyś coś zrobił dla tych, którzy zostaną po mnie.

– Ilu masz ludzi? – zapytał Jonas.

– Tysiąc wystarczy?

– Ilu?! – Jonas nie potrafił ukryć zdumienia.

– A tak – tryumfalnie błysnęło jedno oko Makonde. – W tym trzysta kobiet i... Urwał i z napięciem wpatrywał się w twarz Megaloxanthy.

– I coś jeszcze, ponad ten tysiąc – powiedział wreszcie. – Ponad trzy i pół setki dzieci. Tak, Megaloxantho! Bo nasze kobiety rodzą dzieci! Rozumiesz?! Tylko tu! Tylko ich mężczyźni mają się o co bić!

Niespodziewanie sięgnął ramieniem poza zasięg wzroku Jonasa. Za kark, jak szczenię, wywłókł stamtąd i przed Megaloxanthą cisnął na ziemię może roczne niemowlę. Chude było, z tysej główki zwisało nie więcej kosmyków niż zachował sam Makonde, zebra wychodziły na wierzch i w twarzyczce niewiele zostało miejsca poza ciemnymi otoczkami oczu. A jednak to było autentyczne dziecko. Żywe i zdrowe. Maleństwo nawet się nie skrzywiło. Jakoś się podparło chudymi rączkami, uniosło głowę i Jonas poczuł na sobie spojrzenie ogromnych oczu – bardziej ciekawych niż przestraszonych.

Jonas czuł ogromną ulgę, jakby mu odjęto bezradność ciężącą od pierwszych kroków postawionych w Enklawie THARSYS.

– Mylisz się – powiedział Makonde. – Tych tam, u ciebie, nic nie uratuje. Grabarze za życia wzniesli nad sobą szklaną trumnę. Wyzdychają jeden po drugim. Tu jesteś potrzebny.

– Im również chciałbym pomóc.

– Bzdura! – sapnął stary Makonde i skrzywił się z pogardą – Im możesz tylko ulżyć. Wysadź w powietrze tę dziuplę pełną próchna! Stoimy na dwóch różnych ścieżkach, a ty chciałbyś nas zbawić za jednym zamachem! Pomagaj tym, którzy mają szansę przetrwać jako naród. Grabarzom musiałbyś najpierw tu przestawić...

Długim paluchem tknął sobie skroń.

– My mamy realny problem. I realną wojnę! Bez zwidów Inwazji, bez szarlatanerii, bez Zwrotnych Sprzężeń i wściekłych kosmitów...

– Zgoda – przerwał mu Jonas. – Porozmawiamy o tym, jeśli i wy mi pomożecie.

Jonas czuł się zmęczony. W tym świecie wszystkich ogarnia obłąd. I każdemu chodzi wyłącznie o własną skórę.

– Coś za coś! – parsknął Makonde. – Tak was tam uczą?

Tym razem przyłożył palec do Księżyca unoszącego się nad horyzontem.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Muszę opuścić THARSYS.

– Przyjdiesz do nas?! – jakby obok żywego błysnęło nawet martwe oko.

– Pomożecie mi dostać się do Enklawy TABOR – powiedział Jonas.

Z nieoczekiwaną zręcznością Makonde zerwał się z ziemi. Chwilę stał nieco złamany w pasie, jakby z zaciśniętymi pięściami chciał skoczyć do oczu Megaloxancie.

– Idiota – wreszcie zgrzytnął zębami.

Gwałtownie porwał z ziemi niemowlę i rzucił gdzieś w bok. Potem coś wrzasnął przed siebie i ruszył do czarnej ściany.

– Nie odpowiedziałeś – powiedział za nim Jonas.

Makonde zatrzymał się w pół kroku. Obracał się powoli. Pod stopami cienko

zazgrzytał mu piasek.

– Myślisz, że mam wybór? – powiedział ze wzrokiem pełnym wściekłego zapamiętania. – Czekamy koło Maw–szynrang.

W następnej chwili zniknął z pola widzenia. Jeszcze raz rozległ się jego chrapliwy krzyk. Powtórzyły go inne, bardziej przenikliwe głosy, jakby się echo wyostrzało na zrębach coraz dalszych skał. Jednocześnie obraz zakołysał się przed Jonasem. W szarym popiele błysnął nóż wbity w martwą ziemię.

Gdzieś odezwał się potężniejący warkot motorów.

## 15. STAN OBŁĘŻENIA

Tupot butów oddalił się w przeciwnym kierunku.

Szli najpierw nisko sklepionym pasażem. Potem zeszkliły się ściany. Swobodny wgląd do wnętrza magazynów, salonów mody, kafejek o wygaszonych światłach. Czasem zamiast witrynowego szkła uwypuklały się ogromne soczewki, o ogniskowych w dalekim półmroku. Wszędzie można było zajrzeć, jakby w gniazda misternie splecione z czegoś złocącego się mgielnie, to znów paśowym ogniskiem podświetlającego jakieś koronki, drogocenne naczynia i meble. Wystarczy zboczyć nieco i trafi się w systemy grot, gdzie w skrzyniach z odrzuconym wiekiem, w naczyniach z brązu i porcelany, w opasyłych workach utkanych ze srebra czeka skarb zostawiony tu przed stuleciami, jakby nie tknięty nawet ręką dekoratora, zapraszający – wyciągnij rękę!

Następny oddział przebiegł na tle wnęki inkrustowanej cekinami z lapis lazuli. Dwudziestu paru uzbrojonych po zęby żołnierzy.

Tylko gdzie ich pomieszczą, pomyślał Jonas; rozbudzonych bezpardonowo, wyrzucanych ze szklanych pęcherzyków – muszelek, nagim tłumem zaganianych do wytaczania z rynsztoków bilardowych kul. Nawet jedna koralowa rafa nie ocaleje po tej nocy parnej, pełnej beztroski, intymności, rozpasania i półsennych rojeń. Jak powiedział Greisen z wysokości swojego patrolowego mobila: „To ty, Jonas? I słusznie. Oficerom Sztabu też przysługuje relaks. Niestety, oczyszczamy teren. Endogeniczna rozwija flanki. Trzeba usunąć ludzi i puścić buldożery. Sam widzisz, co nawyprawiali. Dać swobodę społecznym mętom, a nawet koszary przebudują na Wesole Miasteczko. Koniec ślicznych muszelek – roześmiał się. – Idzie epoka lodowcowa. Pomóc w czymś, Jonas?”.

Minęli kilka bezludnych tuneli, zanim wyszli na prostokątny plac. W jednym końcu leżał ogromny, spłaszczony mobil Endogenicznej. Uniesiony wierzch pozwalał długiej rurze, z rozdęciem w połowie i dwiema czarnymi misami po bokach, dokonać pełnego obrotu. Pod srebrnym palankinem przysiadło też dwóch gwardzistów. Nogi przewiesili przez burtę i nudzili się. Jeden właśnie przypalał papierosa. Drugi spojrzał na nich, potem bystro na boki. Nagle uniósł do góry rękę z dwoma wyprostowanymi i rozłożonymi palcami. Porozumiewawczo mrugnął w kierunku Jonasa. Następnie szturchnął łokciem towarzysza, pochylił się, chuchnął na lustrzaną burtę i coś narysował na zaparowanej powierzchni. Pierwszy przyjrzał się i roześmiał.

Za mobilem widać było ogromną tarczę w ścianie, jeszcze większą, niż śluza prowadząca do lazaretu.

– Tak pilnują Kliniki? – zapytał Jonas.

– Klinika będzie w następnym module – wyjaśnił Janko. – Tutaj kursowała kolejka pneumatyczna. Teraz to czułe miejsce Endogenicznej. Sztab obrał strategię obrony pionów, więc ograniczono komunikację poziomą. System poziomych sztolni przenika jednak na obydwie strony Pierwszej Linii...

– Więc tędy można przedostać się poza Pierwszą Linie? – zainteresował się Jonas.

– Tutaj wszystkie wyloty obstawili gwardziści Sticza. Z drugiej strony pewnie też...

– Kto?

Janko szedł z pochyloną głową.

– Dobrze – powiedział Jonas. – Przekonamy się. Mam inne pytanie. Czy próbowałeś... poza tym od Makonde...

– Inne Bio-Łacza?

– To bardzo ważne. Na rekonesans zostało mało czasu. Janko popatrzył na niego smutnymi oczami.

– Staram się – powiedział. – Wiem, że coś jest. Powinno się udać. Tylko potrzebuję spokoju. Chwilami odbieram jakiś obraz. Częściej mętne tło. Czym dalej tym gorzej... Myślę, że byłoby łatwiej przy współpracy z drugiej strony.

– Więc są inni?

– Są. Bardzo daleko. Musiałbym się skupić, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Próbuj.

Janko pokręcił głową.

– Gdybym mógł... – powiedział. – Przecież widzisz, co się dzieje.

Tunel połączył się z szerokim pasmem Ortodromy. Wysokie sklepienie dochodziło aż do białej ściany. Wrzało tu jak w mrowisku. Z bocznego tunelu wyskakiwały, przemykały kilkudziesięciometrowym odcinkiem Ortodromy i nurkowały w następnej przecznicy, długie cygara cysterń – jakby się tamtędy przepychał wielozłonowy, tłusty robak. Pod białą ścianą leżały cztery mobile Endogenicznej, między nimi krzątali się żołnierze. Nieco dalej pracowała przysadzista, bąblasta maszyna. Olbrzymia, zupełnie nieforemna bryła posapywała jak archaiczna maszyna parowa. Pozbawiona jakichkolwiek podpór, podobnie jak mobile, przesuwiała się po metalicznie lśniącej posadzce, przysiadła do ziemi, następnie wibrowała, aż powietrze pod nią wydawało dziwne mlaśnięcie. Maszyna odpływała kilka metrów w bok, za to w podłodze pozostawał owalny otwór z luźno osadzonym nitem o szklanej główce. Jonas musiał się zorientować w skali całego pomieszczenia, nim uświadomił sobie, że po dnie gigantycznej groty kroczy coś znacznie większego, niż dopuścił na pierwszy rzut oka. Ta maszyna raz przy razie wydłubywała w posadzce studzienkę o głębokości do pól piersi dorosłego mężczyzny, po czym

rozlegało się wysilone czknięcie – w otwór zostawała wetknięta larwa w szklanym hełmie i mundurze Endogenicznej. Jak daleko sięgnąć wzrokiem poza ten czkający kombajn–fortecę, cała powierzchnia placu wyglądała niby pszczeli plaster. I w każdej komórce tkwił po pierś okopany piechur Endogenicznej.

Jonas usłyszał, jak obok niego coś miękko uderzyło o ziemię. Zanim się spostrzegł, Bio–Łącze, które zrazu tylko przykłękło, skręciło się jeszcze bardziej z rękami wczepionymi w żołądek, pochyliło do przodu i czołem dotknęło szarych płyt.

– Janko! – zawołał.

Kiedy go przytrzymał, odwrócił i ułożył na wznak, Janko był przytomny, tylko spojrzał na niego błagalnie i półprzezroczystą ręką sięgnął pod szyję.

Jonas sam szarpnął błyskawiczny zamek. Przez moment wydawało mu się, że potrafi zajrzeć w pierś Bio–Łącza. Przestrzeń tam uciekała ponad dziwnie zieloną równiną – od horyzontu luna wstawała nad stepem. Trwało to ułamek sekundy. Jakby ten pejzaż zaciągnęło bielmem pod wpływem zewnętrznego światła. Pozostał tylko kurcz gardła ponad srebrnym obrzeżem ekranu.

– T–to n–niedaleko – wyszeptał Janko. – Zabierz... Mdli. Zawsze tak samo... ohydne. Zabierz stąd!

Był lekki jak dziecko, kiedy go uniósł nie bacząc czy mu zwymiotuje na rękę.

Przed nim przesunęła się rtęciowa kropla. Po czerwonych dwukropkach na rękawach rozpoznał rezerwistów Endogenicznej zgromadzonych między mobilami. Patrzyli na niego niepewnie. Daleko za nimi i poza gęstą perforacją ziemi, gdzie strop nachylał się do Ortodromy Wolności, linię przyszłego frontu oskrzydlała rzadka tyraliera nieruchomych postaci – czarnych wron, które przysiadły za plecami żołnierzy w studzienkach – gniazdach i cierpliwie czekają na swoją kolej, kiedy będą mogły spod peleryny wystawić dzioby.

Usłyszał, jak Bio–Łącze szczęka zębami, aż mu zupełnie zwisło w ramionach.

– Klinika! – krzyknął do pierwszego z brzegu rezerwisty.

Ten łypnął na niego ponuro i ręką machnął za siebie. Kilku żołnierzy, tam i z powrotem chodząc w poprzek tunelu otwartego w białej ścianie, wtykało tam czerwone nity i każdy przykrywało metalową łuską. Jonas przeskoczył ekranowy jeszcze pas blokady.

Tunel okazał się krótkim, ślepym korytarzem. Raptem tuż przed Jonasem umknęła w górę ściana grubości metra. Młody człowiek w białym kombinezonie popatrzył na niego zdziwiony. Równie zaskoczone spojrzenie posłał w kierunku śluzy, która zatrzaskała się za plecami Jonasa. Jakby to było wejście dla nadzwyczaj uprzywilejowanych.

– Gdzie Stinson?! – zawołał Jonas.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Jeszcze kilka głów wychyliło się z bocznego

pomieszczenia. Jonas gotów był bezwładnie Bio-Łącze przytrzymać jednym ramieniem, żeby zwolnioną ręką chwycić kogoś za gardło i nieco wstrząsnąć, kiedy ktoś krzyknął ostro: „Janko!”. Już mu go prawie siłą wyrwali z rąk. Błyskawicznie podjechał wózek nakryty białym prześcieradłem. Jakaś dziewczyna przytuliła głowę Bio-Łącza do piersi, kiedy go układali. Na Jonasa nikt nie zwracał uwagi. Wszyscy skupili się nad leżącym. Pierwszy wyprostował się i odwrócił ten sam lekarz, który ich przywitał niezbyt przychylnym spojrzeniem.

– Nic się nie stało. Trzeba z nim delikatniej – powiedział, a potem rzucił za siebie – ty go tak nie tul. Jeszcze dzieciak.

– Co mu jest? – zapytał Jonas.

– Idealista – powiedział młody lekarz.

– Nie rozumiem – stwierdził Jonas.

– A co myślisz? Nie strasz go, to nie będzie mdlał jak panienka. Z jego naturą powinien siedzieć w Klinice i nie pchać nosa tam, gdzie potrzeba mocnych nerwów.

Z kolei mężczyzna zmierzył Jonasa od stóp do głowy.

– Megaloxantha? – zapytał. – Spuściłeś z tonu. I ty robisz się gruboskórny. O Janko nie martw się. Podeślę ci go, jak się porządnie naje. Nawet nie ma czym rzygać na doczesność. Stinsona znajdziesz w Trzeciej Sekcji. Dogląda tych, którzy się wahają.

Jonas już szedł przed siebie.

Na ścianie fosforyzujące III S.

Stanął w progu długiej sali. Jakby znów trafił do lazaretu. To jednak nie było poletko doświadczalne Kliniki, dla bezpieczeństwa umiejscowione tuż przy Pierwszej Linii. W Klinice zamiast szklanych katafalków stały zwyczajne łóżka. Prawie trzydzieści łóżek. Stinson rozmawiał z chorym w głębi sali. Poruszenie wśród pacjentów kazało mu spojrzeć w stronę drzwi. Twarz miał nie mniej szarą niż przed chwilą Bio-Łącze.

Nerwowo drgnął na widok Jonasa. Jakby nie spodziewał się jeszcze jednego spotkania. Szybkim krokiem podszedł do Jonasa.

– Chodźmy do mnie – zaproponował. Nie czekając przeszedł bokiem.

Gabinet Stinsona znajdował się w sporej odległości od Trzeciej Sekcji. Minęli kilkanaście drzwi, kilka śluz i schody prowadzące na wyższe piętro. Jonas pomyślał, że stąd powinno być blisko do najwyższego poziomu i Modułu CETI.

Już w fotelu Stinson wyciągnął z kieszeni chustkę i wytarł czoło.

– Czego chcesz? – zapytał.

Jonas przysiadł naprzeciw, na twardym tapczanie. Stinson z pewnością spędził tu wiele bezsennych nocy. W samotności i bez złudzeń.

– Razem jesteśmy w THARSYS – powiedział Jonas. – Profesor Uniwersytetu



Tellurycznego, gdyż w nic nie wierzy i po prostu znalazł swój ostatni bastion; ja – gdyż tak postanowiono. Bynajmniej nie z miłosierdzia. Spotkałem w THARSYS człowieka, który ma zdrowy pogląd na ten temat.

– Jeden sprawiedliwy – westchnął Stinson.

– A więc zostałem na was skazany – ciągnął Jonas. – Akurat na tych, którzy mają szczególną metodę na przetrwanie. Przeczekać. Przeczekać. Przeczekać. Wydało wam się, że można istnieć niezależnie od systemu, który was określa w skali planety. Stworzyliście więc mocne państwo, które długo chroniło was od zewnętrznych klęsk... Od jakichkolwiek zmian. Żeby tego dokonać Państwo musi rozporządzać odpowiednią siłą. Aby znaleźć tę siłę trzeba dokonać odpowiedniej mobilizacji społeczeństwa. Pełna mobilizacja społeczeństwa nie jest możliwa bez stworzenia uwarunkowań, to społeczeństwo... wiążących nierozzerwalnie. Tak, Stinson. Z osobna jeszcze by się między wami znaleźli odważni, żeby plunąć na strukturę Państwa, w imię ocalenia narodu... Ale już nie potraficie obejść się bez struktury, którą stworzyliście dla zagwarantowania własnego bytu. Ta struktura podporządkowała wasze życie własnemu istnieniu. I dobrowolnie się nie rozwiąże. Wszystkich was tonący statek ciągnie za sobą do dna.

– Milcz! – chrapliwie powiedział Stinson.

– Nie bój się. Jakie to ma znaczenie, czy ktoś tego słucha, w przeddzień Ostatniej Bitwy? Nie zaprzeczaj!... Doskonale wiesz, ile wam zostało. Na tym polega perfidia systemu – każdy wie. I co? Jeśli za ścianami twojego domu grasuje wściekliczna, nie możesz po prostu zamknąć drzwi, zatkać uszy i być szczęśliwym. I być bezpiecznym. O tym przekonaliście się doskonale w innych sterylnych, przytulnych, do snu utulających kołyskach. Jedną nazwaliście nawet ZŁOTA WOLNOŚĆ, drugą OGRODY SEMIRAMIDY! Optymistyczne. Tylko sen zapowiada się wieczny. I najwieczniejsza z wiecznych wolność.

– Kraczesz – tym razem złość zabrzmiała w głosie Stinsona.

– Wysłano mnie do waszego piekła nie na turystyczną wycieczkę – powiedział Jonas i pomyślał, co też dzieje się z kimś, kto też nie jest stąd, chociaż dla niego to akurat turystyczna wycieczka. – Posiadam przy tym instynkt samozachowawczy.

– Walcz – skrzywił się Stinson. – Na własny rachunek.

– Pech w tym, że was sobie szczególnie upodobałem – niezbyt wesoło roześmiał się Jonas. – I pasjonuje mnie współzawodnictwo z waszym systemem. On nie ustąpi, choćby był waszym kamieniem u szyi. Wy nie odetniecie powroza, choćby was dobił do dna. Zawziętość nie jest obca również Megaloxanthom.

– Czego się przyczepiłeś akurat do mnie – jęknął Stinson. – Widziałeś uczonych posiadających władzę? Przede wszystkim istnieje Endogeniczna – nigdy nie przekonam Sztabu Armii.

– Spróbuj.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co proponujesz?! – wybuchną Stinson. – A ja ich nie przekonam przede wszystkim dlatego, gdyż to ja nie wierzę! To we mnie brak wiary! Nie wiesz, jak ci jej zazdrościsz. Co z tego?

– To nie kwestia mojej wiary – powiedział Jonas. – Reprezentuję Mechaneurystyczną Klinikę Księżyca.

– Posłuchaj, Jonas – Stinson był wyraźnie zmęczony. – Jeżeli na własnym poletku, w Klinice czy w Laboratorium, wyprodukuję broń skuteczną przeciw temu, co ich spotyka na zewnątrz, to mi uwierzą. Jeśli natomiast każe od razu wysadzić Kopułę, to mnie samego rozerwą na strzępy, a ludzkie ręce mają w tym wprawę lepszą od Sztabowego Wpleszcza.

– Jeżeli nie ma innego wyjścia, trzeba próbować ostatniej szansy.

– Choćby była nią dekompresja?

– Bezwzględnie.

– Kiedy i tak wiadomo, że wszystkich przy tym diabli wezmą? Wiesz, co proponujesz?!

– Jeżeli boicie się dzisiaj, jacy jesteście... – Jonas zawahał się. – Spróbujcie rekonstrukcji.

– Jesteśmy ludźmi.

– Po części już zdradziliście czystość rasy.

– Bio-Łączka? – Stinson pogardliwie wyduł wargi. – To najemnicy, z byłych podsystemów.

– O tak! Ty brzydziłbyś się sobą, oni nie mieli wyboru. Dla niektórych z nich po prostu cyborgizacja była lepsza od Armii. Wy uznaliście konieczność, przepraszam – wygodę, ale to tylko pogłębia waszą pogardę. Tak samo dla Bio-Łączki, jak dla Megaloxanthy. A jednak wam biją dzwony, a my mamy szansę przetrwać.

– Fakt – zgodził się Stinson. – Tylko czemu tak się lękasz, że się tak otorbiłeś szczerze, że z ulotnego motylka przeobraziłeś się w pancernego chrząszcza?

Spotkali się wzrokiem.

Jonas czuł, że wzbiera w nim dziwny wstręt, wcale nie do tego człowieka. Pomyślał, że tak musi smakować nienawiść, tylko nie wiedział, przeciwko czemu.

– Nie wiesz?! – zapytał zduszonym głosem. – Bo jeszcze w nas zostało zbyt wiele z tego, co się zda psom na pożarcie!

Stinson zgarbił się w swoim fotelu i rękoma objął głowę, aż się zakołysał ściskając skronie.

– Nerwy – powiedział. – Wszystkim nam nawalają nerwy. Boże, jak długo jeszcze!

## 16. REJESTR

Stinson spode łba patrzył na Bio-Łącze. Całym sobą dobitnie dawał do zrozumienia, co o tym myśli. I gdzie jest miejsce wszelkich Bio-Łączy i Kochanków Seleny. Na równi. To pierwsze przynajmniej zachowuje się w miarę przyzwoicie. Nie epatuje wszystkim, co ludzkie – z natury czy z urojenia. Poza tym pewnie zje kolację, wypali papierosa, połączy się z Łączem płci odmiennej. Kto zresztą wie, jak z nimi jest naprawdę. Poza tym stoi prosto, nie pozwala sobie na zbędne gesty i komentarze, bez wojskowej musztry bladymi oczami patrzy tylko przed siebie, jakby mu wzrok utkwiał w innym wymiarze. Jedyna demonstracja - jakby coś z prawdziwej wolności ostało się poza białymi ścianami tego pokoju. I trochę dalej, poza obronnym systemem THARSYS Bio-Łącze może tak stać w nieskończoność - z bielmem ekranu zmartwiałym w środku piersi.

- Mów dalej, Janko - ponaglił Jonas.

Ten za to, choć mu podcięto skrzydełka, nie zaprzestaje zadzierać nosa - tyle Jonas Hebrejczyk potrafił wyczytać w twarzy Stinsona.

- To nie ma nic do rzeczy - powtórzył Stinson.

Bio-Łącze chwilę trwało w rozterce, ze zwieszonymi rękami i luźno rozpiętą kurtką. Dla treści, których wyliczanki zażądał od niego Jonas, wizja nie jest konieczna. Nawet Stinsona stać na minimum wyobraźni.

- Pułkownik Talonhaltia zginął przy próbie odbicia I Modułu Fabrycznego - powiedziało Bio-Łącze. - Bez I Modułu reszta Systemu Technologicznego pracuje na jedną trzecią wydajności. Przy tym Moduł IV i V zdolne są kontynuować produkcję nie dłużej niż dwanaście godzin. W konsekwencji...

- Wiem co to oznacza - burknął Stinson.

- Już mi proponowano rarytas - wtrącił Jonas. - „Orgia z Maggi-Magic” - dopalacz dla ducha. Ostatnia partia.

Stinson omal go zabił wzrokiem.

- Spotlight jest systematycznie spychany na zachód. Kolczinski zrzucił bomby zaporowe w *Cloaca Maxima*, po czym zaplombował ostatni zsyp do studni transmutacyjnych.

- Tym razem Hioba posadzono na własnych odchodach – komentował Jonas Hebrejczyk. – Jeszcze mu się czasami uda zdrapać strupa. Tylko na zbawienie coraz marniejsze widoki. W tutejszym niebie, jak w Sztacie Endogenicznej, brak jednego boga.

- Pułkownik Greisen szykuje obronę okrężną fortów na północnej rubieży Enklawy – ciągnęło Bio-Łącze. – Natomiast od trzech godzin brak danych o

działaniach Grupy Szybkiego Reagowania. Feretrius próbował przebić się z wyższego poziomu do osaczonych Rzeźników Empiru...

– Osaczonych? – zdziwił się Jonas.

– Miałem podawać przede wszystkim informacje z ostatniej chwili – wyjaśniło Bio-Łącze.

– Dobrze. Mów, co z Miasoffem.

– Brygadier Miasoff nie żyje.

– Co?! – zawołał Jonas.

Stinson tylko pobladł.

– Jego Rzeźnicy Empiru dokonali brawurowego wejścia w Przeziernik Złotokap. Dzięki nowej generacji chemosterylantów nie dopuszczono do pełnej kondensacji. Kiedy do Sztabu napłynęły pierwsze optymistyczne meldunki, jednostka Miasoffa praktycznie już nie istniała. Wyciągniętą kolumnę transporterów opancerzonych nakryła zielono fosforyzująca sieć. Kolumnę rozdzieliło na trzy człony. Bio-Łącze, znajdujące się przy dowódcy, przekazało obraz tego, co się stało ze środkiem kolumny. Mogę zademonstrować. Jeden z ludzi Miasoffa zdążył nazwać to Siecią Stinsona...

– Jak?! – jęknął Stinson.

– Tak zarejestrował Informatyczny System.

– To był twój pomysł, z atakiem na Przeziernik? – zapytał Jonas.

– Laboratorium – szepnął przybity Stinson. – Przekazaliśmy Endogenicznej zestaw chemosterylantów, który powinien był skutkować, według naszych obliczeń, co najmniej cztery doby.

– A może tydzień?! – zaśmiał się Jonas. – Wiesz, Stinson, ten najemnik Miasoffa miał wyśmienite poczucie humoru! Teraz wiesz, w co próbujesz schwytać swojego demona? Sieć Stinsona! Tylko strona przeciwna mocniej zaciąga oczka.

– Zostało wyeliminowane dziewięć transporterów, zginęło lub zaginęło siedemdziesiąt procent składu Rzeźników Empiru – obojętnym głosem wyliczało Bio-Łącze. – Dwa transportery szpicy zostały odcięte. Do nich właśnie próbował się przebić Feretrius.

– Chwileczkę – wmieszał się Jonas. – Powiedziałeś, że Bio-Łącze znajdujące się przy dowódcy przekazało obraz spod Sieci Stinsona?

– Nie. Miasoff pozostawał w tylnej straży, chcąc jako ostatni opuścić strefę kondensacji Przeziernika.

– Więc mógł się wycofać?

– To było jedyne rozsądne wyjście – powiedziało Bio-Łącze. – Wycofać się. Brygadier Miasoff podjął próbę wyprowadzenia stu czterdziestu ocalałych ludzi.

– Podjął próbę? – odezwał się Stinson.

Jonas spostrzegł, że Janko znów robi się biały we właściwy sobie sposób.

– Pan, profesorze, uparcie rozumuje kategoriami małża–idealisty – niespodziewanie odezwało się Bio–Łącze. – Nie ma nic bardziej obłudnego, jak tkwić w swojej skorupce i udawać, że tam, na zewnątrz, jest co najmniej tak samo przytulnie...

– Co to ma znaczyć?! – Stinson aż się zakrztusił.

– Pan zapomina o Sprzężeniu Zwrotnym.

Jakby ich nagle spowiło gęste i lepkie powietrze, w którym Megaloxantha nigdy nie rozwinię skrzydeł, gdzie Bio–Łącze nerwowo chwyta się za żołądek i tylko Stinson wytrzeszcza oczy, rozpaczliwie tocząc dokoła nic nie rozumiejącym wzrokiem.

– Wszystkich?! – jęknął Stinson.

– Co do jednego – potwierdził Janko Pytlak.

– Ostatnie sprawne ogniwo – wyszeptał Jonas. – Armia nie potrafi zagwarantować bezpieczeństwa z zewnątrz, za to do perfekcji doprowadziła trzymanie za mordę własnego zaplecza... Akurat Miasoff winien był liczyć się z tym. Sam miał to we krwi. Nie tolerował tchórzostwa. Krok wstecz – kula w łeb. I bez niuansów na polu bitwy. Sprzężenie Zwrotne nie przebiera więc – gdzie taktyka, gdzie zdrowy rozsądek, gdzie oślepień ze strachu. Mów dalej, Janko. A ty, Stinson, słuchaj uważnie. I wyobraź sobie, że to nie jest echo z Fabrycznych poziomów, nie stękanie w *Cloaca Maxima*. Wyobraź sobie, że to rejestr twojej własnej krwi... Czujesz, jak wycieka? W tym miejscu coś się przyssało z zewnątrz, fakt... Ale tutaj sam sobie popuszczasz...

– Dosyć! – głuchym głosem poprosił Stinson.

– Mów dalej, Janko – powtórzył Jonas.

– To nie ma sensu – niespodziewanie Janko zlitował się nad Stinsonem. – Wszystkie meldunki są podobnej treści.

– Cała Pierwsza Linia? – zapytał Jonas.

– W wielu punktach Służba Obrony Wewnętrznej została związana wokół lokalnych desantów. Zdolność operacyjną podstawowych jednostek Endogenicznej, po wyeliminowaniu Rzeźników Empiru, zniwelowano do minimum. Miary złego dopełnia ciągły brak łączności z Grupą Feretriusa. Według ocen generała Juanito aktualna linia frontu trzyma się wyłącznie dzięki fortom Greisena. Tym niemniej przeciwnik na czas nieokreślony wykluczył zdolność Endogenicznej do przejścia do działań zaczepnych.

– Na czas nieokreślony! – twardo zaśmiał się Jonas. – I jak, Stinson, ciągle nie czujesz się osaczony?

Chwilę trwali w ponurym milczeniu.

– Wiesz, jak to wygląda, Stinson? – podjął Jonas. – Trup jeszcze do Księżyca mrugał ostatnim okiem. Pół żywym, pół szklanym. Tyle potrafił – spod zgliszczy i złomowiska – wytrzeszczyć to ostatnie oko pod Kopułę Enklawy. Lecz samego ciężenia nie starcza, żeby w nieskończoność odciągać powiekę. Tylko wierzchołek Kopuły zachował przejrzystość w stronę smrodliwego powietrza. Ostatni wytrzeszcz żrenicy nad śmietnik powszechny i nad własne bielmo. Inne Enklawy już oślepy na wieki wieków. Myślisz, Stinson, że macie większe szansę? W Klinice jakoś sobie dajesz radę. Najwyżej ogólna prostracja, wymioty, gwałtowne wahania liczby limfocytów, zanik białych krwinek i płytek krwi, poza tym biegunki, krwawienia... Zawsze podzwonne odwleczesz nową szprycą. Najlepsze mózgi główkują w Laboratorium. Wystarczy jednak wyciągi z eksperymentalnego poletka przenieść na Pierwszą Linie i... diabli biorą lazarety na zapleczu Armii! Diabli biorą Armię! Wasze diabły kumają się z ich skurwysynami i cierpliwie tkają Sieci Stinsona...

– Milcz! – wycharczał Stinson.

– Ale ty się do tego nawet nie przyznasz, Stinson, że nie rozumiesz niczego! Bo to równałoby się przyznaniu, żeś to ty sam posłał Rzeźników Empiriu, żeby wreszcie z nich samych zrobiono jatkę! Byłoby to też wyznaniem, że nie wiecie z kim czy z czym prowadzicie tę wojnę! To nie tylko jakieś Sztabowe Wpleszcze. Rojniki Arrheniusa, Przezierniki Złotokapy czy Sieci Stinsona... Tu, od środka, też coś śmierdzi. Prawda? Niby zwyczajnie – drobne wzdęcia, potknięcia, liszaje, czasem ni z tego, ni z owego zespół popromienny... A przecież to tam, za Pierwszą Linie, skurwysyny powinny zdychać na popromienną. Tam neutrino winno z nich robić rzeszoto. Ale ty nie zrobisz nawet tej statystyki – ilu z was wyeliminował byle Kostropian–purchawica, a ilu kulą w łeb poczęstowało Sprzężenie Zwrotne! Rozumiem, jeśli jest w czym przebierać i trzeba przetrzebić pulę genową. Tymczasem tutaj nie tylko Endogeniczna – cała Enklawa ciągnie resztkami armatniego mięsa! Od dobrych kilkunastu lat wyszło źródło. Wasze kobiety przestały rodzić. Nic nie rozumiesz. Bo niby czemu zdrowe i chętne dziewczyny, do pary ze zdrowymi, chętnymi chłopcami, niczego nie potrafią sklecić? Nie pomoże oficjalne propagowanie misteriów powszechnego tarła. Tu przyjdzie zdechnąć od środka, choćby na cztery strony świata rozpieprzyć skurwysynów! Z jednej strony brak dopływu świeżych sił, z drugiej do żywego mięsa dogryza Misza–saprofit, obok niby nic Sprzężenie Zwrotne wykonuje normę. Przedpole należy oczyszczać ze śmieci! Kto ma ochotę wywiesić białą flagę, komu nogi pracują szybciej niż głowa, kto i tak rzezi – kula w łeb!

– Nie mieszam się do wewnętrznych spraw Armii – powiedział Stinson.

– Doskonale! Jak to określił Janko? Dusza małża–idealisty. Przecież to jawna dywersja, Stinson! O tak – bronicie się wściekle. Na wszystkich frontach. W zapale

sami sobie przyłożycie lufę do skroni. Zastanów się, Stinson, może nie tylko Armia zafundowała sobie Sprzężenie Zwrotne? Na ten luksus stać każdą formację społeczną – w całości!

Jonas zamilkł, jakby sam się przestraszył potoku słów, które wyrzucił z siebie, niezależnie od własnej woli. W nim też już coś tkwiło, co trzeba wypluć – inaczej zemdli, jak spazmy raz za razem dające się we znaki Bio-Łączu.

– Generał Juanito proponuje zmianę strategii – odezwał się Janko. – Sugeruje zarzucenie obrony pionów, na rzecz koncentracji Armii w płaszczyźnie fortów Greisena. Potem radzi postawić na jedną kartę. Endogeniczna rozdzieli się na dwie części. Jedna wycofa się w dół, pod osłonę Tarczy Sztabu. Druga spróbuje związać ofensywę przeciwnika przed górnymi partiami THARSYS. Kiedy forty Greisena zamkną obwód, dokonując pełnej blokady przestrzeni o dwa poziomy poniżej Modułu CETI, wówczas w umówionym momencie przeprowadzi się kontrofensywę wszystkimi siłami Endogenicznej. Pójdą dwa uderzenia, jedno spoza fortów, drugie spod Tarczy Sztabu. Celem będzie odbicie, strategicznie niezbędnych dla Enklawy pionów Wydobycia, *Cloaca Maxima* oraz Modułów Fabrycznych. Warunkiem niezbędnym dla powodzenia powyższej akcji jest pełna militaryzacja Enklawy.

W zupełnej ciszy słycać było dziwny szelest, jakby piasek osypywał się w blaszanej rynnie. Aż zaskoczony Janko spojrział w tę stronę – to śmiał się *Megaloxantha*, głosem niepodobnym do niczego, co słyszeli dotąd.

– Słyszałeś, Stinson? – cicho i niespodziewanie spokojnie odezwał się Jonas. – Ktoś jednak stawia wszystko na jedną kartę. Ty nie masz odwagi... Jedno mnie tylko interesuje, gdzie swoją kwaterę przewidział generał Juanito? Jak myślisz, Stinson? Pójdziemy o zakład? Ja twierdzę, że wybierze bunkier pod Tarczą Sztabu. Pod osłoną tej opatrności jest szansa jakiś czas przetrwać... Coś mi się zdaje, że jeden Juanito ma przynajmniej wystarczająco sprytu, jeśli nie rozumu, żeby równie wysoko cenić siłę bojową Endogenicznej, jak potencjał szarych komórek niejakiego Stinsona.

## 17. RACHUNEK PRAWDOPODOBIENSTWA

– Wróćmy do źródeł – zaproponował Jonas. – Informatyczny System zachował ciekawe dane dotyczące początków Inwazji.

– Jeszcze raz? – Stinson był wyraźnie zmęczony.

– Pozwól, Janko – zignorował go Jonas. – Będzie to odwzorowanie przestrzenne Industrialno-Urbanistycznej Aglomeracji Czwartego Kontynentu. Czerwone punkty to ogniska pierwszych desantów.

Bio-Łącze zniknęło nagle, jakby wypchnięte poza ściany, lokalnym obrzmieniem przestrzeni. W pułapce polaryzowanego powietrza laserowy pisak kreślił nitki puszystej materii, parenchymę mieszkalnych dzielnic i włókna transmisyjnych tuneli.

Wokół Stinsona i Jonasa zawinęła się plastyczna mapa Masywu. Wszystko przysypane siwym pyłem, ledwie pod tym można dostrzec labirynt z obwałami sztolni, zmurszałe mosty nad osy – piskami gruzu, szklane rurociągi kolei pneumatycznych. Jak okiem sięgnąć – jałowe uroczysko, po którym bojówki Armii, jeszcze przed ustanowieniem Endogenicznej, przejechały sterylizacyjnym zgrzebłem. Jeśli wyteńczyć wzrok, można zajrzeć w poszczególne komórki, w wylęgarnie kurzu, we wnętrza nafaszerowane elektronicznym szmelcem i skołtunione pajęczastymi strzępami; jakby w podziemnych tunelach popękały sploty światłowodów i rozciągane do granic wytrzymałości rękawy starych, gruzłowatych swetrów – z delikatnej angory, z owczej sierści, z drutu, ze skrętów nabłonkowej skóry i ze ścięgien. Gdzieś tam biały mech, w czeluściach pozbawionych dostępu słonecznych promieni, rozkorzenia rzadkie firany i siwe brody zapuszcza w próżne miechy piersi – ze szkła, ze strunobetonu i polimerów. Soplami spływają katarakty pleśni. Czuć zapach. Jakby cokolwiek istniało poza holowizją – smak budzący odrazę, łechotliwość pleśni zatykająca płuca słodkawym bronchitem. Aż się Stinson skulił – nie wolno oddychać. Lepiej wzrok wycofać z zakamarków ciemnych, dokąd nie dotarły ekspedycje karne. Amen. Nie dotrą nigdy. Od czasu desantu nie udało się nigdy i nikomu dotrzeć do punktów dowodzenia Inwazją. Kilkanaście, co prawda, zniszczyły termojądrowe eksplozje – zostały puste kratery – prawdziwie wszechmocni odchodzą bez śladu. Zostaje tabu. Nie zgłębiać tajemnicy bytu – żeby strach nie obezwładnił. Żeby ramię nie ulękło się odbijać ciosy i samemu zadawać. Wszechmocnych i nieśmiertelnych zdolny jest zabić tylko ten, kto nie zdaje sobie sprawy z ich nieśmiertelności i wszechmocy. Niewiedza i niewiara nie starczą, żeby zwyciężyć. Wiedza i wiara czyni poddanych.

Żeby przynajmniej zginąć z honorem trzeba zachować wewnętrzną niezależność, której przez lata wzniesione mury chciałby zburzyć ten Megaloxantha, półczłowiek



żyjący zwidami Szerna. Ocalić rozsądek, choćby intymny świat skurczył się do dwóch dłoni zaciskających skronie. Reszta staje się tylko mapą przestrzenną, planem kontynentu porośniętym ekosystemem zmurszałej technologii. Daremnie szalbierstwa Bio-Łącza próbują miliony kilometrów sześciennych przestrzeni wcisnąć między cztery ściany. W zwidzie trującym nad umarłym światem laserowy pisak zakreślił czerwone aureole. Ogniska Inwazji.

– Typowy probabilistyczny rozkład trafień – powiedział Stinson.

Jonas roześmiał się.

– Chciałem to usłyszeć – powiedział.

– Nie rozumiem? – zdziwił się Stinson.

– Jak wy to sobie wyobrażacie: zjawili się nocą, wylądowali w swoich ogromnych statkach, pod którymi zapadł się dach Industrialno-Urbanistycznego Masywu? Może od ognia z dysz zakłęśły się i z wierzchu zasklepiły głębokie gniazda – bunkry, w których teraz tkwią kosmiczne statki przeistoczone z marszu w punkty dowodzenia Inwazją, wtopione na trwałe, bez szansy odwrotu. Przyświeca im tylko ZWYCIĘŻYĆ ALBO ZGINAĆ! W całym Wszechświecie trafiła się jedna planeta nadająca się do kolonizacji. Od pierwszych miast, przez tysiące lat, nawarstwiał się nowy rodzaj przestrzeni życiowej – nie ziemia i nie powietrze, nie woda i nie ogień, nie próżnia i nie skała – wszystkiego w tym jest po trochu. Szczególne guano – Industrialno-Urbanistyczny Masyw. Jak próżnia dla meteorów, powietrze dla skrzydeł, woda dla płetw, a ziemia dla korzeni – tak dla tych istot z niewiadomego Kosmosu potrzebna była nisza ekologiczna, jaką wokół siebie skonstruowała Cywilizacja. Może takie jest prawo Ewolucji, że istoty rozumne obudowują się Labiryntem ze ścian, stropów, ukierunkowanych tuneli i dążeń, praw i obowiązków, ślepych uliczek technologii i społeczeństw dokonujących samoizolacji w więziennych celach państwowości; aż pęka nić Ariadny – Świadomość Jednostki, zdolna Rozum wyprowadzić z Mrowiska – i zostaje Śmietnik, jedyna w tym świecie realna wykładnia wieży Babel. A więc – Śmietnik na miarę Wszechświata i w kosmicznej przestrzeni kołujące sępy, które zleciały, żeby się na nim pożywić rozumną padliną. Jesteś, Stinson, zwolennikiem takiej koncepcji?

Stinson siedział z ponurą miną i milczał.

– Nie ja to wymyśliłem – powiedział Jonas. – Tę i podobne teorie, motywujące Inwazję, stworzyli uczeni Epoki IUM, rozporządzający nauką i techniką potężniejszą niż to, co się ostało Enklawom. Wszystko w tym jest proste i logiczne, a przede wszystkim podtrzymuje etos człowieka, który – nawet jako forma przejściowa – pozostaje miłowym słupem Ewolucji.

– To gatunek homo sapiens do procesów przeciwdziałających entropii Wszechświata dołączył Rozum i Świadomość – odezwał się Stinson. – Nikt nie

zaprzeczy, że to jakościowy skok gromadzenia i przetwarzania Informacji, podjętych przez materię ożywioną.

– Nikt nie zaprzeczy – zgodził się Jonas. – Tylko co z tego wynika? Nie ma szansy na zwycięstwo, brak nadziei na litość. Pozostaje walka – do końca.

– Widzisz inną alternatywę?

– Dekompresja.

– Proponujesz samobójstwo.

– Czy nigdy nie zastanawiałeś się, Stinson – w zamyśleniu powiedział Jonas – gdzie zaczyna się i gdzie kończy jasna granica między śmiercią z bronią w rękę a samobójstwem? Jesteście mocni w deklarowaniu ekstremalnych pojęć i postaw. A przecież nie istnieją związki międzyludzkie oparte na absolutnej prawdzie, jak nie przetrwają posadowione na fundamencie kłamstwa. Oczywiście, brakuje nam definicji absolutnej prawdy i kłamstwa, ale istnieją postawy ludzi, pozwalające dokonać takiego rozgraniczenia. Tam jednak, gdzie brak harmonii między skrajnymi postawami, tam zawsze silniejsze jest kłamstwo i do niego należy władza. Prawda rzadko rządzi i dobrze, jeżeli sił starcza jej na przetrwanie.

– To bardzo dużo – powiedział Stinson.

– Dla narodu. Jednostki wierność prawdzie dokumentują zwykle krzyżami na drodze społeczeństw w marszu ku przyszłości. Wy w THARSYS chcecie właśnie zostawić za sobą taki krzyż. Tylko wasz krzyż nie stanowi już żadnego przesłania. Zabrakło wam prawdy, która – nawet wobec bezwzględnej Przemocy – daje społeczeństwu szansę przetrwania. Definicję narodu wyprowadzamy zawsze z historycznej wspólnoty ludzkich losów – wy jesteście martwym narodem, gdyż nie została wam żadna wspólnota przyszłości. Nie macie komu za sobą wystawiać tego krzyża.

– Nie nasza wina.

– Jako uczoney wyrzekłeś się poszukiwania prawdy – powiedział Jonas. – Tym skazałeś swój świat na zagładę. Jesteś kapłanem umierającej społeczności, który starą wiarą nie potrafi wskrziesić nadziei w sercach wiernych. W swoim Laboratorium kujesz nowe miecze i tarcze, lecz stać cię tylko na nowoczesność technologii tam, gdzie trzeba dokonać przełomu w świadomości. Udoskonalasz model płaskiej Ziemi, gdy trzeba zmienić cały światopogląd.

– Doskonale to wydedukowałeś – zaśmiał się Stinson. – Dlaczego nie dodajesz, że wyrzekam się akurat twojej prawdy?

– Ja nie wiem, czy jestem bliski jakiegokolwiek prawdy – zaprzeczył Jonas. – Mogę nie mieć racji. Ale ja szukam. Rozumiesz mnie Stinson? Trzeba przynajmniej chcieć ją poznać! Pomóż mi jej szukać!

– Gdzie? – zapytał Stinson

– Przynajmniej w skonstruowaniu teorii równie prawdopodobnej jak teoria

Inwazji. Uczepiliście się tej Inwazji, gdyż jest najbardziej prawdopodobna. Zastanówmy się – nikt nigdy nie dotarł do tych piekielnych centrów dowodzenia Inwazją, ale niech będzie – no więc wkręcili te swoje kosmiczne fortece pod pancierz Industrialno–Urbanistycznego Masywu i w jego wnętrzu na oścież pootwierali śluzy. Trzeba podbić nową niszę ekologiczną, więc wytoczyli z arsenałów swoje maszyny bojowe – Wpleszcze, Zmroczniki, Przezierniki i Kostropiany. I trwa ta bitwa – już z Masywu zostały się pojedyncze Enklawy. W tym czasie zmieniała się i udoskonalała technika oraz strategia prowadzenia wojny. Jedno tylko stawało się coraz bardziej oczywiste – człowiek nie miał szans. Co znaczy – być bez szans? Można po prostu być wielokrotnie słabszym i wtedy się przegrywa. Ale zawsze istnieje czegoś wielokrotność. I można sobie przynajmniej wyobrazić funkcje broni dającej zwycięstwo. Do tego potrzeba wiedzy, kim i gdzie jest przeciwnik, oraz czym on dysponuje. Powiedz, Stinson, czy wyobrażasz sobie broń, gwarantującą wam zwycięstwo nie w jednej bitwie lecz w całej wojnie?

– Potrafię – powiedział Stinson. – Taką broń posiadamy od dawna. Za jednym zamachem zniszczy całą Ziemię.

– Dobrze powiedziałaś – przyznał Jonas. – Całą Ziemię. Ale ja pytałem o broń, która w a m da zwycięstwo. Wiesz, kiedy człowiekowi wydaje się, że jest zagrożony ze wszystkich stron? Kiedy nie zna charakteru niebezpieczeństwa. To musi być straszna bezradność – umierać bez przyczyny.

– Cóż możesz o tym wiedzieć – ponuro powiedział Stinson.

– Nic. Ale może mi to będzie potrzebne. Próbuję wyobrazić sobie walkę z własnym cieniem albo próbę przeciwstawienia się władzy, narzucającej społeczeństwu bezlitosne rygory, a przy tym zachowującej doskonałą anonimowość...

Jonas napotkał spojrzenie Bio–Łączka. Janko dwiema rękami wsparł się o biurko Stinsona. Jego oczy błagalnie patrzyły na Megaloxanthę.

– Nie wiem – Jonas pokręcił głową. – Poznałem człowieka w tej Enklawie, który wymyślił dobre hasło: „Szaleństwo, to klucz do przyszłości”. Mówił ponadto, że dla rozwikłania pewnych tajemnic potrzeba więcej szaleństwa niż wiedzy. Tymczasem na moich oczach dogorywa świat, niegdyś tak nieprawdopodobnie potężny, którego nawet w obliczu ostatecznej zagłady nie stać na odrobinę szaleństwa. Wymyślił sobie Inwazję. W ten dogmat, jak w mur, uderzył łbem obciążonym Rozumem i Świadomością – i spłynął krwią. I więcej nic. Może nawet trafił celnie – przecież nie twierdzę kategorycznie, że Inwazja jest pełnym nonsensem! – lecz kiedy trudno głową przebić mur, dlaczego go nie przeskoczyć? Przynajmniej spróbować!

– Skacz! – zirytował się Stinson. – Skacz na pysk ze swojego Księżyca! Nam przestań zawracać głowę!

Zerwał się z fotela. Chciał wyjść. Ręce Megaloxanthy osadziły go i pchnęły z

powrotem na miejsce.

– Siedź! – wykrztusił Jonas.

Sam zdziwiony popatrzył na swoje ręce, jakby zaskoczony ich gwałtownością, niezależną od jego woli. Stinson też uniósł na niego zeszlone oczy.

– Tam umierają ludzie! – powiedział.

– Wysłuchasz nas do końca – stwierdził Jonas. – Zaraz i tak pójdziemy stąd tam, dokąd nie macie odwagi wytknąć nosa. Wtedy będziesz mógł ich grzebać spokojnie. Na razie... Janko, powtórz to samo.

Bio-Łącze odgrodziło się od nich wizją Industrialno-Urbanistycznego Masywu z naniesionymi punktami ognisk zapalnych.

– Powiedziałeś: „typowy probabilistyczny rozkład trafień” – na nowo podjął Jonas. – Czy to nie dziwne stwierdzenie wobec podstawowych danych, na których została nadbudowana teoria Inwazji? Każda inwazja musi być przeprowadzona z zachowaniem pewnych reguł gry. Sporządza się plan strategiczny z instrukcją jego realizacji. Tego niepodobna dokonać bez uprzedniego rozpoznania terenu i sił przeciwnika, bez wybrania punktów i obiektów strategicznie ważnych na terytorium przeciwnika, w które należy uderzyć bezpośrednio i w jakim kierunku rozwinię się natarcie z miejsc zrzutu, jeśli mamy do czynienia z desantem... W I Fazie Inwazji, która dokonała rozłam Masywu, trudno coś było na ten temat powiedzieć. Działo zaskoczenie, brakowało czasu na dokonanie analizy danych zbieranych nieustannie przez Informatyczny System. Dzisiaj, dałeś dowód, nie potrzeba komputerów do stwierdzenia przypadkowości w rozmieszczeniu pierwszych desantów. Tymczasem w świadomości szeregowego żołnierza zakorzenił się obraz nieprawdopodobnej Strategii, Rozumu, Logiki, nadprzyrodzonej Przenikliwości, a wszystko uosobione w potędze Agresora, jednoczącego w sobie wszelkie kratofanie Kosmosu. Z kimś takim, co prawda, walczy się wyłącznie dla honoru, lecz za to zawsze ginie z podniesionym czołem – jak od miecza doskonałego szermierza czy kuli wyborowego strzelca... Tymczasem, rozumiem cię Stinson, zjawia się jakiś Megaloxantha i proponuje wrócić do źródeł; a tam – o zgrozo! – przypadek, nikt was nie docenił jako przeciwnika, któremu mimo wszystko wypowiada się wojnę, zamiast zwyczajnie zdepnąć. Co prawda dostaliśmy się w maszynę, która mieli na miazgę, ale...

– Powiedz to tym ludziom – Stinson skinął głową w nieokreślonym kierunku. – Powiedz im, że w tej wojnie, w której wykruszyła się cała cywilizacja homo sapiens, ich towarzysze broni i oni sami również padną wyłącznie w walce z wiatrakami. Tu popłynęło morze krwi, Jonas. Tego nie zrozumiesz z perspektywy swojej Seleny.

– Cóż – Jonas wzruszył ramionami. – Musimy się nauczyć umierać. Może dlatego jesteśmy z wami. A twoim ludziom powiedziałbym co innego. Na przykład zwróciłbym uwagę, że istnieją zjawiska, w których określona strona będzie się

dopatrywała agresji ukierunkowanej przeciwko sobie, chociaż w rzeczywistości nałożą się na siebie zjawiska zupełnie różnej proveniencji. Wyobraź sobie płaską równinę, gdzie w ukrytej norze – zagnieżdżyła się para szczurów...

– Skurwysynów – twardo powiedział Stinson.

– Niech będą skurwysyny – z rozbawieniem zgodził się Jonas. – Więc siedzi taki w norze, a od horyzontu nadciąga wysoka, cuchnąca fala. Wszystko miażdży po drodze i zagrzebuje pod sobą. Ten mały skurwysyn, załóżmy – obdarzony rozumem i świadomością, zauważa, że nad krawędzią niebotycznej skarpy pojawiają się monstrualne chrząszcze, z metalicznych odwłoków coś wyciskają, plują ze smrodliwych gardeł. Taki myślący skurwysyn w panice rozgląda się dokoła i stwierdza, że on i jego nora są w okolicy jedynym punktem strategicznym, wobec którego mogła być przedsięwzięta ta Inwazja. A więc Ktoś czy Coś, co piętrzy tę sunącą barykadę, ma z pewnością okrutne wobec niego zamiary. Pewnie chce mu zatruć i przysypać norę, a jego samego zmiażdży pod spiętrzoną wałą. Jeśli ten biedny skurwysyn nie weźmie nóg za pas, jeśli sobie w porę nie wybije z głowy nadmiernej hardości – zginie. Musi umrzeć, gdyż on i jego nora znalazły się w trybach maszyny wyższego rzędu, która jednakowo niweluje indywidualność jak społeczeństwo. I nic tymczasem nie przemawia za tym, że to COŚ, dla naszego skurwysyna stanowiące absolut, w transcendencji tamtego świata, skąd się wyłoniło, jest ledwie Ekskrementem. Ile trzeba odwagi, żeby tak postawić sprawę – nie jesteś na tyle ważny i potężny, żeby przeciwko tobie wypowiadać Wojnę. Potraktowano cię zwyczajnym zwałowiskiem śmieci, kloaką dogorywającej fizjologii albo wysypiskiem przedawnionych technologii. To ogromny śmietnik, na który z Industrialno–Urbanistycznego Masywu transportery zwożą śmiecie, żeby pogrzebać ostatni skrawek ziemi... Śmietnik lub sam Masyw – na jedno wychodzi...

– Co chcesz przez to powiedzieć? – gniewnie przerwał mu Stinson. – Obojętnie, jaka rangę przypiszemy zjawisku w skali niewiadomego świata, jeśli jego margines potrafi nas zmieścić z powierzchni ziemi.

– Zapytaj szczurów – powiedział Jonas. – Jakie to dla nich miało znaczenie.

Stinson, przed chwilą sprawiający wrażenie zobojętniałego, nagle aż poczerwieniał na twarzy.

– Nie jesteśmy skurwysynami! – wycodzi

– Można szukać szansy Dawida – spokojnie powiedział Jonas. – Można pozostać w miejscu i próbować walczyć. Tylko jak zabić Goliata, jak trafić mu w czoło, którego nie widać? Tymczasem wszystkich nas, jak szczury chroniące się pod ziemią, wytruwa sam jego cuchnący oddech, zbija z nóg jego czkawka i topimy się w jego ekskrementach, zanim jeszcze on sam zjawił się w pełni majestatu...

– Czego chcesz?! – wychrypiął Stinson. – Mamy, jak skurwysyny, dać się ogarnąć?!

– Homeostaza śmietnika to też sposób na przetrwanie – podchwycił Jonas. – Być może – jedyny. Żle nie wyszli na tym. Industrialno–Urbanistyczny Masyw powinien był ich zniszczyć. Jednak oni istnieją – wy dogorywacie. Nauczyć się żyć w gnoju i w pleśni, w odchodach jestestwa nadistoty, aż ona – niebotyczna – we własne gówno wdepnie po gardło, aż jej zwiąże nogi i ręce przylepi do boków – wtedy uderzyć. Mocno. W miękkie, bezbronne podgardle Goliata. Zagłębić w to zęby. Dlaczego koniecznie, dla zachowania honoru, należy kruszyć broń o pancerne nagolenniki i żelazne obcasy? Własny was wchłonał śmietnik! Teraz nauczcie się żyć we własnych odchodach. O tam! Patrz! To pusta nisza ekologiczna, która czekała na swojego gospodarza i władcę! Pod waszą nieobecność na tym stolcu przysiadły skurwysyny... Oni mieli cierpliwość. Czekali tysiące lat. Jak pierwsze ssaki W cieniu dinozaurów.

Wokół nich trwał świat zarazem chrupki i grząski, przenikliwy dla węchu i wzroku, oporny wobec świadomości wzdrygającej się przed czymś, co – kobiecą aż różowością, z szyderstwem w chytrych ślepiach – szcuzym truchtem przemyka w półmroku.

– Zgaś to! – jęknął Stinson.

Spoza tego świata wyłonił się cień ogromnej ręki, wszystko zgarnął do piersi. Pod rozpostartymi palcami Bio–Łączą obraz skreślił się gwałtowną implozją – już poza Stinsonem i Jonaszem. Chwilkę jeszcze coś srebrnołuskiego trzepotało rozpaczliwie, aż zgasło zduszone w palcach.

– Ktoś z nas jest również po tamtej stronie – głuchym głosem odezwał się Stinson. – Słyszałeś o genomutach? Życzysz nam tego samego?

– Swego czasu Mechaneurystyczna Klinika Księżyca przedstawiła własną hipotezę, próbującą wyjaśnić to, co się stało na Ziemi. Bardzo to was wtedy zabolalo – powiedział Jonas. – Pamiętasz jeszcze?

– Piękna hipoteza – skrzywił się Stinson. – Przy okazji motywująca rasową wyższość Megaloxanthy.

– A więc pamiętasz. Megalomania Megaloxanthy to był koronny argument przeciwko pierwszej próbie nowej interpretacji Inwazji – powiedział Jonas. – Tymczasem problem postawiono jasno: czy Ewolucja może być odbierana jako Agresja? Mechanizmy ewolucji są zwykle nazbyt rozpisane w czasie, aby dawały się rejestrować przez jedno pokolenie. Jednak wyobraźmy sobie, że następuje gwałtowna kumulacja zjawisk stanowiących zwykle siłę napędową ewolucji. Wewnątrz Industrialno–Urbanistycznego Masywu została zduszona przeważająca liczba dominujących gatunków roślin i zwierząt, lecz, tak naprawdę, niewiele to uszczupliło biomasę Ziemi. Biosfera nadrobiła ubytki na rzecz niższych organizmów. Na tym ogromnym cmentarzysku ocknęły się gatunki zepchnięte w cień przez inne grupy. Tak samo przecież dominujące w zaraniu ery mezozoicznej małe, aktywne gady lądowe –

Therapsida, przechodziły regresję trwającą aż sto milionów lat w cieniu wspaniałych dinozaurów. A jednak ssaki, potomkowie Therapsida, w ostateczności zawładnęły Ziemią i wydały z siebie człowieka, pierwszą istotę rozumną.

– Nie ostatnią, jak mam się domyślać – wtrącił Stinson.

– Wychodząc w kosmiczną przestrzeń i równolegle diametralnie przebudowując dotychczasowe środowisko, człowiek, jako gatunek, musiał dokonać radiacji adaptatywnej. Stąd pojawił się Megaloxantha i – cokolwiek o nich sądzisz – rasa genomutów w starym środowisku.

– Degeneratów – powiedział Stinson.

– Nic o nich nie wiemy – zwrócił uwagę Jonas. – Praktycznie pozostały po nich tylko legendy, jeszcze z czasów, kiedy między Enklawami kursowały Konwoje. Dziwi mnie jednak wasza nienawiść. Utrzymujecie kontakty z Megaloxantha, który jest hodowany przez Klinikę – Matkę, jak to lubicie określać – w biurze konstrukcyjnym Mechaneurystyki; natomiast odrzuca was na samą myśl o znacznie wam bliższych genomutach, których wywiedliście z samych siebie dzięki eksperymentom inżynierii genetycznej.

– Dziwisz się? – zapytał Stinson. – Dla ludzi skrwawiony trup człowieka zawsze stanowił widok bardziej wstrząsający niż zrąbane drzewo, choćby nie wiem jak ociekało swoją żywicą.

Jonas zastanowił się. A jednak ten stary Stinson też miewa rację, pomyślał.

– Na co innego chciałem zwrócić uwagę – powiedział głośno. – W tak zmienionym świecie jedynie właściwy gatunek homo sapiens nie poddał się zmianom ewolucji biologicznej ani też, w całości, nie dokonał na sobie zabiegu adaptacyjnego za pomocą inżynierii genetycznej. Tymczasem w kazamatach Industrialno–Urbanistycznego Masywu, w wielopoziomowej parenchymie, jaka otuliła ogryzek planety, powstała gigantyczna nisza ekologiczna. Wojna o jej zasiedlenie trwała zapewne dłużej, niż przypuszczamy. Ludzie ocknęli się, kiedy i po ich stronie zaczęły padać trupy. Odtąd datuje się Inwazję. Trudno stwierdzić, co zadecydowało o tak gwałtownym wkroczeniu nowych gatunków na arenę niszy ekologicznej Masywu. Pamiętajmy, że pierwotne naturalne środowisko Ziemi było jednak bardziej stabilne od tego, jakie stworzyła Cywilizacja. Oczywiście – klimat miewał kaprysy, procesy łądotwórcze nie szczędziły katastrof, globalnie jednak istniała pewna równowaga, dająca gatunkom czas na ewolucyjne dopasowanie się do nowego środowiska. Może więc wielkie mutacje, które nie pełniły znaczącej roli w procesach klasycznie pojmowanej Ewolucji, przyspieszające letalność dotychczasowych biomów, okazały się jedyną szansą na przystosowanie do gwałtownych zmian środowiska. Może doszły do głosu gatunki zachowujące znaczną częstotliwość populacyjną, charakterystyczną dla form pierwotnych, co zniwelowało względną efektywność wydawania potomstwa

już istniejących wyższych roślin i zwierząt – wykluczonych przez tę samą zmienność środowiska. W tym przypadku ważną okolicznością jest bezprecedensowe zwiększenie objętości ekosfery, dawniej ograniczonej do cienkiej warstwy w górnych partiach zbiorników wodnych i do powierzchni ziemi, teraz dysponującej kilkukilometrową tkanką Masywu. Jeszcze większe prawdopodobieństwo na pojawienie się nowych gatunków miałyby wykorzystanie przez nowy biom specjacji przez poliploidalność. Może wreszcie sam człowiek w swoich laboratoriach, dzięki inżynierii genetycznej, spuścił ze smyczy nowe mikroorganizmy, rośliny i zwierzęta, potrafiące rozmnażać się lawinowo, a przy okazji pewne cechy genetyczne, dotąd nie spotykane, przenosić na inne organizmy żywe. Cokolwiek decydowało – powstał zaiste piorunujący koktajl. Do tego stopnia dynamiczny, że nawet nowoczesna technologia, pchająca do przodu Cywilizację, nie potrafiła zrekompensować tej dynamiki. Cóż więc gatunek człowieka obserwuje ze swoich statycznych pozycji? Sprawa wygląda podejrzanie. Zabawmy się personifikacją dinozaurów. Gdyby tak ścieśnić skalę czasu określającego ich wzlot i upadek – coź by pomyślały ostatnie diplodoki, utajone w samotnej lagunie? Przed niewielu laty należała do nich cała planeta, zostało bajorko – jak kopuła waszej Enklawy. Tylko co byli gatunkiem eksponowanym w kolekcji ziemskiej biosfery, nagle pod nogami zaczynają panoszyć się ssaki. – Może są doskonalsze od nas? Absurd! Jak więc taki drobiazg odważył się zamachnąć na Królestwo Dinozaurów? Może to nasłani mordercy? Ktoś ich pewnie podburzył. Teraz zdalnie steruje. Ktoś stokroć potężniejszy, kto jeszcze trzyma się w cieniu, lecz przeciw nam – Tarbosaurusom i Tyranozaurom – nasłął tę zgraję. Tyle dinozaury. Tak wy patrzycie na wasze Kostriopiany, Rojniki Arrheniusa, Przezierniki Żłotokapy i inne szaleje. Tymczasem ledwie nasze dinozaury wymyślą kolejny środek albo metodę ssakobójczą, nim rozprawią się z jednym gryzoniem podżerającym niskopienną roślinność, już objawia się nowy gatunek, coraz lepiej przystosowany do podżerania i lepiej uodporniony na sterylizacyjne chwytły. Więc znowu do Laboratorium. I tak na każdym poziomie. I w nieskończoność. Jakby ktoś otworzył puszkę Pandory. Ktoś musiał to zaplanować. Ktoś, zamiast musztrować technologię, produkuje wściekłe żywe maszyny do zabijania. Tylko gdzie Generał, gdzie Sztab strony przeciwnej? Gdzie społeczno – polityczne podłoże Inwazji? W kosmicznych krążownikach zamienionych w bunkry? Po prostu Ewolucja, profesorze Stinson! A przynajmniej to, co pod tym pojęciem rozumiemy dzisiaj – Ewolucja na miarę świata, który stworzyliśmy! Wreszcie za nami nadążyła. Wreszcie dotrzymuje kroku Rozumowi! Nieprawdopodobne! Tylko i jedynie Ewolucja, rozumiana jako Inwazja jednego gatunku przeciw drugiemu albo wszystkich przeciw dominującemu!

Jonas umilkł, sam najbardziej zdumiony, że zdobył się na taki wykład. Jakby szlifował własny manifest na spotkanie z głównym Agitatorem tej Enklawy.



Stinson skinął głową.

– Tyle teorii Mechaneurystycznej Kliniki Księżycy – podsumował nie bez ironii.  
– Wynika z tego niedwuznacznie, że gatunek homo sapiens wyeksploatował wszystkie możliwości rozwojowe i tylko blokuje nowe formy. A właściwie – jeszcze lepiej! Nie blokuje, lecz sam kuje, hartuje, ostrzy brzytwę na własne gardło! Homo sapiens to ślepy zaułek. Tu sprytnie zwalnia się miejsce dla dzieci Seleny. Megaloxantha jako wyższy szczebel rozwoju.

Jonas usłyszał nutę, jakiej nigdy dotąd nie było w głosie Stinsona.

– My jesteśmy tam – powiedział Jonas i palcem tknął sufit. – To tutaj, na planecie, coś się zmienia.

– Oczyszcza się teren przed właściwym desantem – powiedział Stinson. – Swoiste przygotowanie artyleryjskie.

– Przed czym znowu desantem? – zdziwił się Jonas.

– Mechaneurystycznej Kliniki Księżycy.

Jonas długo wpatrywał się w starą, wymizerowaną twarz Stinsona. Odchodzące pokolenie.

– Więc my, to pierwszy zwiad? – zapytał. – Rozpoznanie terenu? A ty jak radzisz – już nadszedł czas exodusu Megaloxanthy ze starej skorupy Księżycy?

– Hipoteza równie dobra, jak ta o Ewolucji pojmowanej jako Inwazja – odparł Stinson.

– Widzę, że się nie rozumiemy – powiedział Jonas. Podniósł się ze swojego siedziska i odstał do drzwi.

– Brak wspólnego języka. Chociaż tam trwa cisza przed Ostatnią Bitwą. Czy to nie paradoks ludzkiego umysłu, że jednostki osiągają świadomość pewnych zjawisk dopiero wtedy, gdy przestaje to mieć znaczenie dla społeczeństwa?

– Słusznie podkreślasz paradoks ludzkiego umysłu – zauważył Stinson. – W twojej teorii Ewolucji – Agresji jest jedno słabe miejsce. Jakiś gatunek wypadł poza główny nurt ewolucji – zgoda. Jesteśmy ślepą uliczką. Kulą u nogi. Cała biosfera nas zwalcza. Niech im – jesteśmy kostyczni, nie rokujemy nadziei. Filozofia nasza, religia, etyka, ustroje – niereformowalne... A przecież to, że na tej planecie kreowani zostaliśmy na gatunek wiodący, zawdzięczamy Rozumowi. Jak jest z tym rozumem? Pokonać nas mogą drobnoustroje – owszem. Ale ktokolwiek czy cokolwiek po nas nastanie, winno rozporządzać czymś wszechstronniejszym niż Rozum. Czymś bardziej plastycznym w pojmowaniu Wszechświata. Zgadza się? Cóż to takiego, co wobec Natury siłą przebicia przewyższa Rozum?

Jonas długo milczał przy samych drzwiach.

– Teraz rozumiem – powiedział wreszcie. – Rozumiem, dlaczego to musi być Inwazja. Według was rozum posiada najwyższą rangę we Wszechświecie. Ginie tylko

w pojedynku z wyższym rozumem. Brak innych możliwości. Umieracie więc w bohaterskim oporze przeciwko czemuś, co jest bardziej rozumne od was. Wszystko inne byłoby waszym poniżeniem. Będziecie więc walczyć do końca. Tego wymaga honor rasy posiadającej ROZUM unikalny w całym wszechświecie.

– Bądź konsekwentny – uśmiechnął się Stinson. – Lubisz formułować hipotezy będące kontrmożliwością teorii Inwazji, a wszystko po to, żebyśmy wyobrazili sobie coś, co przerasta nasze założenia. Żądam dowodu, że i pod tym względem jesteś konsekwentny – daj mi przynajmniej alternatywę rozumu. Szkic, mglisty zarys, jeśli nie ostateczną ideę.

– Mówisz jak zwierzę, które zapragnęło poznać, co jest ponad sferą instynktów – powiedział Jonas. – W minionych wiekach kultura człowieka stworzyła wspaniałe dzieła sztuki, często będące ukoronowaniem całych epok twórczej pracy najgenialniejszych myślicieli i artystów, jakich wydał ród ludzki. Czy to, co wspaniałe musi trwać wiecznie? Przychodzą okresy zastoju, jeśli nie ciemności. I znów coś się rodzi – jakże inne od wygasłego ogniska, jakie rozgrzewało umysły minionych pokoleń. Mówisz alternatywa rozumu? W księdze pamięci Ewolucji przypadek homo sapiens może zapisać się tą samą wyjątkowością, jak poszczególne arcydzieła wymarłych kultur całej cywilizacji człowieka. Kwiat zakwitający u schyłku jednego istnienia i na progu nowego bytu. Jak era dinozaurów. Z drugiej strony... nic nie przemija bez śladu, jeśli nie broni się przed współistnieniem. Instynkty zwierzęcia przetrwały w koincydencji z rozumem. Tak samo rozum, aby przetrwać, musi znaleźć receptę na współistnienie z samą Ewolucją. W przeciwnym razie pozostanie diplouokiem, zamiast w postaci jaszczura odkryć szansę ptaka.

Jonas wykonał ruch, przy którym drzwi otworzyły się same. On jednak wahał się jeszcze.

– Zrozum, Stinson, ja też jestem bezradny – powiedział od progu. – Nie twierdzę, że w tym, o czym dzisiaj rozmawialiśmy, zawiera się cała prawda. Z pewnością gdzieś tkwi ziarno, tylko prawdopodobieństwo jego wyłuskania jest ciągle zbyt małe. Trzeba mu pomóc. Załatwię mobil. Potem może coś większego. Mam zamiar zebrać brakujące dane...

– Co chcesz zrobić?

– Opuść THARSYS, ale wróć na pewno, musimy dokończyć tę rozmowę.

– Oszalałeś! Jonas...

– Słusznie – zgodził się Jonas. – Pamiętasz tamto powiedzenie: „Szaleństwo, to klucz do przyszłości”? Ten człowiek ma głowę na karku... Wiesz, o co mi chodzi? Cokolwiek jest ponad Rozumem, dla nas zawsze będzie tylko Szaleństwem! Lecz my ciągle oddajemy hołd rozumowi... Jeszcze się nad czymś zastanów Stinson, do tego powinno wystarczyć rozumu: dlaczego w waszej Bitwie nie giną Bio-Łączka?

Stinson sprawiał wrażenie gwałtownie czymś poruszonego.

– A jednak to prawda – powiedział Jonas. – Jeśli ginie, to tak, jak w przypadku Bio-Łącza z grupy Rzeźników Miasoffa – zniszczone przez Sprzężenie Zwrotne. Nigdy klasyczne tryby Inwazji nie uczyniły szkody żadnemu Bio-Łączu. Trudno też wytłumaczyć, dlaczego, tak naprawdę, Inwazja ominęła Księżyc. Poza tym... Sami sobie założyliście tutaj ustrój kładący wam na szyje pętle informacyjnych ograniczeń, bezwzględnie respektowane Stopnie Wtajemniczenia... Ciekaw jestem czy profesor Stinson wie, na przykład, że istnieją ludzie, których nie ma się to, co was postawiło nad krawędzią mogiły bez dna. Tam, Stinson, za mleczną kopułą waszego bunkra żyją koczownicy niejakiego Makonde. Coś ci to mówi? Ten człowiek stąd, z THARSYS, wyprowadził swoją Arkę. Co prawda każda istota w tym świecie nie potrafi obejść się bez wojny, więc i oni toczą swoją; tylko nie ma to nic wspólnego z waszą Ostatnią Bitwą... Gdyż oni rodzą się! Rozumiesz, Stinson? Walczą, umierają i znowu się rodzą...

Przez chwilę Jonas przyglądał się zmiętej twarzy Stinsona.

– Może nie trzeba szukać alternatywy rozumu, żeby znaleźć alternatywę istnienia? – zapytał już przez ramię. – Chodźmy Janko.

Drzwi się za nimi zamknęły. Za białą śluzą pozostał Stinson – nieruchomy, ponury, zmęczony, jakby po raz pierwszy – chcąc spojrzeć dalej – natknął się wzrokiem na mleczny puklerz kopuły-bunkra, ostatniej twierdzy pośród upadłych Enklaw.

## 18. BRATERSTWO BRONI

Tym razem coś wreszcie dotarło do porucznika Kolczynskiego. Zachwiał się na swojej skrzynce, jedną ręką uchwycił najbliższy amortyzacyjny kokon, jakby mobil bez rozkazu ruszył z miejsca.

– Pierwszy Moduł – powiedział ledwie obracając językiem. – Nie powiem, żeby to było...

Wolną ręką uniósł butelkę i, zamiast ust, przyłożył oko do wylotu szyjki.

– A przynajmniej nie dla tych, którzy mają w kościach szarzę lekkiej kawalerii – powiedział z tępym uśmiechem. – Diabli nadali... I gdzie się taki ma podziąć? Ale na własny rachunek?

Jonas skinął głową.

– Macie rozeznanie w sytuacji? – zapytał porucznik. – Pęcherzyk powietrza. Plum! Mydlana bańka – jeszcze się nie odkleiła od dna... Na wierzchu Moduł CETI. Pływa, co mu. Niżej cztery kontrolowane poziomy, aż do fortów Greisena, który właśnie zespawał pierścień obrony okrężnej. Niżej Pierwsza Linia przebiega wzdłuż kilku poziomów stycznych ze Studnią. Ale to już spisane na straty. Może ocaleje pępowinka Studni prowadząca do Sztabu... Gówno prawda! I tak pięknie. Zostanie nam wniebowstąpienie. Trzy czwarte Endogenicznej Juanito już ściągają pod Tarczę Sztabu. Durnie zostali na wierzchu.

Kolczynski zachichotał. Jonas wymienił spojrzenie z Bio-Łączem.

– Po bokach trwa przepychanka – ciągnął Kolczynski. – Ostatni dał się nakryć Feretrius. Chociaż to nie powiedziane. Już na nim stawiano krzyżyk. Przedtem anieli żywcem zabrali Miasoffa do Najwyższego Empireum. Słyszeliście o tym? Stinson awansował na chrzestnego ojca. Poza tym Sticz i Talonhaltia...

– Można dopisać Spotlighta – powiedziało Bio-Łącze. Kolczynski zmierzył Janko niezbyt przytomnym spojrzeniem. Opuścił oczy. Znów uniósł. Raptem wzrok mu się wyostrzył, jakby zdołał nim przebić pierś Bio-Łącza i odczytał na plecach: „Zawsze do Twoich usług”.

– Zmrocznik? – zapytał.

– Zmrocznik – tym razem Janko nie ukrył zdziwienia.

Kolczynski zaśmiał się chrapliwie i popatrzył na swoje ręce.

– Spotlight, stary zbereźnik – powiedział. – Zbielał, a nie ruszył ze stołka... Co dla niego Sztabowy Wplesztz. Spotlight zawsze mawiał, że jemu pisany Zmrocznik.

Milczał chwilę.

– Stary zbereźnik – powtórzył. – Amy... Na każdego znajdzie się sposób... Ech! Żeby jak Spotlight, mieć swój sposób na śmierć. I tak, jak się żyło! A w międzyczasie

śmiać się w oczy białopyskiej! Nigdy o tym nie myślałeś, Jonas? Nie chciałym umrzeć w łóżku. Rozumiesz? Nic, żebym pragnął pięknej śmierci. Nie to, Jonas. Ale żeby coś w tym było... Bo ja wiem? Może trochę fantazji. Gdyby tak znaleźć sposób na śmierć, jeśli i tak trzeba oddać ducha...

Kolczinski siedział na skrzynce z napisem BUCCHERO Zupełnie jak w Sztapie. A jednak nie był to ten sam człowiek. Którego Jonas po raz pierwszy spotkał w Sztapie. I wcale nie dlatego, że się schlał. Poza tym coś w nim pękło, załamało się bezpowrotnie. Czasami jeszcze się prostował, jeszcze się w nim odzywał oficerski szlif, pewna wrodzona nawet elegancja. Tylko mundur zdawał się bardziej wyblakły czy przykurzony, taka sama twarz i ręce. A przede wszystkim mówił o śmierci.

– Tylko co może być pisane takiemu, jak ja? – z tym pytaniem Kolczinski nie zwracał się ani do siebie, ani do nikogo poza tym. – Bezprzydziałowy. Została mi ta dwukółka. Pojmujesz? Zatkąłem swoją *Cloaca Maxima*. Zrzuciłem bomby zaporowe i zostawiłem tam dwie setki przeniesionych do wiecznej rezerwy. To byli dobrzy żołnierze. I nie jakieś wściekłe Psy Empiru! Sumienie? Trochę mniej czy więcej trupów, cóż to ma dzisiaj za znaczenie. Oczywiście, mogłem ich wycofać wcześniej. Tylko to tak, jakbyś sam się wstrzymywał, kiedy po uszy tkwisz w gównie. Rozumiesz. Jonas? Nie rozumiesz. Śmierć nie jest konieczna. Wystarczy, o – tymi rękami raz naprawdę dotknąć gówna. Potem czujesz się właśnie taki... Żeby to była krew. Ale ty po łokcie wpadłeś w gówno... I nic nie znaczy, że ta kloaka jest pisana nam wszystkim... Cóż z tego. kiedy ty żyjesz i cuchniesz. I cały jesteś półtrup. I nikt nie musi ciebie zabijać. Nie dobije nawet Sprzężenie Zwrotne. Bo jesteś gównem. Nawet tego nie potrafisz, żeby wymyślić sposób, jak zdechnąć... To znacznie gorsze niż odejść jak Miasoff, Spotlight czy Sticz. Trup pada gęsto... Ale być gównem, tkwić w gównie i żyć...

Przygarbiony nagle się wyprostował i trzeźwym wzrokiem popatrzył na zaciśniętą w rękę butelkę. Zamachnął się i rzucił w stronę najdalszego amortyzacyjnego worka – trzynasty biały kokon w rzędzie po lewej stronie. Trafił prosto w futerał.

– Dobra – powiedział. – Są dwa kierunki. Można przebijać się z góry, od fortów Greisena. Szansę? Podobno jesteś szczęściarz, co Jonas? Po twoich kumplach ani słycho... No dobrze. Proponuję zwód – schodzimy do Tarczy Sztabu i liczymy na zaskoczenie.

Mobilem zakółsało. W otworze wjazdu ukazała się spocona twarz Iona Szałamaji.

– Od dołu? – skrzywił się. – Żebyśmy od wspinaczki nie nabawili się zadyszki.

Kolczinski obejrzał się.

– To załoga? – zapytał z niesmakiem.

– Sam miałem kombinować – powiedział Jonas. – Zabieram co popadnie.

– Chodzić to umie?

– Po co? – korpulentny Szałamaja klapnął na podłogę, jakby się pod nim nagle załamały rachityczne nóżki. – Masz swoją dwukólkę. Podwieszysz.

– Po jakie lichy taki się pakuje, kiedy nie ma zamiaru wystawiać nosa z muszelki?  
– Kolczinski wytrwale ignorował tłuściocha i zwracał się tylko do Jonasa.

– Jego sprawa – Jonas wzruszył ramionami.

– Potrzebuję czterech silnych ludzi – wtrącił Szałamaja.

– Zamiast nówek? – zapytał Kolczinski.

– Chciałbym zabrać pakunek – wyjaśnił Szałamaja. – Pięć na trzy i trzy metry.

Zmieści się w dwukółce?

– Cholera! – zaklął Kolczinski. – Kontener pieluszek? Może zamiast Bio-Łacza weźmiemy Informatyczny System? Ty, Jonas, zabrałeś ze sobą księżycowy kamyk na szczęście? Byle nie więcej niż trzydzieści ton.

Jonas pytająco popatrzył na grubaska. Ten spuścił wzrok, zakręcił młynka kciukami łapek splecionych na brzuchu i spod rzęs od dołu zerknął na Jonasa. Minę miał co najmniej wyrozumiałą.

– Niespodzianka – powiedział.

– Wie co robi – Jonas bezradnie popatrzył na Kolczinskiego. – Zmieścisz w bagażniku?

– Ile to waży? – spytał Kolczinski.

– Trzydzieści ton – z rozbijającą szczerością wyznał Szałamaja.

Kolczinski tylko jęknął.

– Czterech ludzi ma to ruszyć?

– Plus to... – Ion postukał się palcem w czoło.

– U niego w rodzinie wszyscy tego kalibru? – mimochodem zapytał Kolczinski. –

Gdzie masz ten złom?

– Poniżej CETI. Pierwszy poziom, na styku Ortodromy i pionu Studni. Będzie po drodze.

– Tu wszędzie po drodze – warknął Kolczinski. – A najbliżej do piekła.

Machnął ręką i zwrócił się do uchylonego włazu.

– Mażulis! – krzyknął.

Właz odskoczył natychmiast. Pewnie stojący za nim mężczyzna przypuszczał, że dowódca będzie chciał szybko splawić cywilów.

Chłop był olbrzymi, prawie wzrostu Megaloxanthy, przy tym przygarbiony, jakby cały czas na ramionach dźwigał ogromny ciężar. Od progu zmierzył wszystkich ponurym wzrokiem.

– Ilu masz ludzi? – zapytał porucznik.

Chłopisko obejrzało się na trójkę intruzów. Jakby się zdziwił, że ktoś jeszcze jest potrzebny, żeby to towarzystwo zapakować we wspólny kaftan bezpieczeństwa.

– Czterech – mruknął.

Jonas poczuł wzrok Kolczynskiego, na moment w jego oczach znowu coś siadło – z zalem popatrzył w tę stronę, gdzie poleciała butelka.

– Bierz czterech – powiedział. – Najpierw zapytaj, któremu do reszty zbrzydło.

Będą chętni – dobrze. Nie, to będzie ostatni rozkaz.

– Będą – basem zadudnił Mażulis. – Coś im wyjaśnić?

– Jak chcesz. Szykuje się wycieczka. Za Pierwszą Linie.

– Z panem porucznikiem? – I z tymi tutaj.

– Ich pomysły?

– Zgadłeś.

– Źle. Mogę się odmeldować?

– Idź. Przygotuj do drogi kolejne duszyczki – westchnął Kolczynski i dodał w zamyśleniu, kiedy włąz zatrzasnął się za olbrzymem: – Widziałeś, Jonas? Sądzisz, że łatwo wytracić dwie setki takich ludzi? Musiałbyś ich widzieć w ogniu.

– Gdyby u siebie byli tacy dobrzy, THARSYS nie miałyby skąd brać najemników – powiedział Jonas.

Kolczynski miał wystarczająco wisielczy humor, żeby tego nie brać do siebie. Uśmiechnął się.

– Co ty wiesz – powiedział cicho i zachwiał się znowu na swoim BUCCHERO. – Kochasz swoją Selenę? A jesteś tutaj. Bo taki dostałeś rozkaz. Naprawdę jednak wolny czujesz się tylko tam, na swoim kawałku pumeksu... Masz szczęście, że nas tutaj, na ziemskim padole zatchnęło własnym gównem i na tyle trąciło po grzbiecie, że brak czasu, ochoty i możliwości zainteresowania się tym, co wyprawia Mechaneurystyczna... W przeciwnym razie wolność sumienia odgrzewałbyś przy Betelgeuze albo skorzystał z domu byle dziwki w Warkoczu Bereniki.

– Szczęśliwym trafem Ziemia sama zadbała o zajęcie dla Endogenicznej – powiedział Jonas. – Trudno z grobu zagrozić Selenie.

– Poczekaj! – roześmiał się Kolczynski. – Każdy na własny sposób unowocześnia artylerię. Jeśli nie poszłicie w smak kosmitom, to bądź pewien, że skurwysyny są mniej wybredne. Tfu! Czort z nimi!

Zastanowił się chwilę.

– Czort ze wszystkimi! – powiedział. – Podsumujmy: ty, Bio-Łącze i ten bagaż ze swoim bagażem. Poza tym ja, Mażulis i jeszcze czwórka. Żadna hekatomba, ale w sam raz, żeby ulżyć jakiemuś Zmrocznikowi.

Znowu odsunął się włąz. Tym razem Mażulis wetknął do środka tylko kudłata głowę.

– Gotowe – powiedział.

– Gdzie ich masz?

– Na stanowiskach.

– Nie mówiłem? – Kolczinski wyzywająco spojrział na Jonasa. – Dobrze. Teraz to sadło weź do sterówki. Niech pokazuje drogę. Ma coś do zabrania z Pierwszego Poziomu. Potem w Studnię i siadać na czółku Sztabu. Dalej poprowadzę.

Ion Szałamaja postanowił zadziwić Kolczinskiego, gdyż niespodziewanie zręcznie przetoczył się do włazu i zniknął razem z olbrzymem patrzącym na niego z góry. Cień uśmiechu pojawił się w ponurej twarzy Mażulisa.

Zakołysało nimi. Znowu przez moment nieważkość ogarnęła Jonasa. Kolczinski omal nie zleciał ze swojej skrzynki. Światło przygasło i poczerwieniało. Jonas pomyślał, że wyglądają teraz jak żywcem pochłonięci przez różowy kisiel Tarczy Sztabu. Tylko transporter jeszcze połyka przestrzeń, a tam wszystko zastygło na wieki. Zresztą – może i tamten świat tylko wobec postronnych obserwatorów trwa w bezruchu, każdym ułamkiem jednakowo uciekający w podczerwień. W rzeczy samej – jakby i tamto był Mobil Grobów Pożądania, który z jednego czasu w drugi przewozi mieszkańców swojej Enklawy.

Na moment przestało kołysać. Gdzieś odezwał się głos Szałamaji. Cały mobil drgnął – pewnie opuściła się pochylnia ładowni. Zadudniły czyjeś kroki. Słychać było przekomarzanie Szałamaji z Mażulisem. Mobil stęknął. Jakby ręciovą kulę spłaszczyło w przysiadzie. Ktoś zaklął bez przekonania. Zachichotał pewnie Szałamaja. Szerzej odskoczył właz i czyjeś silne ramiona po prostu wrzuciły Szałamaję do kabiny załogi. Grubasek zamachał w powietrzu reliktowymi odnóżami i klapnął na siedzenie. Za nim wskoczyło jeszcze trzech ludzi Mażulisa.

– Kamień u szyi – mruknął Kolczinski. – Można w Studnię.

Ion Szałamaja z zadowoleniem zatarł rękę.

– Umów się z Maggi – zaproponował Kolczinskiemu. – Co z kręgosłupa, to i z serca.

Nikt się nie roześmiał. Tylko porucznik jakoś krzywo popatrzył na grubasa. Dopiero teraz Jonas stwierdził, że Kolczinski ma oczy równie błękitne, a jeszcze bardziej wyblakłe od oczu Bio-Łącza.

Nie zauważyli momentu przejścia mobila z Poziomu w Studnię. Nieważkość pojawiała się stopniowo. Jonas i Bio-Łącze zdążyli przytrzymać się za wiązania amortyzacyjnych gniazd. Żołnierze tkwili w nich po szyję zgodnie z regulaminem. Tylko Szałamaja wykonał płynne salto przez plecy i masywnym zadem przypasał w podłogę dokładnie wtedy, kiedy było po wszystkim. Aż mu się gęba rozplynęła w uśmiechu. Z zadowolenia ruszył wąsami.

Mażulis wychylił głowę ze sterówki i poprosił do siebie Kolczinskiego. Chwilę naradzali się. Wreszcie porucznik obejrzał się na Jonasa.

– Żle – powiedział. – Chcesz zobaczyć?



– Co się stało? – zaciekał się Ion.

Pilot zwolnił blokadę pochylni dla piechoty i w tyle kabiny odchyliła się i na zewnątrz odpadła jedna z pancernych łusek poszycia. Najpierw zobaczyli ciężki, szary strop.

Jonas ruszył za Kolczynskim. Wystarczyło kilka kroków, żeby w dole dostrzec zaróżowioną powierzchnię Tarczy Sztabu. Kolczynski nawet zstąpił kilka kroków po pomoście. Jonas zatrzymał się nieco wyżej, za jego plecami. Obok łokcia przetknął mu głowę Szalამaja. Z żołnierzy żaden się nie ruszył. Mażulis miał pewnie wystarczający przegląd przez peryskop sterówki.

To, co zobaczyli, z pewnością nie sprawiało wrażenia taktycznego przegrupowania sił. Raczej ostateczna ewakuacja. Wysoki strop jakby zszarzał od czasu, kiedy Jonas z Bio-Łączem przysiedli pod nim w ciszy i spokoju. Z jednej strony podnosiło się wiśniowe zarzewie, jakby rozżarzona plomba stygła w miejscu niedawnego wyłomu. Ta sama łąkowa pieczęć, która przystemplowała lazaret. Pewnie i tutaj zdołano odeprzeć kolejny desant. Teraz stamtąd wionęło gorącym i słodkawą spalenizną, jakby zapiekłej pleśni. Ciemne i powolne smugi dymu snuły się pod sklepieniem kamiennego nieba, nie znajdowały ujścia, więc kładły się powoli, w miarę ochładzania, żeby u podstawy sklepienia spłynąć – być może – przez wyloty tuneli prowadzących w zewnętrzny labirynt – cokolwiek jeszcze się nie zasklepiło nad płytą Grobów Pożądania.

Twarze ludzi, które zwróciły się ku nim, też były jak przykurzone. Nie popiół, lecz obojętność i zmęczenie wyzierające z oczu żołnierzy Endogenicznej. Musiały ich być tysiące – rozłożonych ogromnym obozowiskiem. Jak okiem sięgnąć srebrzyły się garby mobil. Między nimi ludzie siedzieli na gołej ziemi. Miejskami trwali z rękami oplecionymi wokół kolan i pochylonymi głowami, to znów leżeli na wznak ze wzrokiem utkwionym w szary strop. Niewielu wpatrywało się w głębię różowego fundamentu Enklawy. Jeszcze mniej zwróciło uwagę na ostatni może mobil, jaki dobił do dna THARSYS. Jonas usłyszał za sobą głucho westchnienie. Dopiero teraz dostrzegł, że ludzi rozłożonych w pozornej rozsypce przedzielają jednak długie i proste, puste przejścia. Wewnętrznie nastąpił już całkowity rozkład, tylko te puste pasy postronnemu widzowi unaoczniły podział Armii na jednostki.

Nie to poruszyło Jonasa.

Między grupami ludzi przechadzały się postacie w czarnych pelerynach.

Żołnierze Endogenicznej spoczywali z odkrytymi głowami, niektórzy pozdejmowali szklane hełmy żeby na nich przysiąść. Tylko te postacie nie opuściły masek osłaniających pół twarzy. Kroczyli powoli, zdawało się – bez celu. Co pewien czas któryś zatrzymywał się jednak i wyciągał ramię. Wskazany żołnierz podnosił się jakoś ospale. Następnie między towarzyszami przeciskał się ze zwieszoną głową,

docierał do wolnego przejścia i łączył do takich, jak on, wybrańców. Schodzili ze wszystkich stron. W najszerszym korytarzu beładne grupy obierały wspólny kierunek marszu. Ten sam ruch formował ich w dwuszereg. Rzadko który podnosił głowę, żeby się obejrzeć. Powolną defiladą zmierzali w głąb siniejącej przestrzeni. Tam coraz szerzej rozstępowały się lustrzane głązy transporterów. Za nimi kordon ciemnych postaci otaczał krąg płaskiej mgły, od spodu podświetlonej różowo. Może to było tylko złudzenie, lecz trochę za wcześnie dwuszereg w perspektywie zbiegał się w nitkę punktów nie docierających do horyzontu. Jonas wyteżył wzrok. Różowa poświata ogarniała idących najpierw po kostki, do kolan; wreszcie brodzili w różowej płyciźnie, zanurzali się coraz głębiej, aż nad ich głowami zwierzała się szklana powierzchnia – bez jednego drgnięcia, bez zafalowania, jakby po równej pochylni schodzili w dopełnienie Grobów Pożądania. Tyle wybrańcy. Ktoś musi zostać na przedpolu.

Kolczinski podniósł głowę i zajął Jonasowi w oczy. Jeszcze wzrok miał przekrwiony, ale wytrzeźwiał zupełnie. Teraz twarz miał równie szarą, jak tamci w dole. Jakby nadworny krojczy Endogenicznej zadbał również o standardowe umundurowanie twarzy – pusty wzrok, szara barwa ochronna – na miarę Epoki IUM – beton i popiół.

Jonas położył mu dłoń na ramieniu i kazał patrzeć dalej.

Działo się tam coś jeszcze. Poruszenie ogarnęło siedzących. Przed chwilą otepiali zaczęli się podnosić i szmer szedł im nad głowami. Tam, dokąd kierowali wzrok, spoza najdalszej linii transporterów wyłonił się kolejny milczący pochód. Na czele postępowało pięciu żołnierzy w pełnym rynsztunku, z krótkimi karabinkami – każdy złożony na prawe przedramię, z tornistrami na plecach, jakby tam, skąd przychodzili, nie wystarczyły filtry i trzeba było ze sobą taszczyć butle tlenowe. Żaden też nie zdjął szklanego hełmu. W dziwnie zmatowiałych kulach ledwo dostrzegało się cień twarzy. Niepodobna było określić insygniów na ramionach, bodaj z barwy skafandra wydedukować rodzaj jednostki. Od ramion pokrywały ich ciemne nacieki i oleiste, ciemnym granatem połyskujące plamy. Szli równym krokiem, poza chwilami zrywów, kiedy trzeba było dostosować się do nieskoordynowanego postępowania reszty kolumny. Poza tą piątką posuwało się jeszcze kilku, wyraźnie podtrzymujących człowieka, który im leciał przez ręce, to znów wszystkimi rzucał na boki. Łatwo mu to przychodziło – zataczali się prawie bezwolnie, potykali, następny szereg wpadał na nich od tyłu – też jakby nie dostrzegał tych z przodu. Im dalej Jonas przesuwiał wzrok, tym mniej rozumiał. To już nie byli ludzie – dziwaczne, skurczone sylwetki, matowe kule hełmów i pomarszczone, jakby z ciałem zlepione skafandry. Ciała coraz bardziej zgarbione, powykęcane w stawach. A każdy jedno ramię wyciągał do przodu i kładł na ramieniu poprzednika, po czym nurkował raczej, niż postępował krok do przodu.

Tak się włókł ten kondukt ślepców, jakby ich ktoś zgniótł w olbrzymiej garści, po czym każdego rozprostowywał osobno; zgodnie z mizernym znawstwem anatomii i z coraz większym znudzeniem lepił jako takie zarysy ludzkich kształtów.

Tylko prowadzony za pierwszym szeregiem był bez hełmu. Jeden na stu. Głowa zwisała mu między szklanymi zębami tkwiącymi jeszcze w złotej obroży kołnierza. Podbródkiem musiał haczyć o krawędź stłuczenia przebiegającą poniżej gardła. Całą pierś miał ochlapaną krwią. Czarne sople kapały na uda. Ten człowiek miał zupełnie białe, długie włosy, które strąkami zwisały od karku na twarz, kiedy słaniał się głową do przodu, złamany we dwoje. Właściwie widać było tylko ten pęk włosów, jakby ktoś rozbity hełm po prostu zakneblował białą szmatą. Teraz dopiero Jonas zrozumiał, że ludzie towarzyszący temu człowiekowi trzymają go za wykręcone do tyłu ramiona, omal ich nie wyłamując ze stawów.

Żołnierze Endogenicznej ustępowali im z drogi, a oni zdawali się niczego nie zauważać przed sobą, jakby poruszali się w absolutnej pustce, ciszy i ciemności. Niesamowity kondukt przechodził na wprost Jonasa i Kolczinskiego, niby defilada przed ich trybuną honorową. Nagle, jak spod ziemi, przed pierwszą piątką wyrosła tyraliera czarnych peleryn.

Pierwszy szereg postępował dalej, aż żołnierze pierś w pierś starli się ze Sprzężeniem Zwrotnym. Zatrzymali się dopiero teraz, jeszcze niezdecydowani. Któryś wyciągnął rękę i zaczął nią szperać przed sobą. Następne szeregi wpadały jeden na drugi i zatrzymywały się stopniowo. Chwilę tak trwali, aż zaczęli się garnać do siebie. Tylko prowadzony szarpnął się znowu, zamiótł białą grzywą i uniósł głowę.

Białe strąki osłaniały czoło. Dopiero gdy zupełnie zadarł głowę osunęły się na uszy i odsłoniły straszną twarz – czerwoną plamę z ziejącymi ciemnością wnękami zamiast oczu, niżej podciętą jeszcze czerwieńszą pręgą, jakby białowłosemu ślepcowi od gardła na pierś spływała szkarłatna broda.

– O Boże! – jęknął Kolczinski.

Białowłosy drgnął, jakby ten jęk dosłyszał w panującej dokoła grobowej ciszy. Jeszcze mu się twarz skurczyła, usta do dziąseł obnażyły rząd białych, lśniących zębów. Nozdrza mu przy tym zadrgały – sam skamieniał. Nie tyle nasłuchiwał, co węszył.

Jonas wpatrywał się w tę twarz czerwoną, chropowatą jak szyszka nastroszona łuszczyką naskórka. Im dłużej patrzył, tym mniej rozumiał, aż poczuł, jak straszliwy granat eksploduje w jego własnej piersi.

– Feretrius! – krzyknął.

W jednej chwili coś szarpnęło ludźmi otaczającymi białowłosego. Niesamowity śmiech przeszył powietrze. Raptem dwa ramiona strzeliły nad ślepe hełmy. Ktoś upadł. Pęk szeregu postaci w czarnych pelerynach. Zadawało się – wicher ich roztrącił

z nieprawdopodobną siłą. Ktoś skoczył do przodu, z kocią zręcznością wyminął wszystkie przeszkody na drodze i w kilku susach dotarł do mobila Jonasa. Białowłosa prawie zbił z nóg Kolczynskiego i znurkował pod ramieniem Jonasa. Za nim już zafurkotała ciemna płachta. Coś jeszcze przysiadło na wprost pochylni. Dwunogie, dwurękie, ze skórzanym kagańcem naciągniętym na pysk. Jonas postąpił w bok i zobaczył rozdętą lufę skierowaną prosto w swoją pierś.

Powyżej maski patrzyły na niego dwa nakłucia igłą na ocznych gałkach. Nic poza oczami – jakby cokolwiek można było zapamiętać z tej twarzy; choćby zedrzyć maskę.

Za plecami Jonas słyszał posapywanie Iona Szałamaji.

Powietrze dokoła zamigotało i odezwał się cieniutki śpiew pola elektromagnetycznego w rtęciowym panczeru. Mobilem zakołysało.

Wycofał się z wyciągniętym do przodu ramieniem, jakby rozpostartą dłonią potrafił powstrzymać Sprzężenie Zwrotne. Pomost powoli unosił się pod nim. Wreszcie widział tylko tamte oczy – nie po raz pierwszy i pewnie nie ostatni. Popatrzyły na niego z drwiną.

Łuska pochylni szczelnie dopełniła pancierz. Światło poczerwieniało. Jonas rękami chwycił się nylonowej siatki i tak stał z czołem wspartym o chłodny metal ściany. Stał z zamkniętymi oczami, za sobą słyszał czyjś chrapliwy oddech, kaszel Bio-Łączza i łkanie Kolczynskiego.

## 19. ŚLEPY TOR

To, co zostało z mobila, spoczywało pod pionową, metaliczną skarżą. Lustrzane płyty poszycia poodwijały się na zewnątrz, częściowo zwisały na szklanych wręgach. Zamiast rtęciowych sopli na ziemię spłynęło nieco żółtawego wysięku z modułu napędowego. Tylko zaperliło się w płytkiej kałuży, zadymiło i nic nie zostało.

Pajęczy pomiot wysypał się z nylonowych sieci.

Kolczinski leżał na wznak, jak upadł za progiem kabiny pilota. Już mu obeschło czoło i klatka piersiowa pracowała wyrównanym oddechem. Nie ruszał się nadal. Żołnierze założyli mu hełm na głowę i czerwonym plastrem zakleili rozdarcie skafandra schodzące od żeber w pachwinę. Cięcie było powierzchowne. Trudno określić, gdzie i kiedy je otrzymał. W każdym bądź razie – ranny nie był. Musiał odpocząć. Po prostu leżał na wznak z szeroko otwartymi oczami i oddychał równo, jakby spokojnym oddechem próbował oszukać nerwy – jeszcze mu podrygiwały stopy, a ręce zakrzywionymi palcami próbowały wczepić się w powietrze.

Nieco dalej, dokąd żołnierze odciągnęli białowłosego, krzątał się Szałamaja. Od dobrych piętnastu minut odprawiał swoją kabałę – jakby istniały moce zdolne Feretriusowi przywrócić równowagę ducha. Janko próbował pomagać. Nawet był z niego pożytek, dopóki rzecz ograniczała się do tamowania krwi chlustającej z na poły poderżniętego gardła i wyjmowania odłamków z obręczy kołnierza. Potem zwyczajnie przysiadł obok i wielkimi, w półmroku fosforyzującymi oczami przypatrywał się magicznym zabiegom Iona Szałamaji.

Sylwetkę adiutanta Kolczinskiego łatwo odróżniało się między postaciami buszującymi w dymiącym wraku mobila. Mażulis i jego żołnierze uporali się z zasadniczym ładunkiem – kontener Szałamaji wyglądał na nienaruszony. Zmiażdżyło pomniejsze skrzynki. Weterani Kolczinskiego operowali w skafandrach zapiętych pod szyję i w szklanych hełmach. Teraz jeden z żołnierzy ciął blachy laserowym palnikiem – nie wszędzie udało się dostać. Pozostali taszczyli skrzynie i z opadłych nylonowych lin wyplątywali aluminiowe pojemniki. Ocalały dobytek składowali pod skarżą.

Jonas uniósł wzrok. Kędy prześlizgnął się mobil pozostała głęboka transzeja. Jakby żelazny lemiesz przejechał przez zbity gąszcz stalowych włókien, szklanych rur, estakad, wielowarstwowych radiatorów nałożonych na przysadziste kopce. Gdzieś tam białymi rozpryskami strzeliła na boki porcelana. W innych miejscach, gdzie rozpedzony mobil ścinał wierzchołki masywnych cylindrów wystających przez żelazne kratownice, coś się zaperliło mydlaną pianą. W gigantycznych kielichach dogorywała żywotność polimerów, przedtem niespiesznie tężejących w zamkniętym

układzie zbiorników i rurociągów.

Tak było w tej stronie, skąd Kolczinski wyprowadził mobil. Najpierw przebił się przez Pierwszą Linie. Wtedy jeszcze w sterówce towarzyszył mu Mażulis. Potem Mażulis zjrzał do reszty załogi bezradnie szamoczącej się w amortyzacyjnych kokonach, zakomunikował im o tym cudownym zrządzeniu niebios i już z nimi został. Przeleciał między szpalerem w większości pustych futerałów, żadnego nie sięgnął ręką i omal nie wybił pochylni włazu. Jonas pomyślał wtedy – trup. Ale on miał tyle siły, żeby się przetoczyć nawet w kącie i zaklinować ciało u podstawy pochylni, skąd mógł twarz zwrócić w kierunku ruchu mobila. Potem tkwił tam aż do końca – krew ciekła mu z nosa i między zębami, a przecież on pierwszy, kiedy było po wszystkim, skoczył do sterówki i jeszcze poganiał swoich żołnierzy, żeby z werwą wykluwali się z amortyzacyjnych gniazd.

Nikt nie wiedział, tak naprawdę, co przedtem wyczyniał Kolczinski. Z przekleństw, jakie przez trzaskający właz dochodziły z kabiny pilota, można było wywnioskować, że przebijał się przez jakiś piekielny labirynt, za sobą zrzucał miny, znów wracał w poprzednie miejsca i próbował wiązać ze sobą obławę. Wreszcie ichabinę zatchnęło czerwonym światłem, jakby akumulatory mobila dawkowały resztę energii – wtedy nagle zjawił się na progu sterówki. Był blady, cały rozdygotany dziwacznie. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację, szpetnie zaklął na widok Mażulisa przyklejonego do ściany po przeciwnej stronie – tymczasem dalej rzucało mobilem – na chwilę jednak odszedł od sterów; raptem wychylił się i przed oczami Bio-Łącza błysnął wydobyty z pasa potężnym nożem. Najpierw pchnął ramieniem do przodu i pociągnął w dół. Wreszcie upuścił nóż a sam garścią złapał Bio-Łącze za kark i, jak szczeniaka, po prostu wyrwał z rozciętego na dwoje amortyzacyjnego pęcherza. Zniknęli razem. Janko musiał po tym zachować jednak trochę przytomności, gdyż Kolczinskiemu udało się pchnąć mobil we wskazanym kierunku i na resztkach energii dobić do I Modułu.

Dobicie nastąpiło z pełną ekspresją. Mobil, zamiast wyskoczyć w powietrze i wylądować na dachu Modułu, wyrznął w jego przedpiersie i strzelił jaka chrupka łupina. Zmiażdżone resztki maszyny zwały się na ziemię z wysokości kilkunastu metrów. Zanim ochłonęli, w ciszy jaka po tym nastąpiła, pierwszy odezwał się Szałamaja: „Hej tam! – jęknął. – Kulista forma najlepiej opiera się kuracji wstrząsowej, ale reszta załogi ma pewne problemy, co?”. Wtedy właśnie Mażulis skoczył w stronę kabiny pilota, ale Kolczinskiego już tam nie było – wypadł na zewnątrz. Trudno było ocenić, na ile Kolczinskiemu udało się zmylić obławę, w każdym razie od pół godziny mieli zupełny spokój.

Skarpa, w którą uderzył mobil, nawisała nad nimi ścianą wysoką na kilkadziesiąt metrów. Na boki rozchodziła się tak szeroko, że ledwie zaznaczała się przy tym

wybrzuszenie Modułu. Jej powierzchnia była gruzłowata, jakby ulepiona z twardszych od stali, ceramicznych przylepców. W miejscu, gdzie złożono kontener i ocalałe skrzynie, od podnóża tej płyty, postawionej na sztorc, każdy metr wysokości odmierzał biały nit. Ich drabina zbiegała się w jasną linię, aż do krawędzi skarpy, idealnie prostą, chociaż poszczególne szczeble Mażulis wstrzeliwał od dołu przy pomocy ręcznego pistoletu, bez żadnej podpórki. Czwarty żołnierz zdołał się po nich wspiąć ciągnąc za sobą linę. Na tej linie najpierw wtaszczył jakiś wysięgnik z systemem bloków, zamocował go – przy tym nie żałował emitera, aż łuna biła znad krawędzi i w dół pocięła strużka do białości rozpalonej krzemionki. Teraz odpoczywał, jednocześnie od czasu do czasu popatrując tam, skąd ich wyciągnął Kolczinski – pełnił wartę I Modułu.

Widocznie zauważył, że z dołu przygląda mu się Jonas, więc uniósł ramię i uspokajająco pomachał dłonią.

Jonas podszedł do ciągle bezwładnie leżącego Kolczinskiego.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Ten sięgnął ręką u podstawy hełmu, jakby chciał unieść spód słoja. Tylko zaklął.

– Mam kaca – powiedział.

Niespodziewanie sprężyste poderwał się z ziemi. Podszedł do stosu rzeczy spiętrzonych przy kontenerze. Złapał za kant jakiejś wystającej skrzynki, szarpnął – niewiele pomogło. Wtedy coś syknął z prawdziwą wściekłością, kopnął butem i znowu pociągnął. Tym razem wyskoczyła, tylko zachwiały się poukładane z wierzchu, niczym nie różniące się pojemniki. Upodobanie Kolczinskiego do tej właśnie skrzynki było jednak usprawiedliwione – Jonas dostrzegł znajomy napis BUCCHERO.

Kolczinski zamaszycie przysiadł na ulubionym stołku. Pochylił się – chciał chyba uszy nakryć dłońmi – tylko ręce objęły kulę hełmu. Znow zaklął.

– Chciałem podziękować – powiedział Jonas. – To był prawdziwy rajd...

Kolczinski raptownie uniósł głowę i popatrzył na niego przekrwionymi oczami.

– Wiesz, co tu mam? – zapytał i wskazującym palcem tknął sobie w pierś. –

Lepkie, lepkie, bryjowate ciepłko. Moje intymne gówienko. Teraz wiesz? Moje! Dla niego gotów byłem spieprzać na koniec świata, żeby mnie nie pokręciło jak Feretriusa. Rozumiesz? Idź do diabła!

Jonas usłuchał bez ponaglania. Nawet trzeźwy Kolczinski dalej walczył z sobą. Trzeba go było zostawić w spokoju. Sam sobie da radę z tym, co go gnębi, albo i jego pokręci nie gorzej niż Feretriusa – bez Kostropianów, Rojników, Wplesztczy.

Wolnym krokiem Jonas przeszedł wzdłuż ściany, aż do miejsca, gdzie Szałamaja opiekował się Feretriusem. Mażulis proponował grubasowi rozciągany skafander, właściwie na każdą posturę, ale gdy okazało się, że jest to związane z przywdzianiem

hełmu – Ion machnął ręką i stwierdził, że jego zło i tak się nie ima, poza tym woli zostać w swoich karmazynowych spodniach. Rzeczywiście pozostał z odkrytą głową, tak samo jak Bio-Łącze. Widząc nadchodzącego Jonasa grubasek uśmiechnął się trochę z zażenowaniem i pulchnym podbródkiem wskazał Feretriusa

– Pozwól, Jonas! – zawołał. – Naprawdę znam się na medycynie. Zrobiłem, co można, z zewnętrznych urazów.... I tak nie rozumiem, dlaczego on żyje.

– Co się stało? – zapytał Jonas.

– Zobacz. Ten człowiek oberwał, że ... Boże – miej litość dla jego duszy. Tego mu nie odmówię. Ale co dalej... Znasz się trochę na fizjologii? Ludzie to jednak nieco bardziej skomplikowany mechanizm, niż to się wam wydaje – adeptom Mechaneurystycznej. Każdy narząd, – tkanka, komórka posiada określone funkcje. W tym wszystkim obowiązuje jakaś logika przemiany materii, warunkująca czynności mięśni, narządów zmysłów, mózgu... Co ja ci tłumaczę! Wiesz, do czego jest zdolny twój organizm? Właśnie. Mniej więcej się orientujesz. Tak samo ja wiem, na co stać organizm człowieka. Teraz popatrz.

Feretrius był jedynym człowiekiem, którego nie pytano czy życzy sobie zachować sterylność, czy woli łykać normalne powietrze. Jego też nie obowiązywał już żaden regulamin. Leżał więc tak, jak się zjawił. Janko i Ion rozmontowali jeszcze pierścień kołnierza i zdjęli przez głowę, ułatwiając dostęp do reszty ciała, a przede wszystkim do poranionego gardła. Szałamaja odchylił luźny skraj materii osłaniającej grdykę Feretriusa. Na szyi bieląca blizna pozbawiona kropli krwi. Poza tym ciało zdawało się być przezroczyste. Całą krew pewnie wychlapał pod nogi, kiedy towarzysze prowadzili go skrepowanego – ślepcy ciągnący ze sobą ślepca. Ile to czasu minęło? Pozbawiony krwi organizm potrafił zabić taką ranę.

Jonas uważniej przyjrzał się twarzy nieszczęśnika.

Do tej chwili nie pojmował, jak go wtedy rozpoznał. Przedtem była aż nalana krwią i nosiła ślady oparzenia mrozem. Teraz nic z tego nie zostało, ani wewnątrz, ani z wierzchu, gdzie idealnie gładka skóra nabrała parafinowego połysku. Puste oczodoły były osadzone w twarzy należącej do trupa albo przezroczystego widma. A jednak ta twarz żyła. Czasami przebiegał ją kurcz ledwie dostrzegalny. Poza tym miała swój wyraz – usta poruszały się, zmarszczki wypuszczały korzonki z pustych oczodołów i siateczką drobnych pęknięć rozchodziły się na skronie.

Nieprawdopodobny uśmiech szerzył białe zęby. Było w tym coś z wyzwania i pogardy. Ten człowiek oddychał. Bardzo powoli i głęboko. Jonas zrozumiał, że wpatruje się w tę twarz nie tyle z przerażeniem, co z zafascynowaniem. Szczególnie puste oczodoły przyciągały wzrok. Jakby mu oczy wykapano smołą, która do kości wypaliła mięso, po czym sama zastygła czarną, matową polewą. Lecz gdyby mu wypalano oczy musiałby stracić brwi – te pozostały, brakowało natomiast powiek –



przyciętych albo wklejonych pod czarny skrzep.

Szałamaja chyba śledził spojrzenie Jonasa, gdyż niespodziewanie własny palec wetknął w jeden z pustych oczodołów. Feretrius drgnął, chociaż palec nawet nie musnął czarnego wnętrza.

– Czasami zdaje mi się, że on widzi – powiedział Ion. – Cały jest taki: niby ślepy, a widzący. Niby trup, a żyje. Wiesz, co to bio-pole? Mam to wszystko tutaj...

Uniósł swoją rękę, małą wobec otyłości całej postaci, delikatną. Bardziej to przypominało różową rączkę dziecka z pulchnymi paluszkami, które nie obyły się jeszcze z twardością przedmiotów.

– Wierzysz mi, Jonas? Potrafię tam wejść, do środka. Czuję każdy nerw. Do tego nie potrzeba skalpela. A jednak nie rozumiem nic z tego, co się dzieje z tym człowiekiem. On nie ma prawa żyć. Poza tym jego biopole...

Grubasek pokręcił głową. Raptem oczka mu błysły.

– Zresztą, sam patrz...

Nie potrafił odegrać beznamietności lekarza. Aż się wiercił z emocji, jakby doglądał nie człowieka, lecz tajemniczą zabawkę, podrzuconą specjalnie, żeby mógł się wykazać bystrością i ewentualnie, rozwikłać zasadę działania sprężyn. Różową łapkę opuścił na pierś Feretriusa i rozgarniał sztywne fałdy ochronnego kombinezonu. Pod palcami błysnął mu złoty cekin. Jonas pochylił się.

– Spójrz na obwodzie – zwrócił uwagę Szałamaja. – Zostały ślady krwi. Widziałeś, jak Mażulis wstrzeliwał swoje kołki w skarpe? To coś z tej branży. Półprzezroczysty, dwudziestoparocentymetrowy nit wbity na pewno od przodu przez mostek i wychodzący między łopatkami. Sprawdzałem z drugiej strony. To jest przezroczyste, a przynajmniej przewodzi światło.

– To go nie zabiło? – zdziwił się Jonas.

– W tym sęk właśnie. Reszta urazów, jakie odniósł, również wewnętrznych, nie ma nic wspólnego z tym... Bóg wie czym. Poza tym to jest zrosnięte z kością. Rozumiesz? Tu ledwie zakrzepła krew, a tam wszystko od skóry do kości ślicznie spójone z tym cholerstwem. Wewnętrzne organy również. Tak naturalnie wpasowało się w tę doczesność, aż dziw, że nam się takie świecidełko nie dostało od naszych praojców. Na pewno go to nie uwiera. Ja to czuję, Jonas.

Twarz Feretriusa przez moment zachowywała jeszcze napięty wyraz, aż się rozprężyła raptem i zawitał na niej spokojny uśmiech. Jakby mu się przyśniło coś niezmiernie dalekiego od przeżyć, jakie stały się jego udziałem w realnym świecie. Jak zresztą wygląda wewnętrzny spokój człowieka, który powinien być trupem?

– On śpi? – zapytał Jonas.

– Nie wiem – parsknął Szałamaja. – Gdyby to był normalny człowiek powiedziałbym, że zapadł w letarg. W nim coś się zmienia. Tu z wierzchu po prostu

zabliźniła się skóra, ale w środku... Temu nie zaimponuje twoja mechaneurystyka.

Jonas nie pytał, jak to długo potrwa.

– Musimy coś postanowić – powiedział, Ion popatrzył na niego bystro.

– To znaczy: trzeba się zbierać?

– Nie mamy czasu.

Ion obejrzał się na swój kontener.

– Bez tego nie mam po co tam... z wami.

– Wrócimy, jeśli znajdziemy i zdołamy uruchomić któryś z Wozów. Janko twierdzi, że to niedaleko.

Bio-Łącze, które dotąd nie odezwało się ani słowem, wzrokiem wskazało postać wartownika wysoko na krawędzi urwiska.

– Trzeba będzie tam? – markotnie zapytał Ion.

– Widziałem, że Mażulis zadbał o wyciąg – powiedział Jonas. – Jakoś ciebie podciągną. Gorzej z Feretriusem.

– Jaki Feretrius – ponuro mruknął Szałamaja. – Módlmy się, żeby – cokolwiek z tego będzie – był to przynajmniej Cień Feretriusa.

– Trzeba go będzie ponieść – zastanawiał się Jonas.

– Zostanę z nim – niespodziewanie zaproponował Szałamaja.

– Nie powinniśmy się rozdzielać.

– Nie powinniśmy – uśmiechnął się grubasek. – To już coś. Poza tym słyszałeś, co mówił Kolczinski. Nie jestem antylopą. Będziemy zawadzać. On też. Jakoś dam sobie radę tutaj.

Trudno mu było odmówić racji.

– Poproszę Kolczinskiego, żeby zostawił ochronę – powiedział Jonas.

– Namów go, niech odstąpi skrzynkę BUCCHERO – wesoło zaproponował Ion. – Umiem się obchodzić.

Siedzący opodal porucznik pewnie słyszał całą rozmowę, gdyż podniósł się ze swojej skrzynki i zbliżył do nich.

– Ruszajcie – powiedział. – Ja zostanę.

– Ty?

– A co? Na różdżkarza lepiej się nada Janko – skrzywił się Kolczinski. – Tym półtrupkom bardziej się przyda dobry strzelec.

Mówiąc to obejrzał się w tę stronę, gdzie mobil zrobił wyłom w armaturze Poziomu Fabrycznego.

– Sam potrafię! – ambicja uniosła Iona Szałamaję.

– Dobrze – zgodził się Jonas i skinął na Bio-Łącze. – Trzymajcie się. Jeśli znajdziemy...

– Od razu usłyszymy, jak pokotem kładzie się połowa THARSYS – dokończył

Kolczinski. – Złam kark, Megaloxantho. I wracaj.

Podeszli do ludzi Mażulisa, którzy odpoczywali pod ścianą. Z mobila zostały żalosne ostatki. Mażulis zdołał zamontować rodzaj wyciągu z liną przerzuconą do miejsca, gdzie czekał wartownik. W dole postument wyciągarki został wtopiony w posadzkę – jeszcze jarzyła się ciemną czerwienią. Jonas ujął linę w dłoń. Powinna wytrzymać.

– Przykro, że nie daję odpocząć – powiedział. – Na pewien czas musimy się rozstać z porucznikiem Kolczinskim.

Mażulis popatrzył na niego nieufnie.

– Z tą chwilą jesteście Specjalną Grupą Rozpoznania i Dywersji – zażartował Jonas. – W sprawach ogólnych słuchacie mnie, rozpoznaniem kieruje Bio-Łącze, na militariach Mażulis znasz się najlepiej. Rozumiemy się?

Wyrazili milczącą zgodę.

– Bierzemy trochę broni ze sobą – powiedział Jonas. – Poza tym...

– Wiemy – przerwał Mażulis. – Wszystko jest u góry.

Jonas posłał mu pytające spojrzenie.

– Ustaliliśmy z Janko – wyjaśnił olbrzym.

– Doskonale – Jonas chwycił za linę. – Wytrzyma?

– Klamry – powiedział Mażulis.

– Nie potrzebuję – Jonas chciał go odsunąć, ale tamten stał twardo.

– Klamry – powtórzył.

Dla świętego spokoju Jonas pozwolił mu zapiąć na sobie pas z jakimiś uchwytami, które zatrzasnęły się na linie.

– U góry będzie automatyczny rozdzielnik – powiedział Mażulis.

Jonas poczuł naciąg liny. Uniosło go w powietrze. Lina przesuwająca się powoli. Zamiast posłusznie zwisać na uprząży zamontowanej przez Mażulisa chwycił się powyżej górnej klamry i spokojnie odpychał się stopami od pionowej ściany.

Chciał spojrzeć w dół, kiedy coś podbiło mu rękę. Usłyszał szcęk i już siedział na krawędzi urwiska. Klamra odskoczyła od głowicy wysięgnika i zsunęła się po błyszczącym pręcie.

– Trzeba uważać – powiedział wartownik.

Pomógł Jonasowi odczepić dwie pozostałe klamry i zdjąć pas. Już stojąc, Jonas rozejrzał się dokoła.

W dole rozpościerał się szary, nieprawdopodobnie pogmatwany labirynt metalicznych kłaczy, rurociągów, szyn podwieszonych w powietrzu i wnikających w plastry kratownic sugerujących mniej więcej jeden poziom gruntu, chociaż miejscami przez ich pajęczne tkanki prześwitywały srebrne lustra. Tylko bezpośrednio u podnóża skarpy, gładki kołnierz o szerokości trzystu metrów nakrywał armaturę Poziomu

Fabrycznego i ogromnym pierścieniem otaczał pewnie cały Moduł. Poza tym pasem, na wprost, widać było srebrzystą drogę mobila. Estakady zostały przycięte nisko albo na boki pokładły się niby żelazny las. Teraz dopiero można było ocenić brawurę Kolczynskiego – w kilku miejscach mobil ledwie prześlizgnął się między ociężałymi formacjami metalicznych piramid. Wielkością żadna z nich nie dorównywała tej, o którą się rozbił w zderzeniu czołowym.

Jonas poszukał wzrokiem miejsc w sklepieniu, skąd sączyło się światło – z trudem rozpraszając półmrok przestrzeni między Poziomami Enklawy. Wyglądało na to, że już przed wielu dniami mechaniczny gąszcz wytchnął ostatnie pary, z wystygłych pieców wypuścił dymy, wtedy skłębione – teraz rozpełzły się warstwami zastygłymi w nieruchomym powietrzu. Wytrząsnęły z siebie popioły i odtąd w nieskończoność mogły trwać pałapem szarych, smutnych chmur.

Pod ich nawisem, w odległości kilku kilometrów, Jonas dostrzegł ciemne spiętrzenia, wysokością dorównujące poziomowi, na którym właśnie stanął. Gigantyczne progi zostały wyniesione nad labirynt estakad niby płaskowyże ograniczone stromymi skarpami. Jakby wieki erozji wykruszyły słabe miejsca niegdyś jednolitej równiny i w głębokich osuwiskach pozostawiły wyłącznie płataninę żyłastych korzeni. Nie woda, lecz jakieś żrące kwasy mogły tak wypłukać dno tej monstrualnej jaskini, pozostawiając stalowe masywy Modułów skupione wokół filarów wpartych w strop. Słupy te – miniatury Rdzenia Enklawy, chociaż wysokie na tysiące metrów – przenikały sklepienie jaskini w miejscach szczególnego zeszklenia, kędy właśnie docierało światło z wyższego poziomu. Sprawiało to wrażenie, że ktoś tam odchodził w jeszcze większym popłochu – aż zapomniał zgasić za sobą jakieś atomowe słońce.

– Na lewo III i IV Moduł – odezwał się wartownik. – IX prawie niewidoczny. Dawniej tu było jasno. Reszta z drugiej strony.

Jonas odwrócił się plecami do przepaści, gdzie wyciąg już holował kolejnego delikwenta.

– Z rozmachem pomyślane, co? – z dumą zapytał wartownik.

Przed Jonasem gładka płaszczyzna unosiła się łagodnie, lecz dopiero w odległości gdzieś trzystu metrów wyrastały z niej gigantyczne kolumny. Pierwsze były nieco odchylone wstecz, następne stały już prosto – teraz nieruchome i zaślepione metalicznym połyskiem, kiedyś pewnie pulsowały energią przepompowywaną między poziomami. Ich las przeobrażał się powoli w zwarty, żyłasty pień o średnicy dobrych dwustu metrów. Poskręcany był tylko w dole, niby baza dźwigająca na sobie właściwy trzon kolumny wysmukłonej pod sklepienie grotu.

Jonas poczuł dziwny niepokój. To była budowla zaiste godna cyklopów, na miarę cyrkułów przed milionami lat wzniesionych przez Szernów w Królestwie Seleny.

Czasami trzeba stanąć wobec czegoś pozornie skromniejszego od takich ogromów, jak Rdzeń albo sama kopuła Enklawy, żeby właściwie ocenić potęgę całości. Zastanowił się, jak wielką mocą musiało rozporządzać to, przed czym uległ ten świat. Czyżby istniały również siły, których wyższość musi uznać nawet Postać Szerna? Każdy na własny sposób próbuje odwzorować absolut Wszechświata i nie zraża się porażkami minionych potęg.

Niechętnie odwrócił wzrok od poświaty w zenicie, która aureolą otaczała tę kolumnę I Modułu wnikałą w resztę wszechświata ograniczonego przez szklaną kopułę. Nie czas na filozoficzne natchnienie, pomyślał.

Nieco w bok od miejsca, gdzie zamontowano wyciąg, zobaczył dość obszerne wgłębienie. Zostało wytopione w pancernej skorupie Modułu. Za przedpiersiem, styczonym z krawędzią urwiska, pionowo wetknięto ogromna puszczel, na której, w poziomie spoczywała masywna rura. Jej wylot sterczał poza skarpe, natomiast drugi koniec, rozdęty przezroczystą muszlą, wisiał nad wgłębieniem. Cały przyczółek otaczał pierścień starannie ułożonych kabli.

Jonas gotów był wyrazić podziw dla tak sprawnie zorganizowanego ubezpieczenia, kiedy obok stanął Janko. Bio-Łącze rozejrzało się z pewnym oszołomieniem.

– Coś nie tak? – zapytał Jonas.

– Nie wiem – w oczach Bio-Łącza pojawił się lęk. – Nic nie rozumiem.

W tej chwili linka wyciągu zagrała cienko i jakiś cień wystrzelił z dołu, przewinał się nad krawędzią i wylądował po lewej ręce Bio-Łącza. Znowu jęknęła cięciwa i następny żołnierz prostował się z przysiadu. Jeszcze jeden i wreszcie sam Mażulis potężnie przybił obcasami.

Jonas wrócił spojrzeniem do Bio-Łącza.

– Coś się nie zgadza? – zapytał.

– Trudno powiedzieć – Janko wyraźnie był w rozterce. – Rozumiesz, ja wiem, jak został skonstruowany Moduł Fabryczny. I wiem, jak wyglądały Wozy. Tylko co innego... widzieć przez Informatyczny System, a co innego naocznie uświadomić sobie skalę. Naprawdę nie zdawałem sobie sprawy z proporcji.

– Te same kłopoty – pocieszył go Jonas.

– Wiem, że to musi być we wnętrzu Modułu. Ale, podejrzewam, przy tych rozmiarach można szukać kilka dni.

– Mamy na to godzinę, góra dwie – stwierdził Jonas. – Ruszajmy. A ty wysilaj koncept Informatycznego Systemu.

– Wolno zadać pytanie? – z boku odezwał się Mażulis.

– Tak?

– Zostawiłeś nam wolną rękę w sprawach wojskowości; może byłoby słuszne,

żebyśmy orientowali się w czymś jeszcze poza tą specjalizacją?

Jonas popatrzył na piątkę w skafandrach Endogenicznej.

- Kolczinski was nie poinformował? – zdziwił się.
- Porucznik wydaje rozkazy – Mażulis wzruszył ramionami.
- Słyszeliście o Konwojach? – zapytał Jonas.
- Każdy weteran Endogenicznej słyszał o Konwojach.
- Również dlaczego zostały wstrzymane?
- Genomuty – krótko załatwił problem Mażulis.

Jonas zastanowił się.

– Dobrze – powiedział. – To zresztą nie ma znaczenia. Słyszeliście więc również o ostatnim Konwoju pod dowództwem pułkownika Makonde?

Żołnierze popatrzyli po sobie.

– Konwój wyszedł i słuch po nim zaginął – ciągnął Jonas. – Wywiązała się bitwa gdzieś na przedpolach THARSYS. Z pogromu pod osłonę kopuły wycofały się Wozy Bojowe tylnej straży. Od tej chwili zaczęto wykazywać niezasadność formowania Konwojów. Zaprzestano też budowy Wozów Bojowych, na których konstrukcję szła wówczas przeważająca część potencjału przemysłowego i wydobywczego Enklawy. Następnie zreorganizowano Poziomy Fabryczne, przestawiając produkcję wyłącznie na zaspokojenie własnych potrzeb Enklawy. Tyle wyciągnąłem z Bio-Łącza. Nie wydaje się wam, że właśnie wtedy po raz pierwszy ustąpiono pola i działania wojenne zostały przeniesione pod osłonę Kopuły?

Nie dostrzegł zmiany wyrazu twarzy osłoniętych szklanymi przyłbicami. Miał jednak przecucie, że ten argument trafił im do przekonania.

– Tak więc zaprzestanie działań na przedpolach Enklawy dało początek ostatniej, III Fазie Inwazji – dokończył. – Odtąd ustępowaliście z każdej kolejnej pozycji we wnętrzu Enklawy.

– Pytałem, czego szukamy – oschle przypomniał Mażulis.

– Z konwoju Makonde pod osłonę THARSYS wycofało się kilka Wozów Bojowych – wyjaśnił. – Nie zostały zdemontowane.

Jak na komendę zwrócili głowy w stronę metalicznej gęstwiny, która w dole gigantycznymi kłaczami pokrywała jakieś masywne budowle, żeby wysoko nad Modułem splatać się we wspólny pień.

– Tam? – zapytał Mażulis.

– Gdzieś tam albo we wnętrzu.

– Dlaczego właśnie tutaj?

– To są przypuszczenia. Poziomy Fabryczne znajdują się mniej więcej na wysokości powierzchni terenu otaczającego THARSYS. W poprzedniej industrialnej strukturze Enklawy gdzieś tutaj znajdowały się też doki, z których ciężki sprzęt

wędrował od razu na zewnątrz. Trudno powiedzieć, dlaczego potem tak sprytnie to zakamuflowano. Wy, w Endogenicznej, siłą rzeczy zachowaliście wtajemniczenie w fakt istnienia kiedyś Konwojów i Wozów Bojowych. Resztę THARSYS obowiązuje blokada informacji. Komuś zależało, żeby ze świadomości wykluczyć tak samo ewentualność przekroczenia Pierwszej Linii, jak wyjście poza Enklawę. Może zresztą ten ktoś miał własne plany odnośnie pozostawionych Wozów. Różnym ludziom w różnym czasie ziemia pali się pod nogami. W każdym bądź razie pozostał wam do dyspozycji zamknięty w sobie, ściśle odizolowany świat, co przy braku łączności za pośrednictwem CETI, z ośrodkami dyspozycyjnymi innych Enklaw, dopełniało miary odosobnienia. W takiej też ciszy i samotności padały inne Enklawy. Ich los podzieli THARSYS.

Mażulis i jego żołnierze trwali chwilę w ponurym milczeniu.

– A jeśli znajdziemy Wozy Bojowe? – wreszcie zapytał Mażulis.

– Pójdziemy dalej.

– Poza osłonę THARSYS?

– Pójdziemy i wrócimy, to jedyna szansa dla nas wszystkich – powiedział Jonas.

Twarze żołnierzy nie były młode, wszyscy pewnie należeli do weteranów Armii z czasów przed ustanowieniem Endogenicznej, a jednak wyczuł w nich lęk. Wyczuł – żaden niczego nie dał po sobie poznać.

– Nie lękaliście się przekroczyć Pierwszej Linii – powiedział. – Jakie ma znaczenie krok dalej?

– Wszystko ma znaczenie – uciał Mażulis. – Pójdziemy tam, gdzie poprowadzi porucznik.

Olbrzym zaczął wydawać dyspozycje swoim ludziom. Jednego zostawił na stanowisku przygotowanym na skraju Modułu, skąd miał osłaniać pozostawionych w dole. Następnie obarczył Jonasa czymś w rodzaju potężnej dyszy z ciężkim akumulatorem. Pozostała trójka i sam Mażulis uzbrojona była w krótkie emitery.

Ruszyli według wskazówek Bio-Łącza, nie na wprost, lecz nieco łukiem do centrum Modułu. Janko chciał lepiej zorientować się w terenie. Samotny wartownik długo odprowadzał ich wzrokiem. Ceramiczna pokrywa Modułu najpierw obniżała się nieznacznie, potem zaczęli wstępować na dosyć stromy wał, poza którym – prostopadle do urwiska – w głąb masywu odchodziła wąska szczelina dylatacyjna. Ze sto metrów posuwali się wzdłuż tego rozłamu. Poza nim teren był bardziej pofałdowany. Kilkakrotnie widzieli tam szerokie na kilka metrów pochylnie schodzące pod pokrywą, w większości zaczopowane potężnymi klapami. Jedna była uchylona. Mażulis pytająco spojrzął na Bio-Łącze. Janko nawet się nie zatrzymał.

Przez pewien czas żołnierze oglądali się wstecz. Wszystkich zastanawiała, nawet irytowała cisza. Przynajmniej tam, gdzie Kolczinski przebił się przez Pierwszą Linie,

powinno coś się dziać. Wątpliwe też było, że pozostawiono ich samym sobie. Nie spuszczała palców ze spustów swoich karabinków, lecz na cel można było wziąć tylko coraz wyższe łuki rurociągów. Pierwsze masywne kłącze, do którego dotarli, wyrastało poza szczelinę dylatacyjną, przechodziło górą – nawet nie musieli schylać głów – i z powrotem nurkowało pod gruzłową powierzchnię. Mijając ten ich pierwszy łuk triumfalny wyszli prosto na szynę biegnącą tuż nad powierzchnią gruntu, na daleko od siebie rozstawionych niziutkich podporach ze szkła. Jej powierzchnia, o szerokości pół metra, była idealnie gładka – tylko dlatego dostrzegli na niej cieniutką warstewkę kurzu. Jeszcze kilka takich wstęg coraz ciaśniejszymi kręgami otaczało jakieś bąblaste budowle, spletało się z metalicznymi korzeniami, znikając pod wzdętymi płatami terenu – jakby specjalnie uniesionymi pomostami, żeby mogły się pod nimi przewinać metalowe wstęgi i znów wyłonić na zewnątrz. Nagle otworzył się przed nimi wylot gigantycznego hangaru albo szerokie na kilkadziesiąt metrów zejście pod ziemię. Na pierwszy rzut oka potrafiło pomieścić kilka transporterów Endogenicznej. Janko tylko popatrzył na Mażulisa. Ten skinął ręką i dwóch żołnierzy pobiegło przed siebie. Przemykali dziwnie skuleni, co kilkanaście kroków przypadający do ziemi. Jeden raptem upadł, jak podcięty w biegu – szeroko rozrzucił nogi i tak znieruchomiał, z lekko uniesionym karkiem i kolbą emitera wciśniętą między policzek i ramię. W tej samej chwili drugi skoczył w ciemność. Gwałtowny rozbłysk wypełnił całe wnętrze, przygasł nieco i już widać było tylko postać komandosa prowadzącego szeroki snop żółtego światła po nagich ścianach przestronnej, pustej hali.

Kiedy wracali obydwaj mieli taki wyraz twarzy, jakby im z serca spadł ciężki kamień.

Przed dalszym postępowaniem w gęstniejący las kolumn, Mażulis rozsypał swoich ludzi w tyralierę, której obydwaj skrzydła znajdowały się w zasięgu wzroku. Dwaj żołnierze gwałtownymi zrywami przeskakiwali wolne przestrzenie z lewej strony, trzeci z Mażulisem podobnie poruszał się na prawej flance. Jonas postępował tuż za Bio-Łączem, które zdawało się najmniej zaabsorbowane wypatrywaniem jakiegokolwiek niebezpieczeństwa i szybko maszerowało przed siebie. Odtąd Janko przestał zwracać uwagę na wyloty tuneli prowadzących pod pokrywę Modułu. Im dalej się zapuszczali, tym więcej pyłu pokrywało ziemię, jakby na wolniejszej przestrzeni istniał jednak ruch powietrza znoszący kurz i wciskający go w zagęszczenia armatury. Chwilami stąpało się po grubym kożuchu szarego nalotu, który niechętnie wzbijał się w powietrze, za to później wisiał nie wykazując tendencji do szybkiego opadania. Wszystko sugerowało, że od dziesiątków lat nie stąpnęła tu noga człowieka, a przecież – zgodnie z danymi Informatycznego Systemu i komunikatami Armii Endogenicznej – Pierwsza Linia przesunęła się poza Poziom



Fabryczny nie dalej jak kilka godzin temu. Może zresztą ludzie pracowali tu głębiej, w znieruchomiałych teraz maszynowniach albo w ukrytych centrach kontroli procesów technologicznych, generalnie podporządkowanych Informatycznemu Systemowi. Z równym powodzeniem zautomatyzowane linie produkcyjne mogły się obyć bez udziału człowieka.

Janko szedł coraz szybciej. Zdawało się, że on jeden wie, czego szukać w tym labiryncie, który coraz częściej zasklepał się nad ich głowami. A jednak od momentu, kiedy stanął na krawędzi I Modułu, sprawiał wrażenie, jakby coś mu się wymykało z rąk – jeśli już nie przepadło bezpowrotnie.

Od pewnego czasu Jonas dostrzegał jasne plamy na obłych ścianach walców. Zagęszczone szpalery rurociągów wynurzających się z posadzki zaczynały coraz konkretniej określać kierunki korytarzy. Na ich zwartych ścianach pozostała zatarta szachownica – jakby ktoś raz przy razie, bez specjalnego porządku, naklejał prostokątne kawałki plastra. Potem to wszystko zostało starannie zdrapane. W kurzu zaścielającym posadzki białe jeszcze jakieś strzępy. Reflektory komandosów omiatały pogłębiającą się ciemność. Jeden z takich snopów światła przejechał pod stopami Jonasa. Pochylił się i podniósł większy skrawek. Otrzeptał z kurzu i przeczytał: „... Tobie, ludu nowej jutrzeńki, to nowoczesne Państwo! Ewolucja społecznego systemu technokratycznej Cywilizacji, stworzyła tę niszę ekologiczną. Należy o nią walczyć i zaszcześcić naszą Ideą! Zgodnie z zasadą wzajemnego wykluczenia ekwiwalentów naszym naturalnym wrogiem jest faszystowski totalitaryzm, lecz do nas należy zwycięstwo w tej walce o Władzę, Państwo i Przyszłość! Tylko my...”. Chwilę Jonas bezradnie trzymał w palcach oddarty kawałek afisza.

Nagle równocześnie odezwał się radosny głos Bio-Łącza i czyjś ostrzegawczy krzyk.

Janko stał na otwartej przestrzeni. Obok niego, nie zważając na Bio-Łącze, dwie skulone postacie przemknęły z lewa na prawo, gdzie posuwał się Mażulis z trzecim żołnierzem.

Jonas odruchowo postąpił kilka kroków w tym samym kierunku, kiedy preraźliwie jaskrawe światło zamigotało w podcieniu stalowych arkad. Prawie równocześnie dotarło do niego echo twardego tąpnięcia czy eksplozji. Rzucił się w tym kierunku, w biegu szukając miejsca na uchwycie swojej fuzji, gdzie Mażulis kazał cisnąć „tylko w ostateczności, kiedy zacnie się walić niebo – albo czort wie co!”. Trudno mu było zorientować się, czy ta gwiazdna eksplozja jest właśnie symptomem załamania się niebieskich sfer. Na wszelki wypadek skoczył do przodu i pierś w pierś starł się z Mażulisem. Olbrzym miał błędny wzrok – bardziej z wściekłości niż prerażenia.

– Czego z armatą do sekcji zwłok?! – krzyknął. – Tamtego pilnuj!

Ponad ramieniem Mażulisa zdążył Jonas dostrzec wąską szczelinę, przez którą można było zajrzeć w głąb korytarza. Lekko w dół uchodząca kiszka była pusta. Tylko z bocznych ścian coś się osypywało jeszcze, a dołem na zewnątrz wypływał zwyczajny kurz – dziwnie tłustawy w połysku, nie rozpraszający się, zupełnie jak obłok księżycowego pyłu splezający z pochyłości terenu. Powierzchnia szarego upławu perliła się maleńkimi pęcherzykami, a to sypało się właśnie, a nie wypływało, jakby w ten korytarz nawiało tyle pyłu, aż zatkał go suchy skrzep i trzeba było poczęstować to porcją energii z emitera. Jeden z komandosów jeszcze raz podniósł krótki karabinek i znowu białe słońce wypaliło pustą już sztolnię.

Jonas odwrócił się i pobiegł za Bio-Łączem. Dopadł go na krańcu przestronnej hali, skąd odchodziły cztery tunele. Trzema do wnętrza Modułu wnikały płaskie szyny, teraz świecące w ciemności. W ostatnim korytarzu leciutko fosforyzujące pasmo bieгло pod stropem. Janko wskazał ten kierunek.

– To nasza ostatnia szansa – powiedział. – Jedyna droga dla ludzi prowadzi do dyspozytorni Modułu.

– Coś nam to daje? – zapytał Jonas.

– Rozwiązuje sprawę – z ożywieniem stwierdził Janko. – Informatyczny System nie zawiera wszystkich danych o obiektach wyposażonych w lokalne systemy kontroli.

– Komu potrzebny był system lokalny?

– Od chwili ustanowienia Endogenicznej pewne obiekty zostały utajnione i zmilitaryzowane. Trzeba było uwzględnić możliwość sprawnej pracy danego modułu nawet w czasie lokalnego obłączenia i odcięcia od Informatycznego Systemu.

– Znajdziemy tam informację o Wozach Bojowych?

– Przynajmniej dokonamy przeglądu całego I Modułu.

– A jeśli ośrodek dyspozycyjny został zniszczony?

– Widziałeś z zewnątrz, cały Poziom Fabryczny wygląda tak, jakby najbardziej zaszkodził mu dopiero rajd Kolczynskiego.

– Nie możesz tego sprawdzić od razu?

– W jaki sposób? – zdziwił się Janko. – Jesteś Bio-Łączem.

– Bez sprzężenia z lokalnymi komputerami, które nie posiadają receptorów i generatorów biopola nie mogę – wyjaśnił Janko. – Dlatego Informatyczny System udzielił mi tylko takiej informacji, dzięki której jesteśmy tutaj, a nie, na przykład, w *Cloaca Maxima*.

Dołączył do nich maleńki oddział Mażulisa.

Mażulis bez wahania ruszył w ten korytarz słabo rozświetlony przez fosforyczne pasmo. Jeden żołnierz postąpił za nim, dwaj przodem puścili Jonasa i Bio-Łącze.

Na krótkim odcinku droga prowadziła pod górę. Przeszli obok dwóch szczelnie zamkniętych włazów. Zaraz potem zaczęło się strome zejście w dół. Od pewnego czasu Jonas miał wrażenie, że – zamiast przechodzić obok – niepostrzeżenie trafili w wewnętrzny obieg rurociągów i teraz posuwają się w labiryncie korzeni, będących przedłużeniem wiązki tworzącej filar między Modułem i sklepieniem Poziomu Fabrycznego.

Zastanawiał brak jakichkolwiek elementów, które mogłyby zasugerować przeznaczenie tych tuneli. Wypolerowane, puste kiszki bez śladu bytności, już nie tylko człowieka, nawet maszyn. Na zeszlonych ścianach nikt nie agitował do gromadnego wstępowania w szeregi Armii, nie reklamował też psychodelicznych orgii w rodzaju „Królestwa Protozoa” – czemu nie oparły się wyżej położone partie Modułu. Zniknęło też zapylenie – stroma pochylnia lśniła czystością. Nawet sterylne powietrze zdawało się wiekami trwać w tym samym bezruchu, aż poszczególne cząsteczki, wbrew typowej kinetyce gazu, utworzyły absurdalnie krystaliczną – w tym rozrzedzeniu – strukturę, którą dopiero ich wędrówka w barbarzyński sposób darła na strzępy. Raptem żołnierz, idący z przodu, wydał okrzyk pełen zdumienia.

Przed nimi otworzyła się metaliczna grotka, przestronna jak nic dotąd. Właściwie wyglądało to tak, jakby spora porcja materii, wypełniającej I Moduł, zapadła się do środka, tworząc bardziej masywne jądro w powstałym tym sposobem powietrznym pęcherzu. Czarna kula, o średnicy dobrych pięćdziesięciu metrów, spoczywała w ogromnym pierścieniu, wpuszczona w to łożysko mniej więcej jedną trzecią swojej objętości. Tunel wyprowadził ich bezpośrednio na powierzchnię pierścienia.

– Dyspozytornia – powiedział Janko.

Ogromna kula całym ciężarem osunęła się w porcelanową misę. Ze stropu pociągnęła za sobą masywny, lustrzany tłok. Taki sam podpierał ją pewnie od dołu w czasie aktywności Modułu.

– To jedyne do niej dojście? – zapytał Mażulis.

– Właściwe szyby odchodzą w górę i w dół – Janko wskazał lustrzany tłok. – Tam na górze szyb wpuszczony w wiązkę armatury Modułu przechodzi przez Poziom Integracji; w dole wzdłuż arterii transportu dociera do Poziomu Wydobywania. My dostaliśmy się tutaj przejściem awaryjnym. Na obwodzie Dyspozytorni powinien być właz.

– Jonas, Janko i wy dwaj na lewo – rozkazał Mażulis. – Spotkamy się przed wejściem.

Z dwóch stron obchodząc czarne jądro Modułu dotarli do jedyne otworu – bez klapy, bez osuwającej się grodzi – kędy mroczny tunel prowadził do wnętrza Dyspozytorni. Wyglądało to tak, jakby czerw jakiś przegryzł metaliczny pancierz i wydostał się tędy z zepsutego ziarna.

Reflektory rozświetliły ciemną tuleję, aż do granic przedsionka głębokiego niewiele ponad trzy metry. Jonas zauważył, że jeden z żołnierzy podszedł tam do czarnej tarczy osadzonej w białym kołnierzu, przesunął ręką po obwodzie tego pierścienia i rozległo się westchnienie, po którym wąż odpadł na bok i niespodziewanie luźno zwisał na jakimś zawiasie. Widocznie wewnętrzny system energetyczny Modułu pozbawiony był dopływu energii i można było rozładować elektromagnetyczne łącza.

Dotarli do wnętrza kuli. Zwodnicze światła reflektorów odbiły się od szklanych wypukłości we wnętrzu pustej sali. Naprzeciw zapadał się do środka martwy ekran, wklęsłością wpasowany w krzywiznę ścian. W ich ognisku nad posadzkę wydymał się wielki, szklany klosz. Wąskie przejście prowadziło tam przez rozdzielony w tym miejscu rząd foteli.

Jonas usłyszał czyjeś westchnienie pełne ulgi.

– Nie widać uszkodzeń – powiedział.

– Jakby noga człowieka nie powstała tu od czasu I Fazy Inwazji – zauważył ktoś.

– Tam masz wejście – odezwało się Bio-Łącze.

Jonas obejrzał się. To ostatnie skierowane było do Mażulisa. Dowódca komandosów wsparł karabinek kolbą o udo i na krótką lufę założył coś w rodzaju czarnego tłumika. Potem zwrócił się do kontaktu umieszczonego w ścianie tuż przy wejściu i jakiś metr nad posadzką. Pochylił się tam i coś manipulował.

Jonas miał okazję zorientować się w przestrzennym zagospodarowaniu Dyspozytorni I Modułu. Po obu stronach awaryjnego wjazdu znajdowały się jeszcze dwie płyty, biała i czarna, teraz szczelnie wpasowane w szklane kołnierze. Prawdopodobnie, jak wyjaśniał Janko, były to wyjścia łączące Dyspozytornię z Poziomem Integracji – w górze, i Poziomem Wydobywania – w dole.

Jonas zobaczył, że Mażulis wetknął w ścianę zmodernizowany wylot swojego karabinka, potem całym ciężarem ciała naparł na kolbę.

– Ostrożnie – zdążył powiedzieć Janko. – Tylko impuls.

W tej samej chwili reflektory żołnierzy oślepiły wobec powszechnej jasności. Jonas stał przed dwoma lustrami, z których jedno otaczał czarny, drugie biały pierścień. Czarny – głębiej w ziemię. Biały – w chmury. Dwa wyjścia do tego samego piekła.

Gwałtownie obrócił się do wnętrza sali. We wklęsłym menisku ekranu coś się zapieniło barwnie, po czym na całej powierzchni rozłożyło jednostajną, srebrzystą poświatę.

Ktoś krzyknął.

Jonas opuścił wzrok. Klosz w centrum Dyspozytorni dziwnie kojarzył się z katafalkiem w lazarecie. Zaskoczony postąpił krok do przodu. Niby pod pęcherzem

izolacyjnym, zamkniętym nad operacyjnym stołem, spoczywało tam nagie ciało człowieka. Prawie utonęło w futerale, który krawędzią wgłębienia obrysował całą postać. Mężczyzna ten leżał na wznak, z lekko uniesioną, półprzezroczystą piersią i ostrym podbródkiem zadartym do góry. Odchylenie głowy nie pozwalało dostrzec twarzy z tego miejsca, gdzie Jonas wrósł w ziemię, a przecież bezwład białej nagości sugerował dziwny spokój, jakby śmierć zjawiała się tutaj razem z najgłębszym snem. Nie trzeba było bowiem zbliżyć się, żeby wystawić diagnozę – temu człowiekowi mogła pomóc już tylko operacja przeszczepienia duszy.

Mimo Jonasa ktoś skoczył do przodu. Jeszcze dwie postacie przemknęły błyskawicznie – skurczone, w każdej chwili gotowe zapaść się pod ziemię.

Trzech komandosów otoczyło klosz. Żaden nie zbliżył się na wyciągnięcie ręki. Zatrzymali się – spięci, skurczeni, z karabinami wymierzonymi w jeden cel, a równocześnie gotowi odskoczyć, jakby w każdej chwili mogła się podnieść przezroczysta płyta nagrobna a śpiący w niej – zmartwychwstać. Jonas widział twarz jednego z nich – na wprost. Nad wypukłą powierzchnią pochyliła się blada plama, prawie płaska, jakby każdą fałdę odciągnąć na bok – brwi poza czoło, usta pod brodę, resztę zmarszczek za uszy. Tylko oczy w tym były znajome, chociaż bliskie obłądu.

– Nie! – zawołał Janko. – Nie wolno zniszczyć! Ostrożnie!

Tamta twarz uniosła się nieco. Oczy zdawały się hipnotyzować Bio-Łącze. Janko szybko zbliżył się do klosza i położył rękę na szklanej wypukłości.

– Zostawcie – szepnął. – Muszę... tam. Nie znajdziemy niczego, jeśli zniszczycie wejście.

Rozległ się dziwny zgrzyt i zduszone westchnienie. Raptem w widmowej twarzy pękła pozioma szczelina ust. To był Mażulis.

– Wiesz, co tam jest? – syknął przez zęby.

– Nie. Nie! Nic nie wiem – szybko zaczął mówić Janko. – To nasza jedyna szansa.

– Co chcesz zrobić?!

– Ja sam. Muszę tam... Zostańcie z boku. Muszę spróbować. Inaczej nic nie znajdziemy. Może on... po prostu umarł. Przecież istnieje zwyczajna śmierć!

– Chcesz... tutaj? – wychrypiał Mażulis.

– Odsuńcie się.

– Zginiesz – niespodziewanie spokojnie powiedział Mażulis.

– Jestem Bio-Łączem.

– Ja zabiję – w oczach Mażulisa znów pojawił się obłąd. – Jak każdego, kto zechce to otworzyć.

Jonas szybko podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

– Muszę spróbować – powtórzył Janko.

Pochylił się nagle. Zaszczowało powietrze. Rozhermetyzowana kopała uniosła się powoli, aż odchyliła o dziewięćdziesiąt stopni niby rozwarta muszla perłopławu.

Zapachniało czymś z pogranicza parafiny i próchna. Tak pewnie cuchnie ciało człowieka ulegające mumifikacji w ośrodku pozbawionym bakterii gnilnych. Janko zapuścił ręce pod klosz i wsunął dłonie pod pachy trupa. Zaczął unosić sztywne ciało. Tylko mu rumieniec wypłynął na twarz – nie miał siły; jakby chciał, bez rozbijania formy, ciężki odlew ludzkiego ciała wyłuskać na światło dzienne. Trzy skulone postacie w skafandrach Endogenicznej stały wkoło z bronią gotowa do strzału. Jonas czuł pod palcami, jak drga ramię Mażulisa. Nikt nie ruszył ręką. A tam Janko objął w pół zeszywniałe ciało, przytulił do siebie i rozpaczliwie ciągnął. Nagi tors przesunął się poza krawędź obręczy u podstawy klosza, nogi pozostały w środku. Janko nie potrafił utrzymać ciężaru i ciało zaczęło mu lecieć z rąk.

Jonas podszedł i pomógł mu wydobyć trupa z wgłębienia naśladowującego kształt człowieka. Właściwie sam wziął to ciało na ręce i przeniósł na bok, po czym ostrożnie złożył na posadzce. Kiedy uniósł głowę zobaczył Mażulisa z drgającymi chrapami, jakby to jemu – przez szklaną przyłbicę – trupi zaduch uderzył w nos.

Tymczasem Janko, gwałtownymi ruchami zrzucił ubranie, jakby się sam obdzierał ze skóry. Pozostał nagi, ze srebrnym sklepieniem piersi. Chwilę bezradnie trzymał w dłoni oprawiony w skórę modlitewnik – nie bardzo chciał się z nim rozstać. Wreszcie zostawił go obok rzeczy rzuconych na jeden z foteli. Potem sam, bez słowa, przełożył nogi przez podstawę klosza i osunął się w to miejsce, skąd przed chwilą wydostali trupa. Niespodziewanie dobrze wpasował się w formę, jakby gotowa była przyjąć każdą postać.

Dwaj komandosi pilnowali trupa. Mażulis tuż przy Jonasie oddychał ciężko.

Klosz nad Bio-Łączem zamknął się automatycznie. Janko nawet nie drgnął. Za to oczy zaczęły mu mętnieć. Żrenice przesłoniło bielmo. Powoli opuściły się powieki. Jonas miał dziwne uczucie, jakby się otarł o śmierć kogoś bardzo bliskiego. Ktoś bliski – pomyślał – dla Megaloxanthy. Zdziwiony bardziej, niż przestraszony pochylił się nad Bio-Łączem. Janko miał oczy zamknięte. Pod powiekami obracała się wypukłość ocznej gałki, wirowała coraz szybciej. W nowym sprzężeniu Bio-Łącze zdawało się wzrokiem rozpaczliwie przebiegać pamięć innego systemu. Gdzieś tam, na styku ludzkiej świadomości z komputerową pamięcią Dyspozytorni, wieczny banita trafił do gigantycznej biblioteki, gdzie niepodobna znaleźć tę jedną, jedyną ważną książkę – upuścił ją z ręki i zniknęła z pola widzenia, chociaż gdzieś być musi, tuż – tuż, na zdrowy rozsądek – w zasięgu świadomości daremnie szukającej olśnienia.

Jonas cofnął się odruchowo. Nie bardzo wiedział, jak i kiedy znalazła się w jego zasięgu książka pozostawiona przez Bio-Łącze na oparciu jednego z foteli. Palce

same ją otworzyły oczy znalazły oparcie w fantasmagorii:

*„... Woda tych studni szkli się, plamistą rdzą krwawą,  
A z wnętrza ciągle dymi zionąc woń plugawą,  
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;  
Łyse, skarłowaciate, robaczywe, chore,  
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate  
I pnie garbiąc brzydkimi grzybami brodate,  
Siedzą wkoło wody, jak czarownic kupa  
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.”*

Jeszcze przebiegał wzrokiem czarne ziarna, z których krzewił się ten absurdalny pejzaż, kiedy usłyszał jęk – zbyt głośny, żeby się nań zdobyła pierś człowieka wzbierająca zbyt płytkim oddechem. A jednak był to głos Bio-Łącza. Janko coś mówił, o coś prosił, chociaż jego twarz nie drgnęła pod szklanym wiekiem i usta nie złożyły się nawet do szeptu.

– To niemożliwe – jęknął głos Bio-Łącza. – Jonas! Słyszysz mnie!?! To być nie może! Nie ma nic! Nigdzie!

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Jestem pamięcią systemu sterującego I Modułem – głos brzmiał zewsząd, jednocześnie ogromny i przepełniony przyziemnym, ludzkim lękiem. – Rozumiesz mnie, Jonas? Nie wydostaniemy się poza Enklawę!

– To niemożliwe!

– Patrzcie!

Światła pobiegały we wklęsłej czaszy ekranu. Najpierw różowa migotliwość. Jej pęd wyhamował nieco i można było uchwycić krótkie kadry konstrukcji prześwieconych purpurą, ogromne sale, skołtunione armatury, długie hale produkcyjne – rozczłonkowane taśmociągami, wzdęte rurociągi, jakby coś połknęły szklane węże, spróbowały porcję karmy precyzyjnie wzdłuż przetyku rozciągniętego na setki kilometrów i – tak zastygły. Porcje materii zaklinowane w kiszkach, cokolwiek zawierały w sobie – efekt finalny, kęs skały przemielonej w mechanicznych szczękach, a może – energię dla nowych Eleuzynii, komplet bielizny dla Stinsona, pomnik Patrochina, bombę dla Endogenicznej albo kolejny miliard intymnych zbliżeń z Królową Halucygenii. System I Modułu obnażał przed nimi swoje wnętrza – otwarte na oścież, bezwstydnie martwe, zastygłe jak przed tysiącleciem, zanim ją Cywilizacja z podziemnych wyrobisk nobilitowała do rangi Industrialno-Urbanistycznego Masywu, żeby skromności uczyć pod kołpakami Enklaw, w katakumbach Fabrycznych Poziomów.

– Janko! – zawołał Jonas. – Przecież my nie wiemy, jak to wygląda!

Jeden kadr zatrzymał się tkanką arterii przenikliwych dla wzroku, przesłaniających we wnętrzu ziemi drażone bunkry, gdzie jakiś sztukmistrz ukrył gniazda ostatnich Wozów Bojowych.

Obraz zblakł nieco i, przez sieć czerwoną – jakby w niej uwikłany jeszcze, przebił się prosty schemat konstrukcji Wozu Bojowego. Nie było w tym żadnej nadzwyczajności – po prostu płaska skorupa, posadowiona na ogromnych gąsienicach. Schemat obrócił się, poddał różnym punktom widzenia – wzrok musi zapamiętać każde możliwe ujęcie.

– To wszystko? – zapytał Jonas.

– Tyle zachował w pamięci Informatyczny System.

Obracająca się sylwetka Wozu Bojowego odjechała do krawędzi ekranu, gdzie kontynuowała powolny obrót wokół własnej osi. Przed ich oczami na nowo ruszyła lawina krótkich, czasami ledwie migawkowych ujęć, przedstawiających coraz to nowe sekcje produkcyjne Modułu, linie przesyłowe, magazyny. Wzrok prześwietlał bryły kontenerów zatrzymanych przed gardłami studni transmisyjnych, zapadał w brzuchy pieców i cystern – nigdzie, bodaj przez moment, nie pojawiło się cokolwiek pokrewne szkicowi narzuconemu przez Bio-Łącze. Jonas, przede wszystkim, stwierdził jeden rys charakterystyczny tego wszystkiego, co Bio-Łącze wyłuskało z pamięci lokalnego systemu komputerowego – rozwiązania techniczne, jakie określały armaturę wewnątrz Modułu, chociaż przypisane znieruchomiałym obiektom, zachowały piętno tej samej ręki albo tego samego czasu. Przynajmniej w plastycznym wyrazie jednoczyła je ta sama płynność konstrukcji, elastyczność formy i jednoczesna ociążałość. Ktokolwiek się temu przyglądał dłużej, ogarniał wyobraźnią zwartą kompozycję – z wyjątkiem owej z boku przylepionej sylwetki. Bryła Wozu Bojowego sprawiała wrażenie reklamy, próbującej podsunąć coś w gorszym gatunku, kanciaste i nieporadne – niby skrzydła pteranodonta w muzeum ornitologii.

Obraz zgaśł wreszcie.

Bezszelestnie uniosła się pokrywa nad Bio-Łączem. Janko wstał, jakoś niezręcznie wydostał się spod klosza i zaczął się ubierać. Obok leżał na podłodze trup człowieka, który przed nim nadzorował I Moduł i pozostał na swoim stanowisku, kiedy w obwodach Dyspozytorni wygasła energia. Pozostał nagi, już za Pierwszą Linią, chociaż Mażulis nadal nie bardzo ufał jego śmierci. Janko chwilę patrzył na to ciało. Wzdrygnął się, jakby go teraz – już w ubraniu – przeniknął ziąb. Nie zwracając twarzy w stronę Jonasa wyciągnął do niego rękę, odebrał swój modlitewnik, schował za pazuchę i ruszył do wyjścia.

– Dokąd idziesz? – zapytał Jonas.

– To wszystko. Nie mamy czego szukać.



Wychodząc za nim, Jonas dostrzegł, jak ludzie Mażulisa wycofują się z dyspozytorni, z bronią w pogotowiu, jakby nawet ich – zaspawanych w skafandry i hełmy – potrafił zabić sam zapach śmierci.

Jonas przyspieszył kroku, aż zrównał się z Bio-Łączem. Wtedy objął Janko za ramiona.

– Może na zewnątrz? – sam sobie próbował zaszczepić nadzieję.

– Może – bezbarwnie powtórzył Janko.

– Stało się coś?

– A jakie to ma znaczenie? – zdawało się, sam do siebie powiedział Janko. –

Informatyczny System zarejestrował pierwsze przerwanie Studni. Pęka Rdzeń Enklawy. Forty Greisena stoją w ogniu.

– Wyłom?

– Bronią się.

Dalej szli w milczeniu. Dopiero przed wyjściem na powierzchnię Janko obrócił się i zapytał Jonasa wprost:

– Co zamierzasz?

– Spróbuję sam – odparł Jonas,

– Dotrzeć do Makonde?

– Aż do Enklawy TABOR. O ile to możliwe.

– Iść z tobą?

Jonas zastanowił się. Każdy z nich chciałby iść dalej, jeśli już postąpiło się ten pierwszy krok. Przede wszystkim Ion Szałamaja, wieczny włóczęga, chociaż na oko, nie rozwinięty nad larwiane stadium. Pewnie teraz umiera z ciekawości, ale – z własnego wyboru – pokornie dogląda tego, który już się nie ruszy o własnych siłach, chyba że jako Cień Feretriusa. Pokręcił głową.

– Samemu łatwiej będzie się przebić – powiedział.

– Wiem, jesteś Megaloxanthą – zgodził się Janko. – Bylibyśmy kulą u nogi.

Kiedy wydostali się wreszcie z podziemi i dobrnęli do w miarę wolnej przestrzeni, Janko zatrzymał się odetchnął głęboko. Jakby teraz dopiero odważył się zmienić powietrze zablokowane w płucach przed wejściem do szklanej trumny.

Przed nimi płaskie torowisko srebrzystą wstęgą przewijało się między potwornymi pniami, przez las rurociągów przeredzonych nieco na skroniach I Modułu, w górze jednakowo wpartych w niebo twardsze od kamienia. Janko przysiadł na szynie.

– Rozumiesz, co się stało? – zapytał Jonas.

– Nie.

– Błąd lokalizacji?

– Informatyczny System posiada luki w informacji ale nie kompletuje fałszywych

danych. Z pewnością do czasu, kiedy Poziom Fabryczny znalazł się za Pierwszą Linia, one musiały być tutaj.

– Ktoś je zabrał? – Jonas spojrział tam, gdzie rozrzedzenie stalowych filarów udostępniało oczom perspektywę płaskowyzu przysypanego siwym pyłem. – Komu były potrzebne? Ludziom Makonde albo genomotom?

Janko zwrócił w jego stronę twarz zmęczoną jak nigdy dotąd.

– Wierzysz w nich? – zapytał.

– To sprawa wiary?

Podszedł do nich Mażulis i zaproponował, że ze swoimi ludźmi okrąży filar Modułu. Jonas w milczeniu skinął głową – widocznie żołnierzom na dłużej starcza wytrwałości. Do ich powrotu nie zamienił słowa z Bio-Łączem. Trwało to ze dwadzieścia minut.

Nie chciał przeszkadzać Bio-Łączu, które siedziało z twarzą ukrytą w dłoniach. Odszedł.

Przypomniał sobie modlitwę, z jaką Kochanek Seleny zwrócił się do bogini jasnych nocy. Przestrzeń wtedy tężała wokół niego okowami lodu i zadawało się, że nie ma wyjścia z wiecznej zmarzliny. Wiele się zmieniło. Jeszcze na twarzy czuł dotyk innego gorąca, kiedy mu przed ustami otworzyła się płeć tancerki – kapłanki spod Drzewa Kosmosu. Na ile wytrzymał próbę wierności? Niewiele pamiętał. Zastanowił się, czy Selena byłaby przychylna jeszcze jednej jego prośbie i znowu przeniknął go chłód dziwny, jakby z rozłamu I Modułu gotów był dźwignąć się nowy Misza-saprofit, cały w obłokach trzeszczącego szronu. Wydało mu się nawet, że usłyszał czyjś krok. Pomyślał – Mażulis wraca. Lecz krok był lżejszy, a jednocześnie bardziej przytłaczający – ktokolwiek przechadzał się w żelaznym lesie, z pewnością nigdzie się nie spieszył.

Jonas obejrzał się. Pusto. Masywne walce wyrastały z pokrywy Modułu, żeby w spleceniach żyłastych kabli znaleźć w sobie nawzajem oparcie i piąć się w górę, przez wypróchniałe dziuple poziomów, aż w koronę Drzewa Kosmosu.

Jonas bezradnie szukał wzrokiem kierunku, w jakim oddalało się miarowe stąpanie. Nagle zrozumiał – rezonans czyichś kroków zbierała w sobie pojedyncza szyna, na której Janko przysiadł, a przecież niczego nie czuł, zdawało się niczego nie słyszał, pogrążony w rozterce.

Jonas skoczył do przodu; pchnięty niespodziewaną determinacją – dopędzić i ujawnić to coś nieuchwytnie, nie pierwszy raz uchodzące przed nim w powszechne zacisze. Nieco rozjaśniona wstęga znikwała w tunelu. Krok coraz cichszy – ten ktoś stromą pochylnią oddalał się w głąb ziemi. Kilkoma susami Jonas dopadł wylotu tunelu. Wewnątrz, w półmroku, dostrzegł tylko czerwone echo – dogasające ślady stóp.

W miejscu, gdzie się wypaliły wiśniowymi piętnami, płaska szyna wchodziła bezpośrednio w ścianę. Zupełnie absurdalny, ślepy tor. Nic nie wskazywało, że ściana – ograniczająca krótki korytarz – potrafi się unosić albo odchyłać wstecz. Ślepy zaułek. Donikąd prowadzący tor zapuścił węń fosforyczną żagiew. Poza nim nawiało tu kurzu i papierowego śmiecia, pociętego w puch nożycami ostrzejszymi od szczurzych zębów. Trochę strzępów zwisało jeszcze na ścianie przeciwległej do wlotu tunelu. Jonas wyżej uniósł oczy.

Zadrzał. Ktoś tam stał – znajomy. W dłoni maska odjęta od twarzy. Odchylona głowa. Czarna peleryna spływająca z ramienia, na niej kilka ocalałych złotych liter – orderów, hasło proklamujące Opatrzność. Niżej plakat oddarty na skos. Brak nogi uniesionej nad szkarłatnym zarzewiem, jakby buty, podkute białym żelazem, poszły swoją drogą. W połowie zrolowany i wystrzępiony plakat ujawniał pod sobą wielowarstwowy rodowód arkuszy; przez dziesiątki lat nakładających na siebie pokolenia haseł. Przedtem okryta skrzydłem czarnej peleryny, ujawniła się tam inna jeszcze postać, jednocześnie bardziej wyblakła w niedawnej konspiracji i ożywiona tym nowym dostąpieniem światła. Sylwetka wysokiego, muskularnego mężczyzny z potężnym młotem, jak toporem, zaciśniętym w dłoniach hartowanych pracą. Uniósł głowę, pod płachtą naklejoną z wierzchu, a teraz oddartą, spokojną twarz ufnie zwrócił ku nieskończoności i niebieskimi oczami, na wylot przez czarne strzępy, zdawał się zaglądać w przyszłość.

## 20. OSTATNIE WOZY BOJOWE

Kiedy między niebotycznymi kolumnami pokazały się cztery postacie w skafandrach, poznać było z daleka, że również oni nie znaleźli niczego. Tylko Mażulis zbliżył się do siedzącego Bio-Łącza. Odwrócony do nich plecami Jonas usłyszał krótką rozmowę:

– Przepraszam – powiedział Mażulis.

– Za co?

– Naprawdę chciałem to zrobić.

– Nic się nie stało.

– Miałeś ojca w Armii?

Janko milczał chwilę.

– Przed Endogeniczną – potwierdził cicho.

– Jesteś do niego podobny.

– Znaliście się?

– Po prostu pamiętam go. Swego czasu Armia stanowiła schronienie dla różnych oryginałów. Z niego zawsze był dziwny człowiek. Nie wiem, czego szukał w Armii. Nie był dobrym żołnierzem. Za dużo czytał. Pewnie by mi nie weszły w krew różne odruchy warunkowe, gdybym go częściej słuchał.

– To naprawdę nie ma znaczenia.

– Nie po to też przyszedłem. Widzę, że się męczysz. Takim, jak ja też nie jest lekko. Wiesz, skąd jestem?

– Wiem.

– Twój ojciec zamienił ze mną tylko kilka zdań. Kiedyś zobaczył, że się męcę... Jak ty. Pamięć najbardziej męczy. Podeszedł do mnie i powiedział: „Bądź optymistą, przyjacielu. Jediną stałą funkcją historii jest zmienność. Wszelki totalitaryzm, prędzej czy później, okazuje się kolosem na glinianych nogach”. Może to przeczytał w swoich książkach. Potem uśmiechnął się i dodał: „Nawet stała i niewzruszona opoka Ziemi okazała się planetą, jakby łupiną kosmicznego okrętu, zdana na łaskę międzygwiazdnych żywiołów”.

Ciężkie kroki dały znać, że Mażulis odszedł do swoich żołnierzy. Jonas odwrócił się, zaintrygowany.

Zobaczył tylko plecy Bio-Łącza. Janko już nie siedział, stał za to skulony jakiś i wąskie ramiona drżały mu wyraźnie. Między łopatkami czerwony stempel zachował swoje DO USŁUG. Jonas chciał podejść i coś powiedzieć, cokolwiek – byle odwrócić jego uwagę od spraw minionych. Janko jakby plecami wyczuł wzrok Megaloxanthy. Sam się obrócił na pięcie, na dowód, że coś mu we krwi zostało ze zwrotów na

komendę.

Stanęli przed sobą twarz w twarz. Janko śmiał się. Chichotał ze łzami w oczach, aż ręce przycisnął do brzucha i powstrzymywał kolejne spazmy wstrząsające jego drobnym ciałem.

– Co tobie – zaniepokoił się Jonas.

Janko zatoczył się. Z wypiekami na twarzy wyciągnął rękę, jakby chciał powstrzymać Jonasa. Znowu skulił się ze śmiechu.

– Słyszałeś, Jonas? – wykrztusił wreszcie. – Och! Jonas! Nie pytaj o nic! Nie, nie! Daj!

Ostatnie żądanie skierował do Mażulisa, który znów zbliżył się, zaniepokojony jak Jonas.

– Daj! – niespodziewanie w głosie Bio-Łączą przez nawroty chichotów przebił się kategoryczny rozkaz.

Mażulis z niepewną miną ścisnął w dłoni swój karabinek, już bez czarnego tłumika. Raptem Janko wykonał ręką ruch tak zręczny a nieoczekiwany, że broń znalazła się w jego posiadaniu.

– Za mną – rozkazał znowu.

Nie czekając wyminął Mażulisa. Nim go dogonili złożył się do strzału i daleko przed nim oślepiający błysk przyćmił dotychczasową poświatę, która cały ten świat spowijała w atmosferę dziwnego uśpienia.

Jonas chciał go powstrzymać i odebrać broń. Janko wykręcił się błyskawicznie i Jonas mógł zająrzeć jednym okiem w maleńką obrączkę lufy.

– Mówiłem, Jonas, nie pytaj! – zawołał. – Nie jestem praktykujący, ale wiem, jak to obsługiwać. Zresztą warto się chyba zabawić. Cóż nam innego zostało. Mażulis przekonał się, jak łatwo go rozbroić; Megaloxanthę też mogą oczekiwać pewne niespodzianki. A więc zdejmij, co masz na plecach. Szybciej! To naprawdę fascynujący spektakl... O tak!

Jonas podporządkował się woli Bio-Łączą. Sprzeciwiając się łatwo go było zabić. W oczach Janko zapaliły się iskierki szaleństwa. I cały czas ledwie powstrzymywał chichot.

Za plecami Bio-Łączą, gdzie otwierała się perspektywa w najgęstsze skupisko estakad, rozpalone do białości krople metalu kapały na ziemię z czeluści rozwartej w jednej z rur. Promień przewiercił ją na wylot. Okazała się pusta wewnątrz. Wystarczyło przyciąć też pod wysokim stropem, żeby wysoki walec runął w dół całym swoim ciężarem.

– Teraz wiesz, co masz zrobić? – ciągnął swoje Janko. – Tę dyszę skieruj tam. Widzisz? W sam środek. Na co czekasz, Jonas? Zrównaj to z ziemią!

Żołnierze Mażulisa stali bezradni. On sam nie ochłonął jeszcze? Jonas pomyślał,

że – w rzeczy samej – każdy spektakl jest dobry, jeśli i tak trzeba odejść. Nikt tu pewnie nie zawita więcej – można sobie pozwolić na ten fajerwerk. Nacisnął spust.

Nie było nic; ani dźwięku żadnego, ani promienia, wokół którego skwierczy powietrze. Tylko ciężar dyszy, odczuwalny w dłoniach, zniknął nagle. Teraz miał wrażenie, jakby trzymał przedmiot lżejszy od powietrza. Tam natomiast, gdzie skierował dyszę, pojawił się najpierw punkt, potem biała plamka, na pozór nie znajdująca oparcia na żadnej z kolumn, po prostu wisząca w przestrzeni.

– Wystarczy – powiedział Janko.

Jonas zwolnił palec. Tam już nie było ani niewymiernego punktu, ani płaskiej plamy. Biała kula rozrastała się szybko. Po jej powierzchni spływały szare nacieki i Jonas pojął, że coś się tam topi – bez dymu, bez ognia, bez bajecznego roziskrzenia. Kolumny splecione w jeden Filar I Modułu jak żywe odginały torsy od wybrzuszenia kuli. Przed chwilą pionowe słupy stanowiły ciemne, pionowe słoje drewna, jakby nawarstwione wokół sęka broczącego coraz żywszym światłem. Jeszcze ze stropu zwisały pionowe sople, w dole pasma okręcały się wokół pękatego wrzeciona, które nawijało na siebie włókna stali ciągnięte w piekielnym ogniu. Wreszcie jedno pękło. Za nim następne. Cyklop otwierał swoje oko – rozklejały się rzęsy, wreszcie na wierzch przebił się promienny wytrzeszcz. Czarne pręty odwijają się na boki, niby kraty więziennej celi wyduszane z potworną siłą. Sypnęło iskrami. Z jednej rury coś bluznęło gęste zrazu, lepkie – nim się rozplomieniło. Stał pociekła białymi strumykami. Coraz głębiej pękały ścięgna wiążące sklepienie z ziemią.

– Teraz za mną! – krzyknął Janko i zachłysnął się strasznym śmiechem.

Nie oglądał się, czy ktoś biegnie za nim. Na drodze do szalejącego żywiołu ocalało jeszcze kilka pełznących nad ziemią i dopiero nieco dalej ostro w górę wykręcających się kłaczy. Widocznie „oko cyklopa” otworzyło się daleko poza ich linią. Janko biegnąc osłaniał twarz przed żarem bijącym od centrum Modułu. Dopiero w cieniu jednego z ocalałych walców odwrócił się do podążających jego śladem.

Rękojeścią skierowaną od siebie podał broń Mażulisowi.

– Teraz to tnij – powiedział. – Gdzie trzeba precyzji zrobisz to najlepiej. Z dołu pod kątem. Potem u góry. Żeby się odwaliło w bok, a nie nam na głowy.

Wicher zerwał się w spokojnym dotąd powietrzu. Targnął jasnymi włosami Bio-Łączą. Poza coraz mniej pewną osłoną stalowej kolumny ogień huczał głośno. Sypnęło iskrami i rozległo się głuche tapnięcie. Płaty sadzy frunęły w powietrzu. Tymczasem Janko stał z rozwianymi włosami, w kurtce z rozchełstaną piersią – nawet nie drgnął, kiedy popiół sypnął mu na głowę żywe jeszcze iskry. Jako demon ognia najdziwniejszą miał twarz – białą, z oczami rozszerzonymi w upiornym świetle, jakby się zamienił wzrokiem z Feretriusem – puste oczy nie chwytają światła. Tym strasznym wzrokiem popatrzył na Mażulisa i szaleństwo zabrzmiało w jego głosie.

– Tnij! – rozkazał.

Mazulis jak zahipnotyzowany wyciągnął ramię. Pewna, prosta pręga na odlew smagneła przez tułów kolumny. Tym razem była to cieniutka, biała blizna. Mazulis odstąpił kilka kroków. Przymierzył znowu, jak na musztrze. Ten sam promień przepalił metal wysoko pod stropem. Kolumna chwilę trwała w bezruchu. Niepostrzeżenie zaczęła się odchyłać od pionu. Jej przycięty wierzchołek zakreślił łuk, pękła też wzdłuż cięcia u podstawy i runęła z piekielnym łomotem – pusta w środku.

Usłyszeli upiorny śmiech Bio-Łacza.

Janko rzucił się tam, gdzie zabrakło cienia. Powodowani dziwnym posłuszeństwem żołnierze bez wahania poszli za nim w ogień. Jonas ostatni dotarł do ogromnego kręgu, jaki pozostał w miejscu, gdzie odpadła rura. Jeden z komandosów już tam był, poza płonącym obrzeżem. Nagle z powrotem wyskoczył poza ten niewysoki pierścień. Tymczasem dno płytkiej studni podnosiło się powoli. Srebrne wybrzuszenie uniosło się nad czerwoną, potrzaskaną krawędź i wysuwało się dalej. Jakby aż tutaj sięgnął tłok, z drugiego końca obciążony kulą Dyspozytorni. Zobaczyli samych siebie w krzywym zwierciadle.

– Czekajcie tutaj! – zawołał Janko, ledwie przekrzykując łomot poza tym walcem, wysokim na cztery metry, który dał im osłonę przed ogniem buszującym w labiryncie armatury skłębionej nad pokrywą I Modułu. – Jonas, ty ze mną!

Sam runął głową do przodu, jak opętany, prosto w lustro wybiegające mu naprzeciw krzywym odbiciem jego roześmianej twarzy. Niespodziewanie lustrzana powierzchnia połknęła go w całości. Jonas porzucił przydzielony mu ekwipunek i skoczył za nim. Tylko przeniknęła go łaskotliwa fala. Poczuł, że leci – głową w dół, coraz szybciej. Nagle, w zupełnej ciemności, miał wrażenie, że go obraca w powietrzu stawiającym coraz większy opór. Kolejny dreszcz przeniknął go, tym razem od stóp. Ciemność pękła przed nim i na podkurczonych nogach wylądował na twardej, równej posadzce.

Zobaczył Janko zdzierającego z siebie bluzę opaloną i dymiącą jeszcze. Obejrzał się – za nim zamknęło się lustro w białym pierścieniu. Przez czarną pętlę można trafić pod ziemię.

Znowu usłyszał śmiech Bio-Łacza.

Zdążył dostrzec jego nagość prawie dziecienną, nim ją nakryła szklana powieka.

Obok inne ciało wałało się tak, jak je zostawili. Trochę jakby szerniało.

Wrócił więc do Dyspozytorni.

– Jak ci się to podoba, Jonas? – usłyszał głos zewsząd. – Słyszalesz przecież: „Nawet stała i niewzruszona opoka Ziemi okazała się planetą, jakby łupiną kosmicznego okrętu...”! Nie będę psuł efektu holowizją. Już wiesz, gdzie jestem.

Teraz spiesz z powrotem. Spiesz się, Jonas! Stracisz jedyną w życiu okazję! Ta—aki spektakl! W górę, Jonas! Tą samą drogą!

Nie czekał. Nie miał tu nic więcej do szukania. Wstąpił w lustro otoczone białym pierścieniem. Wszystko powtórzyło się w nieco odwróconej kolejności. Powietrze wypchnęło go po drugiej stronie zwierciadła i ustawiło obok znieruchomiłych postaci w skafandrach Endogenicznej.

Z jednej strony błękitne, ciemnopąsowe i złote płomienie wydobywały się z coraz to nowych pękających kolumn, z drugiej ciężkie dymy zwiły się pod stropem Fabrycznego Poziomu, rozpełzały się nad płaskowyżem Modułu i dalej, gdzie trwały niezmiennie mroczne masywy Modułu III, IV i IX. Opornie wynurzały się z ciemności. Jedyna żagiew rozpałała się nad I Modułem.

Nagle ziemia drgnęła im pod nogami.

Zakołysało. Daleka krawędź urwiska stanęła dęba i znowu opadła do poziomu. Gdzieś rozległ się trzask materii dartej potworną siłą. Jękliwie strzeliły pierwsze szyny. Z góry sypał się biały popiół i spadły pierwsze krople ognistego deszczu. Trysnęło nowe źródło, dotychczas tłoczące łatwopalną karmę między poziomami. Ze wzmożoną siłą ciężkie krople zabębniły po metalicznej pokrywie I Modułu. Rozbryzgujące się kleksy buchały obłoczkami pary, w mig dokonującej samozapłonu. Ten deszcz zaczął z tyłu spoza lustrzanego tłoka, który osłaniał ich płytkim podcieniem. Żar powietrza nie przekraczał wytrzymałości skafandrów i pancerza Megaloxanthy, tym niemniej zbili się w ciasną grupkę i stali ramię przy ramieniu. Żołnierze Endogenicznej z zachwytem prawie patrzyli przed siebie, gdzie ziemia i niebo jednakowo szarymi strumieniami płynęły w przeciwnych kierunkach. Wyglądało to tak, jakby metaliczna czy ceramiczna pokrywa Modułu upłynęła się nagle i od centrum płaskowyżu popłynęła potokiem szerokim na trzysta metrów. Jeszcze to był ruch niezmiernie powolny, lecz już ziemia rozłaziła się gdzieś w okolicy tamtej szczeliny dylatacyjnej, wzdłuż której maszerowali od krawędzi skarpy. Tu i ówdzie dalej pękały kłacza przerzucone nad tym rozłamem niby cumownicze liny, waliły się estakady, napinały struny mostów, żeby wreszcie wystrzelić szrapnele nitów przeszywających powietrze z upiornym świstem, belki wsporników niby maczugi miotane przez obudzonych cyklopów upojnie furkoczące blachy – jakby aż tutaj dotarł chichot Bio—Łącza.

Oni tymczasem czuli pod stopami powolne kołysanie. Cień spoza ich pleców wydłużał się coraz bardziej, wytyczał kierunek ruchu. Gdzieś tam rosła przestrzeń między nimi a „okiem cyklopa” gorejącym z zawziętością nowo narodzonej gwiazdy. Pożar tam drażył krater wulkanu i z nieba waliły się monstrialne słupy – daremnie ogromne ramiona miażdżyły o pancerną rufę Wozu Bojowego.

Pod ceramiczną pokrywą pracowały jakieś motory sprzężone z Bio—Łączem,



nowym Sternikiem. Bojowa machina – napędowe ogniwo produkcyjnego Modułu – wydobywała się z gniazda industrialnego osprzętu; pękały ostatnie linie przesyłowe energii elektrycznej, plazmy i mechanicznej siły. We wnętrzu ziemi znów ruszyły taśmy produkcyjne albo ruchome chodniki, wreszcie odzyskały pierwotne funkcje – tylko płaszczyzny posadzek zmieniły profil bieżnika, szarpnęły gaśnienicami i zaczęły wyrywać atomową siłownię z masy całego Modułu.

Daleko, prawie na horyzoncie, majaczyły inne bunkry. Tam nikt nie dotarł jeszcze. Tylko tutaj Wóz Bojowy wydostawał się z wiekowej przystani. W tym kierunku, gdzie wspięli się na płaskowyż – pancerną Tarczę Wozu – ziemia szerokim pasem przesuwiała się wobec reszty niepotrzebnych doków. Inne Wozy Bojowe jeszcze czekały na swoich jeźdźców.

Tutaj stało ich pięciu, nie licząc Sternika pociągającego za wodze od wewnątrz. Za ich plecami huczały płomienie, z przodu wyprzedzały ich dymy wysnute z tej samej przepaści, która w tej chwili rozwierała się za rufą Wozu Bojowego.

W ryku wichury, w łomocie blach nikt nie słuchał głosu Megaloxanthy, który coś deklamował z obcym sobie patosem. Twarz zwrócił przeciw wiatrom i dymom już zawracającym, odbitym od kopuły Enklawy i ochłodzonym nieco, żeby teraz niskim napływem skołtunionej fali ogarnąć gniazda innych Bojowych Wozów. Jonas stał skamieniały, z twarzą zaskorupiałą błękitnym pancerzem, z otwartymi szeroko, martwymi oczami; patrzył – niczego nie widząc przed sobą, i mówił – nie poruszając ustami:

– ... ZAPRAWDĘ NIE WIEM! JAKIE JEST MIEJSCE MOJE W TYM WSZECHŚWIECIE MARTWYM AŻ PO NIESKOŃCZONOŚĆ... CORAZ SZERSZE KRĘGI ZATACZA POŻOGA SZALEŃSTWA MOJEGO, WYPALA NAJSKRYTSZE ZAKAMARKI JAŻNI, GDZIE – JESZCZE PRZED CHWILĄ, PRZED TYSIĄCKROTNYM OBROTEM WOKÓŁ GWIEZDNEGO PŁOMIENIA – PULSOWAŁA KREW ŹRÓDLANA, WIARA NAJCZYSTSZA...

Deklamował tak, aż mu wzrok ocknął się pod ochroną soczewkowych łusek. Przejrzał na nowo tylko po to, żeby – między błyskawicami, przed czołem chmury płynącej im naprzeciw – zobaczyć postać biegnącą do nich i rozpaczliwie wymachującą ramionami.

Poznał komandosa pozostawionego w wartowni wytopionej w burcie Wozu Bojowego. Tamten zdawał się uciekać przed czołem skłębionej chmury. Wreszcie Jonas dostrzegł jego przerażoną twarz, a przede wszystkim rozpacz w oczach za szklaną przyłbicą.

Wtedy zrozumiał.

Przypomniał sobie, kto został poza skarpą, przed Tarczą Wozu, nim ten ruszył do przodu – na krwawy chrzest. Ofiara została złożona, można wyruszyć na nową

Wojnę.

## 21. WYPAD

Gorące poddmuchy wiatru podrywały linkę wyciągu, luźno zwieszoną od miejsca, gdzie nad krawędzią skarpy sterczał pozostawiony tam emiter. Białe nity wstrzelone w Tarczę Wozu odmierzały swoje trzy–czwarte metra. Tych metrów do ziemi – brakowało z dwadzieścia i to na przestrzeni dobrych stu dwudziestu metrów, między rozstawem monstrualnych gąsienic. Można było zajrzeć pod niedawną ścianę Modułu i pod dno Wozu Bojowego, obwisłe nieco, podświetlone dogasającym pożarem.

Ostatni linę wyciągu wypuścił z ręki Mażulis.

Jonas już biegł pod nawis Tarczy Wozu. Coś się zachwiało w krwawym świetle. Niewyraźna sylwetka zatoczyła się w jego stronę z rozpostartym krzyżem rąk i rozwianym włosiem.

Był kilkanaście kroków od tej postaci, kiedy w niewyraźnej plamie twarzy rozpoznał puste oczodoły. Cień Feretriusa słaniał się na tle migotliwych płomieni. Ktoś do niego doskoczył z tyłu, przełożył mu ramię pod pachą i wykonał prawidłowy rzut przez biodro. Cień Feretriusa rozciągnął się na ziemi. Z góry Kolczinski oparł na nim stopę i zaczął przeklinać, na czym świat stoi:

– Dokąd lezie, skurwysyn! Parszywy pomiot genomuta! – w tej chwili jego wzrok natknął się na Jonasa. – To wy? Żeby z was skurwysyny darły skórę pasami! Żeby was Wpleszcz! Czyj to był pomysł?

– Żyjecie! – Jonas poczuł nieprawdopodobną ulgę. – Gdzie Ion?

– Co Ion?! Niech ci zwiędnie jak przepuszczony przez Zmrocznik! Każdemu by obrzydło niańczenie tego pólidioty! Bełkocze parszywe imię Megaloxanthy i lezie gdzieś. Trudno utrzymać. To wasz pomysł?

Wskazał ogromne, lekko obrzmiałe sklepienie, wsparte na daleko rozstawionych gąsienicach, pod którymi ugiął się kołnierz otaczający Moduł.

– Bez Janko nigdy byśmy nie znaleźli – powiedział Jonas.

– Bzdura – parsknął Kolczinski. – Trzeba myśleć. Jeśli komuś zależało na zakamuflowaniu Wozów Bojowych, najprościej było zachować je w całości, tylko zmienić funkcje. Te cholerne twierdze posiadają motory i generatory energii zdolne wprawić w ruch cały Moduł Producyjny. Tylko tacy durnie, jak my, mogli łbem tryknąć pod właściwy adres i dalej w niczym się nie połapać.

– Janko nie przypuszczał, że wykonano to z takim rozmachem.

– Gdzie to cholerne Bio–Łącze?!

– Pozostał w sterowni Wozu – Jonas kiwnął głową w górę.

– Już się pasował na Sternika? Więc to ten skurwiel... Jak pitekanthrop dorwie się do sterowanej elektronicznie maszyny do mięsa, powinien dziesięć razy sprawdzić

czy któregoś palca nie wetknął między noże. Jeśli nie przy ręce, to u nogi. A jeśli nawet i nie rozsmaruje po ziemi, to i tak wolę osiwieć z własnych zgryzot, zamiast przez cudzą głupotę. Siedz!

Kolczinski bez pardonowo pchnął z powrotem do ziemi białowłosy Cień Feretriusa.

– Janko chyba wiedział, co się stanie, gdy ruszy Wozem – Jonas spróbował usprawiedliwić Bio-Łącze. – Jak widzę gaśienice najpierw dźwignęły tarczę Wozu nad Cembrowinę, w której osadzono Moduł. Może chciał sprawić wam niespodziankę.

– Wyśmienity dowcip! – Kolczinski obejrzał się przez ramię. – Hej, Szafamaja! Ktoś ci po prostu zrobił kawał! Czujesz to? Jeszcze jak czujesz! Tylko się na śmierć zaśmiać...

– Nam też nie było łatwo – powiedział Jonas.

Kolczinski popatrzył na niego uważnie. Przemilczał. Mażulis i czterej komandosi zatrzymali się na widok tego, który niedawno był Feretriusem, na dodatek w stopniu majora. Ślepiec usiłował wstać. Przynajmniej wywinąć się spod nogi Kolczinskiego i podpełznąć do Jonasa. Słyszeli jego świszczący oddech i urywany bełkot, jakby mu nie tylko wypalano oczy, lecz dodatkowo wyrwano język.

– Czego się ślepią?! – warknął Kolczinski. – Zabierzcie go stąd. Znajdzie się tam dla niego klatka?

Tym razem Kolczinski skinął w górę.

– Na pewno – odparł Jonas.

– Kędy tam wleźć?

Jakby Bio-Łącze przysłuchiwało się ich rozmowie; za porucznikiem Kolczinskim opuściła się pancerna łuska o średnicy dwudziestu metrów, za sobą pociągnęła srebrzysty walec. Ten sam rodzaj śluzu, co pozwala wyjrzeć na wierzch Wozu Bojowego. Tym razem tłok miał dłuższą drogę. Zaskorupiała stopa opuściła się z wysokości dwudziestu metrów, zanim wparła się w ziemię.

– Tam? – zapytał Kolczinski pokazując lustrzany słup. – Kolejny dowcip? Niech was diabli... Ty, ty i Mażulis – do roboty. Waszą piramidkę złożyliście pod samą ścianą, więc trochę przetrąciło architekturę. Pozbierać i załadować. Gdzie ładownie – pytajcie się swojego Bio-Łącza. Wy dwaj pomóżcie mi to curiosum zataszczyć w bezpieczne miejsce.

Żołnierze jakoś opornie ruszyli w stronę tego, który kiedyś był Feretriusem. Może przetrwał w nich respekt dla wyższej rangi. Ten szarpnął się, kiedy poczuł ich ręce na sobie. Spróbował wyrwać ramię przedtem wykręcone przez Kolczinskiego. Porucznik musiał dysponować siłą niezwykłą dla smukłej, zbyt eleganckiej sylwetki. Cień Feretriusa ledwie się ruszył, żelaznym chwytem osadzony w miejscu. Tylko głowę

odwrócił, kiedy go pociągęli, i pustymi oczodołami poszukał Jonasa. Poruszył przy tym ustami, zupełnie bezdźwięcznie, a przecież Jonas byłby przysiągł, że usłyszał coś bełkotliwe, przypominające wielokrotne powtórzenie „Megaalo–anta–megao–olan...”. Wzdrygnął się.

Poczuł na sobie uważny wzrok Kolczńskiego.

– Słyszałeś? – zapytał porucznik. – Tak cały czas.

– Zostawcie go – rozkazał Jonas.

Kolczński wzruszył ramionami. Mruknął na swoich żołnierzy i sam odstąpił w bok. Potem spode łba patrzył, jak Cień Feretriusa zbliżył się do Jonasa, dotknął go ręką i niespodziewanie przysiadł u stóp Megaloxanthy.

Zdawało się, że Kolczński zaklął pod nosem. Gwałtownie obrócił się na pięcie, żołnierze za nim, jak na musztrze – żaden się nie obejrzał, kiedy odeszli pomagać Mażulisowi przy załadunku sprzętu, zapasów żywności i trzydziestotonowego wyposażenia Iona Szałamaji.

Teraz dopiero Jonas uświadomił sobie, jak mu brakuje pociesznego grubaska. Nieczęsto trafiają się ludzie nie przejmujący się niczym, a przy tym obciążeni pamięcią, która nie przeszkadza z humorem podchodzić do własnej niezdolności. Poszukał go wzrokiem. Przez moment miał wrażenie, że Ion też mu się przygląda z daleka, lecz Szałamaja szybko odwrócił oczy. Stał z boku, dziwnie przygaszony – nerwowo przestępował z nogi na nogę. Dziwnie mu się nie spieszyło z komentarzem, chociaż powinien być zadowolony; jego Wozy Bojowe nie okazały się mitem i dalsza droga stała przed nimi otworem.

Jonas ruszył w jego kierunku. Zapomniał o Feretriusie. Ten sprężyste poderwał się z przysiadu i jak cień ruszył za nim. Wyglądało, że doskonale słyszy albo czuje każde poruszenie Jonasa. Twarz mu się przy tym zaróżowiła nieco i uspokoiła. Nic nie wskazywało, że w najbliższym czasie zamierza odstąpić od Megaloxanthy.

Jonas przystanął bezradny.

Do Szałamaji tymczasem podszedł Kolczński. Wymienił z nim jakąś uwagę i podał grubaskowi zawiniątko wyciągnięte z jakiejś skrzynki. Ten szybko pokiwał głową, po czym – drobiąc krótkimi nóżkami – ruszył do służby Wozu. Na moment zawahał się przed wypukłym lustrem, zdobył się jednak na ten krok i postąpił do przodu.

Z drugiej strony ludzie Mażulisa ładowali ostatnie pojemniki. Po prostu wsuwali je w lustrzaną przesłonę. Wreszcie zgodnie naparli na kontener Szałamaji i ten niespodziewanie płynnie pośliznął się i znurkował w śluzę. Tym razem Kolczński podszedł do Mażulisa. Coś powiedział. Widać było, jak Mażulis cały zeszytniał. Porucznik pochylił się nad ostatnią skrzynką, jaka jeszcze nie powędrowała do ładowni Wozu Bojowego. Uniósł jej pokrywę i zaczął wyjmować jakieś obte

przedmioty. Każdemu przyglądał się z osobna. Jedne przyczepiał sobie do pasa inne odkładał na bok. Wreszcie te pozostawione, z powrotem wrzucił do skrzyni.

Nagle Mazulis wykonał gwałtowne w tył zwrot i zniknął w służbie. Reszta żołnierzy ociągając się pomaszerowała za nim.

Kolczinski chwilę patrzył ich śladem, potem oburącz dźwignął swoją skrzynkę i pchnął w tę samą służbę.

Coś odwróciło uwagę Jonasa. Z jednej strony, gdzie dogorywał wyszczerbiony I Moduł, pożar łatwopalnych materiałów nie rozprzestrzenił się zbytnio – na ile można się było zorientować w perspektywie przeszło stumetrowego rozstawu gąsienic Wozu Bojowego. Musiała istnieć blokada między poziomami – ostatecznie ogień podłożyło Bio-Łącze, kto lepiej od niego powinien był wiedzieć, czy cała Enklawa nie stanie od tego w płomieniach. Za to z przeciwnej strony, skąd przebił się mobil Endogenicznej, odezwało się głuchoe tąpnięcie we wnętrzu ziemi. Tam, w ciemności przyprószonej warstwami kurzu i popiołu, działa się coś jeszcze; może nie tak gwałtowne, jak pożar podłożony ich ręką, za to z pewnością bardziej trwałe – nie wygaśnie, nim ogarnie całe THARSYS, aż po Moduł CETI – ostatnią wyspę w *silentium universum*.

Czas ruszać, pomyślał Jonas, jeśli mamy zamiar wrócić nim zostaną same zgliszcza.

Przed lustrzaną ścianą, w którą można byłoby wjechać całym mobilem, twarzą w twarz natknął się na Kolczinskiego. Objął go za ramię.

– Chodźmy – powiedział.

Obok krok w krok postępował Cień Feretriusa.

Kolczinski uśmiechnął się i powoli, ale zdecydowanie, zdjął rękę Jonasa ze swego ramienia.

– Beze mnie – powiedział.

Jonas popatrzył na niego, jak na człowieka niespełna rozumu.

– Zwariowałeś – powiedział.

Kolczinski wykonał ręką gest obejmujący coś niewidzialne.

– Ten świat nie jest nasz – powiedział. – Chociaż uparcie kroimy go na własny obraz i podobieństwo. Każdy z nas w innym miejscu i czasie zostawił sumienie. Dziś podziękujmy Bogu za to, że – odbierając czas i miejsce – zostawił nam szansę śmierci. I módlmy się, żeby się nie rozmyślił. Rozumiesz, mnie, Jonas? Chcę umrzeć. Nie w imię tych, którzy mogą przetrwać, lecz z tymi, którzy zdechną ze mną. Wracam do mojego gówna.

– Poszaleliście wszyscy – cicho stwierdził Jonas.

– Szaleństwo, to piękna rzecz – z rozmarzeniem powiedział Kolczinski. – Ciebie na nią stać. Gdzieś dążysz, w coś wierzysz – albo tak ci się wydaje. Moje ręce cuchną po łokcie. Nic więcej. Jak sięgnę pamięcią – śmierć idzie krok w krok za mną, tylko

zbyttnio rozgląda się na boki. Może i ona potrzebuje skupienia. Powierzam ci moich żołnierzy. Tylu zostało. Dbaj o nich.

Poprawił długą strzelbę przewieszoną przez ramię. Był w pełnym rynsztunku, który nie ujął mu elegancji. Nawet szeroki pas, zapięty wokół bioder – obwieszony dwiema kaburami, ładownicami, masywnym kordelasem i wiązką czarno-szarych granatów, jakby wypalonych w ognisku, potem zdobionych misternym ornamentem – nie wypaczał obrazu lekkiej, prostej jak struna, bardziej do parad przywykłej sylwetki oficera.

– Ze mną traficie najwyżej do piekła – powiedział jeszcze tonem usprawiedliwienia. – Niech śmierć idzie za mną. Obyśmy nie spotkali się, kiedy wróćcie. Tego mi życcie.

Na moment zatrzymał się przy Cieniu Feretriusa.

– Był z ciebie dobry żołnierz – powiedział. – Bądź czymś więcej niż psem Megaloxanthy.

Ruszył z miejsca sprężystym, równym krokiem. Nawet nie spojrzał na Jonasa. Dopiero kiedy wyszedł spod Tarczy Wozu, odwrócił głowę i zawołał:

– Pozdrowienia dla Janko! Niech mnie nie zdepcie! Została mi ostatnia para spodni!

Chwilę Jonas śledził wzrokiem oddalającą się postać. Kolczynski wracał tą samą drogą, kędy przeprowadził mobil – samym środkiem rozłamu srebrzystoszarej osnowy Fabrycznego Poziomu.

Obok Cień Feretriusa przestąpił z nogi na nogę. Po raz pierwszy okazał zniecierpliwienie.

– Już, już – uspokoił go Jonas. – Idziemy.

Śluza przyjęła ich karykaturalnym odbiciem krzywego zwierciadła. Poza nim wpadało się w ciemność. Pneumatyczny tłok podniósł ich w górę, niby przełykiem gigantycznego brontozaura, który zwiesił długą szyję, żeby ostatni kęs podjąć przed wędrówką w poszukiwaniu laguny przytulniejszej od THARSYS.

W sterowni brakowało dwóch komandosów. Ledwie Jonas stwierdził ich nieobecność, kiedy sucho strzeliła śluza po drugiej stronie awaryjnego włazu i obydwaj wylądowali tuż za rzędem foteli otaczających kołyskę Sternika. Odruchowo Jonas poszukał wzrokiem tamtego trupa, którego przedtem wywlekli spod klosza, żeby zwolnić miejsce dla Bio-Łączza. Żołnierze go pewnie wynieśli i razem z rzeczami wyrzucili przez górny właz. Tylko ubranie Janko zwisało na poręczy jednego z foteli.

– Panowie zajmą miejsca – odezwał się głos Bio-Łączza. – Wizję dam, kiedy dojdziemy do podnóża kopuły.

– To znaczy, że już...? – zapytał Jonas.

– Jesteśmy w drodze.

– Nie taki znów relikwiot techniki – powiedział Jonas sadowiając się w fotelu obok przejścia. – Nie kołysz w ruchu.

– No właśnie – potwierdził Sternik. – Proponuję krótki instruktaż dla wyeliminowania nieporozumień.

Na ekranie ukazał się schemat Wozu Bojowego. Nic nowego, poza podkreśleniem zasady wcześniejszego wpasowania w I Moduł Produkcyjny. Konstrukcja okazała się tak przejrzysta, aż trudno było zrozumieć, jak jej nie wyłowili przedtem z osnowy całego Modułu.

– Jesteśmy w Sterowni – kontynuował głos Bio-Łacza. – Poza tym w kuli równoważonej elektromagnetycznym żyroskopem znajdują się pomieszczenia załogi. Jest trzynaście kabin dwuosobowych. Dobierajcie się według woli albo decydujcie na intymność zakłócaną wyłącznie przeze mnie – mam kontakt z każdym pomieszczeniem. Bezpośrednio przy Sterowni, idzie się tam przez właz awaryjny, umieszczone są magazyny rzeczy wrażliwych na wstrząsy i mała zbrojownia. Umieściłem tam wszystko, co nam zostawił Kolczinski, za wyjątkiem androidalnego siłownika Iona Szałamaji.

Jonas spostrzegł, jak grubasek aż podskoczył na swoim fotelu. Na chwilę zastygł przed kołyską Sternika, cały sprężony, z zaciśniętymi piąstkami. Wreszcie skulił się – widocznie poczuł na sobie wzrok reszty załogi. Zaczerwieniony po uszy tylko szarpnął wąsy i klapnął z powrotem na swoje siedzenie. Teraz dopiero Jonas uświadomił sobie, dlaczego Ion tak przycichł ostatnio – zniknęły jego karmazynowe spodnie. Pasek podtrzymywał na brzuchu rozcięte z jednej strony, za to zdecydowanie za długie spodnie od munduru Kolczinskiego. Piekielne wrażenie wywarła na nim nagle stojąca dęba skarpa Modułu. Cicho zachichotał Cień Feretriusa.

Przecież on jest ślepy, pomyślał Jonas.

– Kula Sterowni spoczywa zwykle w silnym elektromagnetycznym łożysku – Sternik prowadził swój wykład. – Dwa szyby transmisyjne łączą ją z podstawowymi śluzami Wozu. Pierścień, po którym dotarliśmy do Sterowni, stanowi element sztywno spojony z trzystutonowym wirnikiem obracającym się wokół kuli.

– Wirnik? – zdziwił się Jonas. – Nie zauważyłem, kiedy przez niego przeszliśmy.

– Kwestia spostrzegawczości – zgodził się głos Sternika. – W stanie spoczynku następuje koincydencja jedyne go przejścia z wylotem awaryjnego tunelu. Poza tym wirnik żyroskopu, poruszający się w ośrodku 10 atmosferycznego ciśnienia, dokonuje około czterdzieści obrotów na sekundę, co – przy promieniu czterdzieści pięć metrów – daje II prędkość kosmiczną na obwodzie. Elektromagnetyczne zawieszenie Sterowni gwarantuje jej nieograniczoną prawie swobodę zawieszenia względem zasadniczej masy Wozu Bojowego; dlatego wirnik jest właściwie mechanicznym



akumulatorem energii, na wypadek awarii systemu zasilania motorów.

– Kiedy przekraczaliśmy lukę, między wirnikiem a kulą, nie było tam żadnego  $10^{-2}$  atmosferycznego ciśnienia – stwierdził Jonas. – Czułbym się bliżej domu.

– Wirnik wyhamowało w czasie awarii I Modułu – wyjaśnił Sternik. – Teraz powietrze zostało wypompowane. Na obwodzie mamy już prawie tysiąc kilometrów na sekundę.

– To znaczy, że z awaryjnej śluzy korzystać można tylko przy zatrzymanym wirniku?

– Oczywiście. Ale też awaryjna śluza potrzebna jest tylko w sytuacji, kiedy z Wozu zostaje złom.

– Co dalej?

– Reszta właściwie was nie obchodzi – powiedział Sternik. – Musiałbym się rozwódzić o zasilaniu systemów gaśnicowych, o elektronice i mechanice. Mam do tego osiemdziesiąt automatów naprawczych i trzy razy tyle półautomatów. Wszystkie remonty, łącznie z regeneracją ewentualnych ubytków pancerza, dokonam bez zwracania wam głowy. O sprawności mojego zaplecza pierwszy może się przekonać Szałamaja. Oto główne ładowanie Wozu. Wybacz, Ion, moim obowiązkiem jest wiedzieć, co posiadam. Poza tym masz z głowy montaż.

Kamery musiały zajrzeć do znacznie większych ładowni Wozu, niż te, które mogłyby zmieścić się obok Sterowni. Długie pomieszczenie wypełnione było ciemnoczerwonym światłem, niby fotograficzna ciemnia. W bocznych ścianach czarne łuski nakrywały samodzielne boksy, całość natomiast zamykał ogromny, karbowany trap. Po odrzuceniu na zewnątrz tego zwodzonego pomostu można było na powierzchnię zjechać jakimiś lżejszymi środkami lokomocji – podobnie jak to miało miejsce z mobilem Endogenicznej, chociaż skala była nieporównywalna. Właściwie trudno było określić wysokość owego pomieszczenia, z powodu braku elementu o znanych wymiarach, mogącego posłużyć za punkt odniesienia – lecz oś kamery, umieszczonej chyba pod owalnym sklepieniem, zastanawiające długo prowadziła ich spojrzenie przez dalszy plan tego magazynu, zanim wyeksponowała to, co było przeznaczone dla Iona Szałamaji.

Tym razem grubasek zachował spokój. Cały tylko zapadł się w fotel i patrzył spode łba, wyraźnie naburmuszony.

Wzdłuż ładowni, na wznak na metalicznych posadzkach, spoczywał kształt niby ludzki, rozciągnięty aż po właz spinający strop i posadzkę. Bezpośrednio przy zwodzonym moście leżała ogromna, szklana kula, jakby – poza wypukłą, srebrzystą pierśią – pozbawiona karku i bezpośrednio wpasowana w krótki, zwarty tułów. Od niego odchodziły rozrzucone bezwładnie dwa długie ramiona i nogi stanowiące przynajmniej połowę masy całego ciała. Owe monstrialne teleskopowe słupy, z

nawijanymi strunami tytanowych ściągien, chociaż równie bezwładne jak reszta ciała, sprawiały wrażenie trudno uchwytnej mobilizacji, jakby istniały same w sobie i wyłącznie dla siebie, przy czym daleko odrzucony korpuso-łeb stanowi marginalny dodatek; i w każdej chwili nogi te mogą się pozbyć zbędnej symbiozy, powstać i wyrwać się na zewnątrz, po czym niezmierną przestrzeń odmierzać krokiem dwóch niezmordowanych, pneumatycznych szczudeł.

– Prawidłowo? – odezwał się głos Sternika. – Jeszcze go tylko musisz natchnąć sobą.

– To miała być niespodzianka – mruknął Szałamaja.

– Dla mnie? – zdziwił się Sternik.

– Żeby Jonas nieco spuścił z nadprzyrodzoności – Ion powoli odzyskiwał dobry humor.

– Na twoje konto? – uśmiechnął się Jonas.

– Chociażby! – parsknął Szałamaja. – Mechaneurystyczna przesadza z megalomanią Megaloxanthy. Niech ci się nie zdaje, że tam, u siebie, dostąpiliście szczytu przemysłowości. Był taki czas i tacy ludzie, którzy potrafili dokonać rzeczy, o jakich nie śniło się Selenie.

– Słusznie zauważyłeś – podchwycił Jonas. – Był taki czas i byli tacy ludzie.

Znowu roześmiał się tylko Cień Feretriusa.

Ponury Mażulis siedział między swoimi komandosami. Raptem z ekranu przepadła ciemnia ładowni. Naprzeciw nim tym razem w pełni przestrzennej holowizji, wypłynęła ogromna, jasna plama czyjejs twarzy. Obraz wyostrzył się i poznali twarz Bio-Łączą; lekko zarumienione policzki, roześmiane oczy i płowe włosy unoszące się wokół głowy naelektryzowaną mgiełką.

Jonas mimowolnie opuścił wzrok. Na wprost, pod przezroczystym kloszem, Janko spoczywał w bezruchu. Tam twarz była blada, bez kropli krwi, z zapadniętymi oczami i siną blizną zaciśniętych ust.

– Wasz Charon wita załogę – powiedziało widmo ożywionej twarzy Bio-Łączą. – Są jeszcze pytania?

– Jakie właściwie wymiary posiada nasza twierdza na gąsienicach? – zapytał Jonas.

– Długość 220, szerokość 200, całkowita wysokość 68 metrów.

– Majestatycznie – przyznał Jonas. – Jaką rozwijamy prędkość?

– Do trzydziestu węzłów.

– Gdzie jesteśmy?

Niespodziewanie niebieskie oczy spowaźniały.

– Dowiadujmy się dróg naszych, a szukajmy i nawróćmy się do tego, który nas wezwał – cicho powiedział Sternik.

Jego usta chwilę drżały w powietrzu, jakby w duchu kończył sobie wiadomą modlitwę. Wreszcie uśmiechnął się znowu.

– Zaraz pożegna nas Cherubin z płomienistym mieczem – powiedział.

Czarny wir pochłonął jego twarz.

Jednocześnie płaski ekran wybiegł im naprzeciw mrocznym tunelem, który srebrna pierś Bio–Łacza, na wznak spoczywającego w kołysce Sternika, dopełniła przestrzeni. Nagle rozkręcone płyty ciemności okazały się strzępami chmur albo dymów. Dotarły aż tutaj od pochodni I Modułu, rozpalonej daleko za rufą Wozu Bojowego. Pod sklepieniem gigantycznej pieczary kłęby sadzy dążyły do jej krańców, tam ochładzały się i przed ścianą Kopuły zapadały w dół, sypały popiołem z brzuchów przedtem brzemiennych pożarem. Teraz, znów nabierając lekkości, dymnymi strumieniami, tuż nad ziemią przeciskały się pośród martwych budowli, między blokami złomu oplecionego rurociągami, przez szklane armatury, kratownice pomostów i pajęczyny kabli – siwą mgłą wracały z powrotem w ognisko. Tylko naprzeciw Tarczy Wozu rozstępowały się lotne pasma. Rozpostartym szeroko wachlarzem rozchodziły się w górę i na boki, jakby potworny buldożer – gaśnicami zdolny miażdżyć piramidy, żelazne zikkuraty i okryte ceramiczną łuską zbrojne kurhany – toczył przed sobą, z innego czasu i przestrzeni zagarniętą, kulę czystego powietrza – wiatr postępujący przed lemieszem Bojowego Wozu.

Spoza katarakty popiołów i sadzy coraz częściej prześwitywała kopuła Enklawy. Prosto w nią uderzył nagle jasny promień, jak niesiony wzrokiem wszystkich oczu, które ze Sterowni Wozu próbowały wyjrzeć poza THARSYS. Cieńszy niż włos lancet smagnął przestrzeń i zostawił po sobie biały łuk, po bokach ciekący krwawą pianą roztopionego szkła. Dziwnie porwane cienie, niby ptaki utkane z pajęczyny, pierzchnęły z łopotem skrzydeł, który przemknął pod pancerz Wozu Bojowego. Po drodze coś bluznęło fosforyczną kaszą, zawiesiło w powietrzu lotne radiolaria – półprzejrzyste kłębuszki jedwabistej przędzy, z ciemnym ziarnem w środku i ognistym parzydłem ciągnionym z serca eksplozji. Chrapliwym basem tchnął im w twarze zdepięty nieostrożnie Kostropian–purchawica. Otworzyła się ciemna gardziel, przez którą Rojnik Arrheniusa sypnął swoją plemnię.

Trzaskające ziarna osypały się im, sprzed powiek, wykrzesaly z oczu ciężkie, ołowiane krople. Ktoś wrzasnął – A–ACHEE–RON! Ktoś zaczął szeptać – *qui vive la pieta quando e ben morta...* W powietrzu pozostał różowiejący naciek – przestrzeń obrosła cieniutkimi korzonkami, które w niewidzialnej szybie dalej żłobiły dorzecza nitkowatych zmarszczek.

Wreszcie Tarcza Wozu uderzyła w płaszczyznę ściany pod tęczą. Znowu coś eksplodowało w pobliżu, aż miękko zakołysało Sterownią zawieszoną w elektromagnetycznym imadle. Rozległ się przeciągły jęk, zawibrował szklanym

rezonansiem i – pękł nagle. Żelazne serce dzwonu, ogromnym kloszem nakrywającego THARSYS, odłupało brzeg wbitego w ziemię kielicha.

Na moment płomienny kleks zakwitł przed nimi, pewnie skrzesany Tarczą Wozu. Dotąd mgielne pasma dymów zajaśniały seledynowym światłem, sprężyły się, zageściły elastyczne nici, niby zwiedziona kurczem Sieć Stinsona.

Jonas poczuł dziwny dreszcz. Mrowienie od karku schodziło w pięści. Kątem oka dostrzegł ruch – tuż obok siebie. Ktoś przy nim zachłysnął się tym samym jękiem, jaki jeszcze wstępował na wyższe piętra Enklawy, żeby głosem pękniętego dzwonu przemówić do tych, którzy zapomnieli, że coś jeszcze istnieje poza Pierwszą Linią – może przebudził Stinsona i poderwał ludzi z sekcji nasłuchu CETI, ogarniętych apatią ciszy wszechwładnej na zewnątrz Enklawy.

Przed Jonasem zachwiała się ciemna sylwetka – Cień Feretriusa z rozpostartymi ramionami postąpił jeszcze jeden krok do przodu. W bok od kierunku natarcia Wozu Bojowego.

Jonas zerwał się, żeby go z powrotem ściągnąć w fotel. Dopiero wtedy, ponad ramieniem skulonej postaci, dostrzegł zieloną luminescencję. Migotliwe języki niezwyklego ognia pełgały w rozłomie jakichś konstrukcji, powoli przesuwających się wstecz. Pod wpływem jadowicie zielonych płomieni zeszkliły się żelazne bloki, zakołysały przezroczystymi widmami i powoli chyliły się do ziemi, wszystkie w jeden punkt. Z tego, co już tam spłynęło, uformowała się wielka kula, niby mydlana bańka. W jej wnętrzu – Jonas potrząsnął głową – ktoś stał; wysoki, smukły, jednocześnie nagi i oklejony szklینym pancerzem, chrupkim nabłonkiem, przez który prześwitywało gładkie ciało – niby człowieka, niby Megaloxanthy. Ten ktoś miał długą i szczupłą twarz, pełną bezgranicznego spokoju. Tylko okrągłe szmaragdowe oczy zdawały się zaglądać do wnętrza Sterowni.

Absurd! – pomyślał Jonas. Przecież to tylko holowizyjne odwzorowanie świata, który – dzięki elektronicznym zmysłom Wozu Bojowego – zarejestrowany został poza chroniącym ich pancerzem.

A jednak ten ktoś patrzył. I widział ich – jak na dłoni.

– Mówiłem! – zachichotał Sternik. – Cherubin z rodu genomutów pozdrawia nas na odchodne!

Coś poruszyło się u stóp tej postaci, melancholijnie spoglądającej za przesuwanym się Wozem Bojowym. Jakby się tam pienieło coś żywotnego nad zwykłą, ludzką miarę, kłębem białych ciał garnęło się do stóp owej Istoty, wąsy szczurzych ogonów unosiło nad guzowate łby.

Znowu zakołysała Sterownią. Zjawa przepadła w obłoku jaskrawej luminescencji, jakby Wóz zerwał wreszcie Sieć Stinsona i skoczył do przodu. Jedynie Cień Feretriusa dalej skamlał niby pies obity pałką po grzbiecie, to znów zawodził

wysokim, wibrującym jękiem. Jonas porwał go za ramiona wstrząsnął i cisnął w najbliższy fotel. Sam poszukał wzrokiem kierunku nad kołyską Sternika.

Niebotyczna ściana Enklawy odchylała się powoli pod naciskiem Tarczy Wozu. W miejscu, gdzie promienisty skalpel naciął szeroki łuk, pojawiła się ciemna szczelina. Najpierw była to tylko nieco wygięta, pozioma krecha – jej końce coraz szybciej zbiegały w ziemię. Teraz pęczniał przed nimi ogromny, czarny półksiężyc, sierpami zwrócony w dół. Płat szklanego muru coraz głębiej odchylał się na zewnątrz. Uniosło Tarczę Wozu – prosto w ciemność nabijaną srebrnymi nitami, w migotliwe wysypisko Mlecznej Drogi. Znowu rzuciło Wozem, tym razem w dół – gąsienice zjechały po zwodzonym moście, po szklanej pochylni opuszczonej przed pęcherz nakrywający Enklawę.

## 22. STARCIE U SCHYŁKU EPOKI IUM

Daleko za sobą zostawili ogrom THARSYS – mleczną kopułę, od spodu podsiąkającą mrokiem. Tylko przy jej wierzchołku światła przybijały spod bielma. Długo ich odprowadzał ten blady majak – gasnąca źrenica, z Modułem CETI chętniej zapatrzonym w gwiazdy, niż nasłuchującym Rozumu ocalałego na tej samej ziemi. Wreszcie i to nakryła noc.

Przed nimi rozpościerała się jednostajna równina.

Zaraz za ścianą Enklawy wkroczyli w pejzaż nie mniej księżycowy od tego, jaki Jonas zapamiętał z Królestwa Seleny. Krater wpisany był w krater, bruzdy ciągnęły się dziesiątkami kilometrów czasami ciemnym tunelem nurkowały pod powierzchnię ziemi, jakby je wygryzły toczące skałę czerwie. Ten Dach Świata nie nosił zbyt wielu znamion Industrialno–Urbanistycznego Masywu. Cokolwiek kiedyś dało podwaliny wszystkim Enklawom, zostało – przynajmniej z wierzchu – przemielone dokładnie, sprasowane zagonami pancernych wozów – kiedy znajdowali się jeszcze odważni, żeby wytykać nos spod hełmu, spuszczonego na THARSYS. Wszystko wciąż na nowo kruszono wtedy eksplozjami specjalnych bomb, zapowietrzano podkopami po jednej i drugiej stronie Pierwszej Linii. Gdzieś tutaj wykluwały się pierwotne formy dzisiejszych Złotokapów, Efebów–przedrzeźniaczy i Bełkotników; tutaj też hartowała się Armia – aż powstała z niej Endogeniczna. Miejsca minionych zmagających pokryły wydmy lotnych pyłów, bezbarwny szlam – nawiewany przez wiatr i znów odgarniany, z cierpliwością klepsydry wtajemniczonych w arkana perpetuum mobile, żeby osłaniać wstydliwie i znów obnażać fragmenty zdławionych, metalicznych konstrukcji, kostropate wybrzuszenia bunkrów, krater i szkliste kałuże, gdzie płynna miazga po opancerzonych transporterach zastygła lustrzanymi kleksami. Wszystko to reflektory Wozu Bojowego wyławiała z mroku, albo ekran Sterowni ujawniał w podskórnych szczegółach, dzięki elektronicznej interpretacji podczerwieni.

Im dalej, tym mniej było śladów bytności człowieka. Przed Tarczą Wozu przewijał się, na pozór zwyczajny, księżycowy pejzaż, ciągle piętrzący szare łańcuchy nowych formacji skalnych. A jednak przelotne muśnięcia reflektorów ujawniały płytkie ryty metalicznych ścian, wyraźnie geometryczne żłobieni? częściowo dopełnione rdzą, to znów szkliwnym wysiękiem. Mimo woli oczy Megaloxanthy dopatrywały się w tym monstualnych budowli Szernów, które tu kiedyś zostały poddane próbie piekielnego ognia i nadtopiły się przynajmniej z wierzchu, zasklepiły nieco chropowatość urwisk skalnych i głązów spiętrzonych na głązach – niby dzisiaj monolityczne bryły mechanizmów, które Demon Ruchu opuścił w prehistorii.

Owe łańcuchy skalne, rozciągnięte aż po horyzont, koncentrycznymi kręgami

rozchodziły się albo zbiegały w to miejsce, gdzie ostatnia Enklawa zachowała nieco minionej świetności całego Industrialno–Urbanistycznego Masywu. Oddalający się od tego centrum Wóz Bojowy nie musiał gąsienicami miazdżyć zbyt stromych uskoków. Przed nimi teren został zniwelowany dużo wcześniej, jak ostatni rzymski trakt, wiodący do mglistej krainy Brytów. Grzbiety cyrkułów zakłęśły się łagodnymi przełęczami w miejscach, gdzie – ławą przynajmniej trzech obok siebie postępujących Wozów – przebijały się kiedyś konwoje.

– Gdzie stary Makonde wyznaczył spotkanie? – zapytał Ion Szałamaja.

– W pobliżu Maw–szynrang.

Jonas niechętnie wycofał wzrok do wnętrza Sterowni. Może to sprawiło hipnotyczne kołysanie linii horyzontu, może ograniczoność THARSYS spotęgowała w nim – ujawnione teraz – pragnienie swobodnej przestrzeni.

– Janko zna to miejsce? – dopytywał Szałamaja, jakby istniała inna możliwość.

– To jedno z niewielu miejsc, gdzie aktualna rzeźba terenu pokrywa się z geografiami Industrialno–Urbanistycznego Masywu – odezwał się głos Sternika. – Z danych kartograficznych, zebranych w okresie funkcjonowania systemu CETI, interpretacja Informatycznego Systemu pozwala – z prawdopodobieństwem rzędu 99,98 – utożsamiać miejsce wskazane przez Makonde z tak zwaną Urocznią Megalitu.

– Cóż to takiego? – zainteresował się Jonas.

– Sakralny przybytek kultury Epoki IUM. Jeszcze przed końcem Pierwszej Fazy Inwazji, to znaczy przed ustanowieniem blokady Enklaw, ocalały tam tylko bloki elektronicznego złomu. Dzisiaj sterczą dokoła krateru po ostatniej eksplozji termojądrowej. Wygląda to mniej więcej jak tysiąckrotne powiększenie megalitycznego Stonehenge.

– Maw–szynrang – w zamyśleniu powtórzył Ion Szałamaja. – W jednym ze starożytnych języków znaczy to „kamienie–mężczyźni”. Nie zastanawiało was nigdy, jak kultura Epoki Industrialno–Urbanistycznego Masywu bliska była neolitycznym wyobrażeniom o potędze kamienia? Tam szorstkość, twardość i trwałość, majestat granitowych bloków; tutaj ogrom i potęga Masywu, który zwartą skorupą nakrył całą Ziemię. Tam rozpoczęła się droga człowieka do absolutu istnienia wyrażonego w czymś równie niewzruszonym, jak kamień; tutaj znalazła swoje spełnienie w masywie Miasta – Państwa – Wszechświata. Lecz – jak niewiele minęło czasu – coż po nim zostało? Neolityczne „stróże grobowca”. W skali planety dostrzegalne menhiry. Czy powołaniem człowieka jest tylko to, żeby aż w kosmicznej przestrzeni osadzać takowe „znaki trwania” na miarę Wszechświata, żałosne próby ustanowienia trwałości wobec powszechnej i jedynie trwałej zmienności? Może to lepiej, że nie podnieśliśmy się z kłęczek. Niech ten świat stanie się domem istot, które bynajmniej

nie pragną ująć go w karby. A owe menhiry, nad ruiną Industrialno–Urbanistycznego Masywu, niech będą ostatnim Grobem Pożądania takiego rozumu, który zamierzył z siebie uczynić miarę wszechrzeczy.

Jonas obejrzał się zaskoczony. Zdawało się, że to głos Bio–Łącza, natchnionego ogromem nowego ciała, podjął ten monolog. Niezbyt to pasowało do Iona Szałamaji, pociesznego grubaska z guzowatym łbem Diogenesa i niespożytą sprośnością w oczkach.

– Dużo wiesz – tym razem rzeczywiście odezwał się Sternik.

– Wiem więcej – ocknął się Szałamaja. – Sama pamięć to śmietnik. Wiedza wynika nie z posiadania informacji, lecz z częstego jej przrzucania. Tym się, na razie, różnimy od Informatycznego Systemu. Poza tym, oczywiście, co nas najczęściej uwiera.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedział Sternik.

– Młody jesteś.

– Co to ma do rzeczy?

– Młody jesteś – powtórzył Ion. – Zastanawiałem się już, co tak strzeże twojej dziewiczości. Czyżby kapłaństwo Informatycznego Systemu ustanowiło swój celibat? Trzeba spróbować, żeby zasmakować. Mówi ci to doświadczony człowiek. Każdy z nas ma swoje Bio–Łącze, tylko nie każdy wie, do czego to służy albo nie potrafi się dopasować.

Ion mówił zupełnie poważnie, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Wyzywająco popatrzył również na Jonasa.

– Taki, na przykład, Megaloxantha – powiedział i nieco przekrzywił łysy łeppek. – Wszystko ekstra, prawda? Tylko czasami przydałoby się nieco pokory wobec instynktów, tak zwanych – niższych. Bez nich nie zakwitnie nawet wyższa filozofia.

Jego twarzyczka rozplynęła się w promiennym uśmiechu, zdawałoby się – zdolnym elektryzować sumiaste wąsy.

– I nie ma nic bardziej hamującego, jak kompleksy – ciągnął. – Słyszałeś, Jonas, że Adam nie należał do zbyt przystojnych mężczyzn? Żadna na niego nie poleciała, więc musiał ją sobie wyżebrać.

Uśmiech, jak zdmuchnięty, zniknął mu z twarzy. Znow jakiś inny problem zafrapował go bez reszty.

– Nie wiesz, dlaczego Makonde wybrał akurat Maw–szynrang? – zapytał.

Chwilę panowała cisza, jakby Sternik miał problemy z trawieniem dowcipów serwowanych przez grubasa.

– Tam rozchodzą się dawne drogi Konwojów – powiedział wreszcie.

– Innymi słowy – randka na rozstajach – westchnął Ion. – Dokąd można się tamtędy wybrać?



– Na południe do OGRODÓW SEMIRAMIDY, na wschód do ZŁOTEJ WOLNOŚCI i SP PROGRES, na północ do Enklawy TABOR.

– Piękny rozrzut – westchnął Szałamaja. – Nie ma tam innej ewentualności?

– Dokąd zechcesz. – Bzdura. – Zapytaj.

– W tym sęk, że nie mam o co – krzywo uśmiechnął się Szałamaja. – Są drogi prowadzące wyłącznie w kloakę przeszłości. I rację miał Kolczinski, kiedy zrzucił bomby zaporowe w swoją *Cloaca Maxima*. Czasami tylko tamtędy można się dopatrzeć MACHU PICCHU czy innej ZŁOTEJ WOLNOŚCI. Tylko po co? Oglądający się wstecz najczęściej sami sobie wybijają zęby.

– Pamięć nie musi być kulą u nogi – po raz pierwszy, od kiedy załoga w pełnym składzie zameldowała się w Sterowni, ponurym głosem odezwał się Mażulis, jakby ocknął się na wspomnienie o Kolczinskim.

– Nie zawsze też bywa skrzydłami u ramion – parsknął Szałamaja. – Często starcza tego w sam raz na świeżo skrojonego Sternika albo na Megaloxanthę; żeby im się zbyt lekko nie wylatywało nad poziomy, bez pamięci o tych, którzy tę samą drogę przebyli na długo przed nimi.

– Menhir – niespodziewanie odezwał się Sternik.

Tym razem Ion Szałamaja z niezbyt mądrym wyrazem twarzy obejrzał się na ciało obnażone pod przezroczystym kloszem. Wreszcie coś mu widać zaświtało, gdyż uśmiechnął się pod wąsem i kiwnął głową.

– Menhir – powtórzył dźwięcznie i twardo, jakby kamiennym obeliskiem dobił do trumny którąś z własnych teorii.

Przez dłuższy czas nikt nie kwapił się naruszać milczenia. Odrobina powagi należy się nie tylko umarłym, lecz i pogrzebanym żywcem – pomyślał Jonas. Pod tym względem cieszyła ich dziwna zgodność poglądów.

Tymczasem na ekranie Sterowni przesuwiała się równina pozbawiona urozmaiceń, a przynajmniej nie ujawniały ich reflektory. Miejscami kolumny światła z okrycia nocy wyławiały głębokie rozłamy, gdzie – poniżej powierzchni gruntu – zbierał się srebrzysty opar, to znów pozornie płytkie niecki zastygłe atlasową ciemnością, w której światło przepadało bez śladu. Poza tymi lokalnymi wypaczeniami terenu, coraz większą monotonią tchnęło znad Drogi Konwojów. Jonas miał wrażenie, że poruszają się po prawdziwym Dachy Świata, gdzie oko nie bardzo ma na czym spocząć, natomiast stopy wyraźnie odczuwają echa budzone łomotem gąsienic, dudniące w wielokilometrowej warstwie labiryntów. Ogólnie Industrialno–Urbanistyczny Masyw zapadł się sam w sobie, poszczególne poziomy musiały jednak zachować nieco przestrzeni do wyciśnięcia, gdyż – wielokrotnie tędy przechodzące przed nimi – Wozy Bojowe zdołały obniżyć teren do tego stopnia, aż Droga Konwojów przeistoczyła się w wyraźne koryto o stromych, postrzępionych brzegach. Idące kiedyś ławą maszyny

ubiły gładki trakt. Dzisiaj ostatnia żelazna fala przetacza się przez wyschłe koryto – nad wysoki brzeg wystaje tylko pancerny grzbiet i wysuwana wieża, skąd oczy Sternika patrzą od razu we wszystkich kierunkach.

– Daleko jeszcze? – pierwszy oczywiście zniecierpliwił się Szałamaja!

W jednej chwili zgasły światła w Sterowni. Również na zewnątrz reflektory pozwoliły oczom poszukać naturalnej poświaty gwiazd nad martwym pejzażem.

– Widzicie? – zapytał Sternik.

– Dostaniemy po gwiazdce z nieba? – ponaglał Ion Szałamaja. – Mamy sobie wybrać czy przydziałowe?

– Na prawo od Drogi Konwojów.

Nawet wzrok Megaloxanthy nie potrafił rozpoznać nic poza tym, co zawierał w sobie przekaz ekranu. Dawało się rozróżnić linię horyzontu z leciutkim wklęśnięciem, ku której to przełęczy zmierzała Droga Konwojów. Powyżej niezwykle czysto iskrzyły się gwiazdy,

Wreszcie Jonas dostrzegł to, na co uwagę zwracał Sternik.

– Daleko? – zapytał nie odrywając oczu od ekranu.

– Pół godziny.

– Co znów wyślepiłicie? – irytował się Szałamaja. – Nie jestem, do cholery, wzrokowcem!

– Gwiazdy zwięzłe ujął Mazulis.

Nieco w bok od Drogi Konwojów gwiazdny plankton obrysował coś wysokie, ciemną sylwetką podrywające się nad horyzont. Masywny, czarny słup przesłaniał gwiazdy. Nieco niższy na lewo.

Szałamaja gwizdnał przez zęby.

– Pokażny przyczynek do kultów fallicznych – stwierdził.

– Pierwszy menhir – poinformował Sternik. – Podejźmy przy podstawie.

– Jak to wygląda w całości? – zapytał Jonas.

Białą kreską na granatowym tle ekranu ujawnił się szkic ogromnego okręgu wytyczonego przez symetrycznie rozstawione prostokąty. Wewnątrz większego znajdował się mniejszy okrąg, od krawędzi do środka pogłębiony gęstymi, potem do płaszczyzny schodzącymi warstwicami. Raptem rysunek zaczął się skręcać wobec poziomej osi ekranu. W trakcie dokonywania obrotu o dziewięćdziesiąt stopni białe prostokąty zyskały przestrzenną formę wysokich prostopadłościanów, natomiast wewnętrzny krąg zaczął się pogłębiać. Tylko przez moment wzrok rejestrował przestrzenność form. Po chwili znowu mieli przed sobą zupełnie płaski szkic, lecz tym razem w rzucie bocznym.

– Urocznię Megalitu ogranicza pierścień o średnicy czterech kilometrów, obsadzony prostopadłościanami o wysokości 1000 – 1500 metrów i podstawie,

średnio 200x300 metrów. – Sternik z wyprzedzeniem pielęgnował w nich wycucie skali. – Między poszczególnymi menhirami odległości wynoszą mniej więcej trzysta metrów. Wewnętrzny krater, o promieniu około ośmiuset metrów i głębokości do pół kilometra, przenika w Industrialno – Urbanistyczny Masyw aż do dna VIII poziomu.

– Można tamtędy przedostać się w głąb Masywu? – zainteresował się Jonas.

– Wątpię – odparł Sternik. – Krater powstał częściowo przez parowanie w epicentrum eksplozji, w większości jednak dzięki rozmiękczeniu nadtopionych stropów Masywu i ich zakłębieniu poniżej górnej powierzchni.

– Na dnie można się będzie poślizgnąć – skomentował Szałamaja.

– Nie jest to nieprawdopodobne.

– Ile zachowało się tych „menhirów”?

– Wszystkie dwadzieścia. Co prawda dzisiaj posiadają różną wysokość...

– To pozostałość jakiejś budowli? – zapytał Jonas.

– Nie. W tym miejscu próbowano dopiero wznieść coś w rodzaju gigantycznej Wieży Babel. Zabrakło czasu. Pozostały filary nośne.

Jonas poszukał w ciemności rosnącej palisady czarnych sylwetek.

– Epoka IUM wystawiła sobie pomnik na miarę Masywu – powiedział. – Zachowała się informacja o przeznaczeniu tej konstrukcji?

– Mniej więcej – głos Sternika zawahał się. – Z tego, co dzisiaj wiemy, budowniczych musiało ogarnąć pomieszanie nie tylko języków...

– O ludzie małej wiary! – szepnął Ion Szałamaja.

– Trudno inaczej, poza obłędem, usprawiedliwić ideę budowy WYROCZNI.

Jonas drgnął. Zdziwiony popatrzył na ciało Janko spoczywające w kołysce Sternika.

– Mówisz serio? – zapytał.

– Niezupełnie. – Tyle wynika z danych zachowanych przez Informatyczny System. Można je interpretować na różne sposoby. Jedyne jednak klarowne informacje, jakie przetrwały II Fazę Inwazji, a dotyczące Uroczni Megalitu, poza nazwą i funkcją WYROCZNI, sugerują, że miało to być potężne centrum operujące Systemem Informatycznym w celu modelowania różnych wariantów społeczeństw przyszłości.

– Co to ma wspólnego z WYROCZNIĄ? – spytał Jonas.

– Niewiele – przyznał Sternik.

Jonas zastanawiał się chwilę.

– Czy eksplozja, po której powstał wewnętrzny krater, miała coś wspólnego z II Fazą Inwazji? – zapytał.

– Brak danych – stwierdził Sternik.

– Bzdura! – niespodziewanie śmiechem parsknął Szałamaja.

– Tyle to ma wspólnego z Inwazją, co Sprzężenie Zwrotne! W tamtych czasach też nie brakowało kretynów, którym zależało na totalnym zablokowaniu samej ewentualności wyboru.

– Wyboru czego? – nie zrozumiał Jonas.

– Modelu społeczeństwa przyszłości.

Jonas popatrzył na Szałamaję, jakby ten był niespełna rozumu.

– Nie ja – powiedział Ion.

– Co – nie ty?

– Nie ja mam tu, o... – grubasek palcem postukał się w czoło.

– Mówiłem ci, że byli ludzie, którzy potrafili czynić takie cuda, o jakich nie śniło się nawet Megaloxanlhom. Zresztą genialność jak najbardziej sąsiaduje z obłądem.

Szałamaja coś jeszcze komentował z miną błazeńską, to znów namaszczone, lecz Jonas nagle przypomniał sobie niedawne z nim spotkanie. Grubas zajrzał mu wtedy w oczy i powiedział: „Pilnuj się zdrowego rozsądku. Tkwi w tobie szaleństwo i zginiesz, kiedy pozwolisz mu powodować sobą”. Jak jednak zachować równowagę ducha, wobec świata, który dzisiaj ustanawia pancerną kopułę Enklawy – barierę nie do przebycia, jak niegdyś całym narodom zamykał perspektywę w przyszłość. Jak ich zrozumieć – każdego z osobna i to, co pozwala im żyć, jak żyją; choćby to było sprzeczne z wszelkimi zasadami logiki. Jak więc ogarnąć szaleństwo ich świata, samemu wystrzegając się obłądu? Może trzeba nauczyć się żyć – po prostu; dniem terażniejszym, każdą chwilą, jak ten grubasek, który z równą ochotą czyni z siebie błazna, to znów popada w mistycyzujące filozofie. Niby człowiek nie z tego świata, jak wielu w THARSYS daleki od swojej ojczyzny i bliskich, nad którymi zamknęły się Groby Pożądania, a przecież – bywa szczęśliwy. Jak długo tak można? Aż, jak Kolczinski, będzie się miało ręce ubabrane po łokcie? Wtedy dopiero można znaleźć własną tożsamość z *Cloaca Maxima* tej Cywilizacji. Czy, aby być szczęśliwym, trzeba rozumieć świat, w którym się żyje? Najszczęśliwsi są cisi i pokornego serca. Z punktu widzenia Megaloxanthy jedno jest pewne – ten oto dogorywający świat obarczony był zawsze jednym przekleństwem; dokądkolwiek zajrzemy w przeszłość – szaleństwo każdego człowieka z osobna nigdy nie dorównało temu, co potrafi dokonać obłąd społeczny, ogarniający klasy, narody, państwa całe. Tym niemniej ludzie dla ludzi stworzyli psychologię i psychiatrię, natomiast wobec własnego społeczeństwa ograniczyli się do socjologii, jakby ich lęk ogarnął na samą myśl o potrzebie sprecyzowania jakiejś psychiatrii społecznej, która potrafiłaby ustanowić Przybytek Obłądnych Ideologii, na równi z Domami Wariatów.

Tymczasem nie ma nic prostszego, jak takiemu Feretriusowi wykręcić ręce i zakneblować usta, żeby nie wył jak pies do księżyca w pełni; chociaż każde społeczeństwo powołuje swoje Sprzężenie Zwrotne, które wszystkich jednoczy tym

samym wiązaniem rąk i chwytem za gardło, żeby nie było słycać wycia milionów.

Jonas potrzebował sporej dozy samozaparcia, żeby nie wracać spojrzeniem tam, gdzie Cień Feretriusa skulił się w fotelu. Tuż obok siebie słyszał jego oddech, uspokojone już posapywanie.

Na ekranie cienie Uroczni Megalitu wyrosły do niebotycznej wysokości. Dwa najbliższe menhiry powoli otwierały przed nimi bramę ogromną, kędy Droga Konwojów włączała się w rozstaje prowadzące do innych Enklaw; może wytyczających jakieś jeszcze, im niewiadome kierunki. Czy to nie dziwny traf, pomyślał Jonas, że drogi tego świata – jakie zostały w płaszczyźnie rzeczywistości – krzyżują się w tym punkcie, gdzie ktoś próbował wznieść taką WYROCZNIĘ, która współczesnym zdołałaby unaoczniać alternatywy, przed następnym krokiem na rozdroża historii.

Spóźniona próba Arki Noego.

Wystarczyło obuchem eksplozji zdzielić w serce świątyni, dopiero wznoszonej na gruzach Epoki Industrialno–Urbanistycznego Masywu.

Pozostał jeden kanał, bez wyboru, którym cały ten świat nieuchronnie ścieka w *Cloaca Maxima* Wszechświata.

Jeszcze nie wyschły ostatnie cuchnące kałuże Enklaw i resztką energii ciekący strumyk nomadów.

Na ubocznej mieliźnie osiadł szlam mutacji.

Może w Enklawie TABOR.

Może w Królestwie Seleny.

Albo w sprzężeniu z Informatycznym Systemem.

W rozłamie megalitycznych bloków, na wprost Bojowego Wozu, podnosił się srebrzysty brzask, jakby po przeciwnej stronie Uroczni Megalitu, której nikt nie zdołał zweryfikować jako WYROCZNIĘ, otwierała się druga taka brama, kędy wschodzący księżyc, swym wątpliwym światłem dopełni głęboki krater.

Tam jeszcze trwała cisza, chociaż tysiącmetrowe menhiry dawno już musiały zebrać w sobie jęk ziemi uginającej się pod gąsienicami Bojowego Wozu; tutaj natomiast – w odizolowanej od zewnętrznego świata Sterowni – tylko Ion Szałamaja perorował z niewyczerpanym wigorem:

– Nie rób takiej miny, Mażulis. Każda rzeczywistość powołuje do bytu własne symbole. Epokę Industrialno–Urbanistycznego Masywu charakteryzował prześliczny dysonans rzeczywistości i funkcjonującej kultury. Oficjalnie, bardzo proszę – kosmiczna przestrzeń! W ogóle – przestrzeń! Ruch! Energia! Zmienność, zmienność, rytm biologiczny, dynamika Ewolucji! Tyle piany. Potem długo, długo nic, a nad dnem – męty, męty, dożyłne szpryce i wizje do polizania na język. Inner space! Dynamika głębi! Tfu! Paranirwana! A wiesz, na czym polega to „długo, długo nic”?

CIAŁO, przyjacielu! W tym tkwi natura Wszechświata! Tylko potrzeba nieco harmonijnego rozwoju. A tutaj – głowa w chmurach i halucynogenkach, a ciało tkwi w inwalidzkim wózku Industrialno–Urbanistycznego Masywu. Ślimak w muszelnicy! W tym miejscu – bach! – rozłam kręgosłupa. Brak podstawowego sprzężenia parszywej doczesności z bliską ciału koszulką. Aż wywietrzało z mózgowia, że ta cielesno – doczesna parszywość potrafi być prawdziwym błogosławieństwem. Tylko potrzebne są haczyki, symbole pociągające nie tylko wyobraźnię samą w sobie, ale i coś poza nią – rączki, nóżki, język i brzuszek, zad i to, co najchętniej lubisz pieścić. Tymczasem rzeczywistość Masywu brata się z Megalitem, z drugiej strony omijając sprytnie symboliki tworzące kulturę na wzór megalitycznej. Błąd polegał na nieumiejętności „uduchowienia” Industrialno–Urbanistycznego Masywu, jeśli już niepodobna było się bez niego obejść. Kilka tysięcy lat wcześniej człowiek pierwotny dokonał tego ze swoim najbliższym środowiskiem. Nie tylko sakralność nieba, kultury solarne i mistyka lunarna, lecz przede wszystkim kult ziemi i powietrza, wody i ognia oraz, współdziałające z nimi, siłą sakralną przepojone rośliny, zwierzęta, ptaki, wreszcie... kamienie. Cóż z tego uchowało się w rzeczywistości Epoki IUM? Ziemia, być może – kilometr pod stopami. Woda, ogień i powietrze? Dawno straciły rangę żywiołów angażujących wyobraźnię. Zwierzęta i ptaki – wyplenione doszczętnie. Rośliny? Trochę pleśni fermentującej w silosach, żeby zestaw organicznych związków pasować w przyswajalną przez nas karmę, a i to – żywe błotko podglądane przez pancerze z ołowiowego szkła – żeby pasterzom jakiś Kostropian–purchawica nie skoczył do gardła. Cóż więc zostaje? KAMIENŃ. Jedyne, co przetrwało i trwa – uosobione w Masyw.

KAMIENŃ, pomyślał Jonas. Jedyne, co trwa. Nawet w Królestwie Seleny – kamienny Szern. Tutaj na straży krateru ostały się tysiącmetrowe menhiry.

– Lecz gdzie kratofania lityczna Epoki Masywu? – swoje intonował Ion Szałamaja. – Gdzie uświęcony monolit, menhir, dolmen?! Gdzie skała, w której mieszkają duchy przodków, głązy chroniące przed umarłymi gwałtowną śmiercią, gdzie obeliski, w które wcielono bogów, przodków i herosów, gdzie kamienie zapładniające, do których mogłyby przyjść bezpłodne kobiety, żeby złożyć ofiarę? Gdzież owe dolmeny, zawierające w sobie obraz kobiety ciężarnej, symbol trwalszy od całych pokoleń, z którego można uszczknąć nieco błogosławieństwa – w sam raz, żeby starczyło na założenie własnego stadła? Kamień leży u tego źródła, gdzie narodziło się życie na Ziemi, i kamień nagrobny zamyka życie człowieka. Popatrzcie! Oto przed nami Maw–szynrang! „Kamienie–mężczyźni”! Uosobieni w strzelistych menhirach! Gdzie obok nich leżą dolmeny, które moglibyśmy nazwać Maw–kynthei? Powiecie – śliczna alegoria! A przecież – cóż nam innego zostało? Kilka fallicznych pomników. W imię męskości, która potrafi walczyć do upadłego. Obok brak jednego

bodaj dolmenu, do którego moglibyście przyprowadzić wasze bezpłodne kobiety, żeby go mogły objąć, pierś i brzuch przytulić do kamiennego ołtarza albo dotrzeć okrakiem i – trzeć! Tak długo łasić się płcią do kamienia, aż jej udzieli ułamek swojej mocy. Pod znakiem fallusa możemy walczyć do upadłego. Nic więcej! Stworzyliśmy całą Cywilizację w cieniu Fallusa! Ba–a–acz–ność! Dynamit w końcówkach i kult munduru. I – nim się kto obejrzał – diabli wzięli tę kobiecą płodność, bez której nasza waleczność staje się, co najwyżej, sprawą honoru – dla przetrwania nie ma najmniejszego znaczenia...

– Mógłbyś skończyć? – to był głos Sternika.

– Ciebie to może mało interesować – Ion potrzęsnał łysą główką. – Nadmierny intelekt często obezwładnia w najmniej spodziewanym miejscu. Mażulis nie podejrzewam jednak o zanik męskości – co najwyżej o złe jej ukierunkowanie, nie można wyłącznie pociągać za cyngiel. Z tego padają trupy – nic się nie urodzi.

– Zamknij się – powiedział Mażulis.

Szałamaja aż podskoczył na swoim siedzeniu. Chciał coś jeszcze wywrócić na lewą stronę, kiedy spostrzegł wreszcie, że Mażulis i reszta komandosów sprawiają wrażenie, jakby zapomnieli o jego istnieniu.

Jonas też zwrócił uwagę w tę stronę, gdzie inni przed nim skierowali wzrok.

Wóz Bojowy minął linię menhirów.

Ponad krawędź krateru podnosiła się rzadziutka, srebrzysta poświata. Na wprost Tarczy Wozu, w odległości może dwustu metrów, bardzo wyraźnie widać było kilkanaście ludzkich sylwetek. Obrysował ich mglisty świt wstający z wnętrza ziemi. Ludzie znieruchomieli na jego tle i tak stali – zdawałoby się – skamieniałe cienie. Tylko jeden z nich siedział przed małym, ledwie dymiący ogniskiem.

– Zdażyli przed nami – powiedział Mażulis.

– Makonde? – zapytał Szalamaja; pewnie głową dalej tkwił w jakimś kamieniu.

– Może im zaproponujemy, żeby zjawili się tutaj? – Mażulis wyraźnie nie był zachwycony perspektywą wyjścia spod pancerza Wozu.

– To my jesteśmy ich gośćmi – powiedział Jonas.

Podniósł się i ruszył do służy.

– Kto ma iść z tobą? – zapytał Mażulis.

– Weź dwóch ludzi.

– Żeby było reprezentacyjnie – Szalamaja wreszcie wyklął się ze swego kamyka.

Głos Sternika powstrzymał ich przed służą.

– Nie mam kontaktu z ich Bio–Łączem – powiedział.

– Co znaczy, nie masz? – zdziwił się Jonas.

– Po prostu. Nie mogę nawiązać łączności.

– Widocznie tym razem stary Makonde preferuje własne oczy i uszy – powiedział

Szałamaja.

– Idziemy – zdecydował Jonas.

Elektromagnetyczne zwierciadło strzeliło cztery razy nad powierzchnią ziemi. Jonas, obok Mażulis – z miejsca na elastycznie ugiętych nogach, z palcem na cynglu karabinka założonego na przedramię. Za nimi dwóch komandosów.

Jeszcze zapóźniony trzask błony. Jonas obejrzał się – oczywiście; tak będzie zawsze, jeśli etyczno–moralne uwarunkowania powstrzymują przed założeniem kaftana bezpieczeństwa.

Cień Feretriusa bezszelestnie wsunął się między Jonasa i Mażulisa. Najpierw potrząsnął białymi włosami, jakby chciał wypławiła grzywę odgarnąć sprzed pustych oczu, po czym wyciągnął szyję i nozdrza mu zadrgały. Zdawał się patrzeć, słuchać, a przede wszystkim – węszyć.

Jonas spostrzegł, jak zachnął się Mażulis.

– Tym lepiej – uspokoił go. – Makonde powinien nam wyjaśnić, o co tu chodzi i co z nim począć.

Mażulis wzruszył ramionami. Nie wyglądał na przekonanego – kiedy ruszyli pod brzuchem Wozu Bojowego, żeby wydostać się na wolną przestrzeń, gdzie ich oczekiwano.

Ziemia była tu pokryta warstwą szarego pyłu. Wiatr musiał go często przewiewać – jak okiem sięgnąć żaden ślad nie wskazywał na bytność człowieka w tym miejscu – kiedykolwiek. Makonde i jego ludzie nadeszli z innej strony. Zresztą – niekoniecznie, pomyślał Jonas. To nie Księżyc, tutaj wiatr marszczy i wygładza na własną modłę.

Kiedy wyszli spod nawisu Tarczy Wozu, gołym okiem można było rozpoznawać twarze oczekujących ich ludzi. Niemal w tej samej chwili ktoś z wysoka krzyknął na Jonasa. Ten obejrzał się i ponad Tarczą Wozu zobaczył wychyloną figurkę w skafandrze weteranów Endogenicznej. Widocznie Janko wpadł na pomysł wysłania jednego z komandosów na stanowisko ogniowe, jakie zabrało się razem z nimi, chociaż zakładali je nad skarpią I Modułu. Niespodziewanie okazało się, że gniazdko zostało wymoszczone w najprzydatniejszym do tego miejscu – spoza górnej krawędzi Tarczy Wozu można było osłaniać przedpole o promieniu paru kilometrów.

Jonas skinął ręką temu mniej czy bardziej potrzebnemu ubezpieczeniu. Przynajmniej na Makonde zrobi dobre wrażenie.

Kiedy znowu spojrzął w twarz starego dowódcy nomadów, ten nic nie zmienił wyrazu twarzy. Na nadchodzących patrzył trochę spode łba, z ironicznym uśmiechem w jednym oku. Przy pełgających odbłyśkach ogniska jego głowa wydawała się bardziej jeszcze pomarszczona, zgrużon z samych ścięgien; jakby możliwe było, że od czasu ich pierwszego i ostatniego, jak dotąd widzenia, starość do woli używała sobie ze zmęczoną twarzą wielkiego laibona koczowników.



Nie wiedzieć czemu, Jonas uchylił wzrok przed tym wnikliwym spojrzeniem. Chwilę przyglądał się ludziom stojącym poza Makonde. Tuż za starym pułkownikiem znieruchomiał nomad niewiele ustępujący niesamowitością starcowi. Na pierwszy rzut oka człowiek ten wydawał się nagi. Trzeba było skupić uwagę, żeby odkryć miejsce przejścia czarno–popielatej, z odcieniem brązu skóry twarzy, w materię uniformu niezwykle gładko opinającego resztę ciała. Człowiek ten był nie tyle wysoki, co nieprawdopodobnie wysmukły, zbudowany według kanonu piękna zupełnie obcego ludziom z Enklawy. Twarz jego była nie mniej piękna, jak harmonijna reszta postaci. Jonas przyglądał mu się ze zdumieniem. Mężczyzna miał niezwykle wypukłą czaszkę, z przodu łśniącą, z boku do tyłu gładko zaczesaną mnóstwem misternie plecionych warkoczyków. Poniżej wysokiego czoła prosty nos, nieco rozplaszczony u nasady, schodził do szerokich, dumnych ust. Głęboko w tej ciemnej twarzy osadzone oczy patrzyły nie tylko przenikliwie, jak oko starego Makonde, lecz wręcz na wylot; jak przez powietrze. Coś niesamowitego było w tym człowieku, jakaś arystokratyczna zaduma, jakby w obraz jedynej postaci ujęte zostało genealogiczne drzewo całej rasy, korzeniami schodzące w prehistorię Ziemi. Mężczyzna wsparł się miękko na długim, czarnym pręcie, jak na włócznie drzewcem wbitej w ziemię. Z jednej strony obcisła bluza rozsunała się białym szwem na jego szerokiej piersi i coś błysnęło. Jakby nie tylko szyję i nadgarstki obejmowały mu czerwone bransolety, lecz i na piersi widać było srebrny talizman. Idealnie gładka, nie zdobiona niczym, srebrzysta blacha – nie wisiała na szyi, lecz opinała pierś ślepym teraz okiem ekranu.

Janko powiedział, że nie potrafi nawiązać kontaktu z ich Bio–Łączem, pomyślał Jonas.

Kilka kroków dzieliło ich od maleńkiego ogniska. Płomień w nim pełgał nad małą kałużą, jakby wylano tu trochę łatwopalnego płynu, potem wetknięto kilka sztywnych prętów, po których ciecz podsiąka do góry i dopiero przejrzyste opary ogarnia żółtawy, czasami zieleniejący płomień.

Jonas usłyszał przy sobie czyjś przyspieszony oddech. Cień Feretriusa skulił się i przycisnął do boku Megaloxanthy. Jonas powstrzymał kolejny krok. Chciał ramieniem usunąć na bok białowłosego, gdy ten zaskamlał nagle – zielony rozbłysk płomienia podświetlił twarz Makonde. Dwoje oczu patrzyło na Jonasa – to zdrowe i ciemny oczodół, jakby spoza nich wyzierała para innych ślepi, małych i bystrych, popatrujących z mysią ciekawością.

Makonde ruszył ręką. Pewnie chciał ich powitać gestem rozpostartej dłoni. Lecz jego ramię unosiło się niezwykle powoli, po prostu płynęło w powietrzu, coraz bardziej napuchnięte i wyciągające się w stronę Jonasa. Ogromne ramię przesunęło się nad ogniskiem – coś zaskwierczało. Jakby ktoś, tkwiący wewnątrz pustego ciała,

nadymał powietrzem pusty rękaw jednego ramienia. Ogień osmalił rękaw kombinezonu, przedtem latami łatanego starannie; tu i ówdzie zwęglił strzępy materii – nie tknął obnażonego ciała. Zaszuszonego mumia starego Makonde zdawała się koncentrować resztkę żywotności w tym jedynym sprawnym ramieniu, żeby jeszcze pęczniało, coraz dalej wysuwało pięć obrzękłych palców, aż się olbrzymia dłoń nasunie na twarz oniemiałego Megaloxanthy, żeby mocarną garścią chwycić w kleszcze, a potem zmiąć głowę zaskorupiałą nieprzenikliwym dotąd pancerzem, nagiąć kark i resztę truchła wbić w ziemię – martwy ogień łaknie ciepłalenia.

Nagle ktoś wrzasnął – tuż obok Jonasa.

Kątem oka dostrzegł Mażulisa rozciągniętego w powietrzu – wyrzucone w górę nogi, resztę ciała dobijające do poziomu. Karabin zrosnięty z biodrem i – gdzieś spod piersi – plujący migotliwą serią.

Nim Mażulis zdążył nacisnąć spust – czyjś jeszcze cień skoczył do przodu, znurkował pod ręką rozrosłą jak czerpak buldożera. Coś odezwało się przeraźliwym charkotem. Jonas rzucił się głową do przodu, w ślad za Cieniem Feretriusa wreszcie spuszczonego ze smyczy. W locie spostrzegł tylko, jak mu coś obłe, karbowane mignęło przy skroni – jeszcze jedno – ktoś się dobroił z tego, co po Kolczynskim zostało w arsenale BUCCHERO. Ziemia eksplodowała pod stopami Masaja wciąż wspartego na drzewcu dzidy. Nie zdążył odstać. Nie uczynił najmniejszego ruchu – po prostu ziemia się pod nim otworzyła i zaczął się walić w biały rozłam. Padał powoli, po drodze tylko zgiął się w pół, lecz z piersi nie wydobył jęku. Za to coś się spod niego wyrwało, otrząsnęło z płomienia – długi, wrzecionowaty kształt z osmalonym, jeszcze skwierczącym bokiem. Gwizd się rozległ prawie na granicy słyszalności i – zadławił nagle, kiedy kształt rozciągnięty w powietrzu nałożył się na świetlny impuls spoza pleców Megaloxanthy. W bok odfrunęła czarna szmata z iskrami wygryzającymi w sadzy coraz szersze oczka.

Całym impetem Jonas uderzył w pierś starego Makonde. Zachrząściło pod nim chrupkością, zdawało się – pozbawioną wszelkiej cielesności. Chrobot odezwał się w tym truchle obalonym na wznak. Jonas spróbował zerwać się z ziemi – dłoń wsparła się na cherlawej piersi, coś znowu strzeliło pod palcami i dłoń dobiła do ziemi – na wylot między żebrami i ścięgna z wierzchu oplatającymi skafander.

Jonas szarpnął się cały. W jednej chwili stanął nad bezwładnie rozrzuconym ciałem starego nomada. Jego gigantyczne ramię żyło nadal, tańczyło po ziemi, w epileptycznym transie zginało i rozkurczało palce, podskakiwało w powietrze, to znów rwało grunt łopatomy czerniałych paznokci. Jonas stał zupełnie bezradny i nie bardzo wiedział, co czynić w przestrzeni zatracającej granicę między ziemią a niebem, wypełnionej błyskami przenikającymi dymy po wcześniej przebrzmiałych eksplozjach, głucho brzmiących albo otwierających upust czyichś rozdzierających

ciszę jęków, westchnień ogromnych, jakby dokoła kolapsował wszechświat. Wzrok uparcie ciążył do truchła Makonde. Teraz dopiero Jonas uświadomił sobie, że ciało to było martwe zanim się z nim zderzył. Z prawej strony, od skroni do gardła i przez pierś, aż do biodra – cały ten zewłok rozchlastany został na dwoje, lecz – zamiast rany wypełnionej szkarłatnym mięsem – zionęła w nim wyrwa ciemna o poszarpanych krawędziach.

Jonas rozpaczliwie rozejrzał się wkoło – nie wiedział, czego szuka wzrokiem. Dostrzegł tylko Cień Feretriusa kłębkim toczący się po ziemi. Chciał skoczyć na pomoc, zerwać mu z pleców to coś, co wgrzyzło się w kark niby różowa torbiel ogromnego wodogłowia. W tej samej chwili Cień Feretriusa szarpnął się gwałtownie, przerzucił na Wznak i z powrotem na brzuch; aż to coś – gotowe mu wgrzyźć się pod białowłose skalp – zmiął pod sobą i zakołysał się jakby on teraz, dla odmiany, dobrał się komuś do gardła. Wreszcie targnął głowę wstecz. Jonas zobaczył jego twarz ociekającą krwią. Pomyślał – trup! Lecz w nim krwi nie było przecież – gdzieś się sam wgrzyzł zębami i teraz pluł nie swoją krwią – świecącą dziwnie, jakby w niej – na powietrzu – tężały kryształki złotej miki.

Do uszu Jonasa dotarł krzyk Mazulisa.

Czegoś od niego żądał.

Nim zdążył się zorientować – znowu Cień Feretriusa, jak spod ziemi, wyrósł nad skorupą starego Makonde. Jonas nie miał szans go powstrzymać – nieprawdopodobnie sprężysty i zwinny Cień Feretriusa rzucił się w sam środek dłoni rozpostartej teraz niby wielometrowa rozgwiazda, trochę obmiękła, lecz drgająca dalej. Zaczął ją deptać w opętańczym transie, bił obcasami, aż tam coś zapiszczało, jakby w żelaznych butach zatańczył karmaniołę na szkłe diamentowym, to znów elastycznym jak guma. Jeszcze raz uderzył buciorem – dłoń się wyrwała spod niego, odpełzła nieco – skreconą pępownią połączona jeszcze z wylinką tułowia. Dopadł jej znowu. Tym razem kopnął z rozmachem, aż wierzchem ręki upadła na żar ogniska dopalający się zielonym ogniem. Tu ją przytrzymał i zmiażdżył dwa palce. Aż się rozległ wizg przeraźliwy i coś skoczyło raptem, niby puls krwi ostatej – pchający ogromny skrzep, przez nadgarstek, przedramię – z powrotem do serca. Na moment wzdęło biceps i w tejże chwili coś się wyrwało przez rozdarty bok kukły – różowa pięść przed oczami Megaloxanthy mignęła srebrnozębym kastetem. Byłaby go zdzieliła prosto w pierś, kiedy – ocknął się wreszcie – lekko odchylił ciało i w powietrzu poprowadził kantem dłoni. Coś pękło w locie, chlapnęło w powietrzu krwawą posoką, jakby eksplodował pęcherz nabity krwią pod ogromnym ciśnieniem. Po przedramieniu Megaloxanthy spęzło do ziemi coś całkiem wiotkie, czterolape, przepołowione od gardła w głąb, kędy metaliczne palce Megaloxanthy przeszły przez mięso. Tylko głowa wiązała dwa ochłapy – wyciągnięty szczurzy pysk i czerep

wielkości dwóch złożonych pięści. Jonas napotkał, nadal żywe, spojrzenie maleńkich, żółtych ślepi. Aż nim wstrząsnęło, jakby się sparzył samym wzrokiem. Coś go przeniknęło od tych dwóch skurczonych źrenic, na wylot przez pancerz Megaloxanthy – ani odrobiny strachu i bólu, tylko wściekłość i paląca nienawiść. To coś trwało nadal, paraliżowało ruchy – gotów był przyklęknąć i podać własne gardło przed pysk szczerzący srebrne zęby, skoro nie dane mu więcej dźwignąć się z ziemi.

Nagle but uderzył z boku, prosto między te ślepie. Kość trzasnęła pod obcasem i mózg trysnął, jak koronka pofałdowana misternie – mózgowie białe, z błękitnym odcieniem. Złote cekiny w nim tkwiły – wszystko, co po sobie zostawił odpływ krwi przez wypatroszone ciało.

Cień Feretriusa zaśmiał się – jeszcze wiercił piętą; głowę unióś i odrzucił białe włosy – kosmyki zlepione krwią. Stał i chichotał, szczerzył białe zęby – puste oczodoły martwo tkwiły w jego twarzy naznaczonej pręgami czerwonej farby; tylko nosem znów węszył i zdawało się – słuchał całym ciałem.

– W bok, w bok! – wrzasnął Mażulis i dopadł Cień Feretriusa.

Jonas dojrzał coś sunące na nich szeroką ławą – tuż nad ziemią, jakby się szary pył zgrużał, stroszył sierść oszroniałą, spod której łyskają ślepie i wyslizgują się ciała różowawe, nagie.

Białe iskry zbiły z nóg kilka stworzeń, które się wysforowały zanadto. Ktoś strzelał. Jak przedtem Mażulis – płasko przypadł do ziemi, karabin wsparł na łokciu i kolbę wdusił między podbródek a ramię. Sam Mażulis próbował gdzieś odciągnąć Cień Feretriusa. Wolną ręką tknął w niebo, gdzieś nad głowę Megaloxanthy. Jonas spojrział – między dymami jedna gwiazda kołysała się jak wahadło zawieszone na cienkiej nitce światła bijącego od strony Wozu Bojowego. Zrozumiał natychmiast.

Rzucił się we wskazanym kierunku. Cień Feretriusa – natychmiast za nim. Jonas potknął się o coś miękkiego – ledwie rozpoznał na strzępy rozerwanego trupa jednego z komandosów. Drugi ich osłaniał. Obok Mażulis sadił długimi susami. Obejrzał się – raz i drugi. Raptownie zarył butami w ziemię i zaczął strzelać wstecz. Światło zamigotało. Przez moment efekt stroboskopowy przybliżał do nich gwałtownymi zrywami postać komandosa, który pozostał w tyle – teraz gonił za nimi na złamanie karku. Coś mu skoczyło do piersi – w biegu na odlew machnął kolbą karabinu. Wreszcie dopadł do nich i aż przyklęknął, skulił się cały, jakby dopiero teraz odczuł przez skafander tamto przelotne uderzenie prosto w słoneczny spłot.

W tej samej niemal sekundzie, dokładnie tam, gdzie się kotłowało jeszcze, choć ich tam nie było – piekielny żar uderzył z nieba i „oko cyklopa” otworzyło źrenicę spragnioną kształtów przetapianych w światło.

Mażulis opuścił ramię uniesione w stronę. Tarczy Wozu.

Białe pęcherz pęczniał gwałtownie. Poci nim zeszkliło się gładkie lustro. W

promieniu trzydziestu metrów ziemia sunęła w to połyskliwe jeziorko, jakby ją potężny wir przestrzeni wkręcał pod „oko cyklopa”. Cokolwiek było na powierzchni – spływało w wirującą gardziel, która – w mgnieniu oka – przetapiała wszystko, czymkolwiek było – metalem czy powietrzem, kamieniem albo żywym ciałem. Poza epicentrum wszystko skwierczało zgodnie – zakwitające tym samym pożarem. Tu i ówdzie coś się wlokło przy ziemi, rozpaczliwie przebierało łapami. Trudno się przeciwstawić coraz szybciej poruszającej się ziemi – już parują grzbiety, pękają bąblami porastającymi różowiejącą nagość. Dalej kruszyła się zapiekła skóra, czerniała od żaru, aż się zwęglone płyty zajmowały ogniem. Jasnym rozbłyskiem zapłonął trup komandosa.

Jonas gwałtownie chwycił Mażulisa za ramię.

– Tam! – krzyknął.

Ktoś jeszcze próbował się wywlec poza krąg zasysający przestrzeń we wszystkożerny piec „oka cyklopa”. Ten ktoś pełził na czworakach, rękoma darł ziemię, za sobą ciągnął bezwładne nogi. Skafander na nim już ociekał rozpalonymi do czerwoności kroplami metalicznego potu; on pełził dalej, pełził – może ostatni z ludzi Makonde.

Jonas chciał się rzucić w ogień i wyrwać go stamtąd – jedna szansa na tysiąc, że pancerz Megaloxanthy nie ugnie się pod spojrzeniem „oka cyklopa”.

– Stój! Do jasnej cholery! – krzyknął Mażulis. – Dokąd?!

Olbrzym spiorunował go takim wzrokiem, po którym mógłby mu bez wahania strzelić w plecy, jeśli postąpi krok do przodu.

Dopiero teraz Jonas zrozumiał, jak niewiele człowieka ma w sobie ten ktoś, tak rozpaczliwie – ludzkim wiedziony strachem – uchodzący przed światłem. Właściwie tylko ręce parły do przodu. Reszta ciała wlokła się bezwładnie, na tyle dopełniając skafander, ile powietrza zaczerpnęła pusta obręcz hełmu.

Nie było czasu przyjrzeć się uważniej. Tamten skafander też stanął w płomieniu. Ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie – najpierw zakwitł na piętach i plecach, potem drobnymi, syczącymi płomykami pobiegł wzdłuż nóg i rękawów. Wreszcie rękawice przestały dawać osłonę przed żarem – ręce szarpnęły się wstecz, zapadły do wnętrza i raptem, niby dwie gołe dłonie, wyrwały się przez obręcz kołnierza. Dwie – czterołape. Różowe. Śmignęły do przodu. Za nimi za jęczały jakieś srebrne ścięgna – atrapa ludzkiego ciała tchnęła za nimi ogniem przez rozchełstany na oścież otwór po utraconej głowie.

Mażulis błyskawicznie zarepetował broń. Lufa karabinu – ramię – oko – w jednej linii.

Jonas odwrócił wzrok.

– Skurwysyny – powiedział Mażulis.

Jonas nasłuchiwał. Coś nie pozwalało mu się rozprężyć. Nie wiedział – co. „Oko cyklopa” dogryzało ostatnie kawałki zwęglonego mięsa.

– Do Wozu – naglił Mażulis. – Przemysłne ścierwa. Znalazły sposób, jak durni wywabić z Wozu.

– Padł pierwszy z nas – do siebie cicho powiedział Jonas. – Nie czekaliśmy długo. Mażulis przeszył go niesamowitym spojrzeniem.

– Drugi – powiedział przez zęby.

– Nie rozumiem.

– Pierwszy Kolczinski.

– Przecież on... – Jonas zawahał się. – Miał szansę dotrzeć do Pierwszej Linii.

– Na jakim świecie żyjesz, Megaloxantho – krzywo uśmiechnął się Mażulis. – Nie życzę ci takich samych szans.

Odwrócił się i równocześnie wrósł w ziemię.

– Gdzie Feretrius? – spytał.

– Był tu przed chwilą.

– Musimy wracać! – Mażulis aż zgrzytnął zębami. – To się tak łatwo nie rozejdzie po kościach!

– Sądysz?

– Ja wiem! Oni nie cierpią na zanik przyrostu naturalnego. Nie rachują trupów. Przynajmniej nie własnych. Tysiąc do jednego to też dobry wynik. Gdzie się podział ten bękart genomutów?!

Komandos, który tymczasem przykleknął z bronią opartą na biodrze, wydał krótki okrzyk i wskazał pod warstwę dymów nad pogorzeliem. Uniosły się na tyle, że można było zajrzeć pod skłębiony, niski nawis.

Cień Feretriusa majaczył na tle srebrzystego zarzewia.

„Oko cyklopa” ślepo powoli, więc tamta jasność ujawniała się znowu nad krawędzią krateru. Cień Feretriusa wyczuł, jakimś nadprzyrodzonym zmysłem, że zwrócili na niego uwagę. Gwałtownie zamachał ręką w ich kierunku, a kiedy nie reagowali – wydał donośny okrzyk, nie mniej przenikliwy od tamtego jęku, którym pożegnał zwidy niby – ludzi pławiące się w jadownicim zielonym płomieniu – z plemieniem szczurów u stóp, kiedy Wóz Bojowy przekraczał granicę Enklawy THARSYS.

– On nas woła – powiedział Jonas.

Mażulis prawie z rozpaczą obejrzał się na odległy mas Wozu Bojowego. Potem ponurym wzrokiem zlustrował pusty plac, z którego „oko cyklopa” zlizowało wszelki ślad krwawej łaźni. Cienie menhirów majaczyły na tle gwiazd – jakby powiedział Szałamaja: falliczne znaki nad grobem tej cywilizacji. Ich zewnętrzna czern ustąpiła miejsca szarości – stercały jak wypalone gównie, od wewnątrz kręgu podświetlone

tajemniczym świtem, który znowu po brzegi wypełnił krater Uroczeni Megalitu.

– Cholerny spokój – mruknął Mażulis. – Biegiem!

Ruszył przodem. Jonas za nim. Komandos został w tyle. Utykał nieco. Jonas obejrzał się, zaniepokojony. Tamten nie tyle biegł, co wycofywał się podskokami, skulony cały, z bronią gotową do strzału. Ubezpieczał ich wypad.

Nonsens, pomyślał Jonas. Coś tu postawiło na głowie wszelką logiczną strategię. On przynajmniej nie ma pojęcia, w co się pakuje; tymczasem – zamiast chronić się pod Tarczę Wozu – dalej pchają się za ślepym przewodnikiem, jakby im również udzielił się obłąd pomiatający Cieniem Feretriusa.

Już w biegu Jonas spostrzegł ślad wielu stóp, z pewnością niedawno odcisniętych w szarym popiele. Z wierzchu, we wszystkich kierunkach, przebiegały je tropy trójpalczastych łap.

Mażulis dopadł Cień Feretriusa i gwałtownie odrzucił go od krawędzi krateru. Ten zatoczył się i zrobił żalostną minę skrzywdzonego półdidioty, po czym ślepyimi oczami poszukał Megaloxanthy.

Przed Jonaszem otworzyło się wnętrze krateru.

Osiem kręgów wtajemniczenia – niby warstwy wyznaczające głębokość wyrwy otwartej w Industrialno–Urbanistycznym Masywie. Kiedyś mieszkali tam ludzie. Zostało osiem magicznych pierścieni – nośne stropy poszczególnych poziomów. Między nimi porowate pasma – wnęki, korytarze, labirynty nor i srebrzystych gniazd, jeszcze jakieś patrochy – wszystko pokryte mętawym szklivem. Kiedy materia parowała w centrum potwornej eksplozji najwolniej topniały stropy nośne. One też szklivym lepiszczem wykleiły dno głębokiej niecki, aż do ósmego poziomu. W kilku miejscach Jonas zaobserwował owalne otwory. Może tam pękły pęcherze, kiedy to wszystko stygło – zostały owalne oczka, jak włazy albo iluminatory. Trudno było przypuścić, żeby ktoś w okolicy przetrwał gwałtowny schyłek Epoki IUM, a potem próbował diamentem wyciąć ogromne koła i odrzuciwszy wreszcie szklane kłapy, kiedy ostygło bardziej przenikliwe promieniowanie – tedy właśnie wylazł na powierzchnię.

Lecz – mimo wszystko – otwarte wnętrze Masywu zdawało się żyć. Wszystko się tu jarzyło. Strome ściany fosforyzowały – światło przenikało z labiryntu osłoniętego szklanymi naciekami. Tylko na samym dnie krateru zebrał się kurz i nieco czarnej sadzy – spokojne, nieruchome jezioro, płaski cień w powszechnej jasności.

Nic więcej nie zdążył dostrzec.

Coś rozpaczliwie krzyknął Mażulis. Jonas poczuł uderzenie w plecy. Zachwiał się i – jeszcze pchnięty z tyłu – runął w dół. Cień Feretriusa też wydał z siebie triumfalny okrzyk, przenikliwy jak pisk ciętego szkła. Jonas rozpaczliwie próbował utrzymać równowagę na szklistej stromiznie. Trzeba było biec – biec na złamanie karku. I nie

zawahać się ani na moment, żeby twarzą nie runąć naprzeciw wiru kłębiącego szmaciane strzępy gdzieś na dnie krateru. Coś tam błyskało, niby świetliste szable zębów rwących pasy krwawego mięsa spod łuszczącej się materii skafandrów. Jakby tam ludzie jacyś zmagali się z sobą – zbici ciasno, ramię przy ramieniu. Każda próba uniesienia głowy kończyła się chłasnieniem stalowego bicza – na odlew, przez gęby w jednej chwili rozdziawione krwawo, zachłystujące się przedśmiertnym skowytom, przez oczy nagle z bólu oślepe. Nad to kłębowisko podrywało się czasem czyjeś ramię, to znów wściekłość wskrzeszała już mętniejące oczy. Wszystko coraz bliżej. Wyraźniejsze – mimo rozedrgania. Jeszcze to widzisz jako sęp nadlatujący z góry; nie grupa, lecz półokrąg ludzi wykruszających się z nieprawdopodobną szybkością. Ich półpięści jeszcze zagradza dostęp do niewysokiego, szklanego uskoku. Przynajmniej z tej strony srebrzystobokie ścierwa nie mają dostępu, nie mogą im skoczyć na karki.

Lecz błyszczące łuski już zelżyły nacisk w centrum, za to na boki rozpierzchły się półksiężycem. Srebrzyste strumyki ziarnistej rtęci próbowały oskrzydlić ludzkie niedobitki w tym pustym kraterze. Już ich przyparto do niewysokiego uskoku, tam gdzie grunt zapadał ledwie kilka metrów pod strop najniższego z odsłoniętych poziomów Masywu. Jeszcze chwila i dwa strumienie połączą się w jeden i lawiną metalicznych wrzecion posypią się na tych, którzy nie widzą, nie spodziewają się niczego. Choćby im dać znak – nie mają chwili wytchnienia, żeby osłonić kark, kiedy piekielnie zręczne wrzeciona skaczą im z przodu do gardeł, przesmykują się pod nogami i wbijają w brzuchy walczących w drugiej linii.

Jonas rozejrzył się rozpaczliwie.

Obok nie biegł – frunął w powietrzu, pędem dziwnie rozciągnięty Cień Feretriusa. Nicco w tyle Mażulis.

Olbrzym posiadał dar czytania z oczu. Ledwie poczuł na sobie wzrok Megaloxanthy – obejrzał się, jeszcze raz spojrzął przed siebie i – nagle rzucił się wstecz, na plecy. Do przodu wypchnięte nogi podkutymi obcasami zazgrzytały o szklaną powierzchnię. Dalej sunął samym poślizgiem, tylko plecami próbował znaleźć oparcie w nieustannie uciekającej spod ciała powierzchni tej pochylni. Spod pięt sypnęło mu fontanną krzemowych odprysków – chwycił kontakt z ziemią. Spoza tej osłony Mażulis strzelił po raz pierwszy. Leżał na wznak, dalej ślizgał się po zawrotnej pochyłości, jednak wytracał prędkość. I raz za razem strzelał z karabinka przyłożonego do biodra. Pozostawał coraz bardziej w tyle, wysoko – skąd polem ostrzału można objąć najdalszy plan bitwy.

Jonas oderwał od niego wzrok. Spojrzął przed siebie i poczuł chwilową ulgę. Nie mylił się. Kilkanaście rozbłysków zamieszało schodzące się srebrzyste sierpy. Dalsza akupunktura nie pozwalała im połączyć się i runąć ze skarpy.



Nieco niżej jego wzrok przeskoczył nad szeregiem zajadle broniących się ludzi. Ktoś tam stał, plecami wsparty o tę niewysoką ścianę. Stał nieruchomo, a przy tym obwisł jakoś bezwładnie, jakby go już metaliczne wrzeciono przygwoździło do muru, teraz nie pozwalało spełznąć. Sam jeszcze rozstawił nogi i tak trwał, zbyt słaby, żeby wspomóc tych, którzy służyli mu za tarczę. Tylko głowę uniósł nieco. W szklanej aureoli hełmu – niewyraźna plama twarzy. Nagle głowę poderwało mu jeszcze wyżej, do nieba prawie. On jeden z walczących dostrzegł nadchodzące posiłki – może je sam wymodlił; jakby ich mało tam było, tych wszystkich, którzy w tym miejscu polegli, co do jednego wybici w Uroczni Megalitu.

Pęd ich wreszcie cisnął w największe kłębowisko. Najpierw przez łuskowaty pierścień; zdawało się – mechaniczne szczury spiętrzyły żelazną falę, powspinały się jedne na drugie, żeby opasać i zgnieść ludzi szamoczących się jeszcze. Jonas poczuł chrzęst pod palcami. Uderzenia rąk rozłupywały twarde skorupy. Nie patrzył.

Wrywał z muru żelazne cegły, zgniatał je gołymi rękami – choć się szamotały – i odrzucał za siebie. Tak szedł przez wizg i chrzęst – coraz głębiej. Nogami deptał tułowia metrowej długości, miażdżył obłe czaszki i czuł w sobie coraz więcej siły piekielnej – błogosławiona bądź, Seleno! – aż mu się chciało śpiewać, zawyc jak Cień Feretriusa, dać wreszcie pełen upust energii wyzwolonej z mechaneurystycznych sprzężeń. Dalej – jeszcze! Krok po kroku – przed siebie! Między twarde korpusy – daremnie próbujące uchylić się przed ciosem. Ogromny, zaspawany w półbiologiczny pancerz, komandos – Megaloxantha i nie odstępujący go na krok, ramię w ramię walczący jego pies – Cień Feretriusa. Chichot wściekły słyszał przy sobie. Kątem oka dostrzegł, jak się białowłosy ciskał do przodu, żeby swoje cegły wrywać ze stalowego, aż gorącego kłębowiska, a potem tym czymś – mechanicznym ciągle – trzasnąć o ziemię, gdzie się pisk urwie zadławiony lepkiem mlaśnięciem. Zdziwił się tylko, skąd w tym Psie tyle siły, kiedy zauważył żółte światło przed nim, bijące z rozchełstanej piersi – nie patrzył tam więcej.

Jeszcze kilka cięć kantem dłoni.

Cień Feretriusa wydał zwycięski okrzyk. Wreszcie Jonas dopatrzył się ludzkiej twarzy w wyłomie. Błada, krwią ze skroni ociekająca maska. W ogromnych, z wysiłku stężałych oczach ocknęła się resztką świadomości, kiedy spotkały wzrok Megaloxanthy.

– *Morituri te salutant!* – człowiek szepnął zbielałymi wargami.

Zachwiał się i – już martwy – runął twarzą pod stopy Megaloxanthy; pierwszy próg, żeby po nim wstąpić w wyłom między stalowobokim ścierwem.

Jonas postąpił ten krok do przodu. Coś mu po raz ostatni jęknęło pod stopą.

W wyłomie kolejna postać. Człowiek w strzępach skafandra. Właśnie się złamał we dwoje pod ciosem srebrnej pięści wbitej w żołądek. Resztką sił uniósł twarz

nabiegłą krwią, opętana z bólu, poruszył ustami, jakby się chciał po raz ostatni pomodlić: „Morituri...” – dostrzegł Megaloxanthę. Oczy mu rozbłyły i nagle targnął omdlałym ramieniem. Sierp ogromnego noża błysnął w powietrzu – pchnął go sam sobie pod zębra. Tylko się zachwiał. Srebrne wrzeczono, tylko co gotowe go przewiercić na wylot, okręciło się wokół noża. Wolną ręką je spod siebie wygarnął. Ochłap w aluminiowej folii spłynął po ostrzu.

Biały rozbłysk, spoza pleców Jonasa, pochwyił w powietrzu jeszcze jedno lśniące ciało wyciągnięte w wyskoku. Pewnie Mażulis rozprawił się z zagonami oskrzydłającymi niedobitki koczowników. Teraz biegł do wyłomu. Jeszcze jeden błysk – nóż wyrzucony jak z katapulty. Metaliczny korpus przebił na wylot, niespodziewanie zatoczył ciasny łuk – tylko krwią i złotymi cekinami chlapnęło po drodze, kiedy płytko rozkroił kilka wyszczerzonych pysków – jakby wrócił do ręki, która go puściła w obieg. Jonas zerknął tam, zaskoczony. Cień Feretriusa zasłonił magicznego miotacza. Dopadł wrzeczono, które zdążyło się uchylić przed wracającym nożem. Cień Feretriusa uniósł do góry drgający korpus. Coś mu zazgrzytało między palcami. Pazurzaste, trójpalczaste łapy ześlizgnęły się mu po przedramieniu, kiedy drugą ręką ukreślił żelazny łeb. Jeszcze palcami podważył nachodzące na siebie łuski i szarpnął w dół. Przed chwilą twardy pancerz zwiotczał i dał się rozedrzeć niby delikatna, metaliczna folia. Cień Feretriusa radośnie wznosił w dłoniach coś wyłuskane z tego pancerza – różowe, gołe, rozpaczliwie przebierające łapami nie znajdującymi oparcia.

Jonas usłyszał przenikliwy świt. Reszta srebrzystej fali zapadła się i rozsypała natychmiast. Omal go zbił z nóg jeden ze stworów pierzchających na boki, nie próbujących już komukolwiek dobrać się do gardła. Pierzchały na złamanie karku. Szeroki nóż ze dwa razy skoczył za nimi i wrócił skrwawiony, zanim utkwiał twardo w rękę ciemnoskórego, wysokiego nomada ze srebrną piersią i czerwonymi bransoletami na nadgarstkach. Moran przenikliwie popatrzył na Megaloxanthę.

Mimo woli Jonas odwrócił wzrok. Kilka sztuk rozpierchłego stada trafiło w krzyżowy ogień dwóch emiterów. Pewnie z daleka drugi komandos wspomógł Mażulisa. A więc żyją obaj, pomyślał Jonas. Teraz dopiero można było naprawdę strzelać, wręcz kosić na lewo i prawo, bez obawy, że porazi się kogoś ze swoich w pierścieniu bezpośredniego starcia.

Tym razem bez strat, pomyślał Jonas.

W tej samej chwili ktoś przed nim osunął się na ziemię.

Skurczone rysy twarzy wygładziły się i niespodziewanie młody mężczyzna, z oczami jeszcze pełnymi bólu, popatrzył gdzieś ponad ramieniem Jonasa, spróbował pod strzępy skafandra wcisnąć kiszki wilgotne, parujące – prześlizgiwały mu się między palcami; uśmiechnął się blado i skręcił między tymi, którzy padli przedtem.

Niewielu ich zostało. Siedmiu trzymało się jeszcze. Ktoś się poza tym czołgał, ktoś wygrzebywał ze szmacianych strzępów. Kilkanaście trupów leżało na wznak, z ciemnymi jamami gardeł ostatnie tchnienie oddających niebu.

Tylko Cień Feretriusa chichotał po swoimu.

Białowłose ślepiec okrakiem przysiadł na różową cielesność, wizgliwie pod nim dyszącą. Żółte światło przygasało mu w piersi.

Na nic nie zważał. Starannie zdierał srebrną łuskę z czegoś, co niespodziewanie przypominało ludzką prawie, chociaż mocno wydłużoną twarz. Wreszcie wyjrzała na zewnątrz – posiniała, rozdymająca ruchliwe nozdrza, z wąskimi wargami obnażającymi białe dziąsła i srebrne zęby – noże wrosnięte w porcelanową kość. Jonas nie mógł oderwać wzroku od oczu tkwiących w tym szczurzym pysku. Oczy zeszkłone bardziej bólem, niż nienawiścią. Niczego już pewnie nie potrafiły dostrzec – malowało się w nich tylko to, co czuła reszta przyduszonego ciała. W wypukłych soczewkach odbijało się sklepienie fosforyzujących mgieł, które ich wszystkich – martwych i żywych – coraz szczelniej otulały zewsząd. Przede wszystkim tych, którym – tym razem – dane było zwyciężyć. Może po raz ostatni.

Po raz ostatni – tyle spokoju pozostało w oczach jednocześnie zwierzęcych i ludzkich. Jonas zrozumiał nagle, że te oczy – mimo wszystko – patrzą i to na niego. Ani bezpośrednio w oczy, ani na ręce – całego ogarniały jednym spojrzeniem. Spokojny, rozkazujący wzrok, gotów przeniknąć w najskrytsze zakamarki mózgu. Wiedział, że jeszcze chwila i – powolny tej sile – wyciągnie ramię, aby uderzeniem pięści zmiażdżyć czaszkę tego półczłowieka, który – ślepy – nie wie, co czyni. Dosiadł okrakiem i próbuje spętać coś, czego nie powinny się były nigdy tknąć jego barbarzyńskie ręce – splugawione krwią.

Aż się zachwiał Megaloxantha.

Cień Feretriusa dalej ugniatał zewłok skurwysyna.

Raptem coś błysnęło z boku. Krew bluznęła z rozplatanego ciała, które przedtem już obrano ze skafandra; aż wyszły na wierzch białe pieńki żeber.

Ciemnoskóry Moran wreszcie zatknął za pas swój nóż.

Cień Feretriusa zerwał się na równe nogi i warknął wściekle. Z brzucha ciekła mu krew, jakby to jemu wypruto wnętrzności. Trudno odróżnić krew człowieka, genomuta i skurwysyna – przynajmniej w tej ostatniej, krzepnącej na powietrzu, ujawniają się złote cekiny. Jonas poczuł lepkość własnych palców.

Tymczasem Moran odstąpił w bok. Jonas stanął naprzeciw człowieka, dalej nie odstupującego od niewysokiej ściany – jemu wystarczającej na wsparcie. Czarny kamień wetknięty pod powiekę. Żłobiona głębokimi bruzdami twarz starego Makonde, nie tak sucha, jak ją widział po raz pierwszy. Teraz zamiast zmarszczek kroily tę twarz właśnie bruzdy, jakby ktoś puchnące mięso gęsto obwiązywał drutem

– ten wrzyna się coraz głębiej, w miarę, jak opuchlizna ogarnia twarz starego człowieka – niczego już niepodobna na dłużej scalić.

Jonas gotów był przyjąć podziękowanie zawarte przynajmniej w spojrzeniu, jakim go przywitał stary pułkownik. Niespodziewanie jedyne oko błysnęło trudnym do opisanego gniewem i rozpaczą – wreszcie się jej nauczył nad trupami własnych ludzi wybitych prawie doszczętnie.

Coś tak niesamowitego było w tym spojrzeniu, jakim prześlizgnął się mimo twarzy Jonasa, aż ten nie wytrzymał – obrócił się gwałtownie. Za późno.

Zobaczył Mażulisa skręconego w powietrzu, kiedy rozpaczliwie próbował uskoczyć w bok. Jeszcze przed chwilą Jonas i Cień Feretriusa przemknęli właśnie tamtędy. Teraz czarna fala napuchła pod nogami dowódcy komandosów. Jakby – zwabione zapachem krwi – wezbrało czarne jezioro, tak długo spokojne w niecce krateru.

Mażulis zdążył uskoczyć.

Biegący za nim żołnierz tylko wyrzucił ramiona i całym ciałem zwałił się w czarniawę, omszałą bajoro. Łapczywe wargi mlasnęły rozkoszą i ogarnęły go wilgotnymi płatami.

W jednej chwili znikł pod powierzchnią. Ta nastroszyła się niespodziewanie długą, miękką sierścią. Zafalowała. Rozległo się głucho westchnienie. Zaraz potem jęk. W zupełnej ciszy, powoli pulsowała czarna masa, w swym wnętrzu kurczami mocarnych mięśni ugniatała to ciało, które nieostrożnie stąpnęło w ciemność tej płci zakwitłej w kraterze.

Najpierw było słycać trzask łamanych kości, potem i to ucichło. Zostało miarowe kołysanie, strasznie mozolne, jakby głęboka torbiel przeżyła się pod kępą mszastej sierści, przeciągała z rozkoszą, aż jej powierzchnię przebiegał czasem spazm krótki – tylko mgnienie – i znów się wszystko wzdymało, opadało, wzdymało – ugniatało pilnie.

Oni tymczasem stali bezradni – stary Makonde, Megaloxantha obok ciemnoskórego Morana, jeszcze sześciu nomadów – z tych, którzy zdołali się podnieść. Najbliżej Mażulis ze spuszczoną głową i rękoma – do białości zaciśniętymi na kolbie emitera. Jeszcze Cień Feretriusa.

Długo tak stali. Nad nimi fosforyczna poświata zasklepiła się w pęcherz prawie nieprzenikliwy dla iskrzenia gwiazd. Wreszcie nakryła ich mleczna kopuła. Nawet tego nie dostrzegli. Tkwili pod niewysoką skarpą i nad brzegiem ciemnego jeziora. To był cały ich świat – ostatnia scenografia w Uroczni Megalitu. Nic poza tym. Tylko Zmrocznik falował jeszcze, kurczył się i rozpręzał, przeżuwał swoją porcję rozkoszy.

Aż i on znieruchomiał, znużony.

Wtedy rozchylił się czarny wzgórek. Na moment obnażył szkarłatne, śliskie

wnętrze. Coś chlipnęło i rozchyłona płeć wycisnęła z siebie jakiś blady zewłok. Długi i gładki, niby ześlizgnął się z pochyłości. Pociągnął za sobą nitkę przezroczystego śluzu i spoczął wreszcie na piaszczystym brzegu wypluty przez stygnące wargi prosto pod nogi Mażulisa.

Białe czerw. Miękki i giętki do wnętrza. Spod woskowego nabłonka prześwitywały żylaste korzonki. Poza tym – to się czuło – ani ułomka kości. Rozmiękczone, sflaczałe członki, porażone bezwładem, bez pamięci owej prężności, która tym tułowiem – jak tłokiem – poruszała w pochwiastej zapadni. On dalej żył, chociaż nie miał się podnieść. Zlizany hełm, do nagiej skóry starty skafander – nawet ogromny łeb rozpląszczył się na ziemi jako przezroczysty pęcherz, w którym tłustawo połyskiwało karbowanie mózgowia. Tylko oczy patrzyły nadal, wciąż przepełnione bólem i obłędem, bez śladu tamtego wyobcowania i siły woli, która natchnęła szczurze ślepie – nim je pokryło bielmo. Jak to możliwe – pomyślał Jonas – że człowiek potrafi być bliższy prawdziwej zwierzęcości.

Jonas zamknął oczy i w duchu zaczął się modlić. Błagał swoją Selene, żeby coś się stało – cokolwiek. Żeby, gdy otworzy oczy, coś powróciło pokój temu światu, jeśli żadnemu z nich nie uda się wrócić go własnej duszy. Żeby choć z zaświatów wychylił się pysk w masce i Sprzężenie Zwrotne opuściło ku nim zbrojne ramię Opatrzności.

Modlił się i nie otwierał oczu.

## 23. ŻELAZNY SKOCZEK

Ponury Makonde siedział ze skrzyżowanymi nogami i palcem w piasku kreślił sobie wiadome znaki.

– Jak niemowlęta – powiedział. – Jak szczenięta w jeden worek. Tfu! Grabarze przynajmniej na własną rękę zamknęli się pod kloszem.

Jonas uniósł głowę i raz jeszcze poszukał prześwietu w nisko nawisłym sklepieniu. Jednorodnie fosforyzująca, zakłęśta powierzchnia. Otaczała ich ze wszystkich stron. Na wysokości, gdzie ramieniem nie sięgnie nawet Megaloxantha, w tej mlecznej łupinie tkwił nóż Morana. Aż po rękojeść. Nomad nie wytrzymał, kiedy wreszcie spostrzegli, że tkwią w pułapce. Pozbył się noża.

Pod nogami pozostał im krąg o promieniu niewiele nad dwa i pół metra. Mieścił się w tym skraj szklanego uskoku. Przed tą skarpką wysypany szarym prochem wybieg; w sam raz, żeby się przejść po celi pozbawionej kątów. Niewiele miejsca zostało na spacer. Gładki grunt pozostał tylko tam, skąd wycofał się Zmrocznik. Resztę zaścielały trupy nomadów i martwe szcurze cielska, czasami wyglądające jakby chciały wypełznąć z rozplatanego metalicznego pokrowca i tak zostały – nie w pełni obnażone. Gdzie znużony rozkoszą Zmrocznik wydzielił swoją ofiarę pozostał tylko kleks czarnej sadzy, w środku wypalanej aż do białości.

Jonas ciągle miał przed oczami twarz Mażulisa. Twarz skurczoną, szarą nie mniej od popiołu pokrywającego ziemię, jakby ją poraził starczy trąd przyniesiony tu przez Makonde. Kiedy Zmrocznik wycofał się wreszcie sprzed stóp Mażulisa, ten poderwał emiter, zatoczył się wstecz i zaczął bić w niebo, urywanymi impulsami, gdzie popadnie nad głowami tych, którzy cofnęli się pod skarpe – w pobliże starego Makonde, dokąd nie odstępili nawet przed sforą skurwysynów. Strzały komandosa nie przebijały mlecznego pęcherza, jak się od niego nie odbijały. Energia po prostu wsiąkała w powalę, która się zatrzasnęła nad nimi. Wtedy dopiero uświadomili sobie, że stąd nie wyjdą. Nóż Morana utkwiał w czymś, zdawało się – niewiele gęstszym od powietrza, energia emitera rozlewała się świetlnymi plamami, powoli równającymi świetlistość z resztą dymnej sfery.

Teraz jeden Mażulis pozostał z boku, między trupami. Przykucnął tylko, odrzucił swój karabinek i twarz ukrył w dłoniach.

– Kogo chce Bóg ukarać, tego najpierw oślepią – ciągnął swoje Makonde. – Trzeba się było pakować właśnie tutaj! Jakby nie starczało rozumu, żeby wykoncypować, kędy to draństwo ma najwygodniejszą komunikację z powierzchnią.

– Nigdy tu przedtem nie byliście? – zdziwił się Jonas.

– Po co? Kiedyś zbiegały się tutaj i rozchodziły drogi konwojów kursujących

między THARSYS i resztą cmentarzyska. Raz tędy przeszedłem i czort podkusił, żeby dbać o wygodę waszego dojazdu. Skurwysyny zgromadziły tu cały arsenał.

– Po co zeszlście na dno krateru?

– Megaloxantha w otoczeniu swoich towarzyszy czekał tu na nas w pantomimicznej scenie „zapraszamy do stołu obrad” – warknął Makonde. – Jeśli pogrzebiesz w tych jatkach...

Rozejrzał się bystro. Cały spuchnięty i roztrzęsiony, resztę energii zachował w oczach i języku. Wreszcie coś sobie przypomniał, skinął na ciemnoskórego nomada.

– Pokaż mu, Moran – rozkazał.

Bio-Łącze koczowników sięgnęło za pas i przed Jonasa cisnęło jakiś ochłap. Nie odważył się wziąć tego w palce – jakby się bał, że mu podrzucono czyjś skrwawiony skalp. Trącił to nogą, aż się rozłożyły elastyczne płyty i Jonas spojrzał w twarz Megaloxanthy. Sam siebie zobaczył – niby w krzywym zwierciadle. Głowa oddzielona od tułowia, poza tym rozplataną jednym cięciem od gardła, przez policzek i skroń, aż na tył okłapłej czaszki.

– Nie powinni byli powtarzać tego samego dowcipu – zauważył Jonas.

– Dlaczego nie?! – parsknął Makonde. – Wystarczyło. A nie udało się wygnieść z osobna, to się niedobitki zebrało w jeden słoik. Rozejrzyj się. Nie ruszymy stąd nogą.

– Zawsze jest szansa.

– Więc ruszaj przynajmniej głową, Megaloxantho. Wymyśl jakiś lunatyczny egzorcyzm. Przez ciebie tu jesteśmy, więc nas wyciągnij. Tylko się spiesz, póki mamy czym oddychać, jeśli nie masz zamiaru wywlekać nas nogami do przodu, w ślad za tymi trupami.

– Do egzorcyzmów lepiej by się nadał jeden z tych, którzy zostali w Wozie Bojowym – powiedział Jonas. – Gdzie reszta twoich?

– Z drugiej strony Uroczni. Nie chciałem wozów pakować między „maw-szynrangi”. Wolałem zostawić na otwartej przestrzeni.

– Ilu was tam jest? – spytał Jonas.

Makonde popatrzył, jakby miał do czynienia z przygłupem.

– Zawsze jesteśmy razem – powiedział.

– Wszyscy? – zdumiał się Jonas.

– A jak myślałeś? Stadni jesteśmy, choć nie grabarze.

– I wszystkich chcesz ze mną ciągnąć do Enklawy TABOR?!

– Jeszcze ci nie przeszło?

– Muszę tam dotrzeć.

– Więc licz się z tym, że – jeżeli cudem wykaraskamy się z tego przerebła, w co wątpię, gdyż znam skurwysynów – jeśli mamy ci pomóc w twojej cholernej pielgrzymce, będziesz miał całe plemię na karku... i na sumieniu.

Jonas wzruszył ramionami.

– Nie taszcz ich ze sobą – zaproponował.

– Ty, przyjacielu, masz przynajmniej swoją skorupę dziobatą od Tycho de Brahe do Mare imbrum! – niespodziewanie jedyne oko Makonde rozbłysło gniewem. – Trzeba w niej było zostawić swoje nogi i ręce, łącznie z sercem, czy co tam napędza twoją mechaneurystykę! Dla nas quaevis terra patria znaczy tyle, co żadna! Swoich ludzi zostawiam tylko w grobach. Jeśli jest co grzebać. Posiałem tego w wystarczającej ilości, żeby oznakować cały szlak, jaki przebyliśmy dotąd. A jeśli brak ziemi, którą by nam skurwysyny pięt nie przypalali, to znaczy, że nasze kobiety muszą rodzić, rodzić, rodzić – żeby starczyło kości do znakowania każdego zakrętu.

Stary Makonde znów z pałającym wzrokiem siedział naprzeciw Jonasa, jak przy pierwszym spotkaniu. Teraz mógł się nawet pochylić i zionąć mu w twarz urywanym oddechem, jakby łapczywie łykał duszę, która w wiązaniu samych gnatów i ścięgien kołacze się płytko w gardle, gotowa wyskoczyć przy nieostrożnym wydechu. Więc cedził swoje i suchym badyłem wskazującego palca tknął tam, gdzie żaden z nich nie potrafił przebić się nawet wzrokiem.

– Tam! Tam i tutaj! Rozumiesz? – sapnął. – To jest nasza wojna! Prawdziwa WOJNA! Ledwie się o nią otarłeś. Dlatego chciałem ciebie wyciągnąć ze szklanej piramidki, gdzie pokutują żywe mumie. To wojna, w której wiadomo z kim i o co się walczy! Pojmujesz?! Nie żaden amok ewolucji i dobijanie trupów na wszelkie możliwe sposoby. Tu ludzie walczą nie dla honoru, nie – żeby zdechnąć z maestrią, jeśli nie stało rozumu, żeby przemyśleć cokolwiek. Tu ludzie giną, żeby odrobinę dłużej pociągnęli ci, którzy właśnie się rodzą. Wy też im jesteście coś winni, w swojej Mechaneurystycznej Klinice Księżyca. A więc zajmijcie się tymi, którzy mają szansę przetrwać, żeby wam pomachać w księżycowe noce albo dajcie sobie spokój i zajmijcie się wyłącznie kolekcjonowaniem pamiątek po przodkach. Chyba, że skurwysyny przeszkodzą w rozgrzebywaniu śmietnika. Zresztą – może nie ruszą szczurzym pyskiem – śmietników tu wystarczy dla skurwysynów z każdej branży. Jak okiem sięgnąć – kolekcja po wspólnych przodkach. Tfu!

– Wiadomo z kim i o co się walczy? – spokojnie zapytał Jonas. – Takie to u was proste? W Enklawie mają na ten temat inne zdanie.

– Gównu mnie obchodzi Enklawa! – wybuchnął Makonde. – Oni po prostu niczego nie chcą przyjąć do wiadomości. Oczy, uszy, gęby i nosy pozatykali na cztery spusty, teraz podrygują w epileptycznym transie. Każdy najwyżej zajrzy do egipskiego sennika, żeby sobie wytłumaczyć, co mu się majaczy w przedzgonnej malignie. Obrażają się, kiedy im powiesz wprost, że się na nich wypięła ewolucja, że – najzwyczajniej pod słońcem – wypadli z obiegu i nie przystają! Rozumiesz? NIE PRZYSTAJĄ do nowych warunków, ani fizjologią, ani tym...



Makonde paluchem postukał w wypukły czerep.

– A najmniej – modelem społeczeństwa – dokończył. – Wiesz, kiedyś na powierzchni Ziemi były stęchłe bajorka, gdzie można było wyłowić sobie białkowe glutiny, były też rzeki, a w nich ryby... Wiecie tam, na przyszczytach, co to były ryby?

– Zwierzęta żyjące w wodzie – powiedział Jonas.

– Wybornie! – Makonde nie ukrywał uznania. – Orientację posiadacie lepszą, niż ci grabarze pod swoim nagrobkiem... No więc – byli ludzie, którzy próbowali się podtrzymać na duchu, instalując w betonowych celach Masywu różne imitacje zwierzyńców, choćby to było wiadro wody w szklanym kubku, gdzie można dołożyć jakiejś zielsko i powoli zdychającą rybkę. To się nazywało akwarium. Słyszałeś?

– Wyobrażam sobie – powiedział Jonas.

– Grabarzom też się dostało nie więcej niż akwarium – Makonde odsapnął. – Stara konserwa, pozostawiona przez Stwórcę. Trochę w niej zjełczałego powietrza z przeszłości. Atmosfera przeszłości. Jak na zakurzonej strychu. Wystarczy zrobić dziurkę i woda wypłynie, a rybka chwilę jeszcze w powietrzu powiosłuje płetwami. Tak jest z ich Enklawą. Rozhermetyzowane akwarium. Chociaż starali się uszczelnić Pierwszą Linię! Po-o-szło! Tu i ówdzie została kałuża. Reszta, po prostu – nie przystaje! Jak ryba do powietrza. Musisz zdechnąć! Nie mitologizuj INWAZJI, skierowanej akurat przeciwko tobie! Bo taka z ciebie ważna figura! Bzdura! Antropocentryzm jako curiosum doprowadzone do ostateczności. Taki to jesteś ważny – homo sapiens! Taki z ciebie pepek świata, że innym myślącym jesteś solą w oku! I specjalnie tak im ciasno w całym Kosmosie, aż pilno swoje trzy grosze wetknąć w upuszczone przez ciebie gówienko! Jeśli się nie spuścisz jeszcze – trzeba dopomóc! Trzeba, specjalnie na tę okazję, zmontować Wielką Armadę wszelakiego draństwa; Zmroczniki Pochwiaste, Rojniki Arrheniusa i sztabowe Wpleszcze, Strzykacze, Saprophyty i inne wzdrgowce... Tego wszystkiego tutaj, gdzie jesteśmy, znajdziesz po uszy. Tylko nikt się tutaj kurczowo nie obwarował Pierwszą Linią. Nikt nie montował Frontu przeciwko Inwazji! Co nie znaczy, że jeden drugiemu oszczędza odciski. Sam widziałeś. Ale tu trwa osmoza! Ty w niego wdepniesz, on się da innemu ustrzelić. Rozumiesz, Megaloxantho? Powolne, systematyczne przenikanie, i współistnienie. Cokolwiek się nie powie – przecież współistnienie.

– Również ze skurwysynami? – podchwycił Jonas.

Aż coś od środka pchnęło starego nomada. Twarz mu jeszcze pobladła – zdołał się opanować.

– Również z nimi – powiedział wreszcie.

Tylko na ocalałych towarzyszy popatrzył takim wzrokiem, jakby przepraszał za bluźnierstwo wypowiedziane nad trupami, z których krew do końca jeszcze nie wyciekła.

– Zbyt długo tkwiliśmy w Enklawach – powiedział ponurym głosem. – Kiedy z nich wyszliśmy, miejsce zostało zajęte. Rozum ustąpił pola ewolucji. Wycofał się na pewien czas do swojej pustelni i zwolnił niszę ekologiczną, którą przedtem – dla pikanterii – przyprawił kilkudziesięcioma termojądrowymi grzybami. Przetrwały tylko szczury... z największą perspektywą na przyszłość między tym, co się – z nowalijek – na tym poligonie zaległo. Dzisiaj to my jesteśmy tutaj obcy. I, jeśli mamy zamiar przetrwać, musimy sobie to współistnienie wywalczyć. Dzisiaj ta równowaga, wygląda mniej więcej tak, że za każdego naszego trupa oni muszą dać tysiąc. Z dniem dzisiejszym trudno będzie rachunek wyrównać... Chyba, że pomoże nam Megaloxantha. Musisz pomóc. Tak będzie trwało dopóty, dopóki oni zrozumieją... Musimy sobie na powrót wywalczyć miejsce na ziemi.

Machnął ręką, jakby się opędział przed czymś mało istotnym.

– Ale o czym ja mówię – powiedział. – Jeśli nas stąd wyciągniesz uwierzę, że możesz się do czegoś przydać. Na razie moi ludzie, z tych – co pozostali przy Wozach, mogą sobie obliczać rachunek do wyrównania. Tylko, podejrzewam, wyjdzie im więcej niż nam, którzy – od środka tej skorupy – nie zrezygnowaliśmy z podziału na żywych i trupy.

– Dobrze – podjął Jonas. – Sądziś, że twoi ludzie mogą coś przedsięwziąć z zewnątrz?

– Przeciwno tym fosforycznym mgiełkom? Zwijają się w tak sprytną muszelkę, że najskuteczniejsza jest profilaktyka – nie czekać, aż się wokół ciebie skryształizuje klatka. Między innymi dlatego trudno nam gdzieś zagrzać miejsce. Tutaj zawsze działały siły wyższe, plus własna tępota.

Wzrok Jonasa spoczął na piersi Morana. Strużki krwi zasyczały mu na udach i ramionach. Tylko pierś pozostała nietknięta; we wszystkim szkolone zęby nie miały się ekranu, który posłużył za pancerz.

– Próbowaliście nawiązać z nami kontakt? – zapytał Jonas.

– Stąd? – Makonde z niesmakiem strzelił palcami. – Powietrze jest tutaj... lepkie dla informacji.

– To znaczy – odezwał się Moran, pełniący rolę Bio-Łącza nomadów – w przestrzeni ograniczonej menhirami okresowo wzmagają się jakieś elektromagnetyczne zakłócenia. Nie wiem, z czym to ma związek.

– Skurwysyny – syknął Makonde.

– Tylko w tym przypadku, jeśli rozgryźli system obiegu informacji między ogniwami Informatycznego Systemu – wyjaśnił Moran. – A potem z wyrachowaniem założyli blokadę.

– Nie stać ich na to? – zapytał Jonas.

– Technologii im wystarczy. Tylko... – nomad zawahał się. – Nigdy przedtem i

nigdzie poza tym miejscem nie robili nam takich trudności.

– Istnieje inna ewentualność?

– Zapóźniony efekt PEM – warknął Makonde; wyglądał na rozeźlonego tym, że mu się do rozmowy wtrąca Bio-Łącze.

– Puls elektromagnetyczny? – uśmiechnął się Moran. – Trochę lat minęło.

Makonde przejechał palcem po twarzy, jakby paznokciem zliczał zmarszczki.

– Tu, o tutaj, każdy rok mam zakarbowany na tej gębie – powiedział. – Na starość każdy dziecinnieje. Pamiętam, jakby to było wczoraj, kiedy tu wyrznęła termojądrowa... Pal to diabli! Masz ze sobą Bio-Łącze?

Z tym pytaniem zwrócił się do Jonasa. Ten skinął głową.

– No proszę! – sapnął Makonde. – Jeszcze jedno wylazło spod klosza. Czemu nie. Im żaden Zmrocznik nie dobierze się do skóry. Okres ochronny. Albo niestrawne.

Chwilę siedział i zastanawiał się nad czymś, lekko przy tym kiwając głową.

Twarz mu obwisła, mimo opuchlizny jej mięsisty listek przywiadł szybciej od reszty suchego badyla.

– Zmacaj swojego braciszka – powiedział do Morana.

Ten już przedtem rozsunął biały szew na szerokiej piersi. Chwilę siedział z zamkniętymi oczami, zaśluchany w siebie. Coś się zaiskrzyło pod srebrzystą powierzchnią. Już wypływało na zewnątrz niby ogromna, rtęciowa kula, gdy zaiskrzyło nagle, trzask się rozległ i wszystko przepadło. Moran zachwiał się. Szeroko otworzył oczy. Pierś Bio-Łącza zasklepiła się szarą, pozbawioną połysku powierzchnią.

– Co się dzieje?! – warknął Makonde.

– Miałem łączność przez kilka sekund – powiedział Moran.

– To znaczy, że mi oczy zaszyły bielem – skrzywił się Makonde, po czym zwrócił się do Jonasa: – Widziałeś coś?

– Nic.

– Oni tam pewnie nawet nie zauważyli kontaktu – wyjaśnił Moran. – Nie jestem pewien, ale przejąłem informację poza świadomością waszego...

Popatrzył na Jonasa.

– Janko? – upewnił się.

– Janko Pytlak.

– Chyba on. Jest Sternikiem? To się zgadza. Na ile się zorientowałem, w momencie kontaktu rozważał czyjeś szansę dotarcia do nas. To wszystko.

– „Czyjeś” szansę? – zdumiał się Makonde. – To było rozważane w liczbie pojedynczej?

– Tak sędzę – przyznał Moran.

– Niech to diabli! – gniewnie uniósł się stary pułkownik. – Kogo ty przytaszczyłeś

ze sobą? Ahura–Mazdę?! Wiesz, co tu można zdziałać w pojedynkę? Módlmy się, żeby moi ludzie również tego durnia wstawili w kosztorys.

– Jeszcze ich stać na wyrównanie rachunków? – z powątpiewaniem zapytał Jonas.

– Popamiętasz moje słowa! Ktokolwiek nas z tego wyciągnie, z pewnością nie będzie to żaden grabarz z THARSYS.

– Podejrzewam, że – jeśli sami nie damy rady – nikt nam nie pomoże – zgodził się Jonas.

– Masz propozycję?

– Nie.

– Możemy się więc tylko modlić.

Jonas pomyślał, że nomad pozwala sobie na żarty. Makonde poruszył się, jakby w popiele mościł sobie wygodniejsze siedzisko, po czym znieruchomiał z suchymi białymi rękami opuszczonymi na kolana, z twarzą nagle zubożoną i przymkniętymi oczami. Nie było w tej twarzy śladu rezygnacji czy zawziętości, tylko zwyczajny spokój – nawet nie poruszył wargami, widocznie modlitwę kierował do Boga potrafiącego czytać myśli.

Moran tymczasem popatrywał na Jonasa takim wzrokiem, po którym należy skinać głową i zezwolić mu na pójsie w ślady starego wodza. Dwóch nomadów, wyglądających na mniej poszkodowanych, opatrywało rannego. Bezpośrednio na rozdarcie skafandra nakładali żółte, elastyczne łaty – metaliczny plaster zdawał się jednocześnie scalać okrycie i goić żywe mięso. W trakcie zabiegu ranny zachowywał kamienną twarz, chociaż w jego oczach więcej było bluźnierstwa, niż modlitwy propagowanej przez starego Makonde.

Jonas chciał się podnieść i zbliżyć do zgnębionego Mazulisa, kiedy ktoś bliżej zakwilił jak dziecko. Obejrzał się. Za jego plecami Cień Feretriusa spoczywał na ziemi. Zrobił swoje. Naszarpał skurwysynów dwakroć tyle, co reszta razem wzięta. Od wściekłej euforii do potulności przechodził w najmniej spodziewanych momentach. Nagle po prostu przestawał być obecny. Teraz też – zdawało się – drzemał na boku, z podkurczonymi nogami. Czasami z piersi wyrwał mu się jęk albo skomlenie. Całe ciało przebiegał krótki dreszcz. Dłonie mu się zwijały, przeżył się wzdłuż kręgosłupa, mięśnie ud widocznie napinały się pod materią skafandra i spazm przechodził do łydek; aż podrzucał stopami obutymi w standardowe buty z wyposażenia Endogenicznej. Sprawiał wrażenie, jakby mu się śniło, że dalej biegnie, walczy, znów kogoś ściga i zmagają się z potwornym wysiłkiem. Czasami jakiś śmiertelny wrzask, trwający tam – w czasce przenieconej ciemnością oczodołów; w piersi przenizanej złotym nitami – przez zaciśnięte zęby przeciska się dławionym skowytami. Ciekawe – pomyślał Jonas – ile z dawnego Feretriusa zachowała podświadomość tego, który dzisiaj był tylko jego Cieniem.

Jonasowi przyszło na myśl, że powinien był zapytać Makonde, co z tym fantem począć, zauważył już, że reszta nomadów dziwnym wzrokiem śledzi poczynania Cienia Feretriusa. Z pewnością muszą więcej wiedzieć o genomutach niż „grabarze” zagrzebani w swoich enklawach.

Ledwie to zaczął rozważać, kiedy Cień Feretriusa odezwał się kolejnym, coraz to bardziej zawodzącym jękiem, aż mu się we śnie rozwarły szczęki i zawył pełnym głosem. Równocześnie przewrócił się na wznak, rozkrzyżował ramiona i zaczął nogami kopać ziemię. Jęczał i wył, niby ślepy wilk, który całym sobą czuje – coś niedostrzegalnego dla obdarzonych normalnym zmysłem wzroku – Księżyc wschodzący powoli nad pustym kraterem.

Jonas zerwał się na równe nogi. Równocześnie, jakby ktoś tylko czekał na to poruszenie w kryształowym słoju, wszystko zapadło w nieprzeniknioną ciemność.

Mrok bez wzroku, węchu, dźwięku i dotyku, bez smaku. Bez miejsca i czasu. W tym wszechświecie sprowadzonym do praatomu – głos znajomy, nieświadom wagi słów, za dopuszczeniem świadomości już nie jednostki, lecz całych pokoleń – formułował przepowiednię grozy, jaką jaźnią ogarnąć możesz tylko wtedy, gdy trwa w zawieszeniu połowiczność Apokalipsy, kiedy – choćbyś był w prochu – jeszcze możesz wyartykułować: „Dziękujemy Bogu za to, że – odbierając czas i miejsce – zostawił nam szansę śmierci...”.

Oto bowiem czas, kiedy i śmierć nie będzie dana. Choćby dokoła zdychali ci, których ludzka zwierzęcość jeszcze nagina do ziemi, do pleśni i powietrza.

Tylko przed Megaloxantha jawi się postać widmowa – niby na wyciągnięcie ręki, a przecież za szklaną powierzchnią – w sukni powiewnej, z włosów świetlistych owiniętych wokół nagiego ciała, z oczami opuszczającymi wronie skrzydła. Rumieniec ją ogarnia całą – przez szyję do piersi rozdwojonej karminowymi stożkami. Każdą w dłoni rozetrze i pocałunkiem własnych ust rozgrzeje – tylko do nich może się jeszcze resztką ciała tulić. Ciałem już przezroczystym, ledwie się jarzącym w pustym oczodole, w skalnej dziupli podobnej do komnaty warownego zamku – na wysokiej wieży. Obrońcy warowni walczą jeszcze na murach – w pustej komnacie, pod szczytem głównej baszty, dopala się zapomniana pochodnia. Żywica skwierczy – błękitne krople od własnego pędu gasną w powietrzu. Śmierć każdej iskry znajduje bliźniaczą śmierć na murach – chwije się kolejny żołnierz – na wylot przesyty kryształową strzałą. Niedobitki walczą – poty im sił wystarczy, tak długo im ręce nie omdleją przy odbieraniu ciosów, póki tam płonie łuczywo. Już się zwęgliło do końca. Popiół się kruszy. Na murach z żołnierzy odpadają blachy, łuszczą się pancerze, w dłoniach pękają zardzewiałe miecze.

Coraz wyżej na mury pną się czarne zastępy – w maskach na twarzach, w pelerynach mroku – niby wronich skrzydłach przytroczonych do ramion. Wyżej!

Czym prędzej przecisnąć ramię przez zakratowane okno i garścią zdusić ostatnią nadzieję, Sprzężenie Zwrotne w prehistorię.

Tylko błękitny dym snuje się w powietrzu – kołysze widmo wiotkie. Jeszcze w nim ostatnia iskra czerwonymi ustami szepcze imię Megaloxanthy – źrenice bez oczu zebrzą ostatkiem wzroku: „Spiesz się! Spiesz... Na co czekasz jeszcze?!”.

Ktoś go potrącił.

Ziemia zakołysała się pod stopami. Małeńka kra, ledwie dająca oparcie. Znowu jasne światło wypełniło przestrzeń. Cokolwiek tliło się poza czarnym pęcherzem – przepadło bez śladu. Poza niepokojem serca.

Jonas potoczył wkoło niezbyt przytomnym wzrokiem.

– Na wieki wieków! – w ustach Makonde zabrzmiało to mocniej od przekleństwa.

Obok starego pułkownika stał ciemnoskóry Moran. Pochylił się, jakby srebrną pierś chciał ostatniego wielkiego laibona osłonić przed ciosem, który niebawem spadnie na nich wszystkich. Tu i teraz, chociaż nikt nie wie, z której strony.

W krąg nomadów wstąpiła wysoka postać z ramieniem uniesionym wysoko nad głową. Jonas rozpoznał Mażulisa. Olbrzym trzymał w dłoni emiter o lufie jarzącej się niby biała lampa. Pewnie się ocknął, kiedy mrok pozwolił mu oczy oderwać od trupów. Teraz stał sprężony, tak samo jak Moran. Tylko wysoko uniesionym ramieniem podtrzymywał swoją pochodnię. Obydwaj, komandos i nomad, wyglądali tak, jakby chcieli przyjść w sukurs temu, co na zewnątrz zgasło. Jonas zrozumiał, że coś się tam rzeczywiście dzieje – poza ich pęcherzem, dokąd niepodobna sięgnąć żadnym zmysłem. Mimo to nasłuchiwali z napięciem. W twarzach Morana i Mażulisa odbiło się to samo skupienie, kiedy w sobie próbowali znaleźć odpowiedź na to, co działo się poza ich szklaną zapadnią, gdzie nikt nie potrafił wzrokiem przebić ciemności.

Znowu zakołysało nimi. Aż się pod każdym ugięły nogi. Z kolei niezwykle lekkość usunęła im ziemię spod stóp. Płonąca pochodnia wypadła z ręki Mażulisa. On sam nieporadnie zawisł w powietrzu. Piasek zafalował. Raz jeszcze popioły wydały dymne tchnienie. Szare kłęby spłynęły w jedną stronę kuli i – bardziej wzburzone – przewaliły się z powrotem.

Jonas wyobraził sobie, że oto zostali zamknięci w ogromnej czaszy, która ogarnęła ich razem z fragmentem plaży – skąd Zmrocznik odpełził pospiesznie, ze szklanym głazem odciętym od skarpy, w cieniu której szukali schronienia. Teraz ten pęcherz odzyskał nieważkość fosforycznej mgły, z której został poczęty w Uroczni Megalitu; wreszcie uniósł się ze wszystkim, co zawierał w sobie.

Wystarczyło, że się zamyślił i jego również zbiło z nóg. Runął w sypką zawieszinę popiołów. Gdzieś tam dogorywała pochodnia Mażulisa. Wszystkich ich unosił balon miotany gwałtownymi porywami wiatru, zapadający w jamy chłodnego powietrza i

pływający na gorących wirach. Kotłowały się tam, gdzie coś się działo – straszne i niepojęte, wobec czego ich więzienie wydało się co najmniej niestosownym schronieniem. Poczerniała skorupa tej kuli osłaniała przecież przed czymś wzrok – jakby tam czas zapętlił się do punktu wyjścia, w którym termojądrowe piekło pierwszy raz i na zawsze wstrząsnęło sercem Uroczeni Megalitu. Jeden puls elektromagnetyczny – efekt PEM – promienny palec Stwórcy, którym – na zmianę ludzkiej rasy – powołana została do bytu cywilizacja ziemskich szernów i zwyrodniałe państwo genomutów.

Jonas z kimś zderzył się w półmroku. Na moment odzyskał oparcie poruszanej ziemi, chciał również tamtego podtrzymać – ciało martwego nomada zwisało mu w ramionach.

Jednocześnie dostrzegł rysę w ciemności spowijającej ich ze wszystkich stron. We wstrząsach i rozkołysaniu ziemi zgasła lampa Mażulisa – niespodziewane światło zaczęło przebijać z zewnątrz. Rozległ się trzask, jakby wreszcie runął fragment skorodowanego nawisu i przygniótł kogoś w ciemności – jęk urwał się razem z łomotem osypiska. Ktoś jeszcze zakaszłał gwałtownie. Widocznie piach, latami brużdżący twarz starego Makonde, dokonał nowej próby – przeniknął do jego płuc, żeby ostateczną rzeźbę podjąć od środka.

Może ktoś zaczął się dusić w zamkniętej przestrzeni.

Jonas wysilił wzrok.

Poszerzyły się jasne szczeliny. Nierówne linie obrysowały jakiś kształt jamy, chociaż dziwnie nieprzystawalny do zewnętrznej powierzchni tej kuli.

Podczas kolejnego przechyłu Jonas spróbował utrzymać równowagę bezpośrednio na ścianie wybrzuszonej na zewnątrz, jednocześnie potrafiącej być sklepieniem i niecką moździerza, w którym głązy miażdżą czyjeś ciała. Prochy mu się usunęły spod stóp i nagle więcej przestrzeni ogarnął wzrokiem. Nie kula pękała, miejscami przepuszczając światło, lecz rysy pojawiły się w narosłej z zewnątrz skorupie. Jakby przezroczysty pęcherz zwęglił się z wierzchu albo zasklepił czarną polewą. Teraz tę kulę coś zacisnęło w monstualnych cęgach i czarny nalot wykruszał się w punktach styku z imadłem.

Nagle Jonas zrozumiał. Światło obrysowało kształt gigantycznej dłoni. Druga pewnie tę kulę podtrzymywała z przeciwnej strony, gdzie właśnie przeważała całą ziemię, gdzie kłął Mażulis i coraz głośniejszym kaszlem zachłystywał się Makonde.

Dwie monstualne dłonie, które wyjęły kryształową kulę i uniosły w powietrze razem z zawartością. Ten, którego wymodlił Makonde, odebrał bogom Uroczeni Megalitu ofiarę złożoną na ich ołtarzu. Teraz perłę wynosił poza szczęki menhirów gotowych zatrasnąć się do środka. Można było wyczuć jego długi, sprężysty krok. Dopiero teraz.

Jonas wysiłkiem woli oderwał wzrok od śladu ogromnych dłoni, pieczołowicie podtrzymujących tę urnę z prochami zmieszanych z kawałkami mięsa, w których jeszcze tliła się świadomość.

Jeden Megaloxantha trzymał się jeszcze. Piaszczysta masa ogarnęła mu stopy, kamienie młóciły o uda, odskakiwały od piersi. Wszystkim rzucało na boki. Na wewnątrz ktoś szedł miarowym krokiem, szczydłami nóg odmierzał niewiadomą odległość. I unióś ich. Ciągłe niósł.

Raptem Megaloxanthę rzuciło na kolana.

Na zewnątrz ktoś zatrzymał się.

Jonas poczuł moment nieważkości, gdy kula z obłoków opadała na ziemię. Twarde uderzenie otrząsnęło z niego pył.

Zrobiło się jasno. To dłonie, które tę urnę upuściły na ziemię, zabrały z sobą sadzę ze szklistej powierzchni. Reszta też opadała płatami, złuszczała się na wietrze.

Naokoło Jonasa ludzie wstawali z ziemi. Gramolili się ociężale. Mażulis unióś się pierwszy, potem jednego po drugim, wygrzebywał przyduszonych nomadów. Niewysoki garb popiołu osypał się nagle i wyzwolił Morana, który całym sobą nakrywał starego Makonde. Jonas chciał się otrząsnąć z szarego pyłu, kiedy spostrzegł – dopiero teraz, że ciągle trzyma w ramionach czyjeś martwe ciało. Wydało mu się lekkie, jakby z niego wypłynęła krew zwykle zmieszana z ołowiem. Przez moment wahał się. Wreszcie upuścił to ciało, nikomu niepotrzebne, bezpośrednio pod stopy.

Ci, którzy się pozbiali, mogli wreszcie spojrzeć sobie w oczy. Milczeli.

Kryształowo przezroczysta kula spoczywała na szarej równinie, daleko poza szczybatym pierścieniem menhirów. Tam coś dymiło, błyskało jeszcze. Opodał potężne zgrupowanie Wozów Bojowych piętrzyło pancerne garby. Światła reflektorów płasko kładły się na kostropatym dachu Industrialno–Urbanistycznego Masywu.

W tym świetle ktoś odstąpił od kuli.

Ogromny, połyskujący metalem. Teleskopowe nogi rozprostował, zdawało się – pod chmury, gdzie stalowy korpus unosił głowę zapadniętą między potężne ramiona. Bez karku – szklany, przezroczysty czerep. Jakby bliźniaczej istocie ukręcił taki sam łeb, przyniósł go tutaj w rękach i złożył na piasku, jako daninę dla plemienia nomadów.

Kiedy się przyglądało uważniej można było zauważyć, tam – wysoko, czerwiał uwięzionego pod szklanym hełmem, zwiniętego w kłębek, wpasowanego w metaliczną osnowę. Niby przybysz z Czerwonej Planety, przenoszony z miejsca na miejsce przez swoją kroczącą maszynę. Wewnątrz biała larwa z podkurczonymi, rachitycznymi nóżkami i zbędnymi rączkami zaplecionymi na tłustym odwłoku. Relikt albo wizja technoewolucji, która szuka sposobu, jak ludzką nędzę wcielić w



postać na miarę Epoki IUM. Starczyło tego na łepkę szczelnie wpasowany pod szklaną przyłbicę, jako węzeł nerwowy w czaszce Brontosaurusa albo Bio-Łącze wtulone w kołyskę Sternika – jednakowo mikroskopijne wobec reszty ciała. To godne Uroczni Megalitu; oto zjawił się wreszcie kapłan, żeby poskromić plemię szczurów taszczące na Ołtarz ofiarę dla własnych bogów.

Jonas z zachwytem patrzył od dołu na tę postać tak potężną, o wielkich dłoniach pustych teraz, spokojnie zwieszonych mimo ud, wyciągających teleskopowe skoki. Wyobraził sobie, z jaką lekkością ten ogrom potrafi przebiegać ziemskie równiny, jak przeskakuje wykroty rozpękle do obumarłych wnętrzy Masywu. Podobnie od ziemskiego ciężenia uniezależnił się tylko Megaloxantha w Królestwie Seleny.

Tymczasem u jego stóp ktoś jeszcze zbliżał się do kuli złożonej na księżycowej prawie równinie.

Raptem Cień Feretriusa roztrącił grupkę nomadów skupionych wokół Makonde. Jakby dopiero teraz wygrzebał się spod ziemi, z głębokiej nory, gdzie tyle czasu drzemał snem sprawiedliwych, chociaż wszyscy inni wyszli z tego w opłakanym stanie – w strzępach skafandrów, z okaleczonymi twarzami i bezwładnością wywichniętych ramion.

Cień Feretriusa przypadł do powierzchni kuli wybrzuszonej na zewnątrz. Jęknął. Z wierzchu jeszcze się odłupało kilka czarnych płatów – może rozgrzana kula kurczyła się w mroźnym powietrzu.

Od strony Wozów Bojowych zbliżał się tłum ludzi, przed sobą pędzących jakieś trzy postacie. Zataczały się, co chwila padały na ziemię, pomagały sobie nawzajem, wstawały i znowu brnęły przez grząskie, szare wydmy. Byli w odległości kilkudziesięciu kroków, kiedy ich Jonas rozpoznał. Trzy wysokie postacie. Wyższe od nomadów. Ręce, nogi i piersi zeszlone połyskliwą łuską – wewnątrz ciała też na wpół przezroczyste, błękitnawe. Jedna z takich zjaw przyglądała się z boku – wtedy otoczona pęczkiem z zielonych płomieni, gdy przebijali się przez Poziom Fabryczny, aż pod uderzeniem Tarczy Wozu na zewnątrz runęła ściana Enklawy THARSYS. Wtedy taka istota odprowadzała ich spokojnym, niemal smutnym wzrokiem.

Ci trzech pozornie między sobą nie różnili się niczym. Sprawiali wrażenie przykurzonych, odbarwionych pod naciekami bielma schodzącymi od ramion, przez pierś, cienkimi korzonkami wrastającymi w nogi. Ledwie się wlekli. Podobni w tym byli do Oddziału Feretriusa, wracającego spoza Pierwszej Linii. Teraz dopiero Jonas zrozumiał, że ręce mają spętane – żelazne pierścienie założone na szyje, od nich po ziemi ciągnące się łańcuchy – poza śladem stóp pozostawiały trzy bruzdy w popiele pokrywającym równinę.

Za tą trójką, na czele nomadów, postępował mężczyzna ogromnego wzrostu. Szedł nieco powłócząc jedną nogą. Ubrany był w czarny skafander i twarz miał

równie ciemną, ziemistą i ponurą. Pod nieobecność Makonde on pewnie pełnił funkcję laibona.

Kiedy zbliżyli się na odległość paru kroków, mężczyzna z tyłu zaszedł jednego z jeńców, chwycił go za biodra i z niezwykłą lekkością uniósł w powietrze. Chwilę tak trzymał, wreszcie rzucił twarzą na przezroczystą kulę, w której tkwili ludzie Makonde i Megaloxanthy. Jonas napotkał pozbawione wyrazu spojrzenie ogromnych, szmaragdowych oczu. Zobaczył przed sobą twarz pociągłą, zielonkawobłękitną, półprzezroczystą, z wierzchu gładką, pod foliowym naskórkiem iskrzącą się dziwnie, jakby igiełki szronu miliardem światłowodów występowały na wysokie czoło, z wnętrza szklanej czaszki przewlekały policzki, nos, nawet wargi. Istota nie mogła podeprzeć się rękoma związanymi za plecami, ani utrzymać równowagi na krótko spętanych nogach. Wsparta ramieniem o przejrzystą ścianę, zaczęła się powoli osuwać w bok. Wtedy człowiek, stojący za nią, uniósł nogę i potężnym kopniakiem dzielił ją między łopatki.

Tylko Cień Feretriusa zawył przenikliwie. Poza tym żaden dźwięk nie przeniknął z zewnątrz.

Jonas dostrzegał jeszcze, jak dowódca nomadów błyskawicznie uskoczył w bok. Jednocześnie uczynili to dwaj pozostali więźniowie – po prostu twarzami runęli w siwy popiół.

Coś sucho strzeliło. Od miejsca, w którym pierś jeńca zetknęła się z powierzchnią kuli, znajome zielonkawe światło objęło cały pęcherz. Jonas zdążył zauważyć, jak w piersi tej istoty błysnęło rubinowe światło – dokładnie tam, gdzie – przy oględzinach Feretriusa – znaleźli złotawy nit przenikający pod żebra. Seledynowy błysk ogarnął wszystko – krótkie spięcie nastąpiło między ich więzieniem, a tamtym punktem w piersi widmowej postaci.

Jonas zachwiał się. Spojrzał pod stopy, szukając dla nich oparcia. Nim znowu uniósł wzrok – usłyszał szelest wiatru goniącego po ziemi suche dymki popiołów. Nic już ich nie oddzielało od zewnętrznego świata. Dalej tkwił, co prawda, we własnym pancerzu, zaślepiony ciśnieniem smrodliwej atmosfery, mimo to znowu poczuł smak przestrzeni. Tej prawdziwej, której jako Megaloxantha, dostąpić mógł tylko w Królestwie Seleny, a jednak i to miało pewien przedsmak kosmosu dla tych wszystkich, którzy tutaj nabierali odwagi przed pierwszym krokiem w kosmiczną przestrzeń.

Wokół Jonasa, po raz nie wiadomo który, nomadowie gramolili się z ziemi. Wszystko, co z Uroczeni Megalitu zaczerpnęła kula, rozsypało się pod ich stopami. Pozostał niewielki pagórek o barwie różnej nieco od otaczającej go równiny. Tkwiło w nim trochę szklanych gładów, niby drogocennych kamieni w siwej, kimberlitowej ziemi. Ktoś się roześmiał i umilkł równie szybko – w prochu wysypanym z urny,

przemieszane z odpryskami rozkruszonej skały, we wspólnej mogile spoczywały trupy ich towarzyszy, czasami piach odsłaniał płaską twarz o oczach zaklejonych popiołem, to znów czubek buta przebijał się na powierzchnię albo zsiniała ręka zakleszczona między kamieniami.

Pierwszy z wyniesienia zstąpił stary Makonde. Zbliżył się do swojego zastępcy i krótko skinął głową. Reszta wahała się, jakby nieświadoma wolności.

Jonas chciał wzrokiem poszukać owej żelaznej, gigantycznej istoty, która ich wyniosła z krateru otoczonego pierścieniem maw–szynrang. Zamiast tego natknął się spojrzeniem na kulę, po raz pierwszy widzianą z zewnątrz, chociaż – gotów był przysiąc – taką samą, z jakiej niedawno wyszli. Nieco w bok przetoczyła się z pochyłości terenu. Jej wnętrze zawierało w sobie nowego, tym razem samotnego więźnia. Pęcherz nad nim płonął zielonkawym światłem. On chwilę stał, z wolnymi rękami krzyżowanymi na piersi, i patrzył na tych, z którymi zamienił się miejscem. Wreszcie zwyczajnie usiadł na dnie kuli, gdzie poza nim trafiło kilka kamieni może garść pyłu; smukłe dłonie złożył na kolanach i po czym zamknął okrągłe oczy, nieco uniósł głowę i tak znieruchomiał. Więzień pogodzony z muszlą, która odtąd miała być jego domem – do końca.

Jonas poczuł, jak mu coś drgnęło w piersi – poza skomlącym jękiem, z jakim Cień Feretriusa zbliżył się do dwóch pozostałych jeńców i skulił się im u stóp. Kolczinski powiedział mu na odchodne: „Bądź czymś więcej, niż psem Megaloxanthy”.

Wyżej unosząc głowę Jonas szukał twarzy Seleny, potrafiącej go jeszcze natchnąć otuchą. Chmury ją przesłoniły nie wiadomo kiedy.

Przed nim Moran schylił się i podjął z ziemi swój nóż. Zatkanął go za pas i odszedł, nie oglądając się za siebie. Raz i drugi załkał jakiś kobiecy głos. Jonas przeszedł przez pierścień nomadów otaczających tych, którzy w milczeniu rozgrzebywali kopiec – chyba tylko po to, żeby kilka metrów obok usypać taki sam kurhan.

Mężczyźni, kobiety i dzieci rozstępowali się przed nim, aż stanął naprzeciw dwóch połyskliwych, teleskopowych słupów. Szeroko rozstawione zbiegały się w górze i zawiązywały srebrzyste podbrzusze istoty zdolnej przeskakiwać góry. Zwarty korpus drgnął, jakby mechaniczny olbrzym poczuł na sobie wzrok Megaloxanthy. Powoli uniósł olbrzymią dłoń do szklanego czoła. Jonas pomyślał, że komuś się zebrało na żarty, lecz hak dłoni – zamiast salutować – od spodu ujął szklaną przyłbicę i lekko uniósł do góry. Następnie ręka rozprostowała się, niby przed rozdziawioną gębą. Coś z niej wyskoczyło, różowawe – miękko pacnęło na podstawioną dłoń. Dźwignia ramienia zagrała stalowymi ścięgnami, cała postać pochyliła się lekko i ogromny pomost zawisł tuż nad ziemią.

Tłusty czerw zeskoczył żwawo, zupełnie goły, z jakimiś szmatkami zaciśniętymi w pięście. Część korpusu wdusił w wypłowiasty kubrak, potem podskakując na jednej nodze, drugą próbował trafić w nogawkę – znowu własnych, pewnie zdążył przeprać – karmazynowych gaci. Tylko główkę przy tym zadzierał w stronę Jonasa – rozpromieniony cały, strzygący oczkami, radośnie stroszący wąsy.

– A co?! – zawołał z daleka, jeszcze kicając na jednej nodze. – Mówiłem? Nie śniło się Megaloxanthom! Kto rusza głową nie musi przebierać nogami. Ha! Ładnie wyglądaliście w konserwie genomutów! I pomyśleć – Megaloxantha! I wspaniały komandos Mażulis! Na dokładkę stary wyjadacz Makonde! Ładnie by wyglądali w Muzeum Ewolucji, gdyby nie pewne głupie, puste bydlę, zwyczajna blaszanka, która tylko czasami miewa w sobie mózdzek, a i to raczej ulepiony z tłuszczu, niż z szarych komórek!

Wreszcie dopiął spodnie, tylko łapkę założył za pasek i coś tam umiejscowił wygodniej. Potem poklepał się po brzuchu.

– Widziałeś, jak się sprawił mój Żelazny Skoczek? – zapytał.

– Was trochę poskubały skurwysyny, a za ich plecami parszywe genomuty, niby razem, a każdy coś knuje na własną rękę. No i wy się cackacie ze skurwysynami, a tamte ślicznotki was – bach! – z boku czapką niewidką. I myślą, że na nich nie ma sposobu! Tylko oczy musisz mieć gdzie trzeba! Rozumiesz, Megaloxantho? Tkwiście sobie bezpiecznie w ich własnej muszelce, jak u Pana Boga za piecem, a ja ich tymczasem... O–o–och! Ja im – zaproszenie do tańca! Przyznaj, Megaloxantho, że nigdy w życiu – czy co ci tam doskwiera – nie byłeś świadkiem takiej akcji. Nim się opamiętali – bach! bach! – i jeszcze trzech w garści, nim zdążyli znurkować w zielonym płomyku...

– Niczego nie widziałem – powiedział Jonas.

– Jak to! – Ion Szałamaja tylko wybałuszył oczka.

– Pewnie twoje „bach!” zaproszyło nam oczy. Nic nie widzieliśmy, nic nie słyszeliśmy... Tym niemniej czujemy się jak nowo narodzeni.

– Niech to diabli – Szałamaja wyglądał na zupełnie zrezygnowanego, nawet mu wąsy obwisły żałośnie. – Stara się człowiek, możliwie z efektem... Ech! Żadnej sprawiedliwości!

## 24 ENKLAWA TABOR

Kiedy zeskoczył na ziemię, ktoś już stał, daleko przed nim, z ramieniem osłaniającym szklany hełm przed blaskiem bijącym w oczy. Daleko poza Tarczą Wozu. Zbyt daleko, a postać ogromna – oczywiście Żelazny Skoczek. Zapędził się gdzie nie trzeba.

Pod stopami czuł jeszcze dudnienie pokrywy Industrialno–Urbanistycznego Masywu. Tylna straż Konwoju dojeżdżała do punktu zbornego. Coraz szerzej rozwijał się wachlarz pancernych Tarcz, zwróconych przeciw Enklawie TABOR.

Jonas ciągle patrzył przed siebie. Zobaczył tam srebrzyste drzwi otwarte w niebie. Usłyszał w nich wiatr, jak westchnienie i głos pierwszy, jakby trąby powietrznej mówiącej do niego coś, czego nie potrafił pojąć. Aż ktoś, stojący z boku, tę grę światła przetłumaczył na ludzki język:

– „Wstąp tutaj, a to ci ukazę, co potem się stanie” – powiedział stary Makonde. – Sam chciałeś.

On sprawiał wrażenie, że boi się patrzeć przed siebie. Nawet opuścił głowę i stał z ponurym wzrokiem wbitym w ziemię.

– Dalej nie sięga moja władza – powiedział i uśmiechnął się krzywo. – Nawet jej pragnienie.

– Wystarczy – odparł Jonas. – Dalej... Tam ja mam rachunek do wystawienia.

– Chcesz iść sam?

– Mażulis pójdzie ze mną i jego żołnierze. Jeśli zechcą. I zabierzemy tych dwóch, których pojmał Ion.

– Dam ci moje Bio–Łącze – zaproponował Makonde. – Nie odmawiaj. Na nim można polegać. Niczego się nie boi... więc i dla mnie, ewentualnie, mniejsza strata. Z twoim tylko byś się cackał. Rzeczywiście nadaje się do kołyski Sternika.

– Dziękuję.

– Nie masz za co – warknął Makonde. – Jeśli nie wróci, wtedy Janko zostanie z nami.

Jonas chciał zaproponować, lecz stary pułkownik dalszą dyskusję uciął ręką.

– Każę przyprowadzić jeńców – powiedział.

Pokuśtykał do śluzy, ale zatrzymał się tuż przed lustrzanym walcem opuszczonym do powierzchni gruntu.

– Aha. Ten twój... – zawahał się. – Wątpię czy od nich odstąpi.

– Cień Feretriusa?

Stary Makonde tylko splunął na ziemię.

– Nie jestem jego ojcem chrzestnym – powiedział. – Ale to prędzej Cień

genomutów. Widziałeś, jak do nich przyłgnał. Psia natura zawsze czuje pana.

– Mam go zabrać? – zapytał Jonas.

– Nie masz wyboru. I tak waruje przy nich. Poza tym... – Makonde kiwnął w tę stronę, gdzie Żelazny Skoczek brnął przez piaski naprzeciw Enklawy TABOR. – Wiesz, kto to jest?

– Dzięki niemu jesteśmy tutaj – powiedział Jonas.

– Pytałem czy wiesz, kim on jest?

Jonas wzruszył ramionami.

– Wiesz coś o Grobach Pożądania? – sam z kolei zapytał. – Powiedział mi kiedyś, że przywiodła go tutaj zwyczajna ciekawość, a w ogóle mam go uważać za kogoś w rodzaju rozbitka.

– Wystarczy – nagle stwardniałym głosem uciął Makonde.

Zdziwiony Jonas obejrzał się za nim. Po elektromagnetycznej membranie służy rozbiegły się centryczne kręgi i wygładziło się zwierciadło.

Nie miał zamiaru zastanawiać się, co znowu gnębi starego Makonde i jaki ma w tym udział Ion Szałamaja. W Uroczni Megalitu zbiegało się wiele nici, dotychczas luźno błądzących w czasie i przestrzeni. Wszystkich nie wypaliła termojądrowa eksplozja nad poligonem Epoki IUM. Wszystkich pozostałych nie rozpląca nawet Megaloxantha, choćby mu na każdym kroku srebrzystą poświatą sprzyjało błogosławieństwo Seleny, która spokojnym wejrzeniem kraterów śledzi bezradność kochanków rozproszonych po Ziemi.

Może ostatni, z tych, co przetrwali, stanął twarzą naprzeciw szklanej bramy, ulepionej z ostrogrannych pryzmatów, kryształowymi zębami mocno osadzonej w czarnym murze nieba. Brakowało tutaj kopuły nakrywającej Enklawę THARSYS. Wzrok bez przeszkód przenikał w przejrzystość wszystkich ścian i poziomów. Enklawę THARSYS otaczały pierścienie kraterów, znaczących kolejne wypady Armii Endogenicznej; tutaj – jak okiem sięgnąć – rozpościerała się pustynia doskonale gładka, ledwie przy – marszczona wydmami, przyprószona siwym pyłem. W nim nie odcisnął się żaden ślad. Jakby żaden mieszkaniec nie opuszczał kryształowego pałacu, ani też przybysz żaden od dawna do niego nie dotarł.

Również konstrukcja Enklawy zasadniczo różniła się od pancernych kloszy, których obraz za pośrednictwem CETI Przyślep udostępnił Jonasowi. Bezpośrednio z gruntu wyłamały się tutaj szklane słupy. Podtrzymywały pierwszą, świetlistą warstwę, rozczłonkowaną w masywie bazy, na których ustawiono cieniutkie filary o misternie zdobionych kapitelach; wyżej gzymsy spiętrzone z siłą i wdziękiem antycznej architektury. Kolejne przezroczyste: bloki pięły się jedno na drugie, nawisały, zdawało się – w nieważkości, tworzyły struktury będące plastycznym zobrazowaniem namiętnej walki o poznanie i podbój przestrzeni, bez owej brzemiennej rezygnacji,

która wzdęty brzuch THARSYS przytłoczyła do ziemi. Wszystko to na wylot przenikały białe ścięgna, żyły kwarcu przechodzące w pion jako światłowody rozpościerające ażurowy maswerk, jarzmowe łuki, pod nimi, wewnętrznym światłem zaślepione arkady. Z zewnątrz strzelistą budowlę ogarnęły, miękko a zarazem potężnie, szklane płaszczyzny okien dojrzałego gotyku; kryjące w sobie fenomen przezroczystości nie tylko dla wzroku, co dla wyobraźni przenizanej mistycyzmem w pełni wieloznaczną i nie lękającą się niespodzianek. Jonas miał wrażenie, że znów ma przed sobą twarz zielonkawobłękitną, z rozetami okien w miejscu oczu, iskrzącą się dziwnie na czole, policzkach i ustach. Wszystko tu niby jaśniało wewnętrznym życiem, a jednocześnie zastygło – przepełnione spokojem poza wrotami lodowego zamczyska, pod wierzchnią dekoracją tylko maskujące prawdziwą wspaniałość, przed postronnym wzrokiem ukrytą we wnętrzu mirażu.

Ukrytą na zawsze. Chyba, że z prochu – rozsianego wkoło – zawiąże się kolejna biocenoza, z pleśni ulepi istoty na tyle odważne, żeby własną osobowością zaryzykowały przy próbie – wtajemniczenia w ten gmach wzniesiony na styku czasu minionego i niewyobrażalnej przyszłości.

Jeździec zamknięty pod czerepem Żelaznego Skoczka też się zbyt nie ociągał – dokąd steruje ciekawość, tam znajdzie się odwaga.

– Piękne – usłyszał Jonas.

Trudno mu było odwrócić wzrok zafascynowany tym, na poły iluzorycznym, objawieniem Epoki IUM. Każdego by zachwycił pejzaż rozpostarty przed tyralierą Wozów Bojowych, skarłałych wobec ogromu; a jednak Jonas nie oparł się zaskoczeniu. Zatrzymał się przy nim ostatni z ludzi, których gotów był przyłapać na takim westchnieniu. Tymczasem twarz Mażulisa znowu przebiegł kurcz napinający mięśnie wokół zaciśniętych szczęk. Jednocześnie ktoś inny otarł mu się o ramię. Cień Feretriusa pustymi oczami zajrzał mu w twarz.

– Zabierasz tych dwóch? – zapytał Mażulis.

Coś, raz za razem, miękko łupnęło o ziemię. Jonas odwrócił się.

Ktoś jeńców bez specjalnych ceregieli wypchnął ze służy. Skrepowani niewiele mogli poradzić, żeby nie upaść twarzami w piach. Teraz gramolili się apatycznie. Jeden wspomagał drugiego.

Poza tym na nic nie zwracali uwagi. Było w tym coś nienaturalnego, w tej właśnie gorliwości, z jaką usługiwali sobie nawzajem, coś wręcz nieprzyzwoitego. Aż się Jonas wzdrygnął – nie bardzo wiedząc dlaczego.

Znowu wybrzuszyło się zwierciadło służy. Pojawili się dwaj pozostali żołnierze Mażulisa. Za nimi na ziemię zeskoczył ciemnoskóry Moran. Jonasowi przyszło do głowy, że stary pułkownik Makonde gotów jest wiele poświęcić. A wszystko po to, żeby wreszcie umrzeć ze świadomością, że po jego śmierci tytuł Wielkiego Laibona

przypadnie Megaloxancie. Tylu stracił ludzi, a gotów poświęcić najlepszego z tych, co zostali. Byleby Megaloxantha mógł liczyć na pewnego anioła stróża.

Mażulis wskazał dwóch jeńców, którzy stali chwiejnie jakoś, objęci w pół, z dziwnie przymglonymi okrągłymi oczami.

– To tak, jakby przed pluton egzekucyjny dostarczać wyrok śmierci na samego siebie – powiedział Mażulis. – Niech ich lepiej Makonde pilnuje jak ostatniego oka w głowę. Jeśli są czegoś warci, będą przynajmniej stanowić jakąś siłę przetargową, kiedy potrzebny będzie towar na wymianę.

– Liczmy na samych siebie – odparł Jonas. – Więc po co ich taszczyć ze sobą?

– Zaproponuj kogoś na Sprzężenie Zwrotne.

Mażulis aż się zakręcił w miejscu. Chwilę wściekłym wzrokiem patrzył na Megaloxanthę, chciał coś powiedzieć – zdusił w sobie.

Moran też zajął Jonasowi w oczy. Potem spokojnie wyjął nóż zza pasa. Jeszcze raz poszukał wzroku Megaloxanthy. Nagle uniósł ramię. Krótki zamach i nóż strzelił mu z dłoni, błysnął ostrzem zeszkłym od samego lotu. Jeden z genomutów zapadł się w siebie, jakby mu coś podcięło nogi. Potem uniósł głowę i popatrzył przed siebie roziskrzonymi oczami, jakby teraz dopiero dostrzegł nad równiną miraż swojego Jeruzalem. Drugi też zaczął się podnosić z klęczek. Stalowa obręcz, rozcięta na dwoje, uwolniła mu kark. Rozległ się brzęk ogniw łańcucha opadających na ziemię. Bezwiednie – może mu się zdawało, że teraz wystarczy sięgnąć ręką – mutant zachłannie wpatrywał się w piramidę Enklawy TABOR; nawet wyciągnął przed siebie oswobodzone ręce i długimi palcami obmacał przeguby.

Mażulis wzruszył ramionami. Moran pewien czas ważył szeroki nóż, który magicznym sposobem wrócił mu do ręki, wreszcie z powrotem wetknął go za pas.

Jonas bacznie wpatrywał się w bliższego genomuta. Coś mu się nie zgadzało w tej twarzy przygaszonej jakby, bez mikroskopijnego świecenia – ostrymi szpileczkami od wewnątrz przebijającego skórę. A jednak pojawił się na niej ślad uśmiechu. Jednocześnie wąskie usta zdrząły, przez moment bardziej wypukłe, jakby w nich wezbrała bezgraniczna pogarda.

– W drogę – rozkazał Jonas.

Przed nimi w pyłe odcisnęły się tylko ogromne, trójpalczaste ślady Żelaznego Skoczka. Miejscami, gdzie zapadały się w poszyciu Industrialno–Urbanistycznego Masywu, trzeba było obchodzić prawdziwe wyrwy w ziemi, która – podatna pod stopą metalicznego olbrzyma – dla nich stanowiła wystarczające oparcie.

Wydawało się, że Makonde zbyt daleko zatrzymał Wozy Bojowe. Jednak mury TABOR wyrastały przed nimi niespodziewanie szybko, jakby je przybliżał siedmiomilowy krok Żelaznego Skoczka. Wszere rozrastające się ściany systematycznie gubiły pierwotnie jednoznaczny gotyk strzelistość. Gdzieś wysoko



przyporowe łuki przenikały w wyżej spiętrzone szklane pryzmaty, w tył odchylały się wysmukłe okna – niewiele przejrystsze od reszty murów. Wyglądało to tak, jakby nad ziemię wystawały tylko wieże katedry – właściwą masą zanurzonej w głębi planety.

Dopiero każdy ich krok, pozornie mało znaczący dla tego ogromu, naciskiem stóp potrafił dognieść porowatości gruntu, aż się z niego wyśliźnie jajo kostropate kryształami kwarcu, niosące w sobie zalążek Wieży Babel. Strzelistość najwyższych wieżyc, wyduszanych ze szklanej opoki, ustępowała miejsca potężnej ocieężałości murów, aż wzdymających lustrzane przedpiersia. Miniona lotność, dążąca ku podniebnej nieważkości, u podstawy objawiała naturę swego posadowienia – na surowych, masywnych fundamentach, wyraźnie podporządkowanych hierarchii tym razem romańsko – kosmicznego architektonicznego porządku. Jeszcze niżej, kiedy bez wysilania wzroku rozróżniali strukturę murów, oczy dostrzegały – obrazoburczy dla smukłości wieżyc – charakter podwalin; z kamiennych ciosów, szklistych tylko z wierzchu, gdyż niewiele światła przechodziło w monolit przepełniony mrokiem.

Przynajmniej tutaj, u podstawy, architektura Enklawy godna był Królestwa Seleny. Nietrudno w nadbudowie sięgać Przyszłości; prawdziwa sztuka i mądrość polega na organizacji własnego świata w takie Drzewo Kosmosu, w którym tradycja stanowi kamień węgielny najodważniejszej futurologii. Tutaj korzenie TABOR sięgały – tego źródła, gdzie konstruktorom Epoki IUM nie udało się zaczerpnąć siły dla zrealizowania wizji Uroczni Megalitu. Tamto było pierwszym podejściem. Spełniło się dopiero tutaj.

Raptem przed Jonasem rozłam terenu poprowadził w głęboki wąwóz. Z przeciwnej strony ograniczała go wielka brama, umieszczona w ścianie Enklawy TABOR, lecz poniżej powierzchni gruntu; dlatego jej nie dostrzegli od strony Wozów Bojowych. Sklepiona łukiem brama była zamknięta. Jakby ją przytrzasnął gład bez połysku – płaski kamień w oku Makonde.

Pod tymi wrotami, chociaż głową sięgając nieco ponad nie, na ziemi siedział Żelazny Skoczek. Plecami wsparł się o ścianę, kolana podciągnął do piersi, a dwie ręce bezwładnie opadały mu po bokach i rozłożyły płaskie dłonie. To, co uprzednio wydawało się szklanym czołem, obwisło teraz jako dolna szczęką na zawiasach przytroczona do krępego korpusu. Szklana szczęką wsparła się o pierś, w ich stronę rozdziawiła próżny łeb.

Ion Szałamaja usadowił się u podnóża swojego nosiciela. Po prostu przysiadł na jednym z trzech paluchów ogromnej stopy Żelaznego Skoczka. Zawzięcie drapał się po gołym ciałku. Przez czas pobytu w Enklawie THARSYS do reszty odwykł od swojego egzoszkieletu i serwomotorów – przyssawki czujników zostawiły mu na ramionach różową wysypkę i prawie sine pręgi, opasujące całą pierś, w miejscach

przyłożenia elastycznych ściągien. Już z daleka zamachał do nich ręką i aż podskoczył z radości na widok genomutów, którym na pięty następował Mażulis – z ręką na kolbie emitera i nieprzejednaną podejrzliwością w oku.

– Chwała Bogu! – zawołał Ion. – Myślałem już, że trzeba będzie dobierać wytrycha! Mój pasikonik tylko łbem tryknał. Nic innego nie zostało, tylko przysiąc i – w skupieniu ducha – zalezczać trzęsionkę. Właśnie mi łezka nabiegła do oka i myślałem sobie: „Kto godzien jest otworzyć księgę i złamać jej pieczęcie?”. Przecież nawet Janko ostatniego dworzanina Horeszków nie wytrzymał ze swojej prehistorii do pobrzękiwania kluczami przed bramą tego zamku. Zapukać może? Albo staranować Wozem? Beznadzieja. Tak kombinuję, aż tu – patrzę – spryciarz Megaloxantha prowadzi dwóch kluczników! Czego nie zmoże nikt w niebie, na ziemi ani w przedpieklu, to się przed genomutem najchętniej otworzy...

– Co z futerałem? – Jonas wskazał Żelaznego Skoczka.

– Co ma być? Przecież nie polezie tam na czworakach. Odmów godności skorupce, to i nadzienie straci na honorze – Ion majestatycznie zakołysał brzuchem, tylko łapkami osłonił nagość nieco poniżej zdecydowanej większości swojej osoby.

Jonas popatrzył na niego z góry. Nawet w niezbyt temu sprzyjających okolicznościach sam widok grubaska podnosił na duchu. Jak mawiał sam Ion: dawniej byli ludzie, o jakich się nie śniło Megaloxanthom. To, co po nich zostało, też jest nie do zdarcia – mimo pociesznej postury. Poza tym zawsze jest coś, co ich stawia na nogi, choćby przedtem sprawiali wrażenie przepuszczonych przez wyżymaczkę.

– Domyślam się, Ion, co ciebie tak ciągnęło tutaj – uśmiechnął się Jonas. – Między genomutami powinno trafić się coś takiego, co zaspokoi nie tylko twoją ciekawość.

Ion zrobił minę, jakby mu sprawiało szczególną trudność znalezienie skojarzeń wspólnych z Jonaszem.

– Ty... serio? – zapytał wreszcie.

– Kto wie, jakie im przybyły innowacje.

– Ech! Megaloxantho – westchnął Szałamaja. – Niczego się nie nauczyłeś. Pewnie, że mnie to ciągnie. Nic innego prawie całe życie nie robię. Ale ty myślisz sobie, że różnica polega na tym, jak to – tam – zostało zmaistrowane. Człowiek w moim wieku przeżył wystarczająco wiele, żeby się pozbyć złudzeń. Mam to w każdym palcu. I korzonek nauczył się poddawać każdemu imadłu. O, bodajby się ród ludzki różnił chociaż przyrodzeniem! A tam znajdziesz niewiele odmiany, za to reszta taka sama w MACHU PICCHU i w Grobach Pożądania, w Enklawie THARSYS i między genomutami. Wiesz, jak Bóg stworzył kobietę? Na początku ulepił Adama. Spojrzał na to dzieło swoje – coś mu w tym nie pasowało, czegoś brakowało. Z zafrasowaniem podrapał się w głowę i zaklął... A słowo ciałem się stało.

Jonas nie bardzo wiedział, czy ma się roześmiać czy nad grubaskiem uzalić. Ten smętnie pokiwał głową.

– I to w nich kocham – powiedział. – A jeśli ma się tę świadomość, to człowiek byle czym się nie zraża. I tak zawsze pociągniesz dłużej, niż z ideałami.

– A teraz jak masz zamiar ciągnąć? – zapytał Jonas, nogą trącił stopę Żelaznego Skoczka, do której Szałamaja przylepił się siedzeniem. – Sandały zostawisz przed progiem meczetu?

– O! – Ion zrobił wielkie oczy. – Nie, samego go nie zostawię. – Odeślij do naszych...

– A potem per pedes? Serdeczne dzięki! Słusznie się domyślasz, że mnie korci, jak diabli! Mówi się trudno. Wezmę na wstrzymanie i posiedzę tutaj... Czort wie, co się zdarzy. Z niejednej opresji cało wyniósł własną głowę i mnie przy okazji. Ech! Nie będę się z wami turlał... Ale niech ktoś was ruszy palcem!...

Zadziornie łypnął na genomutów, których Mażulis i jego komandosi właśnie podprowadzili do czarnego kręgu, szczelnie dopełniającego bramę TABOR.

Jonas uważniej przypatrzył się postaci genomuta, który wystąpił nieco do przodu. Nie po raz pierwszy stwierdził, jak niewiele, w ich arystokratycznej postawie, zostało z uprzedniej przezroczysej lekkości, która takie wrażenie wywarła na nim kiedy Wóz Bojowy przebijał się przez wyłom w kopule THARSYS i zupełnie niedawno, gdy jeden z nich przyłożył czoło do przezroczysej kuli wyniesionej przez Żelaznego Skoczka z Uroczeni Megalitu. Twarze im nawet ściemniały; w miejscach, gdzie przedtem iskrzyły się końcówki niby – światłowodów, teraz przez skórę przebijały się cieniutkie, siwe druciki. Zdawało się, że dla tych istot samo przestawanie ze zwykłymi ludźmi staje się przyczynkiem dziwacznej degradacji.

Jeden z genomutów zupełnie spokojnie podszedł do czarnej bramy, jakby wracał do domu z niedługiej przechadzki. Bez namysłu wyciągnął rękę i położył na matowej powierzchni, też bez wybierania miejsca, po prostu – przed sobą.

Ciemność zeszkliła się nagle. Wzrok uwiązał w przestrzeni zapadającej się w głąb mrocznej sztolni, aż im naprzeciw, z trudnej do opisanego odległości, wybiegało to samo światło, które z zewnątrz – promieniście rozchodząc się wzdłuż krawędzi kryształu – całą Enklawę oplatało delikatną siecią iskrzenia. Gotowi byli na wszystko, a jednak nie rozchyliły się przed nimi masywne wrota tajemniczej świątyni, do stóp nie opadł zwodzony most, który – nad fosą wypełnioną gwieźdnym planktonem – prowadzi do niebotycznego zamczyska, nie runął też na ziemię żaden głąz, zwalniający wejście do wnętrza Sezamu. Po prostu ciemność stała się przejrzysta nie tylko dla wzroku. Tego Jonas był pewien – mogli swobodnie wstąpić w tunel prowadzący do serca Enklawy TABOR.

Genomut, przed którym otworzyły się ogromne wrota, nawet się nie obejrzał

przez ramię. Pierwszy Mażulis bez wahania postąpił za nim. Wyraźnie on i Moran podzielili między siebie rolę aniołów stróży przydzielonych do genomutów. Mażulis i dwaj żołnierze ruszyli za tym pierwszym. Drugi jeszcze czekał, jakby dawał reszcie pierwszeństwo przejścia, a sam zamierzał zaniknąć pochód. Patrzył przy tym na Jonasa tak dziwnym wzrokiem, że ten poczuł się, jakby i jemu w piersi otworzył się ciemny tunel, tak głęboki, aż drążony przez kosmiczną przestrzeń. Oczy tej istoty potrafią tam zajrzeć prosto w kwantowe serce Megaloxanthy, gdzie – jawnie jedynie wobec źrenic genomuta – dopała się wierność Selenie. I wydało mu się, że ten ktoś – patrzący przezeń na wylot, rzeczywiście znajduje w nim więcej, niż on sam dotąd pomyślał o tym, niż gotów był dopuścić. Przed takim wzrokiem błędnie kabalistyczne wizjonerstwo Iona Szałamaji, które potrafi odczytywać tylko wewnętrzny zegar innej żywej istoty i odgadywać bezbłędnie, co komu jeszcze pisane. Ten ktoś, patrzący na Jonasa, zdawało się – potrafił przepowiadać przyszłość nawet martwym przedmiotom. Tylko takie też dostrzegał wokół siebie.

Jonas odruchowo poszukał oczami grubaska, Ion też coś zauważył. Aż przybladł cały, nastroszone wąsy zachrzęściły mu w garści, a w oczkach pojawiła się gorączka hipnotycznej wręcz fascynacji. Nagle mina mu zrzędła. Gotów był się rozplakać. Żałośnie obejrzał się na żylastą maszynierię Żelaznego Skoczka. Jeszcze raz przymierzył do wylotu tunelu. Potem spod brzucha wystawił dwie rachityczne łydki.

Jonas wzdrygnął się. Przyszło mu do głowy, że oto i on stoi przed zejściem w taki labirynt, który nie tylko Żelaznego Skoczka zmusi do pochylenia karku. Co zostanie z Kochanka Seleny, w miarę przystawalnego do świata ludzi, jeżeli zamarzył sobie zbliżenie ze szczurzym pandemonium? W odwodzie zawsze pozostaje co najmniej „ORAL-GEN” albo i „Podkrólestwo Protozoa”.

Zdecydował się wreszcie i ruszył za przewodnikiem eskortowanym przez komandosów Mażulisa.

Za nim tylko Ion szepnął: „Złam kark!”. Potem coś jeszcze wołał, gwarantował, że – w razie czego, jeśli długo nie będą dawać znaku życia – on sam, osobiście z tych skurwysynów czy genomutów, zrobi taki wiatrak, że im ikry nie starczy nawet na jedno, kolejne pokolenie. Jonas nie oglądał się za siebie. Ciągnęło go do światła mającego u kresu tunelu. Gasnący głos Szałamaji docierał tu anemicznym echem, jakby mysz popiskiwała przed czeluścią smoczej jamy. Jeszcze wybiło się: „A podeślij mi jakąś ślicznotkę! Żeby tu nie wysechł – ja i mój Skoczek...”, potem i tego zabrakło.

Jeden Cień Feretriusa zakwilił czasami. Nie bardzo wiedział, kogo się trzymać. Panów mu rozdzieliło na troje. Jeden z przodu, drugi na szarym końcu, trzeci pęta się w środku. Chwilami dotrzymywał kroku Jonasowi, to znów niecierpliwie wybiegał do przodu albo przystawał pod wysoką ścianą i oglądał się za siebie, niemal z rozpaczą w

twarży. Jonas nie wytrzymał wreszcie, sam poszukał wzrokiem, co też tak niepokoi ślepeca. Zobaczył przygarbione plecy pierwszego przewodnika. A więc, nie na tym koniec – pomyślał Jonas. Towarzystwo ludzi pociąga za sobą nieuchronną degradację, nie tylko umysłu, lecz i całej postaci. W jakim stopniu dotyczy to również Megaloxanthy? Kiedy ich poznał, nawet spętanych łańcuchami, zachwyił się ich wyniosłością – nie samej sylwetki, smukłej nad zwykłą, ludzką miarę; mocniej uderzała w twarzach wyostrzonych szklwym nabłonkiem, w wyrazie oczu okrągłych i szmaragdowych, przebijała z jakiejś ponadczasowej – zdawało się – maestrii każdego gestu. Teraz przed Mażulisem postępował mężczyzna nieco niższy od komandosa, przy tym podobnie rozrosły w barkach, ociężały, pozbawiony tamtej przezroczyści – bodaj jej iluzji, jaka mu przedtem dawała nadprzyrodzoną lekkość. Wyglądał tak, jakby na nim przywiedła, chrupka niegdyś, szklwna polewa, zbrunatniała przy tym – teraz jego ciało okrywał wiotki łachman, niby wylinka naskórka, którą nosi na sobie, jako osłonę żywego mięsa. Jonas opuścił wzrok – ten człowiek był bosy. Widział to wyraźnie. Przewodnik szedł przed siebie pewnym, chociaż przyciężkim krokiem; rytmicznie unoszące się pięty ukazywały zrogowaciałą podeszwę stopy. Poza tym Jonas z zafascynowaniem przyglądał się jego łydkom – grubym, umięśnionym i żylastym, ogorzałym od wiatru i słońca, które zabiżniły niedawną przejrzystość.

Jonas obejrzał się przez ramię. Ten drugi szedł naprzeciw błękitnego światła. Na chwilę przystanął i wierzchem dłoni otarł z potu guzowate czoło – jego twarz była płaska, ziemista, o silnie rozwiniętych kościach policzkowych. Ciemny zarost przebijał skórę masywnego podbródka. Mężczyzna odgarnął z czoła sztywne, czarne włosy i spojrzenie zwężonych oczu, szarobrazowych i wyzbytych ptasiego zapatrzenia w nieskończoność, skierował na Megaloxanthę. Tylko na moment – z tyłu Moran położył mu dłoń na ramieniu, podjął więc marsz na nowo.

Jednocześnie ktoś jęknął z przodu. Kątem oka Jonas pochwycił Cień Feretriusa przemykający mimo Mażulisa i przewodnika.

W zielonym błysku coś mignęło tuż nad ziemią. Zatrzymało się i nagle urosło. Cień Feretriusa zamachnął się ramieniem i tak zastygł – z rozcapierzonymi palcami wzniesionej ręki, z rozwianymi białymi włosami. Naprzeciw niego, bokiem wtulony w ścianę, tak samo znieruchomiał sznur olbrzymich rozmiarów. Stał uniesiony na tylnych łapach, bezwłosy, nagi różowatością ciała zaognioną na białym podbrzuszu. Dziwnie jasno świeciła tam pięcioramienna plama szkarłatnego sutka. Zwierzę uniosło ogromny łeb i spokojnie wpatrywało się w ludzki cień, nawisły nad nim, pochylający twarz o pustych oczodołach. Przymrużone oczy zwierzęcia popatrywały jednocześnie bystro i – niespodziewanie – omdlewająco. Na wyostrzonym pysku zadrgał różowy, wilgotny nos, jakby wywęszył krew współbraci, jaką przesiąkły białe

włosy i skafander zawierający w sobie Cień Feretriusa.

Szerokoplecy przewodnik podszedł do ślepca. Wielką, sękatą ręką ujął go za nadgarstek uniesionego ramienia i sprowadził je w dół. Łkanie wstrząsnęło Cieniem Feretriusa. Zachwiał się. Odstąpił kilka kroków i zatoczył prosto w objęcia Megaloxanthy. Jonas odruchowo przytrzymał go jednym ramieniem. Coś tam trzasnęło, skąd odstąpił Cień Feretriusa. Szczurze widmo zniknęło bez śladu. Tylko w ciemna głębię ściany oddalał się obłok zielonkawo fosforyzujący. W nim coś się zakołysało; jakby postać wysoka i szczupła, od innych genomutów bardziej jednak cielistą, odchodziła w głąb czarnego lustra, kołysząc przy tym biodrami i krokiem nieprawdopodobnie miękkim, przy którym bose stopy zdawały się zapadać w realnej materii.

Jonas usłyszał, jak Mazulis zaklął.

Za postacią, tonącą w materialnej ciemności, ciągnął się ślad ledwie uchwytnej niby pasmo fosforescencji – głębiej tren podobny, bardziej rozwiany, jako trajektoria przelotu czegoś na długo przedtem, zanim ten świat swoje wnętrze udostępnił ludzkim oczom. Wzrok prześlizgiwał się między załomami istniejącymi w tej ciemności, odkrywał kolejne fosforyczne smugi, opornie gasnące błękitne poświaty – gdyby je zebrać w ciasny węzeł, pewnie by promieniały tym samym błękitnym zarzewiem, które raz już nakryło ludzi w Uroczni Megalitu, teraz z zewnątrz unosiło się nad kryształowymi zrębami całej Enklawy TABOR.

Jonas powoli poprowadził spojrzenie w kierunku ich marszu. W rzeczy samej znalazł tam świetlistość spletaną w węzeł migotliwych nici. Przestrzeń się tam rozwijała i rozwarstwiała w nieskończoność. I wreszcie się coś poruszało, migotało w miriadach komórek, zmierzając w dół zapadało w ciemność, wstępując na wyższe poziomy zachłystywało się też większą intensywnością promieniowania. Jednocześnie żywy plankton i martwe igiełki szronu osypywały się spod przeraźliwie daleko odsuniętych sklepień, ogniskowały i dalej płynęły nitkami światłowodów. Ciągłe to było tylko mrowieniem, z tej odległości przenikliwym na wylot, bez ujawnienia elementów zarówno ruchu, jak kształtu, a jednak Jonas poczuł prawdziwy zachwyt – tyle w tym było iskierki tylko pozornie wędrujących na chybił trafił. Czuł to – jednocześnie podporządkowane trajektoriom wytyczonym w przestrzeni, przecież im się wyłamywały w świadomy niemal sposób, rozpełzały własnymi ścieżkami. Miał wrażenie, że oto przed jego oczami otworzyła się bryła materii, w której potrafi prześledzić kurcz każdego atomu i wędrówki elektronów obdarzonych czymś więcej niż ślepa inercją, fotonów zdolnych dokonać wyboru, wszelkiej innej maści elementarnego mięsiva materii, które w klarownej dotąd strukturze praw fizyki, objawiają nagle nieprzebraną mnogość dążeń, wręcz konstelacje charakteropatycznych znaków. A wszystko leniwie przecieka z miejsca na miejsce,

zostawia po sobie fosforyczne tropy, niby nić Ariadny zwinięta w ogromny kłębek, jeszcze czekająca na dopełnienie prawa antygravitacji, kiedy się potoczy z pochyłości globu i odpadnie od niego, żeby odtąd rozwijać się w kosmicznej przestrzeni. Jak los człowieka, kiedy już przekroczył pułap atmosfery. Potoczy się w nieskończoność, precz od tego źródła, gdzie ostatki homo sapiens trwają złączone pępowiną historii z ciężeniem tego globu – już niepotrzebnym nikomu. Błękitny kłęb, znaczący dążenia i pragnienia miliardów istot, jeszcze balansuje na skraju nicości. Waha się nad krawędzią przepaści, gdzie jednemu pisana śmierć, drugiemu skrzydła, trzeba wyciągnąć rękę i pomóc im. Przecież potrzebują tego. Ten świat, w jednej trzeciej osnutu kryształem, w jednej trzeciej odbity w kryształ, resztą też przyporządkowany jego strukturze – na coś jeszcze czeka...

Jonas skulił się. Jakby w jego własnym sercu skoncentrowało się tamto przeraźliwe pragnienie. Na moment zacisnął oczy przepalone bólem.

Znajomy trzask – gdzieś blisko. Stuk szklanych kul.

– Jonas! Jonas! Do jasnej cholery! – tuż nad uchem krzyknął Mażulis. – Śpisz?!

– Co się stało? – chciał o coś jeszcze zapytać, tylko zacisnął zęby.

Spróbował wszystko na raz ogarnąć spojrzeniem. Najpierw długonogi, ciemnoskóry Moran, z bezradnością w oczach i nożem zaciśniętym w rękę. Mażulis dobywa emiter z olstra podwiązanego do uda. Drugie ramię wyciągnął daleko przed siebie i pełną garścią ułapił za gardło przewodnika. Cień Feretriusa skradający się w tamtą stronę. Brak drugiego genomuta. Tylko tuż przed wylotem tunelu fosforyczna smuga bezpośrednio z powietrza przenika w ścianę. Gdzieś tam, płytko jeszcze, ktoś wysoki, w seledynowej poświacie – ogromnymi kręgami oczu po raz ostatni obejrzał się przez ramię.

– Przynajmniej ten! – wrzasnął Mażulis.

Jonas zobaczył, skierowane na siebie, krwią nabiegłe oczy istoty, którą Mażulis ścisnął za gardło. Pod zmierzwionymi włosami, w cieniu wydatnych łuków brwiowych iskrzyły się maleńkie, czarne ślepia; poza tym silny prognatyzm twarzy i szczęk wysuwał do przodu wąskie, ruchliwe usta – na moment rozchyliły się i obnażyły ostre zęby.

Mażulis odrzucił od siebie tę skurczoną, grubo ciosaną postać o ramionach i piersi pokrytej rzadziutkim włosiem. Jednocześnie uniósł drugie ramię – w tej chwili czyjaś jeszcze ręka skoczyła do przodu – wytrącony z dłoni Mażulisa emiter upadł pod stopy Megaloxanthy. Cień Feretriusa zasłonił sobą karła skulonego pod ścianą. Jonas automatycznie pochylił się i uniósł broń. Lufa znieruchomiła na wprost piersi zbrukanej czarną krwią – Cień Feretriusa oddychał ciężko.

– Zabij – usłyszał głos Mażulisa.

Obok Moran z nożem zaciśniętym w rękę.

– Zabij! – usłyszał znowu.

Cień Feretriusa powoli rozkrzyżował ramiona. Rozchełstany skafander, niby sflaczała powieka, odsłonił żółty cekin jarzący się w środku piersi – tygrysie oko.

– Zdrajcy i degeneraci – syknął Mażulis.

Jonas upuścił emiter. Nie bardzo wiedział, po co go podnosił. Przed sobą miał twarz pozbawioną oczu, pobrużdżoną zmarszczkami maskę o wyrazie prawdziwego cierpienia. Cień Feretriusa patrzył na niego błagalnie pustymi oczodołami, jednocześnie trwał zasłuchany we własne ciało, jakby nie był pewien, skąd przyjdzie do niego ostateczne rozgrzeszenie z tego obłądu, który go ogarnął.

Ledwie Jonas zdołał wyzwolić oczy z jego oczodołów.

Zorientował się natychmiast, że wokół nich coś się zmieniło. Rojowisko świetlne spłynęło na boki i zamknęło ich w pęcherzu olbrzymiej bazyliki, poza której przezroczystym sklepieniem coś wirowało – półludzkie, półskrzydlate, zewsząd nachylające smutne i piękne twarze o oczach fosforycznych, łzawiących srebrzystą poświatą rozkręcających się ramion tej galaktyki.

Rozległ się ostrzegawczy okrzyk Mażulisa i jednocześnie Moran odezwał się zdumionym – UFF!

Czarny tunel rzeczywiście rozwinął się w kielich nieprawdopodobnej sali. Kryształowe sklepienie nawisło nad nią bez żadnych podpór. W dole leniwy dym – zielony sok ociekający z łagodnej pochyłości posadzek.

Z owych mgieł wyłaniały się stopnie białych schodów – płasko położone lustra, w których jaskrawym światłem odbijało się siedem słońc zawieszonych w przestrzeni – siedem ognistych lamp nad rafą wyniesioną ponad dymne morze. Gdzieś tam, na obrzeżu, biała tyraliera – niby negatyw Sprzężenia Zwrotnego. Wyżej cztery kielichy, w nich czerwie skręcone w przezroczystych muszlach – wielookie monstra. Patrzyły na nich z góry, wszystkie skrzydlate, bystre nad miarę. Jedno skołtunione z lwią grzywą, drugie ze skręconymi rogami, trzecie o półludzkiej twarzy, czwarte z zakrzywionym dziobem i okrutnymi szponami uczepionymi krawędzi pucharu. Cztery siostry – chimery. Cztery muszle – trony. Nad nimi jeszcze jeden, ujęty w szmaragdową tęczę – olbrzymia, próżna koncha, przejrzysta pod światło siedmiu słońc.

Tylko Mażulis w ciszy jęknął: O Boże!

Puste miejsce – jeszcze się ten nie objawił, komu pisana władza na tym tronie.

Wokół przysiadły cztery Zwierzęta.

Niżej biała tyraliera. Wzrok Jonasa przebiegł wzdłuż szeregu jednakowych postaci. Dwudziestu czterech Starców. Każdy bez reszty do stóp okryty białymi włosami, z suchymi rękami wplątanymi w brody spływające z piersi na kolana. Dwudziestu czterech jednakowych Starców o ciemnych, ogorzałych twarzach. Każdy



tymi samymi oczami wpatrywał się w Megaloxanthę.

– Witaj – usłyszał.

Żaden z nich nie ruszył ustami. Tego był pewien.

Rozejrzał się szybko. Zrozumiał, czemu Moran nie uwolnił z ręki swojego noża, aż zeszkłonego z chęci lotu. Nomad znieruchomiał tak, jak go widział ostatnim razem. Nieruchoma, z kamienia wyciosana postać. Z zewnątrz ogarnął ją fosforyzujący obłok. Teraz wystarczy – jeśli potrafi, że postąpi przed siebie, żeby za sobą pociągnąć ogon komety – jakich tysiące wiruje w zewnętrznym kryształach. On jednak nie potrafił ruszyć ręką – tak stał, ujęty w karby jakiejś bezwzględnej mocy. Z oczu wyzierał mu lęk, niemal paniczny strach i – może zdążył o tym pomyśleć, zanim skamieniał – świadomość, że niczego odtąd niepodobna zmienić.

Obok Mażulis – zgięty w pokłonie do ziemi, z ręką wyciągniętą po emiter, lustrzanym odbiciem podwojony w posadzce. Palce ledwie musnęły kolbę – więcej im też nie było dane. Ta sama świetlistość skuła pozostałych dwóch komandosów.

Gdzieś przepadła pokraczna postać ich przewodnika.

Za plecami Jonas usłyszał czyjeś oddalające się kroki. Równy, spokojny krok, dźwięczący lekko, jakby miedziane podeszwy stąpały po rezonujących, kryształowych płytach. Z długości i lekkości kroków można wywnioskować, że – ten Ktoś – odzyskał szlachetność ruchów i postawy. Spełnił swoje posłannictwo. Teraz odchodził. Jonas czuł to plecami – nawet go nie zaszczycił jednym spojrzeniem.

Przed nim ktoś jeszcze cofnął się, odepchnięty jego spojrzeniem, kiedy spróbował przeciwstawić się skupionej sile wzroku dwudziestu czterech derwiszów, zgromadzonych w sercu Enklawy TABOR, dokoła pustego Tronu.

Cień Feretriusa.

Zataczając się odstąpił jeszcze krok, aż piętą trącił pierwszy stopień lustrzanych schodów.

– Ty, Feretriusie? – szepnął Jonas.

Tamten nagle złamał się we dwoje. Byłby upadł. Z rozpaczliwym wysiłkiem na twarzy wyżej uniósł białowłosą głowę – na miarę tamtych starców. Rozcapierzonymi rękami obłapił własną pierś, jakby chciał zdusić żółty płomień prześwitujący między palcami. Widać było, że dyszy ciężko i zмага się z czymś, co mu jednocześnie rozpiera pierś i chwyta za gardło.

– Wybacz – wystękał.

– Dlaczego? – bezwiednie powiedział Jonas.

– Wybacz mu, Megaloxantho. I ufaj. Nic więcej nie mógł zrobić. Oddałby tobie własne życie, ale już nim nie rozporządza.

To nie był głos Feretriusa.

Nie jego głos, chociaż on sam wyprostował się wreszcie i dalej stał chwiejnie

nieczo, z białą twarzą i pustymi oczodołami uniesionymi w stronę Megaloxanthy. Nie jego głos – chociaż on porusza wargami.

– Zabraknie go między żywymi. I żywych już prawie nie ma. Wiesz o tym, Megaloxantho. Jaki jest – może być tylko tutaj i ze mną. Tak samo ty, jako syn Mechaneurystycznej Kliniki Księżyca, naprawdę sobą będziesz dopiero w Królestwie Seleny.

– Kim jesteś? – wyszeptał Jonas.

– To nie ma znaczenia. Jestem.

– Chcę wiedzieć, który z was mówi ze mną.

Wreszcie jego oczy ominęły twarz Feretriusa. Szukał wzrokiem dwudziestu czterech Starców, jakby to miało znaczenie, który z nich przemówił ustami Feretriusa.

– Na cóż ci wiedza o tym, co nie dotyczy twojego świata – ten sam spokojny, głęboki głos. – Tam, skąd przybyłeś z tymi ludźmi, masz przyjaciela, który jest Bio–Łączem. Czy choć raz zapytałeś, kto mówi przez niego?

Jonas wzdrygnął się.

Rozumiał.

Dwudziestu czterech Starców.

Patrzyli na niego mądrymi i, mimo starości, zaciekawionymi oczami. Pomyślał, że sobie również nigdy nie zadał tego pytania – czyj Głos odzywa się czasem w jego piersi? Feretrius znalazł sprzężenie z tajemniczym sercem Enklawy TABOR, Janko potrafił ogarnąć pamięć Informatycznego Sytemu, trzeba było zapytać wszytkowiedzącego Iona Szałamaję gdzie Jonas Hebrejczyk znajduje swoje dopełnienie.

– Czy wiesz, po co przyszedłeś tutaj? – usłyszał.

Dziwne pytanie, pomyślał. Jakby im łatwiej było rozeznąć się pośród jego własnych zamierzeń i pragnień.

– Nie martw się o Feretriusa. Nigdzie go nie ma takiego, jakim był przedtem. Znalazłem go tam, skąd nie miał się nigdy podnieść. Na przedpolu Armii Endogenicznej. Tam mu podałem rękę. Podjął ją, chociaż nie musiał. Cokolwiek umiera w tym świecie – zmienia tylko formę istnienia. Przyszedłeś tutaj po to, żeby się w tym upewnić. Dla spokoju własnego sumienia. Gdyż dawno już przekonałeś się, że nikomu nie zdołasz pomóc. Największa bezwzględność Wszechświata, to bezwzględność Ewolucji.

– W Enklawie THARSYS umierają ludzie – sam rozumiał, jak mało znaczy ten argument.

– Na Enklawie THARSYS nie kończy się historia ziemskiej ewolucji. Ona trwa dalej. Na wielu poziomach. Gatunek homo sapiens stanął na rozdrożu, gdzie początek biorą dwa nowe kierunki rozwoju: mój, na Starej Ziemi, oraz tej cywilizacji, której

Matką jest Mechaneurystyczna Klinika Księżyca.

– A więc jesteśmy równouprawnieni – zauważył Jonas, niespodziewanie to stwierdzenie nie napawało go ani dumą, ani otuchą.

– Dzisiaj tylko my. Lecz poza nami istnieją inne drogi. Kręte ścieżki, dopiero niosące w sobie potencjał przyszłych eksplozji, przed którymi i nam – być może – przyjdzie chylić czoła. Kilka z nich, już teraz, to rwące strumienie. Niewiele wiesz o nich z perspektywy księżycowej samotni. Nie podejrzewasz nawet, ile razy otarłeś się o ich nurt. Może echo jakiegoś wezwania i ty znalazłeś w sobie, ale nie dostrzegłeś źródła, gdyż oślepiło cię współczucie dla tych, którzy i tak muszą odejść.

Jonas zacisnął usta w próbie stłumienia tego głosu, o którym prawie zapomniał, co nie przekreśliło przecież jego obecności. Może czekał na dogodną chwilę, kiedy poruszy jego ustami, jak Głos Enklawy TABOR mówiący za pośrednictwem Feretriusa.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytał.

– Trafiłeś do celu, jeśli naprawdę chcesz pomóc tym, z którymi tak bardzo związałeś swój los.

– Wiesz, jak ocalić mieszkańców THARSYS?

– Znam sposób na zbawienie każdego z osobna. Zostań ze mną.

– Ja? – zdumiał się.

– Tych, z którymi przyszedłeś, odprowadzę tam, gdzie na was czeka Wieczny Włóczęga. Jeżeli zechcą. Co wcale nie jest pewne. Zależy mi jednak, żebyś ty, przede wszystkim, pozostał ze mną. Tylko wtedy przyjdzie ich czas, będziesz mógł dla każdego, w imię przyjaźni czy litości, uczynić to, co ja uczyniłem dla milionów.

– Tyle, co dla Feretriusa? – zapytał Jonas.

– Więc zostaniesz ze mną?

– Nadal nie wiem: po co...

Przez dłuższą chwilę, nie naruszając milczenia, dwudziestu czterech Starców przyglądało mu się z powagą. Poza dwudziestu czterema parami oczu, mimo pustych oczodołów Feretriusa i ponad wielookim spojrzeniem chimer – tysiące innych. Może miliony – ilu ich padło na Pierwszej Linii, ilu On zdołał znieść z pobojozwojów, ilu szczury wygrzebały z ziemi, zanim pleśń dokonała ostatecznego rozkładu. Wszystko po to, żeby – ze złotym nitkiem w piersi – mogły powstać z prochu... Jego ręce.

– Pytasz, w jakim celu – ledwie poruszając ustami Feretriusa powiedział Głos. – Wielu rzeczy nie wiesz. Wielu i mnie nie dane było poznać. A przecież w każdym z nas drzemie pragnienie absolutu. Nie tylko dla osobowości ograniczonej czasem, ale i w świadomości gatunku. Mając to poczucie własnej ułamkowości w strumieniu Ewolucji – czyż do szaleństwa zaliczysz pragnienie, żeby to, co rozwarstwione, na trwałe powiązać w jedno? Z rozprzęgniętych dziś nici jedna prowadzi w świat

podziemny, o którym wiesz mniej, niż wyobrażasz sobie, druga określa mój byt w tym domu wzniesionym na progu Kosmosu... ale tylko na progu, trzecia wyłamała się z ziemskiego ciężenia i dała początek cywilizacji Megaloxanthy.

– Chciałbyś powiązać te wątki ewolucji? – zapytał Jonas.

– Dobrze to powiedziałaś. Każda nić może być wiotka wobec kosmosu; splecione razem będą stanowić siłę, zdolną wstrząsnąć Wszechświatem.

– A miałbym być...

– Pierwszym ogniwem, łączącym Królestwo Seleny z domeną Enklawy TABOR.

– Na zasadzie, z jaką podporządkowałeś sobie tych, których grabarze ochrzcili mianem skurwysynów?

– Dziwnie rozumiesz, Megaloxantho. Zbyt długo przestawałeś z ludźmi. To ICH słowo – „podporządkowanie”. Między moim światem, a cywilizacją podziemia istnieje system wzajemnych powiązań, misterna tkanka obopólnych zależności, gdzie brak pojęcia „władców” i „poddanych”. Tutaj, na Ziemi, obydwa systemy sobie nawzajem dają wystarczające wsparcie. Lecz kiedy wyjdziemy w kosmiczną przestrzeń...

– Byłoby dobrze przyfastrygować nić Mechaneurystycznej Kliniki Księżyca – dokończył Jonas.

– Jesteśmy dziećmi tej samej ziemi. Niech drzewo, wyrastające z tego globu, stanowi jeden, zwarty pień.

– Niech będzie siłą, zdolną określać prawa reszty Wszechświata – powiedział Jonas. – Cóż to ma za znaczenie dla tych, którzy umierają w THARSYS?.

– To stopień drabiny, który Ewolucja już przestąpiła. Liczą się ci, do których należy przyszłość.

Jonas zamyślił się. Cały czas nie spuszczał z oczu dziwnie napiętej twarzy Feretriusa.

– Sądziś, że ten, kto wymazuje własną przeszłość, ma prawo do przyszłości? – zapytał.

– Ja jestem, Megaloxantho. Istnieję. Przeszłość funkcjonuje dla tych, którzy są ze mną. W nadrzędnym systemie nasza historia jest tylko moją pamięcią. W pamięci nie ma przyszłości. Pamięć jest świadomością. Świadomość to TERAZ. Zostań ze mną i zobaczysz więcej, niż wyobrażasz sobie. Zrozumiesz, dlaczego dla mnie przeszłość stanowi inną jakość niż dla jednostki. Inną nawet dla twojego społeczeństwa. Nie wagę i nie wartość, właśnie jakość. Znajdujesz ją zaglądając w serce Świątyni TABOR.

– O jakiej Świątyni mówisz?

– Nie rozumiałeś jeszcze? To, że jestem, jakim mnie poznajesz, nie stało się wyłącznie za sprawą ewolucji biologicznej.

– Tak samo dotyczy cywilizacji Megaloxanthy – powiedział Jonas. – Przemiany biologiczne główną rolę w Ewolucji grają tylko do momentu pojawienia się świadomości.

– Słusznie. Dlatego pozwolę ci zajrzeć w serce Wyroczni.

– Wyroczni! – Jonas ledwie się powstrzymał, żeby nie wyrazić zbyt jawnego zdumienia.

– Tak, Megaloxantho. W Świątyni Tabor znalazło schronienie serce wyjęte z ruin, w których spotkałeś się ze mną.

– Urocznia Megalitu! – tym razem krzyknął prawie.

– Coś tam ocalało ponad szczerbate menhiry – potwierdził Głos. – Ci, którzy stanowią moją przeszłość, wygrzebali to z ziemi i przynieśli tutaj, żeby złożyć na ołtarzu Świątyni TABOR. To ziarno jednoczy w sobie czas istnienia każdej istoty z osobna. Tam znajdziesz swoją przeszłość i wizję przyszłych losów – jeśli ją potrafisz odczytać ze znaków dostępnych dla twojego wzroku. Tam łączy się pamięć wszystkich żywych istot tej ziemi. Tam splata się ich wczoraj i jutro. Tam zawiązuje się moja terażniejszość.

Coś jednak ocalało? Gorączkowe myśli nie pozwalały Jonasowi skupić się nad tym, co teraz powinien był zrobić. Ziarno tamtej WYROCZNI, o której wspominał Janko, przetrwało Epokę IUM!

– A więc; zostaniesz ze mną? – usłyszał znowu.

– Czy mógłbym, zanim dam odpowiedź, porozmawiać z samym Feretriusem? – zapytał.

Dwudziestu Czterech Starców patrzyło na niego bez niepokoju.

– Twoja wola, Megaloxantho.

W tej samej chwili Feretrius zachwiał się i przysiadł na pierwszym stopniu lustrzanych schodów. Ujął głowę w dłonie, rozdygotane palce wetknął w białą grzywę, po czym nagły szloch wstrząsnął jego ramionami.

– To ty, Feretriusie? – zapytał Jonas.

– Jestem, Megaloxantho.

– Chciałem rozmawiać wyłącznie z tobą.

– Nie ufasz mi?

– Ufam. Czy ON nas słyszy?

– Nie potrzebuje. Nie ma to dla niego znaczenia, co ty mi możesz powiedzieć i co usłyszysz ode mnie.

– Chcę wiedzieć, Feretriusie, czy pójdziesz ze mną, jeśli stąd odejdę?

Feretrius uniósł głowę. Coś błysnęło w pustych oczodołach.

– Nic nie zrozumiałeś, Megaloxantho. Moje miejsce jest tutaj.

– Dlatego, gdyż jesteś genomutem?

– Ja nim nie jestem. Świątynia TABOR posiada tylko dwudziestu czterech kapłanów. Reszta to ich oczy i uszy... I ręce Wyroczeni... Czuję, co myślisz. To wygląda zupełnie inaczej. Nie potrafisz wyobrazić sobie tego świata. Naprawdę nie jest w nim źle. Jest dobrze. Tylko inaczej. I bez niego już nie potrafię żyć. Rozumiesz, Megaloxantho? To mój dom. Odtąd na zawsze. Nie ja z tobą odejdę. Ty zostaniesz ze mną.

– To niemożliwe – powiedział Jonas.

– To konieczne.

Jonas patrzył na tę twarz, gładką teraz i spokojną, mimo zmęczenia straszną drogą, która ich tu przywiodła – przez krew dzisiejszych współbraci – jeszcze w zlepionych i poczerniałych końcówkach białych włosów iskrzyły się złote cekiny. Ta twarz była po prostu zmęczona życiem, a jednocześnie – jakby z żalu po tym, co odtąd stanowi zamknięty rozdział, chociaż nie ostatni – z pustych oczodołów pociekły najprawdziwsze łzy. Feretrius siedział na pierwszym progu zwierciadlanych schodów, nad nim – wysoko – dwudziestu czterech Starców. Patrzyli przed siebie obojętnym wzrokiem, czekali na swoją kolej, a on – siedział i płakał. Ogromne perły rosły mu w ciemnych jamach oczu i staczały się po policzkach – nawet ich nie próbował otrzeć.

– Dlaczego nie chcesz z nami zostać? – odezwał się wreszcie, wciąż głosem Feretriusa.

– Nie domyślasz się, Feretriusie?

Chwilę Jonas w napięciu wpatrywał się w niego.

– Masz rację – niespodziewanie łatwo zgodził się Feretrius. – Chodzi o tego, który tu był przed tobą.

– Co wiesz o nim?

– To nie ma znaczenia. Uwierz mi, Megaloxantho. Nic nie ma znaczenia.

Będziesz musiał tu zostać, jeśli tak zadecyduje Wyroczenia.

– Czy to prawda, że dzięki niej można zobaczyć własną przyszłość? – zapytał Jonas.

– Nie wiem. Może tylko jeden z wielu wariantów. Patrz uważnie. Jeżeli da ci szansę – tam walcz, nie tutaj. O to cię proszę Megaloxantho. Tyle wolno mi zrobić dla ciebie. Nie stawiaj oporu tej sile, która jest Prawem Świątyni TABOR. Skończysz tak, jak ten, który zjawił się przed tobą.

– Więc i on odmówił?

– Odmówił.

– Dlaczego?

– A z jakich powodów ty nie chcesz, Megaloxantho? – głos Feretriusa zadrżał, teraz na schodkach przed Świątynią siedział ślepy żebrak – wyciągnął do Jonasa rękę i prosił ledwie słyszalnym szeptem. – Pomóż nam... I sobie. Zostań.

Jonas milczał.

– A jeśli nie będziesz mógł – Feretrius opuścił głowę na pierś – pamiętaj: nie tu i nie teraz. Udowodnij Wyroczeni, że umiesz stawiać opór. Licz na nią. Twoja jedyna szansa w Wyroczeni... ON ciebie nie puści. I ja... też zrobię wszystko, żebyś nie mógł odejść...

Jonas skinął głową.

– Żegnaj, Feretriusie – powiedział.

Chciał dodać jeszcze: „I bądź szczęśliwy”, kiedy zrozumiał, że ten już go nie słyszy. Ostatnia łza tropiła wilgotny ślad wiodący w dół policzka.

– Postanowiłem – powiedział.

– Słucham ciebie, Megaloxantho – znów tamten głos poruszył ustami Feretriusa.

– Najpierw chcę wiedzieć, co się stało z tym, który tutaj trafił przede mną, bezpośrednio z desantu. I chciałbym porozmawiać z Wyroczenią – jeśli to możliwe.

– Masz prawo – znowu nikt mu nie stawiał przeszkód. – Kiedy zostaniesz ze mną, wtedy i tak pamięć wszystkich stanie się również twoim udziałem. Ale masz prawo. Jak Feretriusowi wolno czasami być sobą. Tylko sobą.

– Wiecie, o czym rozmawialiśmy? – zapytał.

– Oczywiście. Ale to nie ma znaczenia. To twój prawdziwy przyjaciel, Megaloxantho. Zbyt krótko się znaliście, żeby zaprzyjaźnić... Ale i tak lubisz go, prawda? Prawdziwa przyjaźń jest wtedy, gdy można się rozumieć bez słów, jakby jeden umysł jednoczył wiele rąk. Tylko tutaj tego dostąpisz... Feretrius zawsze był tobie bliższy niż ten, z którym łączy ciebie jedynie wspólnota formy...

– Gdzie on jest? – niecierpliwie przerwał Jonas.

– Chcesz poznać prawdę o nim i zamierzasz rozmawiać z Wyroczenią. Można to powiązać ze sobą. Idź za mną.

Feretrius powstał z lustrzanego schodka. Odwrócił się i zaczął wstępować po szklanych stopniach. Coraz wyżej. Jonas posłusznie ruszył za nim. Przeszli obok dwudziestu czterech Starców – dwunastu z jednej, dwunastu z drugiej strony. Żaden nie uniósł siwej głowy. Jeszcze wyżej skrzydlate chimery przez pewien czas odprowadzały go wielookim spojrzeniem – spod twardych łusek rozchylonych niby powieki, z barwnego pierza, spod przezroczystego bielma skóry. Zdawało mu się, że owe stwory coś do niego albo między sobą szepczą. Może go zapraszały, żeby wstąpił w ich czworobok, kusiły szelestem piór, chrzęstem naelektryzowanej sierści, cielistością obnażoną w puchu – tylko w ich przytulne gniazdo złożyć własną doczesność. Jednego był pewien; od czasu, kiedy Ziemię nakryła skorupa Industrialno-Urbanistycznego Masywu, nigdzie się nie ostało nawet wspomnienie takich kształtów, z których obłądny Stwórca mógłby dzisiaj ulepić takie Zwierzęta. Przyglądały mu się z zaciekawieniem, jakby to on dla nich był bajeczną efemerydą.

Jak to powiedział Głos Świątyni TABOR: „Na Enklawie THARSYS nie kończy się historia ziemskiej ewolucji. Poza nią istnieją inne drogi. Kręte ścieżki, niosące w sobie potencjał przyszłych eksplozji, przed którymi i nam – być może – przyjdzie chylić czoła”. W rzeczy samej – prędzej był gotów dopuścić kosmiczny rodowód tych stworów, jako strategów tamtej Inwazji, której czoło stawia już tylko Endogeniczna Armia. Poza tym – cywilizacja chimera całą Ziemię już włączyła do swojego imperium. Czyżby prawdziwym kapłanem Świątyni TABOR było coś jeszcze, obok sprzężenia Genomutów i Skurwysynów z tajemniczą Wyrocznią?

Cień Feretriusa zatrzymał się u podstawy szmaragdowej tęczy. Ścięty wierzchołek piramidy, na którą wstąpili, pozwalał zajrzeć w pusty krater.

Jonas poczuł dziwny niepokój. Wiedział przecież, że to, po co tu przyszedł znajduje się u jego stóp; tymczasem potworna siła zdawała się wykręcać mu kark. Patrz w górę! Szarpnął się – wystarczyło tego, żeby się nieco obrócić wokół osi. Głowę dalej zadzierało do góry – tylko oczy zdołały spojrzeć wstecz i w dół, po pochyłości piramidy przepasanej tyralierą białowłosych Starców.

Zdążył pochwyć jakiś ruch – w połowie urwany skok Mażulisa. Komandos cudem uwolnił się ze swojego imadła. Nawet dosięgnął emitera, uniósł go, zdążył nacisnąć spust. Pewnie celował w Starców, może chciał utraćić któreś z czterech straszdeł patronujących szklanej piramidzie. Niewidzialna ręka, jakby samo ciężenie, bezlitośnie poprowadziła jego ramię w najmniej spodziewanym kierunku; powinien był pamiętać, że na ołtarzu Świątyni TABOR złożysz ofiarę tylko z tego, co sam przyprowadziłeś – choćby na postronku wierności albo dyscypliny. Dwa promienne impulsy przyjęli w siebie jego towarzysze broni. Dwie sztywno w przestrzeni osadzone pochodnie. Mażulis znowu ujęty w karby – ledwie czubkiem jednego buta wsparł się o ziemię. Coś do niego dotarło – w ułamku świadomości. Tak znieruchomiał – z przerażeniem stężałym w oczach niby w Grobach Pożądania; zawisł w powietrzu, rozciągnięty przed skamieniałym obeliskiem Morana.

Jonas pomyślał tylko – za późno! Niewidzialne tryby już się nim zajęły – musiał unieść głowę, żeby mu nie trzasnął kark skręcony do oporu.

Siedem słońc rozsunało się na boki, niby wierzchołki siedmioramiennej gwiazdy. Wyżej czarne sklepienie – prześwitywało w stronę kosmosu. Gdzieś tam, do gwiazdnej tarczy przyszpilony żelaznymi nitami, unosił się cień skrzydlaty, jego Brat – błękitno – skóry Megaloxantha, przechwycony w locie – kończyny i gardło zakleszczone w miedzianych klamrach, skrzydła jeszcze rozpostarte i ogień nie wygasł w oczach – lot w nieskończoności. Nawet nie zdążył zwinąć skrzydeł, żeby go ogarnęły nieprzeniknionym pancerzem, żeby mógł w tę ziemię uderzyć jak bolid – nieuchwytny dla wędzideł miedzianych i żelaznych imadeł.

Cały wyprężony – tylko głowę zwiesił, z błękitnym puchem odchodzącym od



oczu, jakby od pędu powietrza. Okrągłymi oczami patrzył przed siebie z takim napięciem, aż Jonas zrozumiał, czemu wtedy przywidziała mu się świadomość w tych oczach – taki ból i nienawiść zostaje w twarzy nawet po śmierci. Wtedy jednak, za pośrednictwem CETI, tę twarz oglądał od strony kosmosu. To była ta sama twarz. Nie mógł się pomylić. Uważnie zajrzał w oczy pałające niby tamte dwie pochodnie, na zewnątrz krateru. Wszystko się zgadzało. Przedtem też nie patrzył z góry, lecz z punktu położonego jeszcze niżej – dokąd skrzydlaty Megaloxantha cały czas kierował martwy wzrok.

Jonas opuścił oczy i sam spojrzął w tę stronę.

Przed nim otworzyła się miniatura krateru obwarowanego metalicznymi pryzmatami wysokości człowieka – model Uroczni Megalitu. Przed chwilą był pusty. Teraz w łagodnej niecce spoczywała wielka, biała kula. Ledwie by ją ogarnęło skrzydłami czterech Kochanków Seleny. Tylko dwóch dotarło w to miejsce; jednego śmierć pochwyliła w locie, drugi przed tą perłą stanął zaspawany w pancerz.

– Spróbuj, Megaloxantho – znowu usłyszał drżący, bezradny głos Feretriusa. – Pewnie nie znajdziesz tam własnej przyszłości. Nie ona jest tobie potrzebna. Może ujawni się przed tobą rodowód świata, z którym się związałeś albo kierunek, w jakim zmierza. Może się tam zjednoczy przeszłość i przyszłość tych, którzy na ciebie czekają w Enklawie THARSYS. Zjawileś się na ich wezwanie. Spróbuj stąd wynieść coś dla nich, nie dla siebie – jeżeli nie możesz być Kapłanem Świątyni TABOR, żeby odtąd służyć przed ołtarzem Ewolucji... Ten, który przybył przed tobą, powiedział NIE, zanim poradził się Wyroczni. Będzie tak trwał – w pół drogi między życiem i śmiercią. Niech się uczy pokory. Ty zdaj się na Wyrocznię. Jeżeli uzna, że jesteś ogniwem gotowym do włączenia we wspólny bieg Ewolucji – zostaniesz z nami. Jeżeli cię odrzuci... Dopiero wtedy walcz, Megaloxantho...

Coś jeszcze naszeptywał głos Feretriusa.

Nie słuchał.

Zauroczony wpatrywał się w tę kulę szklaną, gdzie się coś zamgliło nagle, zakręciło niby młyńskie koło, aż z piany rozbitej na miazgę wyskoczyły szczury wielkości wilków, zziajane Żworuny–Mordercy pomknęły przez księżycową topiel Wrażego Uroczyszczca; półpsy – półkruki ciemnymi strzepami frunęły na wezwanie więdzmy wróżącej z wodnego odmetu. Pod tym nalotem jakieś postacie biegnące, w skórzanych maskach obciążających pyski – załomotały podkutymi obcasami, zatrzepotały czarne skrzydła, jak peleryny wszyte w karki. Pierwszy dźwięk przebudził nowe echa – pohukiwanie tyraliery śmierci. Tam trwała obława – implozja wszelkiej treści do wnętrza kryształowej sfery. Zobaczył tam zapadliska mroczne, plastry domów pochylonych nad przerębiami ulic i biały dym snujący się nad chodnikami. W nim coś się zataczało – półnagie wobec następujących szeregów;

widział, jak się skręcają w biegu, w samym powietrzu znajdują opór niewidzialny, jeden punkt – przenikliwy na wylot piersi; potem sił starcza żeby przebiec kilka kroków i runąć na twarz, na kamienie. Dostrzegł ich twarze, wloty gardeł zakneblowanych krzykiem i oczy łzawiące krwawo. Trupy i wilki. I młyńskie koło huczące w przestrzeni obwarowanej kloszem – coraz potężniej, aż ponad zawirowanie wściekłe – żelaza, ognia i żywego mięsa, coś się wyrwało nagle – postać wysoka, stopą miażdżąca truchło nakryte czarną płachtą – bluznęła mętna posoka, niby spod kaptura wyduszony język – śliski i kaprawy.

Ta ogromna postać kolejny pysk zdusiła w garści – jakby mu nie wystarczał skórzany kaganiec. Zgniotła i ruszyła dalej, chociaż jej w twarz zewsząd sypano ołowianym ziarnem – rykoszety iskrzyły na wypukłym czole, żaden się nie imał Megaloxanthy.

Ten brnął przed siebie, stopy wyrывał ze śmiecia, próbującego ułapić za nogi, obalić i wtulić we własne przedzgonne drgawki. Szedł – coraz wyższy we mgle zapierającej oddech tym, którzy upadli. Podchodził bliżej, aż stanął naprzeciw samego siebie. Twarzą w twarz.

Jonas krzyknął. Odsunął się gwałtownie, żeby nie wiązać oczu z tamtym spojrzeniem, wyniesionym z wszechobecnej pożogi i mordy.

Tamta twarz też uskoczyła wstecz i odchyliła zgodnie z każdym jego poruszeniem.

Zrozumiał.

Dalej stał naprzeciw kryształowej kuli, lecz już nie zaglądał do jej wnętrza, to ona w krzywym zwierciadle odbijała jego twarz i świat poza nim – próżnię wypełnioną obłądem i lotem przez ciemność.

## 25. TARBOSAURUS W UROCZNI MEGALITU

W zaraniu była rozkosz pędu. Przez krtań, przez pleć, od dłoni do pięt uskrzydłonych ciężeniem. Przez ciemność. Opętany, upojny, na wieki wieków błogosławiony lot.

Aż pęd z samego światła skręcił powróż na twoje gardło. Mocny, konopny sznur. Na linie zjeżdżasz do studni. W pętli twój kark żelazny, jeszcze oporny. Przyłbicy trzask – na epoletach gwiazdny znak. Przez noc, przez mrok – komety ślad. A tyś ogromny, zbrojny od dłoni do pięt, pamięcią niejednej rzeźni przepasany przez biodra, ramiona, mięśnie i gnaty, przez struny ścięgien, aż po najczulszy nerw.

Szept przebiegł w ciemności zupełnej. Strwożone ścierwa garną się do urn. Zwąchali twój lot. Teraz im spieszo, gorliwość paruje z łbów. Chętni ciebie wybrać i posadzić na tron – wyładuj chuć! Jutrzeńko nowej dynastii – płódź! płódź! Koncerzem ich dobić do dna – o tak! Gdzieś tam jedyny motyw twojej żądz. Jeszcze się tli. Niby księżycyca odbicie w studni – nagość w pajęczym srebrze, w ogromnej perle. Golizna jej łaknie twojego promienia – pochodnią z czeluści kosmosu padnij do stóp. Niech ją ogarnie twój żar, gorączka lędźwi i – niecierpliwość żelaznych rąk. Wnet palce rozchyłają puch księżycowy i krater upojny podadzą do warg. Pragnienie przywiodło cię tutaj – przez wiarę, samotność, na ostateczny bój. Na razie energią trzewi strzelasz w dół, siła odrzutu łagodzi upadek i – oto jesteś – majestat na słonecznym powrozie.

Ogromny jesteś. Katedra zaspawana w pancerz. Żelazny Skoczek na miarę Megaloxanthy. Będą się garnąć. Bijcie czołem! Kiedy w ich prochu osiadasz, z głową nad zasięg maślanego wzroku, z piersią blaszaną i ramieniem zdolnym zmiąć Antares, opasać Betelgeuze – patrz! Czerwie czarne, w ciemności zaległe, pierzchają precz!

Grzmot ostatni. Pęka wszeteczność kosmosu i otwiera tunel między strzępami nieba. Coś jawi się z nieskończoności, nadlatuje ze świstem – ogrom dwuręki, dwunogi, z czoła światło cieknie i pył kosmicznej panspermii, impet paruje z mikrokraterów wydziobanych nad okapem hełmu. Już ramiona rozłożone na boki, pięści jeszcze pełne kosmosu. ACH! – wrzasnęły czerwie. Tarcie atmosfery rozplomienia zbroję – już w kołysce powietrznej. Nie dłonie, lecz stopy podane do przodu – trzask! Tak właśnie! Iskry spod obcasów – odpełza skwiercząca ciemność.

Ave, Tarbosaurusie!

Kolumny twoich nóg wbite w ziemię. Blacha do blachy, łuska do łuski, pierś sklepiąca pancerzem ewolucji. Stygną złote nagolenniki. Pył się wkoło ściele – padlina przedwczesna. Nie od miecza, od pędu zdechła. Czerwie leżą pokotem. Garby

chrzczone sadzą, skulone – jak je podmuch przytłoczył do gleby. Do gleby, czerwie!

Taki więc jesteś – pogromco Stegosaurusa, Iguanodonów, Triceratopsów, JKM Tyranosaury, hulajgrody, Ryszarda Lwie Serce, maszyny parowej oraz „Ili Muromca”, pancernika „Yamato”, Rolls Royca, hiperprzestrzennego krążownika „Ussuri” i galaktyki M 82 – do dziś eksplodującej. W imię czego twoje zniebazstąpienie? Błądny rycerz wrócił. W samotni na wieży zamczyska dama jego serca podładuje baterie – miłosnej energii; starczy na kolejny skok za horyzont zdarzeń realnego kosmosu! Późno wróciłeś. Coś tu zgasło. Zresztą – próbuj. Cuda się zdarzają. Może z piekła na Transplutonie wyzwolisz bodaj jej cielesność. Na co czekasz? Tnij mieczem! Na odlew! Milczący, hartowany w kuźnicach kosmosu, szlifowany we włóknistych mgławicach Łabędzia – czemu na głowni miecza twoja dłoń zmartwiała?! Żar z ciebie ucieka! Ty stygniesz powoli! Dlaczego zwlekasz? Zaczynają szemrać – słyszysz? Już się gromadzą, knują potajemnie. Daj czas – resztę światła capną w konspirację.

Lecz – CÓŻ TO?! Od skroni, przez pierś aż do brzucha, nawet twoje uda pękają żałośnie. Zbroja w szwach się rozłazi! Tarbosaurusie baatar! Twoja pierś – na oścież! Larwa się rodzi z chitynowej skorupy. Coś miękkie przełazi nad progiem, różowe, wiotkimi palcami pleni się z pestki zaspawanej tak długo. Już łeb włochaty i nogę przekłada...

EA zeskoczył na ziemię. Wstrząsnął się – ze zmarzłego gruntu wionęło śmiertelnością. Aż nagość wzdrygnęła. Błady był, podpuchnięty z nadmiernych przeciążeń. Gołe kolana stulił i – miast miecza – w zgrabiących dłoniach ścisnął własny korzonek. Tak trwał przez moment – wyłuskany z monstrialnej konserwy. Oczy obłupane z kamer patrzyły szeroko zachłanne. Za nim cień jaśniejszy od granic przestrzeni – Tarbosaurus baatar, jak muszla rozwartą. Wyturlała się perła – bilardowa kula – został srebrnogłowy menhir.

– Uwolniłeś, Panie, sługę Twego – EA zaśmiał się na odchodne.

Z zimna mu zęby zagrały o zęby.

– Dżin z butelki – mruknął sam do siebie. – Niech was harpie wszelkie! Jak długo można robić z siebie durnia? W imię Kosmicznego Imperium? Akurat nadajesz się na komandosa. Na amanta jeszcze lepiej.

Postąpił do przodu. Nagi i bezbronny pod nawisem mroku. Stopy bezgłośnie dotykały ziemi – w próżni kosmosu nauczył się kociego kroku. Może terminował u Wiecznego Wędrowca. Błada poświata podświetliła mu twarz kiedy pochylił się i dłonie zanurzył w księżycowy krater. Nic prawie nie poczuł palcami. W mlecznej perle jej chłodne ramiona, piersi drobne – ledwie w dłoni znaczące, obok kolana podciągnięte do brody i nogi cieniutkie, w wianku wiotkich paluszków. A wszystko

miękkie, półpłynne jakby, półdymne. Cieleśna sprężystość odzywa się dopiero pod dotykiem palców – jakbyś na nowo lepił z gliny, w morskiej pianie rzeźbił nagość Afrodyty. Dopiero przyszedłeś, a już jesteś Stwórcą.

– Ech, ty! – sapnął i dźwignął ją na ręce. – Toż z ciebie modliszka, jętka jednodniówka. Spuść z oka, wnet całą babskość na lewo rozpuści.

Lecz kiedy ją wreszcie do piersi przygarnął, jednym nagim ciałem do drugiej nagości – puls krwi jego przeniknął w jej nagą przejrzystość. I dopełniło się jej ciało – krwią jego; dłoń w dłoń, pierś w pierś, usta na usta, płeć też znalazła zgubioną matrycę. Każdy ułamek trzeba dopieścić.

– Co tu się stało? – zapytał jeszcze. – Pachnie mi rewolucją.

Tylko jej włosy osypywały się po jego karku. Nitki srebrzyste, każda nakłuwa ciało i wrasta mu w barki. Nadprzewodliwe druciki. Aż się dopełni – skroń przy skroni, biopole w biopole – hybryd dwugłowy, sprzężony z prehistorią. A tam, w nicości – ojciec ją po raz ostatni do piersi przygarnął i krętymi schodkami do wieży prowadził. Wyżej, wysoko: „Tutaj zostaniesz – powiedział. – Módl się i czekaj”. Potem drzwi zaparł, żelazne sztaby zatrzaskał i słychać było, jak po schodach zstępuje z powrotem do piekła. Skrzywienie drzwi następnych i brzęk łańcuchów, kiedy dwa wierne psy zostawił na straży. Podbiegła do kraty w maleńkim okienku, pod najwyższym dachem megalitycznego zamku. A naokoło, dokąd sięgnąć wzrokiem – ciemność, mury zamczyska na chwiejnej wysepce – inna je połyka przestrzeń. Dostrzegła jeszcze, jak na murach ojciec rozstawiał żołnierzy. A tam już ogrody wdeptali w podzamcza, w czarnoglebie wracały kwietniki, parki, fontanny w nicość przelewały szklane piany. A oni szli. Pierwsze szeregi nawałem własnych ciał zasypały fosę, reszta się po nich garnęła na mury. Jeszcze służba zapalała race i smolne pochodnie przerzucała w ciemność. Kropla światła w morzu powszechnej entropii. Na nic by się zdały legiony Hektorów. Mury zamku zapadły pod ziemię. Jeszcze widziała ojca – z brodą i świetlnymi włosami Heliosa. Ponad ciemność wypłynął czasami, z latarnią w dłoni, aż go pochłonęli, chciwymi palcami zdarli szaty, złote nici wypruli, z palców złuskali pierścienie i włosy rwali garściami – gasnące promienie. Potem tylko ciemność rzeziła płucami, trawiła ostatni kamień, przenikała krużganki, pokoje, z ram wylizywała pejzaże, portrety przodków, w bibliotece tropiła herbarze, na włókna dzieliła kobierce, kruszyła alabastrowe stiuki i ziarnistość marmurów przetapiała w nicość. Tylko samotnia na wieży trwała chwilę nad powszechnym potopem, aż psów ujadanie zachłysnęło się bolesnym skowytom i ostatnia z widzących poczuła nagłe kołysanie – jeszcze przechył i baszta runęła w mroczną kąpiel. Wnet ich czarne ręce dosięgły krat w oknie, już gęby łykały cegły – ściany coraz cieńsze, farby z nich spęzły i tynk sypnął mgielnym pyłem. Poczuli ich palce do jej ciała przylepne – przez złotogłów, koronki, pod skórę, jakby tysiące warg

spragnionych, łączywie chłepczących na równi światło i cielesność... Gdzie jesteś!

Wzdrygnął się i wysiłkiem woli przegnał koszmar nie swojej pamięci.

– Przekłete czerwie – w duchu zaklął stokroć szpetniej. – Na to was stać: gnoić, deptać, równać z ziemią, cokolwiek wyrosnie ponad waszą nędzę, cokolwiek błysnie nad ciemność. Czerw z czerni! Nic nadto...

Klął jeszcze, kiedy coś nad nim tąpnęło. Nagi, z nagością na rękach, skulił się w mrocznej sztolni. To krąg ciemności zawęził przestrzeń. Ciasno się robi w wilczym dole. Równość społeczna pochłania dziewice i herosów – ciebie też obłapi chętnie, Tarbosaurusie – należysz do orłów, chociaż stoisz z boku, z mieczem w garści, lecz poza tym – rozwarty i ogłupiały doszczętnie.

– Chciałyby przytrzasnąć? – E A zachichotał w ciemność.

Odstąpił krok. Drugi. A tam cięży sklepienie i ściany szykują zapadnię – czarną, węzłąstą, już się w nich zawiązują wzdęcia, rozkorzeniają palce.

– Za późno, czerwie! – radośnie błysnął zębami. – Śrubki, przekładnie, dźwignie i tłoki, tryby, trybiki i nic polotu! Maszyna, psia wasza mać! Maszyna!

Skoczył raptownie. W locie się do nich wpiął. Jak ich lubił przedrzeźniać!

Już twarzą w twarz przed Tarbosaurusem.

Niezdobyta twierdza. Tylko wstąpić – z każdej wybawi opresji.

Stał. Nic nie pojmował – błąd w sztuce!

Jakby go śmielsza gadzina ułapiła za nogi. Wraстал w ich bagno społeczne. Pot ciekł mu po skroni. W dłoniach ciężar bezwładny. Przed nim Tarbosaurus – kubraczek wszechmocy na miarę nieśmiertelnych. Czuł, jak mu się ciemność w kiszkach zmrożonych zalęga, strach podnosi do gardła. Już wiedział!

Odtąd twój dom – ciemność. Luzu będziesz miał tyle, ile ci zezwoli. Po uszy wdepnąłeś w ultrastabilność społeczną. Przecież nie odstąpisz w pierś Tarbosaurusa, a jej nie złożysz na ziemi. Nie po to pędziłeś. Po co? Ktoś pomieszał strategie – oboje nie zmieścicie się w jednej przytulni.

Położ ją u stóp Tarbosaurusa. To twoja ostatnia szansa, żeby stąd wynieść bodaj własną skórę. Zapomnij, po co tu jesteś. Instynkt cię przygnał, nie rozum. Złóż ją u stóp, jako daninę dla czerw. Odkupi twój odwrót. Niech się nasycą – co miało być rozkoszą tylko dla twoich lędźwi. Dawno nie żarli. Przerwa w uczcie wzmaga apetyt. Nabrali smaku – duchowe karły, garbusy pokłonne i ślepcy jutra – tryby, trybiki, produkcyjne taśmy! Niech was uwzniośli jedna płeć podniebna, jeśli natura nie dała szansy nieśmiertelności – wyniesienia nad plemię czerw skołtunioną w społecznej podświadomości.

Wciąż zemdloną nagość hołubił w ramionach. Wystarczy zamknąć oczy i opuścić ręce. Potem w ciasny mundurek i – bach! – mocne odbicie, aż Transpluton zwichnie orbitę. I w przestrzeń! W nadświadomość! Dosyć klaustrofobii! Dłutem lasera od

skroni do pięt wyzwolonych z ciężenia. Nikt się nie dowie. W przestrzeni, czystej od cielesnych grzechów znów będziesz obnosił platonicką miłość, ideę bez treści.

– Co wy tam wiecie, czerwie! – sapnął i jej nagie ciało opuścił delikatnie, aż się stopami o ziemię wsparło. – Żądza, żądza, cylindry i tłoki, tarcie i poślizg! Tfu! Harpie was! Przeżuć i wypluć!

Jeszcze ją obejmował przed muszlą Tarbosaurusa. Nie twoja krew z krwi, kość z kości – mimo to dbaj o nią, jakbyś znowu był ze mną! Przymknął oczy i ostatni raz jej nagość przytulił do swojej. Mocno – może coś zaskoczy. Potem wstydliwie cmoknął ją w policzek i pchnął – korzeń niechętnie wysliznął się z innej lepkości – od siebie odepchnął. Dalej patrzył tęsknym wzrokiem – Tarbosaurus otwiera podwoje. Białe koronki oploty ją w locie, ogarnęły ramiona, chwyciły pod pachy i na piersi zaplotły sprężyste uchwyty. Już zawisła w drgającej, ciała spragnionej bieliźnie. Dźwignie i ścięgna uniosły to ciało bezwładne, ostatecznie wetknęły w mechaniczną torbiel. Trzask pobiegł przez ścieg zębaty, od czoła do stóp olbrzyma. Zakleszczyła się pancerna skorupa, jakby ktoś od środka zapiął błyskawiczny zamek.

– Żegnaj – westchnął EA. – Ktoś musi zostać. Tylko się o mnie nie martw. Bez krzyża nie ma szczęścia i nieśmiertelności. Pozdrów przestrzeń.

Sam odstąpił dwa kroki. Nie starczyło odwagi – barkami wsparł się o skudloną ciemność. Tkwił w cierniowej koronie. „Odejdź! – szepnął. – Daj zdechnąć. Bez świadków. Na co czekasz?!”. Zmrużył oczy – żeby nie oślepnąć. Jakoś nie czuł uderzenia w wypięty brzuch ziemi. Pewnie Tarbosaurus szarpnął się z takim impetem, aż żelazne ciało wyrwał z własnego obrazu. EA łudził się jeszcze. Otworzył oczy i uniósł wzrok – nadzieja bez nieba.

– Wiedzieliście! Pteranodonty – padlinożercy... – aż w nim załkało. – Nie wystarczy wam mojego ścierwa?!

Zatoczył się, jakby chciał objąć martwego kolosa i własnymi rękami wystrzelić w kosmos. Ślepe dłonie natknęły się na ogromny koncerz, ostrzem wbity w ziemię. Niespodziewanie lekko dał się wyłuskać z mechanicznej ręki. Byłby go opuścił – z bo jaźni ciężaru i drzemiącej mocy. Szalona myśl kazała mu zacisnąć palce. Przyszło mu do głowy, że mogły teraz, nawet bez przekładni, siłą samych mięśni dźwignąć go i młynka zakręcić nad głową.

Jednocześnie nad powszechne ciężenie mroku wyodrębniło się brzemie jednej dłoni twardej i ogromnej – spoza pleców spoczęła na jego ramieniu. Nie czekał. Zebrał w sobie ból cały, nie od godziny, nie od miesiąca, nie od jednego pokolenia. Aż w nim zagrały ścięgna i krzyk usłyszał – w szczelinie między własnymi wargami a kneblem nocy, w ułamku przestrzeni wolnym od cenzury przekleństwa, światła i pamięci. I poczuł, niechcący, jak się ostrze miecza wyslizguje z pochwy czarnoglebia. Ze zdziwieniem odkrył tego miecza lotność, w gołych dłoniach! Bez serwomotorów!

Ave, Tarbosaurusie! – zawołał i wspiął się na palce, błędny rycerz w strzemionach. I chlasnął na odlew, za siebie, bez szukania celu. Tylko ostrze błysnęło i usłyszał charkot, jakby pierwszym cięciem dobrał się do gardła. Lecz już się garną inni. Ramię przy ramieniu, gęba w gębę czerstwa, dobrze wykarmiona, z kagańcem na zębach. Tymczasem miecz się rozjarza od tarcia w powietrzu i – płazem! – przez pyski ślepe, obłądne. Wszyscy oni – przez pępowiny z renie ciemnością wywróceni na lewą stronę. Ciąć! W bebechy cuchnące żołądkowym sokiem, moczem, spermą! Przez kiszki dymiące amfetaminą – musieli się nażreć czegoś! Bez dopingu nie chwycisz Idei! Jakby natura skąpiła tępoty popartej wścieklicą piekielną. Czerń napierająca masą. Ciąć! I jeszcze! Aż pręt rozżarzony – jedyna broń przeciw pancernym zastępom – własnym ogniem i juchą gadziny, w środku jej czoła rozbryźnie gwiazdę krwawą!

Więc ciął na nowo. Świetlny brzeszczot zawinał się w locie i, miast wszechświat na dwoje, z bocznej ściany odkroił płat smolistej czerni.

Patrzył i nie wierzył oczom.

Kolejny zamach – wiór nowy skręca się w powietrzu.

Nim się spostrzegł, tnąc na lewo i prawo, poczuł – coś się zmienia. Nowe pęta owinęły mu się wokół kolan. Po pas tkwił w kłębowisku ciał obłych, sprężystych, monstualnych węży. Jak je oddzielał od zwartej ciemności, tak zawijały żywe sploty – odtąd natchnione życiem osobnym. Skiby wykrawał z czarnej powały, to one mnożyły się smolnymi wiórami – czerwie wyłuskane ze zwartych szeregów.

Siłą impetu jeszcze zamiótł ostrzem.

Niczego nie zabił – tylko wkoło bił pianę.

W zamian coś go chwyciło za ramię, wykręciło nadgarstek. Z rozwartych palców miecz się wyslizgnął i poleciał – ognista głownia pociągnęła przestrzeń, coraz węższą tuleją, aż ją połknęła ciemność.

Zostały mu ręce.

W żarliwości miłosnej węże dokoła podniosły zmierzwioną czuprynę Gorgony. Tkwił w niej jako wesz bladawa, nagością przychylna ich uczcie krwiopijczej. Już mu okrutne sploty zniewoliły tułów. Usta mu zatchnęło. Usłyszał chrzęst własnych żeber. Szarpnął się – coś pękło oblesnie, coś miękko rozpełzło się w dłoni – garść czarnego szlamu rozgniółł mimochodem. Bezgłowe tułowia tarły go boleśnie – tryby, trybiki, świdry i cęgi – łuski darły naskórek, miażdżyły tkankę mięsną, dogryzały do kości. Walczył – ramionami rozgarniał ich masywne cielska, rwał kłacza – byle coś uczynić, cokolwiek – zachwiać technologią przemiału na gnaty, podroby i mięso. Jeszcze pływał po wierzchu, oszalały z bólu – ostatni mocz z grupy Laokoona, synów mu wygniotły węże. Jeszcze im szeptał bluźnierstwa półtrupa; w zbliżeniach warg spierzchłych i czarnych boków – jednakowo światła, dźwięku i kształtu spragnionych – szeptał im: „Drażcie! Czerwie! Dłubcie w próchnie proletariatu! Gadziny spaśnie!



Chcesz pogadać ze mną? Z każdym mógłbym – osobno. Oddzielić od stada i w klatkę uniwersytetu – szok historii na opamiętanie! Marne wyciskanie! Choćby podciągnąć klasę nad analfabetyzm rozumu i serca... Ech! Czerwie! Psi pomiot! Każdy heros w stadzie! Na rozkaz ! Gdy padlina wyższego rzędu skurwysyństwo wasze bierze na własne sumienie! I kiedy tyły ubezpiecza zastęp zmilitaryzowany nieco cięższym sprzętem!”. Jeszcze się ciskał, miotał gromy – w sercu ołów tężał. Wycie syren usłyszał i nawałnice grzmotów wzniosłej szych od jego bełkotu. Spoza pleców Sprzężenia Zwrotnego nawarstwiały horror, charkot motorów i świst przestrzeni cienko mielonej śmigłami helikopterów – akompaniament do gwiazdnych wojen i na czas apokalipsy. Domorosły strateg oczy mu porażał reflektorem mroku, nie szczędził szczekaczek: „Poddaj się! Opór bezcelowy! Jak okiem zasięgnąć – ład i spokój! Czego się ciskasz w swojej sztolni? Zostałeś sam! Jak palec! A jej nic zbawisz. Choćbyś dał głowę! Na lep poszedłeś dumnych hasła. Jak ćma namolna w ogień. Na psa jej urok – biodrzastej i różanoliciej, rozwiążłej demokratycznie, z każdym grzeszkiem babranym publicznie! Warto być jej bardem i błędnym rycerzem? Dziwka, nic więcej! Każda z nich taka, wszelka demokracja – parchata z kurestwa i od strony pyska! Tfu! Na wabia wolności złapała obrońcę! Na wabia swawoli – anarcho–romantyka! A tobie śni się śmierć rycerska – Honor, Ojczyzna, Prawo, Naród. A Państwo – nie łaska?! Nie daj się zbłaźnić, wstąp do szeregu. Tu miejsce twoje! I w bój! Ramię w ramię, biodro przy biodrze – niech przed bagnety idą durnie. Ty – z nami! Ile w tym ulgi, niebiańskiej rozkoszy, gdy możesz palcem cyngla ruszyć i nic nie zbruka – Rozkaz? Ty słuchasz! Ognia! Ty strzelasz! Na cześć Stwórcy – jeden trup uświęci każdy dzień tygodnia! Ognia!”.

Zesztywniał nagle.

Jakby mu jedną serią siedem kul, siedem nitów wstrzeliło pod żebra. Czarny pejcz chlasnął go po karku, na gardle zawinał stryczek. Oczy wyszły z orbit. Ledwie zionął duchem. W grzesznych fundamentach ciemność mu żarłocznie trawiła doczesność, wszędobylskie paluszki zapuszczała w szparki, rozgarniała fałdki, wrastała w pachwiny, pod obojczyk, w łokcie – jeszcze trochę i próchno zajdzie aż pod siódme żebro. Wyjąc z bólu zdechniesz w objęciach wszetecznych, noc cię – wyzwoli z nieśmiertelności. Zadrzał po raz ostatni. Oczy mgłą zasły. Krew czarna trysnęła przez zęby. Zachwiał się i runął – głową do przodu. Mroczne kłęby w mig go pokryły bez reszty. Zakotłowało się węzowisko, zagruchotało gnatami na twardym klepisku – grząskie całe, bąblaste, załkało chutliwie ponad krwawą rzeźbą, uchnęło – może on czknął jeszcze, jakby to potrafił – zgnojony, zapamiętały w agonii, nieprzekupny do śmierci. Jakby nie chciał zdechnąć i wciąż bił piętami – w męczarni przedzgonnej, jakby go na amen nie dogryzły ich ciała obmierzłe, dwurękie, bezgłowe...

... NIE! NIEEEE! – coś zapiszczało cienko. – NIECH WAS HARPIE  
WSZELKIE! ŚWIATŁA T PRZESTRZENI! DOSYĆ! DOSYĆ! ILE RAZ Y  
MÓWIĆ?! STOP KLATKA!

Nagle ciemność oklapła. W rozchyleniu warg czarnych obnażyła zęby – bladawe, zziąbane potem ciekącym spod skórzanych masek. Światło zewsząd bluznęło – aż się poderwali, z postawy płazińców – hop! – na dwunożny szczebel ewolucji. Tylko jeden na klęczkach ręka maca, szuka hełmu, drugi w kieszeń ucieka z nawleczonym na palce kastetem, trzeci obciąga czarną pelerynę i węszy pyskiem skurwysyna, tak niezręcznie jakoś – w pełnym świetle, gdy w palcach drga jeszcze tęga łaska ślepeca.

Magiczny krąg światła. Oni w skafandrach Służby Galaktycznej – białe ze srebrnym hełmem; we frakach Rzeźników Empiru – czarne z trupią główką, żółte z epoletem – pewnie Endogenicznej, czyjeś jeszcze – niebiesko–anielskie; na koniec czarne peleryny, oczywiście – Sprzężenie Zwrotne. Cofnęli się do granic nocy. Przed nimi klepisko ogromne, czerwone. Z góry w bieli sterylnej ślepną lufy kamer. Ich chłonność ostygła, chociaż dalej celują w to samo ognisko.

W uroczeni niczyjej jego kości zostały, w światło reflektorów piąty fosforyczne. Jeszcze proch się sypie. Czerwie wysały żyźność. Tyle władza umie – obracać żarnami. Całego przesyłało w czerwianą przeciętność, w śmiertelność, szarość, niebyt – poza wiarę, nadzieję i miłość. Tylko łuki żeber sklepiają próżnię piersiowej klatki, piszczele w prochu rozrzuconym szeroko – jakby biały ptak upadł na wznak i skrzydła rozłożył ogromne.

– DOOOSYĆ! Mówiłem: nie tak! Nie w ten sposób! Z życiem! Z ikrą! Nie reżysera wam trzeba! Treser, treser się przyda! To wasza IDEA!

Pisk się objawił w bieli – wyróżnął w czerwień areny. Aż łupnęło w sercu pobjowiska. Zdawało się, że to wroni pokurcz kracze albo Walkirie zawodzą zgrzytliwie. Lecz już faun wylądował na podkurczonych łydkach, trafił prosto w amplifikatornię lokalnego kosmosu – głupaśny jakiś z zapalczaną główką i zielonym kosmykiem zatkniętym za ucho. Tylko mu na nosie skoczyły przydymione szkiełka – pokraczność okręcił w świetle, żółte hajdawery pod brodę podciągnął, strzelił szelką, wreszcie z notatek zaciśniętych w garści – zdaje się – parę wycisnął. Potem nóżkę unióś i zajrzał pod obcas, jakby nie proch, nie czyjeś kości nastąpił, lecz jednym kamaszem w byle gówno wdepnął.

– Tyle razy prosiłem: z ikrą! Żeby od tego zdychali, ledwie się który wniucha! Żeby mu się chciało samemu dokopać! Realizm! Ekspresja! Pełnia wrażeń – od kołyski do trumny! O, jest prima – donna! – zarzucił zadkiem przed skrzynią Tarbosaurusa. – Czego się ślepi? Podbesztaj go z werwą! A to się skuli, ani dostępu w muszelkę! Daj cały pejzaż, jeśli go cycek nie rusza! Pod nos podstaw resztę! I luz! Trochę luzu, jeśli do IDEI przyślepa!

Futerał Tarbosaurusa zgrzytnął na zawiasach. Dziwka zeń wylazła smętna, na zięblej goliźnie kępkę sierści zmacała, podrapała chętnie. Oczęta utkwiła w maestro–chochlik czy kanarek? Gorsecik by się przydał na kręgosłup i brzuszek – tyle w oczach myśli – i to zgaśło. Ziewnęła i palcami szczypnęła się w sutek.

– Czego ziewa?! – tupnął pokurcz i kurz z białych kości ruszył przyszpilonymi do ziemi skrzydłami. – Oooch! Harpie wszelkie! Z takimi kadrami gratulować przyszłości! Sam szmelc! Flak! Mydło! Nekrofilia! Przyjdzie powtarzać do usranej śmierci!

Raz jeszcze tupnął wściekle.

I nagle – coś pod nim pękło. Jak na komendę. Zeszklilo się klepisko. Przez ogromną soczewkę zapuścili wzrok w samo serce systemu. Szklany pęcherz Uroczni wtopiony był w membranę sfery jeszcze większej, nieprzejrzystej wobec kosmosu. Za to pod stopami otwierała się czeluść słoneczna, przestronna – świat planet, księżyców, asteroidów i komet.

Tylko wokół pęcherza Uroczni rozpościerała się czarna równina. Zaorany ugór, tu i ówdzie wschodzący skupiskami ogromnych kryształów – dziwnie bulwiastych, niby bilardowe kule. W każdej cień dwunogi, dwuręki, z czaszką zaspawaną w potężnym hełmie. Końcówki reliktowe, za to łeb potężny. Kable czy światło – w niewyobrażalnej odległości i sferę Dysona zawijał wokół planetarnego systemu. Wewnętrzna strona sfery pochłaniała energię słonecznego promieniowania. Zewnętrzna pewnie się w stronę gwiazd wybrzuszała lustrzaną powierzchnią. Taki dom można zasiedlić trylionami obywateli, całym nadmiarem populacji przeludnionych planet. A jednak pęcherza nie dopięto szczelnie. Tu i ówdzie połacie czarnego menisku rozchodziły się w szwach i dorzeczem coraz szerszych szczelin zmierzały do jednego wyłomu. Energia uciekała tamtędy, słoneczny wiatr jeszcze rozpychał elementy konstrukcji wzdęte niby żagle – łuski czernią wklęsłe, wypukłe srebrem. Przestrzeń udostępniała oczom perspektywę niedokończony inwestycji. Budowla na miarę cyklopów, ogrody Semiramidy na skalę Kosmosu. Ekipy monterów opuściły monstrualnych rozmiarów plac budowy. Astroinżynierom Teoria zbrzydła w pół drogi do doskonałości. Może bolid z zewnątrz zdzielił w jajo pięścią. Może wreszcie jakiś nowy prorok, gloryfikujący jednostkę, wziął górę nad wizją głoszącą mrówczy totalitaryzm.

Teraz ich ciała zaspawane w szklanych kapsułach. Tryliony przejrzystych paciorków wszytych w sferę Dysona po nasłonecznionej stronie. Perłową pianą nawarstwione widmowe miasta. Daleko od słońca, w przestrzeni mroźnej i wolnej od powietrza – ostatnie przytułki zesłańców skazanych na nieśmiertelność. Sfery nie warto dopełniać – nieśmiertelnym obojętna jest atmosfera. Sarkofagi zapięte szczelnie – zbyt cenną jest wieczność, żeby gardło nadstawiać w doczesności społecznej.

Wszechświat niestrudzenie konstruuje gilotyny na karki ciekawskich. Choćby śmiertelny poświęcił pół życia – cóż to znaczy wobec wieczności, którą ma do stracenia Nieśmiertelny?

Szklane kulki rozsypane pod połą czarnej peleryny.

W cieniu Opatrzności, która – CHRONI, POMAGA, WYCHOWUJE. Iluzjonista zamiótł płaszczem nocy, spod pachy wystawił dziuplę otwartą w stronę kosmosu. KUURRRTYNA!

Za zasłoną – każdemu muszelkę. Niech przyłoży ucho – czy co tam woli. Niech się uwzniośli prywatną nirwaną. Promienie słońca dopieszczają cielesność. Kwantowody pod czaszkę wprowadzą porcyjkę radości, specjalne szpryce skapną halucynogenem. Wszystkie kabelki zmierzają od i do Uroczeni. To Studio Kosmosu. Jedyna atrakcja w uśpionej wieczności. UROCZNIA dostarcza wrażeń! Na miarę Twoich pragnień! Stempel wyobraźni dążącej w nieskończoność! Uroczenia – Twoja WYROCNIA! Wycieczki w prehistorię i gwiazdne utarczki z Kosmicznym Imperium! Główny strateg realizuje każdy scenariusz – partytury narodzin i śmierci, rozkoszy i bólu! Do każdego zmysłu odpowiedni kwantowód transmituje upragnioną porcję dźwięku, smaku, wizji i pieśczoły. Zgodnie z Kierunkiem! Zgodnie z Podstawami! Zgodnie z Wytycznymi! Śpij! Śnij! Przed tobą feeria zwycięstw i pogromów! Jesteś nieśmiertelnym, a przecież – dlatego właśnie – SPRÓBUJ UMRZEĆ! Śmierć to najdrogocenniejsze doznanie nieśmiertelnych! Śmierć barwniejsza od tęczy! Spróbuj! Umieraj wiecznie! Specjalnie dla ciebie – SCENARIUSZ ŚMIERCI! Bez hochsztaplerki! Bez picu! Glancu! Amok wszystkich zmysłów! Ty śniesz – Aktor dostaje spazmów! Umiera i rodzi się znowu! Dojrzeła razem z tobą, zabija i gwałci, samarytaninem bywa i skończonym łotrem! Modli się, przeklina i – TWORZY WSZECHŚWIAT! A jeśli przyjdzie mu umierać – agonia jego godna jest nieśmiertelnych! Umiera z samozaparcem! Z patriotyzmem wyższego szczebla! Z najwyższym smakiem! ŚMIERĆ! ŚMIERĆ! ŚMIERĆ POZWALA DOCENIĆ WAGĘ WIECZNOŚCI I DOSKONAŁOŚCI!

Śpij więc. I śnij. Chyba, że – też fart! – kosmiczna ruletka pasuje Ciebie na Reżysera, Aktora, Scenarzystę albo Scenografa, wreszcie – na Statystę. Kosmiczna ruletka. Co pewien czas wyłom w sferze Dysona ustawia się naprzeciw jednej z gwiazd. Do wnętrza dziupli zagląda dziwny promień – szkarłatny skalpel. Jeśli naznaczy którąś z kryształowych spór – kimkolwiek jesteś – obudzisz się, żeby własną inwencją dopełnić UROCZNIĘ – dla współtowarzyszy nieskończoności – wszechwładną WYROCZNIĘ. Nie wszystkim pisane beztrósco śnić. Nie każdy też ma prawo swoją WIZJĘ dyktować miliardom! Może kiedyś będziesz nim ty Lub TY.

Ilu wśród nas Reżyserów godnych areny Wszechświata?

Ilu prawdziwych Aktorów?

Ilu Statystów potrafiących się podporządkować?

W Uroczni praca wre! Wizja za wizją! Za śmiercią – śmierć!

Reżyser miotał się jeszcze. Przekleństwa sypał na łby kamerzystów, od czci odsądzał wizjo – węcho – smako – senso – fono – neurotechników. Wiązał koniec z końcem. Lżył marnych artystów, narodowe cechy, indywidualizm statystów, którego to chwastu nawet genialny strateg nie wypleni do czysta. Już mu się głos łamał, prawie błagał z beziły. Tłumaczył – muszą! MUSZA! Choćby się udławić! Trzeba w życie wcielić ten właśnie scenariusz; jeden – jedyny – racja stanu zapisana w dyspozycjach Kosmicznego Imperium!

Jak na poparcie jego biadolenia – coś tąpnęło na nowo. Tym razem nie on – obcasem w podłogę. Coś ich wszystkich – łup! Jakby pięść niecierpliwa z wierzchu wyrznęła w pęcherz Uroczni. Maestro aż przysiadł. Coś pękło i odchyliła się powieka mroku – tym razem ponad ich głowami. Przestrzeń tam rozwinięta poza sferę Dysona, w domenę gwiazd, galaktyk rozkręconych obłądnie i między czarne blizny przestrzeni, kędy nicość kolapsuje – za sobą pociągając światy porażone przekleństwem Kosmicznego Imperium.

Równocześnie do wnętrza Uroczni zajrzała gwiazda krwawa, monstualna nawet wobec monstualności Wszechświata – matecznik Imperium.. Udar grawitacyjnej fali biczem smagnał ich niepokorne karki. Żywi poczuli w sobie ostrogę i nawet pył się nad klepiskiem wstrząsnął – biały ptak rozpaczliwie machnął skrzydłami i zdechł równie nagle, jakby mu krwawy promień na nowo do ziemi przygwoździł wizję lotu.

– Mówiłem! Prosiłem! – tylko jęknął Maestro. – Weźcie się w garść! I razem! To najwspanialszy scenariusz, jaki kiedykolwiek narodził się w nieskończoności przestrzeni i czasu!

I już na nowo czern musztrował. Ustawiał światła. Ze zdwojoną energią podciągał kable. Przestrzeń dzielił na poligony percepcji węchu, smaku, wzroku. Nawet na martwym klepisku proch się zgruźlił, nawilgł w zgrzebnej urnie. Pleśń się zawiązała, pod – pełzła do drzazgi gnatów porosła bladymi nitkami. Tu podczepiła ścięgno, tam sprężyła mięsień i z zatechłej mazi lepiała tkankę mięsną: czerwia? sokoła? iguanodona? Wnet błoną porósł cały szkielet. Dreszcz przebiegł woskowość tego ciała na nowo powstałego z prochu – echo minionej boleści.

EA drgnął i mozolnie dźwignął się na łokciu.

– I ten pobierał się wreszcie! – zaświergolił Maestro w kanarkowych gatkach. – Z jajem! Z nerwem! Twoja śmierć – ich życie! I wszyscy! Tak, tak, tak.

Wyimaginowane masy, powstańcie symbolicznie! Padajcie przyjemnie! Dobra! Zdychajcie efektownie! Agonizujcie estetycznie! Pojmują? Jak bić, to zabić! A ty – umieraj z życiem! I jeszcze raz! W aktorstwo się wdałeś, nie w politykę. Powtórzysz, choćby ci przyszło śmiercią rzygać! Jeszcze raz! Na plan... I do upadłego! Ty na co czekasz? Wczuj się w dziewictwo! Daj, czego nie masz! Jeszcze raz! Padnij,

powstań! Padnij, powstań!...

Coś jeszcze kracze główny strateg, nad głową macha instrukcjami znikąd. Światła zwarły pęcherz – mrok poza nim. Postronni – won z planu! A perła się skuli i wypnie tyłek! Niech ją nakryją brzuchami! Czego sterczą jeszcze – tym nigdy tępota nie rozmrozi pysków. Poza tym – mili chłopcy, jak przystało każdej z galaktycznych policji; ich fach, ich zew – Sprzężenie Zwrotne – i świerzb paluszków. Uch! Pięścią w mordę – może ulży.

Tylko ty między nimi. Tak strasznie powoli – ręce wparte w klepisko, grzbiet wygięty łukiem – wyżej głowa! Cofają się ze strachu. Ave, Tarbosaurusie! Podnosisz się wreszcie. Stoisz chwiejnie – nagi, z twarzą dziwnie szarą. Ile jeszcze – upadków powstań. Oczy wzniosłeś do nieba i słuchasz: Jeszcze raz! I jeszcze! Weź się w garść. Trupojadom–pteranodontom podrzuć kolejne ścierwo... Posłuchaj – słyszysz? Coś gra. Coś znowu w piersi po – grywa jękiem. Śmierć i zbawienie – znasz większą pełnię? Tylko w twoich oczach zmierzch i popiół w twarzy – potworne zmęczenie. Zmęczenie.

## 26. DROGA NOMADÓW

Świadomością nie ogarniał czasu, odkąd tak trwał – nieruchomy, zgarbiony, zapatrzony w ziemię. Nie wiedział, jak długo tu siedzi. Nie miało to wielkiego znaczenia.

Przed nim wiatr we wklęsłym menisku szklawej misy wirował rzadkimi strużkami piasku. Aż tutaj sięgały gwałtowne podmuchy, które nad krawędzią krateru od dłuższego czasu zawzięcie goniły niskie chmury. Zapowiedź wichury. Może huraganu – niech wreszcie rozkołysze palce menhirów twardo wbite w niebo, przeczesujące nalot chmur. Może się zawalać.

Nie miał pojęcia, kiedy i jak znalazł się tutaj.

Kiedy otworzył oczy – siedział, jak teraz, ze skrzyżowanymi nogami, z rękami opartymi na kolanach, na gołej ziemi. Dokoła piętrzyły się wewnętrzne stoki krateru, a nad ich krawędzią – niebotyczne wierzchołki menhirów otaczających Urocznię Megalitu.

Z minionego czasu wyniósł bezgraniczne znużenie ciała i duszy. Nie potrafił ożywić w sobie osowiałych myśli. W pewnej chwili wydawało mu się, że gdzieś nieprawdopodobnie daleko poza krawędzią krateru zaczyna przejaśniać się niebo – wnet napłynęły chmury i wszystko na powrót pograżyły w półmroku. Słyszał jedynie, jak na wietrze grają monstrialne organy maw–szynrangów. W anemicznej szarości, wypełniającej nieckę krateru niezależnie od postronnej nocy, próbował wzrokiem przeliczyć obnażone stopy poziomów Industrialno–Urbanistycznego Masywu. Osiem jaśniejszych warstwie. Między nimi ciemność. W podziemnym królestwie skurwysynów wygaszono światła. Na co czekają? Od powierzchni dzieli go tylko osiem stopni. Tyle też zapamiętały jego stopy, kiedy występował na ołtarz w Świątyni TABOR.

A więc – nie zdał się na nic. Dziękować Selenie, czy szydzić z ich Boga? Cóż mu się dostało – wizja, ku czemu zmierzała Epoka IUM, zanim ją szlag trafił? Może model cywilizacji, przez Wyrocznię przypisany tym, którzy ocaleją na tej Ziemi? Wreszcie – zupełny absurd – może przeniesiony został w realną przyszłość ostatniego narodu, jaki w pancernym schronie Enklawy THARSYS szykuje się do Ostatniej Bitwy? Doświadczył tego, po czym zostały mu ręce pełne bezradności. Teraz powinien iść do nich i podtrzymywać na duchu – i nie móc spojrzeć w oczy? Czasami lepiej połączyć Ostatni Dzień z Ostatnią Bitwą. To miała mu udowodnić synteza Żelaznego Skoczka, Megaloxanthy i Iona–Wędrowca, uosobiona w Tarbosaurusie – antynomii Kosmicznego Imperium? Trzeba się było wykazać pokorą.

Za bardzo zakorzeniło się w nim czysto ludzkie, obce mechaneurystyce,

fanatyczne pragnienie przetrwania. W imię czego? To przecież przypadek, że trafił akurat do Enklawy THARSYS. Z równym powodzeniem mógł związać się z kimś innym – w odrębnym strumieniu Ewolucji. Czy los tych Innych, kimkolwiek byliby, przejąłby go w równym stopniu? Każdy jest przypisany do własnego narodu i swojej ziemi. W całym Kosmosie brak sił, zdolnych wytyczyć granice nieprzekraczalne w dążeniu ku wolności – tej ziemi i tego narodu, jeżeli potrafią wydać takich ludzi, jak Kolczinski, Feretrius, Janko, Mażulis, Ion Szałamaja czy wreszcie Makonde. Nawet Megaloxantha związał się z nimi na śmierć i życie. Z ludźmi, chociaż szczytniejsza byłaby więź z Ideą. Pod tym względem Wyrocznia nie zostawiła mu większych złudzeń.

Wyrocznia odwirowuje szlam materii niegodny Idei przyświecającej Świątyni TABOR.

Szklana kula splunęła nim przez jakąś pępowinę czasu i przestrzeni, która Serce Wyroczni na zawsze związała z miejscem poczęcia – niezależnie gdzie i czyje ręce dzisiaj wznoszą mu Ołtarz.

Znowu wrócił do Uroczni Megalitu.

Sam – znużony doszczętnie.

Nie potrafił się zmobilizować, żeby jakoś pozbierać ciało i wygrzebać z mrocznej zapadni. Potem powinien ruszyć tą samą drogą, którą raz już przebył – wzdłuż szlaku wydeptanego przez Wozy Bojowe; pod wiatr – śladem tych, którzy poszli za nim, żeby tam znaleźć własne przeznaczenie. Z pamięci opornie wypływały obrazy mętne. Dwa kryształ – Moran z nożem na wieki przyrośłym do dłoni i Mażulis w głębokim pokłonie, zawieszony w powietrzu nad własnym odbiciem w lustrzanej posadzce – z emiterem w rękę i prerażeniem w oczach. Dalej – dwie dopalające się pochodnie – zwęglone słupy.

Gdzieś poza nimi, na przeciwległym krańcu tunelu – pod ogromem TABOR – pewnie czeka na nich pocieszny grubasek; zaciera ręce i niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę, drepcze przed bramą Świątyni – może znów zatrzęsniętą. Zostało mu tylko nasłuchiwanie echa za szklanymi murami, w ciemnym przeźroczu wypatrywanie najmniejszego znaku, który mu podpowie, co ma dalej począć – on i jego Żelazny Skoczek.

Jeszcze dalej Wozy Bojowe z wygaszonymi motorami czekają na komendę starego Makonde.

Jonas zastanowił się, na co on tutaj czeka. Nie wiedział nawet, ile czasu minęło, od kiedy ocknął się tutaj. Może już minął Ostatni Dzień tych, którzy walczyli w Enklawie THARSYS i nie ma dokąd wracać.

Dokoła wiatr coraz natarczywiej zstępował w zacisze krateru, nawiewał piach i szary pył. Popioły, miecione nad równiną, przyplływami burych fal, przeskakiwały



między menhirami sięgając już partii obłoków jak brzuchów brzemiennych śmieciem, wytrząsających coraz więcej pyłu.

Jonas bezwiednie poruszył ręką. Opuścił ją między kolana i zgarnął nieco sypkiej szarości. Rzeczywiście więcej w tym było popiołu niż rozkruszonych skał. Popiół lepił się do palców. Większe ziarenka cieniutką strużką sypały się z zaciśniętej garści. Klepsydra tak skonstruowana, że jej nie można odwrócić i przedłużyć odmierzenia czasu. Te same siwe strumyczki ściekały mu po twarzy – jak je nawiewał wiatr. Czas zatrzyma swój bieg, kiedy ostatni okruch wypadnie mu z ręki.

Spróbował zacisnąć pięść.

Jednocześnie gdzieś daleko odezwało się dudnienie ziemi.

Pomyślał – jakie burze muszą się miotać nad powierzchnią tego globu, zdławionego atmosferycznym ciśnieniem. Jakże ten świat był inny od swobodnych przestrzeni w Królestwie Seleny – niby równie napiętnowany wysypką kraterów, lecz ileż ich tutaj nie wystygło jeszcze.

Wyobraził sobie tę burzę. Kłęby chmur coraz wyżej piętrzą ponury nawis. Naładowane energią co rusz wznawiają kanonadę gromów. Wiry powietrzne podnoszą długie szyje śmiecia skręconego w bicze, kroczą nimi po wypiętym grzbiecie Industrialno–Urbanistycznego Masywu, stroszą na nim sierść z rozwibrowanych słupów tornada, nie znajdują zatrzymania na nieogarniętych przestrzeniach, więc pędzą coraz szybciej, czasami potkną się o szklane hełmy Enklaw, zajęczą – kiedy im żelazne menhiry w przelocie podetną ścięgna, gotowe atmosferyczny mięsień sprężyć przed kolejnym skokiem. Czasami giętkie cielska, kiedy się zbytnio nałykają gładów, wałą się – rozprute od nieba do ziemi, jeszcze od pędu oszalałymi splotami łomoczą o pokrywę Masywu – ten łoskot słycać coraz głębiej, aż się najodważniejsze skurwysyny płoszą w labirynt niedostępny dla wiatru i światła.

Już całym ciałem wyczuwał pod sobą dudnienie gruntu

Nagle umilkła membrana szklignego kamienia. Tylko maw–szynrangi coraz przeraźliwiej pogrywały na wietrze.

Uniósł głowę.

Raptem zrobiło się jasno. Absurdalny świt, jakby na nowo szklana kula zapłonęła w Uroczni Megalitu.

Podniósł ramię i oczy osłonił przed światłem bijącym z kilkunastu punktów naraz.

Niemal w tej samej chwili usłyszał głośny okrzyk; tak przenikliwy, aż – ponad wyciem wichury – własne echo przebudził w próżnej muszli krateru. Jonas zerwał się na równe nogi. Jakby mu ten wojowniczy okrzyk koczowniczego plemienia wreszcie wyrwał z otępienia zarówno myśli, jak mięśnie.

A tam już drobne figurki zbiegały po szklistej pochyłości. Ktoś się toczył na łeb, na szyję. Znowu zerwał się i za resztą gnał na złamanie karku.

Jonas wyszedł im na spotkanie. Wcześniej rozpoznał niejednolite, czasami wręcz pstrokate skafandry koczowników Makonde. Teraz zobaczył ich roześmiane twarze. Otoczyli go w końcu, poklepywali – jeśli sięgnęli ramion, dotykali jego pancerza. Przedtem ich na wodzy trzymał wzrok Makonde, teraz mieli okazję namacalnie sprawdzić, jaki nie do zdarcia jest ten Megaloxantha, za którym ich pułkownik pociągnął całe plemię.

Większość z nich była bardzo młoda. Pełni energii żywo gestykulowali i przekrzykiwali się nawzajem, w jakimś języku nie znanym Jonasowi, składającym się przeważnie z ostro akcentowanych głosek – na odkrytych przestrzeniach często trzeba przekrzykiwać wiatr. Nie rozumiał, czego od niego chcą, zanim uświadomił sobie, że to musi być dla nich prawdziwy cud – że on, pewnie spisany na straty i wliczony w rachunki Makonde, do uregulowania już nie tylko ze skurwysynami – znalazł się tu przed nimi. Tyle można było odczytać w ich zdumionych oczach. Poszukał znajomej twarzy. Sami młodzi. Nagle rozstąpili się i umilkli, jak na komendę. Stała przed nim postać wyższa od innych, z twarzą o barwie tej ziemi. Poznał zastępcę Makonde.

Mężczyzna łypnął na niego spojrzeniem napastliwych, czarnych oczu. Sądząc z głosu, kiedy się odezwał, jeszcze się nie wyzbył podejrzliwości – ostatecznie raz już skurwysyny zwiodły ich atrapą Magaloxanthy.

– Jonas Hebrejczyk? – zapytał.

Jonas tylko skinął głową.

– Jak się tutaj znalazłeś? Jesteś szybszy niż Wozy Bojowe – to już było wyłącznie obojętne stwierdzenie. – Czekają na ciebie. Chodźmy.

Obrócił się na pięcie i ruszył przed siebie, lekko powłócząc jedną nogą. Jonas poszedł za nim bez słowa. Jeden za drugim wstępowali po wewnętrznej pochyłości krateru. W kilku miejscach nacieki szkliva, pokrywające skarpcę, wydawały się na tyle przejrzyste, żeby sprawiać wrażenie szyb osłaniających ciemne przestrzenie. Przynajmniej pod ziemią panował spokój. Zresztą Jonas nie dopatrywał – się ożywienia w podziemnym państwie skurwysynów. Z nadzieją szukał znajomych twarzy w tłumie oczekującym ich poza krawędzią krateru.

Z każdym krokiem mocniejsze porywy wiatru ciskały mu w twarz nowe porcje piachu. U góry rozpoznał tylko starego Makonde. Ostatni wielki laibon nie bardzo potrafił ruszać się o własnych siłach. Do reszty się osunął od ich pierwszego spotkania. Nogi mu pewnie odmówiły posłuszeństwa i dwóch koczowników aż tutaj przydzwigało go od najbliższego Wozu Bojowego. Teraz podtrzymywali pod ramiona starego nomada.

Jonas zatrzymał się przed nim.

Wiatr rozwiewał rzadkie, długie włosy Makonde. Ledwie by tego starczyło na kosmyk skalpowy. W pobrużdżonej twarzy też przybyło kilka lat.

– Co masz mi do powiedzenia – odezwał się Makonde.

Nie pytał, jak się tu Jonas znalazł, co się z nim działo i jaką drogą wyrwał się z pułapki Świątyni TABOR. Dla niego nie istniały rzeczy niemożliwe ani nadprzyrodzone. Jeśli świeci słońce – jest dzień, zapada noc – nie wytykaj nosa spod pancerza Wozu Bojowego, natkniesz się na jajogłowego skurwysyna – zabij bez wahania; wreszcie staję przed tobą człowiek spisany z rejestru żywych – choćby był Megaloxantha – nie pytaj, jaka go Opatrzność wyzwoliła z piekła. Ważne, że się sprawdził. Poza tym nie zdarzyło się nic takiego, co anuluje wcześniejsze układy, tylko dla nich przecież przyszedł tutaj, po drodze tracąc najlepszych ludzi – w imię przyszłości swojego plemienia. Stary nomad wymyślił sobie, że – na własną rękę – jego ludzie zdołają tylko przetrwać; przydałby się ktoś, kto z natury ciągnie w przestrzeń przestronniejszą od równiny nakrywającej grobowiec Epoki UJM.

Jonas nie potrafił opędzić się przed myślą, która bez reszty zaprząnęła mu głowę; tamten Głos w Świątyni TABOR wspominał o skurwysynach, genomutach i Megaloxanthach, przed Ołtarzem Wyroczni posadził też chimery – zdawałoby się – Kosmicznego Imperium; nawet z poległych mnożył swoje ręce – tylko o koczownikach nie wspominał. Jakby dla nich brakowało miejsca w głównym nurcie Ewolucji.

Przecież istnieją. Walczą. Ginę – i rodzą się jeszcze.

Milczał.

Stary pułkownik omal go na wylot przewiercił akupunkturą jedyne oko. Rysy twarzy – jednocześnie suchej i obrzmiałej – nagle mu się wyostrzyły.

Niespodziewanie szarpnął się i odepchnął nomada podtrzymującego go pod jedno ramię. Szybko sięgnął do własnej twarzy i długi paluch wbił w ślepe oko – suchym badylem podważył czarne ziarno wetknięte w pusty oczodół. Zaciśnął to w garści, zamachnął się i cisnął Jonasowi pod nogi płaski, czarny kamień.

– Masz! – sapnął głosem pełnym nienawiści.. – Niech ci pomoże przejrzeć! A nie – zanieś swoim grabarzom! Niech z nimi szuka wyjścia ze szklanej trumny. W drogę!

Ostatnie wezwanie, poparte tnącym powietrze okrzykiem, skierował do swoich ludzi.

Nie dało się dostrzec śladu konsternacji, zbędnego zamieszania. W jednej chwili zapomnieli, po co tu przyszli. Tylko się zakręcili w miejscu. Czterech pochwyciło na rękę starego Makonde i biegiem poniosło do najbliższego Wozu. Przez moment Jonasowi wydawało się, że dostrzega czarne plecy postaci wysokiej i smukłej jak Moran; już z połowy drogi zawracali ci, którzy nie zdążyli na spotkanie z Megaloxantha. Chmura lotnego pyłu nakryła ich, kiedy biegiem wracali do swoich

Wozów Bojowych. Kolejno pancerne podbrzusza Wozów wciągały lustrzane słupy śluz.

Minęło może kilkadziesiąt sekund i Jonas został sam. Zagrały pierwsze motory, po czym ogromne masywy Tarcz, zbliżonych do krawędzi krateru, kolejno odchyłały się wstecz. Wozy Bojowe rozpoczęły spieszne wycofywanie się spomiędzy menhirów. Jeszcze reflektory kilka razy omiotły przestrzeń poziomymi słupami światła, z mroku wyłowiły zawirowania piachu rozszarpywane przez wiatr. Mimo goniących w górze chmur, wracająca ciemność tym razem kryła w sobie zapowiedź świtu.

Jonas poszukał wzrokiem tego rozjaśnienia i wtedy dopiero dostrzegł ostatni Wóz Bojowy. Jeden nie ruszył się z miejsca. Stał nieco z boku, mroczny, jakby w nim zgasły nawet motory. Tkwił między dwoma dalekimi menhirami, nieco powyżej pancerne kopuły Wozu ciężkie chmury wlewały się między maw–szynrangi. Jonas pomyślał – jednak u stóp fallicznych menhirów znalazło się miejsce dla dolmenów brzemiennych masą Wozów Bojowych, owych maw–kynthei, dających życie przynajmniej tym, którzy zawierzyli sobie wnętrzom domów na gąsienicach.

Wydało mu się, że coś drgnęło między szeroko rozkraczonymi gąsienicami Wozu.

Postąpił w tę stronę.

Jeszcze przyspieszył kroku. Biegł prawie, kiedy rozpoznał tam dwie postacie, mozolnie brnące przez piaszczyste łachy wydmy nawiewanej pod wielopiętrowym bieżnikiem gąsienicy. Mniejsza figurka podtrzymywała tę większą, wyraźnie utykającą i całym ciężarem wspartą na swoim towarzyszu. Mniejszy przywitał Jonasa bladym uśmiechem, kiedy dzieliło ich kilkanaście kroków.

– Janko – szepnął Megaloxantha.

Bio–Łącze skinęło głową w kierunku drugiego mężczyzny.

Człowiek ten, o sinej twarzy i obandażowanej głowie, ubrany był w skafander o barwie trudnej do określenia, do tego rozpruty na ramionach i udach. Brzuch mężczyzny przepasała, ciasno nawinięta, biała taśma izolacyjna. Jonas jeszcze nie dowierzał oczom, kiedy postąpił krok i objął go za ramiona. Ten pozwolił się uściskać bez żadnego gestu ze swojej strony. Tylko odetchnął ciężko, kiedy go Jonas zwolnił ze swego uścisku.

– Udało ci się – powiedział Jonas.

Mażulis pokręcił głową.

– Nie ja – wychrypiał niezwykle zmienionym głosem, jakby mówienie sprawiało mu ogromną trudność. – Wyciągnął mnie i Morana...

– Ty, Janko? – zdziwił się Jonas.

– Ion – powiedział Mażulis.

– Prawda. A ten gdzie się podziewa? – zapytał Jonas i poczuł ulgę w piersi;

obejrzał się na ciemną sylwetkę Wozu Bojowego. – Ciągłe ujeżdża Żelaznego Skoczka?

Mażulis zacisnął podpuchnięte usta i opuścił głowę.

– Stało się coś? – ponaglił Jonas.

– On wrócił.

– Dokąd?

– Przyniósł mnie i Morana, potem wrócił do Enklawy TABOR.

– Po co?! – prawie krzyknął Jonas.

– Dziwisz się? – Mażulis spokojnie zajął mu w oczy. – Poszedł po ciebie i Feretriusa.

Jonas bezradnie patrzył w ciemność szarzejącą powoli. Wiatr rozhulał się na całego. Jednostajny świst nakrył oddalające się dudnienie ostatniego konwoju.

– Dlaczego nie czekaliście? – zapytał.

Wiedział doskonale, że – jeśli wrócili – nic innego im nie pozostało do zrobienia. Twarz Mażulisa przebiegł krótki skurcz. Komandos pochylił się nieco, jakby go bolało w zabandażowanym boku.

– Gdybyś wiedział, co tam się działo – powiedział Janko.

– Nie można było pomóc?

– Trzeba było zobaczyć, na co stać nomadów. Stary Makunde prawie oszalał. On potrafi odplacić... Wiesz, jak to teraz wygląda? Dymiący kurhan. Nic więcej nikt nie mógł zdziałać. Nawet ty...

– Być może – ponuro powiedział Jonas.

Poczuł nawrót zmęczenia i zupełnej rezygnacji. Jakby się w nim zagnieździło, na zawsze, nieco więcej ludzkiej słabości, niż to przystoi komandosowi Seleny.

Chciał być sam. Ostatecznie gotów był pójść do Wozu Bojowego i dać się zawieźć – dokąd zechcą. Nagle przypomniał sobie starego Makonde, który wbił w ziemię nóż – krzyżem rękojeści sterczący nad pustynią. Nie zwracał uwagi na Janko i Mażulisa, patrzących na niego dziwnym wzrokiem. Przyklęknął i zaczął rękami nagarniać piasek, aż powstał niewysoki kopczyk. Wiatr wierzchołka odsiewał lotny popiół.

Bezradnie rozejrzał się dokoła.

Teraz dopiero zrozumiał, że w tym świecie nigdy nie miał przy sobie nic takiego, z czym trudno byłoby mu się rozstać, co warte byłoby pamięci takich ludzi, jak Ion, Feretrius i czterech bezimiennych weteranów Endogenicznej; przynajmniej pamięci, jeśli oddali tobie resztę.

Usłyszał, jak Mażulis ochryłym głosem powiedział coś do Janko. Z nadzieją uniósł – głowę. Zobaczył obandażowaną rękę komandosa wyciągniętą w stronę Bio-Łącza. Janko posłusznie rozpiął skafander i wsunął rękę na pierś, tuż przy sercu.

Mażulis przekazał Jonasowi oprawny w skórę tom. Janko rozstał się z nim tylko przed kołyską Sternika, w nawigatorni Wozu Bojowego.

Jonas zawahał się. Patrzyli na niego tak samo spokojni.

Wiatr załopotał pozółkłymi stronicami, kiedy rozłożył tę książkę na wierzchu piaszczystego wzgórzka i docisnął kamieniem. Chciał wstać i odejść natychmiast, jak wtedy Makonde. Klęczał dalej. Oczy same ciążyły do skrawka kartki przysypanej czarnym ziarnem, niewiele odmiennym od piasku. Przeczytał w duchu:

*„Drzewa moje ojczyste, jeśli Niebo zdarzy,  
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy,  
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?  
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię;  
Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie  
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domu,  
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?”  
Dalej tę modlitwę przygniótł ciężki kamień.*

Ktoś obok przyklęknął – Janko sobie wiadomy znak wykonał przy piersi, potem wstał szybko i odwrócił się.

Tylko Megaloxantha klęczał dalej. Twarz uniósł w kierunku wschodu słońca. Tam, pod nawisem chmur rozciągniętych w szaleńczej gonitwie, jakby się przejaśniało niebo. Między masywami dwóch menhirów zbiegały się szerokie koleiny pozostawione przez Wozy Bojowe. Odtąd kreśliły jedną, prostą drogę – niby głęboki rozłam pustyni, ciągnący się aż po horyzont. Wciąż klęczał, a w piersi – sam nie wiedział skąd – wzbierała w nim jego własna modlitwa, aż przełamała odporne usta.

– Boże! – jęknął Janko, twarzą zwrócony w przeciwną stronę.

– Kto to jest?! – wychrypiał Mażulis.

– Nie poznajesz?

Z nocnej ciemności wyłonił się zupełnie nagi, chudy człowiek. Szedł zapadając się w lotnych piaskach. Wiatr targał mu włosy, biczował odkryte ciało, sypał popiołem w szeroko rozwarte oczy. Ani na moment nie zawahał się w wyborze kierunku. Drogę przed nim rozświetlała żółta jasność, bijąca ze środka piersi, gdzie na wylot przeniknął go złoty nit. Przeszedł obok, nie zaszczycając ich nawet spojrzeniem.

– Był Sternikiem I Modułu – powiedział Janko i powstrzymał Mażulisa, który chciał tamtemu zagrozić drogę.

Jeden Megaloxantha na nic nie zwracał uwagi. Szeptał swoje: – ... WIARA NAJCZYSTSZA; ZANIM, NA KSZTAŁT ENERGII I PAMIĘCI MOJEJ,

ZRODZONEJ Z FOTOSYNTETY SŁONECZNEGO ŚWIATŁA, W TKANCE  
BOLESNEJ UGRZĘZŁA... I ZGASŁA...

Kłęczał. Usta same formowały słowa. Ledwie je słyszał, kiedy wiatr nalatywał i młócił kamykami w metaliczne czoło. Tak trwał na rozstajach i pustymi oczami śledził głęboki rozłam pustyni – nie jego drogę i nie tych, z którymi został.

## 27. PROLEGOMENA

Jonas Hebrejczyk zapadł w głęboki fotel. Niespodziewanie dobrze czuł się w pustym pokoju Stinsona, jakże innym od mieszkania Bio-Łącza, gdzie niepokoiły książki spiętrzone pod sufit, rekwizyty innego świata, z czarną madonną zawieszoną nad łóżkiem, niby widmo napiętnowane białą – czerwoną blizną. W pokoju Stinsona nic nie drażniło podświadomości. Puste ściany, dwa fotele, tapczan oraz interkom. Jonas pomyślał, po raz pierwszy, że zamknięta przestrzeń może sprzyjać wewnętrznemu spokojowi. Ściany wygłuszają dźwięki z sąsiedztwa, blokują wzrok, pozwalają oczom zawisnąć spojrzeniem w przestrzeni pozbawionej znaków, symboli, aluzji. Jedyna okazja, żeby myśli popłynęły swobodnie i leniwie, nie alarmując ciągle, nie nadeptując na odciski, nie mobilizując natrętnie: CZAS! CZAS! CZAS! NA CO CZEKASZ?! CZAS MIJA! OSTATNIE, DROGOCENNE CHWILE! KROPLA ZA KROPLĄ WYCIEKA ŻYCIE SPOD SZKLANEGO KLOSZA. KAP! KAP! A TY SIEDZISZ! ZRÓB COŚ! NA CO CZEKASZ?!

Janko poszedł szukać Przyślepa, może CETI zdoła nawiązać kontakt z Kliniką Seleny. Mażulisa łatają w Klinice Stinsona.

Puste ściany są jak powieki opuszczone na oczy, język, ręce i nogi. Pomyślał, że bez ścian, pod których osłonę można się schronić jak w muszelkę, nie mógłby się już obejść, nawet w Królestwie Seleny pozbawionym granic, otwartym w stronę prawdziwej przestrzeni, gdzie Postać Szerna jawi się przed każdym Megaloxanthą, jak każda myśl, każde pragnienie, którego lotność nie wiąże się z powietrzem.

Prawdziwa przestrzeń, w duchu powtórzył Megaloxantha. Nie tylko ta poza pancerną kopułą Enklawy THARSYS, lecz otwierająca również nieskończoność czasu. Dająca szansę tym, którzy nie zlekli się wychylić ze swojej muszli.

Ile jeszcze czasu dane jest tym, którzy dotąd przetrwali tuż pod Modułem CETI, obwarowani Fortami Greisena? Tarcza Sztabu zatrzasnęła się nad doborowymi jednostkami generała Juanito i ostatecznie zerwała łączność ze żrenicą Enklawy, bez nadziei wytrzeszczoną w przestrzeń, której nikomu stąd nie będzie dane sięgnąć.

Ilu ich tutaj zostało? Moduł CETI, Klinika, Plac Zwycięstwa i Ortodroma Wolności – górny odcinek. Niżej niedobitki Endogenicznej, jakimi wycofujący się obsadzili Forty.

Niedobitki Endogenicznej – jakby istniała różnica między tymi, co walczą i o których bije się Armia. Tylko umarły nie udźwignie broni. Umarłych więc nie obejmuje dyscyplina.

Dlatego Stinson przywitał ich w mundurze. W szaroniebieskim, spłowiłym ze starości, niemniej zapiętym na ostatni guzik. Pewnie go pieczołowicie przechowywał



z czasów młodości. Gdzie w tych pustych ścianach znalazł miejsce na pielęgnowanie swojej genealogii? Dziwacznie wyglądał w tym staroświeckim ubraniu. Stracił resztki fasonu, jaki trzymał nawet w szpitalnym uniformie. Teraz przypominał emerytowanego urzędnika, którego zmobilizowano sięgając do najgłębszych rezerw. Świadomość tego wyzierała również z jego oczu, kiedy przywitał ich na progu Kliniki, zmieszany, jakby zobaczył zjawy nie z tego świata. Przynajmniej w duchu musiał ich na zawsze rozgrzeszyć ze wzajemnych związków. Nie dopuszczał myśli, że kiedykolwiek staną przed nim.

Witał więc ich zafrasowanym uśmiechem, a kiedy go zmierz yli od stóp do głowy – tylko rozłożył ręce i powiedział: „Powszechna mobilizacja”.

Powszechna mobilizacja, pomyślał Jonas. Armia dostała ostatniej zadyszki, jeśli w zaciąg poszli laboranci i sanitariusze Kliniki. Czemu nie? Pewnie, na rozum generałów, ekwiwalentu – do nogi wybitych – Rzeźników Empiru, szukać trzeba na chirurgii.

Teraz pospolite ruszenie, w nieco mniej podniszczonych i lepiej skrojonych mundurach, snuło się bez specjalnego pośpiechu, jakby i dla nich białe ściany Kliniki stanowiły wygłuszający filtr tamtej gorączki, której echa – między tymi ścianami – dogorywają w łózkach, na salach operacyjnych, w inkubatorach zablokowanych pancernymi szybami. Jeden Stinson krzątał się z większym ożywieniem. Wydawał dyspozycje. Sprawiał wrażenie zaaferowanego, przejętego meldunkami z poszczególnych sal, składanymi przez umundurowanych kapłanów medycyny i farmacji. Chwilami, wpadając do pokoju, gdzie w fotelu czekał Megaloxantha, od progu, odruchowo przybierał postawę zasadniczą. Zmieszany, kiedy się spostrzegł, uciekał wzrokiem. Cały czas unikał oczu Megaloxanthy. Informował, że właśnie skończyli łątać Mażulisa i zaaplikowali mu szprycę, po której organizm zregeneruje ubytki szybciej niż Zmrocznik Pochwiasty albo Przeziernik Złotokap; powoływał się na bardzo pilne kolejne obowiązki i zręcznie unikał ostatecznej rozmowy z Jonasem Hebrejczykiem.

Raz jeden odezwał się interkom. Jonas nie spieszył się z podnoszeniem słuchawki. Wreszcie zjawił się Stinson i aż odsapnął na progu, kiedy stwierdził, że Megaloxantha nawet nie sięgnął w stronę komory holowizjera. Stinson całym sobą zasłonił sferę obrazu. Jonas postarał się wyłączyć z otoczenia, kiedy państwo Stinsonowie czynili sobie intymne wyznania. Wydało mu się, że – poza ich szeptem – jakiś jeszcze głos pojawił się w powietrzu. Albo w nim samym. Pomyślał, że tak pewnie czuje się Janko, kiedy próbuje się skupić, zamknąć w sobie i – być może – usłyszeć głos innego Bio-Łącząca, z Enklaw, które przetrwały. Jeżeli przetrwały. Prawdziwą samotność odczuwa się tylko wobec gwiazd. Tam, jak Przyślep, można się nauczyć cierpliwości. Powiedział im, że zawsze czekał, więc i na nich poczeka. Czy,

poza CETI, istnieje w tym świecie jedno bodaj miejsce, gdzie ktoś oczekuje czegoś poza Ostatnią Bitwą? Jedynie głos pani Stinson czasami odzywa – się z zaświatów. Stinson odpowiada szeptem. Jemu też się wydaje, że ktoś jest jeszcze w tym aseptycznym, prawie pustym pokoju – przynajmniej głosem, jeśli nie duchem – ktoś niewidzialny, może jednym okiem zaglądający przez sufit albo przykładający ucho do ściany. Ktoś jeszcze – pełen energii, dla kogo przenikliwość materii nie ustanowiła granic – może inny Megaloxantha, jakim był on sam, zanim się zawiął w pancierz.

Absurd – pomyślał. Nie tutaj. Gdzieś jeszcze może się komuś udało ocalić z meteorytowego deszczu i trafił pod kołpak innej Enklawy. Po co to wszystko? Już w zarodku idea desantu nosiła znamiona indywidualnych ucieczek na pokład ostatnich szalup, poza którymi szerzy się odmet. Gdziekolwiek bowiem w tym świecie uda się Megaloxantha, w najlepszej wierze, z najszczerzych chęci – choćby go okręt prawdopodobieństwa przez wzburzone fale poniósł do zbawiennego THARSYS – i tak utknie w trzewiach Lewiatana; wczoraj, dzisiaj i na zawsze. Przyszłość modyfikuje stare mity. Nawet wtedy gdy wydaje się jej, że głosi własne słowo:

„W tym laboratorium nie sprawia trudności dowolne łączenie ze sobą odcinków DNA. Można tasować poszczególne warianty, przykrawać, mieszać, podciągać do lokalnych celów. I tak trwa nieustanna manipulacja, pozwalająca lepić zapisy genetyczne drobnoustrojów, zwierząt i ludzi. A jeśli produkty owej manipulacji przełamują zespół zabezpieczeń ukształtowany w procesie Ewolucji, jeżeli populację człowieka piętnują nową kreacją Zmroczników, Wpleszczy, Rojników Arrheniusa, oplątują Sieciami Stinsona, żeby – obok narastającej wirulencji wirusów – zastawiać socjologiczne pułapki Sprzężenia Zwrotnego i totalitarnego Państwa, właściwe będzie pytanie: nie – jak przeciwdziałać, ale – DLACZEGO tak się dzieje. Najpierw więc dokonajmy rachunku sumienia, zanim wypowiemy wojnę...”

Prosta nauka. Dlaczego jej logika stała się wyłącznie udziałem rasy Megaloxanthi? Czyżby z perspektywy Kosmosu inaczej i, przede wszystkim, trzeźwiej patrzyło się na pole Ostatniej Bitwy. Może trzeźwość właśnie nie jest tu pożądana? Jakim prawem ewolucyjny odłam gatunku homo sapiens, przyhołubiony przez Krainę Szernów uważa, że jemu udało się dostąpić słuszności osądu, którego mottem jest prorocstwo Sądu Ostatecznego?

Megaloxantha w Enklawie THARSYS jest tylko daniną Kliniki Księżyca, złożoną na ołtarzu Praźródła, skąd niedługo wzbije się w atmosferę obłok próchna potężniejszy, niż eksplozja w Uroczni Megalitu – ostatnia hekatomba.

Kimkolwiek dzisiaj jesteś – żal, że nie możesz pomóc. Również sobie. Ani zwyciężać z nimi. Ani po prostu walczyć ramię w ramię, bodaj chlubnie zginąć. Brak nawet tej odwagi, żeby się zdecydować na zdradę i wybrać drogę nomadów, mamiącą jakąś perspektywą. Pod atmosferycznym ciśnieniem całe ciało przeniknął bezwład

utraconych skrzydeł. Pancierz pozwala, co najwyżej, okopać się w ziemi i przysnąć, przetrwać do takiego czasu, kiedy przejaśni się niebo i nowa odwaga pozwoli wychylić się z ziarna. W tym świecie Megaloxanthę obezwładnia brak wsparcia – dotyku skał i gleby przyprószonej księżycowym pyłem. Ile witalnej siły kryje w sobie, nawet martwa od stworzenia swata, ojczysta ziemia. Tam na megalitycznym murze otaczającym księżycowy Krater – ostatnią Twierdzę Pamięci – o blanki wsparł się skrzydłami Szern gotowy walczyć do upadłego. Lecz kosmiczna przestrzeń powiła nowe dziecko, objawił się Homo Skafos i zmysły obrońcy prehistorii Księżyca osłonił przed słonecznym wiatrem – przeciął dopływ energii i tak ostatniego ze sprawiedliwych preistoczył w kamień.

Taka jest legenda Królestwa Seleny.

Oparcia zwykle szukamy w przeszłości. W ułudzie. Rzadko w niej tkwi racjonalne ziarno; jak legenda Iona Szałamaji o cywilizacji tej Ziemi, potężniejszej stokrotnie od tych, którym przyszło stawić czoła zmierzchowi własnej rasy.

Nawet Megaloxantha nie powinien zakłócać ciszy w Domu Umarłych. Po co zjawił się tutaj; żeby spłacić dług, jaki łabędź zaciągnął u archeopteryksa, pegaz u eohippusa, człowiek u neandertalczyka? Jedni odchodzą – czas na zmianę warty.

A jednak coś się zmieniło. Megaloxantha żyje w przestrzeni, dla której Mechaneurystyczna Klinika Księżyca jest tylko odskocznią, a legenda Szerna – sztandarem. Podobnie Enklawa THARSYS to ostatni stopień schodów sprowadzających gatunek homo sapiens w katakumby historii, a proporzec Nauki – to ostatnia nadzieja Stinsona. Megaloxantha, oglądający się na narody dogorywające w mlecznym puchu ziemskiej kołyski, czyni to tylko przez wzgląd na dziwny sentyment, trudny do określenia żal za tym, co przebrzmiało bezpowrotnie, resztę żaru zabrało do Twierdzy Pamięci. Tym niemniej nawet liście porwane przez wiatr mają swą genealogię w jakimś korzeniu. Wszyscy jesteśmy materią wprawioną w krwiobieg Drzewa Kosmosu. Czy liść potrafi zbawić korzenie rozpaczliwie skręcające się w skażonej glebie? Umierającemu trzeba wrócić bodaj Wiarę, jeśli zawiodła go Nauka. Wiarę w to, że pole Ostatniej Bitwy zakwitnie przepychem rajskiego ogrodu?

Głos, którym Cień Feretriusa przemówił do niego w Świątyni TABOR, nawoływał do zjednoczenia rozwarstwionych strumyków ewolucji. Zamarzyła mu się ogromna rzeka, zdolna sobą zachłysnąć cały kosmos.

Dlaczego wydało mu się, że w tym pragnieniu tkwi błąd, coś uchybiającego strukturze Wszechświata już zastanej przez rozum? Przecież zawsze, od źródła – czymkolwiek było Logos, ożywiona materia została spleciona w jeden węzeł, określony tym samym wektorem ewolucji. Jak długo wspólny? Aż go człowiek przeciął mieczem technokracji?

Dziwny lęk przemknął Megaloxanthę. Bez reszty paraliżował ciało, jakby pancierz

wypełniał się skamieliną. Ten sam lęk – niby odbicie w krzywym zwierciadle – w oczach Stinsona. Granatowa czapka z daszkiem przesunęła mu się na jedno ucho, ręką rwał srebrne guziki na piersi. Nawet oczy próbowały czegoś chwycić się wzrokiem – równocześnie naparły na Megaloxanthę falą cierpienia i takiej gwałtowności, jakby chciał go wypchnąć, pozbyć się z pokoju. Za nim ślepe oko holowizjera.

Sam skręcił się w powietrzu i runął głową do przodu. Ledwie go Jonas zdążył chwycić pod pachy.

– Co z tobą?!

## 28. INTYMNOŚĆ

Skulony w fotelu Stinson pojękiwał cicho. Na posiwiałych skroniach pojawiły mu się kropelki potu. Jonas pochylił się nad nim. Z podkrążonych oczu wyzierał paniczny strach i piana wystąpiła na sine wargi. Jonas chciał pomóc – szarpnął za klapy munduru, aż strzeliły srebrne guziki. Stinson zaciskał w dłoni płaskie, przezroczyste pudełko. Jonas wyciągnął rękę, sięgnął – palce zawisły w powietrzu.

Przed chwilą nieprzytomne oczy odzyskały upiorny blask. Taki wzrok umierający człowiek wznosi do nieba. Lecz Stinson wpatrywał się w Megaloxanthę. Uczynił to z taką siłą, z okrucieństwem niemal, aż Jonas odstepił od niego.

Stinson ustami dalej łapczywie chwycił powietrze. Jonas ruszył do drzwi, żeby wezwać sanitariuszy. Na progu powstrzymał go chrapliwy jęk.

– Stój! – rozkazał Stinson.

Widać było, jak się zмага, wewnętrznie próbuje wyrównać spazmatyczny oddech. Tylko oczami wskazał słuchawkę interkomu zwisająca pod ciemnią holowizyjnych ekranów.

Jonas wrócił. Wziął tę słuchawkę do ręki. Chwilę nie potrafił się zdecydować czy ją przyłożyć do ucha. Wyraz oczu Stinsona nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Jonas spełnił tę niemą prośbę, jakby to miało szczególne znaczenie, skoro nikt się tam nie odzywał, po drugiej stronie. Odłożył słuchawkę.

– Mamy nowego klienta – wystękał Stinson. – Myślałem, że rozmawiałeś...

– Potem połączyli z Kliniką.

– Coś nowego? – zaniepokoił się Jonas. – Mażulis?

Stinson milczał.

– Ktoś, kogo znam?

– Kobieta – odetchnął Stinson.

Powieki opadły mu na oczy.

Kim mogła być kobieta, której obecność w Klinice tak bardzo wstrząsnęła człowiekiem pokroju Stinsona? Ostatnio wyglądał coraz gorzej. Jakby się zmówili ze starym Makonde. Tylko co to tłumaczy? – zastanowił się Jonas.

– Coś poważnego? – zadał niezbyt mądre pytanie.

– Czarna Wdowa.

Jonas się starał się nadwyręzać wyobraźni. Nigdy również nie widział Sztabowego Wpleszcza. Jednak cztery ściany wydały mu się jakoś mniej przytulne. Miał uczucie, że sam się wpakował w klatkę, do której każdy może zajrzeć z zewnątrz, szturchnąć go jakimś prętem, napluć w oczy, kiedy jego własny wzrok natyka się wszędzie na ślepy mur. Tymczasem wszystkich, jak ich tu zebrano we

wspólnym zwierzyńcu, na wylot przenika dziwny wiatr, każdy ułamek ciała świdrujący z osobna.

Niespodziewana łaskotliwość tego promieniowania wprawiła go w stan na pograniczu lęku i rozbawienia. Nie potrafił tego pokonać w sobie. Zbyt nie starał. Poczł absurdalną satysfakcję. Chciał tryumfalnie obwieścić temu, z Bożej Łaski – profesorowi Tellurycznego Uniwersytetu, szarlatanowi Kliniki, skostniałemu nie mniej od całego Systemu, w jaki uwikłali się jemu podobni, że oto spełnia się jego, Jonasa Hebrejczyka prorocstwo. Chwycić to wiotkie ciało – za gardło i w górę! Plunąć mu w twarz: ZA PÓŹNO! Na co wam nowe szańce! Po diabła ekspedycje karne i przedłużanie batalii, z nadzieją na odsiecz Juanito. Nawet tej szansy zabrakło, gdybyś się zdecydował wcześniej – żeby się odsłonić i liczyć przynajmniej na litość! W tym piekielnym pandemonium dopełnia się zaczn powszechnej agonii. Chciał mu to wytknąć wreszcie, kiedy dziwne rozedrganie poczuł we własnych wnętrznościach. Nagle pojął, że – śmieje się. Całą pierś zaniósł się satanicznym chichotem, wbrew woli, mimo wrodzonej melancholii błękitnego Megaloxanthy, jakim był kiedyś. Tu się nauczył zamykać we własnej skorupie. Teraz jej rezonans wprawia go w obłęd. Chichotał i nie potrafił powstrzymać tej łaskotliwej fali, rwącej biomechaniczne sprężyny, którymi różnił się od człowieka. W tym śmiechu i na tym śmietniku odnajdywał utraconą wspólnotę, jakby mechaneurystyce wysmyknęła się spod kontroli relikwia małej złośliwości, zakodowana w resztkę organicznej materii.

Stinson oprzytomniał zupełnie.

Tym razem on zwrócił oczy do drzwi, jakby samym wzrokiem można było wezwać sanitariuszy z kaftanem bezpieczeństwa.

– Zgadłeś! – zawołał Jonas. – Ota–ak! Cha–a–cha! Trafieś w dziesiątkę! Pewien kabalista, zapalony spirytysta i wróżbita, czciciel minionych kultur, przepowiedział mi, że kiedyś... Doskonała wróżba! Powiedział: strzeż się... zwariujesz przed samą śmiercią!

– Już? – poważnie zapytał Stinson.

– Co już?

– Wybierasz się na tamten świat?

– O–och! Świetnie, Stinson! Rozumiesz? Po raz pierwszy czuję, jakie to jest potwornie ucieszne. Wszystko! Im więcej trupów, kiedy samo powietrze wionie śmiercią – cóż ci zostaje, Stinson?! Śmieję się! Mówię...

– Innych chcesz zbawić, a sam nie potrafisz wziąć się w garść? – zapytał Stinson.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Mażulis. Bez bandaży, za to z miną bardziej jeszcze grobową. Ubrany był w świeży, srebrzysty skafander Endogenicznej. Poza tym uzbroił się po zęby – na ramieniu zawieszona olbrzymia fuzja, standardowy emiter w kaburze, przy pasie dwie wiązki BUCCHERO, w których lubował się

Kolczinski.

Komandos niezdecydowanie rozejrzał się między chichoczącym Jonaszem i Stinsonem półleżącym w fotelu.

– Przepraszam – powiedział.

– Wchodź! – zaprosił go Jonas. – Coś się tak wystroił! Pośmiejmy się razem, jeżeli nie masz w co ciskać swoich bomb.

Stinson z nieoczekiwaną energią uniósł się z fotela.

– Pozwólcie, że oddalę się do moich pacjentów – powiedział. – Jonas wiesz, gdzie mnie znaleźć. Oczywiście kiedy ci przejdzie wesołość.

Zerwał się jednak zbyt energicznie.

Brzęk na podłodze, jakby na dwoje pękła szklana muszelka. Szeroko rozsypały się różowe kulki – tańczyły, podskakiwały, zalotnie migotały tęczkami.

Stinson zachwiał się. Pochylony chciał zgarnąć to, co wymknęłoby się nawet dłoni Żelaznego Skoczka. Niepodobna było osłonić tego przed bezlitosnym spojrzeniem dwóch par oczu – Megaloxanthy, który z lubością rozdrapywał wszelką intymność oraz ponurego komandosa, dla którego był to chleb powszedni na Pierwszej Linii – wszystko to w ułamku sekundy znalazło odbicie w twarzy Stinsona.

Stał złamany we dwoje – niezgrabny iluzjonista, któremu z rękawa posypały się rekwizyty. Tymczasem perełki toczyły się dalej i garnęły do jego stóp, wirowały w zasięgu butów – niechętnie dalszym wędrownikom; tylko nakryć i docisnąć obcasem. Mocno, aż z koloidowej otoczki tryśnie słodka treść. Dwie kropelki mukoidalności. Każda zawiera więcej, niż żabi skrzek czy rybia ikra – więcej dla samotnego człowieka. Ostatnie bojowe hasło grabarzy brzmi jednoznacznie: TRUMNA DLA CIAŁA – DOPALACZ DLA DUCHA!

Stinson stał śmiertelnie blady. Nie ruszył ręką.

Jak popłacając kontakty z Bio-Łączem, pomyślał Jonas. Informatyczny System zarejestrował: „PATENT KOMPILACYJNY N 4358100 zawiera technologię programowania meskaliny i innych psychotropów za pomocą matrycy psychodram inspirujących indywidualny odbiór każdego scenariusza. Prawo wyłączności wglądu zarezerwowane dla Studia Nagrań KATHARSIS...”. Wystarczy. Jonas nachylił się i ramieniem zamiótł przed nosem Stinsona. Jest.

– Przyszedłem się pożegnać – niespodziewanie odezwał się Mażulis.

– To znaczy? – Jonas popatrzył na niego zupełnie zaskoczony.

– Odchodzę.

– Dokąd?!

– Muszę. Wiem, że mnie potrzebuje.

– Kto?

– Porucznik Kolczinski.

– Przebił się! Przecież mówiłem, że zawsze są szansę – ucieszył się Jonas. –  
Gdzie teraz jest?

Na twarzy Mażulisa malowała się tępa, chłopska zawziętość.

– Tam? – Jonas tknął palcem w dół.

– Nie wiem – odparł Mażulis.

– Zaczekaj. Jeżeli nie masz pojęcia, gdzie on jest, to skąd dowiedziałeś się, że on w ogóle żyje?

Olbrzym ponury wzrok wbił w podłogę, gdzie tylko co wskazał Jonas.

– Wiem! – powiedział twardo. – Rozumiesz? Nie. To nie ma znaczenia. On kogoś potrzebuje. Muszę tam iść.

Jeszcze raz spojrzął Jonasowi prosto w oczy. Ten niespodziewanie – może to było przelotne wrażenie – dostrzegł w posępnej twarzy prawdziwą rozpacz. Jednocześnie komandos jakby zebrał wzrokiem: ZATRZYMAJ!

Jonas roześmiał się.

– Zwariowaliście wszyscy – powiedział.

Mażulis gwałtownie obrócił się przez ramię i drzwi zatrzasnęły się za nim.

– Każdy kogoś potrzebuje – w zamyśleniu powiedział Jonas.

– Szczęśliwi wiedzą ponadto, że są potrzebni komuś.

Uniósł przed oczy kryształowe ziarenko. Twarde z wierzchu, opalizujące.

Wewnątrz wypełniała je różowość czerwieńiąca pod dotykiem palców. To znów – aż Jonas cofnął głowę – strzeliło zielonkawą tęczą. W szmaragdowym oku jakby się coś poruszyło – białawe, bezwłose, w ciemność odchodzące falistym kołysaniem bioder.

Jonas zmrużył oczy.

– Kim jest ta kobieta? – zapytał cicho.

Nie spodziewał się odpowiedzi.

– Myślę, że to ... – zawahał się. – Bardzo zdolna aktorka?

Mięśnie szczęk zadrgały na policzkach Stinsona, pod srebrzystoszarym zarostem.

Zgarbił się jeszcze bardziej.

– Chcesz... pójdziesz do niej? – zapytał Jonas.

Stinson trzęsącą się ręką otarł pot z czoła.

– Tak – westchnął.

– Po co? I tak nic nie zmienisz. Może Czarną Wdową została po byle skurwysynie albo dobitym przez Sprzężenie Zwrotne...

– Milcz! – Stinson spąsował na twarzy.

– Czemu nie? Oni też kochają kolorowe paciorki – Jonas podrzucił na dłoni szklaną kulkę. – To tylko jeszcze jeden dowód na wspólny rodowód...

Zacisnął ziarno w garści. Nagle bardziej przytomnym wzrokiem spojrzął na



Stinsona.

– Posłuchaj – powiedział. – Mażulis serio chce to zrobić?

– Tak sędzę – sucho stwierdził Stinson.

Odwrócił się, mniej energicznie niż przedtem i ruszył do drzwi podrygującym krokiem zminiaturyzowanego Żelaznego Skoczka. Ani razu nie nastąpił jednak rozsypanych pereł.

– Pójść z tobą? – zapytał Jonas.

Stinson zatrzymał się w progu. Chwilę tak stał z głową zapadniętą między ramionami, wreszcie obejrzał się na Megaloxanthę. Jonas podał mu czapkę ze sztywnym daszkiem, bez której zupełnie nie robił wrażenia żołnierza.

Stinson przepuścił go przodem.

## 29. URODA

Szli w szklanym tunelu. Poza nimi i światłem przewodził czyjeś jeszcze kroki – chociaż nikogo nie było widać, głębokie westchnienia, jakby muzyki, które pod okapem THARSYS trwają na pograniczu drżenia najczulszej materii.

Za wypukłą ścianą gwiezdna noc mocno trzymała się ziemi. Jeszcze noc? – zdumiał się Jonas. Sprawiało to wrażenie, że niebo przejaśniało się tylko w tę stronę, dokąd odeszła karawana nomadów.

Tutaj mroki ledwie rozpraszał Moduł CETI – ostatnia latarnia u szczytu THARSYS. W dole rozciągał się prawie księżycowy pejzaż. Jonas nasłuchiwał uważnie. Gdzieś stamtąd docierało dudnienie – znak zmartwychwstania z martwego kamienia, jakby kraterę przekraczał gigantyczny Szern, potomek prehistorycznego rodu, do połowy wskrzeszony, resztą jeszcze kamienny. Nadchodził powoli. Coraz bliżej. A jego krok zjednoczył się ze szczątkowym rezonansem Kopuły i już nic nie było słychać, chociaż Jonas był pewien, że coś – czy ktoś – zbliżało się do THARSYS, może już przystąpiło do szklanego muru.

Przez pęcherz Enklawy prześwitywały nagromadzenia gładów, wapiennych odłamków przenizanych prętami zbrojenia. Czasami owalne okna, jak iluminatory zatopionych okrętów, wyglądały spod szlamu. Lecz nigdzie nie zabłysła rybia łuska, ostra płetwa nie pociągnęła za sobą ruchliwych pęcherzyków powietrza, morski diabeł nad męty nie wystawił fosforycznego mamidla. Tutaj brak było nawet kałuż, gdzie nomadowie łowią swoje białkowe glutiny. Każdy otwór jest pustą transzeją – wylazły z niej albo wyzdychały czerwce – jest zmarszczką planety na przedpolu kosmosu. Starcza twarz, żłobiona misternymi labiryntami – ich korytarze zapadają się w otchłań dawno wymarłą i przeklętą. Wraki domów, zlepionych we wspólny Industrialno-Urbanistyczny Masyw, szczerzą srebrne plomby dachów, szczęki obnażone z zaśnieżonych dźwiąg. Patyna – grynszpan – rdza. Poniżej tego przedpola Ostatniej Bitwy, jak pod osłoną atmosfery, która kiedyś chroniła życie przed zabójczym promieniowaniem słońca, poniżej warstwy wypalanej doszczętnie – zaczyna się świat katakumb wreszcie na miarę Ziemi. Tam beton nasiąka wilgocią i pleśnią, powietrze gęstnieje zaduchem, w którym tarzają się bezwłose szczury – pierwsi Rycerze Pandemii, waleczne zastępy, ciągle podejmujące nowe krucjaty, siłę czerpiące z rozkładających się trupów – w imię Ostatecznego Oczyszczenia. W Imię JEGO. A przy okazji – braciom genomutom przysparzamy rąk do odbudowy Świątyni TABOR.

Tak pewnie – mniej więcej – wygląda pod pokrywą Masywu, poza zasięgiem wzroku zawieszony w pół drogi między niebem i ziemią. Tam nawet Megaloxantha nie potrafi zawierzyć własnym zmysłom i nasłuchuje niepewnie – w rzeczy samej

słysząc zbliżające się kroki, dudnienie pięt na wybrzuszonych dachach i spazmatyczne łapanie oddechu.

Ktokolwiek tam jeszcze dyszy – nie zdąży do kesonowego pęcherza. Jeszcze trochę i zatrzaśnie się na amen.

Chyba, że – kimkolwiek jesteś – potrafisz przestrzeń odmierzać krokiem Żelaznego Skoczka. Jonas zadrżał, Ion! – pomyślał. Spraw, Seleno, żeby to był on! Z nadzieją szukał wzrokiem. Za tą szybą, która ich rozdziela. Poza kraterami, w rozłamach równiny, można było dostrzec plastry pięt Masywu – skamielinę odłożoną na dnie Kosmosu u schyłku Epoki IUM. Wraki wszelkich konstrukcji zostały tym wypalone skrzętnie, wysterylizowane z zatechłego mięsa – aż do białej kości. Tylko tutaj, pod kloszem, Endogeniczna czasem błysnie fajerwerkiem, ostatnim seks – fleszem, jeszcze Sprzężeniem Zwrotnym zniweluje teren pod nowe cmentarze – choćby tam przyszło grzebać duchy.

Tylko Stinson odzyskał dziarską minę – stary neurastenik.

– Tak, przyjacielu – uśmiechnął się krzywo. – Powiadasz, że nie znasz Maggi Luns? I podobno rasa Megaloxanthy ma pretensje do doskonałości! Tylko parszywym selenitom mogło to przyjść na myśl...

Mówił szybko, jakby spóźnioną elokwencją próbował nadrobić tamto wzruszenie, które mu podcięło nogi.

– Oczywiście, nie musisz się przejmować. Nie mam zamiaru nadeptywać ci na odciski. Każdy ma prawo do własnego szaleństwa. Tylko trzeba wyczuwać związki. Rozumiesz? Logika nigdy nie była naszą mocną stroną. To fakt. Przynajmniej, jeśli chodzi o ideologie. Zapominaliśmy często, że potęgą państwa winien być dobrobyt i szczęście obywateli, natomiast szczęście i dobrobyt obywateli nie ma wiele wspólnego z siłą państwa. Poza tym – ten stary, zmurszały świat, zaowocował próchnem kilku prawd. Zgodnie z tą, która przywiędła pod patronatem waszej Kliniki Księżyca, wszystko zostało stworzone do pary: woda i ogień, ziemia i powietrze, piekło i niebo, owce białe i czarne, mężczyzna i kobieta, choleryk i flegmatyk, partie i dysydenci, kurwy i dziewice, wegetarianie i padlinożercy... Trzeba siły charakteru, żeby się tej drugiej połowy doczekać. I nigdy nie ma gwarancji. W międzyczasie popadniesz w totalitaryzm albo masturbację... Ale zawsze istnieje nadzieja. Trzeba szukać...

– Właśnie szukam pointy – przyznał Jonas.

– A jak myślisz: Ellen i ja to taki idealny związek? – zapytał Stinson. – Wszystko się pruje na tym padole i sypie patrochy. Żeby przetrwać trzeba się czegoś ucześcić. Najwygodniej – ideologii. Tam zawsze zdążysz umyć ręce. Najwięcej samozaparcia trzeba wykazać stawiając na kobietę. Każdy mężczyzna hołubi to w sobie. Nie wszystkim starcza odwagi. Lecz – nie znać Maggi, to przyznać się do dziewictwa.

– Taka wzięta? – Jonasa rozbawiła werwa Stinsona.

– Zaczynała od melodramatów z erotycznym zacięciem. To były tylko holowizyjne kawałki. Ale już wtedy Maggi... to było... Wspaniałe ciało!

– Równie chętnie będziesz zachwalał głębię ducha?

– Czuj duch! Głębia ducha miewa więcej, nad tych kilkanaście centymetrów! – roześmiał się Stinson. – Głupiec z ciebie, Jonas! Cokolwiek powiesz – głupiec! Wasze urocze wampy, które Mechaneurystyczna przykrawa spod wyidealizowanej sztampy... Tfu! Zazdrosna Selena podtyka wam atrapy. Motylki! Nie sposób tego dotknąć, żeby skrzydełek nie otrzepać z lotności... Jadłeś kiedyś krwisty befsztyk? Ba! Poziom inteligencji i obyczajowości, wynikającej z zaawansowania społecznej ewolucji, tyle ma do zmysłowości kobiet, co... Ech! Taki żółtodziób chce zbawić rodzaj ludzki, kiedy nie nauczył się jedynej coś wartej filozofii – MIĘSO! MIĘSO! MIĘSO! Zabrakło krwi i diabli biorą homo sapiens!

Jonas pomyślał, że Ion – Wędrowiec wrócił do nich przynajmniej duchem. To już teraz można stwierdzić z całą pewnością. Może zresztą, przynajmniej pod tym względem, nigdy ich ze Stinsonem nie dzieliła specjalna różnica poglądów.

– Zawsze znajdzie się ktoś, gotów utoczyć własnej – powiedział raczej do siebie.

Pośrodku korytarza Stinson zaczepił młodą dziewczynę w szarym mundurze.

– Hej! Milutka, gdzie upchnęli tę Maggi Luns?

Błada, anemiczna twarzyczka o zielonkawych rzęsach, niby przywiedłe listki. Uniform bez reszty kryjący ewentualne wdzięki. Jednym ramieniem Stinson opasał jaw biodrach. Zdawała się go nawet nie dostrzegać: wielkimi oczami, jak zaczarowana patrzyła na Megaloxanthę. W jej oczach budziło się coś ponad przestachem i zdziwieniem.

– Maggi Luns! – swoje szczekał Stinson.

– Nie wiesz? Ano właśnie!

Jonas chciał się bodaj uśmiechnąć do tego bladego stworzenia, które – już–już – gotowe było zakwitnąć specjalnie dla niego. Pewnie się nigdy przedtem nie zetknęło z pierworodnym Seleny. Stinson nie dał mu czasu. Pociągnął go dalej.

– Też dobra? – zapytał. – Prawie na twój gust. Białe mięso. Rozumiesz?

Bezkrwistość... Nie masz pojęcia, co to znaczy prawdziwa kobieta. Wszystkie one...

Pchnął wskazane drzwi. – Do diabła!

Jonas na wszelki wypadek ujął Stinsona za łokieć. Ten gwałtownie odtrącił jego ramię.

– Odczep się – powiedział ochryple. – Patrz tam.

Jonas spodziewał się, że oto – z większą intensywnością, niż mogło mu to darować tamto blade stworzenie – poczuje prawdziwy dreszcz, jak w czasie Eleuzynii – ciepłą falę, która każdego selenitę ogarnia w krzyżowym ogniu spojrzeń, westchnień

i w aurze zapachów swoistych tylko kobietom w pełni ulepionym z ciała – dreszcz budzący odrazę i zaniepokojenie.

Pod żółtą koronką pościeli, jakiej dotąd nie widywał w Klinice, spoczywał ledwie zarys kobiecego kształtu. Na poduszce dwie ciemne plamy – ogromne, błyszczące gorączką oczy. Na wpół przezroczysty cień poruszył się i uniósł na łokciu. Tych oczu nie obchodził Megaloxantha – przywykły do scenografii. W napięciu zawisła na twarzy Stinsona. Jonas widział jego skamieniały profil.

– Pan... poznał mnie? – odezwała się drżącym głosem.

– Tak?

– Oczywiście – martwo potwierdził Stinson.

Jonas wysunął się krok do przodu.

– To jest profesor Stinson – uśmiechnął się pogodnie. – Ja... Nazywam się Jonas Hebrejczyk.

Słyszał, jak Stinson syknął z boku: „Milcz, błaznie!”.

– Och! Tak myślałam. Miałam nadzieję, że ktoś wreszcie... przyjdzie do mnie. Sam profesor... pułkownik?

– Kapitan – uśmiechnął się Jonas.

– Dobrze już – Stinson uciał ich flirt krążący wokół jego osoby. – Mów, co z tobą?

– Starzeję się – powiedziała cicho.

– Jak wszyscy – zauważył Jonas Hebrejczyk. – Tyle, że piękniej.

– Człowieku, zostaw komplementy – warknął półgłosem Stinson. – Jak to się zaczęło?

– Och! Takie dziwne – Maggi Luns zalotnie zatrzepotała rzęsami w kierunku Megaloxanthy. – Mój psychoanalityk powiedział, że to nadwrażliwość psychofizycznej identyfikacji. Rozumieją panowie? On zawsze uważał, że zbyt wchodzę w rolę. A teraz właśnie jest Laura. To postać ze sztuki, którą próbuję. I ona ma pięćdziesiąt lat...

– Co to ma wspólnego? – parsknął Stinson.

– Czy to możliwe, żeby psychiczna identyfikacja posunęła się tak daleko? – zapytała naiwnie.

– Absurd – Jonas lekceważąco machnął ręką.

– Ależ oczywiście – przebił go głos Stinsona. – To... zdarza się.

– Tym niemniej istnieją kobiety – roześmiał się Jonas – które nawet około pięćdziesiątki nie tracą na apetyczności.

– Ciszej, do diabła! – zaklął Stinson i widać było, jak mu pracują mięśnie zaciśniętych szczęk.

– Niezręcznie mi o tym mówić: – ciągnęła artystka zanurzona w koronkach. – To

niecو krępujące, ale czuję, jakbym... wiotczała. Moje piersi i uda... Nie poznaję swojej skóry...

Nagle rozsunała fałdy pościeli. Obnażyła ramię. Spod tiulów na moment wyrzała pierś płaska, z ciemnym pigmentem sutka jakby przyklejonej do żeber. Patrzyła na nich smutnymi oczami, kiedy wiotkie palce, ze znajomym szelestem – aż Jonas zadrżał, jakby usłyszał chrzęst skrzydeł Megaloxanthy, osunęły się na nagi brzuch, obłożony suchą skórą – bladą i zmiętą nie mniej niż koronki.

– Proszę panów, ja jeszcze nie mam trzydziestu lat. A dzisiaj w korytarzu zaczepił mnie starszy oficer i zapraszał na kawę. Panowie rozumieją?! On – mnie! Zapytałam czy jeszcze pamięta, jak To się robi. Wtedy się obruszył i powiedział, że kobietom w moim wieku nie przystoi wulgarność.

– Nie rozumiem – znów zaczął Jonas, ale Stinson zgasił go jednym spojrzeniem.

– Zapytałam zaraz: ile mi daje lat. A on, z pełną galanterią, że najwyżej czterdzieści!... Od paru dni staram się nie myśleć o Laurze. Czuję jednak, że wszystko w środku...

– Robi się takie luźne! – powiedział Stinson.

– O! – podkrążone oczy rozjaśniły się nieco. – Skąd pan wie? Ach! Przecież pan kapitan, znaczy... profesor... Tak, ja dosłownie boję się poruszyć.

Stinson chwilę stał nieruchomo, z rękami wciśniętymi w kieszenie munduru. Tylko pod siwym zarostem chodziły mu szczęki, jakby dalej przeżuwał swoje przekleństwo.

– Nie warto przejmować się docinkami podstarzałego don-żuana – powiedział wreszcie. – W szlafrokach i szpitalnych uniformach my wszyscy tutaj...

Spojrzał po sobie, szybko wyciągnął ręce z kieszeni i wyprostował się odruchowo.

– Wyglądamy inaczej – dokończył. – Na ile, dla przykładu, mnie pani wycenia? Ale szczerze.

Maggi Luns z powagą taksowała go wzrokiem.

– Sześćdziesiąt... parę? – zapytała nieśmiało. – A ile pan... Stinson złapał ustami powietrze.

– Pięćdziesiąt.

– Pan mnie pociesza? – zawahała się.

– Zapewniam cię, że nie mam zwyczaju. Ani ja, tym bardziej, nasz przyjaciel z Kliniki Księżyca.

– Och! – aż klasnęła w dłonie i niby Afrodyta wychyliła się z pianistych koronek; po płeć przyprószoną tym samym szronem, co skronie Stinsona. – Więc niedługo stąd wyjdę? Co?! Ach – jak dobrze! Bo już się martwiłam... Będę tak bardzo, bardzo... wdzięczna. I wszystko – naprawdę, co tylko potrafię... kiedy stąd wyjdę...

– Wszystko? – z wisielczym humorem zapytał Stinson. Maggi Luns zachichotała pogodnie.

– Pułkowniku, w pana wieku...

## 30. WSTRĘT

Nagły, alarmujący dźwięk. Budzi się świadomość. Ta sama, którą uśpiło poruszanie ustami, językiem, wytrzeszczanie oczu i próżna gestykulacja – świadomość Megaloxanthy. Tak długo drzemała na granicy zupełnego ucłowieczenia. A przecież zawsze winna była tkwić w czaszce jako czarna ostroga – negatyw betlejemskiej gwiazdy – OTO UMIERA TEN, KTÓRY MÓGŁ WAS ZBAWIĆ!

Jednocześnie pąsowa gorączka zaogniła ściany. I słychać było jęk – świst przeciągły, z jakim pojazdy Endogenicznej mkną naprzeciw ostatecznemu zagrożeniu. Już jest w bezpośrednim zasięgu. Z zewnątrz albo od środka. Śmiertelnym oddechem wionęło w detektory Informatycznego Systemu. O szklaną przyłbicę obłożonej twierdzy wsparło się zmrożoną, ręką. Przecież zmysły nigdy nie zwodzą Megaloxanthy. To COŚ przywlokło się tutaj, może wślizgnęło się przez ostatnią śluzę w podniebnym sklepieniu – za pośrednictwem CETI. Przed chwilą słychać było KROK. Teraz wszystko zamilkło.

Tylko w sercu Megaloxanthy wzbiera bełkot, przez usta szuka ujścia:

– SZALEŃSTWO MOJE, CZEMU MNIE ŁUDZISZ ILUZJĄ PRZETRWANIA, ŻAŁOSNĄ NADZIEJĄ, ŻE TERAZ MOŻNA ODNALEŹĆ ZROZUMIENIE SPRAW, KTÓRE OPARŁY SIĘ EPOKOM MOJEGO ISTNIENIA... TYLKO POTWORNY STRACH ZACISKA MOJE WNĘTRZA, OŚLEPIA ZMYŚLY, KTÓRYMI CHCIAŁOBY SIĘ ZAJRZEĆ WE WŁASNĄ DOCZESNOŚĆ, PRZENIKNAĆ TĘ OTCHŁAŃ, GDZIE SIĘ ZALĘGŁA PRZYCZYNA ENTROPII...

Docisnął zęby. Czuł całym sobą, jak się dokoła kurczy przestrzeń. Już słychać stękanie zamykanych grodzi, syk wentyli zrównujących ciśnienie – zanim się Enklawa rozpadnie na autonomiczne części, żeby dwunożne i czterołape detektory Systemu każdemu z osobna mogły się dobrać do gardła. Daremnie Endogeniczna próbuje wywęszyć przeciek i odizolować od pozostałych pomieszczeń.

W każdym z nas zieje bezkrwawa rana, jakby na wylot przestrzelić trupa. Rozchyliła dwie blizny i pluje panspermią. Przez nią różany aromat, niby roztopiony ołów, kapie na żywe serce. Patrz! Twoje przeznaczenie wyłania się z koronek, wyciąga suche ręce. Śmieje się radośnie, perli siną pianą i płeć rozwiera jątrzącą wasze czerwie! Dziupła sypie białym próchnem – precz stąd! Czujesz? Już gnają oddziały Armii, zmobilizowane rezerwy, pędzą tutaj – skąd wyziew potu i wywabiaczy w aerozolu, gdzie się w Klinice zaległo – sięga przezroczytymi palcami, Ignie do warg, ciąży u powiek, szpera wzdłuż zeszywniałych członków i jąder skulonych – precz stąd! Ostatnia szansa na przedłużenie agonii. Jeszcze się można



wywinąć. O tak!

Stinson umyka przodem. Ty – tuż za nim. Patrzcie, jaki rączy! Precz – poza ten zaduch parujący z trupów, złuszczający się z ciał nagrzaných w puchu, z odleżanych boków. Tam – do drzwi i na korytarz. Nic, że płynie za tobą rozwichrzona i bezwstydną do kości; aż się zachłystuje mysim piskiem i skacze na plecy, na karku siada pragnieniem nagości – wyprowadź! Przecież jesteś Aniołem z Księżyca! Chce z tobą. Radośnie potrząsa zwiędłymi piersiami i kusi kościotrupim tańcem brzucha. Won! Bezzębna starucho – mdłości! Mdłości! Susem przez inne tętenty i w przenikanie cieni na różnych poziomach światłowodów – tuneli. Szybciej! Nim zatrasną ostatnie przejścia – więcej ruchu! Już nie dla zdrowia, nie – żeby sen spędzić – tego nic nie zdoła... Tylko skórę unieść – choćby karbowaną, wytatuowaną przez jakiegoś Sztabowego Wpleszcza, dopieszczoną przez Efeba lub Zmrocznik; niech jej nawet Czarna Wdowa na grzbiecie zadrapie kilka nowych zmarszczek – ciągnij! Byle wyrwać. Obok ten sam grymas na tysiącu twarzy – pełny wytrzeszcz! I lęk! W biegu. Pasma włosów rozwiane na wietrze. Bryzgi akwarel zamazują przestrzeń. Wir wiruje w paniką rozkręconym tłumie – wyłażą ze swoich inkubatorów, z białych pokoi, w kaprawych bandażach – włosy z nich linieją, gubią białe zęby – trzask! – trzask! – całe serie, jakby z automatycznej broni. We mgle, naprzeciw rozpedzonego tłumy, żelazne gwoździe pewnie tkwią w gniazdach wywierconych w metalicznych podłogach. Już po nich przeszła pierwsza fala, z własnej masy wytrąciła ciała zdatne najwyżej do zasypania wilczych dołów. Dalej twarda ściana – „pancerne łby, twarze wduszone pod okapy hełmów – zbiórka Endogenicznej Armii.

Jonas rozpaczliwie szukał oczami słabego miejsca w tym zwartym szeregu.

Oddziały Endogenicznej odcinały kolejne przejścia, napierały na tłum mężczyzn zlaných fosforycznym potem i kobiet z rozwianymi włosami, kołyszających grzywami ukwiałów; wszystkich już półnagich, jeszcze rwących na sobie bandaże – żeby szybciej uciekać, lepiej widzieć próżnią oczodołów, słyszeć – dokąd inni znaleźli ujście wysiakami mózgów ciekących przez uszy.

I deptać! Deptać wszystko na drodze! Przed i – już pod sobą! Choćby się na śmierć zatratować nawzajem.

Nad ich głowami Jonas dostrzegł, jak ktoś w upiornym wysoku zawisł ponad zwartym szeregiem. Za wyciągniętym ramieniem bandaż załopotał krwawą flagą. Ktoś runął w sam środek Rzeźników Empiru – dobranych z rezerwy, o młodych, czerstwych twarzach i przerażonych oczach – nieprzywykłych do Rzeźni, chociaż tatuaże wynieśli na czoła. Rozcapierzone ręce ześlizgnęły się po szklanych przyłbicach. Cofnęli się, opuścili tarcze, niektórym gałaczki wypadły z rąk. Na moment zachwiała się Pierwsza Linia.

Jonas porwał Stinsona za biodra. Dziwnie lekki wór gnatów zarzucił na ramię i – skoczył przed siebie. Nie patrzył gdzie, nie baczył na nic – choćby się ślizgały stopy, innym miażdżyły palce i zdierały skalpy z pochylonych czaszek.

Bieg. I skok – na jaki tamtemu nie starczyło siły. Trzeba czuć w nogach skrzydła Megaloxanthy.

Jeszcze go w powietrzu podparło przerażenie ich oczu.

Jak powietrzna poduszka.

Moment nieważkości, jakby się kamienny Szern dźwignął ciężkim lotem – ponad księżycowy krater. Przeniosło górą.

Tylko stopy do ziemi dobiły tych, co trzymali się w ostatnim szeregu.

Nawet nie obejrzał się przez ramię.

Biegł. Przed nim, w nieprawdopodobnym spowolnieniu, osuwała się stalowoszara płyta. Zatraskująca się śluza odcinała perspektywę Ortodromy Wolności.

Gilotyna opadła ze świstem.

Tuż za nim. Przerwała świergot pocisków lecących za plecami Megaloxanthy.

Stinson mu nad uchem rzeźił zwapniałymi płucami.

Jeszcze kilka susów w bok. W bok! Pod srebrzystym sklepieniem. Na wprost – masywny, czarny słupek. Filar podpierający strop ostatniej jaskini przy wierzchołku THARSYS. Moduł CETI. Jak łatwo wzburzyć błękitną krew Megaloxanthy, całego rozkołysać w tłumie serc miotających się w ziemskim barłogu. Aż on – Jonas Hebrejczyk, niby poza tego świata agonią, tak paskudnie dał się wciągnąć. Podał się panice stada i rzucił przed siebie, niby kiepski pływak, z jękiem ścięgien, przez szlam i brak godności – ku złudnej wolności.

Drzwi do upatrzonej klatki stoją przed tobą otworem. Czarna ściana, podobna do wrót Świątyni TABOR. W tę ciemność pchnął bezwładne ciało Stinsona. Zanurzyło się poza barierą światła i przepadło z pola widzenia.

Sam się zatrzymał jeszcze. Pochylił się – byłby czoło oparł o tę niewidzialną ścianę. Pamięć wyrzuciła swoją, kwantami perforowaną kartę: to było gdzieś tutaj – Janko stał, tak samo, czołem wsparty o szybę. Pochylił się wtedy i łkał. Jego ciałem wstrząsały torsje i nogi miękły w kolanach. Byłby się osunął we własne wymioty, gdyby go Jonas nie podtrzymał nad cuchnącą kałużą.

Teraz on sam, jak wtedy Janko, ze zdumieniem wsłuchiwał się we własne ciało. Coś nim targało od wewnątrz, mdliło – aż ręką chwycił się za gardło. Zacisnął zęby, jakby ze swoich kiszek potrafił wykrztusić coś poza słoneczną energią.

Czuł falę czarnej, ohydnej lepkości.

Zachłysnął się jej przyplływem – nie wiedział skąd.

Jakby mu pod stopami otworzyła się ziemia i prosto w pochyloną twarz trysnęło ropne źródło.

W twarz i na wylot – przez plecy.

Chwiejnie obrócił się wokół własnej osi. Siłą woli bardziej, niż wzrokiem, próbował przebić zaślepienie oczu. Aż rozstały się czarne plamy, jakby mu z opalonej twarzy odpadły zwęglone płatki powiek.

Patrzył.

Z metalicznych kiszek kolejne przyływy mdłości podchodziły do gardła.

Tam, skąd wyniósł Stinsona, ogromna śluza dopełniła krzywiznę srebrnej kopuły. Przynajmniej stąd Endogeniczna Armia wyparła tłum, może już wszystkich zepchnęła w kloakę Kliniki. Prosto na sekcję zwłok albo na oddział psychiatrii. Przed Modułem CETI rozpościerał się pusty plac. Pusty. Również tędy, nieco wcześniej, przeszła falanga Endogenicznej. Jak okiem sięgnąć całą przestrzeń zaścieliły trupy. W strzępach ubrań, półnagie – jak ich wyciągnięto z łóżek. Fantasmagoryczne makijaże zdeptane obcasami.

Zdawało mu się, że słyszy gdzieś wzbierający strumyk krwi, całe dorzecze czerniejących ścieków.

Dziesiątki, tysiące bezkształtnych pagórków, niemal zrównanych z posadzką. Nad nimi unosił się słodki odór. Jakiś metr nad ziemią powietrze zmętniało ciężkim, nieruchomym oparem.

Zadrzał.

Gdzieś z boku, przez ten nisko położony naciek mgły, postępowała rzadka tyraliera ciemnych postaci. Powoli, krok za krokiem, niewyraźne sylwetki brnęły przez ten opar. Czarne peleryny wlokły za sobą strzępiaste zawirowania mgły. Czasami któraś z postaci pochylała się nad leżącym, przypatrywała uważnie, niekiedy bezwładny kopczyk trąciła nogą albo odwróciła na bok.

Dostrzegł najpierw jedno wyprostowane ramię i dłoń podbitą odrzutem. Do jego uszu dotarło tylko mokre klaśnięcie.

Kolejna fala mdłości i zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

Teraz dopiero zrozumiał, że tylko pozorny wydał mu się bezruch brunatnych brył rozpostartych na ziemi. Ktoś czasem jęknął, to znów poruszył ręką, jakby chciał sprzed twarzy odgarnąć mgielną lepkość, która zalewała usta łapczywie łapiące powietrze. Ktoś potwornie powoli, z niesamowitym wysiłkiem trwającym długie sekundy, minuty, godziny może – próbował pełznąć, żeby pokonać bodaj parę metrów.

Jonas zachwiał się i postąpił krok przed siebie.

Tyraliera ciemnych postaci przesuwała się systematycznie, bez pośpiechu. Za nimi rozwichrzona mgła zalegała coraz gładszą powierzchnią jeziora zasnutego mleczną błoną.

Nie myślał, po co i dokąd go niosą nogi.

Już nie mdłości, lecz ohydny, tępy ból czuł w sobie. Promieniował mu w zaciśnięte pięści. Tamci jeszcze go nie dostrzegali. Nieco z boku zachodził tyralierę.

Aż pierwszy uniósł głowę. Twarz poniżej oczu obciągnięta skórzaną maską. Przyglądał mu się spokojnie, z zainteresowaniem. Zdawało się, że oczami uśmiechnął się do Megaloxanthy.

Nawet się nie ostonił ramieniem, kiedy padł z rozłupaną czaszką.

Drugi zdążył wytrzeszczyć przerażone oczy.

Trzeci uniósł pistolet.

Czwarty zdążył wystrzelić.

Pocisk przeszedł bokiem. Tylko zaświergotało przy uchu. Następny trafił w czoło i zrykoszetował pod sklepienie grotu. Raz jeszcze do przodu wyrzucone ramię na wylot przewlekło czarną pelerynę. Lepkie strzępy zostały na palcach.

Wtedy zaczęli się cofać. Jeszcze nic nie rozumieli. Ktoś odważył się wyciągnąć rękę.

Doganiał jednego po drugim. Unosił w powietrze i ciskał o ziemię, a potem stopą wbijał w mgłę. Próbowali uciekać.

Dopadał ich już na oślepie prawie, wiedziony instynktem, zachłyśnięty odzyskaną prehistorią. Jeszcze mu czasem na piersi zagrał ołowiany werbel. Nic nie czuł. Potem już nic nie słyszał. Cisza zapanowała zupełna. I ciemność. Ból wnętrzości nie pozwalał się zatrzymać. Szedł powoli. Na oślepie. Jakby trafił w labirynt ciemności z kagankiem ognia jątrzącym jego własne trzewia. Nic nie widząc – widział – w sobie samym, czerwone, płonące odciski czyichś stóp. Pamiętał je, czuł w sobie, jako rozżarzone piętna żelaznych butów przykładane bezpośrednio do serca. Nieszczęsny Janko stokroć potężniej cierpiał przez swą szczenięcą wrażliwość. Trzeba było się przyjrzeć, rozejrzeć dokoła – już wtedy! Dopiero teraz dojrzał. Niósł w sobie jedyne światło pokazujące kierunek w pętłach tuneli, jakich niepodobna zmacać dłonią. Jak fosforyzujące komety wnikające w masyw Świątyni TABOR – z czarnego szkła. Jeszcze krok. Krok. Byle dopaść to coś – ostatnie, chociaż tak rozpaczliwie i zrećźnie próbuje się wyslizgnąć. Już się zaszyło w ślepy zaułek. Przypadło, bez tchu, w najbardziej skrytym zakamarku ery jaskiniowej i czeka. Czekaj. Czepia się nadziei, że przeznaczenie i zemsta przejdzie bokiem. To coś nie wie jeszcze, że niepodobna uciec przed tym. Można zabijać tysiące razy, krzyczeć mu w ucho: Padnij i powstań! – choćby był bezbronny przez tysiąc lat – dopadnie cię wreszcie, jeżeli niesie w sobie ostatni radiolokacyjny zmysł, jakiego niepodobna odjąć – mdłości, nienawiści i cierpliwości.

Tak długo będzie brnął, przez katakumby ciszy i mroku, aż dopadnie wreszcie i gołe ręce zanurzy w cuchnące, szczurze ciepło, przez jego chrupkość – zeszkloną z wierzchu – przeniknie w cielesność. Choćby się palce osunęły po żebrach – wyżej! Na

miękki przetyk i zatchnąć jęk ostatni, kciukami zmiążyć gardło i – przez tchawicę – pchnąć w głąb! Coś się miękko okręca wokół ramion zanurzonych w piersi – aż po serce, do parszywego mięśnia. Chwila bezradności – żyłasty, rozpaczliwie pulsujący pęcherz – zduć go w palcach. Resztę przenika drżenie, szarpie się jeszcze, gdzieś daleko kopie powietrze i już bezwładnie zwisa na powrozach twoich ramion wrzynających się w skurwysyństwo zdechłe. Wystarczy rozprostować pętle palców i stygnący ochłap ześlizgnie się z dłoni zapuszczonych tam jak korzenie. Tylko twoje usta szepczą jeszcze: stworzyliście Państwo, w którym ludzie przestali się rodzić! Jak zwierzęta! Zwierzęta! Zwierzęta, które nie potrafią rozmnażać się w niewoli! Czujesz? To JA! Twoje Sprzężenie Zwrotne historii!

Nagła ulga w piersi. Cisza. Wreszcie udało się przełknąć oślepiające mdłości.

Dobił ostatnie ścierwo.

Coś się w nim przełamało i przejrzało.

Ciemność wyparta poza srebrny nieboskłon. Stał pod tym samym wysokim sklepieniem, które obejmowało Moduł CETI. Nie musiał się zapędzać w mroczne labirynty – nienawiść najmocniej zaślepia. Znowu przed nim szeroko rozlane jezioro białych dymów – szczelnie okryło ziemię. Tylko u jego stóp zwinął się ostatni trup. W szaroniebieskim ubranku. Niepozorny – z kolanami podciągniętymi do brody i drobnymi rękami, którymi – nim znieruchomiał – próbował sięgnąć do gardła i nie zdołał zatamować krwi, która czerwonym pasmem przeciekała mu między palcami.

To dla ciebie, Janko, żebyś nigdy więcej nie dostawał mdłości.

Jonas zachwiał się. Odstąpił krok. Znowu myśli ogarniał obłęd i rozpacz. Patrzył i jeszcze nie wierzył oczom. Zdawało mu się, że wokół rozkręca się srebrzysty bęben centryfugi, aż przez ściany rozmyte w tym pędzie zaczynają prześwitywać gwiazdy, wpatrują się w niego szyderczo. NIE TEN! Jak potwornie potrafi oślepić nienawiść! Tak bardzo chciał – musiał! Koniecznie musiał dopaść ostatni szurzy pomiot – przez ból i ciemność – za wszelką cenę! Nie ten! Śmierć nie przebiera. Czasami chwytą, co jest pod ręką. Tylko po co tutaj laź? Na co się szwendał!

Jonas dopiero teraz poczuł krew na rękach. Krew – dopiero teraz!

Zatoczył się wstecz.

Odstępując potknął się o coś. Długa czarna torba. Powoli przechyliła się na bok i otworzyła szeroko. Tłusty pergamin i ostatnia sucha bułka. Wysypały się pliki białych kartek. Zadrukowane ulotki – W Imię Utopii! Pod nimi skraj czarnej płachty. Byle jak zduszona, pakowana w pośpiechu. Maski – skórzany kaganiec. Pistolet zawinięty w czarną pelerynę.

Jonas czuł – czuł wreszcie pełną piersią – obłęd! Tylko obłęd!

Okręcił się w miejscu i zachichotał. Uniósł twarz do nieistniejących gwiazd i śmiał się, śmiał się im prosto w oczy.



## 31. OSTATNI ŁĄCZNIK

Dwóch ich leżało w fotelach. Jeden skręcony w kłębek. Zarzucony na niego brudny fartuch powoli spełzał na podłogę i odsłaniał twarz Przyślepa, jednocześnie pozbawioną życia i uduchowioną. Drugi odchylił się na oparcie. Głowa mu opadła na pierś i tylko spode łba łypał wzrokiem pełnym gorączki i nienawiści.

Janko Pytlak pochylił się nad Stinsonem.

– Powinien pan – odpocząć, profesorze – mówił szeptem. – Nie wygląda pan najlepiej.

Stinson patrzył mimo Bio-Łacza.

Kiedy Jonas postąpił krok od śluzy CETI, przez moment ten wzrok i jego pchnął w pierś. Prawie natychmiast wrócił do Przyślepa.

Niechlujny fartuch okrywał tam ciało chude, drgające lekko. Zupełnie jakby przedwcześnie prześcieradło narzucić na jakiś katafalk w przyfrontowym lazarecie. Dokoła podłogę zasłało takie mnóstwo niedopałków, że szklivne posadzki sprawiały wrażenie napiętnowanych kostropatą łuszczycą. Jonas wyobraził sobie, jak Przyślep siedział tutaj i czekał. Godziny mijały. Papierosa za papierosem przydeptywał obcasem. Czekał, chociaż nikt więcej nie pozostał pod wygwieżdżonym dachem CETI. I już zdawało mu się, że nikogo więcej nie ma – nigdzie. Dokąd sięgnąć nie tylko wzrokiem – bodaj wyobraźnią. Więc siedział otępiąły i przypalał jeden papieros od drugiego, aż zapadł się w fotelu – wreszcie oczadziały doszczętnie. Może znalazł pewniejszy sposób na ukojenie nerwów. To drugie było bardziej prawdopodobne. Przynajmniej tłumaczyło wyraz twarzy Stinsona.

Między rozduzonymi niedopałkami i w szarym popiele, przez wiele godzin strzepywanym na ziemię, iskrzyło się coś jeszcze. Pewnie zrezygnował wreszcie, zawiodła go cierpliwość albo się sam domyślił, że nic nie zmieni – nawet, gdy wróci ktoś z tych, których sam posyłał za Pierwszą Linie. Więc z garści wylizał kilka perełek przedśmiertnej rozkoszy. Reszta mu się posypała między palcami. Teraz Stinson wzrokiem przyszpilał go do fotela.

Jonas poczuł dreszcz dziwnej grozy i zaciekawienia. Nie potrafił oprzeć się myśli, nasuwającej wizję tej jednej – jedynej prawdziwej kobiety w życiu starego Stinsona.

– Pańskie włosy, profesorze – Janko dotknął żyłastych, zlanych potem skroni Stinsona. – Takie włosy...

Janko rozejrział się. Szukał i nie znajdował porównania. Napotkał wzrok Megaloxanthi.

– Jesteś – uśmiechnął się po swojemu, wreszcie dokończył – Jonas gotów pana zaliczyć w poczet kapłanów Seleny.

Albo dokooptować do dwudziestu czterech Starców, w duchu dodał Jonas.

– Siwiejemy z zazdrości? – zapytał głośno.

Stinson roześmiał się chrapliwie. Twarz mu się na moment otrząsnęła ze zmarszczek. Chciał coś powiedzieć – zakasłał tylko i do reszty obmiękł w swoim fotelu – dziwacznie mały, skurczony, jakby z niego ulotniła się większość stęchłego powietrza, które zaciętością zębów utrzymuje pod wiotką powłoką.

– Wszelkie paskudztwo lęgnie się w nas samych – powiedział Jonas. – Przede wszystkim w nas.

Zobaczył, że Janko z przerażeniem patrzy mu na ręce.

– Krew – po prostu powiedział Jonas. – Trochę ci ulży. Trzeba zdać się na Megaloxanthę, jeśli nie ma innego wyjścia, jak łeb ukręcić ścierwu nie wartemu niczyjego grzechu.

Twarz Janko ujawniła jego wewnętrzną rozterkę, jakby samej krwi, która Jonasowi została na rękach, wystarczyło, żeby Bio-Łącze przyprawić o młodość.

Coś jeszcze go poruszyło. Popatrzył na Jonasa jednocześnie przerażonym i nieobecny wzrokiem. Ręką złapał za pierś – coś mu tam dobijało się z wewnątrz, jakby chciało krzykiem wyrwać się przez gardło.

– Co się dzieje?! – zawołał Jonas.

– Tam! – Janko nieprzytomne spojrzenie posłał nad ramieniem Jonasa.

Ten obejrzał się błyskawicznie. Przyszło mu do głowy, że tam z martwych powstaje Sprzężenie Zwrotne albo pancerna pętla wreszcie się dociska na gardle Kliniki.

Tylko czarna kurtyna otaczająca scenę CETI.

– Zwariowałaś! – Jonas wrócił oczami do Bio-Łącza.

Janko szarpnął bluzę na piersi. Wewnątrz już pękał srebrny pęcherz, jak zadraśnięty paznokciem. Blacha rozłupana ciosem miecza w plecy – sztych wetknięty między łopatki Bio-Łącza, przez pierś wychodzący krwawym ostrzem. Puls wyjściowego sygnału i mroczna czeluść – siny skrzep w ciele Bio-Łącza rozpostartym na dwoje.

Bryza przebiegła po smolnej powierzchni. Dalej wrzenie. Mrowie głów, ramion, pleców – biegną jeszcze. Oczy innego Bio-Łącza lotem koszącym schodzą w dół nad tłumem – może się tam wykuło Bio-Łącze obdarzone skrzydłami. Oś spojrzenia rozdziela ostatnie szeregi. CETI otwarte po najdalsze zakamarki Enklawy THARSYS. Na widowni tylko Jonas Hebrejczyk, ramię w ramię ze Stinsonem, który powstał z fotela – z boku niechlujne gniazdo Przyślepa. Naprzeciw szklany nieboskłon schodzi do ziemi. Kryształowa sfera rozgarnia cmentarny pejzaż Industrialno-Urbanistycznego Masywu. Schodzi w głąb, żeby krawędź kesonu docisnąć do Grobów Pożądania. Dopiero pod nimi znajduje się właściwa, mityczna opoka, którą



pancerna płyta przytrzasnęła może tysiąc lat temu, przed Epoką IUM, kiedy czarna jeszcze i naga wtedy gleba, bezwstydnie obnażona w pełnym słońcu, poddawała się pieszczotliwym natchnieniom Kosmosu.

Teraz wnętrza globu wyprute aż do siódmego pokolenia, z wierzchu opasane gorsetem, zasklepięte gipsową polewą – tu i ówdzie uszczelnia ją czarnobrewy Zmrocznik albo rozjarzone Sieci Stinsona. Resztę rumowiska zatopiło grzęzawisko nocy, której sierp Księżyca przydaje odcieni. Właściwe światło bije od wnętrza kopuły, spoza pleców Megaloxanthy. Stinson jęknął.

A tam cień jakiś, piekielna zjawa o twarzy Szerna.

Ponura, ziemista maska. Szeroko rozpostarte wiechcie ramion. Wirują na wietrze zetlałe strzępy odzienia – czarnego skafandra. Jeszcze się wtula w chłodną pierś kopuły, lgnie do niej brzuchem żółtawym, sflaczałym. Coś, poza ciałem, wylewa się przez wytartą materię skafandra, jakby nitki ściągania i mięso wyszarpano ostrymi zębami.

Postać wysoka, na badyłach nóg wpuszczonych w okute, skórzane buciory – zostały z nich pasma szkłem rżnięte. To stąd pewnie utykające kroki, które zarejestrował nadprzewodliwy zmysł Megaloxanthy. Cienkie nogi – zestrugano z nich mięśnie, potrzaskały ścięgna i do kolan obwisły, do kostek opadły sino-blade frędzle. Tylko pas z mosiężnymi klamrami trzyma ciało w ciasnej obręczy. Tyle się nie rozpełzło. Na gardle stalowa obroża i kilka zerwanych ogniw łańcucha – genomut mu się zrewanżował. Pękła przyłbica hełmu, jaki przywdział na tę swoją ostatnią pielgrzymkę. Krwawe sierpy pozostałych odprysków, mocno osadzone w obręczy kołnierza, gładko od tyłu podgoliły czerep, wokół szyi zakleszczyły kryształowe szczęki.

Słysząc jęk. Przecież nie przedostał się spoza szklanej zapory i przez pierś Bio-Łączy.

Obok Megaloxanthy stęka białowłosa starzec.

Tam, coraz jaśniej, w spojeniu rozłożonych ramion majaczy pęk twarzy ukrzyżowany w półmroku. Ziemista bulwa, miejscami odrapana do kości, to znów niby półprzezroczysty ser z okrągłymi porami – dla szczerów pierwszorzędna gratka. Otwory wypełnione zielonkawą pleśnią – naokoło druciki rżęs sterczące sztywno. Jednym policzkiem twarz wtuliła się płasko w przejrzystą przeponę. Twarz beznosa, na wargi kapiąca ropnym wysiękiem zatok, jakby przez szczeliny mózgowie wypełzało z czaszki – chętne dalsza drogę podjąć ameboidalnym krokiem – kapią tłuste krople. Jedynie oczy wypełnione żarem – przedzgonnym przekleństwem i groźbą. W kaprawości powiek prześwitują jak gwiazdy – czarne i jednocześnie świecące nienawiścią gorętszą od plazmy. Spazm. Drugi. Jeszcze! Aż ponad nienawiść przebija cierpienie. Ból straszny zaćmiewa świadomość i wstrząsa

chochołem rozrywanych na strzępy...

Jeszcze się wstecz obraca. I znowu – do wnętrza kopuły, przed nim zamkniętej na tysiąc spustów. Wzrokiem zebrze. Trzeba było szukać wyłomu, jaki uczynili Bojowym Wozem! Błaga o coś – daremnie Może nomad zrozumie drugiego nomada. Jeszcze z cielesnych łachmanów dobywa ramię. Dłoń do pasa – za nim szklana kolba. Już w garści. A on się skręca – tył głowy zaskorupiały ruchliwym liszajem. Włosy zmierzwioną sierścią spełzają do ramion.

Ktoś jęczy, błaga o coś Megaloxanthę.

On dźwiga ramię. Błysk biegnie w kłęby pyłu nadlatujące na niego. Rozjarzony pejcz w ręku oplecionym krwawymi żyłami. Ogień – żółte ziarna posiane w ciemności. Wkręcają się w przestrzeń – szukają – białe kleksy bryzgają na megalitycznych progach, jakie wystają z pokrywy Masywu. Rozgwiadzy liżą marmur, kruszą cement. Różaniec świetlnych paciorków wita pomiot mrocznych kątów. Srebrzystą falą mkną tuż nad ziemią. Jeden trafiony, zwija się w podskoku, pęka rozchełstany lustrzaną folią – coś skwierczy zielonymi iskrami. Jeszcze jeden. Krótki błysk. Szmaragdowa tęcza. Liście miecione podmuchami wiatru – zwęgłają się w płomieniu. Niesłyszalny pisk znajduje rezonans w gardle Megaloxanthy. Drugi – między zębami Stinsona, Ogień chwytą kolejne wrzeczona w powietrzu i w mig spopiela albo kłębkami sadzy turla po ziemi, tłustymi krechami kreśli na siwym popiele. Swąd w powietrzu – przez szybę? Przez pierś Bio-Łacza? Odór palonego mięsa. Ostatni strzał.

Tylko drzazgi lecą – tuż przed szybą. Spektakl dla tych, którzy – bezpieczni – patrzą. Stos pacierzowy złamany w połowie – Ojciec Nasz! – wypalona główka. Ostatni, który się przebił. Gorset na nim trzeszczy – elastycznym pasem opięty już nie tors, lecz fioletowy pęcherz. Pulsuje, szarpie się dzikimi spazmami, przez obrożę wytyka łeb znajomy, twarz gruboskórna, do końca zawzięta – nareszcie! Aż westchnienie ulgi przepełnia to ciało – pęka!

Po szybie spełza wolno – tuż, tuż – jak po twojej własnej twarzy – kimkolwiek jesteś, który patrzysz. Rozcapierzona ręka drga jeszcze, pośniedziały zaciek spod każdego palca ślimaczy jakąś lepkość, kreśli krwawe przezrocze. Czytaj! Sylabizuj – jeśli już i w tobie zagościł powszechny obłęd! Składaj ciekące litery: MAKONDE!

Koniec! Kula czaszki pęka. Oko z niej strzela – jak na białej nici nerwu wyduszony węgier – nic pleśni przedzie w powietrzu. Oko tuż za szybą. Przykleiło się, zassało powieką. Zagląda w głąb duszy – choćbyś był Megaloxantha. Zebrze – dobij! Dobij chociaż! Oszczędź trochę – jeśli nie potrafisz wynaleźć sposobu, jak zatłuc skurwysyni pomiot!

– Zgaś! Zgaś to... – błaganie nie tylko twoje.

Na ostatkach szkieletu pleśń zakwita gwałtownie. Plemnica bryzga w łęgnię –

kości trzeszczą i pełzną larwy ulepione z ich szpiku. Stół zastawiony – prosit! Łyknąć ducha! Pandemia zaprasza na ucztę piekielną! Gość nadbiegł z mroku, zziębnięty pogonią. Już mu się zdawało – zdążył pod osłonę! Nie trafił na służę. Nagle z kątów skoczyły długie, srebrne wrzeciona. Między nimi różowe. Bezwłose. Wszystkie szybsze od wzroku. Strzelają z ogonów. W wytrzeszczonych oczach żądza odwetu i mord. Błysk pazurów nakrytych stalową łuską – na ochłapy mięsa – żreć! – żreć! – głód motorem, dynamiką postępu. Dalej! Byt określa świadomość – już padlinę pokrywa karnawał szczurzych płasów, ubaw skurwysyni, rojny jak w mrowisku, tłoczny niby w święto, które z nieba zwalnia upusty czerwieni – przed ratuszem – vivere est militare! – a piętami, obcasami w bruk wdeptać kości dysydentów – opornych – do ziemi dobić innowierców!

– O–och! Cha–a–cha–cha! – śmiech Megaloxanthy. – Profesorze Stinson! Oto objawienie nasze!

– Zgaś – już ledwie szepcze.

Ramię Megaloxanthy zanurzone w białym rozbłysku, przez drgające powietrze na pierś sklepioną pancierzem – ekranem. Przekłuty balon obrazu zbiega się gwałtowną implozją. Na dalekim planie już tylko kostropaty, księżycowy pejzaż i krwią ociekający napis.

## 32. SPRZEŻENIE

Cisza. Obyło się bez stereofonii transmitującej agonię innych Enklaw. Megaloxantha śmieje się oczami. Pewnie mu na myśl nie przyjdzie, nie zauważy nawet, że mu usta szepczą same:

– ... PEWNIEM DLATEGO NIE JEST MI DZISIAJ DANE ZGŁĘBIĆ  
TAJEMNICĘ NASTĘPSTW – CZY JAŻŃ MOJA, W SZALEŃSTWIE, DOPALA  
SIĘ SAMA – CZY PRÓŻNIA KOSMOSU WGRYZA SIĘ W TO CIAŁO... CZY  
COŚ JESZCZE – Z ODLEGLEJSZEJ GŁĘBI...

Poza tym w realnej pułapce CETI, w ostatniej Arce, ktoś dalej jęczy. Może mu spieszą w sobie doścignąć tamtą nekrofilę, która dopełniła się za szklaną tarczą.

Jonas Hebrejczyk zachichotał znowu.

Janko popatrzył na niego, bez słowa.

– Pandemonium! – łkał Stinson. – Nic więcej, Jonas! Nic, nic, nic! Mistyki żadnej...

– Powiedz mu! – roześmiał się Jonas. – Powiedz mu, Janko!

– Interpretacja Informatycznego Systemu – powiedziało Bio-Łącze. – Z tego, co zdarzyło się w strefie Fortów Greisena wynika, że dokonano tam gwałtowna rekonstrukcja biologicznego budulca żywych organizmów.

– To znaczy? – jęknął Stinson.

– Reszty aminokwasów tworzą wyłącznie lewoskrętne łańcuchy cząsteczek białka...

– Wiem o tym!

– Ale nie znasz życia bez białka! – Megaloxantha bawił się dobrze.

– Nie na tej ziemi.

– Nie?! Więc idź! Znajdziesz je w Fortach Greisena.

– Bzdura!

– A ja ci mówię, Stinson! Na wszystkich frontach!

Jonas patrzył na tego starego człowieka, który znowu skulił się w fotelu.

Przerażony własnym bezwładem dalej niczego nie pojmował z tego, co mu próbował wcisnąć Megaloxantha. Ten długo się starał – teraz czuł, nie litość nawet, raczej pusty śmiech – sam w sobie – nie kierowany przeciw komuś z osobna.

– Gdybyś ty wiedział, Stinson, jaka Utopia przyświeca Świątyni TABOR! – ta niewiadoma Stinsonowi wizja aż rozpromieniała oczy Jonasowi. – Wszystko, co żywe, co już znalazło w sobie świadomość albo rozumu dostąpi w najbliższej przyszłości; wszystko to zmontować w jeden nośny szkielet ziemskiej Ewolucji! Oto Wieża Babel wznoszona na trupach! Dynamiczny nagrobek dla megalitycznej Epoki

IUM! Słyszałeś, Stinson? Zamarzyło im się! Tak właśnie: każdy element tego świata jest częścią uporządkowanej całości. Na tym stwierdzeniu zbudujemy Państwo! Państwo jest wspólnotą moralną. Jego powołaniem jest kształcenie rasy ludzkiej przez pozytywne osiągnięcia systemu, a jego ostatecznym celem... Cha-cha! Stinson, słyszałeś, Pozytywna ewolucja systemu i jednostki! Uwzniośli cię. Chcesz czy nie. Przypomnieć ci Platona? „Jeśli państwo opiera się na prawach natury, wówczas mądrość swą jako całość zawdzięcza wiedzy posiadanej przez najmniejszą swoją część, tę, która prowadzi i rządzi resztą. Ta wiedza jest jedyną, która zasługuje na miano mądrości...”. Słuchasz, Stinson? Ciesz się! Ktokolwiek jest twoją Opatrznością, to jedyna „mądrość”. Bądź jej posłuszny! Uwierz, że nie przetrwasz, jeśli upadnie to, co jest podmiotem władzy nad tobą! Oto, co lęgnie się w tych trzewiach lewiatana: „ponieważ każdy jest poddany jest przez to ustanowienie autorem wszystkich aktów i sądów ustanowionego Suwerena; wynika z tego, że cokolwiek ten Suweren robi, nie może krzywdzić żadnego ze swych poddanych ani też nie może być przez żadnego z nich oskarżony o niesprawiedliwość”. Pojmujesz? Pewnie socjologizujące kanony można rozpatrywać szerzej. Ewoluuująca BIOSFERA, ot najpotężniejsze Państwo. Nikt go nie stworzył. Zawsze istniało. Wynikło samo z siebie. Jak więc się to dzieje, że bez szemrania podporządkowujesz się społecznemu systemowi Enklawy THARSYS, natomiast szemrasz przeciw Ewolucji? Co więcej! – masz własne zdanie! I opory pewne! Chodzą ci po głowie dysydenckie myśli i już montujesz ruch oporu. Szukasz sposobu, jak się wywinąć przez tymi lagami, które resztkę mojego świata zagnały w ten karcer. Jak możesz, Stinson? Przecież to jedyna prawdziwie suwerenna władza, nie obciążona balastem moralnych zasad i czynnie wspomagana przez dyskretne biologiczne mechanizmy, w których rej wodzi dobór naturalny! O tak! Tej Ewolucji podporządkowany jest wszelki przepływ informacji i brak autorytetów pośrednich, zdolnych jej poczynania kontrolować według widzimisię doraźnych pokoleń. Jak bowiem podważyć totalitarność zasadzającą się na bezosobowości? Przecież się uczyłeś, że Państwo jest podstawą i ośrodkiem wszystkich istotnych elementów w życiu narodu: Sztuki, Prawa, Moralności, Religii i Nauki. Obowiązany więc jesteś sprzyjać potężnemu strumieniowi Ewolucji, choćby ciebie samego spychał na mielizny. Dlaczego się bronisz, Stinson? Wsłuchaj się we własną Pamięć, niech ci ona przykłaśnie: „w opinii publicznej wszystko jest fałszywe i prawdziwe, lecz odkrycie w tym prawdy jest rzeczą Wielkiego Człowieka. Wielkim Człowiekiem swoich czasów jest ten, który wyraża wolę swoich czasów, który im mówi, co chce, i który to wykonuje. Działa on zgodnie z wewnętrznym Duchem i Istotą swego czasu i realizuje go. A ten, kto nie umie pogardzać opinią publiczną, która daje się słyszeć tu i tam, nigdy nie dokona niczego wielkiego”. Jednak, wobec tysiącleci kultury gatunku homo sapiens, aby urealnić twierdzenie o państwie jako

jednym i niezbędnym, zwartym organizmie, trzeba by nieco zdegradować jednostkę i podnieść walory państwa w oczach obywateli. Wskrzyszaj więc pojęcie państwa biologicznego ! Montuj nadorganizm! Lecz Ewolucja pomyślnie rozwinie się tylko wtedy, gdy w sobie zjednoczy cechy szczególnie dynamicznych ras. Więc dobieierz sobie partnerów: skurwysynów, genomutów oraz chimery innego autoramentu. Jednak wykurz nomadów – nazbyt w oczy kłują rodowodem wspólnym ze spisanyimi na straty. Z wybrańcami za to powołaj Radę Starszych i zasiądź między nimi. Skromnie – pośród dwudziestu czterech Starców w Świątyni TABOR, przed tronem Uroczeni Megalitu. Tam ustanówcie Wyrocznię. Potem zaproponujcie współpracę Megaloxanthom. Niech wasze nowe Państwo pączkuje nową Ewolucją – w kosmiczną przestrzeń! Bez ograniczenia przyspieszeń! Walka – praca – twórczość! Montujcie swoją sferę Dysona. Potem ją zasiedlajcie spokojnymi, zdyscyplinowanymi obywatelami, z których żaden nie kiwnie palcem, tak go się misternie osadzi w kryształach. Potem nimi rządźcie! W nagrodę za posłuszeństwo, jako najwyższa Opatrzność, obdarzcie ich nawet nieśmiertelnością. I jeszcze dalej! To nic, że zapatrzeni w przyszłość, każdym zmysłem tkwicie w prehistorii, skąd wasze cielesne truchło przewodzi zapóźniony bełkot: „państwa, to organizmy superindywidualne, które są tak samo żywe jak jednostki, ale dużo większe i znacznie potężniejsze w swoich procesach rozwojowych. Jedynie one mają moc produkowania cyklu życia w jego najwyższej formie”! Wiesz, co mi na odchodne powiedział Makonde? Można to przetłumaczyć mniej więcej tak: wracaj do swoich grabarzy i z nimi zdechnij. Stworzyli tak potężne społeczeństwo i Armię, że przy ich pomocy moi nomadowie w mig by wygrali każdą wojnę. Ale oni są martwi! Walczą przeciwko siłom, które ich samych wyniosły do Władzy. Walczą więc przeciw samym sobie. I muszą zdechnąć! Rozpadną się z całą potęgą – do końca potężni! A my tymczasem – nędzarze bez własnej ojczyzny, bez ziemi – przetrwamy! Rozumiesz? I zwyciężymy, bo jesteśmy wolni!

– Widzieliśmy obaj – odezwał się Stinson – wolność i siłę przetrwania.

– Za Pierwszą Linią śmierć to rzecz zwykła – powiedział Jonas. – I nieunikniona, gdy człowiek walczy o byt, choćby z całym światem. Tylko w Enklawie nauczyliście się mordować nawzajem.

– Zostaw mnie w spokoju, chłopcze – cicho poprosił Stinson. – Chcę odpocząć. To moja ostatnia prośba. Całe życie człowiek zastanawia się, jak to wtedy będzie... A kiedy przychodzi ta chwila – inni nie dają podumać nad sobą...

Pozbawionymi blasku oczami powiódł dokoła. Zgubił gdzieś czapkę z daszkiem. Tylko go sztywny kołnierz munduru uwierał pod brodą. Ruszył starcza ręką, może chciał jakiś cień odgarnąć sprzed twarzy – zaszeleściło, jakby dłonią przejechał przez zetlały pergamin.



### 33. CZARNA WDOWA

– O nie, przyjacielu! Wiesz, jak mnie dzisiaj śmieszy moja własna naiwność? – Megaloxantha pochylił się nad Stinsonem. – Myślałem najpierw, że to tylko biosfera...

– Boże! – jęknął Stinson; chciał coś jeszcze powiedzieć, tylko się zadławił niewyraźnym pomrukiem.

– Klarownie to wyglądało w teorii Mechaneurystycznej Kliniki Księżyca – ciągnął Jonas. – Takie oczywiste. Jeśli organizm człowieka zostanie zaatakowany przez jakiś zarazek, reakcją obronną będzie zwiększona produkcja leukocytów. I wtedy masz gorączkę... Jeżeli organizm nie jest uodporniony i jego dewastacja postępuje zbyt szybko – sam musi zniszczyć chorobę... Inaczej zginie.

– Nie ucz mnie katechizmu, chłopcze – zupełnie słabym głosem odezwał się Stinson.

– Myślałem sobie: biosfera Ziemi to też organizm. Wiesz najlepiej Stinson, jak mocne i wielopostaciowe bywają związki, nie tylko symbiotyczne, między poszczególnymi ogniwami biosfery. To piekielnie misterny mechanizm. Wszystko, od pleśni po człowieka, wdrożone w system międzygatunkowych sprzężeń, w ścisłą wymianę informacji i przemiany materii.

– Janko, pomóż...

Roztrzęsiony starzec usiłował się podnieść.

Przed nim zakreśliło się błękitnoskrzydłe widmo – szelest nabłonka znowu wysuwającego się poza pancerz. Jonas wyciągnął w połowie uskrzydłone ramię i – to coś, co go nie chciało wysłuchać do końca – z powrotem pchnął w objęcia fotela.

– Leż i słuchaj! – zawołał, wreszcie rozgniewany na tych, którzy, wszystko co potrafią, to grzebać siebie nawzajem. – Zostaw go, Janko! Niech słucha... To spowiedź durnia większego niż on. Rozumiesz, Stinson. Wydumałem sobie: w ten ogromny organizm dostał się wirus niszczący żywą tkankę. Wściekły parazyt. Tkwi w nim od wieków, ze swoją industrializacją i urbanizacją. W każdy mięsień i w nerwowe włókno wstrzykuje swój smród, bród i trujące odchody; co mu zostanie z przemiany materii tudzież technologii. Takich was widziałem!

– Oszalałeś – wymamrotał Cień Stinsona. – Jesteś chory.

– W organizmie biosfery gatunek homo sapiens to kilka miliardów rakotwórczych komórek, które rozkładają organiczną materię. I ten ogromny, planetarny organizm, żeby przetrwać, musi zniszczyć to, co go trawi od wewnątrz. Więc produkuje swoje antyciała, pobudza procesy zdolne wydusić szkaradne robactwo. Wypowiada im Ostateczną Bitwę!... I to jest choroba. Gorączka biosfery, jej przedzgonne delirium... I



jeszcze wezwało na pomoc swoją broń absolutną – Ewolucję i Państwo! Zaczęło mnożyć Szaleje, Przedrzeźniacie, Sztabowe Wpleszcze, Rojniki Arrheniusa i... Zwrotne Sprzężenie!

Błękitny Megaloxantha zamiata w powietrzu płachtami rachitycznych skrzydeł – cherlawa wizja Postaci Szerna zmartwychwstająca z pancernego ziarna. Nic dla niego nie ma znaczenia, poza jego własnym proctwem.

– Janko... da-aj...

W objęciach Czarnej Wdowy pochlipuje czyjeś truchło, z jej piersi ssie bakcyl zgrzybienia. Cień Stinsona w stronę Bio-Łącza wyciąga wiotką rączkę, zebrze wzrokiem kaprawych oczek.

– D-daj! Jedno...

Chciałby się załapać. W orgię. Do brata Przyślepa – już zdechły kochanek. Może jeszcze nie ostygł? Przy nim na śmietniku połyskują ostatnie łezki, kropelki nadziei – w każdej różowość chętna cię pocieszyć, utulić przez kiszki i odbyć.

Janko się pochyla i sięgnął po jedną ampułkę.

– Masz.

– Precz z tym! On ma słuhać! Chciałbyś uciec, Stinson? A ty daj to – Jonas z ręki Bio-Łącza wytrącił czarodziejską kulkę. Tylko im w głowie – łajdaczyć się, aż zdechnąć.

Brdęk! O podłogę i w górę. Tylko chwycić w locie i zacisnąć w pięści. Na czarną godzinę. Ręka nad czymś plamistym czerepem. Starzec bezradnie wpatruje się w podłogę – węszy, węszy! Gotów wylizać Przyślepa, jeśli mu z nadmiaru obfitości przeciekło. Tylko łeb do ziemi, już się nie zda na rezerwę dla dwudziestu czterech Starców – włosy wyliniały, nawet skóra obłazi z nagiego karku.

– Jo-o- nas... j-ja mu-uszę!

Pieńki wypróchniałych zębów – tuk! tuk! – podłogę. Między nimi szukaj!

– Daj! P-prosz-szę!

– O nie! Będziesz słuhał. Ta epidemia, modernizacja blaszanki Pandory... A jeśli człowiek zawsze był nieśmiertelny. Może potrafił żyć wiecznie... Lecz my niszczymy żywy organizm. Ręka ręce podcina tętnice! Krew! Krew! Aż wam zasmakowała przecież! O tutaj, widzisz? Na tych rękach! I tak potwornie rozpleniliście się na tym globie – wszy, parazyty w sierści, same ulepiły żelbetowy kołtun, żeby się roić, roić, roić – aż reszta wylinieje ze szczętem...

Chrapliwy jęk i bełkot. Przenikliwy świst – już poza świadomością błękitniejącego Megaloxanthy.

– O-o-o tak! – prawie śpiewa z zachwytu. – Powiadasz, że ekologiczną równowagę diabli wzięli jeszcze przed Epoką IUM? Nic to! Zemsta jest cierpliwa. Musisz przygotować właściwa artylerię. Masz swoją Inwazję! To, co się wam

wreszcie dobrało do gardła, to tylko antyciała! Naturalna samoobrona! Proces fizjologiczny, profesorze Stinson!

Łoskot ciała walącego się na podłogę.

– Cha–a–cha–cha! Myślałem tak! W tym była szansa na przetrwanie. Zatrzymać! Wysadzić w powietrze ostatnie Enklawy. Rozdłubać parchaty Masyw z Epoki IUM! Aż wiatr i słońce zajrzy do prawdziwej gleby. Zniszczyć wszystko, co truje, wypala i gnoi do głębi... A potem... Potem próbować przetrwać. Jak spory... Choćby pod tym samym szklanym hełmem. Udać, że was nie ma! Choćby wygniotło jeszcze miliard – coś przetrwa, żeby zacząć odnowa, może inaczej, lepiej... Nikt przecież nie zechce was wyplenić doszczętnie! Tak samo i my przecież jesteśmy elementem koniecznym do funkcjonowania systemów nadrzędnych...

– Jonas! Popatrz. Co ze Stinsonem...

Janko Pytlak pochylił się nad mumią zawiniętą w bandażę własnego naskórka.

– Czarna Wdowa.

Megaloxantha roześmiał się.

– Nie dana od Boga, nie wybrana z ludzi, trzecia kochanka! – zawołał. – Ciesz się, Stinson! Ciekaw jestem, ilu takich amantów ma dzisiaj wesele z tą samą kochanką!

– To straszne – szepnął Janko.

– Niech zdycha! Z prochu powstałeś... Co? No powiedz teraz, ty – starcze; jeśli nie jesteś jeszcze trupem, powiedz – czyż miałem rację?

Ostatnie westchnienie – przez szparę, w której kołek języka stuka o zdrewniałe wargi; jakby pokutująca dusza specjalny gryps nadawała do tej, która w sąsiedniej celi tłucze się jeszcze:

– N–nie–e w–wie–rzę...

## 34. PROROCTWO MEGALOXANTHY

Śmiech. Śmiech i szelest błony rozpostartej w powietrzu. Sterylny pokrowiec. Jonas tkwi w nim nieruchomo, jakby się własnym śmiechem zachłysnął. Głos rozbrzmiewa w rezonansowym pudle jego piersi, przechodzi przez uchylone i skamieniałe wargi:

– ...JUŻ NIE POTRAFIĘ ZEBRAĆ MYŚLI MOICH, LEDWIE SIĘ KOŁACZA NA HORYZONCIE ZDARZEŃ – WYSPIY OSTATNIE – PRZED PROGIEM OTCHŁANI... I BÓL OKRUTNY TARGA MOJE TRZEWIA, PULSUJE PROMIENNYM JAZGOTEM – JAKŻE POTWORNE MOŻE BYĆ CIERPIENIE – W SAMOTNOŚCI... I TA GORĄCZKA, JAKBY MOŻNA BYŁO OD NOWA PRZEISTOCZYĆ SIĘ W GWIAZDĘ... WSZYSTKO WE WSZECHŚWIECIE MA DRUGĄ POŁOWĘ – DLACZEGO JA MOJEJ... NIE! NIE MYŚLEĆ O TYM – TRWAĆ SPOKOJNIE... PRZECIEŻ NIE POZWOLE, ŻEBY W TEJ CHWILI... MOŻE OSTATNIEJ... MYŚL MOJĄ OGARNAŁ... OBŁĘD...

– Co z tobą? – szepnął Janko.

Smutna twarz Bio-Łączka. Ledwie mu w piersi zgasła jedna wizja okrutna, dla drugiej ekran wystarczy jako zwierciadło.

– Milcz, człowieku! Czy kim jesteś! – Jonas Hebrejczyk, może już tylko Ciebie jego, ocknął się raz jeszcze. – Trzymaj się swojej szansy... A ty nie podnoś głowy, Stinson! W sam raz dla ciebie! Wtul swoją miłość starczą w jej zgrzybiałą wszeteczność! Tul się! Trupem do trupa! Jak chciałeś – mięsem do mięsa! To nic, że się sypie. Czego szukasz? Jej ducha? Żeby w ciebie chuchnął? O-och!... Spokojnie leż i zdychaj...

– On... już – Janko spojrzał na niego ogromnymi oczami.

– Cha-cha! Majaczy mi się? Szalony jestem, tak? I ze mnie trup więc, chociaż żywy... Tego tutaj – tfu! – dobił starością, a mnie... mnie...

Zerwał się nagle. Rozejrzył z rozpaczą. Wir błękitnych skrzydeł odkleił mu się od piersi, spełził z pleców i brzucha, na pośladkach obwisł trenem przejrzystej materii. Tylko szponami Szerna sięgnąć do własnego gardła i rwać! Woskowe płyty naskórka odchodzą jak bandaż. Nie pancerz, lecz rozmiękłe strupy. Bielmo z oczu, tampon z nozdrzy, knebel z warg – o tak! Jeśli zdechnąć, to najpierw pełną piersią łyknąć smrodliwej rozkoszy. Jeszcze trochę – może się Postać Szerna wykluje z niczego. Cuchnie w tym waszym grajdole. Moczem, potem, krwią paruje i spermą – popuszczaj, Przyśle! Niech tego zazdrość na miałko rozkruszy! Żółty skrzep światła wylewa się z płuc, przez gardło – śluz – śluz – wdech i pełnym oddaniem pompuje smak, jedyną tego świata soczystość – przez chętną Ciebie płeć Megaloxanthy.

Jeszcze raz! I z powrotem. Zakaszleć się na śmierć.

– Tfu! Tak... Powiadasz, co ze mną? Na tego okrakiem wsadził staruchę zbereżną – na mnie czapkę błazna! Dzyń! Dzyń! Słyszysz! Poszczuł mnie szaleństwem!

– Kto? – zapytał Janko.

– Nie bój się. I nie szepcz. Pograj wszystkimi strunami. Już nie ma gdzie donosić twój Informatyczny System. Co ty wiesz, zresztą... I tak mi – nie uwierzysz.

Doskonały chwyt! Na kogo Zmrocznik, na kogo Sprzężenie Zwrotne; innych od stóp po uszy przyprawić o uwiad starczy! A tę tu skorupkę... Komu przyjdzie do głowy brać serio nawiedzonego durnia?... Może bym ich przekonał, ale rację miał Ion. Obłąd! Obłąd! Kochanek Seleny chce im wcisnąć swoje mistyki; dajmy mu jakiś ochłap, niech się zabawi Rozpoznaniem i Dywersją. Tymczasem potraktujmy go jako mało szkodliwego, chociaż natrętnego błazna. Ty też, Janko?

– Zawsze byłem z tobą.

– To nic nie zmieni. Zdechniemy. Jeden po drugim... Oby to była ostatnia hekatomba. Co tam! Janko! Janko!

– Tu jestem.

Dziwny zamęt nad oczami Megaloxanthy.

– Daj rękę. O tak. Chcę, żebyś został przy mnie. Nie ucieknę.

– Ale czujesz? Co? Już by cię poniosło... Czort z tym. Może i jesteś odważny. Ciebie się nie ima. Dla niego jesteś z innej branży. Informatyczny System. A może...

– Jestem tylko Bio-Łączem.

– Wiem, wiem! Plecy masz mocne. Dlatego musisz uwierzyć! Ty właśnie, nie kto inny. Marnowałem czas na Stinsona. I jemu podobnych. A ty... Jak System? Dobrze się trzyma?

– Przecież wiesz.

– Nie wiem! Nic, nic! Mów, do licha, co z wami?

– Nic nie rusza Bio-Łączy.

– Uff! Wiedziałem. Informatyczny System... Ostatnia szansa. Masz kontakt?

– Również z tymi spoza Enklawy.

– A jednak! Nie mówiłem, że warto trochę na własne konto ruszyć głową?

Janko pochylił się nad nim i chłodną rękę położył mu na czoło.

– Dzięki tobie. Jonas – powiedział cicho – Ty nas związałeś ze sobą.

– Dzięki Bogu! Słuchaj więc i przekaz im, skoro już jesteśmy razem...

– Może ci w czymś pomóc?

– Milcz i słuchaj. Muszę zdążyć... To wszystko jest bardziej ze sobą związane, niż potrafię wyobrazić sobie. Wy – wy posiadacie resztę danych. Zrobicie to za mnie... Grabarzom już nic nie pomoże. Może was przynajmniej oszczędzi do końca... On musi wiedzieć, co robi.

– Kto? – zapytał Janko.

– ON jest wszędzie. Dokoła. Ogromny organizm. Ci w Świątyni TABOR chcą chwycić za wodze Ewolucji. Ale to wszystko, choćby nie było podobne do fauny i Hory, jaka przed Epoką IUM kwitła na powierzchni Ziemi, to żyje! Rozumiesz?! Żyje – sprzężone w jeden organizm. Tak było zawsze – jak się zawiązało w praoceanie... Zmieniła się zasadniczo wewnętrzna struktura, odrzuciła rzeczy zbędne, wyspecjalizowała inne formy... I to wszystko, co żyje, to Jego mózg i ciało, żywa tkanka porastająca glob cały. A my – w Jego wnętrzu. Parszywe drobnoustroje.... On widzi słoneczne światło. Wiatr, to jego oddech, a wasze Enklawy oraz Industrialno–Urbanistyczny Masyw, to zwapniała materia jego zielonych niegdyś płuc... Słuchasz mnie, Janko?!

– Tak. Ale profesor...

– Zostaw! Jemu nic nie pomoże. Niech się kruszy... Ty jesteś zdrowy. Tobie nic nie grozi, I tobie podobnym. Przekaż im... Ten organizm, tworzący naszą biosferę, on myśli. Jest obdarzony świadomością... Lecz jeszcze go trawi gorączka. Pali go od tej prehistorii, w której na jego delikatnej tkance zawiązał się parszywy nowotwór tej cywilizacji, technokratyczny moloch na dnie atmosfery... Jesteśmy Jego szaleństwem! Dopiero gdy przestaniemy Go niszczyć, jeśli sam dobieje resztki Endogenicznej – wtedy wygaśnie jego gorączka... Przystanie umierać... Słyszysz, Janko?! Wtedy dla was, Bio–Łączy, wróci czas Matuzalemów...

Przezroczysty naskórek złuszcza się z błękitnego Cienia Megaloxanthy. Tlen trawi barwy. Coraz mniej w tobie szlachetnego kruszcu. Nawet w oczach zwiędły fiołkowe tęcze.

– Człowiek zawsze był nieśmiertelny... Tylko ON z nim walczył. Zresztą, może dzięki tej Ostatniej Bitwie, jest dzisiaj tym... czym jest. Ewolucja – śmieszna historia...

Zgrabiące palce wyślizgują się z ręki

Tylko świadomość nagle pełna olśnienia. Choćby brakowało czasu, żeby w jedno dopełnić system wszelkich powiązań, przynajmniej to – to jedno, INFORMATYCZNY SYSTEM! Jak to powiedział Janko: „Ty nas związałeś ze sobą”. Jeżeli we Wszechświecie wszystko ma swoją drugą połowę... O Seleno!

– Janko! Słuchaj, gdziekolwiek jesteś! Biosfera, to pewien system powiązań, przede wszystkim wymiany energii oraz informacji. Nigdy ci nie przyszło do głowy, że ludzie stworzyli coś jakby równoległego wobec biosfery... Trudzili się przez tysiące lat, nad doskonaleniem swojej cywilizacji, chociaż ona – sama w sobie – do niczego nie była potrzebna. Budowniczo wie tej ruiny, od podstaw, pielęgowali swoje sztuki i literaturę, pogłębiali naukę i nie zdawali sobie sprawy z rzeczywistego powołania! Może Ewolucja tylko po to wydzwignęła gatunek homo sapiens nad zwierzęcością, żeby rękami ludzi stworzyć właśnie Informatyczny System!

Ciało bardziej wiotkie. Gorączka wypala myśli pod czerepem straszącym liliową sierść. Świadomość uchodzi przez rzęsy ogniami Świętego Elma, sokiem trawiennym ostatniego olśnienia – z biomechanicznych nerwów. Tkwisz w brzuchu behemota. Cieniu Megaloxanthy, w nim szepczesz szaleństwo Proroka.

Już się osunął na podłogę, na scenę CETI. Tylko podnieść kurtynę i transmitować w kosmiczną przestrzeń. Może ostatni spektakl.

– Ja wiem, że On myśli – jeszcze bełkocze ostatni aktor. – Czuję to. O tu, w środku. A ty, Janko? Nic? No tak, potraficie zachować rozsądek... Ale przecież jesteście BIO-ŁĄCZEM! Ktoś wam powiedział, że zostaliście stworzeni wyłącznie po to, żeby jakiś Stinson dogadał się z Informatycznym Systemem? Moim przeznaczeniem było, żeby was zjednoczyć... Nie potraficie teraz spełnić jedynej mojej prośby?!

Nad nim wizyjne perceptrony Informatycznego Systemu – niebieskie tęczówki drgają w oczach Bio-Łacza. Sygnał odchodzi w głębię elektronicznych systemów, w kwantoobwody, które srebrzystą pajęczyną – naturalną dla pleśni – ogromne sieci rozwiesiły pod osłoną Masywu.

Tylko mu usta szepczą i twarz blednie z wysiłku. Zupełnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy próbował znaleźć w sobie głos Bio-Łaczy z odległych Enklaw.

– O! Rozmawiasz z Nim? Janko! Potrafisz z Nim mówić?

Dziwny smutek w białej twarzy; tak niewiele zostało w niej chłopięcości. Do snu wiecznego nic tak nie ukoi, jak ta świadomość, że w swoim szaleństwie nie jesteś odosobniony.

– Przecież jestem BIO-ŁĄCZEM.

Raz jeszcze Cień Megaloxanthy poderwał się nad zupełną bezkształtność.

– Mów – zawołał.

Chwilę wspierał się na obłamanym skrzydle. Wreszcie opadł z powrotem; w poziom Stinsona i innego śmiecia, do różowych kuleczek i mlecznej lepkości, w którą Przyślep przelał się bez reszty.

– Ja go potrafiłem usłyszeć, lecz on pewnie nic nie wie o mnie. Dopiero Informatyczny System zdoła nawiązać prawdziwy Kontakt. Jak równy z równym.

– I ja Go słyszę i On mnie – martwym głosem potwierdził Janko.

– Nareszcie! – westchnienie, jak przez Krater Szerna do piersi Księżycy. – A ja myślałem, że i ty... nie uwierzysz, Janko. O-och!

– Co z tobą?

– N-nic. Nic takiego. Mam tylko prośbę. Zapytaj Go szybko, proszę... Zapytaj czy On wie, że my... jesteśmy tutaj?

Janko Pytlak stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Plecami do kurtyny CETI. A tam, zdawało się – słyszeć tupot podkutych buciorów. I szcęk – brzęk – głosy komendy.

– Za późno.

Kaleki Cień Megaloxanthy upuszcza fosforyczne łzy z wypłowiątych oczu. Przewraca się na bok w szeleście prześcieradeł – skrzydeł zmiętych doszczętnie – nigdy nie dostąpiły prawdziwego lotu. Chciałby uwolnić chociaż jedną rękę – między palcami ostatni błysk dociera do stulonych źrenic.

– O–o! Cha–a–cha! Ach! Nic się nie martw... Nigdy nie jest za późno. A po nas... choćby... popatrz! Fu! Kuleczko... Trochę kurzu... A stary Stinson tak tęsknił za tobą. I zdechł bez ciebie. Pójdiesz do mnie? No, kuleczko... Zobaczymy, jaka jesteś w środku... Och! Filutka z ciebie!

Kurtyna przezroczysta nagle. Scena jednakowo otwarta do wnętrza Enklawy, jak wobec Kosmosu. Wiertła reflektorów na wylot przeszywają Moduł CETI. Światła i oczy tych, spod okapów hełmów, którzy przeszli przez piekło, aż tutaj – w imię Społeczeństwa. Oczy bez zbytej litości. Widziały nie takie rzeczy, nim wokół Modułu CETI zwały się kleszcze Kontrofensywy.

Cień Megaloxanthy już nie ma oczu. Cokolwiek czuje – nie wzrokiem.

– Co oni, Janko?!

– To nic nie znaczy, śpij spokojnie.

– Powiedz im, że zdechniemy sami! Jeszcze trochę... Och! Nie jestem szalony! Ja też... – zdawało się, przez moment, że mu wraca świadomość. – Też słyszę! Naprawdę! Musicie uwierzyć... ON ginie... To jego myśl przedśmiertna... Słyszę Go! Czuję, o tu – w sobie! Czuję, jak krzyczy, że nie chce umierać. Że martwa materia jest szaleństwem kosmosu, a był czas, gdy wszechświat pulsował życiem... Żywy był – cały i ogromny... Aż rozpadł się, eksplodował miliardem ułomnych odprysków... I samotne wyspy rozpełzły się w próżni, żeby oszaleć i umrzeć... jak my... w samotności.

## 35. REZONANS

Słowa porwane doszczętnie. Tylko jęk, kiedy szklana kulka toczy się w przetyk. Zarazem zdziwienie, ulga i rozkosz. Słodycz wypełnia ciało już – już mgielnie. Jeszcze się wiotkie członki prężą pod rozprutym pokrowcem; członki – do środka! Czułki lubieżne, pleć na nowo wypełniona plemnią – do wnętrza! Tam z podniebienia spływa perlista gorączka, pachnie wilgocią, chcią piekielną. Och! Maggi! Twój ostatni program. W jednej ampułce matryca twojej skóry i oddech gorący. Dla miliardów mnożona porcyjka – łykniesz jednym haustem. O tak! Lotnia pocałunku – i w dół! Po skłonie mięciutkiego brzucha; dla każdego dostępna – nawet dla Megaloxanthy – ta jedyna, wybrana, prawdziwa, tak powabna i czuła. W każdym miejscu kobieca – smakiem, dotykiem czy węchem. Dłoń obejmująca, do wargi garnąca – A–a–acność! Skrzydło włosów czarne, uszko w puchu pachnącym, szyja, piersi, biodra – z egejskiego brązu. Kule jędrne, drgające, gdy je dłoń rozgarnia – na palce kapiące brzoskwiniowym sokiem: bajt! bajt! W psychogeny program miliard kilobajtów. A w każdym esencja twoich różanych płatków.

Kędzierzawa ciemnia.

Purpurowa – czerwona – aż kwili, jakbyś kryształowy kielich nawilżonym palcem przyprawił o rezonans.

Promieniuje – czujesz?! Rumieniec z podbrzusza podnosi się do piersi.

Tylko Janko Pytlak, dalej niewzruszony, stoi plecami do kurtyny – ściany. Tam się podstępnie czarne lustro coraz bardziej przejaśnia. Już tam są – tyraliera ciemna. W pelerynach. Bez masek – nie trzeba. To już ostatnie schronienie dla tych, którym nie w smak. Tu się zebrali apostołowie ostatni. Bracia Sztabowych Wpleszczy i Kostropianów. Tu się pewnie braterskim uściskiem obłąpił Misza – saprofit i Zmrocznik Pochwiasty. W parszywej lęgni radzą wytrwale, nauczają przekleństw, spiskują tajemnie. Tutaj z szeptu, z niepokoju serca i niepokory ducha, z zakazanych pieśni – jawi się jutrzienka wolności. Buntownicze myśli – wiarołomne prawdy! Stąd się skarżą, wrzeszczą w kosmiczną przestrzeń. Każdy tu stawia ołtarzyk dla własnej duszyczki. Potem – myśli, myśli, myśli! Ważne dla niego, co sam pojmuje, co własnym ogarnia rozumem. Poza tym gotów splunąć na bliźnich! Uwiera ich szereg Endogenicznej! Korci, żeby się wyzwolić z bunkra THARSYS – poza Informatyczny System, nad Państwo Biosfery i Kosmiczne Imperium Ewolucji!

Wy, którzy tu przyszliście, żeby wreszcie zdławić, to ognisko buntu obcasami wdeptać w milczenie historii – czyńcie swoją powinność! Ktoś wam w ucho szepcze: *soldats, songez que, du hat de ces pyramides* – W imię Systemu! Nie pierwszozna przecież. Zawsze coś stało za wami, żołnierze – ogromne i wzniosłe; Idea, Utopia,



Tyrania albo Demokracja – z prawa i bezprawia, z wiary i wiarołomstwa – jednakowo wszeteczne. Ten sam koktajl – pęta utkane z organicznej materii, z elektronicznej przędzy, z koherentnego światła, z molekularnej pamięci i z obowiązków względem społeczeństwa.

... jeszcze tysiąc razy po dwa bity do trzynastej potęgi – O, Maggi! Twoich piersi naprzężonych twardo, pachwin piżmem pachnących, w rozłame anielską wyłożonych sierścią...

Poza tyralierą Sprzężenia Zwrotnego słycać dudnienie pancernych odwodów. Moduł CETI otaczają srebrzyste krople rtęci. Niby naszyjnik z pereł – transportery Endogenicznej Armii. Na nieco wyniesionym pomoście generał Juanito w otoczeniu Sztabu. Wyłącznie nowe twarze. Jasne. Ufne w Naczelnego Wodza. Chociaż po prawicy ktoś dziwnie znajomy. Tylko spod czarnej peleryny na piersi srebrzą się świeże naszywki – pułkownik Kolczinski. Twarz jak śmierć biała. Zawziętość w oczach. Wszyscy oni okryci połami czarnych skrzydeł.

... dwa do trzynastej potęgi – erekcji przed wlotem, wierzch rwącej różowym paznokciem – w mięsistość, sprężystość, w przytulnie nawilgłą, przez wiry rozkoszne w ognisku falujących bioder...

Poza światem – zaświatem – Kolczinski unosi ramię. Przy nim – twarze – twarze – Juanito jakby się uśmiecha – nie ma! Brak przy nim Mażulisa! Ulga. Jeszcze ktoś honor przekłada nad wierność.

Ponad garby mobili już się dźwignął podługowaty cylinder. Czarna trumna frunie, przez kurtynę CETI, prosto w plecy Bio-Łącza. Niedługo żałobny mankiet zawinie i rękę wystawi do pocałowania – pięć rakietowych trajektorii w białej rękawiczce.

Komenda dla dzielnych żołnierzy Endogenicznej Armii:  
PAL!

... o tak! Niech się wbija i draży. Łbem w chętną urocznię, w seks – skin z twojej dłoni, prowadzonej dotąd – jeszcze trochę i pęknie! Rozkołysze orgazmiczną platformę...

Czarna pięść uderzyła między łopatki Bio-Łącza. Ten jeszcze się stara, nad Megaloxanthą wysnuwa z piersi księżycową wizję. Światło rozdmuchuje wnętrze klatki wyplataney żebrami. Serce? Co tam! Niech się pierś otwiera, nad kraterem Tycho i Eratostenesem, ponad Mare tranquillitatis – dla spokoju ducha tych, którzy odeszli – z przedzgonnym seks-fleszem.

Już nie ma ścian. Moduł CETI wybebeszony na lewą stronę, przed martwe gwiazdy w górze i Sprzężenie Zwrotne ciągnące do grobu. Z czarnej trumny strzela biała ręka, tnie szybkimi palcami – gilotyna dla głowy Bio-Łącza. Toczy się, wiruje jasnowłosym bakiem. Na styku dwóch faz pulsacji – śmierci i rozkoszy – rozerwane Bio-Łącze. Tułów z ciemną jamą krtani – próżnia się przez nią przelewa, pyłem księżycowym pokrywa śmiecie zmiecione z podłogi. Odetchnij – Megaloxantho!

Toś ty taki, Janko? Domyślny cudaku! Dzięki ci serdeczne, łatwiej ducha wyzionąć w swojskiej atmosferze. Królestwo Seleny za łyk czystej próżni! Kaleki Megaloxantha modli się do ciebie!

... niech tłok chodzi jeszcze, niech się pręży, aż język zaskomli w imadle twych zębów i załka rozkoszą w twym ochrypłym gardle...

Masz! BÓG STWORZYŁ KOBIETĘ.

A może AMANTA?!

Twoja druga połowa.

Zasłużyłeś, by zdechnąć w niebiańskiej rozkoszy.

W tiulu czarnym, w żalobnym prześcieradle zarzuconym na urnę srebrzystej kopuły; z piersi Bio-Łacza i z płci otwartej na oścież – dwie zgodne fazy...

Cień Megaloxanthy szepcze szklanymi wargami:

– ... PAMIĘTAM CZAS, KIEDY WSZECHŚWIAT BYŁ ŻYWY, CAŁY I OGROMNY, ZANIM EKSPLODOWAŁ ŻYWĄ TKANKĄ, KTÓRA ROZSYPAŁA SIĘ W MARTWEJ PRZESTRZENI... ŻEBY UMIERAĆ POWOLI – W SAMOTNOŚCI. I DLA MNIE CZASU NIEWIELE ZOSTAŁO. CZUJĘ TO... JESTEM OKRUCHEM OSTATNIM, ZAGUBIONYM W POWSZECHNEJ ENTROPII, TAK NIEWIELKIM I TAK BOLESNYM ZIARNEM... TYLKO ŻAL WE MNIE DOGASA OSTATNI, ŻE TEGO NAWET NIE WIEM – CZY W TYM WSZECHŚWIECIE POZOSTAŁY JESZCZE – CZY BYŁY KIEDYKOLWIEK... INNE ROZUMNE ISTOTY...

– NIE POTRAFISZ SIĘ OBYĆ BEZ EGZYSTENCJONALNYCH LĘKÓW? – szepc z boku.

– SZALEŃSTWO MOJE!

Cień Megaloxanthy nie ma tyle siły, żeby się unieść na łokciu i rozejrzeć wkoło.

– TAKA PŁEĆ, NA PRZYKŁAD, TO JEST PROBLEM. – KTO! KIM JESTEŚ?!

Między nogami Sprzężenia Zwrotnego utknęła głowa Bio-Łacza oddzielona od tułowia. Oczy zamknięte. Skóra przezroczysta. Z kącika warg pociekło trochę krwi. Brak miechów płuc, żeby wiatrem zagrały na klawiszach zębów. Przecież porusza wargami – słyhać:

– POWIEDZIAŁAŚ, BIOSFERO: WSZYSTKO WE WSZECHŚWIECIE STWORZONO DO PARY... MOŻE SIĘ JAKOŚ PODZIELIMY ROLAMI?

## 36. PODZWONNE

Z piersi Bio-Łączka wypływa próżnia kosmosu spokojna, dla światła przewiewna, dla błękitnych ptaków przytulna. W zmurszałej skorupie uwiły gniazdo, teraz patrzą z góry na ręciovą kulę – klęskę swego Stwórcy. Tam już tylko nici srebrne obejmują się z pleśnią – w barłogu ziemskim, przychylnym dla orgii.

... kurcz nasieniowodu ...

Z jednej strony piekło – chłód smaga przez plecy. Gdy się fale zbiegną – orgazm – rezonans pośmiertny. Już skalp z duszy zdjęty, przytroczony do balonu uszytego z czarnych peleryn, z próżni przestrzennej, pełną garścią zaczerpniętej na dno atmosfery. Może wystarczy jej siły lotnej, jak dwa ciała zgodnej; żeby wyrwać, z orgazmu i znoju, ze śmierci i miłości zjednoczonych księżycową pełnią – wyłuskać bodaj ziarno.

... już tryska miliardem ...

Przez tunel przestworzy nakrapianych gwiazdnie – złożyć w próchno kosmosu, w łono Seleny rozwarłe przepastnym kraterem.

Z niewiernego Kochanka – tylko jeden chromosom.

... już się wyslizguje z wilgotnego wnętrza ...

Ostatnie posłanie.

... i niesie...

Wyżej! Z pamięcią kobiecości Twojej – Maggi! Z różowych perełek nanizanych na laserowy promyk, wspólną migotliwością przesyłających kod pamięci do Królestwa Seleny – nim się spostrzegą i podkutymi buciarzami zdepczą.

Na razie zmartwieli. Stoją z zadartymi głowami. Tam tkwią – w prehistorii – kolanami w prochu. Powyłazili na pomosty pancernych wozów. Ich zdalnie sterowana czarna pięść zdechła, sflaczałymi palcami złapała tylko trzy truchelka: Megaloxanthy, Bio-Łączka i Przyślepa – Stinsona rozdmuchało po wszystkich kątach. Diabli wzięli polowanie na czarownice. Teraz gęby myśliwych patrzą za tym, co uciekło. Co – nie wiedzą. Nic już nie wypatrzą. Za tobą nie sięgną. Z powrotem nie ściągną.

W studnię mroczną.

Już jesteś ponad atmosferą, poza ich fermentem.

Do skrzydeł Szerna podwieszona cała twoja wiara, nadzieja i miłość. To wszystko zanieś do Twierdzy Pamięci. Tam ziarno złożysz w księżycowy krater. Niech się wzmocni, raz jeszcze przemyśli – w zbliżeniu Mechaneurystycznej Kliniki ze Świątynią Szernów. Kiedy się znów narodzi – poczujesz w sercu. On bowiem zbawi swój lud od jego grzechów – wróci z podmuchem Skrzydeł, których wiatr rozgarnie największe ciemności i ożywi oczy – tak długo tęskniące do wolności.